



UNIwersytet w Białymstoku

WYDAWNICTWO ALTER STUDIO

BIAŁOSTOCKIE
ŚRODOWISKO
FILOLOGICZNE
1968-2018

HISTORIA W 45 WYWIADACH

Rozmowy przeprowadził:

DOMINIK SOŁOWIEJ

Idea, wstęp i redakcja tomu:

JAROSŁAW ŁAWSKI

Białystok 2018

Wywiady: Dominik Sołowiej
Redakcja i wstęp: Jarosław Ławski
Opracowanie tekstów: Dariusz Kukiełko, Dominik Sołowiej, Jarosław Ławski
Korekta: Zespół
Skład: Hubert Pilcicki, Alter Studio
Projekt okładki: Alter Studio
Współpraca koncepcyjna: Joanna Godlewska, Krzysztof Korotkich
Współpraca redakcyjna: Bożena Poniatowicz, Anna Janicka

Copyright by: Wydział Filologiczny Uniwersytetu w Białymstoku. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka sfinansowana ze środków Wydziału Filologicznego Uniwersytetu w Białymstoku.

ISBN: 978-83-64081-49-1

W tomie wykorzystano za zgodą autorów zdjęcia: Dominika Sołowieja, Krzysztofa Korotkicha i Pawła Balejki.



 Wydział
Filologiczny

UNIWERSYTET W BIAŁYMSTOKU

Druk:
Wydawnictwo Alter Studio
Legionowa 30, lok. 211, 15-281 Białystok
www.alterstudio.com.pl





1968 – 2018
JUBILEUSZ
PIĘĆDZIESIĘCIOLECIA
BIAŁOSTOCKIEGO
ŚRODOWISKA
FILOLOGICZNEGO



UNIwersytet w Białymstoku

Spis treści

Od Redakcji.....	13
<i>Jarosław Ławski</i>	
Środowisko. Rzecz o białostockich filologach: 1968 – 2018	15
 <i>Wywiady. Rozmawiał Dominik Sołowiej</i>	
<i>Żofia Abramowicz</i>	
Onomastyka, antroponimia, edukacja	30
<i>Lucyna Aleksandrowicz-Pędich</i>	
O początkach białostockiej anglistyki	38
<i>Barbara Bobrowska</i>	
Pozytywistyczne peregrynacje	46
<i>Krzysztof Bogacki</i>	
U źródeł romanistyki	56
<i>Bożena Chodźko</i>	
Bardzo dobrze wspominam studentów... ..	62
<i>Ryszard Chodźko</i>	
Hologram przeszłości.....	74
<i>Jan Czykwin</i>	
O kilku długich początkach	86
<i>Leonarda Dacewicz</i>	
Antroponimia i humanistyczny fundament	96
<i>Barbara Falińska</i>	
W świecie gwary	104
<i>Barbara Głowacka</i>	
Z optymizmem patrzę w przyszłość.....	112

<i>Sergiusz Grinev-Gryniewicz</i> Antropolingwistyka powstała w Białymstoku.....	122
<i>Roman Hajczuk</i> „Inne” czasy	132
<i>Krystyna Jakowska</i> Wilno, Toruń, Białystok... ..	142
<i>Jerzy Kamionowski</i> „Będzie dobrze!”	150
<i>Alicja Kisielewska</i> Prof. Sław Krzemień-Ojak i kulturoznawstwo	164
<i>Michał Kondratiuk</i> Językoznawca na pograniczach	172
<i>Jerzy Kopania</i> Jakbym tu był od zawsze... ..	184
<i>Mikołaj Kruk</i> Okiem rusycysty	198
<i>Halina Krukowska</i> Z Mickiewiczowskiego ducha	206
<i>Cezary Kukło</i> Wspominając światy mistrzów... ..	216
<i>Dariusz Kulesza</i> Nie tylko o prof. Zbigniewie Jarosińskim	232
<i>Jan Leończuk</i> Szaleństwo panowało totalne... ..	242
<i>Andrzej Makowiecki</i> Wspomnienia sentymentalno-dodatnie	256
<i>Jan Jerzy Milewski</i> Mieliśmy szczęście do ludzi... ..	266
<i>Aleksander Miśkiewicz</i> Tatarzy, życie akademickie, historia	278
<i>Barbara Noworolska</i> Absolwenci wciąż mnie odwiedzają... ..	286

<i>Bogusław Nowowiejski</i>	
Nie mamy się czego wstydzić	294
<i>Barbara Olech</i>	
Prof. Helena Karwacka, dr Maria Koszycka i inni	308
<i>ks. Abp. senior Edward Ozorowski</i>	
O pracy nad słowem	320
<i>Ewa Paczoska</i>	
Pierwsze kroki w Białymstoku	328
<i>Halina Parafianowicz</i>	
Wspomnienie wspólnoty	340
<i>Marian Płachecki</i>	
Białostocki historycyzm. Projekt i dzieje	352
<i>Bożena Poniatowicz</i>	
Najsympatyczniej wspominam piątki... ..	360
<i>Sławomir Raube</i>	
Osobowość niepowtarzalna. O dr. Zbigniewie Suszczyńskim	370
<i>Marianna Rogowska</i>	
A potem był logopedia... ..	376
<i>Jadwiga Sadowska</i>	
W przestrzeni bibliotek	386
<i>Żygmunt Saloni</i>	
Zatrudniony w „niedobrym roku”	394
<i>Urszula Sokólska</i>	
Jest między nami więź... ..	404
<i>Wanda Supa</i>	
Z historii filologii rosyjskiej	412
<i>Wacław Szerszunowicz</i>	
W zawodzie nauczyciela i wykładowcy	420
<i>Janusz Taranienko</i>	
Polityka, teoria, poezja... ..	428
<i>Kazimierz Trzęsicki</i>	
Było ciężko, ale nie smutno, bo byliśmy młodzi	454

<i>Violetta Wejs-Milewska</i>	
Profesor Elżbieta Feliksiak: osoba wyrazista	462
<i>Piotr Wróblewski</i>	
Uniwersytet przed erą Internetu	478
<i>Żadwiga Zacharska</i>	
W oazie spokoju	490
<i>Aneks. Władze Wydziału</i>	499
<i>Noty o Autorach</i>	505
<i>Summary</i>	507
<i>Résumé</i>	509
<i>Indeks nazwisk</i>	511

Od Redakcji

Książka, którą do rąk Państwa oddajemy, ma charakter niezwykły. Jest to zbiór czterdziestu pięciu rozmów przeprowadzonych przez białostockiego dziennikarza – zarazem absolwenta tutejszej polonistyki – red. Dominika Sołowieja z ludźmi tworzącymi w latach 1968–2018 białostockie środowisko filologiczne, szerzej rzecz ujmując: humanistyczne. Łatwo obliczyć, ilu obchodząca pięćdziesięciolecie filologia białostocka wydała magistrów i doktorów, wykształciła dziennikarzy, nauczycieli, ludzi biznesu, dyplomatów i naukowców. Trudniej, patrząc wstecz, przepatrzyć meandry rozwoju środowiska naukowego, które tych ludzi uczyło, ponadto prowadziło badania i tu, w Białymstoku, organizowało konferencje naukowe, kongresy. Z biegiem lat ubywa świadków minionego półwiecza. Stąd idea książki – oddać głos tym, którzy tworzyli, współtworzyli świat białostockich polonistów, rusycystów, anglistów, romanistów, białorutenistów. Zapropowaliśmy tę rozmowę wszystkim, którzy pamiętają te czasy, niezależnie od tego, skąd są, skąd przybyli i dokąd wyjechali. Tylko jedna osoba uchyliła się od rozmowy. Wielu znaczących Osobowości nie ma już wśród nas – mówią o nich, wspominają je uczniowie, przyjaciele, koledzy.

Nie pytamy w tej książce o konflikty, odmienne zdania, podziały – szukamy tego, co łączyło ludzi. To dzięki tej trudnej do nazwania idei spajającej w Białymstoku rozwinęło się silne, znaczące w skali krajowej, dobrze znane w krajach Europy Środkowo-Wschodniej środowisko filologiczne. Powstało niemal z niczego, bo, jak wspominają pionierzy, po wojnie w regionie były dwie osoby z doktoratami w tej dyscyplinie.

Pragniemy podziękować wszystkim Rozmówcom, uczonym i wykładowcom, którzy w latach 1968–2018 tworzyli fundamenty Środowiska.

Wyrosło z niego już kolejne pokolenie białostoczan-filologów, badaczy, którzy, mamy nadzieję, też kiedyś opowiedzą swoją historię.

Dominik Sołowiej, Jarosław Ławski



UNIwersytet w Białymstoku

Jarosław Ławski
Uniwersytet w Białymstoku

ŚRODOWISKO.
RZECZ O BIAŁOSTOCKICH FILOLOGACH: 1968–2018

Przyjęty byłem w tym jej mieście [Białymstoku]
z grzecznością od niej największą, że nawet
w oczy to drugim uderzyło.

Franciszek Karpiński, *Historia mego wieku*¹

1.

Środowisko jest czymś więcej niż tylko grupą ludzi zebranych w jednym miejscu i czasie wokół takich czy innych zadań, idei. Jest ono w swej istocie pewną stałą wartością, naraz ciągłością i zmiennością. Środowisko naukowe nie powstaje nagle, choć można je w jednej chwili zniszczyć. Białostockie środowisko filologiczne – integralna część szerszego środowiska humanistycznego – formowało się przez pół wieku. Już pół wieku! – Od 1968 do 2018 roku, kiedy przyszło mu obchodzić Jubileusz na samodzielnym, świętującym dwudziestolecie Uniwersytecie w Białymstoku.

To półwiecze wytworzyło środowisko badaczy: polonistów, rusycystów, białorutenistów, anglistów, translatołogów i romanistów – z własnym poczuciem więzi, siecią relacji międzyludzkich, miejscami kluczowymi historii, takimi jak Grudzień 1981 roku czy Czerwiec 1989. Powstanie środowiska staje się więc zawsze procesem formowania się tradycji. Kształtuje się ona mocno w kontekście oddziaływania historii, lecz gdy środowisko krzepnie, coraz częściej znajduje oparcie w sobie, we własnej pamięci². Przecież, mówi pamięć tradycji, już to kiedyś było, już to kiedyś przeżywaliśmy! Spokojnie... Tradycję formują ludzie. Ich głos to głos środowiska, lecz w szerszym jeszcze ujęciu: szept tradycji.

¹ F. Karpiński, *Historia mego wieku i ludzi, z którymi żyłem*, opr. R. Sobol, Warszawa 1987, s. 127. Po tym zdaniu, które cytuję w motcie, Karpiński dodaje drugie, jakże znaczące: „A jam sobie pomyślił: >Ja chleba potrzebuję, nie honorów<”.

² Zob. choćby: *10 lat Filii UW w Białymstoku. Miejsce uczelni uniwersyteckiej w makroregionie północno-wschodnim*, red. J. Ledziński, Białystok 1979; Z. J. Hirs, *Dziesięć lat Białostockiej Uczelni Uniwersyteckiej*, Białystok 1978; *X lat Uniwersytetu w Białymstoku 1997–2007*, Białystok 2008; *Uniwersytet w Białymstoku: 10-lecie w rysunkach Władysława Pietruka*, Białystok 2007; *Uniwersytet w Białymstoku: 2008–2017*, Białystok 2017.

Białystok miał właśnie to szczęście, że przez pięćdziesiąt lat rozwinęły się tu silne tradycje środowiska filologicznego. Lata 1968–2018 obramowują początek i koniec (czy koniec?) tego procesu, ale jest to, o czym świadczą wywiady ze świadkami powstawania tradycji środowiska i rozmowy o zmarłych Kolegach, proces *in statu nascendi*. Wciąż trwa, dzieje się, wre. Zaczęło się od powołania w 1968 roku Wyższej Szkoły Nauczycielskiej. Była ona nade wszystko odpowiedzią na potrzeby szkół. Działo się to w pamiętnym, ale i mrocznym roku '68: roku inwazji na Czechosłowację, rewolty młodzieży na Zachodzie, a w PRL-u czasie czystek marcowych, gdy z uniwersytetów i z kraju wypędzano inteligentów i w ogóle wszystkich posądzonych o sympatię „syjonistyczne”. Nie, nie był to dobry rok polski. Jego zła pamięć trwa do dziś. Zaczynały się niepokoje na świecie lat 1968–1970: wojna bliskowschodnia, napięcia między ZSRR a USA, Praska Wiosna, wojna wietnamska, Grudzień '70 w Polsce. Jakby wszystkie plagi i czynniki destrukcji zebrały się w jednym czasie. Rok '68 miał też inne, lepiej pamiętane oblicze. Coś się kończyło, coś zaczynało. Co pamiętamy po dziś dzień, zaczynał się „nowy” świat po mentalnej i obyczajowej rewolucji tego roku – świat rewolucji przeciw establishmentowi, wolności obyczajowej, a w Polsce czuło się schyłek Gomułki i gomułkowszczyzny³.

W tych jakże ogromnych dekoracjach historii, na kresach Europy, w Białymstoku, powstawał załączek środowiska filologicznego, szerzej humanistycznego, bo przecież tworzyli je historycy, a także pedagodzy, filozofowie (nie, nikt wtedy nie mógłby pomyśleć, iż na Uniwersytecie w Białymstoku będą socjologowie, czy katedry teologii, a nie tylko wykładowcy marksizmu lub ekonomii socjalizmu). Na powstanie tego właśnie środowiska złożyło się wiele przyczyn dużych i małych. Linia Curzona i powojenna granica odcięły miasto nad Białą od Grodna i Wilna, promieniujących od XIX wieku aurą intelektualną i historyczną⁴. Białystok powojenny stał się miastem o zmienionej strukturze społecznej: bez tych, których wywieziono na Sybir, bez Żydów, bez tych, co uciekli byle jak najdalej od granic „zaprzyjaźnionych” mocarstw – za to z ogromną masą ludności napływowej, wiejskiej, poddanej partyjnej kolonizacji przez komunistyczne państwo⁵. Przecież tak „obrobione” ideologicznie społeczeństwo miało swoje potrzeby, a coraz różniej zaczęło wyrażać aspiracje, również edukacyjne. Jeśli na stworzeniu

³ Patrz: *Rok 1968. Środek Peerelu*, wybór, opr. A. Dębska, współpr. K. Madoń-Mitzner, Warszawa 2008.

⁴ Promieniowanie Wilna jako ośrodka uniwersyteckiego świetnie pokazuje książka Jana Trynkowskiego: *Gimnazjum. Z dziejów Gimnazjum Białostockiego (1777) 1802–1915*, Białystok 2002.

⁵ Por. *Historia Białegostoku*, red. A. Cz. Dobroński, Białystok 2012.

studium nauczycielskiego zaważyły potrzeby szkół, kształcenia nauczycieli polskiego i historii, to kolejne lata – a w tle trwała industrializacja miasta, zmiana jego „wiejskiego” charakteru – przyniosły pierwiastki ruchu intelektualnego. Marzec '68 i represje wobec środowisk uniwersyteckich z takich centrów, jak Warszawa, stworzyły też, o ironio, zaskakującą szansę. Żle widziani w Warszawie doktorzy i profesorowie schronili się na końcu świata, w zaścianku, na prowincji⁶. W Białymstoku.

Ta fuza oddolnych potrzeb – dość wątych aspiracji miejscowych – oraz „konieczności” dziejowej (wyjazd z centrów niepokornych intelektualistów) stworzyła grunt dla powstania środowiska filologicznego w miejscu, gdzie, jak wielu wspomina, w epoce po 1945 roku działało i tworzyło dwóch (chyba?) doktorów nauk humanistycznych. Nie było tu silnych „naukotwórczych” procesów oddolnych. To nie tak, że zamieszkujący Podlasie Polacy, Białorusini, Tatarzy, Ukraińcy i inni żądali własnej, regionalnej edukacji uniwersyteckiej. Nie. Na to wtedy było za wcześnie. To właśnie dopiero powstanie Studium Nauczycielskiego (1968), a potem nadanie wymiaru uniwersyteckiego Filii Uniwersytetu Warszawskiego (1972/1973), umożliwiło wszystkim przedstawicielom wymienionych etnosów i ethosów wpisanie się w powstałą strukturę edukacyjną, która przez następnych trzydzieści lat przechodzić będzie drogę ku uniwersyteckiej samodzielności, aż do powstania w 1997 roku Uniwersytet w Białymstoku⁷.

Niezwykłą rolę w tych procesach, szczególnie w pierwszym trzydziestolecium, spełnili ci uczeni, którzy do Białegostoku przyjeżdżali z Warszawy, głównie z Uniwersytetu Warszawskiego. Wiele też, bardzo wiele – ale jeszcze nie tradycje uniwersyteckie i format stołecznego rozmachu – środowisko tak się formujące zawdzięcza tym wszystkim młodym wtedy ludziom, którzy po Marcu '68 w poszukiwaniu pracy, mieszkań, godnego życia ścigali tu z różnych regionów owoczesnej Polski: Szczecina, Gdańska, nawet z Krakowa.

Najwięcej jednak obiecywano sobie po tych – pierwszym i drugim pokoleniu filologów-białostoczan – którzy byli stąd: z Białostoczczyzny, Podlasia, Mazur,

⁶ Zob. M. Żmijewska, *Marzec '68 w Białymstoku: desant z Warszawy*, „Gazeta Wyborcza w Białymstoku”, 7.03.2008. Trzeba pamiętać, że działała tu wyjątkowo „twardogłowa” odmiana partyjnej, PZPR-owskiej oligarchii, nieznosząca sprzeciwu, wiernopoddańcza wobec władz centralnych, radykalna w antywoleńsiowych nastrojach, oczekująca dyrektyw od towarzyszy z sąsiedniej, „bratniej” republiki białoruskiej ZSRR. Zob. A. Pasko, *Kulisy władzy ludowej w województwie białostockim (1948–1956). Organizacja, główne kierunki działania KW PZPR*, Białystok 2002.

⁷ Zob. *Uniwersytet w Białymstoku in statu nascendi (1968–1997)*, wybór i opr. J. E. Dąbrowska, Białystok 2015.

Mazowska, słowem z całej północno-wschodniej Polski w granicach nakreślonych w Jaćmie i Moskwie. Kilka tych grup tworzyło początki białostockiego środowiska naukowego, w tym filologicznego: „przybysze” z Warszawy, przyjeźdźni z całej Polski i miejscowi. O tym, że eksperyment uniwersytecki (nieplanowany, spontaniczny) się powiódł, zdecydowały osobowości wyłaniające się z biegiem lat z wszystkich tych grup. To one nadawały kierunki tutejszym badaniom filologicznym, a w chwilach kryzysu potrafiły wziąć władzę i odpowiedzialność w swoje ręce, skupić środowisko, ocalić je.

2.

Spróbujmy ująć dzieje białostockiego środowiska filologicznego w największym, syntetycznym skrócie:

1968 – powstaje Wyższa Szkoła Nauczycielska.⁸

1968 – utworzenie Zakładu Filologii Rosyjskiej w ramach Wydziału Humanistycznego WSN.

1969 – powołanie Zakładu Filologii Polskiej.

1973 – powstaje Wydział Humanistyczny Filii UW w Białymstoku, łączący środowiska filologów, historyków, filozofów, socjologów.

1980 – Senat UW powołuje Instytut Filologii Polskiej.

1980–1992 – kształtowanie się zakładów i katedr: między innymi powstają Zakład Języka Polskiego, Zakład Literatury Polskiej, Zakład Teorii i Antropologii Literatury, Zakład Polszczyzny Regionalnej, Katedra Językoznawstwa Ogólnego i Stosowanego.

1990 – powstanie Nauczycielskiego Kolegium Języków Obcych przy Filii UW w Białymstoku.

1992 – uruchomienie Pracowni Białorutenistyki (potem także: Katedry Filologii Białoruskiej i Katedry Kultury Białoruskiej od 1997 roku).

⁸ Absolwentką z dyplomem i indeksem na nr 1 studiów polonistyczno-historycznych (interdyscyplinarnych) była pani Elżbieta Sikorska-Nowak. Informację tę za wdzięczam prof. Józefowi Maroszkowi i prof. Violetcie Wejs-Milewskiej, którzy załączyli następującą notę biograficzną Absolwentki: „Elżbieta Sikorska-Nowak (1950-2005). Studentka Uniwersytetu Warszawskiego Filii w Białymstoku, z indeksem nr 1. Razem z Józefem Maroszkim (indeks nr 2) immatrykulowani 5 października 1968 roku przez rektora Uniwersytetu Warszawskiego prof. Turskiego jako reprezentanci Wydziału Humanistycznego kierunku filologia polska z historią. Inauguracja pierwszego w dziejach Uniwersytetu w Białymstoku odbyła się w Teatrze im. A. Węgierki. Rodowita białostoczanka, absolwentka III LO. Po ukończeniu II stopnia studiów w Uniwersytecie w Warszawie (1973 r.) rozpoczęła pracę w Instytucie Filologii Polskiej Filii UW w Białymstoku jako specjalistka z zakresie językoznawstwa. Od 1982 r. zamieszkała Niemczech, gdzie zmarła w Norymberdze w 2005 roku.”

1994 – powstaje Instytut Filologii Wschodniosłowiańskiej na bazie Zakładu Filologii Rosyjskiej działającego w latach 1968–1993.

1997 – utworzenie samodzielnego Uniwersytetu w Białymstoku.

1998 – w ramach Wydziału Filologicznego inauguracja działalności Zakładu Bioetyki i Antropologii Filozoficznej (od 2006 roku Katedra, od 2017 roku Zakład Hermeneutyki i Translatoryki Filozoficznej).

1998 – powstanie na bazie NKJO samodzielnej Katedry Neofilologii.

1999 – wyodrębnienie z Wydziału Humanistycznego dwóch samodzielnych jednostek: Wydziału Filologicznego i Wydziału Historyczno-Socjologicznego.

2000 – przeniesienie na Wydział Filologiczny kierunku informacja naukowa i bibliotekoznawstwo (działał do 2016 roku).

2001 – otrzymanie uprawnień do doktoryzowania przez Wydział Filologiczny.

2015 – powołanie Instytutu Neofilologii.

2017 – Wydział Filologiczny w ocenie parametrycznej otrzymuje kategorię A.

2017 – powołanie decyzją Senatu UwB Międzywydziałowego Instytutu Kulturoznawstwa i Sztuki.

Podporządkowana datom i przemianom struktur organizacyjnych, historia białostockiego środowiska filologicznego nie jest więc z pozoru procesem wyjątkowym – może prócz tego, że powstawało ono „od zera”. Jej etapy znaczą kolejno: zależność instytucjonalna i kadrowa Filii od UW (do 1996) i niezależność samodzielnego ośrodka uniwersyteckiego (od 1997 UwB); dalej powstawanie kolejnych katedr, zakładów, wreszcie instytutów. Widać, jak początkowo dość szczupłe kadry⁹ polonistyczne i rusycystyczne wzbogacają się o neofilologów różnych specjalności, filozofów, bibliotekoznawców, a w końcu kulturoznawców. Idzie za tym wzrost znaczenia środowiska w kraju i za granicą, pokwitowany wysoką oceną w tzw. parametryzacji.

Rozmaicie można te pół wieku układać, periodyzować. Na przykład tak: 1968–1980 – pionierskie lata zawiązywania się środowiska, entuzjazmu edukacyjnego, zwieńczonego epoką „Solidarności”; 1981–1989 – epoka represji po stanie wojennym i stagnacji, czas podziałów w środowisku; 1990–2007 – czas przemian ustrojowych, edukacyjnych, naukowego wzmocnienia się środowiska, uniezależniania; 2007 – 2015 – epoka kry-

⁹ Dobre wyobrażenie o stanie kadr i ich rozwoju dają kolejne informatory uniwersyteckie, na przykład: *Skład osobowy Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku w roku akademickim 1993–1994*, opr. B. Mancewicz, H. Brzezińska-Stec, Białystok 1994; *Informator polonistyczny na rok 1993*, red. J. Sztachelska, U. Andrejewicz, B. Nowowiejski, wstęp H. Karwacka, Białystok 1993.

zysu edukacji uniwersyteckiej (masowość studiów, obniżenie poziomu nauczania) przy równoczesnym kadrowym wzmocnieniu i awansie naukowym środowiska białostockiego; po 2015 – czas kolejnych „reform”...

Ujęta w ten sposób historia białostockich filologów ma swoje osobliwości i rysy wspólne z dziejami innych ośrodków humanistycznych. Jak w całej Polsce, na środowisko to wstrząsowo oddziałują historia: Marzec '68, stan wojenny (represje, podziały polityczne, czasem też o podłożu narodowościowym), Czerwiec '89, wejście do Unii Europejskiej (2004). Na kształcenie studentów mają tu wpływ też same procesy, co w całym kraju: nauka i szkolnictwo wyższe nieprzerwanie poddawane są coraz śmielszym „reformom”. Uniwersytety stają się nagle „przechowalniami” bezrobotnych. Mają też „konkurować” z setkami nastawionych na szybki zysk pseudo-szkół wyższych, na których w latach 2000–2015 pracuje przecież ta sama kadra naukowa (często na kilku etatach). Spada dramatycznie poziom edukacji, którą rozkłada „system boloński”¹⁰. Właściwie zamierają niektóre niszowe kierunki (białorutenistyka, bibliotekoznawstwo) i specjalności (jak nauczycielska na polonistyce). Przy dramatycznie najpierw zwiększającej się, a potem nagle zmniejszającej się ilości studentów (jak dzieje się w całym kraju), stale jednak rozwija się kadra Wydziału Filologicznego, powstają nowe katedry, zakłady, zespoły badawcze¹¹. Już w XXI wieku usamodzielniają się dwa Instytuty: Neofilologii oraz Kulturoznawstwa i Sztuki (działający także na Wydziale Pedagogiki i Psychologii). W sumie: jest to historia dość optymistyczna i przy tym w jakimś stopniu uniwersalna.

Ale środowisko białostockie ma własne, małe i duże, dramaty, problemy: pierwsze pokolenie białostockich filologów często odchodzi z pracy bez doktoratów i awansów, a doktorzy dojeżdżający z Warszawy zaraz po zrobieniu habilitacji, co naturalne, zostają w stolicy. Po roku 2000 prowadzi to ostatecznie do kryzysu kadrowego i przesilenia. Od tej pory dość szybko (najszybciej w latach 2016–2019) rozwijają się białostockie kadry, mnożą się doktoraty, habilitacje, w końcu profesury. Lata 2000–2016 przynoszą, niestety, silne starzenie się środowiska; trwa blokada etatów dla młodych badaczy. Powszechne jest też w owym czasie zdegustowanie społeczeń-

¹⁰ System studiów 3-stopniowych: 3-letnich licencjackich, 2-letnich magisterskich i otwartych dla wszystkich 4-letnich doktorskich. Szczególnie w edukacji nauczycieli przyniósł on prawdziwą klęskę.

¹¹ W czasie na przykład zmian struktury Wydziału Filologicznego w 2017 roku powołano Katedrę Historii Języka Polskiego, Zakład Filologicznych Badań Interdyscyplinarnych, Pracownię Języka Hiszpańskiego oraz 12 zespołów badawczych. W 2012 roku utworzono Katedrę Badań Filologicznych „Wschód – Zachód” (z Zakładu Badań Interdyscyplinarnych i Porównawczych „Wschód – Zachód”).

stwa poziomem edukacji i szkolnej, i uniwersyteckiej, prowadzonej według zasady: państwowe „pieniądze idą za człowiekiem” (uczniem, studentem) – kto nie zdobędzie studentów, nie dostanie dotacji. Właściwie dogorywają po 2000 roku studia zaoczne – najwięcej chętnych do studiowania jest na nich jeszcze tam, gdzie kadra jest najsłabsza; w końcu stają się one nieopłacalne. Zmieniają się, ograniczając swój zakres, studia podyplomowe¹². Uniwersytet, jak wszędzie, staje się coraz bardziej korporacją – z jej wymaganiami, fetyszem zdobywania „punktów” do „parametryzacji”, z ewaluacją, akredytacją etc. W 2014 roku kryzys finansowy „zmusza” uczelnię do sprzedaży nowego, reprezentacyjnego budynku Biblioteki Uniwersyteckiej im. Jerzego Giedroycia. I w tych wszystkich sferach specyfika białostocka łączy się nierozzerwalnie z procesami ogólnopolskimi i ogólnokulturowymi. U progu 2019 roku białostockie środowisko filologiczne staje się silne kadrowo jak nigdy, ale też jak nigdy niepewne tego, co przyniesie kolejna „reformacja nauki” (2018–2019).

Lektura znakomitej książki Joanny E. Dąbrowskiej *Uniwersytet w Białymstoku in statu nascendi (1968–1997)*, będącej przeglądem „źródeł”, pokazuje jednak, iż zmiana od początku wpisana jest w istnienie całego białostockiego środowiska uniwersyteckiego: często podzielonego, rozdrobnionego, kierującego się partykularyzmami grup interesu. W 1992 roku ówczesny Minister Edukacji Narodowej, prof. Andrzej Stelmachowski, odpowiadając na pismo prof. Jana Gajewskiego, Przewodniczącego Rady Integracyjnej d/s Utworzenia Uniwersytetu w Białymstoku, pisał tak:

Szanowny Panie Rektorze,

W odpowiedzi na wystąpienie w sprawie inicjatywy utworzenia Uniwersytetu w Białymstoku, który miałby objąć: Akademię Medyczną w Białymstoku, Filię Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku, Wyższe Seminarium Duchowne w Białymstoku, ewentualnie także Filię Wyższej Szkoły Teatralnej (Warszawskiej) w Białymstoku i Filię Wyższej Szkoły Muzycznej (Warszawskiej) w Białymstoku, uprzejmie komunikuję, co następuje:

Inicjatywę witam z satysfakcją i ze swej strony deklaruję pełne poparcie. Region Północno-Wschodni jest jedynym, który nie posiada dotychczas samodzielnej Uczelni Uniwersyteckiej. Potrzeba jej utworzenia jest tym większa, że musimy się liczyć z koniecznością

¹² W 2018 roku działają na Wydziale Filologicznym posiadające bardzo długą tradycję Studia Podyplomowe Logopedyczne, a także nowsze Studia Podyplomowe Animacji Czytelnictwa, Informacji Naukowej i Bibliotekoznawstwa oraz Studia Podyplomowe „Dwujęzyczna obsługa firmy na potrzeby rynku międzynarodowego”.

wspierania projektowanej Wyższej Uczelni polskojęzycznej w Wilnie, a w przyszłości zapewne podobnej Uczelni na Białorusi.

Zakładam wszakże, że utworzenie Uczelni w Białymstoku nastąpi na zasadzie pełnej dobrowolności łączących się Uczelni, za zgodą właściwych Senatów, Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego (także Rady Wyższego Szkolnictwa Artystycznego), właściwych Ministrów – przy poparciu władz lokalnych.

Jeżeli warunki te będą spełnione, będę oczekiwał złożenia formalnego wniosku (wraz z projektem Statutu), co pozwoli mi na podjęcie odpowiednich kroków legislacyjnych.

Łączę wyrazy szacunku.

Prof. dr hab. Andrzej Stelmachowski¹³

Minęło jeszcze pięć kolejnych lat, nim Uniwersytet – bez medycyny, teologii, nauk politechnicznych, teatru i muzyki – powstał. Jaki będzie w przyszłości, tego zapewne prędko się nie dowiemy... Trudno sobie wyobrazić, by był to uniwersytet tylko prawników czy ekonomistów. Więcej: można powiedzieć, że to w ogóle nie byłby uniwersytet, byłaby to uczelnia branżowa, a przecież zupełnie nie ku takiej wizji zmierzały pięćdziesięcioletnie dzieje białostockich filologów, pedagogów, historyków, filozofów czy socjologów.

3.

Historia środowiska filologicznego Białegostoku – opowiadana jako dzieje procesów i przemian instytucjonalnych – jest jednak czymś zupełnie innym niż historia ludzi. Przeglądając rozmaite tomy uczelniane, często szacowne i świetnie zredagowane¹⁴, zauważyłem, iż nawet mikrohistorie ludzkie podporządkowują one historii wyników badań albo przemianom form trwania instytucji: wydziałów, katedr itp. Stąd wziął się mój pomysł, by porozmawiać przede wszystkim z ludźmi.

Oczywiście, ich – pracowników Uniwersytetu – opowieść jest w wielu wątkach zbieżna, a nawet tożsama z zapisem przemian instytucjonalnych i trendami ogólnopolskimi: tak samo wspominając z nostalgią pionierskie czasy Filii UW, zauważają oni najpierw powolne, a potem gwałtowne obniżenie się

¹³ *Uniwersytet w Białymstoku in statu nascendi...*, dz. cyt., s. 232.

¹⁴ Por. *Droga do Akademii: WSN, WSP, AJD: 1971–1974–2004*, opr. Z. Grządzielski, R. Szwed, B. Urbanowicz, współpraca E. Bugiel, E. Brzęczek-Izydorczyk, A. Czajkowska, red. R. Szwed, Częstochowa 2006; *IBL w PRL*, t. 1, *Studia i wspomnienia*, red. E. Kiślak, Warszawa 2016; *IBL w PRL*, t. 2, *Sylwetki: wspomnienia*, red. J. W., Warszawa 2016.

poziomu edukacji. Sarkają na manię „wymierności”, mierzenie wszystkiego, co się da, w nauce punktami (tzw. ironicznie: punktoza). Oburza ich bezduszność kolejnych reformatorów, ministrów, rektorów, wprowadzających swe pomysły „dla dobra” instytucji z poczuciem, że kompletnie nie muszą liczyć się z ludźmi. Uczonymi przecież! Nie rozumieją, dlaczego nagle i tak mocno – również na świecie – obniżyła się ranga edukacji humanistycznej. Wszystkie owe wątki powracają w 45 wywiadach z ludźmi współtworzącymi filologię białostocką lub opowiadającymi o tych Osobowościach, których już z nami nie ma. Jednakże w czasie, gdy oni, „ojcowie założyciele”, budowali środowisko, rosło tymczasem nowe pokolenie, które właściwie jest już gotowe, by tę samą historię opowiedzieć po swojemu. To wszyscy ci, który po '89 roku doktoryzowali się, habilitowali, pracując na Filii UW i UwB; ci urodzeni między rokiem 1960 a 1980.

Wszakże jest coś, co te rozmowy, tak przecież różne, spaja. Kilka wątków, które pojawiają się właściwie w większości wywiadów. Jakich?

Najpierw świadomość tego, że wszyscy zaczynaliśmy w '68 roku właściwie od zera. Od mającego już pewną tradycję kształcenia podlaskich nauczycieli¹⁵, którego nie da się jednakowoż pomylić bodaj z pierwocinami edukacji uniwersyteckiej. Tu miała być w owym czasie, jak śmiało mówią niektórzy, „pustynia naukowa”. Warszawiacy zapamiętali obraz miasta przeoranego przez wojnę, z furmankami na ulicach, miasta jednak wspaniale życzliwych ludzi, w którym studenci, choć brakowało literatury naukowej (dowożonej z Warszawy), chcieli naprawdę studiować, byli chłonni, ponadprzeciętnie otwarci.

¹⁵ „Filia Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku zaczęła działalność w 1968 roku jako Wyższa Szkoła Nauczycielska. Wypełniła ona lukę uniwersytecką istniejącą w makroregionie północno-wschodnim oraz dopełniła strukturę białostockiego ośrodka akademickiego (od 1949 roku funkcjonowała w Białymstoku Wieczorna Szkoła Inżynierska, a od 1950 – Akademia Medyczna” – pisze J. E. Dąbrowska (dz. cyt., s. 17), dodając w przypisie: „Wieczorowa Szkoła Inżynierska w 1964 roku została przemianowana na Wyższą Szkołę Inżynierską ze studiami dziennymi, a 1 października 1974 roku Prezydium Rządu na jej miejsce powołało Politechnikę Białostocką – zob. K. Pieńkowski, *Szkolnictwo wyższe w Białymstoku*, >Białostoczczyzna< 1999, nr 1 (53), s. 52. >Filia UW powstała w Białymstoku w 1968 r. jako trzecia wyższa uczelnia< – *Szlakiem osiągnięć Polski Ludowej po Białymstoku*, oprac. W. Monkiewicz, E. Duc, Białystok 1975, s. 20. Jednakże należy nadmienić, iż od 1945 roku działało również w mieście Archidiecezjalne Wyższe Seminarium Duchowne, będące spadkobiercą i kontynuatorem tradycji Diecezjalnego Seminarium Duchownego w Wilnie. Szerzej na temat dziejów szkół wyższych: *Archidiecezjalne Wyższe Seminarium Duchowne w Białymstoku 1945–1995. Księga jubileuszowa*, red. Ks. S. Hołodok, Białystok 1995; *XX lat Akademii Medycznej im. J. Marchlewskiego w Białymstoku*, Białystok 1970; *Politechnika Białostocka. 35 lat*, red. K. Pieńkowski, Białystok 1984” (tamże, p. 4).

Leitmotiwem wielu rozmów jest „instytucja” pracowników dojeżdżających z Warszawy do Białegostoku – uczonych historyków i filologów (czasem żłośliwie nieco zwanych kiedyś „kolejarzami”). W latach 70. i 80. byli oni często represjonowanymi w stolicy doktorami, lecz do Białegostoku przywozili entuzjazm, niezależność myśli, stołeczny polor. Zostaną potem ministrami, sławami nauki. Szlify zdobywają na Podlasiu. Pociąg turlający się godzinami z Warszawy do Białegostoku – często spóźniony – staje się instytucją życia towarzyskiego i miejscem naukowej wymiany myśli. Zamyka cały ów wątek często powtarzane zdanie, że przecież: „nie można było tak jeździć bez końca”. Białomustokowi badacze warszawscy dali jednak wspinałą szansę rozwoju: z której on skorzystał. Myślę w pierwszej kolejności o filologach i historykach.

Właśnie tu uruchamia się kolejny motyw: że przecież przez trzy dziesiątki lat działa, tętni życiem wspólne środowisko humanistyczne, którego częścią są historycy, ale i filolodzy, socjolodzy i filozofowie. Nieprzypadkowo więc książka przynosi sześć rozmów z tymi historykami (choć, jasne, że nie wszystkimi!), którzy najwięcej mieli twórczych kontaktów z polonistami (i nie tylko). Tę jedność różnych podśrodków widać najbardziej w okresie stanu wojennego – wspólne jest wtedy życie podziemne, wspólne reagowanie na nielojalność i podłości. Symbioza umysłu historiografa i umysłu filologicznego, jak wynika z tych opowieści, niosła więcej, znacznie więcej korzyści niżli minusów.

Wartością wspomnień jest coś, co nazwałbym realizmem dystansu. Białostoczanie doceniają fundamentalną rolę dojeżdżających z Warszawy kolegów z UW czy IBL-u. To ich mistrzowie. Uczą się od nich, podziwiają ich. Choć w opowieściach warszawskich trafiają się refleksy paternalizmu, to szybko miarkowane przez świadomość, iż praca w Białymstoku to „kawał życia” każdego z rozmówców, to ich niepowtarzalne doświadczenie egzystencjalne i kulturowe, bo wielu badaczy po prostu nie znało wcześniej wschodniej Polski, jej etniczno-religijnej mozaiki, której nawet PRL nie przesłaniał. Wreszcie widać też z tych wspomnień, że impulsy rozwoju środowiska filologicznego wiążą się z polonistyką i w nieco mniejszym stopniu rusycystyką. To poloniści stanowią dziś najsilniejszą część zespołu wraz z kolegami z Instytutu Filologii Wschodniosłowiańskiej. Z kolei proces dojrzewania całego środowiska łączyć można i należy z wzmacnianiem się i emancypacją takich zespołów, jak angielski, romański, kulturoznawcy. I to także w naszych wywiadach przebiega.

Oprócz tego, o czym się mówi, ważne jest to, o czym się nie mówi. A o czym? Z nielicznymi wyjątkami nie wraca się do podziałów politycznych z czasów „Solidarności”, do represji stanu wojennego, w których

niektórzy gorliwi zwolennicy „stabilizacji” peerelowskiej maczali palce. W ogóle milczy się o podskórnych, głęboko skrytych podziałach etniczno-religijnych; jeśli nawet czasem ujawniają się one w codzienności, to nikt na szczęście nie chce ich tu eksponować. Zeufemizowany został w wywiadach kryzys personalny, jaki szczególnie polonistka przeżyła po odejściu kolejnych doktorów habilitowanych pochodzących z Warszawy na uczelnie stołeczne (był to większy wstrząs, niż to się wspomina), co przyniosło też potem jednak dość widoczny okres ochłodzenia relacji między warszawskim i białostockim środowiskiem filologicznym (nasiliło się to zjawisko po usamodzielnieniu się Filii UW; chłód był obustronny, przeminął chyba w drugim dziesiątku lat XXI wieku). Od czasu do czasu – ale rozpozna to tylko oko wytrawne i znające tajemne dzieje Wydziału – natrafiamy tu na ślady osobistych animozji między profesorami. Cóż, nie są one zjawiskiem li tylko białostockim ani nazbyt oryginalnym.

Być może kształt Białegostoku, a z nim i środowiska humanistycznego, jest konsekwencją wielkich rozstrzygnięć geopolitycznych po II wojnie światowej, przemieszczeń ludności, wytyczania kuriozalnych granic, ale z punktu widzenia naszych rozmówców istnieje coś ważniejszego od polityki. (Oczywiście, każdy tu pamięta, kto należał, a kto nie należał do PZPR i jakie było w różnych jednostkach „upartyjnienie”...) Co to takiego? *Genius loci*. Jakby zmówiwszy się w jednej chwili, wszyscy rozmówcy Dominika Sołowieja powracają do niepowtarzalnej atmosfery uczelni, jej siedziby przy ulicy Świerkowej, akademików, słowem: do m i e j s c .

Jeśli były takie miejsca, to znaczy, że było też zadomowienie. A właśnie progi Domu wyszlifowane przez przechodzących we wszystkie strony uznałbym za ślad prawdziwej Tradycji. Takiej, jak sądzę, białostockie środowisko filologiczne w latach 1968–2018 się dorobiło.

W grudniu 2017 roku przyznano, a 11 kwietnia 2018 roku wręczono dwa pierwsze filologiczne doktoraty honoris causa Uniwersytetu w Białymstoku – prof. senior Halinie Krukowskiej, współtwórczyni białostockiej polonistyki, która jako pierwsza z podlaskiego środowiska zrobiła w 1984 roku habilitację; pierwsza stąd, z Białegostoku i Wasilkowa. Drugi doktorat honorowy otrzymała prof. Alina Kowalczykowa, znamienita badaczka XIX wieku i twórczyni ogólnopolskiego ruchu polonistów, który budowali liderzy ze społeczności nauczycielskiej skupieni w Stowarzyszeniu Nauczycieli „Prowincja”¹⁶. Uroczystość, bardzo podniosła, wręczenia

¹⁶ Por. *Profesor Halina Krukowska. Doktor honoris causa Uniwersytetu w Białymstoku*, red. J. Godlewska, A. Janicka, J. Ławski, Białystok 2018; *Profesor Alina Kowalczykowa. Doktor honoris causa Uniwersytetu w Białymstoku*, red. j. w., Białystok 2018.

doktoratów zamknęła pewien etap życia Wydziału Filologicznego. Etap dojrzewania.

Ku czemu ów dojrzały podmiot filologicznej myśli będzie kroczył, to zależy już nie tylko od niego – ale od Niego też.

4.

Środowisko tworzą ludzie – ich praca, współpraca, w nauce także spory, czasem niestety i animozje. Patrząc z dystansu, widać przecież, że to wszystko składa się na proces – w tym przypadku imponujący, choć nie krótki, proces formowania się badawczego ośrodka literaturo- i językoznawczego.

Również raz jeszcze ten dystans czasowy ogarniając, trzeba wyraźnie i z wdzięcznością powiedzieć, że Białostockie Środowisko Filologiczne formowali wszyscy ci, których drogi przecięły się na wspólnej przestrzeni przy ulicach Świerkowej, Mickiewicza, Zwierzynieckiej, Suraskiej, na Placu Uniwersyteckim (wcześniej Liniarskiego, dziś NZS-u) i na ulicach, gdzie były i są biblioteki: Skłodowskiej-Curie, Ciołkowskiego, Akademickiej. Tworzyli je uczeni przybyli z Warszawy i pochodzący z Białegostoku, ale także ci, co przyjechali tu z różnych regionów powojennej Polski. Tworzyli je wspólnie językoznawcy i literaturoznawcy, poloniści, rusycyści, angiści, białoruteniści, romaniści, kulturo- i bibliotekoznawcy, nie bez znakomitego udziału kolegów historyków, filozofów, socjologów. Bez wątplenia świetne karty zapisali tu przybysze nade wszystko z Uniwersytetu Warszawskiego, lecz również Wrocławia, IBL PAN w Warszawie czy Gdańska i Łodzi. Wielkie zasługi położyli w tym dziele twórcy białostockiej szkoły historycyzmu w badaniach historycznoliterackich, lecz również językoznawcy z białostockiej szkoły onomastyki, ponadto rusycyści i białoruteniści wciąż szukający swych dróg i tematów. Trudno nie wspomnieć wybitnych osobowości anglistyki i romanistyki, ale też zatrudnionych z nami, filologami, historyków, filozofów i translatorsów.

W tej atmosferze mogły się tu rozwinąć białostockie badania nad stuleciem XIX (nade wszystko romantyzm i pozytywizm) i wiekiem XX (analizy dwudziestolecia, przełomu XX i XXI wieku) czy powstać oryginalne centra badań filologicznych nad cenzurą, nad emigracją niepodległościową, wątkami emancypacyjnymi. Splot okoliczności i starań (granty) sprawił, iż środowisko zaistniało wkrótce jako ośrodek edytorski o krajowym znaczeniu. Wszystko to otworzyło białostockie środowisko filologiczne na „sąsiednie” środowiska filologiczne: litewskie, białoruskie, ukraińskie, niemieckie, rosyjskie, z którymi prowadzi dziś rozległe, długofalowe badania.

Jeszcze jedna myśl przebija z naszych rozmów. Myśl, że to wszystko – a więc te pięćdziesiąt lat! – tak szybko minęło, zbiegło. Minęło, lecz nie przeminęło; i to zdaje się dla wszystkich rozmówców najważniejsze: coś po nas zostanie...

W 45 rozmowach nie da się opowiedzieć systematycznie wszystkiego. Można uchwycić ducha, istotę sytuacji, procesu. I to właśnie jest wartość książki o białostockim środowisku filologicznym w latach 1968–2018, którą oddajemy do rąk Państwa.

Dziękując łaskawym Rozmówcom, wyrażam nadzieję, że już niedługo kolejne pokolenia – bo tak, pokoleniami, buduje się tradycję – opowiedzą swą własną historię... Mam nadzieję, że otrzymają taką szansę.

Bibliografia

10 lat Filii UW w Białymstoku. Miejsce uczelni uniwersyteckiej w makroregionie północno-wschodnim, red. J. Ledziński, Białystok 1979.

Biblioteka Uniwersytecka im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku. Informator systemu biblioteczno-informacyjnego, oprac. H. Brzezińska-Stec, M. Roszczyk, Białystok 2006.

Informator 2004. Uniwersytet w Białymstoku, Białystok 2004.

Jubileusz XXX-lecia Chóru Uniwersytetu w Białymstoku, Białystok 2006.

Koncepcja programowo-organizacyjna Uniwersytetu w Białymstoku, Białystok 1984.

Sytuacja aktualna i perspektywy rozwoju Filii w Białymstoku, Białystok 1988.

Uniwersytet Warszawski. Filia w Białymstoku 1968–1978, oprac. B. Noworolska, Białystok 1978.

[Donata Żmiejk] *Jak powstawał Uniwersytet?*, „Gazeta Współczesna” 2006, nr 43 (15965).

Bieliński B., *Jak studenci „biały dom” zdobyli*, [w:] *Studia historyczne w Białymstoku wspomnieniami opisane (1968–2008)*, przygot. M. Ocytko, Białystok 2008.

Dąbrowski A., *Sen o mieście uniwersyteckim*, „Kurier Poranny” 2000, nr 191.

Dwadzieścia pięć lat na drodze do samodzielności białostockiej uczelni uniwersyteckiej (1968–1993), red. M. Gnatowski, Białystok 1993.

Hirsz Z. J., *Dziesięć lat białostockiej uczelni uniwersyteckiej*, Białystok 1978.

Jamróż A., *Jeszcze o potrzebie strategii edukacyjnej...*, „Nauka i Przyszłość” 1999, nr 10 (107).

Jastrzębska L., *Wymarzony, wytęskniony*, „Perspektywy” 2000, nr 1 (21).

Kryńska E. J., *Uniwersytet w Białymstoku*, [w:] *Encyklopedia Pedagogiczna XXI wieku*, red. T. Pilch, t. 6, Warszawa 2007.

Kuklo C., *Historycy świętowali swoje 30-lecie*, „Nasz Uniwersytet” 1999, nr 6. *Literatura, pamięć, kultura. Prace ofiarowane Profesor Elżbiecie Feliksiak*, red. E. Sidoruk, M. M. Leś, Białystok 2010.

Miasto Białystok w XXX-leciu PRL. Rozwój społeczno-gospodarczy, Białystok 1974.

Milewski J. J., *Województwo białostockie. Zarys dziejów (1919–1975)*, Białystok 2011.

Pieńkowski K., *Szkolnictwo wyższe w Białymstoku*, „Białostoczczyzna” 1999, nr 1.

Pracownicy Uniwersytetu poparli protest polonistów ze szkół średnich, „Gazeta Wyborcza w Białymstoku” 13 stycznia 2005.

Siedlecki M., *Jan Leończuk: portret wielostronny*, [w:] *Bibliotheca mundi. Studia bibliologiczne ofiarowane Janowi Leończukowi*, red. J. Ławski, Ł. Zabielski, Białystok 2016.

Studia historyczne w Białymstoku wspomnieniami opisane (1968–2008), przygot. M. Ocytko, Białystok 2008.

Światło w dolinie. Prace ofiarowane Profesor Halinie Krukowskiej, red. K. Korotkich, J. Ławski, D. Zawadzka, Białystok 2007.

Urwanowicz J., *Warszawa z Białymstokiem: rola Instytutu Historycznego UW w tworzeniu białostockiego środowiska naukowego*, [w:] *Tradycje i współczesność: księga pamiątkowa Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego 1930–2005*, red. J. Łukasiewicz i in., Warszawa 2005.

Utrwalić chwilę... XXX-lecie Wydziału Pedagogiki i Psychologii Uniwersytetu w Białymstoku (1997–2007), red. E. J. Kryńska, Białystok 2007.

Więcko K., *Awans dla Wschodniej Polski*, „Nauka i Przyszłość” 1999, nr 10. *X lat Uniwersytetu w Białymstoku (1997–2007)*, red. J. Nikitorowicz i in., Białystok 2008.

XX lat Akademii Medycznej im. J. Marchlewskiego w Białymstoku, Białystok 1970.

Godlewska-Żyłkiewicz B., Awramiuk E., *Humanistyka na Uniwersytecie w Białymstoku: tendencje i prognozy*, w: *Rozmyślania nad humanistyką: materiały z seminarium Nauki Humanistyczne i Społeczne w Polsce 2014 : analiza, diagnoza, prognoza*, Warszawa, 14 kwietnia 2014 r., red. J. Witkoś, Poznań 2015.

WYWIADY

ROZMAWIAŁ

Dominik Sołowiej

Zofia ABRAMOWICZ

– prof. zw. dr hab., pracownik Instytutu Filologii Wschodniosłowiańskiej Uniwersytetu w Białymstoku. Zainteresowania badawcze: językoznawstwo wschodniosłowiańskie, onomastyka, zwłaszcza antroponimia i toponimia pogranicza polsko-wschodniosłowiańskiego. Książki: *Imiona chrzestne białostoczan w aspekcie socjolingwistycznym (lata 1885–1985)*, 1993; *Słownik etymologiczny nazwisk Żydów białostockich*, 2003; *Antroponimia Żydów białostockich*, 2010. Wydała około 150 publikacji, w tym: *Nazewnictwo na pograniczach etniczno-językowych*; *Nazwy własne na pograniczach kulturowych*; *Wielojęzyczność i wielokulturowość na pograniczu polsko-wschodniosłowiańskim*; *Wielojęzyczność i wielokulturowość pogranicza w kontekście nauczania języków obcych*; *Chrześcijańskie dziedzictwo duchowe narodów słowiańskich*; *Język i kultura mniejszości narodowych w dobie globalizacji*; *Onimizacja i apelatywizacja*. Pełnione funkcje: dyrektor Instytutu Filologii Wschodniosłowiańskiej, kierownik Katedry Językoznawstwa Historycznego. Odznaczona Srebrnym i Złotym Krzyżem Zasługi.

ZOFIA ABRAMOWICZ

ONOMASTYKA, ANTROPONIMIA, EDUKACJA

Pani Profesor, swoją przygodę z białostocką filologią rozpoczęła Pani w 1972 roku. Od tego czasu minęło 45 lat. To mnóstwo czasu, a więc i mnóstwo wspomnień...

Prof. Zofia Abramowicz:

Studiowałam na Uniwersytecie Wrocławskim w czasie, kiedy tu tworzył się Zakład Filologii Rosyjskiej. W 1971 roku kończyłam studia. Dostałam dyplom z wyróżnieniem. Zaczęłam szukać pracy w Białymstoku, ponieważ narzeczony otrzymał etat w tutejszej geodezji. Dowiedziałam się u dziekana, wtedy był nim prof. Andrzej Wyrobisz, że najpierw muszę odbyć



staż. W Białymstoku funkcjonowała Filia Uniwersytetu Warszawskiego, dlatego musiałam ubiegać się o staż na Uniwersytecie Warszawskim. Zaczęłam załatwiać tę sprawę we Wrocławiu. Od promotora otrzymałam bardzo dobrą opinię, ale poszłam jeszcze do dyrektora Instytutu Filologii Słowiańskiej, bo tak się nazywał ten instytut we Wrocławiu, do prof. Mariana Jakubca. Stwierdził, że jeśli robić staż, to tylko na macierzystej uczelni i „wyiksował” Warszawski, a wpisał: Wrocławski. Stażystką na Uniwersytecie Wrocławskim byłam krótko. Po pierwszym semestrze bardzo dużo osób wyjechało na różne kursy dokształcające, zwłaszcza lektorzy. I dykcja zdecydowała, że skoro mają stażystów, to niech oni pracują. W letnim semestrze rozpoczęłam pracę jako lektor. W międzyczasie minęła moja rocznica ślubu. W kwietniu zaczęłam się ubiegać o przeniesienie do Białegostoku. Z sukcesem.

Tutaj zostałam zatrudniona od lipca 1972 roku. Nietypowo, bo w lipcu. Wtedy kierownikiem katedry była pani docent H. Milejkowska, dziekanem prof. Wyrobisz. Pani doc. Milejkowska powiedziała, że lektorów ona nie potrzebuje, ale może zatrudnić na etacie asystenta. To wymagało oczywiście podjęcia pracy naukowej.

Pracę doktorską pod kierunkiem doc. Milejkowskiej obroniłam na Uniwersytecie Warszawskim. Potem nastąpiła zmiana kierownika naszego zakładu, został nim prof. T. Kołakowski. Nie pracował długo na tym stanowisku. Kolejnym kierownikiem naszego zakładu był prof. Jurij Lukszyn, który mobilizował nas do pracy, postawił na rozwój naukowy. Wtedy ruszyła praca zespołowa i działania naukowe. Wydaliśmy słownik *Rosyjski wyraz*, który otrzymał nagrodę ministra oraz zabraliśmy się za stopnie naukowe. Pierwszym doktorem habilitowanym został Janusz Nosowicz. Gdy już przenieśliśmy się tutaj, do tego budynku przy ówczesnej ulicy Liniarskiego, powstał Instytut Filologii Rosyjskiej. Pierwszym miejscowym już dyrektorem został mój kolega, obecnie profesor, Janusz Nosowicz. Następne habilitacje – to była moja, później koleżanki Leonardy Dacewicz. I tak już zaczęliśmy się rozwijać.

Pracę habilitacyjną podjęłam z dziedziny onomastyki. Zaczęłam opracowywać imiona mieszkańców Białegostoku z przełomu XIX i XX wieku. Objęłam okresem badawczym całe sto lat, więc od roku 1885 do 1985. W związku z tym, że imiennictwo obejmowało trzy okresy historyczne i polityczne, praca bardzo mnie wciągnęła. Pod uwagę wzięłam cztery grupy narodowo-wyznaniowe: katolików, prawosławnych, a więc miejscową ludność, która od wieków te tereny zamieszkiwała. Włączyłam do badań również żydowskie imiona oraz niemieckie, ponieważ w owym czasie byli już na tych terenach Żydzi, bardzo liczni zresztą, oraz Niem-

cy. U schyłku XIX wieku Białystok był w zasadzie żydowskim miastem. Początki mojej samodzielnej pracy naukowej były bardzo trudne. Jeżeli chodzi o literaturę przedmiotu związaną z wyznaniem chrześcijańskimi – było jej sporo i nie sprawiało mi większych problemów dotarcie do potrzebnych materiałów naukowych. Natomiast o nazewnictwie żydowskim nie było w zasadzie niczego. Materiałów nie znalazłam ani w Polsce, ani za granicą. Pierwszy słownik, jaki udało mi się zdobyć, pojawił się już po ukazaniu się mojej habilitacji. Dlatego trzeba było dużej wysiłku, żeby napisać coś sensownego. Ale nazewnictwo żydowskie i poznawanie nowej kultury bardzo mnie wciągnęło i w związku z tym postanowiłam badać to dalej. Kolejny etap: nazwisko żydowskie. Badaniem objęte zostały nazwiska wyekscerpowane z ksiąg metrykalnych gminy białostockiej.

Dzięki temu powstał słownik i później jeszcze monografia jako uzupełnienie. To w zasadzie do dnia dzisiejszego jest moim podstawowym tematem badawczym. Inne problemy onomastyczne też, ale przede wszystkim w centrum moich zainteresowań pozostaje antroponomia żydowska.

Jaka panowała atmosfera na uczelni? Czy relacje między pracownikami sprzyjały pracy naukowej?

Bardzo przyjemnie się pracowało. Zwłaszcza na początku, jeszcze przy Świerkowej, kiedy był jeden pokój, do którego przychodzili wszyscy pracownicy. Wszyscy żeśmy się tam spotykali i naprawdę zespół zawiązał się bardzo sympatyczny, żyty, taki, do którego się chętnie przychodziło porozmawiać, wypić kawę, trochę poplotkować. Nie było animozji, zgrzytów, układów. Nie było zawiści. Studenci też byli sympatyczni. Jeżeli porównywać pierwszych studentów i obecnych, to jest między nimi kolosalna różnica. Tamci byli bardziej zdyscyplinowani, spokojniejsi. Wtedy był przede wszystkim większy szacunek ze strony studentów do nauczycieli.

Nie jestem człowiekiem konfliktowym, więc konfliktów wokół siebie nie widziałam i nigdy nie uczestniczyłam w czymś takim. Dlatego całe lata spędzone w pracy wspominam bardzo dobrze. Wtedy studentów było dużo, nas zdecydowanie mniej, ale jest to charakterystyczne dla tamtych czasów. Komputerów nie było. W dziekanacie pracowały w zasadzie dwie czy trzy panie i one wszystko ogarniały. Natomiast teraz studentów jest zdecydowanie mniej, nas więcej, a pracy papierkowej nie ubywa, lecz przybywa. Mamy komputery, więc ciągle przychodzą jakieś formularze do wypełniania, instrukcje. Kiedyś też nas rozliczano z pracy naukowej, jednak nie było takiej biurokracji, więcej czasu zostawało na pracę naukową.

Mam wrażenie, że kiedyś było większe zaufanie człowieka do człowieka. Nie mówimy tylko o środowisku akademickim, ale o różnych aspektach współczesnego życia. Pani Profesor, a filologia rosyjska? Chcę zapytać o zainteresowanie studentów, o Pani wykłady i zajęcia?

Jeżeli chodzi o zajęcia, to prowadziłam różne, w zależności od potrzeb. Jeśli trzeba było uczyć języka, to uczyło się praktycznej nauki, taką specjalizację każdy musiał podjąć. Zaczęłam w zasadzie od gramatyki historycznej języka rosyjskiego, przy czym była to albo gramatyka historyczna języka rosyjskiego, albo scs lub inne przedmioty historyczne, jak historia języka, dialektologia, gramatyka porównawcza języków słowiańskich; przedmioty, których akurat studenci za bardzo nie lubią, ponieważ są trudne, wymagają myślenia. Dla mnie to paradoks, gdyż zawsze uważałam językoznawstwo diachroniczne, historyczne za dużo ciekawsze niż synchroniczne, opisowe. Oczywiście, byli też tacy studenci, których historia i rozwój języka interesował, nie tylko wykazywali się dużą wiedzą na egzaminach, lecz później podejmowali badania naukowe w tej dziedzinie. Jednak największym zainteresowaniem wśród studentów wciąż cieszy onomastyka i badania regionalne. Powstawały i wciąż powstają prace magisterskie dotyczące nazewnictwa osobowego i miejscowego z regionu Podlasia.

Których wykładowców najbardziej Pani zapamiętała? Kto wtedy pracował?

Problem był tego rodzaju, że kierownicy przyjeżdżali z Warszawy. W zasadzie co dwa tygodnie, w czwartki, pamiętam, bo zbierała się wtedy rada wydziału i warszawscy pracownicy zawsze przyjeżdżali na czwartek. I wtedy, jeśli ktoś miał jakieś sprawy, to konsultowało się je z przyjezdnymi osobami. Natomiast jeżeli chodzi o samą pracę nad doktoratem, były organizowane seminaria doktoranckie, najczęściej w Warszawie, a czasami tu w Białymstoku. O moim doktoracie decydowała pani prof. Milejkowska. Doktoratów pod jej kierunkiem powstało wtedy dużo, bo obroniłam go ja, Lusja Gajewska, Luba Romaniuk, Lidia Stodółko, Janusz Nosowicz. Później już samodzielnie pracowałam nad habilitacją, a ze wskazówek korzystałam tylko wtedy, gdy rzeczywiście miałam problem ze znalezieniem informacji. Na szczęście zawsze mogłam liczyć na profesorów. Tutaj pracował profesor A. Bogusławski, profesor W. Skrunnda, wcześniej także prof. Karolak. To dla naszego środowiska było bardzo ważne: te spotkania, kontakty, dyskusje.

Proszę pochwalić się swoimi wybitnymi studentami...

Moja pierwsza grupa magisterska była dosyć liczna. Było w niej bardzo wielu zdolnych studentów, w tym Krzysztof Rutkowski i Ania Rygorowicz.

Udało mi się ich zatrudnić. Było jeszcze wielu zdolnych studentów, których niestety nie udało się zatrzymać na uczelni, bo nie było etatów. Z moich studentów wyróżniali się właśnie Krzysztof i Ania, z młodszych roczników Małgosia Kondratiuk, Beata Radziwonowicz. Najmniejsze problemy były z zatrudnieniem Krzysztofa, bo wtedy i studentów było więcej, i łatwiej było uzyskać etat. Później trzeba było kombinować, żeby zatrzymać najzdolniejszych.

Kiedy zaczynałam pracę, typowy żak był skromniejszy, cichszy. Obecnie studenci są bardziej przebojowi, mają większe możliwości, szerszy dostęp do wiedzy i potrafią ją sami zdobywać. I dawniej, i dziś dzielą się na dwie grupy: na takich, którym zależy, żeby się rozwijać, mieć wiedzę, i takich, którym się nie chce, niestety. Miałam kiedyś studentkę, która przyszła na egzamin nic nie umiejąc, bo było jej wszystko jedno. Powiedziała mi wtedy, że to rodzice chcą, żeby ona skończyła studia.

Pani Profesor, poproszę o krótki rys historyczny. Jak zmieniała się filologia wschodniosłowiańska? Jak dziś próbuje się dostosować do wymogów rynku?

Zmienia się, zmienia. Przede wszystkim to sam program nauczania się zmienił. Wycofuje się praktycznie przedmioty historyczne, ogranicza się studia poprzez podział na trzyletnie studia licencjackie i dwuletnie magisterskie. Moim zdaniem, sam pomysł reformy jest w porządku, tylko inaczej bym ją przeprowadziła, zwłaszcza na filologii obcej. Jeżeli już mamy podział na studia licencjackie i magisterskie, no to nauczmy porządnie języka w ciągu tych trzech lat na studiach licencjackich. A te przedmioty, które wymagają większego wysiłku, myślenia i wiedzy, na bazie której należy dalej pracować, przenieśmy na magisterskie. Wtedy to miałyby sens. Natomiast reformę zrobiono w ten sposób, że w trzy lata studiów I stopnia włącza się niemal wszystko z pięcioletnich studiów magisterskich, a dwa lata studiów II stopnia nie wiadomo czym zapełnić. Zredukowano do minimum przedmioty historyczne na studiach I stopnia i nie ma uzupełnienia na studiach II stopnia, nie ma logiki, a jest to przedmiot bardzo potrzebny. Natomiast na studiach II stopnia rozbudowano metodologię badań. Niewątpliwie jest to przedmiot przydatny, powinien pomóc studentom w pracy nad rozprawą naukową. Wątpię jednak, czy spełnia takie zadanie, ponieważ pomyłono proporcje: 45 godzin na studiach magisterskich i 15 godzin na doktoranckich. Moim zdaniem, powinno być odwrotnie, na studiach II stopnia należy zapewnić studentom możliwość zdobywania niezbędnej wiedzy, natomiast na studia doktoranckie przenieść wszelkie naukowe szczególności i zawiłości. Tak przeprowadzona reforma nie ma dla

mnie sensu. Nie mówię, że nie jest potrzebna, niech by była, tylko nie tak przeprowadzona.

Czego dziś życzyć białostockiej filologii na następne pięćdziesiąt lat istnienia?

Żeby było dobrze, musimy mieć studentów. Dobrych, mądrych studentów. A ich jest coraz mniej. Uczymy języków obcych, bo rynek wciąż potrzebuje takich umiejętności. I nauczycieli, i tłumaczy w różnych dziedzinach. Znajomość języka obcego jest potrzebna na naszej wschodniej granicy, przedsiębiorstwa przecież też potrzebują tłumaczy, więc miejscowy rynek pracy na pewno by ich wchłonął. Ale czy dużo? Z pewnością wcześniej humanistyka za bardzo została rozbudowana i teraz mamy z tym problemy. Nauczycieli akademickich jest za dużo, zaś studentów za mało. Gdyby doszło do równowagi, zaś reforma została przeprowadzona z sensem, to myślę, że podniósłby się również poziom naukowy studiów, bo wszystko jest ze sobą ściśle powiązane. Oczywiście, poziom nauczania w dużym stopniu zależy od kadry naukowej, jej rozwoju, ale również i od zdolności studentów. Za 50 lat nie wiadomo, co będzie na świecie. Ale jeżeli świat będzie dalej istniał, a wszystko będzie rozwijać się w dobrym kierunku, to życzyłabym właśnie tej równowagi.

Kim jest dzisiejszy student przychodzący na filologię wschodniosłowiańską?

Z jednej strony, przychodzi młodzież, która wie, czego chce. Z takimi studentami o wiele łatwiej się pracuje. Jednak przychodzą również tacy, którzy nie za bardzo wiedzą, co w życiu chcą robić. Języka nie znają na przyzwoitym poziomie, uczyli się tego języka znacznie krócej niż moje pokolenie, bo dopiero w liceum. Ponadto ograniczona jest liczba szkół z językiem rosyjskim. Przeważnie wszyscy stawiają na angielski. Dlatego mamy także studentów, którzy zaczynają naukę języka od podstaw. Im jest najtrudniej i oni też wymagają większego zaangażowania z naszej strony. Z tych dwóch grup najwięcej osób rezygnuje ze studiów po pierwszych niepowodzeniach.

Pani Profesor, a Pani marzenia i plany na przyszłość?

Marzenia, plany to wszystko zależy od tego, na ile zdrowie pozwoli. Bo już w takim wieku jestem, że emerytura tuż, tuż. Oczywiście, jeżeli nic nie dolega, to można pracować na emeryturze. Oczywiście plany naukowe jeszcze mam, ale czy wszystko uda się zrealizować? Tego nie wiem, bo przecież nie wszystko zależy ode mnie.

Proszę zdradzić kilka szczegółów.

Zamierzam jeszcze napisać monografię o imionach żydowskich. Wydałam książkę o imionach białostoczan z przełomu XIX i XX wieku. Tam o imionach żydowskich jest niewiele. Te badania, z braku wiedzy po prostu, były niepełne. Chciałabym więc uzupełnić materiał źródłowy i osadzić badania na białostockim materiale onomastycznym, który zgromadziłam do słownika imion mieszkańców Podlasia z XVI-XVII wieku. Żydzi nie żyli w oderwaniu od reszty mieszkańców. Przejmowali od nich pewne wzorce kulturowe oraz język, sami też wnieśli wkład do języka i kultury Podlasia. Niewątpliwie należy zwrócić uwagę na interferencję kulturową i językową oraz związek judaizmu z chrześcijaństwem. I na tym tle zaprezentować imiennictwo żydowskie, które w jakiejś części pokrywa się z naszym, bo są przecież wspólne imiona biblijne, zwłaszcza starotestamentowe. Na przykładzie imion chcę pokazać więzi chrześcijaństwa z judaizmem i opisać, jak to współżycie, współistnienie na tym terenie przebiegało, jakie czynniki wpływały na pewne zazębianie się kultur, co znajdowało odbicie w języku, a co za tym idzie i w antroponimii. Takie plany mam na czas najbliższy. Co z tego uda się zrealizować, zobaczymy.

Dziękuję za rozmowę.

Lucyna ALEKSANDROWICZ-PĘDICH

– prof. dr hab., wykładowca w Katedrze Anglistyki Wydziału Nauk Humanistycznych i Społecznych SWPS w Warszawie. Amerykanistka i badaczka komunikacji międzykulturowej. Specjalizuje się w literaturze amerykańskiej XX wieku oraz twórczości pisarzy pochodzenia żydowskiego. Interesuje się pograniczem kultur, przenikaniem różnych tradycji i grup etnicznych. Zajmuje się też problematyką relacji międzykulturowych w kontekstach edukacyjnych. Autorka licznych publikacji w zakresie literaturoznawstwa, kulturoznawstwa i wiedzy o edukacji, w tym między innymi książek *Literatura amerykańska w kształceniu nauczycieli języka angielskiego* (2003), *Międzykulturowość na lekcjach języków obcych* (2005), *Memory and Neighborhood: Poles and Poland in Jewish American Fiction after World War Two* (2013). Współredaktorka tomów w serii wydawniczej Petera Langa „Warsaw Studies in Jewish History and Memory”. Przez lata związana z białostocką anglistyką. W latach 1998–1999 kierowała Nauczycielskim Kolegium Języków Obcych

LUCYNA ALEKSANDROWICZ-PĘDICH

O POCZĄTKACH BIAŁOSTOCKIEJ ANGLISTYKI

Pani Profesor, jeśli zrobilibyśmy bilans Pani wspomnień związanych z Pani pracą na białostockiej uczelni, to jakiś wspomnień byłoby więcej: dobrych czy zły?

Prof. Lucyna Aleksandrowicz-Pędich:

Więcej byłoby dobrych. Chociaż moim pierwszym wrażeniem, kiedy przyjechałam do Białegostoku, był lekki szok kulturowy, bo przyjechałam z Poznania, gdzie skończyłam studia. Wychowałam się w Inowrocławiu. Musiałam dotrzeć z dworca kolejowego na ulicę Świerkową, a to był wtedy kawał drogi, bo trudno było o taksówkę i nie bardzo było jasne, jak kursują autobusy. I po drodze minęłam chłopca z koniem. To chyba było lato



jeszcze albo wczesna jesień. Potem jeszcze kury były i wszystko wydawało się całkiem inne niż w znanych mi miastach. Bardzo chciałam się napić kawy, ale nigdzie nie mogłam jej dostać, tak jakby nie było kawiarni. Gdy dotarłam do tego miejsca w lesie, bardzo byłam zadziwiona. To był 1977 rok, bardzo dawno temu. Na początku pracowałam przez wiele lat w Studium Języków Obcych, które miało siedzibę przy ulicy Świerkowej. Potem zostaliśmy przeniesieni do budynku na ul. Skłodowskiej, a na Plac Uniwersytecki, tak naprawdę na Liniarskiego, bo anglistyka była przy Liniarskiego, trafiłam dopiero po transformacji, w momencie, kiedy otworzyliśmy Kolegium Języka Angielskiego. Tak więc początki moich związków z Białymstokiem były właśnie w okolicach lasu przy Świerkowej.

Plusy i minusy tamtych czasów. Z jednej strony baza lokalowa była uboga, a z drugiej – wszystko się rozwijało, ludzie byli pełni energii i chęci do pracy. A tacy wykładowcy zawsze trafiają na bardzo dobrych studentów.

Na początku mieszkałam przy Świerkowej w hotelu. To było bardzo ciekawe środowisko, dużo ludzi przyjeżdżających z Warszawy, profesorów jeszcze z pokolenia wyrzuconego z pracy na UW po 1968 roku, i mnóstwo ciekawych rozmów.

A studenci? Miałam do czynienia z wieloma studentami, bo byliśmy jako lektorzy wysyłani na różne kierunki. Z motywacją do nauki było różnie. Wcale studenci tak bardzo nie chcieli się uczyć angielskiego. Myślę, że niekoniecznie widzieli w tym sens. To nie było takie oczywiste, czy warto się uczyć języka. Już nie mówiąc o tym, że większość była na poziomie początkującym. Co zresztą przyczyniło się do tego, że postanowiłam zająć się pracą naukową, bo jak skończyłam studia, nie miałam ambicji naukowych. Natomiast bardzo szybko strasznie się znudziłam pracą lektora języka angielskiego na poziomie początkującym. To doprowadziło mnie do stanu, kiedy sobie zdałam sprawę, że muszę zacząć robić coś innego, żeby nie poprzestać na uczeniu poziomu „This is a window, this is a table” i nic więcej. Poziom znajomość języka angielskiego na tych terenach był bardzo niski, ale to – paradoksalnie – zachęciło mnie do tego, by robić coś innego. I wtedy pomyślałam o robieniu doktoratu. Ówczesne władze uczelni były zainteresowane tym, żeby ktoś się rozwijał naukowo w zakresie filologii angielskiej. Już wtedy myślały, żeby otworzyć studia anglistyczne, więc poparcie było mniej więcej takie: „Jak Pani chce, to będziemy wspierać Panią jakimiś delegacjami i korzystniejszym zatrudnieniem, umożliwiającym więcej czasu na pracę naukową”. Poza tym, wtedy w ogóle miało się więcej czasu, bo nie trzeba było tyle pracować. I mniej pieniędzy było potrzeba, żeby żyć. Wtedy znajomy moich rodziców, prof. Helsztyński (senior anglistyki polskiej), doradził mi te-

mat związany z poezją Ezry Pounda. Tak się zaczęły moje zainteresowania naukowe i w ogóle mój związek z anglistyką.

Czy pamięta Pani polonistów lub historyków, którzy przyjeżdżali z Warszawy?

Z polonistami nie miałam wtedy kontaktów. Także z Wydziału Filologicznego niestety nikogo nie pamiętam. Zaprzyjaźniłam się wtedy z profesorem z historii, który nazywał się tak samo jak ja. Nie byliśmy w ogóle spokrewnieni, potem się trochę zaprzyjaźniliśmy. To był prof. Stanisław Alexandrowicz, historyk. Potem stopniowo zaczęłam poznawać tych polonistów, którzy pracują tu nadal: profesora Nowowiejskiego, profesor Sztachelską. To moje pokolenie. Wtedy wszyscy byliśmy młodzi.

Jak wyglądały relacje pomiędzy samymi wykładowcami a studentami? Czy studenci mieli swoich mistrzów?

Mnie się wydaje, że angielscy zawsze mieli większą tendencję do skracania dystansu. To jest chyba związane z tym, że studiując filologię angielską, troszeczkę zmieniamy naszą postawę kulturową i jesteśmy bliżej studenta. Więc pewnie relacja mistrz – student jest inna. Do roku 1990 pracowałam jako lektor języka angielskiego, mimo że w międzyczasie zrobiłam doktorat. Relacja studenta z lektorem jest inna, lektoraty są zawsze traktowane jak coś na boku. Natomiast jak już powstało Kolegium Języka Angielskiego i mieliśmy studentów kierunkowych, to na początku byli to ludzie, z którymi mieliśmy bliskie kontakty, bardziej bezpośrednie niż z późniejszymi studentami, młodszymi. Znaczna część naszych studentów to byli ludzie, którzy skończyli inne studia. A więc dla nich filologia angielska, licencjacka, wówczas 3-letnia, to były drugie studia, dodatkowe. Na roku mieliśmy więc polonistów, historyków, biologów. Często mieli około 30 lat, a więc często tyle, ile myśmy wtedy mieli. Dlatego nasze relacje były koleżeńskie. Oni reprezentowali intelektualnie bardzo wysoki poziom i podchodzili do studiowania bardzo poważnie. Z tego pokolenia był obecny dyrektor Instytutu Anglistyki, teraz dr hab., Jurek Kamionowski, jeden z naszych pierwszych absolwentów.

Jakie zajęcia prowadziła Pani jako wykładowca uniwersytecki i z jakim przyjęciem się spotykały? Zmiany na scenie politycznej powodowały chyba znaczący wzrost zainteresowania językiem angielskim i literaturą anglojęzyczną?

Gdy powstały kolegia, otrzymaliśmy na początku ogromną pomoc, jeśli chodzi o książki i kadrę wykładowców. Ta pomoc była ze strony zarówno rządu brytyjskiego, jak i rządu amerykańskiego. Bardzo Polskę wspie-

rano. Kraje zachodnie i Stany Zjednoczone postrzegały to jako pewną misję do zrealizowania; rozwój demokracji poprzez między innymi nauczanie języka angielskiego. Ale żeby uczyć języka, trzeba wykształcić kadre. A Polska miała szansę, by zbliżyć do standardów zachodnioeuropejskich lub światowych. Dzięki tej pomocy kupowaliśmy więc niezbędne książki, których kolekcja powiększała się z dnia na dzień. Przez kilka pierwszych lat przyjeżdżali też do nas nauczyciele z Korpusu Pokoju, mieliśmy dobrą międzynarodową kadre do praktycznego nauczania języka. Proszę pamiętać, że pierwszym problemem, wobec którego Polska stanęła po transformacji, był brak nauczycieli języka angielskiego. Studiowałam filologię angielską w czasach, kiedy w Polsce było z pięć anglistyk... W Poznaniu studiowało rokrocznie około 100 studentów, ale na innych uczelniach około 50. Strasznie trudno było dostać się na studia anglistyczne. To były studia elitarne: od 10 do 20 chętnych na jedno miejsce. Angielski był uczony tylko w wybranych liceach. Z drugiej strony, oznaczało to, że było bardzo łatwo dostać pracę, jeśli się zdobyło kwalifikacje z języka angielskiego. Ludzie, którzy jako tako angielski znali, a niektórzy znali całkiem dobrze, potrzebowali tylko kwalifikacji nauczycielskich. Stąd na moje zajęcia przychodzili nauczyciele innych przedmiotów: biologzy, poloniści, rusycyści nieliczni, bo rusycyści rzadko znali angielski. Mieliśmy też ekonomistów. Jedna z naszych studentek to była pani, która do dzisiaj uczy angielskiego (skończyła później SGPiS, obecne SGH). Na początku uczyłam prawie wszystkiego, bo nasza kadra o odpowiednich kwalifikacjach filologicznych była mikroskopijna. Byłam ja i dr Moroz. Byliśmy jedynymi osobami z doktoratami. Oczywiście dojeżdżali wykładowcy z Warszawy, ale to inna kwestia. Dlatego uczyłam prawie wszystkiego. Na początku literatury angielskiej, wstępu do literatury, różnych przedmiotów związanych z praktyczną nauką języka angielskiego, przedmiotów kulturoznawczych. Potem zaczęłam uczyć literatury amerykańskiej. Prowadziłam też seminaria dyplomowe. Chyba tylko nie uczyłam, na szczęście, językoznawstwa i przedmiotów związanych z metodyką.

Jak wyglądały zajęcia z polonistami?

Praca z polonistami to był bardzo sympatyczny okres w moim życiu, który trwał 2 czy 3 lata. Prowadziłam na polonistyce egzamin z literatury powszechnej. W ramach tego egzaminu studenci mogli wybrać choćby literaturę amerykańską. Drobną dygresją: są dwa systemy prowadzenia studiów filologicznych na świecie. Jeden system polega na tym, że wszystko odbywa się w języku docelowym, czyli angielskim. Drugi system jest taki, że studiuje się literaturę angielską czy francuską w języku danego kra-

ju, powiedzmy po turecku. Lepiej ze studentem omówić specyfikę dzieła literackiego, bo się z nim rozmawia w jego ojczystym języku. Natomiast taki system nie rozwija umiejętności językowych w obcym języku docelowym. U nas jest tak, że wszystko odbywa się po angielsku, co oznacza, że nie zawsze można przeprowadzić dyskusję o dziele literackim na odpowiednio wysokim poziomie, bo język jest barierą.

Poloniści mieli wtedy fajnie, bo część z nich na bardzo wysokim poziomie mogła ze mną podyskutować. To była miła odmiana, aczkolwiek nie wszyscy przychodzili odpowiednio przygotowani. Pamiętam do dzisiaj studenta, który był wyjątkowo źle przygotowany i ewidentnie niezainteresowany literaturą. Pod koniec egzaminu powiedziałam, że mogę mu postawić trójkę, ale dziwi mnie, co on robi na polonistyce, skoro nie lubi czytać. Wtedy się dowiedziałam, że nie chce być polonistą, ale wuefistą. A na polonistykę przyszedł tylko dlatego, że było najtaniej.

Jak się anglistyka zmieniała na przestrzeni tych lat?

W sensie intelektualnym najlepsze były pierwsze lata. Pierwsze pokolenie studentów to najlepsi studenci. To byli ludzie wykształceni, oni skończyli 5-letnie studia, przyszedli do nas w jakimś sensie na studia podyplomowe. To nie miało znaczenia, że to było pięć lat polonistyki czy biologii. Oni mieli już za sobą 5-letni trening intelektualny. Te dodatkowe trzy lata robili z czegoś innego, ale już byli to ludzie wykształceni. Nasi najlepsi studenci. To się zaczęło kończyć w którymś momencie. Z jednej strony myśmy się rozwijali jako kadra, z drugiej strony studentów mieliśmy coraz słabszych, bo tylko po maturze. To taki paradoks. Instytucja się rozwijała. Miała lepiej przygotowaną kadrę, ale studentów mieliśmy coraz słabszych, bo już nie tych, których przez pięć lat ktoś dla nas kształcił.

Pani Profesor, życie na uczelni to nie tylko wykłady, ćwiczenia i egzaminy. To także spotkania literackie, dyskusje z artystami, naukowcami. Czy takie rzeczy działy się również w Białymstoku?

Paradoksalnie najlepiej to wyglądało w pierwszej połowie lat 90. Jeszcze nawet wcześniej, w latach 80. Dlatego, że wtedy było największe zainteresowanie Polską jako krajem, który należy wspierać. Otóż różne instytucje zachodnie, ambasady, organizacje kulturalne czy rządowe uważały, że Polskę należy wspierać poprzez przysyłanie tutaj wykładowców i ludzi kultury. Były pieniądze na to, żeby ludzie z Zachodu przyjeżdżali do Polski i za darmo u nas wygłaszali wykłady. W latach 90. było dosyć łatwo, bo oni sami się zgłaszali, a ktoś im opłacał pobyt. Trudno mi sobie kogoś konkretnego przypomnieć, nie były to osoby z najwyższej półki. Był u nas chociażby Wil-

liam Wharton. Został mi w pamięci aktor, który w CV miał wpisane, że jest wykładowcą i aktorem. I że umie prowadzić samochód z manualną skrzynią biegów. Niestety, nie pamiętam jego nazwiska.

A Białystok? Jak się Pani w nim czuła kiedyś i jak się czuje dziś? Jeszcze kilka lat temu było to na swój sposób „zagłębienie akademickie”, między innymi za sprawą prężnie działających uczelni prywatnych. Ale mnóstwo się zmieniło...

Z prywatnymi uczelniami w Białymstoku praktycznie nie miałam do czynienia. Raz tylko prowadziłam jeden wykład w uczelni na ul. Ciepłej, to był chwilowy epizod. Moje doświadczenia z prywatnymi uczelniami w Białymstoku są więc bardzo ograniczone. Wydaje mi się, że te uczelnie obumierają w tej chwili, w tym sensie Białystok nie stanie się znowu zagłębieniem akademickim, jeśli takowym rzeczywiście był. Raczej sam Uniwersytet w Białymstoku i Politechnika mogą się rozwijać, i oczywiście Uniwersytet Medyczny. W Białymstoku mieszka się przyjemnie, miasto ma dobry rozmiar, sympatyczne centra handlowe, wspaniałe okolice, nawet drzew mniej się wycina niż w Warszawie. Pod tym względem jest to przyjemne miejsce z całkiem ciekawym życiem kulturalnym. Na samym Uniwersytecie, zwłaszcza na Wydziale Filologicznym, ciągle się coś dzieje, są ciekawe konferencje, wydarzenia. Uważam, że poloniści reprezentują bardzo wysoki poziom. W Instytucie Historii co roku odbywa się Forum, ważna konferencja amerykańska organizowana przez prof. Halinę Parafianowicz, prawie każdego roku wygłaszam wykład w ramach tego wydarzenia. Koledzy i koleżanki angiści też się starają rozwijać, aczkolwiek chyba można było zrobić więcej przez ostatnie lata.

Wróćmy do czasów, kiedy Filia Uniwersytetu Warszawskiego przekształciła się w samodzielny Uniwersytet. Jak ocenia Pani tę zmianę?

Szczerze mówiąc, nie widziałam dużej różnicy. Z punktu widzenia zwykłego pracownika czy zaszła jakaś fundamentalna zmiana? Fundamentalną zmianą dla anglistów, takich jak ja, była transformacja ustrojowa. Część z nas przestała być lektorami, a zostaliśmy pracownikami anglistyki. Ten związek z Uniwersytetem Warszawskim – i potem jego koniec – nie był aż taki zauważalny dla zwykłego pracownika.

Białystok na pewno skorzystał na tym, że przyjeżdżali tu warszawscy naukowcy...

Z tym się zgadzam. Był historyk, prof. Wrzosek. Dobrze pamiętam prof. Mellera. Prof. Alexandrowicz potem tu mieszkał, prof. Makowieckiego pamiętam, prof. Noniewiczza, ekonomistę. Na naszej początkującej anglistyce

prowadziła zajęcia między innymi prof. Hanna Komorowska z UW, autorytet w zakresie językoznawstwa stosowanego. W tym pociągu z Warszawy do Białegostoku zawsze spędzałam dużo czasu, bo często jeździłam do stołecznych bibliotek, pisząc doktorat, a potem habilitację. Ten pociąg znałam we wszystkich jego wymiarach, od takiego kowbojskiego, szalonego pojazdu do luksusowego środka lokomocji.

A białostoccy wykładowcy?

Bardzo lubię kolegów z Białegostoku. To sympatyczna grupa ludzi z dużym potencjałem; ludzi, który wykorzystują swój naukowy potencjał, robią doktoraty i habilitacje. Jurek Kamionowski zrobił habilitację, także Grzegorz Moroz i Ania Tomczak. Zrobi ją Agata Rozumko. Na pewno jest im trudno, bo trochę brakuje tu prawdziwego środowiska anglistycznego. Zawsze jest łatwiej robić habilitację, jak się pracuje na anglistyce, gdzie jest duża grupa profesorów, gdzie jest wsparcie od tych osób, które już procedury stopni przeszły, które mają za sobą udane kariery i mogą służyć poradą i wsparciem. Tutaj, jeśli chodzi o samo środowisko filologiczne, jest dobrze, ale samo środowisko anglistyczne jest dosyć skromne.

Czego życzyłaby Pani dziś białostockiej humanistyce?

Rozwoju oraz studentów, których nie interesowałby tylko język, ale coś więcej. Na filologię angielską często przychodzą ludzie, których interesuje tylko język jako taki, czyli praktyczna umiejętność posługiwania się językiem angielskim. To jest pewne uproszczenie czy uogólnienie, bo przychodzą ludzie z różną motywacją, ale coraz częściej są to studenci zainteresowani wyłącznie bezpłatnym kursem językowym. I to jest wielki problem. Potem jest z nimi bardzo trudno realizować program filologiczny, bo nie to ich skłoniło do przyjscia na studia. Jeżeli czegoś na filologii angielskiej mogliby sobie koledzy życzyć, to studentów, których interesuje to, żeby zostać filologiem. A filolog to ktoś, kto interesuje się literaturą, językiem w jego szerszym wymiarze; próbuje zrozumieć, na czym polega piękno języka, na czym polega jakość w posługiwaniu się językiem, piękne pisanie. Taki student skupia się więc nie tylko na sprawnej komunikacji i jedynie elementarnej kulturze wiążącej się z umiejętnościami językowymi.

Czego Pani życzyć osobiście?

Myślę, że najważniejsze jest to, o czym wspomniałam wcześniej. Jestem aktywnym wykładowcą, więc chcę, byśmy mieli dobrych, zmotywowanych do nauki studentów. I by tacy studenci trafiali pod moje skrzydła.

Dziękuję za rozmowę.

Barbara

BOBROWSKA

BARBARA BOBROWSKA

– prof. dr hab.; polonistka, zainteresowania naukowe obejmują następujące obszary tematyczne: formacja dziewiętnastowieczna i jej prądy; tekst (literacki, krytyczny, publicystyczny) jako dokument nawiązań międzypokowych i międzypokoleniowych, realizujących się w alegacyjnych postawach pisarzy wobec mistrzów oraz świadomie prowadzonych grach z zastanym dziedzictwem kulturowym – rodzimym i europejskim. W latach 1981–1987 kierowała Pracownią Oświaty Dorosłych w Instytucie Programów Szkolnych Ministerstwa Oświaty i Wychowania. Następnie pracowała jako nauczyciel akademicki na polonistyce Filii UW w Białymstoku, początkowo jako adiunkt, później profesor nadzwyczajny. W 1998 habilitowała się na Uniwersytecie Warszawskim. Następnie rozpoczęła pracę na Akademii Teologii Katolickiej (od tegoż roku Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego, UKSW), gdzie kierowała Katedrą Pozytywizmu i Młodej Polski, później Katedrą Pozytywizmu oraz przejściowo Katedrą Metodyki Nauczania. W latach 2000–2014 przewodniczyła Mazowieckiemu Komitetowi Olimpiady Literatury i Języka Polskiego. W 2007 otrzymała tytuł naukowy profesora. W tymże roku objęła funkcję redaktora naczelnego czasopisma „Wiek XIX. Rocznik Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza”; została też członkiem Zarządu Głównego Towarzystwa. Odznaczona Srebrnym Krzyżem Zasługi (2015). Monografie autorskie: *Konopnicka na szlakach romantyków* (Warszawa 1997); *Bolesław Prus – mistrz pozytywistycznej kroniki* (Białystok 1999); *Małe narracje Prusa* (Warszawa 2003); *Felicjan Faleński – tragizm, parabolizm, groteska* (Warszawa 2012). Odznaczona Złotym Krzyżem Zasługi przyznany przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej za działalność w Olimpiadzie Literatury i Języka Polskiego.



POZYTYWISTYCZNE PEREGRYNACJE

Jak to się stało, że część życia związała Pani Profesor z Białymstokiem?

Prof. Barbara Bobrowska:

Kiedyś otrzymałam sygnał, że moje życie może się związać z Białymstokiem. W 1968 roku zrobiłam maturę i zdawałam na polonistykę warszawską. Mimo to, że z egzaminu kierunkowego dostałam ocenę bardzo dobrą, ostatecznie się na studia nie dostałam, bo to był bardzo polityczny rok (1968) i wprowadzono po raz pierwszy punkty preferencyjne dla kandydatów wywodzących się z rodzin robotniczych i chłopskich.

Ja, niestety, nie kwalifikowałam się do grupy preferowanych, urodziłam się w rodzinie inteligenckiej. Wówczas mój tata poszedł na uczelnię, żeby zapytać, czy są dla mnie jeszcze jakieś szanse. Zaproponowano, żebym aplikowała do filii białostockiej, bo tam mogę się dostać bez powtarzania egzaminu. Jednak w związku z tym, że byłam rozpieszczoną jedynaczką, rodzice nie zdecydowali się na takie rozwiązanie. Zaczęłam zaocznie studiować na UW, a że miałam dobre wyniki, szybko przeniesiono mnie na studia dzienne. Zresztą do końca edukacji studiowałam na UW: zrobiłam magisterium, uczęszczałam na studium doktoranckie, zrobiłam doktorat. Jestem wychowanką prof. Janiny Kulczyckiej-Saloni. Magisterium, później doktorat, pisałam u niej.

Tytuł doktora otrzymałam szybko, ale przez jakiś czas pracy dostać nie mogłam. Inna sprawa, że za bardzo jej nie szukałam, bo miałam wtedy malutkie dziecko. Później zostałam zatrudniona w Instytucie Programów Szkolnych Ministerstwa Oświaty i Wychowania. Tam kierowałam Pracownią Oświaty Dorosłych i pracowałam jednocześnie w Centrum Kształcenia Ustawicznego w Warszawie jako nauczyciel szkoły średniej. We wrześniu 1987 przypadkowo spotkałam Ewę Paczoską, również doktorantkę prof. Kulczyckiej-Saloni, z którą się przyjaźniłam. Ona wtedy – dosłownie na ulicy – zapytała mnie, gdzie pracuję i czy bym nie przyszła do Białegostoku prowadzić zajęcia z metodyki literatury. Zdałam więc egzamin z języka, bo taki był wówczas wymóg, i złożyłam aplikację. Od 1 października zaczęłam pracować w Białymstoku.

Bardzo dobrze to wspominam, bo jako metodyk literatury mogłam jeździć na uczelnię co dwa tygodnie. W jednym tygodniu odbywały się zajęcia z metodyki języka, w drugim z metodyki literatury. Poznałam wówczas licea białostockie i znakomitych nauczycieli. Dobrze wspominam zwłaszcza nauczycieli i lekcje w I i III Liceum Ogólnokształcącym w Białymstoku. Dotąd pamiętam znakomite pokazowe lekcje, które oglądałam w I Liceum u pani Taraszkiewicz. Prowadziłam długo metodykę, bo zajęcia kursowe z literatury II połowy XIX wieku przejęła wtedy po prof. Makowieckim Ewa Paczoska. Ale gdy ona przeszła na UW, objęłam po niej zajęcia historycz-

noliterackie. Metodyki już w ogóle wówczas nie nauczałam, miałam jedynie wykład kursowy, ćwiczenia i seminarium magisterskie z literatury II połowy XIX wieku. I do końca mojej bytności w Białymstoku takie były moje dydaktyczne zatrudnienia.

Jaką atmosferę Pani Profesor pamięta, gdy pierwszy raz przyjechała do Białegostoku?

Przeżyłam kompletny szok, gdy przyjechaliśmy z Ewą Paczoską na pierwsze zebranie pracowników Instytutu. Na dziedzińcu przy Świerkowej było prawie kompletnie ciemno. Zostałam wywieziona gdzieś, nawet nie wiedziałam dobrze gdzie, błąkałyśmy się między hotelem a gmachem uczelni. Wtedy pierwszy raz widziałam białostoczan, którzy pracowali tutaj, w Filii UW. Przyjęcie było sympatyczne, zwłaszcza prof. Karwacka była naprawdę opiekuńcza. Ogólnie panowała bardzo dobra atmosfera naukowa. Istniał dyskusyjny zespół naukowy, w skład którego wchodziły bardzo ciekawe osoby: wspomniana już przeze mnie Ewa Paczoska, ale też Marian Płachecki, Elżbieta Dąbrowicz, Jolanta Sztachelska, Maria Koszycka i Bogdan Zawistowski. Grupa ta zbierała się dość regularnie, omawialiśmy książki i teksty powstające w tym gronie, do którego zostałam zaproszona. Ten zespół wydał dwie książki, jedna miała tytuł *Miasto słów*¹, druga – *Książka pokolenia*². Takie pokonferencyjne, bardzo ciekawe pozycje. W innych książkach powstających na wydziale również zamieszałam swoje teksty, bo na przykład prof. Karwacka organizowała kiedyś konferencję o pograniczu i później ukazała się publikacja podsumowująca to wydarzenie³.

Postacią powszechnie znaną na wydziale była prof. Halina Krukowska. Pamiętam, że zorganizowała ona wielką konferencję w 190. rocznicę urodzin Adama Mickiewicza. To było chyba w 1992 roku⁴. Później została wydana gruba książka pokonferencyjna, w której również zamieściłam swój tekst. Bardzo dobrze pamiętam konferencje białostockie. Były to naprawdę szeroko zakrojone, świetnie zorganizowane wydarzenia. I to się zresztą dotąd utrzymuje w Białymstoku. Gdy jadę na inne uczelnie, tam konferencja nigdy nie jest świętem uniwersyteckim. Odbywa się najczęściej w „kulu-

¹ *Miasto słów. Studia z historii literatury i kultury drugiej połowy XIX wieku*, red. E. Paczoska, Białystok 1991.

² *Książka pokolenia. W kręgu lektur polskich doby postycyzniowej*, red. E. Paczoska, J. Sztachelska, Białystok 1994.

³ *Na pograniczu. Studia i szkice*, red. H. Karwacka i J. F. Nosowicz, Białystok 1992.

⁴ W rzeczywistości konferencja ta odbyła się w dniach 2-4 grudnia 1988 roku („Adamo-wi Mickiewiczowi w 190-lecie urodzin”) – przyp. Red. *Mickiewicz w 190-lecie urodzin. Materiały z sesji naukowej, Białystok 2-4 grudnia 1988*, red. H. Krukowska, Białystok 1993.

arach”, nie uczestniczy w tym wydarzeniu cały wydział i nie są w to tak bardzo zaangażowani studenci. W Białymstoku zawsze byli aktywni młodzi pracownicy, studenci. Nawet obecnie, gdy się przyjedzie na naukową sesję do stolicy Podlasia, gdy tylko się wchodzi na wydział, już widać, że odbywa się konferencja, że wszyscy są bardzo przejęci i że to będzie świetnie zorganizowane. Ale najbardziej zapamiętałam jedną konferencję. To była wspomniana już konferencja o książkach pokolenia pozytywistów, organizowana przez Ewę Paczoską i zespół, w którym uczestniczyłam. Temat był bardzo interesujący. Wygłosiłam referat, za który prof. Krukowska bardzo mnie skrytykowała. A ja to mocno przeżyłam.

Krytyczne głosy w trakcie konferencji naukowych się zdarzają...

Tak. Oczywiście, ale takie rzeczy bardzo intensywnie przeżywa się u progu kariery akademickiej. Moje wystąpienie miało tytuł *Poetyckie manifesty pokolenia. Adam Mickiewicz „Poezje” 1822; Maria Konopnicka „Poezje” 1881*. Dokonałam porównania tych dwóch tomików, a prof. Krukowska stwierdziła, że jest to zupełnie niestosowne zestawienie, że to zupełnie inna ranga poetów. Muszę powiedzieć, że znaleźli się również moi obrońcy, między innymi prof. Elżbieta Feliksiak, która wtedy wstała i powiedziała, że to nie ma nic do rzeczy, bo to jest tylko funkcjonalne zestawienie pokazujące atmosferę, w której pojawiły się te tomiki. Co prawda poezja II połowy XIX wieku to nie poezja I połowy XIX wieku, niemniej tom *Poezje* Konopnickiej został odebrany jako manifest nowej generacji poetów. Ta żywa reakcja prof. Krukowskiej to taka ciekawostka pokazująca żywy temperament tejże badaczki oraz gorącą atmosferę białostockich naukowych dyskusji. Skądinąd z prof. Krukowską byłam i jestem w dobrych stosunkach, zawsze chętnie się spotykamy i rozmawiamy.

Jacy wówczas byli studenci?

Wśród studentów panowała bardzo dobra atmosfera. Proszę zauważyć, że początkowo prowadziłam początkowo zajęcia, które nie cieszą się zwykle zbyt dużym powodzeniem. Mimo to, studenci do zajęć się przygotowywali, jeździli na praktyki i prowadzili z przejęciem lekcje. Zupełnie nie odczuwałam, że to są jakieś marginalne zajęcia i uważam, że to dobrze świadczyło o atmosferze panującej wówczas na wydziale, o tym, że umiano tym wszystkim znakomicie kierować z punktu widzenia organizacyjnego, merytorycznego i wychowawczego.

A wykładowcy? Kto zapadł Pani w pamięć?

Żywo pamiętam dużo osób z Białegostoku: oczywiście wspomnianą już

prof. Karwacką, zarządzającego wraz z nią wydziałem Bogusława Nowowiejskiego, prof. Halinę Krukowską, prof. Krystynę Jakowską – wybitnego dydaktyka i naukowca. Ona urządziła później całą serię interdyscyplinarnych konferencji o cyklach poetyckich, cyklach powieściowych, nowelistycznych itd. Tylko na jednej z tych sesji nie byłam, natomiast we wszystkich innych uczestniczyłam i są w pokonferencyjnych książkach moje teksty. Z prof. Jakowską łączyła mnie naprawdę głęboka sympatia. Także cały sekretariat instytutowy był przesympatyczny. Dotąd wspominam ciepło Ewę Płotko. Gdy po latach przyjechałam do Białegostoku na konferencję, panie z sekretariatu specjalnie przysły do sali obrad, żeby się ze mną przywitać. Wtedy naprawdę się wzruszyłam. Później w sekretariacie był także Krzysztof Korotkich – również wyjątkowa osoba.

Oczywiście z pracownikami Filii stykałam się również w pociągu, podczas podróży na trasie Warszawa – Białystok. Często siadaliśmy wspólnie i inicjowaliśmy „małe” rozmowy, dyskusje na różne tematy, czasem towarzyskie, czasem polityczne, czasem naukowe. Pamiętam osoby, które dojeżdżały do nas na wydział. Oprócz wcześniej wymienionych mam na myśli prof. Wyczańskiego, prof. Krzemienia-Ojaka, Ewę Brach-Czajnę, prof. Zbigniewa Jarosińskiego. To były osoby, z którymi bardzo miło się podróżowało.

W Białymstoku było też grono wspaniałych osób młodszego ode mnie pokolenia. Pamiętam Anię Wydrycką, Basię Olech, Anię Kiezuń, Elę Konończuk. Później dołączyli do nich najzdolniejsi absolwenci wydziału: Jarek Ławski, Ania Janicka, Ula Kowalczuk, Ania Zdanowicz, Darek Kulesza, Kamilka Budrowska, z którą przy różnych okazjach edytorskich się widuję. Wspaniałą osobą jest też Kasia Kościewicz – autorka książki, którą miałam przyjemność recenzować. Swoją drogą, opiniowałam publikacje i przewody różnych wykładowców polonistyki białostockiej, między innymi profesurę pani Jolanty Sztachelskiej. To właśnie są osoby, które pamiętam, które lubiłam i z którymi stykam się teraz na konferencjach, zebraniach zespołów grantowych.

Jarek Ławski z Anią Janicką na każdą konferencję przesyłają mi zaproszenia. Oczywiście nie zawsze jeżdżę, bo nie zawsze zdrowie mi dopisuje. Jednak najczęściej widuję się z prof. Ławskim, który jest w radzie naukowej pisma przeze mnie prowadzonego (jestem redaktorem naczelnym „Wieku XIX”). To pismo cieszące się uznaniem, dobrze punktowane na liście ministerialnej. Oczywiście sukces ten zawdzięczamy jego redaktorom, ale również radzie redakcyjnej, której prof. Ławski jest naprawdę bezcennym członkiem, tzn. zawsze służącym radą i pomocą w ściąganiu artykułów i recenzji, dopracowywaniu koncepcji pisma. Bardzo sobie cenię jego współpracę. Oczywiście, w radzie są ludzie z całej Polski, ale miło mi, że właśnie jest i on, z Białegostoku.

Osobą, z którą w tej chwili jestem najbardziej związana, która stale mieszka w Białymstoku i dojeżdża na UKSW, jest Joanna Zajkowska. Była ona moją magistrantką w Białymstoku, a teraz jest członkiem prowadzonej przeze mnie Katedry. Prowadzi zajęcia dotyczące literatury II połowy XIX wieku oraz literatury dla dzieci i młodzieży, także seminaria. Pracujemy wspólnie w międzyuczelnianych grantach, jeździmy razem na konferencje. Bardzo się cieszę, że zrobiła niedawno habilitację i mam nadzieję, że obejmie po mnie Katedrę.

Od pewnego momentu zaczęłam być związana z Białymstokiem niejako podwójnie... Mój mąż, który pracował w instytucie PAN w Warszawie, zaczął też wykładać na Politechnice Białostockiej. Przez kilka kadencji był dziekanem wydziału. Polubił dydaktykę i teraz nie może oderwać się od Białegostoku. W związku z tym w stolicy Podlasia bywamy coraz częściej. Jak są na Politechnice jakieś uroczystości, jeżdżę na nie z mężem, dla towarzysztwa. Cały czas mam w pamięci Białystok i lubię do niego wracać.

Jak często jeździła Pani do Białegostoku jako wykładowca?

Jeździłam raz na dwa tygodnie i zostawałam na trzy dni, bo musiałam odrobić podwójne zajęcia. Spędzałam w Białymstoku również pół września, przed rozpoczęciem roku akademickiego, ponieważ studenci wtedy właśnie mieli praktyki dydaktyczne. Chodziłam po szkołach hospitaować ich lekcje próbne. Miałam też takie okresy, w których dłużej zostawałam w Białymstoku, by pisać i spacerować po lesie. Bardzo dobrze to wspominałam ze względu na piękne położenie hotelu.

A gdzie Pani Profesor nocowała? Przy Świerkowej?

Tak, przy Świerkowej. Zawsze, gdy się spotykamy z Ewą Paczoską, wspominamy zatłoczony pociąg białostocki. Wówczas jeździli i różne rzeczy szmuglowali Rosjanie. Z drugiej strony, zimą był to pociąg nieprzyjemnie oblodzony i wychłodzony.

Na Świerkowej również było wtedy okropnie zimno. Z Paczoską miałyśmy pokój na drugim piętrze. Były tam nieszczelne drzwi balkonowe, spod których wiało w nocy. Czasami, gdy padał śnieg, nawiewało go do środka. Wewnątrz nie topił się, tylko leżał na środku pokoju. Wówczas czułam, że to są jednak strony wysunięte daleko na północ od Warszawy. Ale za to w hotelu przy Świerkowej panowała bardzo miła atmosfera. Dotąd pamiętam sympatycznych, czynnych portierów, którzy tam pracowali. Było też dużo kotów, które mieszkaly w piwnicy, a latem wygrzewały w słońcu na trawnikach. Zawsze dokarmałam je, bo jestem miłośniczką tych pięknych i miłych zwierząt. Latem robiło się wokół hotelu bardzo przyjemnie. Był ogród, kwitły i pachnia-

ły owocowe drzewa, śpiewały słowiki. Dalej, za Świerkową, zaczynał się las, można było po nim pochodzić w kierunku lotniska. Kwitły poziomki, pierwsze konwalie. Zawsze prof. Karwacka wyciągała mnie do lasu. Później, jak już profesor nie było, to chodziłam do niego sama, a wszyscy się dziwili, że się nie boję. Ale mnie tak tam ciągnęło, że nie potrafiłam się powstrzymać.

Życie naukowe i towarzyskie? Spotykaliście się Państwo po zajęciach?

Wiem, że się spotykano, ale w życiu towarzyskim rzadko uczestniczyłam, raczej spieszyłam się do domu, do moich małych wówczas dzieci. Zresztą z natury nie byłam i nie jestem bardzo towarzyska. Dobrze czułam się przede wszystkim w gronie kilku osób, jak choćby wspomnianego zespołu naukowego czy bliskich znajomych. Pobyty w Białymstoku traktowałam przede wszystkim jako okazję do poczytania i pisania.

A poznała Pani Białystok jako miejsce sprzyjające rozrywce?

Oczywiście. Najlepiej pamiętam wizyty w Teatrze Dramatycznym. Nawet teraz, ile razy jestem w Białymstoku, chodzę do Dramatycznego. Teraz oczywiście jest już i filharmonia. Odkryciem dla mnie z okresu, kiedy jeździłam do Białegostoku, był Supraśl i Teatr Wierszalin. Wszystkim, którzy tam nie byli, mówię, że to miejsce, do którego koniecznie trzeba pojechać. Jestem wdzięczna Jarkowi Ławskiemu, że ile razy organizuje konferencje w Białymstoku, zabiera uczestników do tego teatru. W sumie widziałam 5 czy 6 przedstawień i muszę stwierdzić, że jedno lepsze od drugiego. Nawet sobie nie wyobrażałam, że w takim miejscu może być środowisko mobilizujące się do działań na tak wysokim poziomie artystycznym. Naprawdę jest to poziom europejski, ten teatr mógłby występować wszędzie odnosząc sukcesy. Muszę przyznać, że cały Białystok zmienił się na korzyść. Kiedyś Pałac Branickich był w złym stanie, ale teraz wygląda zupełnie inaczej.

W jakich okolicznościach zakończyła się Pani współpraca z Białymstokiem? Pracowałam w Białymstoku od października 1987 roku do września 1999, czyli 12 lat. Dla mnie oczywiście to kawał życia i zarazem piękny okres młodości, zapału. Przyjechałam do stolicy Podlasia już z doktoratem, ale to tutaj zrobiłam habilitację, czyli – mówiąc inaczej – to w Białymstoku stworzono mi warunki, żebym habilitację zrobiła, na przykład udzielając mi rocznego urlopu naukowego. Później, w 1999 roku, przeszłam na dawne ATK, które rychło przekształciło się w Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego.

W przyjaznej atmosferze odchodziłam z Białegostoku. Bardzo dobrze wspominam cały okres współpracy z uczelnią, łącznie z momentem odejścia, które mogło mnie przecież skonfliktować ze środowiskiem. A tak się nie stało. Jeszcze w ostatniej chwili, w ostatnim roku pracy zostałam wybra-

na delegatem uczelni do Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego, uczelnia białostocka zgłosiła też do nagrody ministra edukacji narodowej moją książkę habilitacyjną. I nagrodę tę dostałam, chociaż już UKSW mi ją wypłaciło. Z żalem opuszczalam Białystok. Dyrektor Instytutu, Bogusław Nowowiejski, spowodował, że uczelniane wydawnictwo białostockie opublikowało książkę, na podstawie której obroniłam tytuł doktora jeszcze na UW, ale jakoś Uniwersytet Warszawski jej nie chciał wydać, a Białystok tak. To był dla mnie gest wzruszający.

Po powrocie do Warszawy nie brakowało Pani naszego miasta?

Przez około dziesięć lat wstawałam o godzinie czwartej rano, aby zdążyć do pociągu białostockiego, w związku z tym z ulgą myślałam o tym, że Białystok będę teraz odwiedzać rzadziej, w bardziej odpowiednich dla mnie porach. Dzisiaj patrząc na mój białostocki epizod, uświadamiam sobie, że bardziej tęsknię za ludźmi niż za miastem, choć i ono pozostało w mojej pamięci, zwłaszcza zielone i pachnące w porze wiosennej i letniej. Teraz jeszcze ciągle brakuje mi białostockiego lasu. Mąż teraz jeździ do Białegostoku i gdy wraca, mówi, że był w lesie, a tam już są konwalie i poziomki. Nie mam tego w Warszawie prawie pod domem, w spacerowym zasięgu, więc bardzo mu zazdrozczę.

Pracuje Pani na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Czy Białystok i białostocka humanistyka są poważane wśród ludzi, których Pani zna?

Oczywiście. To jest jedna z ważniejszych uczelni w kraju, którą zawsze się wymienia w czołówce, zwracając uwagę na jej rozległe kontakty zagraniczne, zwłaszcza z uczelniami i innymi placówkami naukowymi za naszą wschodnią granicą. Poloniści białostoccy są zapraszani do udziału w konferencjach naukowych, międzyuczelnianych projektach badawczych. Uczestniczą oni w roli ekspertów w przewodach doktorskich, habilitacyjnych, profesorskich.

Czego Pani Profesor życzy białostockiej polonistyce na następne kilka lat? Dziś nauki informatyczne, technologiczne bardzo się rozwijają. Co więc powinna zrobić humanistyka? Jak powinna się zmienić? Niektórzy wykładowcy twierdzą, że należy zostawić wszystko „tak, jak jest”. Niech będą to studia elitarne, kierunki dla wybranych. A może trzeba iść do przodu, wprowadzać nowoczesne technologie?

Białostockiej polonistyce życzę utrzymania wysokiej pozycji w rankingu oraz nawiązania jeszcze szerszych kontaktów.

Na pytania dotyczące zmian w humanistyce odpowiedziałabym tak. Należę z racji swojego wieku do starszego pokolenia, które zwykle bywa zachowawcze, więc uważam, że studia humanistyczne są w pewnym sensie studiami elitarnymi i takimi powinny pozostać. One zresztą zawsze były takie i nic złego się z tego powodu nie działo. Co do zmian, sądzę, że otrzymaliśmy w ostatnim czasie tak wiele skrajnie różnych propozycji modyfikacji i radykalnych zmian modeli badań oraz procesu kształcenia, że można się w nich zagubić. Na pewno trzeba odrzucić te, które w naszych warunkach w oczywisty sposób nie mają sensu, choćby ze względu na zbyt niski budżet, jakim dysponuje polska nauka. Innym należy się uważnie przyjrzeć i poddać je dyskusji środowiska naukowego, zapewniając mu tym względzie pełną swobodę wypowiedzi jak też podejmowania decyzji. Na pewno, jak sądzę, nie można zmierzać do odebrania poszczególnym dyscyplinom ich autonomii, to uprawiający je uczeni winni decydować o tym, na jakich płaszczyznach i w jakim zakresie zechcą integrować swe badania.

Niektórzy wykładowcy mówią, że polonistyka, w ogóle humanistyka, była programowo „po drugiej stronie barykady”. Pani też to odczuła?

Od tego, co było, ważniejsze jest to, co dopiero może nastąpić. Myślę, że w sytuacji zapowiadanych radykalnych i zasadniczych zmian konieczna jest maksymalna konsolidacja całego środowiska naukowego. Podzieleni na środowiska poszczególnych dyscyplin mamy mniejsze szanse w dialogu z władzami ministerialnymi.

Czego Pani Profesor życzyć na następne lata życia zawodowego i prywatnego?

Myślę, że tego, czego życzyliby sobie wszyscy członkowie naszego środowiska. Nieczęstych i przemyślanych reform ogólnych, dotyczących domeny naszego działania, potem – stabilizacji w nauce, sprzyjającej rzetelnemu realizowaniu zadań dydaktycznych oraz badaniom. Doczekania się zwiększenia nakładów finansowych na naukę, w tym na płace, co mogłoby zapobiec odpływowi zdolnej, młodej kadry na uczelnie zagraniczne. Wbrew temu, co sądzą decydenci, dla rozwoju badań ważniejsze jest to, kto je będzie realizował, od tego, zgodnie z jakim modelem będzie to czynił. Wierzę, że na tym polu ciągle liczą się przede wszystkim indywidualne zdolności, choć w niektórych dyscyplinach także umiejętność pracy w zespole. Dlatego trzeba ocalić środowiskową wspólnotowość.

Dziękuję za rozmowę.

Krzysztof BOGACKI

KRZYSZTOF BOGACKI

– prof. dr hab., językoznawca; romanista, pracuje na Wydziale Neofilologii Uniwersytetu Warszawskiego. Tematyka jego badań naukowych obejmuje semantykę i składnię współczesnej francuszczyzny, leksykologię i leksykografię, lingwistykę komputerową. Jest absolwentem warszawskiej romanistyki, doktorat obronił w 1970 roku na podstawie dysertacji *Les contructions appositives en français*. Habilitacja w 1976 roku na podstawie rozprawy *Les verbes locatifs statiques en français. Etude de sémantique et de syntaxe*. W 1989 roku otrzymał tytuł profesora nadzwyczajnego, a 1992 profesora zwyczajnego. Visiting professor w Université de Paris IV (1985–1986), Université de Paris XIII (1993), Université de Montréal (1995), Université de Franche-Comté (1999). Dyrektor Instytutu Romanistyki Uniwersytetu Warszawskiego w latach 1980–1981; prodziekan Wydziału Neofilologii w latach 1986–1990. Od roku 1976 do chwili obecnej kierownik Zakładu Językoznawstwa Romańskiego (z przerwą 1988–1990).

Opublikował szereg książek naukowych, w tym *Types de constructions appositives en français* (Ossolineum, Warszawa – Wrocław – Gdańsk – Kraków 1973); *Les prédicats locatifs statiques en français. Etude de sémantique et de syntaxe* (Warszawa 1977); *Dictionnaire sémantique et syntaxique des verbes français* (Warszawa 1983), *Représentations sémantiques et contraintes de surface en français* (Warszawa 1990).

Członek korespondent Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, członek rady redakcyjnej BULAG. Odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Wieloletni kierownik białostockiego Zakładu Języka Francuskiego (1998–2005)



U ŹRÓDEŁ ROMANISTYKI

Panie Profesorze, jak udało mi się obliczyć, przyjeżdżał Pan do Białegostoku aż 17 lat. To kawał czasu. Jak Pan wspomina swoją przygodę z Białymstokiem?

Prof. Krzysztof Bogacki:

Skontaktowała się ze mną moja była studentka z warszawskiej romanistyki, Basia Głowacka, która kiedyś uczęszczała na prowadzone przeze mnie zajęcia z gramatyki historycznej. Zazwyczaj w oczach studentów jest to przedmiot koszmarny, ale widocznie źle się nie zapisałem w jej pamięci. W Białymstoku istniało wówczas Kolegium Języków Obcych. Ona zaprosiła mnie na wykład, później zadzwoniła po raz kolejny z zapytaniem, czy nie podejmę pracy na drugim etacie. To był rok 1997. Zgodziłem się. Niebagatelne były względy materialne, ważna też stała się możliwość poznania nowego środowiska. Tak jak Pan zauważył, przepracowałem tu 17 lat. I było mi dobrze.

Pamiętam, że zadzwonił do mnie rektor, prof. Andrzej Jamróz, zapraszając do Białegostoku. Złożyłem więc podanie i zostałem przyjęty na cały etat. Jeździłem tu co dwa, trzy tygodnie, a nocowałem przy ul. Świerkowej. Potem kwaterowano mnie w Centrum Kultury Prawosławnej przy ul. Świętego Mikołaja. Podjąłem pracę w Katedrze Neofilologii. Byłem w tym środowisku najstarszy wiekiem, doświadczeniem i stopniem. W Uniwersytecie Warszawskim kierowałem Zakładem Językoznawstwa i organizowałem co poniedziałek otwarte zebrania naukowe, na które przychodzili różni ludzie, czasami przyjeżdżali z innych uniwersytetów. Zapraszałem też gości z zagranicy. Po takich spotkaniach zaczynały się mnożyć doktorety i habilitacje. Pomyślałem, żeby to samo zrobić w Białymstoku, bo to by pomogło anglistom i romanistom w robieniu stopni naukowych. Niestety, ten pomysł nie bardzo się sprawdził. Przyczyna była prosta: nie byłem na miejscu, tylko przyjeżdżałem co pewien czas.

Gdy po raz pierwszy wysiadł Pan z pociągu w Białymstoku, to jakie odniósł Pan wrażenie?

Bardzo dobre. Czyste i spokojne miasto. O Białystok zapytałem przedtem mojego sąsiada, prof. Saloniego, on zaczął tu jeździć w czasach, gdy była to jeszcze cała wyprawa z Warszawy. Jechało się 6 godzin. Ja jechałem już tylko 3 godziny, bardzo sprawnie i wygodnie, pracowałem w pociągu. Ludzie byli mili, sympatyczni, także z władzami uczelni miałem bardzo dobry kontakt.

A jak się układała współpraca z pracownikami naukowymi i studentami z Białegostoku? To trochę inny żywioł niż warszawski.

Z koleżankami i kolegami miałem bardzo dobre relacje. Jeśli chodzi o romanistykę białostocką, to jest tu tylko pierwszy stopień studiów. Jak pytałem studentów na koniec licencjatu, co zamierzają robić dalej, często odpowiadali mi, że może wybiorą się do Warszawy. I rzeczywiście, mieliśmy sporo absolwentów z Białegostoku i to całkiem niezłych. Jeden z nich kończy właśnie pisanie pracy doktorskiej. Mam bardzo dobre wrażenia.

Proszę opowiedzieć o tych zajęciach. Jakie były potrzeby i zainteresowania studentów?

Musiałem mieć zajęcia zarezerwowane dla kadry samodzielnej, tzn. wykłady i seminaria licencjackie. Pensum miałem ograniczone, bo tylko 5 godzin tygodniowo. Bliski kontakt ze studentami możliwy jest przede wszystkim na zajęciach z praktycznej nauki języka francuskiego, a tego nigdy nie miałem. Brakowało im często treningu językowego, mówię o czasach, gdy nie było prawdziwego naboru zerowego, tzn. kandydatów bez znajomości języka francuskiego wyniesionej ze szkoły. Odnosiłem wrażenie, że to był „fałszywy start od zera”, oni się otarli o francuski: kursy, przypadkowy wyjazd do kraju, gdzie się mówiło po francusku, fascynacja tą kulturą, krajem, językiem. Nie mieli tego na maturze, więc szli do grupy zerowej. Teraz sytuacja wygląda inaczej, kiedy są grupy z naprawdę zerową znajomością języka francuskiego. Daje im się zwiększoną dawkę ćwiczeń językowych. Tego dawniej nie było. Ale pamiętam dziewczynę, która zaczynała od zera i potrafiła błyskawicznie nauczyć się języka. Dlatego jestem przekonany, że białostoccy absolwenci mają dziś warunki, by nie musieć się wstydzic, jeśli chodzi o przygotowanie językowe.

Już w Białymstoku miał Pan okazję poznać miasto, jego kulturę, kuchnię regionalną?

Najlepiej znam drogę od dworca, ulicą Lipową, Rynek Kościuszki, Plac Niezależnego Zrzeszenia Studentów, czyli dawną ulicę Liniarskiego. Jak tu przyjeżdżałem, nie miałem niestety czasu na dokładniejsze poznawanie miasta. Szczególnie przypadły mi do gustu restauracje i kawiarnie. Miałem zwyczaj zapraszania na kawę koleżanek, które dręczyłem pytaniami, kiedy zrobią doktorat czy habilitację. Pamiętają to na pewno Joasia Cholewa i Małgosia Kamecka. Panią Małgosię, romanistkę i historyczkę, miałem zwyczaj zapraszać do restauracji na początku roku i na koniec. I wypytywałem o to podczas posiłku. Co ciekawe, gdy obchodziłem tutaj swoje 70-lecie, one mi zrobiły miniuroczystość i na moją dociekliwość jakoś nie narzekały.

Czy nawiązał Pan relacje i przyjaźnie z naukowcami niezwiązanymi z Kolegium Językowym?

Nie, nie było czasu. Ale spotykałem się często z anglistami u pani Kołakowskiej w sekretariacie. Razem z nimi zorganizowaliśmy kilka sympozjów naukowych. Chociaż przyjaźnie jakoś nie kwitły, życie naukowe było na wysokim poziomie. Często wykorzystywałem swoje kontakty z uczelniami zachodnimi i polskimi, zapraszając badaczy z Francji, Litwy, Ukrainy i Hiszpanii. Była też współpraca z Grodnem. Zrobiliśmy tam kolokwium, zaś artykuły uczestników wydrukowano w Białymstoku. Na stopie koleżeńskiej jestem do dzisiejszego dnia z Joasią Cholewą, z moją doktorantką, która uczestniczyła w wielu międzynarodowych projektach. Kilka miesięcy temu została wydrukowana jej praca habilitacyjna i w tej chwili toczy się postępowanie habilitacyjne. Bardzo się z tego cieszę, bo moją powinnością było nie tylko odbywanie dydaktyki uniwersyteckiej. Chciałem też zostawić ślad w rozwoju naukowym tych najważniejszych dla mnie osób, stąd moje uparte wypytywanie o prace nad doktoratami i habilitacjami.

Czuł Pan promieniowanie tego małego ośrodka na miasto? Czy były spotkania literackie?

Nie zajmowałem się propagowaniem literatury francuskiej, natomiast bardzo chętnie wspierałem organizowaną przez studentów „Wiosnę Francuską”.

Jak Pan Profesor ocenia białostocką romanistykę, jej rozwój?

Mamy siedem, jeśli nie więcej, chudych lat w humanistyce w ogóle. I dotyczy to nie tylko Białegostoku, ale wszystkich ośrodków w kraju. Teraz wróciłem z Krakowa, było 125-lecie tamtejszej romanistyki. Rozmawiałem z romanistami z całej Polski. Oni też przeżywają ogromny kryzys, mają duże kłopoty z naborem. Mniejszy problem jest w dużych ośrodkach, jak Warszawa czy Kraków, ale na przykład Poznań ma ogromne kłopoty z wypełnieniem wolnych miejsc. Dlatego romanistyka w Białymstoku, podobnie jak inne uczelnie, wpadła na pomysł „połączenia się” z drugim językiem, serwowanym nie w ilościach aptekarskich, a przemysłowych. To musi być język niemal równorzędny z francuskim. I dziś funkcjonują takie połączenia z językiem angielskim czy hiszpańskim. Jest to próba wyjścia obronną ręką z sytuacji, w której nie mamy wielkiego pola manewru. Jest w tej chwili niż demograficzny, zainteresowania ludzi, ich potrzeby ewoluują, niekoniecznie w tym kierunku, na który odpowiedzą studia humanistyczne. Aby nauczyć się języka od zera do stopnia komunikatywnego i bez jąkania się móc prowadzić konwersacje, potrzeba – w zależności od zdolności – od 450 do 600 godzin. Jeżeli rok ma 30 tygodni i jeśli studentowi damy 10 godzin tygodniowo, to w ciągu roku nieźle go przy-

gotujemy. Niestety, w sytuacji, gdy ktoś nie ma pociągu do filologii, pod koniec intensywnego rocznego treningu student stwierdzi, że to mu wystarczy i teraz będzie studiował inne kierunki. Takie jest często nastawienie. Wyjściem z sytuacji jest oferowanie dwuczłonowych studiów: angielski plus francuski. Życzę Białemustokowi, żeby mu się powiodło. A osobom, które mają przed sobą jeszcze 20 lat na uczelni, by nie żyły w wiecznym strachu, czy będą studenci, czy limity zostaną wypełnione, czy rektor nie pokaże im bramy uniwersytetu. Mam ponad 70 lat, jestem na emeryturze i na szczęście chcę mnie jeszcze, więc pracuję, ale w każdej chwili mogę odejść i żyć z emerytury. Ten problem zaczyna też dotyczyć anglistów, chociaż wydawało się, że oni są poza wszelką konkurencją, że wszyscy chcą się uczyć angielskiego. Widzę nabór, jakość „materiału ludzkiego”, jaki napływa. Oby to były tylko niepokoje starszego pana.

Czego życzyć Panu Profesorowi? Jest Pan wciąż czynnym pracownikiem naukowym, przypuszczam, że tak szybko Pan nie zrezygnuje z tego, co robi Pan doskonale?

Mam za sobą 53 lata pracy, czyli ponad pół wieku. Nawet jeśli przestanę być pracownikiem etatowym, nie skończą się inne zajęcia, na przykład recenzowanie prac doktorskich, habilitacyjnych czy publikowanie. Moją pasją są działka i pies. Ale zdrowie jest najważniejsze.

Po odejściu z Białymstoku nie czuł Pan jakiejś pustki, tęsknoty?

Trochę tak. Na pewno jednak poczułem mniejsze fizyczne obciążenie, bo tak częste dojazdy pociągami są naprawdę męczące. Lecz Białystok wciąż jest dla mnie ważny, więc pozostaję w łączności z tym środowiskiem. Są przecież telefony, maile, Skype. Cieszę się, że w Białystok coraz lepiej daje sobie radę beze mnie, ale wciąż od czasu do czasu prosi mnie o rady i sugestie. Bardzo się ucieszyłem, kiedy Joanna Cholewa poinformowała, że kończy pracę habilitacyjną i prosi o „rzucenie okiem”. Nie mogę być recenzentem, bo Centralna Komisja mnie nie mianuje, wszak byłem jej promotorem. Teraz mocno Joasi kibicuję.

Czy miałby pan ochotę czasami przyjechać do Białegostoku?

Dlaczego nie? Ostatnim razem byłem trzy lata temu. Niewykluczone, że jeszcze w tym roku będzie okazja, ponieważ otrzymałem zaproszenie do Wilna, a Białystok jest po drodze. Mam nadzieję, że do tej pory będziecie mieli kolejnego doktora habilitowanego.

Serdecznie dziękuję za rozmowę.

Bożena CHODŹKO

– doktor nauk humanistycznych; literaturoznawczyni. Związana z Zakładem Literatury Antycznej i Staropolskiej na Wydziale Filologicznym UwB. Autorka książek: *Pisma polityczne marszałka Lubomirskiego w perspektywie uniwersalistycznej refleksji etycznej i prakseologicznej* (Białystok 1998); *Wokół „Rozmów Artaksesa i Ewandra” St. H. Lubomirskiego* (Białystok 1986); współredaktorka monografii: *Obecność: Maria Renata Mayenowa* (1908–1988) (współredakcja: Elżbieta Feliksiak i Marek Olesiewicz; Białystok 2006); *Okna pamięci: Maria Renata Mayenowa (1910–1988)* (współredakcja: Elżbieta Feliksiak, Elżbieta Konończuk; Białystok 2003). Wykładała literaturę staropolską. Ostatnio wydała monografię *Tradycja i współczesność. Od etyki do socjotechniki. Studia o literaturze staropolskiej* (Białystok 2017). Ceniony wykładowca literatury staropolskiej.

BARDZO DOBRZE WSPOMINAM STUDENTÓW...

Pani Doktor, w 2018 roku białostocka filologia obchodzi 50-lecie swojego istnienia. To dobry powód, by trochę powspominać...

Dr Bożena Chodźko:

Trudno tak od razu, na żywo, bez głębszej refleksji i przygotowania opowiedzieć swoje wspomnienia. W 1968 roku byłam studentką Wyższej Szkoły Nauczycielskiej. To był znamienity rok przeobrażeń politycznych. W Białymstoku znaleźli się ludzie niechętni władzom Warszawy, a bardzo potrzebni do rozwoju nauki w Białymstoku. Była tu sama elita warszawska, nazwisk nie będę wymieniała, bo każdy, kto zaczynał pracę i naukę na uczelni poznał te osoby. Wspomnę tylko dziekana, prof. Andrzeja Wyrobisza, który heroicznie tworzył tu kierunek humanistyczny. Pamiętam, że byliśmy grupą studentów z całej Polski, młodzieżą, która przysłała we wrześniu, bo egzaminy na powołaną w tym roku WSN odbywały się w drugim



terminie, a komisja przyjmowała zainteresowanych nowym kierunkiem filologii polskiej z historią na podstawie egzaminów ustnych. Chyba raczej wszyscy, którzy się tu zgłosili, zostali przyjęci, ale różnorodność zainteresowań była olbrzymia.

Kończyło się trzyletnie WSN, wybierając na ostatnim roku seminarium poświęcone napisaniu pracy dyplomowej. Wybrałam seminarium historyczne, bo były dwa seminaria. Jedno seminarium prowadził doc. Andrzej Makowiecki, a drugie prof. Andrzej Wyrobisz. Więc ja jako „najtęższy” historyk na roku wybrałam seminarium historyczne. I po obronie już można było pracować w szkole. Najlepsi studenci, z najlepszymi ocenami, a sporo było takich studentów, którzy mieli na dyplomie oceny powyżej dobrej, dostali się na studia indywidualne w Warszawie. W Warszawie, na Uniwersytecie, też należało wybierać kierunki. Albo się określaliśmy jako historycy, albo jako literaturoznawcy czy językoznawcy. Nie wiem dziś dokładnie, dlaczego po specjalizacji historycznej wybrałam polonistykę, być może dlatego, że interesował mnie wiek XVII. Pracę dyplomową u prof. Wyrobisza pisałam o Janie III Sobieskim w literaturze i anegdocie XVII wieku. Ten XVII wiek we mnie już pozostał, musiałam już na trzecim roku WSN przejrzeć „staropisy”: rękopisy oraz starodruki w Warszawie, bo w Białymstoku przecież nie mieliśmy jeszcze żadnych księgozbiorów.

Na polonistyce wybrałam zajęcia prof. Jadwigi Pietrusiewiczowej, bo ona była specjalistą od literatury staropolskiej i jakoś tak zostałam przy niej. Pracę magisterską pisałam już u profesora Libery, bo prof. Pietrusiewicz odeszła. Skończyłam z dobrymi ocenami, na tyle dobrymi, że byłam przez promotora pracy magisterskiej, prof. Zdzisława Libere, wysunięta, jako osoba zdolna, do podjęcia pracy, bo potrzebny był też ktoś młody do prowadzenia zajęć ze studentami. Profesorów dojeżdżających trochę było, docentów również, natomiast asystentów, stażystów niewielu. A zatem po studiach indywidualnych znalazłam się w Białymstoku jako młody pracownik, stażysta, prowadzący od początku zatrudnienia zajęcia z zakresu literatury staropolskiej. Od 1973 roku pracowałam na Filii Uniwersytetu Warszawskiego przy Świerkowej. Uniwersytet samodzielny powstał w 1992 roku. Więc zostaliśmy przekwalifikowani na pracowników Uniwersytetu w Białymstoku i po kolei były naukowe stopnie: doktorat, habilitacja i doszło się po latach do emerytury – to jest moja zawodowa droga i związane z nią wspomnienia.

Warszawa powoli zaczęła nas opuszczać. Kiedy już powstał Uniwersytet w Białymstoku, była tu już samodzielna kadra białostocka. Ale mieliśmy do pomocy naprawdę wspaniałych dojeżdżających pracowników o międzynarodowej sławie, na przykład na filologię rosyjską przyjeżdżał prof.

Andrzej Bogusławski – światowej sławy naukowiec, specjalista od semantyki i językoznawstwa, poliglota, którego uczennicą jest Anna Wierzbicka, mieszkająca w Australii, autorka wielu wybitnych prac naukowych z zakresu językoznawstwa i semantyki.

Jak się wtedy pracowało ze studentami, magistrantami?

Chętnych do pisania prac magisterskich z literatury staropolskiej nie miałam wielu, grupy były niewielkie sześcio-, siedmioosobowe. Ale były to osoby bardzo rzetelne, o żarliwej pracowitości, ponieważ literatura staropolska wymagała zanurzenia się w starodruki i poznania myślenia oraz wyznawanych wartości ludzi dawnych wieków. Nie można było nic napisać bez wielogodzinnej pracy w bibliotece w Warszawie. Robiliśmy kserokopie, mikrofilmy się przywoziło i nosiłam odbite mikrofilmy, żeby pokazać studentom, jak się pisało w XVI i XVII wieku. Praca wymagała wysiłku, pracowitości, może dlatego bardzo dobrze wspominam studentów. Byli bardzo ciekawi nowej wiedzy, zainteresowani nauką i ambitni. Pamiętam, że wstydzili się z powodu nieprzygotowania do zajęć. Po prostu przychodziła osoba i się usprawiedliwiała. Ta osoba przychodziła często z kwiatami, przepraszała, że grupa jest niegotowa. Uczylałam takich studentów, jak choćby obecnego profesora Dariusza Kuleszę. Pamiętam Darka, który był skrępowany, że musi za grupę powiedzieć, że nie było czasu na przygotowanie. Do końca nauki studenci, którzy wybierali staropolską literaturę i zdawali egzaminy, byli sympatyczni i dawali się polubić.

Natomiast później obniżył się w ogóle poziom szkoły średniej. I z tym obniżeniem poziomu szkoły średniej obniżył się też poziom wiedzy studentów. Wymagało się mniej więcej tyle samo, ale nie można było utrzymać tego samego poziomu. Miałam nawet wyrzuty sumienia, że wymagałam za dużo intelektualnego wysiłku. Wymagałam tyle, ile przed reformą szkolnictwa, a nie powinnam, ponieważ był zupełnie inny program nauczania. Ze staropolskiej literatury we wcześniejszych latach trzeba było nosić teksty, żeby tę literaturę przybliżyć, pokazać studentom. Z biegiem czasu nie było to potrzebne, bo już na fragmentach czytano teksty na zajęcia. Ale starałam się, żeby Jana Kochanowskiego i Jana A. Morsztyna studenci zrozumieli i pokochali. Myślę, że coś tam ze szczytnych idei Rzeczypospolitej szlacheckiej, wartości moralnych obowiązujących uniwersalnie im zaszczepiłam. Przyznam, że było niewielu studentów, którzy rezygnowali z moich seminariów. Raczej do końca żeśmy się męczyli, studiując literaturę, a na koniec były bardzo dobre oceny.

Przez wiele lat i my byliśmy oceniani jako pracownicy. Co cztery lata trzeba było zdawać sprawozdanie, ile się napisało artykułów, w jakich konferen-

cyjach się brało udział, jakie się miało osiągnięcia naukowe, ilu studentów obroniło prace magisterskie. Miałam wysoką ocenę wystawioną przez ówczesnego kierownika Zakładu, prof. Jakuba Lichańskiego, wskazującą fakt, że prace magisterskie pisane pod moim kierunkiem mogą być drukowane w pismach naukowych. To była miła pochwała, gdyż poziom naukowy był należycie utrzymany. W ogóle jakość prac magisterskich na białostockiej uczelni, na uniwersytecie była wysoka.

Proszę o kilka anegdot z życia Wydziału.

Przez pewien czas, na początku pracy, mieliśmy jeden pokój na ulicy Świerkowej. To był Zakład Literatury Polskiej na WSN i Filii UW. Pedagogika była na parterze, miała wiele pokoi, a myśmy mieli jeden pokój. Wszyscy żeśmy się w nim mieścili i jeden pokój miała dyrekcja, czyli dwa pokoje dla dużej ilości osób, około czterdziestu pracowników. Mimo wszystko, było bardzo miło. Pamiętam, przyjeżdżał zmęczony po podróży, po zajęciach w Warszawie, wspaniały kolega, barwna postać – Lech Mróz, który wykładał antropologię kulturową. On się zajmował Cyganami. Lech siadał na krześle i na piętnaście minut zasypiał, potem był już jak skowronek świeży i szedł na zajęcia. Inna z kolei osoba musiała coś zjeść w tym samym czasie, bo była głodna po podróży, więc się rozkładała ze śniadankiem. To był jeszcze ten okres, kiedy sporo było trunków i to były normalne „podziękowania” od studentów. Uczyliśmy wtedy w innym zupełnie trybie niż dziś. Były przecież studia dzienne i studia zaoczne. Sytuacja była trudna, ponieważ po roku zajęć przez cały lipiec był zjazd studentów zaocznych i *gros* zajęć odbywało się właśnie w lipcu, w najgorętszym miesiącu. Byliśmy już po całym roku, po egzaminach, po obronach, a trzeba było jeszcze miesiąc czasu pracować i dopiero sierpień był wolny, a we wrześniu były poprawki. No i egzaminy wstępne – pisemne i ustne. Teraz mi się wydaje, że jest czasowo lepiej. Odetchnęliśmy ideowo i przestrzennie, gdy się przeprowadziliśmy do tego „popartyjnego” budynku.

Każdy zakład miał swój pokój albo i dwa. Literatura staropolska miała dwa piękne pokoje z widokiem na cerkiew i ulicę Lipową. Potem dobudowano budynek i tylko jedno okno zostało od ulicy Liniarskiego. Ważne jednak było to, że uniwersytet się rozbudowywał. Powstawały nowe kierunki, jak kulturoznawstwo. Prof. Sław Krzemień-Ojak do nas przyjechał, więc zabrał jeden pokój. Myśmy się musieli ścisnąć, ale było nas mało, niewiele osób miało zajęcia z literatury antycznej i staropolskiej. Ponieważ było to centrum miasta i gmach nie był przystosowany do zajęć dydaktycznych (i nadal nie jest przystosowany do zajęć) pracowało się ciężko. Jak się otwierało okno, to był szum i gwar od ulicy i nic się nie słyszało. A trzeba było je otworzyć, bo sala

była mała i było duszno. To minus, jeżeli chodzi o komfort pracy, natomiast lokalowo było już dobrze. Brzmi to niezbyt anegdotycznie.

Z tego, co słyszę, życie było intensywne?

Tak. Myślę, że życie naukowe i kulturalne nie było mniej intensywne niż teraz, chociaż teraz dużo się dzieje, a prof. Jarosław Ławski jest osobą, która to życie naukowe potrafi trzymać w garści. A to, co się dzieje, jest nieprzeciętnie budujące. Zachwycona jestem działalnością organizacyjną nowego dziekana, umiejętnością prowadzenia konferencji i ich rytmem. Dawniej oczywiście odbywały się konferencje, ale nie było naukowych spotkań tak wiele jak teraz.

Swego czasu olbrzymi wkład wniosła w życie naukowe białostockiej uczelni prof. Elżbieta Feliksiak, ponieważ to ona organizowała konferencje związane z Wileńszczyzną i z naszymi z nią związkami. To były znaczące konferencje, ponieważ ludzie, którzy zostali na Wileńszczyźnie po przemianach powojennych, zaangażowali się w białostockie spotkania i powstało wiele książek i artykułów na temat Kresów, nawiązano kontakty z uniwersyte-tem w Wilnie. Odbywały się ponadto inne konferencje: o Łukaszu Górnic-kiem i renesansie, o mecenacie Branickich, roli Jana Klemensa Branickiego i Izabelli Branickiej w rozwoju Białegostoku, konferencje językoznawcze. Dawniej spotkania i konferencje z literatury staropolskiej mieliśmy ogólnopolskie i były organizowane najczęściej w Warszawie. Ich organizatorami byli: prof. Janusz Pelc, prof. Teresa Kostkiewiczowa, prof. Alina Nowicka-Jeżowa, prof. Barbara Otwinowska a miejscem Uniwersytet Warszawski lub Instytut Badań Literackich w Polskiej Akademii Nauk. Kadra białostocka rozwijała skrzydła – rozwijała swoje możliwości, dopiero się tworzyła prawdziwa polonistka.

Efektom tego „tworzenia się” stała się samodzielna uczelnia...

Myślę, że Uniwersytet bardzo na tym skorzystał i bardzo skorzystali pracownicy, bo musieli się wypromować na samodzielnych naukowców, aby w mieście powstał prężny ośrodek. Ten ruch naukowy był silny. Jeżeli chodzi o pracowników i o zakład literatury staropolskiej, to myśmy nie mieli żadnych badawczych podstaw i nie było do ostatnich lat żadnego samodzielnego pracownika. Byłam w początkowych latach rozwoju uczelni jedynym długoletnim, „starym” pracownikiem. Jeszcze przede mną, w początkowych latach pracowała dr Barbara Noworolska. Pracowała krótko, a potem to już ja byłam najstarszą wiekowo osobą, która musiała tworzyć programy dydaktyczne, przygotowywać listy lektur i opracowań, przedstawiać na zebraniach sylabusy z literatury staropolskiej, prowadzić seminaria magister-

skie i kształcić nowe kadry. Z Warszawy przyjeżdżał prof. Jakub Lichański, wykład i swoje zajęcia przeprowadzał i tego samego dnia wyjeżdżał i w zasadzie nie interesowały pracowników z Uniwersytetu sprawy dydaktyczne. To było w obowiązkach miejscowej kadry, która zostawała. Przez dwa lata przyjeżdżał prof. Mirosław Korolko. Trzeba przyznać, że piękny wykład wygłaszał z literatury staropolskiej i retoryki i też wyjeżdżał. Zostawaliśmy sami i trzeba było uporać się z programami zajęć, dydaktycznymi zajęciami, seminariami, egzaminami końcowymi i wstępnymi. Praca była wyczerpująca i intensywna, wykonywana kosztem czasu przeznaczanego na pracę naukową.

Pamięta Pani imiona i nazwiska swoich wybitnych studentów?

Nie dałabym rady wymienić wszystkich. Jak wymienię część osób, to pozostałe wybitne indywidualności mogą mieć słuszną pretensję. Ale wspomnę kilka nazwisk. Mówiłam już o Darku Kuleszy, był rzetelnie pracowitym intelektualistą. Dr Wiesław Stec – jeden z pierwszych liczących się studentów zainteresowanych literaturą dawnych wieków, dziś wykładowca UwB. Gdy zaczynałam pracować jako asystentka, Wiesiek Stec był studentem na I roku. Dobrze pamiętam i wspominam ten rocznik z 1973 roku. Funkcjonowała forma opiekuna naukowego. Byłam opiekunem naukowym na I roku i bardzo dużo osób z tego rocznika się wybiło. Halinka Stec, która jest obecnie dyrektorem uniwersyteckiej biblioteki, (pamiętam nawet jej nazwisko panieńskie: Brzezińska), była właśnie na I roku i to była uroczą parą: Wiesiek z Halinką. Na pierwszym czy na drugim roku była Halina Świączkowska, obecna profesor zwyczajny. I wielu studentów, których uczyłam na roku pierwszym literatury staropolskiej jest już dziś profesorami, wybitnymi dyrektorami szkół białostockich, jak Ania Zawadzka, czy szanowanymi nauczycielami, wspomnę Grażynę Werhun.

Jak wyglądała praca ze studentami pierwszego roku polonistyki?

Widziałam strach w oczach wielu studentów I roku, może nie przed zajęciami, ale przed końcowym egzaminem. Materiał był rzeczywiście obszerny i daleki czasowo: średniowiecze, renesans, barok; i gdyby rozluźniło się całoroczne wymagania, to byłoby nie najlepiej na końcowym egzaminie. Jednocześnie trzeba było do młodych po szkole średniej ludzi podchodzić „pedagogicznie”. Kształciłam w sobie to wychowanie pedagogiczne, bo „matczyłam” niekiedy studentom, którzy sobie nie radzili. Jedną sprawę głównie miałam na uwadze: by przestawić tradycyjne myślenie wyniesione ze szkoły na twórcze myślenie. Na czym ono polegało?

Polegało na innym podejściu do interpretacji tekstów literatury staropolskiej. Starałam się pokazać, że odbiór tekstu może być zupełnie inny od

założeń i interpretacji znanych im ze szkoły, z domu, że interpretacje nie muszą być jednoznaczne, że tekst skrywa myślenie i wartościowanie ludzi z dawnych czasów. Chodziło mi też o to, by pokazać na przykład, że *Bogurodzica* jest nie tylko najstarszym, pięknym utworem w języku polskim, ale i artystycznie skomplikowanym. Studenci czytając teksty i opracowania powoli docierali do piękna, do skrytych w literaturze wartości, odkrywając finezyjną konstrukcję, schemat powtórzeń i rymów. Na zajęciach większą uwagę kierowałam na literacki tekst, starałam się przedstawiać objaśnienia językowe, a nie szeroki kontekst historyczny czy dogłębną wiedzę o epokach, bo to można zawsze doczytać z podręcznika i opracowań. Wydaje mi się, że miało sens to czytanie od nowa, szukanie nowego spojrzenia, odkrywania literackiej wrażliwości. Różny był stopień aktywności, zaangażowania, ale dawało się zauważyć zmianę myślenia, dojrzałość zainteresowań. Jak sobie przypominam, na wykładach z literatury staropolskiej, w ostatnich latach, było dużo osób, a na wykłady monograficzne przychodzili studenci z innych kierunków humanistycznych. Jednak ta literatura trochę studentów interesowała. Oczywiście, każdy miał swoje indywidualne zainteresowania i młodzi ludzie rozumieli lepiej literaturę współczesną niż staropolską.

Romantyzm już był dla nich literaturą trudną, a co mówić o XVI i XVII wieku. To bardzo daleko od współczesności, która pędzi i się zmienia. Myślę, że to zainteresowanie mogłam budzić ukazywaniem niebanalnej interpretacji utworu, opartej na odsłanianiu konstrukcji dzieł i wyjaśnianiu języka utworów literackich. To do studentów trafiało, bo konstrukcja literatury się zmienia, jak się też zmienia myślenie ludzi, kultura intelektualna człowieka, ale potrzeba dotarcia do ukrytych w literaturze wartości jest tak uniwersalnie ludzka, że niezbywalnie potrzebna każdemu. Powieść ma teoretycznoliteracką kategorię narratora, ma świat przedstawiony, ma bohatera, itd. Wiersz ma podmiot liryczny, ma środki artystyczne, czy to będzie średniowiecze, czy to będzie antyk, czy współczesność. Opanować teoretycznoliterackie narzędzia, wiedzę o historycznoliterackich uwarunkowaniach to posiąść „aparatus” filologiczny i umiejętność pracy z tekstem. Nad tym zagadnieniami pracowałam, a długoletnia praca ze studentami zaowocowała metodą uniwersalistycznego czytania literatury, takiego objaśniania tekstu, które opiera się propozycji odczytania uniwersalności przekazu literackiego, bo uniwersalny jest środek przekazu – język. Rzecz jasna, kontekst historyczny musi być zapoznany, a następnie język tekstu literackiego zastąpiony dzisiejszym rozumieniem słów. Język charakteryzuje się specyficznym, kulturowo uwarunkowanym bogactwem sensów, które można objaśniać w każdej epoce. Oczywiście, to wymaga wiedzy

i interdyscyplinarnego podejścia, bo nie można być „specjalistą” tylko w jednej, wąskiej dziedzinie. Potrzebna jest w humanistyce wiedza z psychologii społecznej, politologii, historii, socjologii i antropologii. Ale jest to sposób, która przybliży sensy ogólnoludzkie i dzięki semantyce języka tekstu, jednocześnie nas doskonalą w rozumieniu ludzi i ich życia utrwalonego w tekście pisanym, bo jedynie przez tekst możemy dotrzeć do tego, jak rozumiały prawdy ponadczasowe pokolenia, które odeszły.

Studenci byli tym zainteresowani?

Jeżeli student interesował się literaturą, to wiadomo, że był polonistą z krwi i kości. Wyjawiał swoje sympatie czytelnicze, przychodził, zgłaszał się, mówi, że on pisze wiersze i czy może prosić o opinie. Na współczesnej literaturze nie znałam się na tyle, by opiniować, lecz zawsze wysyłałam do kogoś, kto się znał gruntowniej. Ale to sami studenci okazywali swoje zainteresowane. Wspominam również z sympatią studentów, którzy umykali pod różnym pretekstem z zajęć lub byli nieprzygotowani do ćwiczeń, bo mieli inne zainteresowania, o których mówili głośno i oni mi nie przeszkadzali swoim głębokim brakiem wiedzy z literatury staropolskiej. Na egzamin przychodzili dostatecznie przygotowani i dostawali pozytywne oceny. Pamiętam Romka Bakę, to dość dawne czasy, ale Romek nie czuł się polonistą z powołania, był świetnym sportowcem, nie chciał iść do wojska i na polonistyce stworzył bardzo inteligentną grupę „nieinterpretatorów” literatury, ale studentów zainteresowanych życiem pozaliterackim, takich współczesnych sowizdrzałów. Zażartować, opowiedzieć anegdotę, rozładować napiętą sytuację, gdy wykładowca pytał: „Kto teraz odpowie na to pytanie?”, albo: „Jak myślicie, co to znaczy taki zapis?”, i gdy zapadała cisza, wówczas znajdowali się sowizdrzałowie, którzy rozładowywali humorystycznym powiedzonkiem zaistniały moment napięcia i zajęcia bezkonfliktowo dalej przebiegały, można było kontynuować ćwiczenia. Nie miałam konfliktów ze studentami.

Na początku, jak się zaczyna pracę, to jest się bardzo surowym wykładowcą przejętym swoją rolą, stawia się wysokie wymagania innym i sobie, gdy się zarywa noce i przygotowuje do zajęć. Ale z wiekiem, mam wrażenia, że pracownik staje się wyrozumiały wobec własnych i innych słabości. Pamiętam z pierwszych lat pracy, miałam studenta, który coś dokładnie, bez odwołań, przepisywał z książek w pracy rocznej. To było ewidentne, więc sprawdzając, napisałam: „Zobacz, przywołaj w przypisie, z jakiej pozycji książkowej było to przepisane”, czyli podeszłam rygorystycznie, stwierdzając, że praca jest niesamodzielna. Obniżyłam ocenę, a student później się poprawił i zaliczył. Spotkaliśmy się po wielu latach na konferencji. I tenże pan,

którego do dziś nazwisko pamiętam, podszedł do mnie – myślałam, że z zadowolonej pretensją – a on powiedział, że jest mi bardzo wdzięczny za to, że go skrytykowałam, obniżyłam ocenę, ponieważ przez ten fakt wzbudziłam w nim ambicje i chęć dalszej, samodzielnej pracy twórczej. A więc czasami surowe podejście mobilizuje i motywuje studenta do twórczej pracy.

Dziś brakuje Pani polonistyki? Tego wyjątkowego żywiołu dydaktycznego?

Brakuje mi satysfakcji płynącej z pracy ze studentami. Ale jednocześnie, jak sobie pomyślę, że było to często ciężką harówką, to się cieszę z czasu wolnego. Poza tym piękne jest to, że teraz można czytać z literatury to, na co wcześniej nie było czasu. Można również wyjeżdżać bez lęku, że czegoś się nie doczyta, nie sprawdzi się leżącego stosu prac rocznych. Ma więc to zwolnienie od pracy i dobre strony. Prof. Ławski przysyła informuje o naukowych konferencjach odbywających się na uczelni i poza, przychodzą maile z informacjami o zebraniach naukowych i spotkaniach. Można być na bieżąco z toczącym się nadal uczelnianym życiem. Mogę się w końcu pochwalić, że napisałam trzy książki, ponad trzydzieści artykułów i studiów z literatury staropolskiej i współczesnego życia kulturalnego Białegostoku, ponieważ my, pracownicy nauki, nie jesteśmy z tych ludzi, którzy by zażywali zbytku uznania z zewnątrz za naszą żmudną, a czasem bez tak istotnych i rzetelnych wyników jak nasza praca. Uczyłam studentów nie tylko na naszej uczelni, ale i na kulturoznawstwie w Wyższej Szkole Administracji Publicznej im. Stanisława Staszica w Białymstoku oraz na politologii w Wyższej Szkole Finansów i Zarządzania, zajęcia miałam ze studentami pedagogiki oraz w białostockiej szkole teatralnej.

Co powinniśmy zrobić, by więcej ludzi przychodziło na polonistykę? A może studia powinny być elitarne i kształcić tych, którzy mają wyjątkowy zmysł humanistyczny?

Przyznam się, że nie myślałam głęboko nad tym zagadnieniem. Rynek pracy... To jest bardzo ważne. Nie ma wolnych miejsc dla polonistów w szkołach, więc jest to dziś taki kierunek „sobie a Muzom”. Może należy zrobić interdyscyplinarne studia, tzn. nie oddzielne kierunki: socjologia, filologia polska, kulturoznawstwo itd. Do tego doszłam, pracując długo ze studentami, że należy być humanistą wszechstronnym, jeżeli się chce być w ogóle humanistą. Tu nie chodzi o to, żeby obciążyć studentów i jeszcze dołożyć polonistom porcję wiedzy z socjologii i psychologii. Trzeba tylko programy nauczania tak skomponować, żeby przy literaturze, przy językoznawstwie można było prowadzić na przykład matematykę, a przede wszystkim logikę. To jest to, dobry polonista nie tylko językoznawca, nie może nie myśleć

matematycznie, geometrycznie, język jest strukturalny, geometryczny, semantyczny. Jeżeli mówimy o literaturze, to język literatury jako środek przekazu myśli zawsze jest semantyczny, semantyka języka w trakcie studiów literaturoznawczych ważna jest jak gramatyka w językoznawstwie. Ten podział na językoznawstwo i historię literatury jest anachroniczny. Język charakteryzuje kulturowa specyfika, język jest kulturowo uwarunkowany bogactwem sensów przekazujących uniwersalne treści ogólnoludzkie. Dlatego wszechstronnego badania i wyjaśnienia wymaga język potraktowany jako humanistyczny bagaż historyczny, który musi być poznany a następnie zastąpiony dzisiejszym rozumieniem znaczenia słów.

Pani Doktor, czego by Pani życzyła białostockiej filologii? I czego życzyłaby sobie?

Humanistycy, żeby była znacząca w kulturze, żeby liczyła się w kraju i za granicą.

A sobie? Żeby oglądała rozwój polonistyki na arenie krajowej i międzynarodowej, żeby ranga polonistycznych studiów wzrosła bardziej, zyskała uznanie i zaskakiwała swoją świeżością.

Dziękuję za rozmowę.

Budynek Uniwersytetu
w Białymstoku,
Plac Uniwersytecki 1
(obecnie NZS-u 1)



Ryszard CHODŹKO

RYSZARD CHODŹKO

– doktor nauk humanistycznych, literaturoznawca, prozaik, eseista. Ukończył filologię polską na Uniwersytecie Warszawskim, uzyskał stopień doktora za rozprawę o twórczości Kazimierza Truchanowskiego. Debiutował na łamach prasy jako eseista w 1974 roku. Specjalista od literatury współczesnej na Uniwersytecie w Białymstoku.

Autor wielu książek naukowych i artystycznych. Wydał monografię o powieściopisarstwie Kazimierza Truchanowskiego *Pejzaże świadomości* (1980), podręcznik z literatury współczesnej dla klas maturalnych *Wyobrażenia wyzwolona. Rzeczywistość osoby i nierezeczywistość doktryny* (1992). Jest współautorem antologii literaturoznawczej prezentującej problematykę pogranicza kultur *Doświadczenie prowincji* (1993), eseistyki *Strefy konfesji i kreacji. Studia o polskiej prozie kreatywnej* (1992) oraz rozprawy *Konfesja podmiotowa w polskiej prozie kreatywnej* (1993). W 1994 roku opublikował książkę eseistyczną *Żabalsamowana dolina. Studia o polskiej prozie kreatywnej pogranicza kultu*”.

Autor powieści *Pokrzyk* (1987), *Anioły* (1990), zbioru opowiadań *Gadające głowy* (1992), prozy *Księga pragnień* (1993), *Bóg wschodzącego słońca* (2000), tomiku poezji *Mała Atlantyda* (1999).

HOLOGRAM PRZYSZŁOŚCI

Panie Doktorze, zaletą studiów humanistycznych jest brak monotonii. Ciągłe coś się dzieje, przede wszystkim w przestrzeni intelektualnej: dyskusje, spory, niekończące się refleksje o sztuce, literaturze, filmie, muzyce...

Dr Ryszard Chodźko:

Tak. Kiedy pracowałem w środowisku studenckim i akademickim, nie było żadnej monotonii, nie było temperatur niskich, wysokich ani średnich. Była swoista dodatkowa piąta pora roku. Jak powiedziałaaby Krystyna Sien-



kiewicz... Czas odbieram nie poprzez porządek pamięci, ale poprzez porządek fraktalny, tak jakby te wszystkie punkty pamięci były we fraktalach – w hologramie. Od piętnastu lat zajmuję się amatorsko, czyli profesjonalnie, fizyką kwantową. Wiadomo, że każdy naukowiec zaczyna jako amator. Dopiero po wielu latach pracy staje się specjalistą w dziedzinie, którą sam tworzy. Specjalista, który zaczyna od uczenia się tego, czego inni dokonali przed nim, nigdy nie wprowadzi do nauki czegoś absolutnie nowego.

Humanistyka to dziedzina, która w swojej naturze ma na szczęście taką głębię, że można ją łączyć z naukami ścisłymi. Dlatego nie odwołuję się do porządku pamięci, bo pamięć informacyjna nie w całości istnieje w naszej świadomości, rozumianej jako umysł-mózg. Czas i przestrzeń, czasoprzestrzeń i rzeczywistość istnieją w naszej digitalnej świadomości. Są ze sobą splątane. To w nas jest czasoprzestrzeń i tak zwana świadomość umysłowa, a my jesteśmy świadomością nielokalną i oczywiście beczasową. Można rzec – wieczystą albo wiekustą. Jak teraz mnie Pan pyta, Panie Dominiku, co pamiętam, to ja się odwołuję do tych materiałów, informacji, które istnieją w podświadomości, czyli do tych dziewięćdziesięciu kilku procent. Ale podświadomość nie istnieje wyłącznie w naszym mózgu. Jest nielokalna, bo istnieje w polu punktu Zero, czyli w zasadzie w czasoprzestrzeni torusowej. Za chwilę wrócimy do tego, co pamiętam, co pamięta moja podświadomość, ale znowu powiem coś na adres odbiorców tych wspomnień. Podświadomość w ciągu nanosekundy czerpie informacje rzędu kilkunastu milionów bitów, a nasza wysepka świadomości kilkanaście jednostek bitów. Więc kto kim rządzi?

Jakie więc nazwiska przychodzą Panu do głowy, kiedy myśli Pan o ważnych dla siebie ludziach?

Można by oczywiście listę tych wszystkich przyjaciół – współpasażerów z tego „pociągu” – przywołać. Byłoby ich pewnie kilkudziesięciu, „cudzołożników”, tych moich bliskich, z którymi stykałem się na kwaterze. Na kwaterze „podwodnej”. Taka kwatera mieści się pod progiem naszej izby i to jest w zasadzie kwatera rozumiana, jak u niektórych „wielkopisarzy”, jako nieskończoność. Izba, kwatera, pokój bez dachu, bez podłogi i bez ścian. To jest chyba najlepsze pojęcie nieskończoności, jakie możemy odnaleźć w fizyce kwantowej. To jest właśnie nieskończoność. To jest tak zwana leniwa ósemka, wynaleziona zresztą przez naukowców, mistyków i pisarzy w połowie siedemnastego wieku. Nawet jest taki krzyż św. Bonifacego. To jest krzyż typowy, przypominający krzyż chrześcijański, ale jeszcze wokół rąk Jezusa rozpostarta jest łącząca dwa ramiona ósemka. I to daje Punkt Archimedesowy, ten punkt, o którym mówił Franz Kafka.

Cenni ludzie przewijali się przez moje życie na tych kwaterach, czyli Sa-

dach Antoniukowskich, Ciepłej czy Sienkiewicza. Na marginesie powiem, że z Sienkiewiczów cenię Krystynę Sienkiewicz. Nie mam chyba szczęścia do Sienkiewiczów i do wywiadów. Jestem zwyczajowo kasowany, a nawet marginalizowany. Książkę *W przestrzeniach słowa, czyli zdobywcy i tułacz: rozmowy z pisarzami* wydało Radio Białystok i w pierwszej wersji w 2006 roku można moją sylwetkę odnaleźć na pierwszych stronach, w drugiej już jej nie ma, na moim miejscu jest ktoś inny. Bóg raczy wiedzieć, dlaczego? Wspomniałem w wywiadzie, że za mało Boga w mediach i w telewizji. Wracając do spisu pamięci, od razu powiem, że nie jestem Brigitte Bardot i nie będę układał pamiętników, choć u niej można odnaleźć bardzo cenne miejsca na temat kultury muzułmańskiej w Paryżu i we Francji.

Z Uniwersytetem w Białymstoku związałem się od '68 roku, początkowo jako student. Po ukończeniu polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim wróciłem na uczelnię jako pracownik. Kto u nas bywał na kwaterze? Nie będę wymieniał tytułów, ale większość tych osób wymienionych obarczona jest „garbem” profesora. Andrzej Makowiecki – specjalista od moderny, Teresa i Jerzy Kopaniowie, antropolog Lech Mróz, Anna i Andrzej Goreń, Marian Jurkowski, Czesław Dziekanowski, który bardzo często u nas ba- wił. Wanda i Lesław Sadowski – są teraz na Florydzie? Grzegorz Grabski, Elżbieta Feliksiak – bardzo często u nas przebywała i dużo rozmawialiśmy nie tylko o hermeneutyce. Zbigniew Jarosiński, Jolanta Brach-Czaina, która fragment mojego *Pokrzyku* chyba przetłumaczyła i być może spopularyzowała. Profesor Józef Wierzchowski... Osoby związane z pedagogiką i psychologią: Mariola Wojtkiewicz, która wyinscenizowała moje *Gadające głowy*, Katarzyna Citko związana z filmem (często bywała z Mariolą), Tomasz Olchanowski. Bogusław Nowowiejski, z którym żaglowałem po jeziorach mazurskich. Jolanta Sztachelska, która często przebywała – tak jak ja – w Domu Pracy Twórczej w Oborach. Profesor Jerzy Bralczyk, bardzo częsty bywalec wszystkich naszych kwater. Profesor Helena Karwacka, była dyrektor Instytutu Filologii Polskiej. I rzecz jasna non stop przebywała moja żona, Bożena Anna Chodźko, pracownik Uniwersytetu, specjalistka od literatury staropolskiej. Bywali intensywnie, każdy się zaznaczył w tym obszarze nieskończoności rozumianej jako piąta pora roku.

Kiedy studiowałem polonistykę, nie było komputerów, nie było Internetu, więc ludzie czerpali wiedzę z książek, z bibliotek, z rozmów między sobą. To jest polonistyka, której już chyba nie ma, a do której Pan z sentymentem powraca...

Ma pan rację, Panie Dominiku. Dyskurs taki się toczył powszechnie nar- racyjny, nie było tych cyberprzestrzeni internetowych, fejsów i wszel-

kich połączeń elektronicznych. Myśmy się mocniej wtedy razem łączyli. W sześćdziesiątym ósmym i dziewiątym roku (pamiętam) łączyła nas jeszcze także uczelniana służba wojskowa. Zresztą, jeżeli chodzi o ten moment połączeń, to łączyły nas też sytuacje ekstatyczne. Tak się składa, że aktywizując kulturę studencką, założyłem teatr absurdu. Mieścił się w klubie „Olimp” przy obecnej Alei Piłsudskiego. Spotykaliśmy się też często w innych klubach studenckich, rozbuchanych trochę, w znaczeniu pozytywnym i ekstatycznym. Był wówczas taki Klub Wyższej Szkoły Inżynierskiej „Proton”, również klub „Co Nieco”, były też Herkulesy. Kluby studenckie działały na zasadzie orbitującej i spotykaliśmy się często w marsz-ruchu, małym biegu, wokół Ratusza, w okolicach rynku lokacyjnego i Delikatesów. Spotykali się ze sobą studenci wszystkich uczelni, nie tylko na Pogonaliach czy Juwenaliach. Niektórzy znani miejscowi pisarze mieli taką dobrą kondycję, że chodzili wokół Ratusza zimą w kozuchach, ale na bosaka. I to nie była moda, to był taki naturalny wyczyn ekstatyczny. Chodził tak jeden ze znanych twórców wielu powieści, słusznie nagłośniony między innymi również w Warszawie, którego dzieła zostały zekranizowane.

Nie zdradzi pan jego nazwiska?

Niech to będzie słodka tajemnica, ja także chadzałem zimą jako „bosonóg”. Miałem kiedyś smutne spotkanie przy Ratuszu z Wiesławem Kazaneckim. On chciał ze mną porozmawiać bardzo poważnie. Wróciłem wtedy z Obór. On czuł wielką niedomogę sercową, powiedziałem, że może jutro? On na to: jutro będzie za późno. Rzekł mi na odchodne, że chciałby ze mną porozmawiać o Plotynie, którego właśnie odkrył. Filozofa, który uważał, że w zasadzie wszystko jest jednością, całością i że wszystko ze sobą jest tak naprawdę połączone. Co potwierdza nowa fizyka. Wszystko mieści się w hologramach kwantowych i to nie jest rodzaj szamanizmu ani schizofrenii. Nie tylko cząstki X są połączone. Istnieją pola torsyjne, które są szybsze od światła o co najmniej milion razy. Wszystkie nasze elektrony i protony w ciele również są połączone jak fotony, bo fotony to cząstki światła-informacji. Wszystko jest całością. Nie musimy należeć do jakiegoś związku, który ma na sztandarach hasło jedność, całość czy solidarność, bo już jesteśmy w solidarności kwantowej i linia historii jest w istocie linią umowną, bo ona trzyma się porządku linearnego. Wszystko jest równocześnie w hologramie, w tu i teraz, czyli, można powiedzieć banalnie, w Wiecznej Teraźniejszości. I dlatego z Wieśkiem Kazaneckim spotkałem się niby po niewczasie, czy już po czasie, bo jakby za późno, jakby przed jego definitywnym odejściem, ale tak naprawdę z nim się nie rozminąłem, bo jesteśmy w hologramie, nasza świadomość jest całością.

Wspominam go jako wielkiego twórcę, a tych twórców w tym mieście i na Podlasiu jest niewielu. Inni twórcy są półtwórcami, ale ambitnie pretendują do roli twórców. Wiesław Kazanecki i Edward Redliński to twórcy.

Jak wyglądały relacje wykładowcy – studenci?

Te relacje były żywe i interakcyjne, bo na przykład miałem takie stare biurko w byłym gmachu Komitetu z epoki Bolesława Bieruta. I do tego biurka przychodzili do mnie studenci również z innych wydziałów. Z polonistyki, z prawa, z pedagogiki i psychologii, mający jakieś gorzkie żale. Zaczynałem wtedy rozumieć, że system edukacji powinien być zmieniony, że to studenci powinni uczyć pracowników naukowych, a nie pracownicy naukowi studentów. Zabrzmi to jak schizma albo schizofrenia, ale w tym jest bardzo wiele prawdy, proszę to spraktykować. O tych systemach nowej edukacji mówią niektórzy naukowcy, głównie w przestrzeni angloamerykańskiej. Po prostu przychodzimy wszyscy na salę wykładową czy salę konwersatoryjną i zaczynamy wzajemnie się uczyć. Nowa interakcja między studentami nie powinna polegać na udostępnianiu im wyłącznie najnowszych środków komunikacji elektronicznej. Panujący obecnie system nauki i oświaty jest wadliwy i niebezpieczny. Kształcenie stanowi bowiem rodzaj inicjacji. W tej dziedzinie nadal panuje „średniowieczna” hierarchia, którą podkreślają szaty i tytuły naukowe. Togi... Z takich szeregu wywodzą się nasi biurokraci i technokraci, uczeni i intelektualiści. Większość studentów, przewijających się przez wszystkie uniwersytety, bardziej zainteresowana jest otrzymaniem tytułu niż wykładanymi przedmiotami.

Tego rodzaju oświata najwyższym arbitrem ustanawia bezuczuciowy, odcieleśniony, oderwany umysł, oddziaływający bardziej na umiejętność pisania niż na wypowiedzieć ustną. Alternatywny model oświaty również opierałby się na inicjacji, ale pojmowanej znacznie szerzej, wykraczającej poza wąską dziedzinę intelektu. Szymujemy hasłem obiektywizmu, a kiedy na przykład uczy się dzieci literatury w tym duchu, nie czyta się wielkiej poezji przy akompaniamencie bębnow, nie wprowadza się do niej wymiaru magicznego i mitycznego. Ważne jest także uczestnictwo społeczności lokalnej (w naszym przypadku całego Podlasia) w ustalaniu programu uniwersyteckiego.

Trzeba zadać sobie pytanie: dlaczego zmagamy się, by osiągnąć wykształcenie? Czy wyłącznie po to, by zdać jakieś egzaminy i dostać pracę? Czy też może, aby zrozumieć, będąc jeszcze młodym, cały proces życia?! Jest istotne, by mieć pracę i zarabiać na swoje utrzymanie – ale czy to wszystko? Czy tylko po to się kształcimy? Zapewne życie jest nie tylko pracą i zawodem, życiem jest czymś niezwykle rozległym i pojemnym, wielkim misterium, digitalną

realnością, w której funkcjonujemy jako istoty ludzkie. Znacznie ważniejsze jest, byśmy rozumieli życie, nawet jeśli życie na Ziemi zostało zhakowane przez różnych hackerów. Tak jak to symbolicznie obrazuje film *Avatar*. Cierpienie, którego częstokroć doświadczamy, bierze się ze złudnego postrzegania samych siebie jako odrębnych i niezależnych istot żyjących w świecie takich samych niezależnych bytów. Poczucie odrębności leży u podłoża przekonania, że dzięki gromadzeniu rzeczy kojarzących się z przyjemnością zapewniamy sobie jako jednostki trwałe i nieprzemijające szczęście. Wskutek tego przekonania chciwość rozwija się w Wieczne Nie-nasycenie. Ponieważ samolubstwo i chciwość opierają się na irracjonalnych przesłankach, do ich podważania potrzebna jest duchowa praktyka.

Może dlatego tak dobrze słuchało się Pana wykładów o Jungu?

Ja to pamiętam, czyli pamięta to moje pole kwantowe, oczywiście tzw. „ja” z racji kontaktu z Dziekanowskim, z Olchanowskim, z Kamińskim wchodziłem też w tę nieświadomość jungowską. Poznałem Waldemara Dudka, który mnóstwo prac o Jungu wykreował. Jung mnie fascynował, bo on doszedł do przedproża pojęcia tej nieświadomości rozumianej jako głębia kwantowa. To nieświadomość ma nas, a nie my ją. Czy nawiązywałem takie relacje w ramach głęboko rozumianego pojęcia jedności? Oczywiście, można by rzec, że łamałem jakieś bariery czy schematy. Zdarzało się na przykład na zajęciach, jeśli one miały rzecz uwypuklić kreatywnie, że omawiając tekst Agnieszki Osieckiej śpiewałem piosenkę. Uważałem, że jest to naturalne, bo w ten sposób rozpoznajemy konkret. Zachęciły mnie do tego zajęcia dydaktyczne, dziesięcioletnie, w Akademii Teatralnej, bo tam na pewno się granice trochę rozmywały, ale myślę, że głównie na ten mój styl wpływ miała fizyka kwantowa, kiedy zrozumiałem, że schematy linearne, powierzchniowe, rozumiane jako pewnego typu powinności, i wierzenia, że w kosmosie wszystko ma układ przyczynowo-skutkowy, nie są sensowne i nie są prawdziwe. Zrozumiałem, że to zmusza mnie do działania całościowego, to znaczy, że to pojęcie umowne holoruchu było potrzebne, więc to w pewnym sensie praktykuję. Być może dlatego do życia włączam sympatie skierowane w kierunku pola natury. Kocham psy i daniela. Zrozumiałem, że nie ma autorytetów, że nie ma mocnych w tej naturze, wszyscy są mistrzami i nie ma tego układu realnego, autorytet i słuchacz, mistrz i student czy odbiorca tekstu. Wszyscy powinni się uczyć od siebie i tak powinna wyglądać edukacja współczesna. Nie nowe środki elektroniczno-techniczne, ale nowy człowiek.

Warto w tym momencie przypomnieć znamienne wypowiedź 67-letniego Tolkiena, autora *Władcy pierścieni*. W swojej pożegnalnej mowie w Oxfor-

dzie zaczął mówić o chwale tej uczelni oraz znaczeniu akademickiego życia i nauki. Wypowiedział też parę krytycznych uwag na temat kierunku, w którym zmierza uniwersytet. Tolkien przestrzegał przed tendencją do uniformizacji studiów wyższych. Tolkien był zdania, że trzeba pozwolić studentom uczyć się i prowadzić badania na ich własny sposób. Nie zaś narzucać im formy wybrane przez wykładowców. Ostatnim akcentem jego mowy, zamykającej długie lata nauczania w jednym z najlepszych uniwersytetów świata, było odczytanie wiersza napisanego w języku elfów. Pieśni pożegnalnej.

Jak więc polonistyka powinna się zmieniać, by sprostać wyzwaniom? A może nie powinna się zmieniać? Może klasyka w wydaniu nie-elektronicznym jest najlepsza?

Pytanie bardzo głębokie, ale spróbuję odpowiedzieć. Wyczuliśmy, że zbliżanie się do tej najbardziej ekstrawagantnej techniki elektronicznej nic nam nie da, tylko da przyspieszenie, ale pytam o kierunek, o wektor tego przyspieszenia, do czego przyspieszenie? Szybszy rozwój cywilizacji ku czemu? Ucieczka od natury w kierunku czego, w kierunku digitalności rozumianej jako światy wirtualne? No, chyba nie o to chodzi. Chodzi o zrozumienie esencji życia, nawet jeśli to życie zostało zhakowane. O zrozumienie wielkich tekstów, nawet jeżeli te teksty już gdzieś przepadły, jak u Borgesa w Wielkiej Bibliotece, w wieży Babel, tak jak w *Księdze Piasku*. Gdzie jest taka księga, która nie ma ani pierwszej, ani ostatniej strony i w której jest zawarta nieskończoność? Jeśli znikną z naszego życia wielkie księgi, księgi Schulza, księgi Kafki, księgi tych twórców, którzy zawarli esencję życia, to skończymy się, będziemy wyduszkami obudowanymi różnymi przewodami, diodami, tranzystorami, układami scalonymi. Staniemy się biocyborgami – jak w Arabii Saudyjskiej, gdzie powołano do życia sieć neuronową – sztuczną inteligencję. Dlatego polonistyka podlaska w Białymstoku ma największe szanse, bo jest na naturalnych rozłogach kultury. W mateczniku przetrwała Źródłowość. Polonistyka ma być kreatywna w tym znaczeniu, że musi otworzyć się na Księgę Życia i precyzyjnie dozwalać elektronikę. Ale także jej grozi cyberatak.

W kwantowej sferze teorii strun istnieje założenie, że czasoprzestrzeń ma 10 wymiarów – jeden czas, trzy wymiary przestrzeni, jaką znamy – i sześć wymiarów przestrzennych, które niejako zapadły się w inną skalę percepcji. Co można porównać do cyfrowej kompresji w komputerze. Przestrzeń charakteryzuje rzeczywistość, ale wszystko, o czym sądzimy, że jest materialne, czyli złożone z cząstek, w rzeczywistości składa się z wibracji. Dlatego nietrudno zrozumieć, że jeśli zmienia się częstotliwość wibracji, pociąga

to za sobą również zmianę rzeczywistości. Rzeczywistość nie ma granic, tylko nasza percepcja podlega ograniczeniom. I jeszcze kwestia ciała. Wypada także przejść przez transformację, która jest oparta na zrozumieniu własnej genetyki. Ciało – poza Innością i Tożsamością. Ludzkie ciało nie jest tym, czym się wydaje. W rzeczywistości tzw. ciało jest jak rzeka, która ciągle płynie i bezustannie się zmienia. Ciało nie jest rzeźbą, jest jak chmura – wir wibracji, energii, który w 99 procentach stanowi pustą przestrzeń. Mam tu na myśli ciało jako ideę, chmurę energii i ciągłą zmianę. Gdy zaczniemy dostrzegać, co się znajduje za fasadą tego obrazu w lustrze, zaczyna się zrozumienie.

Z całą pewnością nie istnieje inny sens edukacji, aniżeli umożliwienie zrozumienia uczniom i studentom całej dziedziny życia ze wszystkimi jej subtelnościami, niezwykle pięknym, z jej smutkami, radościami i śmiechem. Możemy otrzymywać stopnie, stopnie naukowe, oficerskie, posiadać odznaczenia i bardzo dobrą pracę, ale co dalej? Jaki jest sens tego wszystkiego, jeśli w tym procesie edukacji nasz umysł stanie się znużony, otępiały, ograniczony? Czy zatem nie w młodości powinniśmy poszukiwać, badać, jaki jest sens dwubiegunowego życia? Wojny, ofiary, krew, lęk, frustracja, miłość i radość... Bo gdy będziemy się bali, nigdy nie staniemy się inteligentni. Gdzie panuje strach, nie ma inteligencji! Żyć to znaczy znaleźć na własną rękę to, co jest prawdą. A możemy tego dokonać tylko w warunkach wolności, kiedy istnieje w nas wewnętrzna wolność, wewnętrzna transformacja, wolność od *libido dominandi*!

Dwukrotnie, bezpośrednio po każdej z wojen światowych, Karl Jaspers pisał o „idei uniwersytetu”. Zamierzał pogłębić świadomość tej idei w sobie, wśród studentów oraz nauczycieli akademickich. O żywotności idei uniwersytetu decydują studenci i profesorzy. Dopiero w drugiej kolejności liczą się formy instytucjonalne. Instytucja jej nie zbawi, jeśli tłumi się jej żywotność. Trzeba jej ożywczego tchnienia przechodzącego od człowieka do człowieka. Trzeba zachęty w nowych, odpowiadających sytuacji pracach podnoszących samowiedzę oraz wzmacniających jej skuteczność. Wypada dodać, że prawdziwy student pragnie tej idei, jest gotów ją przyjąć i właściwie jest bezradny, nie odnajdując jej u profesorów. Musi ją wówczas urzeczywistniać samodzielnie.

Czy dziś brakuje Panu tego żywiołu naukowo-dydaktycznego? To był świetny sposób na ładowanie bakterii – przepraszam za przejęzyczenie – baterii...

Ładowałem i baterie, i bakterie. Dobrze Pan mówi, bo bakterie stanowią bardzo istotne supergeny w naszym organizmie. Okazało się, że ten drugi

„mózg jelitowy” jest bardzo ważny. W jelitach znajduje się około 100 miliardów neuronów, czyli więcej niż w rdzeniu kręgowym. Wytwarzają one 95 procent serotoniny obecnej w organizmie (serotonina to jeden z najważniejszych neuroprzekazników). Około 80 procent wszystkich informacji sensorycznych, które docierają do mózgu, jest transmitowanych przez nerw błędny i jego rozgałęzienia. 90 procent ruchu odbywa się na szlaku między jelitami a mózgiem. Ponieważ genomy mikrobiomu obecnego w naszych jelitach przytłaczająco przewyższają nas własny genom, mają one – jako tzw. mózg jelitowy – ogromny wpływ na nasz organizm. Całe biliony bakterii tworzą wyściółkę naszych jelit i pokrywają powierzchnię skóry. Tworzą one kolonie nazwane mikrobami. Sama liczba bakterii, jakie zawiera mikrobiom – jest to około 90 procent komórek w organizmie człowieka. W ciągu milionów lat ewolucji DNA bakterii stało się częścią ludzkiego DNA.

A wracając do Pana pytania, czy brakuje mi żywiołu naukowo-dydaktycznego? Kiedy szukam odpowiedzi, myślę o konkretnych ludziach. Bo każda osoba, którą spotkałem, coś w moje życie wniosła, każdy wniósł jakąś temperaturę, rozumianą jako swój sposób widzenia rzeczywistości. Każdy naukowiec był inny. Zjawiskowy był na przykład profesor Zygmunt Saloni. Przyjeżdżał do Białegostoku i miał swój oryginalny świat. Bardzo ciekawe postacie przewijały się... Bywał tu Edward Stachura, którego niekiedy nie rozumieli nasi językoznawcy, twierdząc, że nie umie poprawnie mówić po polsku. Stachura był zanurzony w całą jaskrawość, w Całość. Potrafił wbić krzesło w ścianę czterema nogami. Spotykałem się z tymi ludźmi i te postacie na swój sposób wносиły żywe esencje w moje życie.

Wspominam prof. Elżbietę Feliksiak. Pamiętam Jej obecność wielokrotną z poetą Aleksandrem Rozenfeldem. Toczyliśmy długie dysputy. Każdy wnosił coś takiego, co na granicy temperamentu się mieści, na granicy *światowidzenia*, na granicy ostrości widzenia, pewnego poznawczego cennego ekstremum. Saloni, Feliksiak i także prof. Ławski ze swoją wielką wiedzą o filozofii genezyjskiej Słowackiego. Wymieniam tylko niektóre postaci.

Czego dziś Panu życzyć? I czego życzyć białostockiej polonistycy?

Polonistycy życzę, żeby na tych drózkach, po których mkną różne drezyny socjotechniczne, złapała swój rytm i złoty szlak, bo ma szansę na to, by przenikać do wielu odbiorców. Studentom – urody życia, by zawierzyli potencjałowi Księgi Matki i Ojca, Wielkiej Księżce Ludzkości. Niech czytają Borgesa, niech czytają Franza Kafkę i Gombrowicza. Natomiast sobie niewiele życzę. Po pierwsze, mam zamiar trochę dłużej żyć, bo nie naśladuję sąsiadów. Uważam, że za bardzo popadamy w małpoluda, który naśladuje innych i sądzi, że musi tyle a tyle żyć, bo taki jest kalendarz życia. To jest

kwestia nawyku, przyzwyczajenia, bardzo silnego wdruku kwantowego. Według badaczy z Londynu, neurofizjologów i biologów, można żyć około 300-400 lat. Sto jedenaście, takie trzy jedyńki, jak na liczniku życia, dają szansę harmonijnego zsynchronizowania się. Piszę dwie książki. Piszę książkę ekstatyczną, emocjonalną. Chciałbym być w sytuacji Junga, kiedy już był profesorem emerytem. Poeta *emeritus* był zapraszany na uczelnie, zatem mógł swoją wiedzę dzielić się ze studentami.

Plany wydawnicze na przyszłość?

Zanim odpowiem na to pytanie, mała dygresja. Bardzo wiele nauczył mnie znawca mechanizmów cywilizacji Kazimierz Truchanowski, który napisał *Młyny Boże*. On tłumaczył Roberta Musila i Franza Kafkę. W jego kwatery przy Koszykowej w Warszawie pojawiałem się od finału lat 70-tych. Wszystkie listy Truchanowskiego do mnie zostały wydane w wielkiej księdze *Przymierzanie masek*. Listy skomentował Jerzy Kopania. Teraz wyszedł drugi tom o Truchanowskim *Poprawianie masek*. Być może zostanie opublikowana trzecia księga *Zdejmovanie masek*, w której będę komentował Truchanowskiego w kontekście myśli Artura Schopenhauera. Nie jest tajemnicą, że piszę *opus magnum* – *Hackerzy*. Mam już za sobą pewną ciężką literacką. To *Pejzaże świadomości*, *Pokrzyk*, *Anioły*, *Gadające głowy*, *Wyobrażenia wyzwolona*, *Zabalsamowana Dolina*, *Konfesja podmiotowa*, *Mała Atlantyda*, *Bóg Wschodzącego Słońca* (*Sonata kresowa*). *In vino veritas*.

Życzę realizacji wszystkich planów.



Rektorat Uniwersytetu w Białymstoku, ul. M. Skłodowskiej-Curie 14

Jan CZYKWIN

JAN CZYKWIN

– prof. zw. dr hab., pracownik Uniwersytetu w Białymstoku. Urodzony w Dubiczach Cerkiewnych, poeta piszący po białorusku, historyk literatury, tłumacz. Debiutował na łamach pisma „Niwa” w 1957 roku. W 1964 ukończył rusycystykę na Uniwersytecie Warszawskim. Od 1969 pracował w Filii UW w Białymstoku, od 1985 do 1997 roku na Uniwersytecie Warszawskim, a od roku 1998 był pracownikiem Uniwersytetu w Białymstoku. Zainteresowania badawcze: liryka medytacyjna, wyrażająca fascynację pięknem świata i harmonią przyrody, prace o literaturze rosyjskiej; przekłady poezji białoruskiej na język polski i polskiej na białoruski, w tym utworów: Cz. Miłosza, W. Szymborskiej, T. Różewicza, S. Barańczaka. W 1989 roku został prezesem Białoruskiego Stowarzyszenia Literackiego „Białowieża”. Publikacje: *Idu* (1969), *Swiataja studnia* (1970), *Niespakoj* (1977), *Na progu świata* (1983), *Splot słoneczny* (1988), *Swietły mih* (1989), *Kruhawaja czara* (1992), *Swiet pierwszy i aposzni* (1997). W 2008 roku został odznaczony Złotym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”.

Autor monografii: *Afanasij Fet. Studium historycznoliterackie* (Białystok 1954); *Pa pryzvanni i abawazku. Litaraturna-krytyčnyja artykuly* (Białystok 2005).

Kierował Instytutem Filologii Wschodniosłowiańskiej UwB w latach 2002–2008.



O KILKU DŁUGICH POCZĄTKACH

Rozpoczął Pan pracę w Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku w 1969 roku, od 1985 do 1997 pracował Pan na Uniwersytecie Warszawskim, a od 1998 roku jest Pan pracownikiem Uniwersytetu w Białymstoku. Porozmawiajmy o tych pierwszych latach, kiedy pracował Pan w Białymstoku.

Prof. Jan Czykwin:

Moje pierwsze lata pracy wydają się mi dziś tak odległe, że jakby nie należały do mnie. A życie tak się potoczyło, że już od szkoły podstawowej wiedziałem, że mam przed sobą dwie drogi – których długo nie umiałem nazwać. Od wczesnych lat uprawiałem twórczość literacką. To była jakaś perspektywa, jak sądziłem. Jednak im bardziej wrastałem w rzeczywistość społeczną, tym bardziej rozumiałem, że muszę mieć fach w ręku. Po wielu wahaniach wybrałem wszakże kierunek filologiczny, najbliższy moim zainteresowaniom czysto twórczym. I od tego czasu wciąż podążałem tymi dwiema drogami... Po ukończeniu studiów na Uniwersytecie Warszawskim moim pierwszym miejscem pracy było liceum ogólnokształcące w Białymstoku. Wkrótce jednak zaproponowano mi przejście do Zakładu Filologii Rosyjskiej w Filii Uniwersytetu Warszawskiego. No i tak to się zaczęło... i zakończyło.

Kiedy otrzymałem pismo od rektora UwB, rozwiązujące stosunek służbowy, poczułem się wyrzucony na margines. Nie mogłem wewnątrznie pogodzić się z tym, że właśnie w takim czasie, kiedy nabyta przez lata pracy duża wiedza mogła owocować w pracy dydaktycznej oraz naukowej nowymi osiągnięciami, że to doświadczenie filologiczne raptem okazało się zupełnie niepotrzebne dla uczelni. Profesorów humanistów, filologów slawistów w Polsce nie jest tak znowu wielu, wykształcenie następnych zajmuje sporo czasu. No cóż! Rozumiem, że jest nieubłagane prawo... Lecz kto jest sędzią tego prawa?..

Czy mimo to Białystok był i jest dla Pana ważny?

Bardziej niż Białystok zaważyła na mojej biografii Warszawa. Dwanaście lat pracowałem na Uniwersytecie Warszawskim na stanowisku docenta, potem profesora. Uniwersytet Warszawski to przecież moja Alma Mater. I piękny kawałek mojego życia. Tak się stało, że widziałem Warszawę w roku 1949, oczami dziecka, całkowicie zniszczoną. A w 1959, gdy przyjechałem na studia, stolica już była inna, gdy chodzi o centrum. Chociaż wciąż z powojennymi bliznami. Kilkakrotnie chodziliśmy jako studenci z ulicy Kickiego odgruzowywać Park Skaryszewski. W Warszawie kończy-

łem studia, przechodziłem prawie wszystkie szczeble naukowe. Kiedy się habilitowałem, okazało się, że w Białymstoku, gdzie wtedy pracowałem, nie ma miejsca dla nowego docenta. W sytuacji, kiedy nie było własnej kadry samodzielnych pracowników. Wdzięczny jestem, że chętnie przygarnął mnie mój Uniwersytet Warszawski.

Jest Pan jednocześnie poetą, historykiem literatury i tłumaczem. Jak się udało połączyć tych kilka żywiołów?

No więc wcześniej myślałem, że mam przed sobą dwie różne drogi. Okazało się jednak, że i na samym początku była przede mną tylko jedna ścieżka. Wspomniane przez pana żywioły to przecież jeden żywioł, żywioł Słowa. Na uczelni mój promotor pracy dyplomowej, kiedy się dowiedział, że piszę i drukuję wiersze i opowiadania, podtrzymał mnie na duchu, mówiąc, że „to dobry zadatek na literaturoznawcę, jedno drugiemu nie przeszkadza, wręcz odwrotnie”. Mogę dziś również powtórzyć, że wiedza historycznoliteracka bardzo pomaga tłumaczowi, podobnie jak nie przeszkadza twórczości własnej. Zresztą, o czym my mówimy, co udowadniamy? Przecież inaczej być nie może. Inna sprawa to jak znaleźć czas na karmienie tych bardzo podobnych, a jednak w wielu sprawach samoistnych żywiołów?

Panie Profesorze, muszę zapytać o tamte czasy. Białystok – młode miasto z młodą polonistyką, wszystko się wtedy kształtowało: Studium Nauczycielskie, budowanie zasobów biblioteki uniwersyteckiej. Pojawili się młodzi naukowcy, którzy próbowali (skutecznie) uczyć literatury. Nie było ksiązek, czasopism. Jak więc wyglądała codzienność ówczesnego pracownika naukowego?

To prawda, że Białystok zaczynał kształcenie uniwersyteckie prawie od podstaw. Przez długi czas brakowało wielu rzeczy. Biblioteka na Wydziale Humanistycznym była w sumie nieduża i skąpa zwłaszcza w zasoby, jeśli chodzi o teksty literackie w języku rosyjskim. Moja biblioteka domowa w porównaniu z nią już w 1964 roku była, jak mi się wtedy zdawało, ogromna. Może dlatego, że była specjalistyczna. Zbierałem książki przez cały okres studiów i oczywiście później. Prawie każde wyjście do miasta skutkowało zakupem co najmniej kilku nowych książek. I kiedy zacząłem pracować, nie musiałem martwić się, większość bowiem utworów literatury pięknej i opracowań, a także historii literatury polskiej i literatury rosyjskiej, encyklopedie, słowniki miałem pod ręką i zbiór ten ciągle się powiększał. Moi studenci oczywiście w dużym stopniu korzystali z tego, nosiłem książki na zajęcia, pożyczałem im. Z mojej strony było w tym sporo jakiejś młodzieńczej romantyki.

Panie Profesorze, jakie zajęcia Pan prowadził?

Prowadziłem przede wszystkim zajęcia z literatury rosyjskiej. Zgodnie ze swoją specjalizacją. Gdy otwierano Filię, Zakład Filologii Rosyjskiej przez pierwsze pięć-sześć lat nie miał pracowników powyżej magistra, oprócz kierownika Zakładu. W Białymstoku byłem pierwszym tutejszym rusycystą, który się doktoryzował, i pierwszym, który się habilitował. Wykłady oraz ćwiczenia z literatury rosyjskiej prowadzone były na trzech pierwszych latach studiów, a na dwóch ostatnich – seminaria magisterskie. Na początku pracy w Filii to wszystko trzeba było ogarnąć – od literatury staroruskiej, poprzez osiemnasty wiek, niezwykle bogaty wiek dziewiętnasty aż po okres najnowszy, przygotować się do wykładów, odrębnie do ćwiczeń. Z braku kadry prowadziłem jakiś czas wykłady także z literatury powszechnej, z historii Rosji, a nawet zajęcia z logiki. Oczywiście zabierało to dużo czasu, jednak nie ma tego złego, co by na dobre nie wychodziło: historyk literatury, jak sądzę, oprócz swojej specjalizacji i okresu powinien umieć poprowadzić zajęcia z innych epok, powinien mieć mówiąc kolokwialnie całą literaturę w małym paluszku. Sądzę, że zbyt wczesne zamykanie się do swego wąskiego jakiegoś jednego zagadnienia nie jest najlepsze dla młodego pracownika. Z biegiem czasu w Filii, a później na Uniwersytecie Warszawskim prowadziłem wykłady już tylko z mojego ulubionego wieku XIX.

Czy chciał Pan przyjechać z Warszawy do Białegostoku?

Nie chciałem, kiedy kończyłem studia. Bardzo polubiłem Warszawę – rytm wielkiego miasta, jego ulice wypełnione bracią studencką, tramwaje, którymi z Pragi codziennie dojeżdżaliśmy na Krakowskie Przedmieście, tłumy ludzi na ulicach, w sklepach, na dworcach, na imprezach sportowych, polubiłem warszawskie kawiarnie, teatry i kina, i niedzielne bicie dzwonów kościelnych, jego nieustanny ruch dniem i nocą, jego hałas i ciszę. Nie chciałem wyjeżdżać z Warszawy, gdyż pragnąłem, o naiwność, zatrzymać swoją warszawską młodość. Po to na piątym roku studiów szukałem pracy w Warszawie. I znalazłem. Mogłem pracować jako tłumacz w Instytucie Energetyki. W przededniu zatrudnienia chciałem się upewnić, czy wszystko jest tak, jak wcześniej było ustalone, bardzo chciałem być już w tej instytucji, więc poszedłem i zapytałem, na czym będzie polegać moja praca i otrzymałem odpowiedź, że przez pierwsze miesiące, a może i dłużej będę parzył herbatę i podawał ją wszystkim pracownikom. W oka mgnienia moja młodzieńcza ambicja została urażona tak boleśnie, że nawet nie pomyślałem, że to mógł być tylko żart kadrowca. Nie pamiętam nawet, czy bąknąłem coś wychodząc z pokoju szefa. I oczywiście na drugi dzień się nie zjawiłem.

Albowiem wtedy właśnie schodząc z wysokiego piętra, gdzie się mieścił ten instytut, na schodach raptem przypomniałem, że przecież mam nieuregulowane prawne zobowiązania wobec Wojewódzkiej Rady Narodowej w Białymstoku. Dwa ostatnie lata studiów brałem od niej stypendium. Szlag mnie trafił. Wiedziałem, że się łatwo nie wykręcę, że muszę wyjechać z ukochanego miasta.

Później dwanaście lat pracowałem na Uniwersytecie Warszawskim, o czym wspominałem. Bardzo sobie cenię ten czas. Pracować ramię w ramię z wielce zasłużonymi badaczami literatury rosyjskiej, doświadczonymi uczonymi, autorami szeregu publikacji, podręczników uniwersyteckich, móc bywać na ich wykładach, słuchać w trakcie zebrań naukowych nieoczekiwanych dyskusji, polemik, sporów, rozważań i dywagacji na przeróżne tematy to był wyciągnięty przeze mnie szczęśliwy los. To jakbym ukończył jeszcze jeden fakultet, szkołę naukowego myślenia. Powrót do Białegostoku oznaczał dla mnie w tym czasie zejście dwa-trzy piętra poniżej tego poziomu. Mam na myśli wyłącznie bardzo rozrzedzone środowisko humanistów, filologów w pierwszej kolejności. Tu wciąż, niestety, nie było atmosfery uniwersyteckiej.

Czy musiał się Pan przełamać przyjeżdżając do naszego miasta?

Przełamać? O tak! To dobre określenie. Wielu moich kolegów, także z innych kierunków studiów, młodych ludzi ze wsi i małych miast, którzy po raz pierwszy zasmakowali życia wielkomiejskiego, również musiało się przełamać, nie chciało здаwać na piątym roku końcowych egzaminów, świadomie oblewali niektóre przedmioty, żeby pozostać dłużej w Warszawie. Ja także o tym myślałem. Jednak jakiś wewnętrzny imperatyw zwyciężył we mnie. I to wiszące nad głową stypendium, które trzeba było jak najszybciej odpracować.

Wtedy takich stypendystów Wojewódzkiej Rady Narodowej, jak się okazało, było chyba pięć, a może siedem osób. Poszliśmy do WRN, aby się jakoś rozliczyć. Skierowano nas do Kuratorium Oświaty. Okazało się, że pracy w Białymstoku dla nas nie ma i nie będzie, „proszę tu nie przychodzić, a najbliżej Białegostoku znajdziecie zatrudnienie w Dąbrowie Białostockiej i na Suwalszczyźnie”. Poszliśmy więc do komitetu wojewódzkiego partii (był rok 1964) i tam usłyszeliśmy to samo. Powiedzieliśmy, że jeśli nie dostaniemy pracy w Białymstoku, będziemy strajkować. Sekretarz partii Witold Mikulski przy nas porozmawiał z kimś przez telefon, po czym poradził nam poszukać pracy na własną rękę. Chodziłem, pamiętam, jak dziad po wielu szkołach w poszukiwaniu wolnego etatu. Okazało się, że, owszem, w jednej szkole jest mój przedmiot, to znaczy język rosyjski, ale prowa-

dzi go wuefista. W innej również jest miejsce dla nauczyciela-rusycysty, ale prowadzi przedmiot historyk, onże dyrektor szkoły. Wracamy więc do sekretarza i przedstawiamy fakty. No i na trzeci dzień jakoś się udało. Zostałem zatrudniony w IV Liceum Ogólnokształcącym. Ale to nie wszystko. Towarzyszu sekretarzu, a co z mieszkaniem? Przecież w umowie o tym się mówi. Gdzie mamy mieszkać? Po kilku dniach otrzymaliśmy przydziały na pokoje w pokawaleryjskim baraku obok, dosłownie po drugiej stronie ulicy, słynnej na ten czas wielkiej Hali Targowej. Do dziś pamiętam ten koszmar. Mogłem wytrzymać w tym pomieszczeniu chyba dwie noce. Chłód, brud, jeden sanitariat, całonocne skrzypienie drzwi i podłóg, pijane krzyki, awantury. Głośno i kolorowo... Tak to się zaczynało.

Jak wyglądał krajobraz miasta w tych latach? Jak wyglądało życie w Białymstoku?

Mam w pamięci krajobraz miasta z roku 1950. Po śródmieściu o niskiej zabudowie drewnianej kursowały dorożki konne. Tu i ówdzie pasły się kozy i chodziły krowy. Przy wielu ulicach były wiejskie gospodarki z całym jej dobrodziejstwem – stodołami, chlewikami, składzikami. Nic zresztą dziwnego. Upłynęło raptem pięć lat od zakończenia wojny. Miasto było zniszczone. A w 1964, kiedy przyjechałem tu do pracy, Białystok wydał mi się inny. Choć życie w mieście było niemrawe. Chyba się nie mylę, ale najbardziej tętniącym twórczo i ożywającym miejscem dla nielicznej jeszcze warstwy młodej inteligencji był Klub Siedmiu, gdzie można było przyjść w dowolny czas po pracy, wypić przysłowiową kawę z automatu, pograć w szachy, pogawędzić, posłuchać, w tym także nowych tekstów literackich. Tu zbierali się nie tylko dziennikarze (bo to był ich Klub), ale także malarze oraz młodzi pisarze, najczęściej poeci, rekrutujący się w dużym stopniu z żurnalistów, zatrudnionych w redakcjach białostockich gazet, w tym białoruskojęzycznej „Niwy”.

W Klubie Siedmiu powoli się klarowało środowisko literackie Białegostoku. Tak się stało, że pierwszą książką literacką po wojnie, która się ukazała w 1959 roku w Białymstoku, był *Almanach* literatów piszących po białorusku (od roku 1958 już mających swoją formalną organizację pod nazwą Białoruskie Stowarzyszenie Literackie). Pierwszymi zatem miejscowymi literatami byli Sokrat Janowicz i ja. Sokrat w 1969 roku wydał swoją pierwszą książkę *Zagony* i w tym samym roku oraz na początku następnego wyszły dwa moje zbiory poezji. W 1970 roku obaj zostaliśmy przyjęci do Związku Literatów Polskich i byliśmy, zdaje się, w Białymstoku pierwszymi pisarzami z legitymacją literacką. Nieco później utworzyliśmy z Janowiczem Klub Literacki, jednoczący wszystkich kolegów piszących po polsku i po biało-

rusku. A potem nas dwóch przygarnął oddział Związku Literatów Polskich w Olsztynie. A wreszcie i sama Warszawa. A tymczasem w Białymstoku zaczęto (w 1968 roku) wydawać pismo społeczno-kulturalne „Kontrasty”, które w zamierzeniu miało stanowić centrum życia literackiego, itd.

Czy rusycystyka miała swój udział w rozwoju tego środowiska literackiego?

Nie, nie, rusycystyka jako taka nie miała żadnego udziału w rozwoju białostockiego środowiska literackiego. Musiałbym tu koncentrować się może na własnej osobie. Jednak tego nie zrobię. Powiem tylko, że z czasem środowisko dziennikarzy w Białymstoku zostało wyjąłowane, Klub Siedmiu wpadł widocznie w jakieś tarapaty i szybko przestał spełniać funkcję jednoczenia inteligencji twórczej w myśl wspólnych interesów miejscowej inteligencji twórczej. W tamtym czasie nie mogła wziąć na siebie rolę patrona polonistyka białostocka. Była ona przez dłuższy czas, podobnie jak historia i rusycystyka, zasilana pracownikami dojeżdżającymi przede wszystkim z Warszawy. No więc i po dziś dzień środowisko literackie w Białymstoku, jak się wydaje, niby jest i jakby go nie ma i nie było.

Panie Profesorze, czego by Pan życzył dziś białostockiej humanistyce na następne 50 lat?

Jestem w tej materii pesymistą. Z humanistyki w ogóle w kraju uczyniono jakby jakiś zakład fabryczny, zarządzany bezdusznymi decydentami oraz armią urzędników, którzy oczekują comiesięcznych, semestralnych, rocznych sprawozdań z produkcji towaru gotowego na pokaz i sprzedaż. I tak z roku na rok. Gdzieś tam, na jakichś Olimpach dyrektor takiej fabryki chce mieć przed oczami tabele i zestawienia, wykresy i punkty, sprawozdania i wyniki. Humanista jest poganiany, nie ma w jego pracy naukowej czasu na refleksję, dłuższe zastanowienie, przemyślenia, poznawanie nowej myśli, metodologii, nie ma wreszcie czasu na fundamentalne badania. Ekonomizacja humanistyki to bardzo niebezpieczne zjawisko dla samej humanistyki. Mierzenie humanistyczno-duchowych i literacko-naukowych osiągnięć miernikami nauk przyrodniczych prowadzi do całkowitej utraty najgłębszych treści i wartości leżących u podstaw sensu życia człowieka. Nie są to, niestety, życzenia, lecz diagnoza. Chciałbym się mylić.

Co w tej sytuacji możemy zrobić?

Sądzę, że niewiele. Decyzje zapadają na najwyższych szczeblach – w kraju, w Unii Europejskiej. A Unia również nie jest na tyle samodzielna, żeby decydować o swoim losie. Staliśmy się świadkami i jednocześnie uczestni-

kami bardzo niebezpiecznego dla ludzkości „wyścigu szczurów”. W formie rakowej rozrastają się również inne zjawiska, które pochłaniają humanistykę, niszczą jej bezcenne wartości.

Panie Profesorze, gdyby spróbował Pan dać czytelnikom jakąś pozytywną wskazówkę...

Cieszę mnie to, że na Wydział Humanistyczny wciąż przychodzą młodzi ludzie. I że wciąż ich interesują książki, literatura, Słowo, które było na początku. Jest nadzieja, że humanistyka w Białymstoku obroni się własnymi siłami, własną mocą twórczą.

Dziękuję za rozmowę.



Rektorat (do 2018)
Uniwersytetu w Białym-
stoku, ul. M. Skłodow-
skiej-Curie 14

Leonarda DACEWICZ

LEONARDA DACEWICZ

– prof. zw. dr hab., kierownik Katedry Językoznawstwa Wschodniosłowiańskiego Uniwersytetu w Białymstoku. Zainteresowania badawcze: historyczna i współczesna antroponimia polsko-litewsko-wschodniosłowiańskiego pogranicza, mikrotoponimia, chrematonimia, komparatystryka językoznawcza polsko-rosyjska. Pełnione funkcje: 1996–1999 – wicedyrektor Instytutu Filologii Wschodniosłowiańskiej UwB; 1999–2002 – prorektor ds. dydaktycznych i studenckich UwB (w tym w latach 1999–2000 – członek Uniwersyteckiej Komisji Akredytacyjnej); 2002–2008 – dziekan Wydziału Filologicznego UwB (2 kadencje). Przynależność do organizacji i towarzystw naukowych: International Council of Onomastic Sciences (ICOS), Komisja Onomastyki Polskiej przy Komitecie Językoznawstwa PAN, Polskie Towarzystwo Językoznawcze, Towarzystwo Kultury Języka (w latach 2004–2007 prezes Oddziału Białystok). Wydała ponad 200 publikacji (monografie, słowniki, artykuły, recenzje, sprawozdania naukowe), w tym monografie: *Nazewnictwo kobiet w dawnym powiecie mielnickim (XV–XVII w.)*, Białystok 1994; *Antroponimia Białegostoku w XVII–XVIII wieku*, Białystok 2001; *Antroponimia Żydów Podlasia w XVI–XVIII wieku*, Białystok 2008, *Historia nazwisk na kresach północno-wschodnich Rzeczypospolitej (XVI–XVIII w.)*, Białystok 2014. Odznaczenia: 2001 r. Srebrny Krzyż Zasługi za osiągnięcia naukowe, dydaktyczne i organizacyjne; 2004 r. Medal Edukacji Narodowej; 2012 r. Złoty Krzyż Zasługi; tytuł Zasłużony dla Uniwersytetu w Białymstoku.



ANTROPONIMIA I HUMANISTYCZNY FUNDAMENT

Pani Profesor, pamięta Pani początki białostockiej humanistyki? Trochę już lat minęło...

Prof. Leonarda Dacewicz:

Oczywiście, że pamiętam. Tak wyszło w moim życiu, że związałam się z białostockim środowiskiem akademickim. Początki oczywiście to ulica Świerkowa i Zakład Filologii Rosyjskiej. Mieściliśmy się w jednym pokoju nr 214. Pracownicy byli ze sobą życzliwi i na bieżąco rozwiązywali różne problemy. Zresztą większość pracowników istniejących wówczas na Wydziale Humanistycznym kierunków miała ze sobą częsty kontakt, chociażby spotykając się na korytarzach, wielu tu przyjaźniło się. Być może w ogóle była inna atmosfera w kraju i na uczelniach, lecz trudno dokonywać takich porównań i ocen bez zastanowienia czy głębszej refleksji. Dziś pracujemy w różnych pokojach, mamy lepsze warunki pracy, komputery, które ułatwiają życie, a czasu jakby mniej, nie tylko na życie prywatne, ale również na badania naukowe. Otwiera się pocztę i od razu spada na człowieka ogrom zadań. Praca na uniwersytecie obciążona jest w dużym stopniu administrowaniem, aktywnością promocyjną, sprawami związanymi z organizacją nauki czy dydaktyki. Tych obowiązków nam przybyło. Czy to jest dobre dla uczelni? Raczej nie. Czas przeznaczony na pracę naukowo-badawczą bardzo się „skurczył”. A pełniłam różne funkcje na uczelni, i wówczas wystarczyło mi czasu na wszystko. Kosztowało to wprawdzie dużo wysiłku, ale dobra organizacja, sumienność, obowiązkowość, przywiązanie do systematycznej pracy pozwalały mi realizować projekty badawcze, systematycznie publikować i zdobywać kolejne stopnie naukowe. Teraz mamy ogrom prac administracyjnych, organizacyjnych, posiedzeń komisji i innych różnego typu działań. Te obciążenia „kradną” czas przeznaczony na aktywność naukową, a wyzwania stawiane w dzisiejszych czasach przed nauką bardzo wzrosły, co należy uznać za zjawisko pozytywne.

Jak to się stało, że wybrała Pani studia z zakresu filologii rosyjskiej (z językiem polskim)? Wpływ szkoły, fascynacje literackie?

Powiem Panu tak: fakt, że wybrałam się na filologię rosyjską (z językiem polskim) na Uniwersytet Warszawski, to był czysty przypadek. Zapewne miała na to wpływ moja nauczycielka języka rosyjskiego, bo pochodziła z Mazur, gdzie były niemieckie wpływy językowe. Wybór UW to sprawa obowiązującej wówczas rejonizacji, ale warto było, bo studia w tej uczelni były na bardzo wysokim poziomie. Podczas pracy w IFW na Uniwersytecie w Białymstoku badaniami z zakresu filologii rosyjskiej w zasadzie

nie zajmuję się. Do czego więc jest mi potrzebna znajomość języka rosyjskiego? Właśnie do badania polsko-wschodniosłowiańskiego terytorium pogranicznego, jakim od wieków pozostaje Podlasie i historyczne Wielkie Księstwo Litewskie. W dużym stopniu dotyczy to badań, które aktualnie prowadzę – antroponimii dekanatu białostockiego i grodzieńskiego w XIX wieku, który wciąż znajduje się poza kręgiem zainteresowania onomastów, zapewne ze względu na różnego rodzaju trudności, w tym nieznaną języka rosyjskiego. XIX wiek to okres zaboru rosyjskiego, księgi metrykalne kościoła katolickiego prowadzono w języku rosyjskim. Ogromny zasób tych ksiąg to niezwykle bogate i cenne źródło materiału do badań historycznych, demograficznych, socjologicznych i filologicznych, w tym antroponimicznych. Do badań antroponimii XVI-XVIII potrzebna była znajomość wszystkich języków wschodniosłowiańskich (przynajmniej cech tych języków), zwłaszcza białoruskiego i ukraińskiego. Dzięki temu udało się ujawnić i określić udział charakterystycznych cech białoruskich i ukraińskich w polskim, żydowskim i tatarskim nazewnictwie Polski północno-wschodniej.

Gdyby prześledzić rozwój białostockiej filologii na przestrzeni lat, to wiadać, że zrobiliśmy olbrzymi postęp.

To prawda. Można to stwierdzić chociażby na przykładzie prac badawczych prowadzonych w Instytucie Filologii Wschodniosłowiańskiej. Mój Instytut jest kojarzony w Polsce przede wszystkim z badaniami onomastycznymi. Mówi się o nas „białostocki ośrodek onomastyczny” nie tylko w Polsce, ale także w takich krajach, jak Czechy, Słowacja, Litwa czy Białoruś. Przyjeżdżają do nas na konferencje naukowcy z Gruzji, Bułgarii i Niemiec. Bo mamy dużą renomę. Dlaczego akurat ważne są badania onomastyczne, głównie z zakresu antroponimii? Dlaczego rozwinęły się w Instytucie Filologii Wschodniosłowiańskiej? Odpowiedź jest prosta. To jest teren pogranicza. Funkcjonują tu gwary wschodniosłowiańskie. Poczynając od X wieku tereny te zasiedlali przybysze ze Wschodu, z obszaru dzisiejszej Białorusi, Ukrainy, Litwy. Na tym terenie granica przesuwiała się z zachodu na wschód i odwrotnie. Dziś trudno jest powiedzieć, kto tu jest swój, a kto obcy. Zajmuję się nazewnictwem mniejszości narodowych i kilka książek na ten temat napisałam, na temat antroponimii Żydów Podlasia (XVI-XVIII w.), antroponimii Tatarów litewsko-polskich, antroponimii Białegostoku, gdzie między innymi było również dość liczne osadnictwo niemieckie. Ostatnia moja książka *Historia nazwisk na kresach północno-wschodnich Rzeczypospolitej* obejmuje Podlasie oraz znaczny obszar Wielkiego Księstwa Litewskiego, gdzie było liczne osadnictwo polskie. Dotychczasowe osią-

gnięcia białostockiego ośrodka onomastycznego, którego trzon tworzą tacy badacze, jak: profesor Zofia Abramowicz, profesor Michał Kondratiuk, dr hab. Lilia Citko, dr Elżbieta Bogdanowicz i moja osoba, stanowią poważny wkład do rozwoju badań slawistycznych, w tym onomastycznych, we wschodniej i środkowej części Europy.

W Instytucie prowadzone są także owocne badania z zakresu wschodniosłowiańskiej literatury, kultury i językoznawstwa, głównie rosyjskiego i białoruskiego.

Kontynuacja badań onomastycznych w nurcie nowocześnie pojmowanej „regionalności” jest szczególnie ważna dla wieloetnicznego obszaru Polski północno-wschodniej ze względu na złożoną historię tego regionu. Humanistycznie i wieloaspektowo pojęty regionalizm w tego typu badaniach będzie wspomagał procesy kształtujące tożsamość jednostkową i wspólnotową.

W 1997 roku białostocka filologia stała się częścią samodzielnej uczelni. Powstał Uniwersytet w Białymstoku. Co to zmieniło w Pani życiu zawodowym?

Realizacja idei powołania Uniwersytetu w Białymstoku na bazie funkcjonującej Filii Uniwersytetu Warszawskiego wiązała się z ogromnym wysiłkiem sporej grupy osób. Dużą determinacją wykazał się wówczas pierwszy rektor, profesor Adam Jamróż. Jego umiejętność dialogu, nawiązywania kontaktów z władzami regionu, ze środowiskiem regionalnym, ale też z osobami, które miały wpływ na decyzje władz centralnych, pozwoliły na osiągnięcie oczekiwanego finału. Usamodzielnienie było dla nas impulsem do rozwoju. Do tego momentu jeszcze sporo wykładowców przyjeżdżało z Warszawy, ponieważ Filia nie posiadała wystarczającej liczby własnych samodzielnych pracowników naukowych. Powołanie samodzielnej uczelni to był impuls do intensyfikacji pracy naukowej, do zdobywania stopni naukowych. I takie jest moje odczucie, że ten rozwój nabrał przyśpieszenia, a struktura organizacyjna dosyć szybko się kształtowała. Wydaje mi się też, że w stosunkowo niedługim okresie przybyło nam pracowników samodzielnych, a liczba dojeżdżających ze stolicy profesorów systematycznie malała.

Po 1997 roku zmian w moim życiu było dużo, gdyż wkrótce po usamodzielnieniu pełniłam kolejno ważne funkcje administracyjne, w tym prorektora ds. dydaktycznych i studenckich, dziekana Wydziału Filologicznego. Pełnione funkcje starałam się umiejętnie łączyć z pracą dydaktyczną i naukową, co zaowocowało uzyskaniem tytułu profesora w trakcie kadencji prorektorskiej.

Studenci dzielają dziś Pani zainteresowania i zainteresowania innych wykładowców?

Najlepszą okazję, żeby się o tym dowiedzieć i przekonać, mamy na seminarium magisterskim (lub licencjackim). Czy są zainteresowani onomastyką? Tak. Jak się wgłębią w temat, to większość seminarzystów jest bardzo zainteresowana, bo to jest żywa historia, historia ludzi zamieszkujących tereny Podlasia, sąsiedniej Grodzieńszczyzny, Wileńszczyzny i inne. Niektórzy piszą prace na temat antroponimii własnych miejscowości, w których się urodzili i nadal mieszkają. Dzięki temu wiedzą, jakie nurty osadnicze miały miejsce na danym terenie, jak się kształtowała struktura społeczna danej miejscowości, jak się rozwijał system antroponimiczny w ich mieście, miasteczku czy na wsi. Poznają też dzieje swego rodu, pochodzenie swojego nazwiska, zmiany, jakie nieuchronnie zachodziły w nazewnictwie na przestrzeni czasu. Młodzież potrafi się tym autentycznie zainteresować, a to sprawia dużo satysfakcji.

Czy studenci zmienili się na przestrzeni lat?

Niestety tak. Poziom wiedzy absolwentów szkół średnich, czyli kandydatów, którzy przychodzą do nas na studia, jest trudny do określenia. Wydawałoby się, że wiedza wyniesiona ze szkoły powinna być znacznie szersza, głębsza, chociażby w związku z dostępem do Internetu. Świat jest teraz taki otwarty. Na pierwszym roku studiów prowadzę dość trudny przedmiot, wstęp do językoznawstwa, który ma na celu wprowadzenie do całego bloku nauk językoznawczych. Jednym z zadań jest opanowanie niezwykle bogatej, a zarazem trudnej terminologii językoznawczej, bowiem język jest tworem niezwykle skomplikowanym zarówno od strony brzmieniowej, strukturalnej, jak i semantycznej. Język to element składowy kultury szeroko rozumianej, zarówno duchowej, jak i materialnej, ale jest też narzędziem, przy pomocy którego kulturę tworzymy. Język żywo reaguje na rzeczywistość, więc trzeba korzystać z wiedzy dotyczącej literatury, historii, życia społecznego, socjologii, polityki itd. Niestety, zbyt wielu studentów posiada bardzo skromną wiedzę z wymienionych dziedzin, ale na szczęście są i tacy, którzy swymi zdolnościami, zainteresowaniami, dążeniem do zdobywania wiedzy, sprawiają radość i satysfakcję.

Znacznie łatwiej pracuje się na studiach doktoranckich – zarówno jeśli chodzi o zakres i poziom wiedzy, jak i różnego rodzaju umiejętności, które powinien posiadać słuchacz doktoranckich studiów filologicznych.

A Pani mistrzowie, wykładowcy, których zawsze będzie Pani pamiętać?

Biorąc pod uwagę osoby, które miały wpływ na moje zainteresowania

naukowe, to niewielu badaczy mogę wymienić: profesor Jurij Lukszyn z Uniwersytetu Warszawskiego, wybitny językoznawca teoretyk, profesor Michał Łesiów, ukrainista i rusycysta z UMCS, który był promotorem mojej pracy doktorskiej. Częściowo to on zainspirował moje badania z zakresu onomastyki. Zainteresowanie się antroponimią historyczną zainspirowały prace naukowe i osobiste z badaczami krakowskiej placówki PAN: panią profesor Aleksandrą Cieślikową, profesor Marią Malec, profesorem Kazimierzem Rymutem. Jednym z prekursorów badań onomastycznych na Białostocczyźnie był profesor Michał Kondratiuk, który pracował wcześniej w Warszawie (PAN). Jego prace inspirowały badaczy młodszego pokolenia, bo jeśli chodzi o badania onomastyczne, to Białostocczyzna dość długo stanowiła swoistą *tabula rasa*.

Wybitni żacy?

W mojej karierze dydaktycznej tak dużo osób opuściło mury uczelni z dyplomami magistra, że trudno mi ich przypomnieć. Z pewnością było sporo zdolnych studentów. Lubię pracę z młodzieżą, prowadzenie zajęć sprawia mi bardzo dużo satysfakcji. Mam dobry kontakt ze studentami, tak mi się przynajmniej wydaje. Niemniej jednak prowadzenie seminariów magisterskich staje się coraz większym obciążeniem. Składa się na to kilka czynników. Okazuje się, że w dobie Internetu, e-maili, SMS-ów studenci mają problem z pisaniem własnych tekstów, zwłaszcza naukowych. Na ostatnich latach studiów na ogół podejmują pracę zarobkową i nie chodzą systematycznie na seminaria, za mało czytają, a na humanistycę to podstawa. Wykładowca musi włożyć dużo wysiłku, żeby pojawił się produkt finalny uczestnictwa w seminarium – praca dyplomowa.

Pani Profesor, czego życzyć dziś filologii wschodniosłowiańskiej, Wydziałowi Filologicznemu, Uniwersytetowi w Białymstoku?

Humanistyka i dziedzictwo kulturowe znajdują się w ścisłym związku z tożsamością narodową. Dbajmy o tożsamość narodową i kulturową wszystkich zamieszkujących na obszarze Polski północno-wschodniej narodów, grup etnicznych, a więc Polaków, Białorusinów, Ukraińców, Litwinów, Tatarów, Romów i innych. W dzisiejszym świecie, gdzie panuje nieustanna promocja bio-, techno-, info-, trzeba bardziej niż kiedykolwiek wspierać, rozwijać humanistykę. Bowiemy humanistyka jest niezbędna dla wszechstronnego rozwoju jednostki i społeczeństwa, uczy tolerancji, pokojowego harmonijnego współistnienia. Musimy o to dbać, pracując solidnie, rzetelnie ze studentami, bo do młodego pokolenia, należy przyszłość. My przekazujemy wiedzę, ale i sami się rozwijamy, poznajemy naszą przeszłość

i myślimy o przyszłości. Rola humanistyki jest oczywista, a studia humanistyczne to taki fundament. O jej właściwe miejsce w regionie, Polsce, Europie powinien dbać Uniwersytet.

Czego Pani życzyć na najbliższe kilka, kilkanaście lat?

Badania naukowe i praca ze studentami to podstawa mojej działalności, ale lubię też podróżować. Lubię uprawiać sport i do tej pory to robię: jazda na nartach, łyżwach, na rolkach, rower, pokonywanie górskich szlaków. Coraz trudniej znaleźć czas na uprawianie sportu, na podróżowanie i poznawanie świata, bo obciążenia organizacyjne i administracyjne na uczeni są coraz większe. Chyba reforma szkolnictwa nie idzie we właściwym kierunku, skoro biurokracja wzrasta z dnia na dzień. Ale najważniejsze jest zdrowie, dobre samopoczucie i możliwość robienia tego, co naprawdę się kocha.

Dziękuję za rozmowę.

Barbara FALIŃSKA

– prof. dr hab., emerytowana pracowniczka Uniwersytetu w Białymstoku, językoznawczyni, badaczka gwary polskiej. Pracownik dydaktyczny Uczelni Jańskiego w Łomży oraz Instytutu Języka Polskiego PAN, w latach 1993–1999 pełniła funkcję dyrektora Instytutu Filologii Polskiej UwB. Współautora *Słownika Języka Polskiego*, wieloletnia animatorka badań dialektologicznych prowadzonych przez uczniów. Autorka licznych monografii, między innymi: *Gwary Mazowsza, Podlasia i Suwalszczyzny* (Białystok 2004); *O badaniu słownictwa gwarowego w powiecie pułtuskim* (Warszawa 1970); redaktorka między innymi: *Ź zagadnień leksyki i słowotwórstwa* (Łomża 2015); *Suwalszczenie o swojej przeszłości: wspomnienia i życiorysy* (Warszawa 2007). Należy do Towarzystwa Kultury Języka.

BARBARA FALIŃSKA

W ŚWIECIE GWARY

Pani Profesor, całe życie poświęciła Pani językoznawstwu, a przede wszystkim badaniom dialektologicznym. Czy już w dzieciństwie wiedziała Pani, że właśnie to chce robić?

Prof. Barbara Falińska:

W latach szkolnych nigdy nie myślałam o studiowaniu polonistyki, choć dzięki wspaniałej polonistce bardzo lubiłam literaturę. Chciałam zostać lekarzem. Trzykrotnie byłam bliska realizacji swoich marzeń i za każdym razem pojawiały się obiektywne lub subiektywne przeszkody. Jak w przysłowiu: człowiek myśli, a Pan Bóg kryśli.

Moja mała ojczyzna to wieś Wysocze w powiecie Ostrów Mazowiecka. Ojciec mój budował mosty, matka zajmowała się gospodarstwem rolnym. Rodzice mieli podstawowe wykształcenie, mówili językiem ogólnym przemieszonym z gwarą, której było w ich mowie raz więcej, raz mniej, zależ-



nie od pochodzenia rozmówców. Stałym członkiem rodziny była ukochana babcia, mówiąca przepiękną gwarą, którą zdążyłam poznać, polubić, zapamiętać na całe życie i chętnie do niej wracać przy każdej okazji. Z koleżankami szkolnymi z mojej wsi, które zakończyły swoją edukację na szkole podstawowej, nie wypadało mówić z lytery.

W szkole nie miałam takich problemów z fonetyką, jak one, głównie dzięki temu, że wykształcony przed wojną brat mojej mamy, inżynier, wysiedlony z Gdyni przez Niemców, zamieszkał z rodziną u nas na wsi i rewanżując się za gościnę, postanowił zająć się edukacją dzieci i odzwyczaić nas, mnie i starszego brata, od wymowy gwarowej. Jeżeli podczas lekcji domowej powiedziało się źle jakiś wyraz, to trzeba było go powtórzyć 20 razy, na przykład zamiast whidzis lub hidzis, 20 razy widzisz, za co został wujkiem widziszem, jego żona ciocią widziszową, a jego dzieci – widziszakami. Już wtedy uświadamiałam sobie, że nie wszyscy mówią jednakowo, ale na wyjaśnienie, dlaczego moja mowa jest gorsza, musiałam czekać kilkanaście lat.

Czy dlatego wybrała Pani polonistykę?

Po ukończeniu szkoły podstawowej w gminnej wsi Wąsewo rozpoczęłam naukę w Liceum Ogólnokształcącym w moim mieście powiatowym, ale nieoczekiwana zmiana w sytuacji rodzinnej (na trzy zimowe miesiące władza rosyjska zajęła między innymi nasz dom) zmusiła mnie do zamiany liceum na szkołę handlową, umożliwiającą szybsze podjęcie pracy. Na drugi dzień po maturze znalazłam się w tzw. GS-ie jako księgowia. Postanowiłam przez rok studiować polonistykę, aby pozbyć się nieuświadomianych cech gwarowych i zaliczyć lektorat z łaciny, której w handlówce nie uczono. Wiedziałam, że każdy, kto mieszka na prowincji, niezależnie od tego, czy otrzymał maturę z piątką czy bez piątki, ma regionalizmy w swojej mowie. Miałam szczęście trafić na seminarium do profesora Witolda Doroszewskiego, który pod koniec roku akademickiego zaproponował mi pracę zleconą w Słowniku języka polskiego, dzięki czemu mogłam się rozstać z księgowością w Małkini i zaaklimatyzować w Warszawie.

A co z medycyną?

Kończył się I rok studiów. Miałam już wystarczające warunki materialne, czułam się prawie na medycynie, ale na UW pojawiła się możliwość sprawdzenia swoich zdolności do zawodu lekarskiego. Profesor Halina Koneczna ogłosiła seminarium z fonetyki dla pracowników i zainteresowanych studentów. Zamierzała prowadzić je wspólnie z profesorem z Akademii Medycznej, aby korzystać z jego wiedzy i zajęć praktycznych w prosektorium. Był jeszcze drugi ważny dla mnie powód przedłużenia studiów po-

lonistycznych na kolejne dwa lata do ukończenia I stopnia, dzisiejszego licencjatu i by dopiero później zmienić uczelnię. Studentom polonistyki zaproponowano wyjazd na obóz naukowy na Warmię i Mazury, by razem z gronem pedagogów zająć się badaniem gwar poddawanych przez długi okres silnej germanizacji. Przez trzy lata zbieraliśmy materiały za pomocą kwestionariuszy. To były bardzo ciekawe: badania dialektologiczne, którym towarzyszyło mycie się w jeziorze, spanie w stodole i jedzenie jak Bóg da. Eksplorację na ziemiach odzyskanych poprzedziły wycieczki szkoleniowe do mojej rodzinnej wsi i na Kurpie do Myszyńca. Ostatecznie zdecydowałam się na kończenie filologii polskiej i pisanie pracy magisterskiej z dialektologii pod kierunkiem profesora Witolda Doroszewskiego.

Jaki był temat Pani magisterium?

Pracę magisterską pisałam z leksyki gwarowej. Temat brzmiał: *Studia Warmii i Mazur. Uprawa i obróbka lnu*, ponieważ znałam praktycznie ten dział kultury materialnej, a nie można badać słów, nie znając rzeczy. Po obronie praca została uzupełniona materiałami terenowymi i przeznaczona do druku w Ossolineum. Recenzentami byli dwaj wybitni profesorowie: slawista Zdzisław Stieber i etnolog Kazimierz Moszyński. Profesor Doroszewski, mój promotor, poinformował mnie, że praca została uznana za doktorską. Podziękowałam za zaszczytne wyróżnienie, ale wolałam nie czynić jej przedmiotem obrony. Byłam już zafascynowana nowym tematem: Polskie słownictwo tkackie na tle słowiańskim. Do podjęcia badań porównawczych zachęcił mnie profesor Moszyński, przekazał mi swoje materiały rękopiśmienne z Polesia, zaprosił na seminarium, na które (za zgodą prof. Doroszewskiego) jeździłam przez pół roku do Krakowa, poparł podanie do Wydziału I PAN o stypendium do Jugosławii, podkreślając wagę dla nauki tego ginącego już, prastłowiańskiego kręgu kultury i słownictwa. Ponadto zapewnił, że listownie ułatwi mi kontakty z tamtejszymi etnologami. Komu by się wtedy nie marzył wyjazd do Jugosławii? Tym bardziej, że w ogóle nie byłam jeszcze za granicą. Wydawało się, że nie mam żadnych szans na uzyskanie zgody na wyjazd, ale nieoczekiwanie zostałam zaproszona na rozmowę do Sekretarza PAN. Dowiedziałam się, że mogę wyjechać do Jugosławii na trzy miesiące. Otrzymałam stypendium, które było przeznaczone dla profesorów, ale wystarczyło tylko na cztery doby hotelowe, więc wszyscy po kolei rezygnowali. Decydującym okazał się argument, że jako dialektolog będę korzystać z noclegów wiejskich lub szkolnych internatów. Dzięki tej pomyślnej dla mnie okoliczności przeprowadziłam badania bezpośrednie w kilkudziesięciu wsiach na obszarach byłej Jugosławii i Bułgarii.

Efektom wyjazdu była praca doktorska?

Efektom tego wyjazdu była dwutomowa publikacja na temat: *Polskie słownictwo tkackie na tle słowiańskim*: tom I *Słownik polskich gwarowych nazw tkackich*, tom II *Zróżnicowanie geograficzne. Obróbka włókna*. Była zgłoszona do recenzji jako praca doktorska. Opinie recenzentów: (sławisty, profesora Franciszka Sławskiego i etnologa profesor Anny Kutrzeby-Pojnarowej) były zgodne z oceną promotora, że zakres pracy znacznie przekracza wymagania stawiane polonistycznym pracom doktorskim, dzięki czemu profesor Doroszewski powrócił do pierwotnej oceny pracy magisterskiej i zdecydował, że jednak będzie przedmiotem obrony doktorskiej, a nad nowym tekstem porównawczym będę pracować dalej.

Znalazła się Pani w Białymstoku już z tytułem doktora habilitowanego?

Tak, habilitowałam się w 1978 roku, 12 lat po obronie doktorskiej, a także po uzupełnieniu terminologii słowiańskiej o tom III: *Zróżnicowanie geograficzne. Tkactwo* oraz tom IV: *Zróżnicowanie geograficzne. Tkaniny i powroźnictwo*.

A dlaczego znalazłam się w Białymstoku? Wróćmy do bardzo wczesnego okresu. Zakład prof. Doroszewskiego powstał w 1954 roku. Gdy byłam na studiach, powstał dialektologiczny zespół studencki, który przez cztery lata uczestniczył w wakacyjnych obozach gwaroznawczych, dokumentujących gwarę autochtonicznych mieszkańców Warmii i Mazur. W 1952 roku krakowska Akademia Umiejętności została zamieniona na Polską Akademię Nauk w Warszawie, a w 1954 prof. Witold Doroszewski powołał Zakład Językoznawstwa PAN z dwiema pracowniami: mazowiecką (kierowaną przez siebie i doc. Wandę Pomianowską) i kaszubską, prowadzoną przez prof. Zdzisława Stiebera. W 1954 roku, po zakończeniu eksploracji na Warmii i Mazurach, część osób zatrudnionych w Pracowni Dialektologicznej zajęła się redagowaniem słownika gwar badanego obszaru, a pozostali pracownicy rozpoczęli badania gwar Mazowsza, Podlasia i Suwalszczyzny. W 1954 roku odbywał się Zjazd Sławistów w Moskwie i na tym Zjeździe wrócono do przedwojennej koncepcji atlasu ogólnosłowiańskiego. Prace nad tym atlasem podjęły wszystkie akademie nauk krajów słowiańskich, w tym nasza Pracownia Dialektologiczna, która miała już za sobą praktykę terenową. Byłam związana z Mazowszem, ale który dialektolog nie chciałby uczestniczyć w pracach zespołu ogólnosłowiańskiego? Przez całe zawodowe życie był to główny temat mojej pracy badawczej.

A co z badaniem gwary rodzinnego Mazowsza i Podlasia?

Na Mazowszu, Podlasiu i Suwalszczyźnie w programie Pracowni Dialek-

tologicznej były wybrane działy kultury, przewidziane do badań w bardzo rzadkiej siatce punktów. Jako uzupełnienie zakresu badań pracownicy podjęli projekt opracowania atlasu regionalnego gwar mazowiecko-podlaskich przy współpracy z nieprofesjonalistami: z nauczycielami krajoznawcami, ze studentami, z miłośnikami regionu, a następnie z uczniami. Na Mazowszu z pomocą przyszło Płockie Towarzystwo Naukowe, publikowało nasze kwestionariusze, rozsyłało do szkół za pośrednictwem powiatowych ośrodków krajoznawczych, które czuwały nad ich wyegzekwowaniem i przesłaniem do naszego Zakładu. Szkolne wojewódzkie ośrodki krajoznawcze organizowały wakacyjne spotkania metodologiczne dla nauczycieli krajoznawców, na które byliśmy zapraszani, aby mówić o metodach badań gwaroznawczych, a także o historii i kulturze języka. Dzięki takiej współpracy zostały zgromadzone materiały, które umożliwiły trzem koleżankom opracowanie dziesięciotomowego Atlasu gwar mazowieckich. Planowaliśmy oczywiście wydanie atlasu mazowiecko-podlaskiego, ale na Podlasiu mieliśmy mniej sprzymierzeńców w organizacjach społecznych, toteż prace badawcze z przerwami trwają do dziś. A do Białegostoku zaczęłam dojeżdżać w 1980 roku. To była wtedy Filia UW, prof. Piotr Wróblewski zaproponował mi pół etatu.

Pani Profesor przyjechała, żeby zaangażować studentów?

Tak, żeby uczyć dialektologii i historii języka, zachęcając do podejmowania prac magisterskich związanych z gwarą i tradycyjną kulturą małych ojczyzn. Zaczęły się konferencje dialektologiczne z udziałem gości krajowych i zagranicznych, a w czasie wakacji stacjonarne obozy gwaroznawcze dla młodzieży szkolnej. Zachęcałam studentów, uczniów i nauczycieli, emerytów i miłośników regionu z różnych szkół i uczelni, w których prowadziłam dialektologię (Suwałki, Olecko, Siedlce, Mława, Łomża). A wcześniej podróżowałam do Suwałk. Pamiętam, jak prof. Piotr Wróblewski przyszedł do mnie z pytaniem: „Pani Barbaro, szkoda mi czasu i zdrowia na te wyjazdy, a Pani jest tym wszystkim bardzo zainteresowana, więc może by Pani zaczęła tam dojeżdżać?” Zgodziłam się, więc z Białegostoku dojeżdżałam jeszcze do Suwałk. Po moim przejściu na emeryturę Wszechnica Mazurska powołała pracownię regionalną, więc do końca istnienia tej uczelni jeździłam również do Olecka

Do dziś trwa współpraca ze szkołami, powstają naukowe koła gwaroznawcze, prowadzone są badania słownictwa gwarowego za pomocą kwestionariuszy, wywiady z najstarszymi informatorami, co roku odbywają się lipcowe warsztaty gwaroznawcze. Od kilku lat dzięki wsparciu Narodowego Centrum Kultury (w ramach programu Ojczysty – dodaj do ulubionych)

trwa publikowanie serii Dialog pokoleń, obejmującej kolejne powiaty w Polsce północno-wschodniej.

Jak się u nas pracowało?

Bardzo sympatycznie, nie przypominam sobie, żebym miała jakiś konflikt. Mam dobre wspomnienia. Uważam, że białostoczanie są ludźmi życzliwymi i gościnnymi. Praca toczyła się w miłej koleżeńskiej atmosferze. Z Warszawy dojeżdżało kilka osób, między innymi prof. Józef Wierchowski i prof. Zygmunt Saloni. Rozpoczęłam pracę w Białymstoku na stanowisku kierownika nowego Zakładu Polszczyzny Regionalnej. Przez sześć lat byłam dyrektorem Instytutu, a potem moja przygoda białostocka dobiegła końca. W trakcie mojej pracy w Białymstoku bardzo żyłam się z wieloma osobami, nie tylko z mojego Zakładu.

Miała Pani wybitnych studentów. Pamięta Pani nazwiska?

Tak. Wybitni studenci pojawiają się w każdej grupie, należały do nich moje doktorantki. Dr Natalia Szydłowska znakomicie prowadziła obozy dialektologiczne. Ma niemały dorobek naukowy, napisałam o niej w grajewskim Dialogu pokoleń. Inna rzecz, że miałam szczęście do wybitnie zdolnych osób, które wcale nie chciały zostać w dialektologii. Mam tu na myśli prof. Irenę Szczepankowską, która była znakomitym teoretykiem i po doktoracie wybrała inną specjalizację. Z wieloma byłymi studentkami spotykam się na obozach i konferencjach powiatowych. Dialektologia wymaga wyjazdów w teren. Prof. Doroszewski bardzo cenił materiały i badania materiałowe. Uczył nas tego, żeby prace były oparte na konkretnych wynikach badań terenowych, aby pierwszy etap pracy dialektologicznej umożliwiał badanie centralnego zagadnienia dialektologii, jakim jest stosunek żywej mowy poszczególnych osób do języka całego środowiska społecznego. Trzeba najpierw trafnie wybrać wieś, znaleźć odpowiedniego informatora, zrobić bardzo dokładne badania, a potem dobrze zinterpretować materiał. Później trzeba to omówić z innymi badaczami.

Czy w tym celu organizowała Pani wakacyjne obozy i konferencje?

Pracownikom naukowym potrzebna jest wymiana zdań i doświadczeń. Jeżeli się robi konferencję, to po to, by dyskutować. A my chcemy wymieniać się doświadczeniami, zwłaszcza gdy wolontariusze wchodzą w grę. Na obozach rozmawiało się nie tylko po wykładach, ale także przy ognisku, pomiędzy śpiewem a pieczonymi kiełbaskami i przy wieczornej herbatce. Dialektologia jest ogromnie ciekawa, bo ona zawsze zakłada spotkania z ludźmi. Kiedyś trafiłam ze studentami do wsi Krynickie, a tam cóż

za wspaniali ludzie, jacy gościnni. Do tej pory pamiętam ich serdeczność, więc kiedy wyjeżdżaliśmy z tej wsi, to mieliśmy poczucie, że zostawiamy tam rodzinę. I tak było bardzo często, kiedy kończyłam badania dialektologiczne. Wiele osób zwracało się do mnie listownie z prośbą o sprawdzenie w księgach parafialnych, czy nie ma poszukiwanego dokumentu, bo ktoś urodzony za granicą chciałby zdobyć jakąś informację o swoich pradziadkach. Jeździłam wszędzie tam, gdzie dało się dialektologię rozwinąć. W lipcowych obozach gwaroznawczych i w konferencjach poobozowych uczestniczyło wiele osób z różnych ośrodków naukowych, na przykład prof. Bartnicka z Warszawy. Te obozy były niezwykle ciekawe, gromadziły najróżniejszych gości. I to zostało do dziś, my co roku mamy przecież warsztaty. Szkoda, że moi koledzy nie kontynuują tych badań. Gdybym teraz nie miała problemu z chodzeniem, to skorzystałabym z prawa wykładowcy seniora i prowadziłabym wykłady społecznie. Przynajmniej raz na dwa tygodnie. A swoją drogą, teraz przygotowuję redakcyjnie kolejny tom serii Dialog pokoleń, obejmujący powiat Białystok, więc Białystok wciąż jest dla mnie ważny.

Czego by Pani życzyła białostockiej polonistyce na następne dziesięć lat?

Życzę wszechstronnego rozwoju i wielu zdolnych studentów! Chciałabym również, aby powróciła dialektologia, przygotowująca nauczycieli do współpracy z placówkami naukowymi, do prowadzenia kół gwaroznawczych, bo jest jeszcze bardzo dużo materiałów gwarowych do ocalenia. Uczelnia powinna wpływać na szkoły średnie i wspólnie dokumentować to, co związane jest z regionem, powinna promieniować na całe środowisko. Przykładem może być prof. Doroszewski, który pochodził z wielopokoleniowej rodziny inteligenckiej, a potrafił docenić kulturę chłopską i troszczyć się o jej poznanie i opis.

A czego życzyć Pani Profesor?

Chciałabym, żeby badania gwaroznawcze, które prowadziłam z udziałem szkół przez pół wieku w Polsce północno-wschodniej, były kontynuowane i zakończone słownikiem tematycznym, a także atlasem regionalnym Podlasia i Suwalszczyzny.

Dziękuję za rozmowę.

Barbara GŁOWACKA

BARBARA GŁOWACKA

– doktor nauk humanistycznych; romanistka; po studiach na filologii romańskiej na Uniwersytecie Warszawskim i doktoracie na Uniwersytecie Paris III przez szesnaście lat kierowała Zakładem Języka Francuskiego w Katedrze Neofilologii Uniwersytetu w Białymstoku, pełniąc wcześniej funkcję dyrektora Alliance Française. Honorowa przewodnicząca lokalnego stowarzyszenia nauczycieli języka francuskiego „Profs Europe”. Uczestniczyła w realizacji projektów dotyczących promocji języka i kultury francuskiej. Ekspert Centralnej Komisji Egzaminacyjnej, odpowiedzialna za dostosowanie polskich egzaminów do Europejskiego Systemu Opisu Kształcenia Językowego.

Uczestniczyła regularnie w licznych międzynarodowych kolokwiach. Autorka wielu publikacji i podręczników poświęconych nauczaniu i uczeniu się języka francuskiego, w tym *Europejskie portfolio językowe dla uczniów od 10 do 15 lat* (Warszawa 2015); *Interdisciplinary perspectives in foreign language teacher education* (Białystok 2008). Odznaczona orderem Kawalera Orderu Palm Akademickich.

Z OPTYMIZMEM PATRZĘ W PRZYSZŁOŚĆ

Pani Doktor, wiem, że o Pani przyjeździe do Białegostoku zadecydowały nie tylko kwestie naukowe, ale i prywatne...

Doktor Barbara Głowacka:

Tak. Przyjechałam do Białegostoku po studiach romanistycznych na Uniwersytecie Warszawskim. To było moje pierwsze miejsce pracy. Tak, jak Pan wspomniał, zaważyły względy czysto uczuciowe, ponieważ mój mąż pochodzi z Podlasia. Szukałam wprawdzie wcześniej pracy w moich rodzinnych stronach, ale bez powodzenia. W 1975 roku przyjechałam tutaj z mężem. Na Filii Uniwersytetu w Białymstoku było miejsce dla lektora



języka francuskiego. Zostałam. Miał być rok, może dwa, a okazało się, że całe swoje życie związałam z Uniwersytetem w Białymstoku. Zatrudniona zostałam wówczas w Studium Praktycznej Nauki Języków Obcych przy ul. Świerkowej.

Jakie wspomnienia wiążą się z tym okresem? Świerkowa była symbolicznym miejscem...

Było wesoło i bardzo sympatycznie, wszyscy byliśmy młodzi. Mieszkałam w Hotelu Asystenta przy Świerkowej. Inni koledzy mieszkali w Domu Studenta, obecnie siedzibie rektoratu. Wokół był duży sad, wiosną kwitły jabłonie. Bardzo dobrze się tam mieszkało, mile to wspominam. W Studium znajdował się pokój wspólny dla wszystkich lektorów: języka rosyjskiego, niemieckiego, angielskiego, francuskiego i łacińskiego. W tym samym budynku mieścił się Wydział Humanistyczny oraz Wydział Pedagogiki i Psychologii.

To były ciekawe czasy, ludzie chcieli uczyć się języków...

Czy czasy były ciekawe? Na pewno pod pewnymi względami. Język francuski był jednym z czterech nauczanych tradycyjnie w szkołach polskich i powstawały duże grupy. Miałam zajęcia ze studentami historii i pedagogiki. Myślę, że dzisiejsi studenci zasadniczo różnią się od tych sprzed 40 lat. Ale tak, jak tamci, są ciekawi świata, żywiołowi i autentyczni. I chcą się uczyć języków. Bo języki obce zawsze przyciągały, dawały perspektywę.

Od zawsze wiedziała Pani, że chce uczyć...

Och, nie! Miałam inne ambicje, ale gdy zaczęłam pracować jako lektor języka francuskiego bardzo szybko polubiłam nauczanie. Byłam jedyną romanistką w naszym zespole dydaktycznym. Nie myślałam o pracy naukowej, gdyż wymagano od nas stałego doskonalenia zawodowego. I było to na pewno ważne, ponieważ nie mieliśmy dobrych podręczników. Pamiętam okropną książkę, z której musiałam uczyć studentów. Dlatego śledziłam usilnie nowości wydawnicze i starałam się jak najszybciej wprowadzić nowocześniejsze metody i pomoce do nauki języka.

Jak to się stało, że zrobiła Pani krok naprzód? Skąd potrzeba rozwoju naukowego?

W piątym roku pracy w Studium Praktycznej Nauki Języków Obcych dostałam atrakcyjną propozycję objęcia kierowniczego stanowiska w ośrodku Polskiego Komitetu Współpracy z Alliance Française, który tworzył się wtedy przy Uniwersytecie. Inicjatywa wyszła od prof. Eugeniusza Ruś-

kowskiego z Wydziału Prawa. Zgodziłam się. Był rok 1980. Polski Komitet Współpracy z Alliance Française przy Uniwersytecie Warszawskim współpracował z Biurem Współpracy Językowej i Kulturalnej Ambasady Francji w Polsce. Alliance Française to Szkoła Języka Francuskiego dla cudzoziemców istniejąca od 1883 roku mająca swoją siedzibę w Paryżu. Jej placówki istniały w wielu krajach na świecie i stawiały sobie za cel promocję języka i kultury francuskiej. Ośrodek białostocki był już wtedy piątym w Polsce afiliowanym przy uniwersytecie, od początku prowadziliśmy kursy języka francuskiego i aktywną działalność kulturalną. To był bardzo intensywny i piękny okres mojej pracy zawodowej. Uczyliśmy języka francuskiego osoby, których nie trzeba było do tego namawiać: dzieci, młodzież i dorosłych, organizowaliśmy dla nich i dla mieszkańców Białegostoku spotkania z artystami, z wykładowcami, z ciekawymi ludźmi. Przyjeżdżali do nas francuscy piosenkarze, muzycy, pisarze i nauczyciele uniwersyteccy. Dbano o nasze doskonalenie zawodowe, ale sami też organizowaliśmy seminaria i warsztaty metodyczne. Działania te nadawały sens nauczaniu i uczeniu się języka; uczestnicy kursów korzystali z najnowszych podręczników, zdobywali dyplomy poświadczające ich kompetencje językowe. Mieli dostęp do francuskich książek i czasopism.

W 1991 roku pojechałam do Francji na roczny staż doskonalenia zawodowego. W ramach tego stażu jego uczestnicy mogli rozpocząć roczne studia wyższe trzeciego stopnia na Sorbonie (Diplôme d'Etudes Approfondies, tzw. DEA), przygotowujące do doktoratu. Studiowałam tam dydaktykę języków i kultur pod kierunkiem prof. Roberta Galissona, którego bardzo ceniłam, ale znałam dotychczas jedynie z publikacji naukowych. Słuchałam wykładów znakomitego socjologa edukacji prof. Louis Porcher i wielu innych. W 1992 otworzyła się przede mną droga do doktoratu.

W tym samym czasie, w 1991 roku, przy Filii UW w Białymstoku powstało Nauczycielskie Kolegium Języka Angielskiego. W całej Polsce rozszerzała się sieć Nauczycielskich Kolegiów Języków Obcych, otwierano także Nauczycielskie Kolegia Języka Francuskiego. Z tym pierwszym dyplomem Sorbony poczułam się chyba pewniej i od 1993 roku zaczęłam poważnie myśleć o otwarciu Sekcji Języka Francuskiego w NKJA Filii UW. Kierownictwo tej jednostki oraz władze uniwersyteckie okazały się przychylnie mojemu projektowi. Pozytywnie odniosły się do mego wniosku białostockie Kuratorium Oświaty i Biuro Współpracy Językowej i Edukacyjnej Ambasady Francji w Warszawie. Instytut Romanistyki Uniwersytetu Warszawskiego zapewnił nam patronat, powierzając literaturoznawcy, dr Zdzisławowi Ryłko, opiekę naukową nad świeżo powołanymi studiami licencjackimi w zakresie filologii francuskiej. Po dwóch latach funkcję opiekuna naukowego

przejął językoznawca romański, prof. Krzysztof Bogacki, który niedługo potem związał się z nami na stałe. Tak więc wiosną 1995 roku mogliśmy ogłosić pierwszą rekrutację, przeprowadzić egzaminy wstępne pisemne i ustne. A ja zaczęłam poważnie pracować nad doktoratem. Nie było to łatwe, gdyż miałam za sobą długi okres pracy dydaktycznej, organizacyjnej i kulturalnej.

W zespole dydaktyczno-naukowym NKJO, które od 1998 roku uzyskało status Katedry Neofilologii, zetknęłam się z wybitnymi naukowcami, prof. Krzysztofem Bogackim, prof. Markiem Gołębiowskim, prof. Anną Miatluk, oraz wybitnym glottodydaktykiem prof. Hanną Komorowską. To jej publikacje i podręczniki akademickie tworzyły na równi z publikacjami autorów francuskojęzycznych bazę, z której czerpałam budując program moich zajęć ze studentami i ukierunkowały w pewnym sensie moją pracę badawczą. Mój doktorat dotyczył aspektów społeczno-kulturowych w kształceniu nauczycieli języków obcych i obejmował okres od uzyskania niepodległości przez Polskę w 1918 roku po czasy współczesne. Pracowałam nad rozprawą kilka lat, by w 2001 roku uzyskać tytuł doktora na Uniwersytecie Paris III – Sorbonne Nouvelle.

Powstanie Sekcji Francuskiej było dla Pani nie lada wyzwaniem...

Zdecydowanie tak. Dla mnie i dla naszego zespołu. Odważyliśmy się przecież na budowanie tej jednostki i nowej uniwersyteckiej specjalności zupełnie od początku. Wyjaśnię, skąd ten pomysł. Otóż do ośrodka Alliance Française zapisywało się dużo dzieci i młodzieży, gdyż tylko w dwóch czy trzech białostockich liceach w latach 80-tych nauczano języka francuskiego. Ale nasze kursy były płatne, nie każdy mógł na nie uczęszczać. Kształciliśmy więc w pewnym sensie elitę. Powstanie NKJO uświadomiło nam, że oto pojawia się szansa na zwiększenie liczby nauczycieli języka francuskiego w naszym mieście, a następnie także liczby szkół, które zdecydują się wprowadzić ten język do programu nauczania. Już w pierwszych latach mogliśmy sobie uświadomić, jak bardzo ten rodzaj studiów był potrzebny. Wśród naszych studentów znaleźli się bowiem absolwenci liceów z Podlasia i sąsiednich województw. Po kilku latach sytuacja języka francuskiego w szkołach uległa zmianie: język ten pojawił się w dziewięciu białostockich liceach, w kilku z nich znalazły pracę nasze dawne studentki. Kilkoro z naszych absolwentów zaczęło uczyć języka francuskiego w gimnazjach i szkołach podstawowych. Ta tendencja zaznaczyła się także w regionie.

W obecnym zespole Zakładu Języka Francuskiego są nadal osoby, z którymi mogłam podjąć to wyzwanie. Bez nich nie osiągnęłabym sukcesu w tworzenia naszej jednostki. To językoznawca dr Joanna Cholewa, kultu-

roznawca dr Małgorzata Kamecka, wspomniany już znakomity językoznawca romański prof. Krzysztof Bogacki, który bardzo aktywnie uczestniczył w budowaniu wizerunku naukowego naszej jednostki do 2015 roku. Były też wówczas z nami literaturoznawca dr Marta Cywińska-Dziekońska, wspaniałe lektorki języka francuskiego specjalizujące się w nauczaniu gramatyki: śp. mgr Wiesława Chwiłka-Izydorczyk i mgr Monika Dreścik. Od 2003 roku ich pracę kontynuuje mgr Magdalena Aleturowicz, skupiając wokół siebie lektorów pełniących niezwykle ważną rolę w intensywnym kształceniu językowym na pierwszym i drugim roku studiów. Współpracowała z nami od 1995 roku prowadząc zajęcia z filozofii i seminaria dyplomowe, romanistka z wykształcenia prof. Małgorzata Kowalska (Wydział Historyczno-Socjologiczny UwB). Od pierwszego roku naszej działalności dydaktycznej byli z nami, dzięki współpracy z Ambasadą Francji, rodzimi użytkownicy języka – lektorzy francuskojęzyczni. Dzięki współpracy naukowej z Instytutem Romanistyki Uniwersytetu Warszawskiego, Instytutem Lingwistyki Stosowanej UW oraz obecnie z Uniwersytetem Łódzkim mogliśmy zapewnić naszym studentom udział w zajęciach i seminariach licencjackich prowadzonych przez wybitnych językoznawców: wspomnianego wcześniej prof. Krzysztofa Bogackiego, prof. Teresę Zielińską (IR UW), prof. Małgorzatę Tryuk (ILS) i obecnie prof. Alicję Kacprzak (IR UŁ).

Gdy w 1995 roku tworzyłam nasz zespół zwróciłam się do osób, których kompetencje zawodowe wysoko ceniłam i przeczynałam, w jakim kierunku będą zmierzały. To zespół, który ewoluował, działalność naukowa, rozwijana równoległe do działalności dydaktycznej, zaowocowała doktoratami, a teraz o osiągnięciach naukowych koleżanek świadczą już zdobyte i przygotowywane habilitacje, w tym literaturoznawcy dr hab. Agnieszki Włoczewskiej i językoznawcy dr hab. Joanny Cholewy.

Czy obecność wybitnych romanistów zaowocowała wybitnymi absolwentami?

Mam nadzieję, że tak. Większość naszych studentów po uzyskaniu stopnia licencjata kontynuowała studia magisterskie na romanistyce, ale dyplom ten daje im także możliwość podjęcia studiów II stopnia na filologiach, europeistyce, stosunkach międzynarodowych, dziennikarstwie, etc. Kilka osób informowało nas z dumą o dyplomach zdobytych na uczelniach francuskich, kanadyjskich, belgijskich, brytyjskich. Są wśród nich doktoranci, są doktorzy. Nie można zapomnieć o tym, że niektórzy z naszych studentów stali się z biegiem lat naszymi kolegami (mgr Urszula Kochanowska, mgr Edyta Sacharewicz, dr Adrianna Naruk). Nadmienię też, że wielu z naszych absolwentów prowadzi z powodzeniem własne firmy.

Studia w języku obcym to także wymiana zagraniczna...

Oczywiście. W ramach programu Erasmus nawiązaliśmy wymianę z kilkoma uczelniami kształcącymi w języku francuskim, głównie we Francji (Université Paris XIII), w Barcelonie (UAB, Universitat Autònoma de Barcelona), w Belgii (Université de Liège). Nasi studenci mają więc wspaniałą okazję i szansę studiowania literatury i kultury francuskiej oraz doskonalenia kompetencji językowej (francuski, hiszpański) w środowisku naturalnym dla tych języków. I corocznie chętnie z tej możliwości korzystają. Wymiana w ramach programu Erasmus dotyczy także nauczycieli akademickich. Wielokrotnie mieliśmy okazję gościć u nas językoznawców z UAB z Barcelony, spotykamy się na sympozjach naukowych i konferencjach u nas w Białymstoku a także za granicą. Staramy się w ramach kontaktów naukowych zapraszać na wykłady naukowców francuskojęzycznych i hispanojęzycznych: kulturoznawców, historyków, dydaktyków i romanistów z uczelni europejskich.

Czym dziś białostocka romanistyka może się pochwalić?

Przede wszystkim osiągnięciami naukowymi, publikacjami i artykułami w czasopismach naukowych. Gdy wyjeżdżamy na konferencje, zawsze spotykamy się z przychylnym odzewem środowiska naukowego. Przyczyniła się do tego na pewno systematyczna aktywność naukowa koleżanek z zespołu, ich udział w projektach europejskich, w konferencjach krajowych i zagranicznych (Francja, Hiszpania, Węgry), ich wkład w organizację konferencji i sympozjów naukowych organizowanych przez Zakład Języka Francuskiego. Dziś mogę pochwalić moje koleżanki za wytrwałość w realizacji celów naukowych i wysoki profesjonalizm w pracy dydaktycznej. Nie można zapominać o tym, że równoległe do działalności naukowej cały zespół jest stale zaangażowany w pochłaniającą nas bez reszty codzienną pracę dydaktyczną, polegającą na przekazywaniu i wspólnym odkrywaniu wiedzy i jednoczesnym intensywnym kształceniu językowym. Chwalić się więc powinniśmy również osiągnięciami naszych studentów i absolwentów, ocenianych wysoko przez swoich wykładowców na studiach drugiego stopnia.

Gdy pełniłam funkcję p.o. kierownika Katedry Neofilologii, obok istniejącej od 1995 r. filologii francuskiej, dzięki współpracy z dr Ludmiłą Furman, otworzyliśmy nową specjalność: język francuski stosowany z hiszpańskim. Uświadomiliśmy sobie wówczas, że taka jest potrzeba czasu. Odważyliśmy się także kilka lat wcześniej, jako jeden z pierwszych ośrodków akademickich w Polsce, zaproponować naukę języków kierunkowych, francuskiego i hiszpańskiego, od podstaw. Specjalności te przyciągają ambitnych mło-

dych ludzi, którzy chcą kształcić się w wielu językach i podejmują tę decyzję dopiero w momencie uzyskania matury. Od trzech lat do naszej oferty doszła kolejna, ciesząca się dużym zainteresowaniem, specjalność: język francuski (od podstaw) z językiem angielskim – profil tłumaczeniowy.

Romaniści z Uniwersytetu w Białymstoku mogą pochwalić się interesującymi imprezami. Pamiętam doskonałą „Wiosnę Francuską”...

Wydarzenie to związane jest z okresem mojej pracy w ośrodku Alliance Française, którego statutowym zadaniem była działalność kulturalna i promocja języka i kultury francuskiej. Kiedy zaczęłam pracować na Wydziale Filologicznym, przeniosłam ze sobą to, co uważałam za moje dziecko, czyli „Wiosnę Francuską w Białymstoku”. Organizowaliśmy to wydarzenie przez kolejne lata z okazji światowego Dnia Frankofonii (20 marca), angażując w nie naszych studentów, przyszłych animatorów kultury i nauczycieli języka francuskiego. Była to impreza otwarta, która przyciągała ludzi z naszego miasta, a często także i regionu. W programie zawsze proponowaliśmy kontakt z językiem francuskim poprzez koncerty, recitale piosenki, spektakle, projekcje filmów, wystawy i konkursy adresowane do młodzieży. Organizacja „Wiosny” była łatwiejsza w pierwszych latach istnienia Zakładu Języka Francuskiego dzięki współpracy z Ambasadą Francji w Polsce, z aglomeracją miasta Dijon (Burgundia, Francja), a także białostockim ośrodkiem Alliance Française, Białostockim Ośrodkiem Kultury, Radiem Białystok i wieloma innymi instytucjami kulturalnymi i oświatowymi naszego miasta. Staraliśmy się dotrzeć do młodzieży uczącej się języka francuskiego w szkołach poprzez ich nauczycieli i zawsze mogliśmy liczyć na ich wsparcie merytoryczne i logistyczne. Od kilku lat, światowy Dzień Frankofonii ma wprawdzie skromniejszą oprawę, ale nadal nasze propozycje (film, spektakl, wykład) adresowane są do szerszego grona odbiorców.

Pani Doktor, czego dziś życzyć Zakładowi Języka Francuskiego, kształcącemu filologów francuskich, specjalistów dwujęzycznych?

Jeśli miałabym czegoś życzyć moim kolegom i zespołowi pod kierownictwem dr hab. Joanny Cholewy, to nieustannego rozwoju. Życzę im kolejnych sukcesów w pracy naukowej i satysfakcji z pracy dydaktycznej. Wydaje mi się, że cel wyznaczony w 1995 roku został w dużej mierze zrealizowany. Mam nadzieję, że między innymi dzięki naszej działalności język francuski na stałe związał się z naszym regionem, a studia, które oferujemy, wzmacniają na pewno jego pozycję. Myślę też, że warto wciąż mierzyć i wyżej, i dalej. Zainteresowanie naszą ofertą studiów w języku francuskim oraz specjalizacją filologiczną w dwóch językach jest wyraźne i utrzymu-

je się na podobnym od kilku lat poziomie. Dzięki temu młodzież naszego regionu może realizować swoje marzenia o podjęciu w przyszłości pracy w instytucjach europejskich, których siedziby znajdują się coraz częściej w naszym kraju, o pracy w przedsiębiorstwach ściśle współpracujących z krajami francusko- i hispanojęzycznymi. Wszędzie tam nasi absolwenci będą mogli wykorzystać zdobytą na tych studiach solidną wiedzę i praktyczne umiejętności w zakresie jednego lub dwóch języków.

Dlatego z optymizmem patrzę w przyszłość, wierząc, że zawsze znajdą się ludzie, dla których poznanie kultury i języka innych krajów będzie jednym z najciekawszych życiowych doświadczeń.

Dziękuję za rozmowę.





Hotel Asystenta przy ul. Świerkowej w Białymstoku

Siergiej GRINEV-GRINIEWICZ

– prof. zw. dr hab., anglista, badacz języka. Zainteresowania: terminoznawstwo, leksykologia, antropolingwistyka, socjolingwistyka, leksykografia, semiotyka. Członek Rady Naukowej Wydziału Filologicznego UwB. Do Białegostoku przyjechał w 1999 roku jako repatriant z Moskwy. Pracował w Wyższej Szkole Finansów i Zarządzania, był tam pierwszym dziekanem Wydziału Nauk Humanistycznych. W latach 90. był Przewodniczącym Międzynarodowej Komisji do spraw Terminoznawstwa. Członek Międzynarodowej Akademii Informatyzacji, pracuje w obszarze semiotyki. Napisał jeden z pierwszych podręczników wydanych w Polsce w języku angielskim *Wstęp do językoznawstwa*. Inne publikacje: *Manifest Białostocki* – Białystok 2004, *Antropolingwistyka (nowa nauka XXI wieku)* – Białystok 2009.

Wydał: *Idiomy angielskie w pigułce* (wraz z N. Monachowicz i P. Thomas, Białystok 2003); *Antropolingwistyka. (Nowa nauka XXI wieku)* (red., Białystok 2009), *Introduction to linguistics* (z E. M. Dubieniec, Białystok 2004).

ANTROPOLINGWISTYKA POWSTAŁA W BIAŁYMSTOKU

Białystok jest w Pana życiu ważny z kilku powodów: to miejsce, z którym związał Pan swoje życie prywatne. Ale tu powstała również antropolingwistyka.

Prof. Siergiej Grinev-Griniewicz:

Przyjechałem do Białegostoku w 1999 roku jako repatriant z Rosji, z Moskwy. Pracowałem w Moskwie na uniwersytecie, gdzie kierowałem Katedrą Filologii Angielskiej. Dostałem zaproszenie, by pokierować katedrą w Wyższej Szkole Finansów i Zarządzania. Miałem wrażenie, że będzie to Katedra Językoznawstwa Ogólnego, natomiast zostałem pierwszym dziekanem Wydziału Nauk Humanistycznych. Pani prof. Miatłuk, która była życzliwą



osobą, namówiła mnie, żeby pracować również tutaj, na Uniwersytecie w Białymstoku. Kiedy przyjechałem, miałem zamiar otworzyć w Białymstoku Międzynarodowe Centrum Naukowe.

Wpadłem też na pomysł, by stworzyć zupełnie nowy kierunek naukowy: antropolingwistykę.

Jak to się stało, że znalazł się Pan w Białymstoku?

Tak naprawdę pochodzę z rodu Gryńiewiczów Lubelskich. Mój prapradziadek Klemens Gryńiewicz był prezydentem miasta Lublina. Kiedy pojawił się pomysł napisania książki o prezydentach miasta Lublina, profesor nadzwyczajny UMCS dr hab. Krzysztof Latawiec, pracujący nad projektem badań „Polacy w administracji państwowej Imperium Rosyjskiego w latach 1801–1917”, zaprosił mnie do Lublina. Kilka lat temu, kiedy moja matka jeszcze żyła, byliśmy w Lublinie i oglądaliśmy archiwum. Żona Klemensa Gryńiewicza była z domu Czajkowskich, a jego teściowa z domu Sanguszko herbu Pogoń, czyli jestem związany z Podlasiem. Szybko też się okazało, że z Białymstokiem związane były moja prababcia i jej siostra. Tutaj się wychowywały. W miejscu obecnego Uniwersytetu Medycznego przed rewolucją funkcjonował Instytut Panien Szlachetnych. Moja prababcia sporo opowiadała o tym, jak tutaj mieszkała.

Tak się stało, że w czasie wojny uciekliśmy na Wschód. Znalazłem się w Rosji. Ze Związku Radzieckiego niełatwo było się wydostać. Ale część mojej rodziny pozostała tutaj i w końcu mój wujek odnalazł mnie w latach 80. Przyjechał do Moskwy i powiedział: „Wracaj do kraju, co tutaj zgubiłeś?”. Trochę jednak zwlekałem. Właśnie wtedy miałem bronić habilitację i uzyskać tytuł profesora. Ale kiedy otrzymałem obywatelstwo, miałem już tutaj mieszkanie, pracę w WSiFiZ, więc wszystko przebiegło dość pomyślnie. Pracując w Białymstoku przez lata, zostałem w końcu profesorem zwyczajnym. Przyjeżdżając do Białegostoku miałem poczucie, że to miejsce, z którym jestem duchowo związane. To miasto ma wiele cech wspólnych z Rygą, w której się urodziłem. Przede wszystkim architektura jest bardzo podobna. Mam tutaj swoje korzenie i wydaje mi się, że Białystok to miejsce, w którym powinienem być. Wujek namawiał mnie, żebym się przeniósł do Warszawy, ale tu jest mój dom. Dodam, że bardzo przez te lata zadowolony byłem w Białymstoku. Moja żona jest Rosjanką, przez całe życie mieszkała w Moskwie, teraz mieszka tutaj. Za każdym razem, jak jesteśmy w Moskwie, mówi, że tęskni do domu i chciałaby jak najszybciej wrócić do Białegostoku. Moskwa to taki moloch, w którym człowiek się gubi. Według ostatnich danych, liczba mieszkańców Moskwy znacznie zmalała i wynosi tylko (!) 28 milionów, ale życie naukowe nadal tam kwitnie.

Przyjechał Pan do Białegostoku już jako utytułowany badacz. Z jakim przyjęciem się Pan spotkał?

Niewiele wiedziałem o życiu naukowym w Polsce, chociaż byłem recenzentem jednej polskiej pracy doktorskiej z zakresu terminoznawstwa, obronionej w Moskwie. Jednak wiele rzeczy robi się tutaj trochę w inny sposób niż w Rosji. Na samym początku byłem trochę nieufny, ale w Instytucie Neofilologii i na całym wydziale pracuje wielu bardzo miłych i sympatycznych ludzi. Ostatnio mam też świetne stosunki z kolegami z Warszawy, Opola, Krakowa, Wrocławia i Poznania. Bardzo mi przykro, że nie udało mi się namówić profesora Nowowiejskiego na bardziej intensywną współpracę przy kwestiach związanych z antropolingwistyką. Wiem, że posiada on dużą wiedzę w historii języka polskiego, uważam, że on jest jednym z najwybitniejszych naukowców w tym kierunku badań. Natomiast miałem tutaj bardzo dobrą współpracę z panią prof. Patricią Thomas z Wielkiej Brytanii (przyjaźnimy się już 30 lat). W latach 90. spotkaliśmy się w Wiedniu, kiedy jeszcze reprezentowałem Rosję w Międzynarodowej Organizacji Normalizacyjnej, byłem przewodniczącym narodowego komitetu Rosji do spraw terminoznawstwa, a ona reprezentowała Wielką Brytanię, kierowała zespołem brytyjskich terminologów. Jak się dowiedziała, że jestem w Białymstoku, podjęła pracę w UwB. Współpracował ze mną także w zakresie badań diachronicznych sympatyczny kolega z Litwy, prof. Albertas Steponavičius.

Kiedy byłem w Rosji, wiele razy próbowałem wydać swoje książki. To mi nie wyszło. Gdy tylko stamtąd wyemigrowałem, stałem się tam bardzo popularny. Od razu w ciągu trzech lat wydałem trzy monografie w najlepszych wydawnictwach. Obecnie jestem w Rosji uważany za jednego ze stu najbardziej cytowanych lingwistów. To dla Polaka, który nie mieszka w Rosji, wielki zaszczyt.

Czy wielokulturowość Białegostoku była dla Pana inspiracją do badań językoznawczych?

Uważam, że bycie swoistym skrzyżowaniem dróg prowadzących z zachodu na wschód i z północy na południe to największy atut Białegostoku. Zanim tu przyjechałem, byłem członkiem wielu różnych międzynarodowych towarzystw. W latach 90. przez jakiś czas pełniłem funkcję Przewodniczącego Międzynarodowej Komisji do Spraw Terminoznawstwa. Jestem Przewodniczącym sekcji Semiotyki Międzynarodowej Akademii Informatyzacji i pracuję również w obszarze semiotyki. Jest więc co najmniej kilka dyscyplin, z którymi jestem powiązany. Jak przyjechałem tutaj, byłem już znaną osobą w świecie naukowym, otrzymywałem zaproszenia na konferencje

z ponad stu krajów. Wiążąc się z Białymstokiem, wykorzystałem częściowo te kontakty, żeby utworzyć swoją szkołę naukową, podobną do tej, którą mam na wschodzie. Wśród moich wychowanków na wschodzie jest już czterech profesorów i ponad 20 doktorów, ale tutaj też wypromowałem 3 doktorów. Mam ludzi, którzy ze mną współpracują w kraju, w Czechach, Niemczech, Białorusi, Rosji, Serbii, na Ukrainie, Litwie i w innych krajach. Przez długi okres pracowałem nad teorią antropolingwistyki i zdecydowałem, że właśnie tutaj powstanie ta nowa nauka, o czym oznajmił w *Manifeście Białostockim*.

Czym jest Manifest Białostocki?

Manifest Białostocki jest dokumentem końcowym obrad Międzynarodowej Konferencji „Język a kultura” (Białystok, 2004). W nim zostały zawarte przesłanki i podstawy nowej nauki, która daje możliwość rekonstrukcji przebiegu ewolucji mentalności człowieka. Podstawowym założeniem badań w tym kierunku jest przekonanie, iż wszystkie historyczne zmiany w mentalności człowieka, postęp kultury oraz wiedzy znajdują swoje odwzorowanie w systemie leksykalnym. Tak więc pojawia się możliwość przeprowadzenia analizy transformacji aparatu leksykalnego wiedzy w celu określenia specyficznych cech i tendencji ewolucji myślenia człowieka. To podejście tworzy też możliwość dokonania rekonstrukcji historycznego stanu i tendencji rozwoju kultury.

Kiedy manifest powstał?

To był czerwiec 2004 roku. 29 czerwca był pierwszym dniem konferencji, a ja w nocy z 28 na 29 napisałem *Manifest Białostocki*. Rankiem wydrukowaliśmy go w językach angielskim, rosyjskim i polskim. I został podpisany przez uczestników konferencji. Przedtem oczywiście miałem doświadczenie, bo 20 lat pracowałem nad tym, co później stało się antropolingwistyką. Materiały pokonferencyjne wydano w końcu 2004 roku jako zbiór artykułów *Język a Kultura*. To był pierwszy tom „Białostockiej Serii Antropolingwistyki” (stworzonej na wzór słynnej „Bostońskiej Serii Filozofii Nauki”). Niestety, na tym wszystko się skończyło.

Kto podpisał manifest?

Skoro antropolingwistyka powstała na podstawie terminoznawstwa, to Manifest został podpisany przez wybitnych terminoznawców z Zachodu i Wschodu. Z Zachodu – Dyrektor Międzynarodowego Instytutu Badań Terminologicznych Profesor Herbert Picht i pani profesor Patricia Thomas, kierownik zespołu terminologów Wielkiej Brytanii. Ze Wschodu – najstar-

szy rosyjski terminoznawca, znany w Polsce, prof. Włodzimierz Lejczyk z Moskwy, pani prof. Walentina Novodranova, też z Moskwy, pani prof. Aleksandra Lawrowa z Niżnego Nowogrodu, pani prof. Larissa Aleksejeva z Permi i pani docent Tatiana Skopiuk z Ukrainy. Z Białegostoku – pani prof. Biesiekirska i profesor Nosowicz. Pierwszy egzemplarz manifestu oddałem do Muzeum Historycznego w Białymstoku. Od tego czasu jeszcze sporo naukowców zaczęło pracować w tym kierunku.

Jak potoczyły się losy antropolingwistyki?

Nowa nauka spotkała się z dużym przyjęciem w Rosji, gdzie terminoznawstwo było najbardziej zaawansowanym w świecie kierunkiem badań (ponad 2 500 obronionych prac doktorskich i habilitacyjnych). Już w następnym roku pojawiły się dwa pierwsze wydania podręcznika *Wstęp do antropolingwistyki* w języku rosyjskim i w tymże roku został tam obroniony pierwszy doktorat, a w 2007 – pierwsza habilitacja. W roku 2006 wydana była trzecia uzupełniona redakcja tego podręcznika, a w roku 2008 – czwarta poszerzona redakcja w renomowanym wydawnictwie Akademia. W roku 2010 i 2015 w Niemczech i Wielkiej Brytanii wydane zostały dwie monografie w języku angielskim. W roku 2009 w Białymstoku obroniony był pierwszy doktorat i w tymże roku wydana monografia *Antropolingwistyka. (Nowa nauka XXI wieku)*. Bardzo dużą pomoc w związku z tym przedsięwzięciem, otrzymałem od prof. Bogusława Nowowiejskiego. Niestety, wtedy jeszcze niedoskonale znałem język polski, ale najważniejsze było to, że pomysł był wspaniały, bo antropolingwistyka jest dziś jedną z niewielu nauk, które powstały w Białymstoku.

Kiedyś, być może za jakieś 50 lat, też będzie na ten temat głośno, podobnie jak z esperanto. Kiedy w Stanach Zjednoczonych zrobią coś nawet bardzo skromnego, to hałasu jest mnóstwo. U nas odwrotnie. Zrobimy coś wielkiego i wcale się tym nie chwylimy, a nawet czasem krępujemy. Jak zrobiliśmy konferencję w Bielsku Podlaskim, to nawet telewizja przyjechała i w gazecie napisali artykuł pod tytułem *Naukowcy z Moskwy robią odkrycie*. Więc powiedziałem: „Jaki ja z Moskwy? Jestem z Białegostoku!”. Ale co się dziwić. Otrzymałem wtedy odpowiedź: „Jakie odkrycie może mieć miejsce w Białymstoku? Niech Pan nie żartuje”. Cóż, Białystok w rankingu miast wojewódzkich zajmuje pierwsze miejsce jako miejsce do odpoczynku.

Teraz mamy ponad 100 prac licencjackich i chyba prawie 100 magisterskich, przeważnie na UwB. Idziemy w tym samym kierunku, co Lubelska Szkoła Naukowa, tworząc „językowy obraz świata” narodowości. Tyle, że my do tego jeszcze mamy dodatkowe badania diachroniczne, które dają możliwość zrekonstruowania historii rozwoju mentalności człowieka.

Uważam, że to bardzo dobry kierunek badań lingwistycznych. Może za kilkanaście lat większość uniwersytetów u nas w kraju będzie pracowała właśnie w tym kierunku.

Każdy rok to jakieś nowe fakty, potwierdzające to, co zostało już ustalone. Pierwsze wydanie monografii antropolingwistyki miało 105 stron, zaś najnowsze 230 stron. Tego materiału jest teraz tyle, że można byłoby wydać i 300 stron. Za dwa lata będziemy mieli jubileusz, zorganizujemy konferencję. Minie wtedy 15 lat od podpisania *Manifestu Białostockiego*. W tym roku w Warszawie powstało Międzynarodowe Centrum Antropolingwistyki i Terminologii, więc mamy większe możliwości promowania tej nauki.

Wyjaśnijmy, co to jest antropolingwistyka.

Ostatnio w językoznawstwie pojawiły się badania prowadzące do ustalenia tego, w jaki sposób powstał człowiek współczesny. Teraz wiemy, w jaki sposób narodziła się współczesna świadomość człowieka i wiemy, jak to będzie wyglądało za 50 lat. I to jest właśnie antropolingwistyka. Podstawą antropolingwistyki jest to, że poznanie opiera się na ciągłym wzroście wiedzy. Każde nowe pojęcie, które się pojawi, otrzymuje nazwę, bo bez nazwy szybko pójdzie w zapomnienie. Mając precyzyjny słownik historyczny, możemy odtworzyć cały przebieg tego poznania. Możemy zacząć od tych wyrazów, które pojawiły się 1200 lat temu i w latach kolejnych. Wówczas dokładnie dowiemy się, jak kształtowała się świadomość współczesna. Badania pokazują, że to nie był proces jednolity. Było 5 takich etapów: proto-ludzki, przednaukowy, proto-naukowy, naukowy i wysokonaukowy. Teraz właśnie jesteśmy w ostatnim etapie. Proszę zwrócić uwagę, że w każdym etapie nasze słownictwo powiększało się sto razy. Z tym rozwojem wiąże się rozwój kultury i nasz stosunek do języka. Właśnie na podstawie antropolingwistyki powstał nowy kierunek: lingwopolitologia, która zajmuje się badaniem możliwości rozwoju języków, w szczególności tzw. małych. Z tym wiąże się fakt, że zostałem konsultantem Akademii Nauk Litewskich. Litwa jest bowiem bardzo zaniepokojona faktem, że języki małych narodowości zanikają. A więc trzeba prowadzić politykę językową, która by rozwijała języki małych narodowości. I tym się dziś zajmuję, współpracując z Litwą. Poza tym jestem członkiem Komitetu Sławistyki i będę niedługo prezentował referat na kolejnej konferencji sławistycznej w Belgradzie. Będę mówił na temat polityki językowej w krajach słowiańskich. Niestety, języki większości krajów słowiańskich to tzw. małe języki, które wychodzą z użycia. Mówi nimi mniej niż 5 milionów ludzi. Dlatego trzeba zbadać możliwości zahamowania procesu zanikania takich języków oraz świadomie regulować procesem rozwoju języka narodowego.

Mimo wszystko, zapytam jednak: czy dzięki antropolingwistyce Białystok jest znany w zagranicznych środowiskach naukowych?

Nie wiem, na razie trudno mi powiedzieć. Przynajmniej jeden z moich pierwszych podręczników wydanych tutaj – *Wstęp do językoznawstwa* (w języku angielskim) – jest znany na Zachodzie i jest cytowany. Może w Wielkiej Brytanii, Francji niewielu ludzi wie o istnieniu Białegostoku, ale mam nadzieję, że teraz będą mieli przynajmniej świadomość tego, że tutaj też sporo się dzieje. Mam nadzieję, że będę bardziej pomocny w rozwijaniu i promowaniu Uniwersytetu i Instytutu Neofilologii, który powstał w trakcie mojej pracy tutaj. Uważam, że to bardzo ważny krok, bo świadczy o tym, iż prowadzone przez nas badania są ważne.

Panie Profesorze, jest Pan już w Białymstoku ponad 18 lat. Jak, według Pana, rozwijało się nasze miasto?

Muszę powiedzieć, że Białystok zmienił się bardzo. Kiedy przyjechałem tu w końcu lat 90., dość łatwo było przemierzyć cały Białystok pieszo w kwadrans. A teraz to zupełnie niemożliwe. Mam takie wrażenie, że kiedy przyjechałem, było tu zaledwie 200 tys. mieszkańców, a teraz ponad 300 tys. Za każdym razem, jak wracam z Warszawy, jestem zszokowany, że w stolicy obok nowych budynków stoją stare, które nie są remontowane od wojny. W porównaniu z tym Białystok wygląda jak „cukierek”. Znam osobiście prezydenta Tadeusza Truskolaskiego i widzę, że wkłada on sporo wysiłku w rozwój miasta. Zmizerniał w ostatnich latach, widać, że ciężko mu to idzie, ale przynajmniej sporo się dzieje. Wszystkie elewacje budynków są odnawiane. Mamy wiele wyremontowanych dróg.

Jest też postęp w uznaniu wyższych uczelni Białegostoku. 15 lat temu prawie nie otrzymywaliśmy żadnych zaproszeń na konferencje od innych uczelni wyższych. Za każdym razem, gdy jechałem na konferencję do Olsztyna czy do Warszawy, często słyszałem żartobliwe pytanie: „Pan jest z Białegostoku? A proszę mi powiedzieć, gdzie jest ten Białystok?”. Dziś to się zmieniło. W każdym tygodniu otrzymujemy co najmniej kilkanaście zaproszeń. Dlatego mam w sobie mnóstwo nadziei.

Panie Profesorze, a białostoccy studenci? Jacy są? Jest Pan aktywnym wykładowcą, więc możemy pokusić się o refleksję...

Jeszcze 10 lat temu był tu konkurs. Teraz panuje niż demograficzny i bierzemy wszystkich z ulicy. Chyba 3 lata temu miałem wykłady z przedmiotu *Wstęp do językoznawstwa*. Na pierwszy wykład przyszło około 100 osób, na drugi zaledwie 20. Zapytałem, gdzie cała reszta, na co usłyszałem od studentów szokujące stwierdzenie: „My nie wiemy, po co właściwie tutaj przy-

szliśmy. Chyba tylko dlatego, że tutaj jest za darmo”. Czyli tak naprawdę to oni nie wybrali tego kierunku. Kiedyś braliśmy samą śmietankę studentów. Oni byli zmotywowani. Uważam, że jednolite studia pięcioletnie były lepszym rozwiązaniem. Teraz nie wiem, w jakim kierunku idziemy. Oczywiście za przykładem zachodnim, bo to idzie ze Stanów Zjednoczonych.

Swoją pracę zacząłem jeszcze jako referent w Ministerstwie Szkolnictwa Wyższego Związku Radzieckiego. Zajmowałem się wyższym szkolnictwem w Stanach Zjednoczonych, dlatego znam ten system. To, co polscy uczniowie mają na zajęciach w liceum w ciągu 4 lat, w USA młodzież przyswaja w szkole średniej i jeszcze w collegu. Oni przez 15 lat uczą to, co u nas przyswaja się w 10 lat. Gdy mój bratanek został wyrzucony ze szkoły w Warszawie, bo miał niedostateczne oceny za naukę, pojechał do Stanów Zjednoczonych i tam okazał się jednym z wyróżniających się uczniów. Mówił, że trafił do dobrej uczelni, bo katolickiej, gdzie połowa uczniów pochodziła z Polski. To byli normalni ludzie. Wynika z tego, że u nas szkoła więcej wymaga, stoi na wyższym poziomie. Teraz chyba jest taki zamiar, by w ogóle zrezygnować z habilitacji, ale mam nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Co powinniśmy zrobić, by lepiej funkcjonował uniwersytet?

Przez cały czas widzę sporo utalentowanych studentów i bardzo chętnie bym ich wziął do pisania doktoratu, ale niestety przez cały czas jestem zmuszony odmawiać. Dlatego, że mamy dość skomplikowane studia doktoranckie. Wszędzie na wschodzie, nie tylko w Rosji, ale też na Litwie, Ukrainie i wszystkich byłych krajach Związku Radzieckiego, obowiązuje taki system: trzy lata studia doktoranckie – w pierwszym semestrze zaliczasz wszystkie niezbędne przedmioty, a przez następne dwa i pół roku pracujesz tylko nad doktoratem. Co mamy tutaj? Przez cztery lata same egzaminy, w każdym semestrze kilka przedmiotów. Student przez cały czas zdaje jakieś egzaminy i nie ma czasu, aby popracować nad doktoratem. Czasem doktorant odchodzi od razu albo pod koniec czterech lat i mówi, że już jest tak zmęczony, że nie ma sił na pisanie pracy doktorskiej. Nie wiem, kto to wymyślił, ale to nie był dobry pomysł.

Co zrobić, by rozwinąć uczelnię?

Powinniśmy zmienić swoją mentalność i przestać grać rolę ohotniczych naukowych kopcuszków. To dotyczy całego kraju. Celowo wybrałem Białystok jako miejsce powstania nowego kierunku naukowego, lecz pierwsza praca doktorska z zakresu antropolingwistyki była obroniona w Rosji, a dokładnie w Niżnym Nowogrodzie (kiedyś Gorki). Co ciekawe, w Internecie można znaleźć informację, że jednym z głównych atutów Niżnego Nowogrodu jest to, że to właśnie tam obroniono pierwszy doktorat z an-

tropolingwistyki. Oni są bardzo dumni z tego faktu. Białystok, w którym to wszystko powstało, nigdy tym się nie chwalił. Być może powinniśmy mocniej reklamować swoje osiągnięcia.

Znalazłem informację, że w Stanach Zjednoczonych publikowane jest czasopismo naukowe „Lingwistyka Antropologiczna”. Napisałem do nich e-mail, że u nas został podpisany Manifest Białostocki i chcielibyśmy nawiązać współpracę. Dostałem odpowiedź, że to czasopismo naukowe dla studentów I i II roku, tworzone po to, by nauczyć ich pisać. Tam żadnej nauki nie ma, ale rozgłos – proszę bardzo – jest! Międzynarodowe czasopismo... U nas robi się sporo, ale jesteśmy tym jakby skrzępowani. A przecież powinniśmy się chwalić.

Czego życzyłby Pan dziś Białemustokowi i Uniwersytetowi w Białymstoku? I o czym marzy prof. Griniev-Griniewicz?

Bardzo wysoko cenię wysiłki pana prof. Ławskiego, obecnie dziekana, bo on stara się o rozwój badań naukowych wydziału i nawiązuje naukowe relacje ze wschodem i zachodem. Tutaj powinna być taka współpraca. Powinniśmy wykorzystać usytuowanie Białegostoku jako miejsca, które leży pośrodku wszystkiego. Chciałbym bardzo, żeby z moją naukową szkołą wschodnią było więcej kontaktów. A jeśli chodzi o mnie, to chciałbym dalej pracować w wybranym kierunku badań. Interesuje mnie obraz ewolucji świadomości człowieka na podstawie języka. To jest dość szeroki temat. Wiem, że są ludzie, którzy doceniają to na zachodzie i nawet u nas. W Poznaniu jest profesor Stanisław Pupiel, bardzo dobrze mi znany. Jest pan profesor Stanisław Gajda, mój przyjaciel z uniwersytetu w Opolu, który jest teraz przewodniczącym Komitetu Sławistyki, profesorem honorowym kilku uniwersytetów poza krajem. Mamy tutaj wspaniałych ludzi, a to jest warunkiem rozwoju naukowego. Marzę więc o tym, żeby Białystok był dobrze znany nie tylko jak miejsce do dobrego odpoczynku, ale też jako centrum naukowe. Przynajmniej mam nadzieję, że moje studenci za będą mieli mile wspomnienia ze swojej pracy naukowej na UwB.

Życzę więc i Panu, i sobie, żeby Białystok był prężnym ośrodkiem językoznawczym.

W moim przekonaniu Białystok powoli nim się staje i mam nadzieję, że wszystko pójdzie w tym kierunku. Zobaczmy, jak to będzie za dwa lata, wtedy ma być konferencja jubileuszowa związana z 15-leciem powstania antropolingwistyki. Po tej konferencji może coś się ruszyć. Bo przecież to powstało w tym kraju, w Białymstoku.

Dziękuję za rozmowę.

Roman

H A J C Z U K

– dr hab., prof. em. Uniwersytetu w Białymstoku, rusycysta, dydaktyk i językoznawca. Jest specjalistą z zakresu metodyki nauczania języków obcych oraz językoznawstwa ze szczególnym uwzględnieniem leksykografii. Urodził się w 1940 roku w Wilnie. Studiował na Uniwersytecie Warszawskim. W trakcie studiów, w 1966 roku, podjął pracę w 36 Liceum Ogólnokształcącym w Warszawie, a po ukończeniu studiów w 1968 roku – w Technikum Przemysłu Drzewnego w Żywcu. W latach 1970–1986 pracował w Studium Języków Obcych Akademii Medycznej w Białymstoku. Rozprawę doktorską *Nauczanie studentów-Polaków uczelni niejęzykowych rosyjskiego języka zawodowego (na materiale tekstów medycznych)* obronił w Instytucie Pedagogicznym w Moskwie w 1983 roku. W 1986 roku podjął pracę w Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Instytucie Filologii Wschodniosłowiańskiej. Przez 10 lat był kierownikiem Pracowni Metodyki i Translatoryki. W 1997 roku Pracownię przekształcono w Zakład Lingwodydaktyki. Kierował tym Zakładem aż do osiągnięcia wieku emerytalnego. W latach 1997–1999 pełnił funkcję prodziekana Wydziału Humanistycznego, a w latach 1999–2002 – prodziekana Wydziału Filologicznego. Jest członkiem Polskiego Towarzystwa Neofilologicznego, Polskiego Towarzystwa Rusycystycznego, Stowarzyszenia Tłumaczy Polskich. Władza językiem rosyjskim i litewskim. Pisał podręczniki akademickie do nauki języka rosyjskiego oraz języków specjalistycznych, opublikował kilka słowników we współautorstwie z innymi językoznawcami.



„INNE” CZASY

Przyjechał Pan do Białegostoku w 1968 roku...

Dr hab. Roman Hajczuk, prof. UwB:

Tak, 9 marca 1968 roku znalazłem się w Białymstoku, po wypadkach na Uniwersytecie Warszawskim, na którym studiowałem. W Białymstoku było cicho, nic się tu nie działo. Pamiętam marzec na placu uniwersyteckim przed BUW-em – w samym środku wydarzeń. Byłem członkiem Komisji Zagranicznej Rady Okręgowej ZSP. Byliśmy na dyżurze. ZSP to był związek zawodowy studentów, a zorganizował to śp. Nurowski, który zginął w katastrofie smoleńskiej. No i oglądaliśmy wspólnie to, co się wówczas, w 1968 roku, działo. ZMS krzyczało swoje, ZSP swoje. Byliśmy tylko obserwatorami, nie mogliśmy wchodzić w politykę.

Następnego dnia byłem już w Białymstoku. I to moje pierwsze spotkanie z Białymstokiem. Miałem stypendium mianowane z Ministerstwa Leśnictwa Przemysłu Drzewnego w Warszawie. Myślałem, że zostanę w Warszawie po skończeniu studiów jako tłumacz. Ale powiedziano mi, że tłumaczy mają swoich i pokazali mapkę: na niej Żywiec, coś w zielonogórskim, w lubelskim. Powiedziałem, że wybieram Żywiec, skoro piwa nawarzyłem, to sam je wypiję. Pracowałem tam w Technikum Przemysłu Drzewnego 2 lata. Kolega, który razem ze mną studiował, był z Białegostoku, pracował w Akademii Medycznej w Studium Języków Obcych jako lektor. Ożenił się z warszawianką i napisał do mnie list, czy nie przyjdę na jego miejsce. Oczywiście, że przyszedłem. Od 1 października 1970 roku już byłem lektorem języka rosyjskiego w Studium Języków Obcych na Akademii Medycznej.

Na uniwersytecie trafiłem po roku, spotkawszy panią doc. Halinę Milejkowską, która zaproponowała mi, ze względu na moją praktyczną znajomość języka, pracę w laboratorium językowym, aby tam pracować z studentami. Nasi kierownicy z Akademii Medycznej wyrazili zgodę na to, bym tam pracował na godziny, na umowę zlecenie. I taka była moja pierwsza znajomość i praca w Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku. Później już na pół etatu i na stałe rozpocząłem pracę od 1 października 1986 roku.

Pierwsze wrażenia z przyjazdu do Białegostoku?

Tu było pusto, spokojnie, nie było tych ruchów, jakie były w Warszawie. Żadnych okrzyków, chodzenia grupami, żadnej milicji. Pytam kolegę, czy u was coś jest, mówi: „Zobacz, co dzieje się w Warszawie. Jestem w gipsie. Milicja była ubrana po cywilnemu. Okrążyli grupę studentów przed BUW-em w trzech kordonach. Pierwszy kordon kopał, drugi bił. Milicjant z drugiego kordonu złapał mnie za rękę i pociągnął”. Sprawa pomocy dla

studentów była tak zorganizowana, że zakładali gips i kazali nikomu nic nie mówić.

Białystok na początku poznałem z opowieści kolegi, który tu mieszkał na stałe, a studiował w Warszawie. Mówił, że miasto nieduże, centrum odbudowane, ale że to „wieś”. Byłem tutaj, na Choroszczańskiej, gdzie on mieszkał. Dwa przystanki i mamy centrum, kościół św. Rocha, wszędzie blisko. Dworzec blisko. Kiedyś tam stały budyneczki, typowe, wiejskie, nutrie tam hodowano. Ubikacje były na zewnątrz domu, po prostu wiejskie budynki. Przejechaliśmy na nowy rejon, czyli na Piastowską, gdzie już budowano czteropiętrowe budynki. Rodzice kolegi, u których zatrzymałem się i którymi opiekowałem się, w zamian za to, że oddali budynek, otrzymali mieszkanie (M-2) przy ul. Piastowskiej. W ciągu tych lat naprawdę bardzo dużo się zmieniło. Choroszczańska, Antoniuk Fabryczny, trasa do Fast. Dziesięćmi były wioską, na nartach się tam jeździło. A teraz to miasto.

Porozmawiajmy o konkretnie Pana pracy w Białymstoku. Od czego Pan zaczął?

Na początku od współpracy z kierownikiem Studium Języków Obcych, magistrem Janem Zaniewskim. To był bardzo dobry kierownik, jeśli chodzi o sprawy organizacyjne. Tam się trochę nauczyłem organizacji. Jeśli organizowaliśmy różnego rodzaju konferencje, to było to zrobione perfekcyjnie. Zespół był bardzo dobry, nieduży, ale prężny. Mogę powiedzieć, że od 1970 do 1984 roku pojawiło się w Studium ośmiu nowych doktorów i jeden profesor. W 1984 roku przeniosłem się na uniwersytet i tu już dokończyłem swoją habilitację. Uczelnia dała mi możliwość, że mogłem pojechać na staż w trybie zaocznym do Moskwy. W Moskwie w Moskiewskim Uniwersytecie Pedagogicznym obroniłem rozprawę habilitacyjną. W związku z tym, że już byłem samodzielnym pracownikiem naukowym, utworzono Zakład Lingwodydaktyki. Tam mieliśmy swoją grupę lingwodydaktyków. Można powiedzieć językoznawstwo stosowane, bo jest językoznawstwo ogólne, teoria, a tutaj było językoznawstwo praktyczne.

W tamtych czasach kadry dopiero się kształtowały, więc nie było łatwo?

Rozwój zaczął się między innymi od tego, że przyjeżdżali do nas pracownicy z Warszawy. To oni dali pewien asumpt do pracy, na ich doświadczeniach to szło. To było dobre. Płacili tutaj pewnie większe grosze, ale dzięki ich poświęceniu rozwinęła się przede wszystkim polonistyka i historia oraz rusycystyka (ta w mniejszym stopniu). Warszawa o tę córkę-filię dbała. A kiedy ta córka już zmeźniała, rozkwitła, trzeba było wydawać dzieci. Mieliśmy dobrą matkę i dobrą córkę. W związku z tym powstały własne

kadry. Pani dr Krukowska zasiała czarny romantyzm, który jest sławny do dzisiaj na całą Polskę. Zaczęła badać konkretne rzeczy, konkretne epoki. Stąd mamy jej ucznia, naszego obecnego dziekana, prof. Ławskiego, którego osobiście dobrze znam. Kiedy byłem prodziekanem, mieliśmy nawet taką rozmowę lekko „dyscyplinującą”, jak z każdym młodym naukowcem, świeżym doktorem. Bywały takowe sytuacje. Powiedziałem: „Jarek, wiosłować trzeba dalej”.

Jeśli można było pomagać, pomagaliśmy, tzn. była zasada taka, że uczelniane wydawnictwo nie zawsze mogło przerobić tyle napisanych rzeczy i niektórzy autorzy przychodzili na konsultacje i pytali, czy nie mogą wydawać we własnym czasopiśmie. Pani prof. Falińska dużo napisała o nazewnictwie naszego regionu w Warszawie. Mówiłem: dopłacę część, bo nasi tego nie zrobią tak dobrze, jak w specjalistycznym wydawnictwie. Gdzie pracuje prof. Kopania? Wiadomo, w Białymstoku, a książkę ma wydaną w specjalistycznym wydawnictwie. Trzeba było nie bać się dać trochę pieniędzy. Mieliśmy dużo studentów w trybie zaocznym. Opłaty za studia były, to częściowo można było te pieniądze na wydania naukowe przeznaczyć. Nie bałem się tego robić.

W pewnym momencie zajęł się finansami?

Finansami i dydaktyką, byłem też dziekanem do spraw studenckich. Dr Jerzy Milewski był nim najpierw, później to po nim przejąłem na drugą kadencję. Byłem prodziekanem, gdy istniała jeszcze filia i mieliśmy Wydział Humanistyczny. Tam i filologia była, i historia. Byłem prodziekanem do spraw organizacyjnych i finansowych. Druga kadencja, czyli znów pierwsza kadencja w 1997 roku, to już był Uniwersytet w Białymstoku. Pracowałem się ciekawie, bo atmosfera była rodzinna. Zawsze do studenta podchodziłem jak do kumpla (tak mnie uczono na Uniwersytecie Warszawskim). Mam zaufanie do studenta, on ma do mnie. On chce się nauczyć, więc ja go uczę. Taka to w tych czasach sytuacja panowała na uniwerku. Do studenta powinno się mówić per pan, per pani itd., ale ja mówiłem: Basieńko, Piotrusiu, tak zdrobniale, żeby on czuł się, że jest to podejście rodzinne. Jeżeli już do niego się zwracam po pewnym czasie „proszę pana”, „proszę pani”, to ta osoba wyczuwa, że coś nie tak. To znak, że będziemy rozmawiać urzędowo.

Jak się Pan odnajdował w roli dziekana?

W czasie studiów, zaczynając od Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej, gdzie dwa lata studiowałem, stale byłem od spraw finansowych. Studiowałem filozofię teologiczną. Po dwóch latach były święcenia na księdza,

ale ja na to nie poszedłem. Zdecydowałem się więc, by skończyć teologię filozoficzną, bo była wówczas modna archeologia biblijna. W tamtych czasach na pustyni odnaleziono jakieś rękopisy. Nie palono, nie niszczone ich dawniej, tylko zakopywano w piasek. A piasek w tamtych rejonach jest tak drobny, że konserwował rękopisy, odcinając dopływ tlenu. Były wykopaliska. Było to modne. Poszedłem więc do biskupa, mówię: nie mogę być już święcony, bo szedłem na to i na to. Ksiądz biskup Maksymilian Rode powiedział, że my „swoich” wysyłamy na studia doktoranckie. Skończyłem dwa lata studiów, a on pozwolił mi zostać do końca roku akademickiego. Poszedłem więc na rusycystykę na Uniwersytet Warszawski. Udało mi się zdać. W tamtych czasach zdawało się tylko na jedną uczelnię. Na świadectwie maturalnym pieczętka stała, że tu byłeś. Z tą pieczętką do innej uczelni w tym samym roku nie można było się dostać. A dzisiaj zrobili komercję, bo ludzie są bogatsi. Do 6-9 uczelni papiery składają i płacą po 80 złotych wpisowe, a to z kolei idzie na konto uczelni.

Wracając do spraw funkcyjnych, w ZSP i na Uniwersytecie Warszawskim byłem dwie kadencje skarbnikiem Rady Uczelnianej ZSP. Organizacji się nauczyłem, dawałem pewne pomysły i umiałem dobierać ludzi, którzy te pomysły realizowali. Kiedy przyjechałem do Białegostoku, pierwsze, co zrobiłem, to z panem prof. Janem Nosowiczem, wtedy jeszcze magistrem, utworzyliśmy Klub Pilotów Wycieczek Zagranicznych ALMATUR. Zrobiliśmy kursy pilotów wycieczek zagranicznych. Prof. Czarek Kuklo zdał egzamin u lektora języka francuskiego, a ja uczyłem się techniki obsługi wycieczek. Dwa lata na początku kierowałem klubem przy ulicy Krakowskiej, a później Międzynarodowym Hotelem Studenckim przy Zwierzynieckiej. Hotel przynosił dochody, ale moi następcy byli mniej oszczędni, z tego, co wiem, dopłacali do niego. Ale jakoś to prosperowało. Później byłem dwa lata okresowym przedstawicielem Juwenturu i Almaturu w Moskwie. Nie będę mówił o wszystkim, podsumuję to tylko tak: 20 lat przy pieniądzach byłem na Uniwersytecie. Pewne rzeczy trzeba było wyrugować, bo były złe. Wyrugowałem. Także pieniądze, które szły w innym kierunku, zostały przeznaczone na pożyteczne rzeczy, na przykład na remont. Powiedziałem śp. dziekanowi Serczykowi, że zaczniemy od remontów ubikacji, bo to wizytówka mieszkania, a więc i uczelni. To były lata 1997–1998. Kiedy powstała samodzielna uczelnia, to wtedy też dostaliśmy więcej pieniędzy. Odmalowaliśmy więc aulę.

Panie Profesorze, przekształcenie Filii w Uniwersytet to była właściwa decyzja?

Oczywiście. Przede wszystkim byliśmy samodzielnymi finansowo, bo mieliśmy swoje. Matka już nam nie odbierała. A przecież, jak zabrakło im pie-

niędzy w Warszawie, to filii-córcie środki odbierali. Centrala Uniwersytetu w Białymstoku co mogła dać na wydział, to dawała, plus to, co mieliśmy z opłat za studia zaoczne. Te opłaty zaoczne ratowały pewne rzeczy, chociaż płaciliśmy daniny. Na początku było to mniej, powiedzmy to 7-10%. Ale doszło i do tego, że 50% trzeba było oddać centrali. Do naszej centrali, nie do Warszawy. Lecz te 50% to były duże pieniądze. Jak się napisało budżet, to w budżecie trzeba było to przewidzieć. Oczywiście jeżeli były niewykorzystane pieniądze, to uchwałą Rady Wydziału można było je przenieść na wydawnictwo, na dodatkowy remont itd. Musiał być jeden człowiek, który się tylko tym bawił. Owszem, na początku miałem sporo wrogów, bo nie chciałem dawać pieniędzy. A pieniądź lubi być liczony, więc trzeba było go liczyć. W poprzednich latach widziałem często, że pieniądze szły nie w tym kierunku, co trzeba. Nie były to przekręty, tylko złe decyzje.

Na szczęście nastały takie czasy, w których można było się wykazać. Grup było więcej i studentów w porównaniu z dzisiejszymi czasami. Niż demograficzny swoje zrobił. W związku z tym nadeszły trudne czasy. Trudny okres dla ludzi, którzy nie chcieli pisać albo przedłużali sobie pisanie prac doktorskich, habilitacyjnych. Istnieją pewne ograniczenia ustawowe, 8 lat na adiunkta czy doktorat, 9 lat na habilitację. W związku z tym zaczęła się konkurencja. Część słabszych odeszła, bo się nie wyrabiali. Również wielu dobrych odeszło. Namawiałem na przykład, żeby mgr Jan Leończuk został, ale z różnych względów nie mógł się poświęcić nauce. Stan zdrowia na pewno mu w tym nie pomógł.

Z czego jest Pan dumny?

A chociażby z tego: w Białymstoku prowadziliśmy przy Uniwersytecie tzw. Szkołę Języka Angielskiego. Nie wiem, jakim to sumptem powstało, w każdym razie, kiedy zostałem prodziekanem, to powiedziałem, że tę szkołę należy w jakiś sposób administracyjnie do kogoś przykleić, na przykład do filologii. Jest taka możliwość. Skoro na uniwerku warszawskim jest wydział neofilologiczny, zajmujący się nauczaniem języków współczesnych, zachodnich, dlaczego ma go nie być u nas? Powiedzmy zakład nawet, ale niech będzie przy Wydziale Filologicznym. Dlatego dziś mamy magistrów, doktorów habilitowanych neofilologii chyba czterech czy pięciu: Kamionowski, Moroz, pani Aleksandrowicz-Pędich, ale to też trochę dzięki Warszawie. Bardzo dużo pomogła pani prof. Hanna Komorowska, na jej wykłady przychodziły tłumy, jak nie było miejsca to ludzie siadali na ziemi. Tak ciekawie prowadziła swoje wykłady. To dzięki pani prof. Hannie Komorowskiej anglistyka u nas tak urosła. To jest wciąż stosunkowo mały instytut, ale profesorów już mamy pięciu czy sześciu.

Kiedy rozmawiałem z Panią Dyr. Bożeną Poniatowicz, pokazała mi zdjęcie z pierwszych Dni Wydziału Humanistycznego, które odbyły się w 1998 roku. Impreza odbyła się między innymi dzięki Panu?

Przeszedłem swój staż studencki na uniwerku warszawskim. Byłem działaczem, przewodniczącym Rady Wydziałowej Filologii Wschodniosłowiańskiej. Po dwóch latach zostałem skarbnikiem Rady Uczelnianej ZSP Uniwersytetu. Wiedziałem więc, jak z tymi studentami jest, jak oni są zorganizowani. W pamięci pozostają takie sytuacje: przychodzi Stefan Opara z pedagogiki (dzisiaj jest profesorem) i mówi: Roman, mamy imprezę i trzeba pojechać tam i tam. Zasady były takie, że musi być minimalna wpłata studenta, żebym ja mógł imprezę dofinansować, choćby 2 zł. Co ciekawe, studenci chętnie mnie zapraszali. Specjalnie nie jeździłem na wszystkie imprezy, ale na niektóre, żeby zobaczyć, na co ja pieniądze wydaję. Wiadomo, jaka jest młodzież. Ale nie miałem nic przeciwko imprezom z alkoholem, jeżeli było to prowadzone kulturalnie, przyzwoicie. Pamiętam, jak przychodziliście tutaj i mówiliście, na co potrzeba wam pieniędzy. Życia uczelnianego nie prowadzą naukowcy, ale studenci. Jeżeli oni są prężni, coś robią i chcą robić nie tylko dla siebie, to dlaczego nie pomagać. Pieniądz lubi być wydawany i liczony. Byłem po to, żeby wam pomóc. Miałem na to odłożone pieniądze. Piwo, koniak, bimber – wszystko jest dla ludzi, jeżeli traktuje się to z umiarem. Można przy tym trochę rozwiązać sobie język, oczywiście na przyzwoitym poziomie; porozmawiać, śmiać się wypowiedzieć. Dzięki temu tworzy się rodzinną atmosferę, w której nie ma niedopowiedzeń, zaszłości.

Co nie znaczy, że student ma być dla nas kumplem. Nie. Studenta powinno się traktować jak przyszłego ministra lub premiera, bo nigdy nie wiadomo, kim on będzie w przyszłości. Poza tym to niezaprzeczalny fakt: jest student, to masz pracę, nie ma studenta, nie masz pracy. Studenci są naszymi chlebobdawcami.

W owych czasach wykładowcy trzymali ze sobą „sztamę”?

Tak. Wyjeżdżali, razem wypoczywali, a nawet trzymali się za rączki. Mamy takie małżeństwo: pan dr Leś i nasza rusycystka dr Weronika Biegluk-Leś. Takich par można znaleźć więcej. Sporo wykładowców integrowało się, a później pożeniło i teraz ma dzieci. Dlatego integracja była na pewno. Dzisiaj jest, jak widzę, trochę inaczej, na uczelni jest pewien strach. Szczególnie wśród ludzi, którzy pracują na pół etatu, a nie zrobili w terminie doktoratów. Są dobrymi dydaktykami, a rektor dał im jeszcze dwa lata, żeby napisać doktorat. Mało mamy studentów na polonistycę, lecz o tym to z panem dziekanem najlepiej porozmawiać.

Jak wyglądać będzie przyszłość humanistyki?

Trudno powiedzieć. Na pewno coś trzeba z tym wszystkim zrobić, żeby było lepiej. Metoda zawsze się znajdzie, tylko trzeba ją wcielić. Studia humanistyczne powinny być, co do tego nie mam wątpliwości. Trzeba nawet wprowadzić pewne przedmioty humanistyczne na politechnice, żeby dyscyplina techniczna też była w jakiś sposób ludzka, bo nie można ciągle żyć tylko mechaniką. Ustrój u nas się zmienia. W socjalizmie realnym było tak, że wszyscy studiowali, a po studiach mieli nakazy pracy. Państwo nam teraz nie mówi precyzyjnie, jakich zawodów i gdzie brakuje. Niby brakuje, ale kto się tym przejmuje? Nikt. Nie słyszę, żeby ktoś to sprawdzał. Dla mnie studia wyższe to studia dla tych, którzy chcą naprawdę czegoś się w swojej dyscyplinie dowiedzieć i tym żyć. Natomiast stanowisko młodzieży jest inne. Młodzi chcą iść na takie studia, po których dostaną pracę. Dlatego nie widzę ludzi oddanych polonistyce, historii czy językoznawstwu.

Panie Profesorze, czego życzyć białostockiej filologii na następne lata?

Czego życzyć? Następnych 100 lat spokoju i rzeczywistej pomocy ze strony państwa.

A czego życzyć Panu?

Dużo zdrowia. Jak jest zdrowie, to jest wszystko. Jak nie ma zdrowia, to i humoru nie ma.

Dziękuję za rozmowę.

Budynki Wydziału Pedagogiki
UwB przy ul. Świerkowej.
Stan z 2018 roku



Krystyna JAKOWSKA

KRYSZYNA JAKOWSKA

– prof. zw. dr hab., em. pracownik Uniwersytetu w Białymstoku, historyk literatury, urodzona 24 czerwca 1938 roku w Wilnie. W 1956 roku podjęła studia polonistyczne na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika (UMK). W roku 1961 uzyskała magisterium i otrzymała stanowisko asystenta w Zakładzie Literatury Dwudziestolecia Międzywojennego Instytutu Filologii Polskiej (od 1999 Instytut Literatury Polskiej) UMK. Debiutowała w 1962 roku w miesięczniku „Twórczość” (nr 11) szkicem „*Paluba*” – *Gombrowicz – Sartre*; z pismem tym współpracowała następnie do 1968 roku. Publikowała recenzje i artykuły także w „Pomorzu” (1962–1965) i „Kulturze” (1965–1969). W 1965 roku zamieszkała w Warszawie, kontynuując pracę na UMK w Toruniu.

W pracy badawczej zajęła się problematyką teoretycznoliteracką dotyczącą prozy międzywojennej. W 1968 roku doktoryzowała się na podstawie rozprawy *Z dziejów ekspresjonizmu w Polsce. Wokół „Soli ziemi” Józefa Wittlina* (promotor prof. Artur Hutnikiewicz), a w 1983 roku habilitowała się na podstawie książki *Powrót autora. Renesans narracji auktorialnej w polskiej powieści międzywojennej*. Od 1984 roku należała do Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza; w latach 1985–1987 pełniła funkcję prezesa jego Oddziału Toruńskiego, od 1998 należała do Oddziału Warszawskiego i została członkiem Komisji Edytorskiej Towarzystwa. W 1991 roku została profesorem UMK, a w 1993 otrzymała tytuł naukowy profesora. Publikowała studia i artykuły w „Pamiętniku Literackim” (stałe w latach 1992–1993, 2002–2003), „Polonistyce” (1993) i „Przeglądzie Artystyczno-Literackim” (1996). W 1998 odeszła z UMK i podjęła pracę w Zakładzie Historii Literatury Międzywojennej i Współczesnej Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu w Białymstoku; w latach 1999–2009 kierowała tym Zakładem, a także po przejściu na emeryturę nadal z nim współpracowała.

Zredagowała między innymi tomy: *Cykl literacki w Polsce* (z B. Olech i K. Sokołowską, Białystok 2001), *Cykl i powieść* (z D. Kuleszą i K. Sokołowską, Białystok 2004), *Semiotyka cyklu. Cykl w muzyce, plastyce i literaturze* (z M. Demską-Trębacz i R. Siomą, Białystok 2005).

W 2017 roku została odznaczona Medalem „Zasłużony dla Uniwersytetu w Białymstoku).



WILNO, TORUŃ, BIAŁYSTOK

Pani Profesor, pracę na Uniwersytecie w Białymstoku podjęła Pani w 1998 roku. W latach 1999 – 2009 kierowała Pani Zakładem Historii Literatury Międzywojennej i Współczesnej Instytutu Filologii Polskiej. Gdyby zamknęła Pani oczy i zaczęła wspominać Białystok, to uśmiechnęłyby się Pani do siebie?

Prof. Krystyna Jakowska:

Oczywiście. Mam bardzo dobre wspomnienia. Nie pamiętam rzeczy nieprzyjemnych, zapewne jakieś przez te lata były, ale one nie dominowały. Było mi zdecydowanie dobrze w Białymstoku. To, że się tu dobrze czułam, związane było z charakterem ludzi z tych regionów Polski. Otwarci, wszyscy grzeczni, mili. Inna rzecz, że niekiedy po jakimś czasie okazywało się, że ta otwartość jest troszeczkę w środku zamknięta, takie niekiedy odnosiłam wrażenie. W każdym razie życzliwi byli koledzy, a i personel urzędniczy, z którym się człowiek musiał stykać, był znakomity. Jeżeli chodzi o studentów, to posługuję się skalą porównawczą z Toruniem, a mam duże doświadczenie toruńskie, bo przeszło 30-letnie. Na czym polega różnica między studentami – taka przynajmniej, którą byłam w stanie zobaczyć? Studenci toruńscy generalnie byli bardziej „oblatani” w świecie, bardziej zainteresowani wszystkim innym niż polonistyką. Niechętnie czytali lektury. W Białymstoku natomiast studiowali pilniej, częściej też spotykałam z ludźmi bardzo zdolnymi, którzy ciekawie się rozwinęli po ukończeniu studiów. Częściej też studiowano na dwóch kierunków naraz. Łączono filologię polską i historię, ale też filologię i filozofię lub anglistykę. Pojawiały się niekiedy naprawdę wybitne osoby, które potem straciłam z oczu i już niestety nie śledziłam ich drogi.

Pamięta Pani swoich wyjątkowych studentów?

Zostać na uczelni udało się w Białymstoku nielicznym: z moich magistrantów tylko dr Katarzynie Sokołowskiej (badaczka literatury o Zagładzie, obecnie pracuje nad polskim reportażem) i na czas jakiś Marzenie Szyłak (pracowała jako metodyk). Co do doktorantów – mogę pochwalić się, że należała do nich profesor Kamila Budowska, znana inicjatorka i główna reprezentantka polskich badań nad cenzurą literacką w PRL-u; obecnie kierownik własnej katedry w Instytucie Filologii Polskiej UwB. I Elżbieta Wiśniewska, autorka pracy o języku Doroty Masłowskiej, która mimo wszelkich intelektualnych kwalifikacji i dorównującej im ambicji nie podołała absurdom organizacyjnym ówczesnego seminarium doktoranckiego.

Myśmy mieli tę straszną niewygodę, mówię o wszystkich kolegach, pracownikach naukowych, że nie mogliśmy większości wybitnych studentów niczego zaproponować, ani doktorantów wesprzeć. Uniwersytet nie był w stanie wchłonać nowych pracowników, nie mieliśmy etatów. To było naprawdę bolesne widzieć, jak ci znakomici ludzie gdzieś potem uciekają. Choćby świetna studentka: Maria Martyniuk, która zdobyła wyróżnienie w Ogólnopolskim Konkursie im. Lipskiego na pracę magisterską i namawiałam ją na doktorat. Uczy na wsi pod Białymstokiem. Oczywiście można tylko zazdrościć jej uczniom, którzy na pewno zyskali bardzo wiele. Poza tym fenomenalna Karolina Cicha. Znana w Polsce śpiewaczka, swego czasu wybitna aktorka, mało kto wie, że doktor filologii polskiej, autorka – niewydanej – wysoko ocenionej pracy o poezji Zagajewskiego i artykułów publikowanych w naukowych pismach. Taki poziom – i rozrzut! – zdolności można spotkać chyba tylko w Białymstoku. Wśród moich uczniów był też czas krótki dr Kajetan Mojsak, obecnie adiunkt w Instytucie Badań Literackich PAN w Warszawie, koncentrujący swoje badania nad dwudziestowieczną polską groteską. Tamże pracuje inna moja magistrantka, dr Agnieszka Kramkowska-Dąbrowska, autorka książki o śmiechu u Herberta i prac o dramacie.

Trzyma Pani w rękach stare notatniki...

Tak, przygotowałam się na spotkanie z Panem. W tych zeszytach mam zapisane nazwiska studentów i nazwy zajęć, które prowadziłam w Białymstoku. Jest na przykład ślad po pani Monice Wróblewskiej, obecnie redaktorce w wydawnictwie „Znak”. Proszę: jest też Agnieszka Kramkowska, znakomita studentka, same piątki. Pisała magisterium „Gombrowicz a problematyka obcego na podstawie dziennika”. Jest Anna Sawoń – osoba niesłychanej wrażliwości i uczoności, która jednocześnie zaczęła studiować anglistykę. Napisała bardzo dobrą pracę o poezji Tadeusza Dąbrowskiego. I jeszcze na tym samym seminarium świetna studentka Dominika Kiełczewska. Nie wiem, co się teraz z nią dzieje. A pisała o kategorii ciała w poezji Różewicza.

I tyle innych nazwisk powinno być przywołanych. Dla wszystkich mam sympatię i wdzięczność, że byli.

Pani Profesor, fenomen białostockiej polonistyki to nie tylko ludzie, a i specyfika miejsca, w którym znajduje się Wydział Filologiczny Uniwersytetu w Białymstoku. Nauczanie literatury w dawnym budynku PZPR było chyba ciekawym doświadczeniem?

Zanim Panu odpowiem, nawiążę do mojej pracy w Toruniu. Toruńskie

Collegium Maius, siedziba uniwersyteckiej polonistyki, było gmachem, w którym swego czasu mieściło się Gestapo. I ja tam miałam swoje biurko; w pokoju specjalnie wyciszonym, z wizjerem w drzwiach. W Białymstoku trafiłam do PZPR-owskiego gmachu Komitetu Wojewódzkiego. Pod względem szczególnych tradycji oba miejsca były zatem sobie podobne. Co było różne, to przestrzeń, której w Białymstoku było więcej. A gdy dostaliśmy od dziekana Nowowiejskiego wspaniałą duży stół seminaryjny, miejsce pracy stało się znakomite i o krępujących tradycjach nikt już nie pamiętał.

Pracowała Pani w Białymstoku aż jedenaście lat, na pewno poznała Pani miasto, brała udział w spotkaniach poetyckich, koncertach?

Nie, od tej strony Białegostoku nie poznałam. Takie rzeczy na pewno musiały się dziać, ale nie brałam w nich udziału. I nie brałam udziału w organizowaniu imprez kulturalnych. Robili to młodszy pracownicy Wydziału (wśród nich był obecny profesor Dariusz Kulesza i dr Barbara Olech). Ja do Białegostoku dojeżdżałam i to na czas określony, więc w życiu miasta nie za bardzo mogłam uczestniczyć. Trochę dziś tego żałuję. Najważniejsze jest jednak to, że rozpoczęłam tu pracę. Rektorowi zależało na samodzielnych pracownikach.

Czy przed rozpoczęciem pracy w Białymstoku znała Pani to miasto, coś o nim słyszała?

Z Białymstokiem miałam bardzo intymny związek, od dawna. Jak w 1945 roku przyjeżdżaliśmy z Wilna do Torunia, drogą okrężną przez Warszawę, transport włókł się przez tydzień. Kiedy mijaliśmy stację miasta, które nazywało się Białystok, to – siedmioletnia – stanęłam wtedy na peronie celowo, żeby móc powiedzieć, że jestem w Polsce. Wtedy sobie wyobrażałam, że już nigdy nie będę po drugiej stronie granicy. Pół wieku później, gdy miałam rozpocząć w Białymstoku pracę, byłam ciekawa, jak to mityczne dla mnie miasto wygląda. I wyglądało od początku niesłychanie sympatycznie. Bogate w zielen, miało stare dzielnice (Rynek Sienny! Bojary!) i piękniało z roku na rok wtedy, za czasów mojego pobytu. Sklepy zrobiły się eleganckie, potem co prawda pustoszały, bo nie było pieniędzy na ich utrzymanie. A jak to w tej chwili wygląda? Owszem, wszędzie banki, jak w całej Polsce, inaczej się nie da. Apteki i banki. Czasami jeszcze kawiarnie, na szczęście. Ale też rzecz wyjątkowa i cudownie zaprojektowana: szklana, zielona, wtopiona w pejzaż opera, godna największej metropolii.

A życie naukowe? Wspomniała Pani o prof. Dariuszu Kuleszy. Jakie prace powstawały, jaki był krąg zainteresowań, czym Pani Profesor wtedy się fascynowała?

Miałam tę wygodną sytuację, że mogłam swoje fascynacje w dużym stopniu rozwijać. Swego czasu zajęłam się cyklem opowiadań. Nikt tego w Polsce nie robił. Badania nad cyklem prowadzone były w Ameryce, w Niemczech i w Rosji. Pod ich wpływem doszłam do wniosku, że i my w Polsce mamy ogromne, nierozpoznane w naszej literaturze bogactwo cykli: i lirycznych, i prozatorskich. Zwłaszcza tym drugim trzeba było się przyjrzeć, bo większość jest odczytywana jako przypadkowe zbiory, a nie cykle o własnym znaczeniu. Wpadłam już na ten pomysł już w Toruniu. Tam jednak nie miałam żadnych możliwości przeprowadzenia takich badań – ani finansowych, ani organizacyjnych. W Białymstoku wokół tego tematu szybko powstał zespół interesujących badaczy. Wszyscy młodzi ludzie, którzy stanowili nasz Zakład, jak gdyby weszli w tę problematykę cykliczności i pomagali mi. Organizowali konferencje co dwa lata. Każda konferencja wydawała mi się szczególnie udana. Każdemu spośród kolegów po kolei przypadała ciężka rola sekretarza konferencji, ale robili to bez szemrania, z ochotą. To było coś nadzwyczajnego. Potem wokół cyklu powstała duża seria wydawnicza, bo rzeczywiście było o czym pisać. W tej chwili właściwie zamknęłam ten cały problem, bo wydaje mi się, że został już dokładnie opisany. Do kilku tomów zbiorowych doszła ostatnia moja książka, poświęcona historii cyklu opowiadań w Polsce. I to właściwie koniec. Mieliśmy jeszcze zebrania naukowe comiesięczne, kiedy każdy coś swojego prezentował, a reszta przy kawie i ciasteczkach nad tym dyskutowała.

Z dydaktyki najbardziej sobie ceniłam warsztaty „Sztuka recenzji”. Dużo było zabawy, ale może i pożytek. Powstawały niekiedy recenzje świetne, podobno ktoś z uczestników zaczął się na stałe w „Nowych Książkach”.

Pani Profesor, jakim wykładowcą Pani była?

Siebie samego człowiek nigdy obiektywnie nie oceni, dlatego trudno mi odpowiedzieć na to pytanie. Wydaje mi się, że byłam osobą niegroźną, tak sądzę. Pamiętam pewną sytuację w Toruniu. Egzamin właściwie już się kończył, została jedna osoba na korytarzu. Ciemno było, pusty gmach kompletnie i jeden pan do przepytania w pogostapowskim pokoju. Sytuacja była o tyle niedobra, że ten student nie umiał nic, naprawdę nic. Straszliwie się gimnastykowałam, żeby znaleźć zagadnienie, które nie byłoby mu obce. Ale on się nie poddawał i nic nie wiedział do samego końca. Po kilkunastu minutach poczułam się zmuszona do postawienia mu dwójki. Ale pomyślałam sobie, że jeśli będzie chciał mi dać w łeb, będzie mógł to zrobić bez żadnych obaw.

Jak to się skończyło?

Postawiłam mu dwójkę. On mi podziękował. I powiedział, że nigdy w życiu nie dostał przyjemniejszej dwójki.

Student ładnie się zachował. Byłoby dobrze, gdyby takich zaków było jak najwięcej. Czy to jednak możliwe? Czy humanistyka nie przeżywa kryzysu? Czego jej dziś życzyć? Czego życzyć białostockiej polonistyce na następne 50 lat?

Żeby się utrzymała. Niestety, to nie wygląda dobrze, jeżeli na pierwszym roku jest 25 osób.

U nas na pierwszym roku studiów było 90 osób.

Za moich czasów setka. Wtedy więcej było chętnych do studiowania niż miejsc na wydziale. A w tej chwili rzeczywiście jest strasznie mało studentów. Może to jakiś niż demograficzny, tego nie wiem, ale jednak powtarza się to wszędzie, bo na każdej uczelni pracownicy boją się o swoje miejsca pracy. Każdy etat jest związany z ilością godzin wymaganych do przepracowania. Jeżeli nie ma kogo uczyć, to gorzej z godzinami. Oczywiście, wciąż widzę sensowność polonistyki, bo ktoś musi wiedzieć, jak obchodzić się z tekstami, które powstają. Nie ma znaczenia, czy są to książki, czy inne formy publikacji, ale to są teksty i trzeba umieć z nimi postępować. Polonistyka jest potrzebna jako nauka krytyki tekstu. Chodzi o to, by umieć czytać tekst: zrozumieć go, właściwie zinterpretować. Tej wiedzy chyba nigdy za dużo, dla społeczeństwa też. Już nawet nie myślę o historii literatury, bo już jest zapisana, ujęta w słowniki i monografie. Ale dziś potrzebni są ludzie, którzy potrafią czytać teksty.

Białostocka polonistyka wprowadziła kilka interesujących specjalizacji. Wśród nich: krytyka literacka, publicystyka, public relations. Jak Pani to ocenia?

Nawet tego nie wiedziałam. Od Pana się dowiaduję i bardzo mi się to podoba. Takich działań powinno być mnóstwo. Nie wiem tylko, czy w praktyce absolwenci zdobędą umiejętności, które im się obiecuje na początku.

No tak, muszą przyjść na uczelnię z pewnym potencjałem.

Z odrobiną wiedzy, ale zakładam, że akurat tam ten potencjał się znajdzie.

Pani Profesor, chciałbym zapytać o to, czym się Pani teraz zajmuje? Widzę włączony komputer, mnóstwo książek wokół. Rozumiem, że umysł przyzwyczajony do pracy intelektualnej wciąż potrzebuje nowych wyzwań?

Tak, naturalnie, tylko teraz mogę się bardziej lenić i to jest miłe. Uważam, że emerytura jest cudownym czasem, dopóki człowiek nie jest jeszcze unieruchomiony z jakiegoś powodu i może robić prawie wszystko, co robił dotąd. Inna rzecz, że choć zamknęłam swoją ostatnią pasję, to czytam różne cykle opowiadań i w tej chwili na przykład napisałam tekściki o cyklu opowiadań środowiskowych. Te teksty, które czytam, każą mi nieustannie coś zapisać, bo nawyk zapisywania i opisywania wciąż we mnie siedzi. Czasami gdzieś to posyłam, czasami chcą ode mnie jakiś tekstów, więc muszę pisać. Cieszę się z tego.

Miałam też nadzieję, że będę pisała wspomnienia. Trochę napisałam, a trochę mnie pęd życia porywa w inną stronę i nie bardzo mam na to czas. Pomagam znakomitej publicystce, ale już bardzo źle widzącej, która musi swoje teksty pisać, nie mogąc ich przeczytać. Jej teksty wymagają przepisania i zredagowania. Robię tego typu rzeczy, klasycznie sekretarskie, bo wiem, że robię dobrą robotę. To jest Halina Bortnowska – wybitna osoba, której trzeba pomóc w podstawowej czynności. Ja za nią nie myślę i z nią nie dyskutuję. Po prostu jej służę.

Czy Pani ma jeszcze jakieś związki z Białymstokiem? Czy nie brakuje Pani Białegostoku?

Oczywiście, że brakuje. Mam kontakty, czasami koresponduję z badaczami z Białegostoku. Byłam jakiś czas temu na konferencji naukowej. Otrzymałam wtedy tytuł profesora seniora, niedawno zaś Senat przyznał mi medal. Najwyższa przyjemność i korzyść z tych wyjazdów to jednak to, że mogę na nowo zobaczyć swoich kolegów.

Proszę wybaczyć banalne pytanie, ale chcę je zadać: co polonistyka daje człowiekowi?

Dla mnie studia polonistyczne wiążą się z rozwojem osobowości. Ten rodzaj studiów pozwala lepiej rozumieć człowieka. Na pewno uczy wrażliwości na innych. Czy uczy konkretnych moralnych i społecznych postaw? Raczej nie. Uczy natomiast ich rozpoznawania i refleksji nad nimi. Może pozwala trafniej wybrać.

I druga ważna sprawa: te studia wiążą z językiem, ze słowem. Pokazują jego wagę w formułowaniu znaczeń i w budzeniu wrażeń estetycznych.

Polonistyka wreszcie uczy szanować tekst: rozumieć go, wielorako oceniać. To przydaje się w wielu sytuacjach, między innymi w koniecznym dziś społecznym dialogu.

Dziękuję za rozmowę.

Jerzy KAMIONOWSKI

– dr hab., prof. Uniwersytetu w Białymstoku, dyrektor Instytutu Neofilologii Uniwersytetu w Białymstoku. Jako badacz od kilku lat zajmuje się literaturą afroamerykańską drugiej połowy XX wieku. Jest członkiem Polskiego Towarzystwa Studiów Amerykanistycznych i Collegium for African American Research.

Napisał szereg książek naukowych, m.in. *Głosy z „dzikiej strefy”. Rewolucja, prywatność i feminizm w twórczości poetek pokolenia Ruchu Czarnej Sztuki: Soni Sanchez, Nikki Giovanni i Audre Lorde* (Białystok 2011); *New Wine in Old Bottles: Angela Carter’s Fiction* (Białystok 2000). Współredagował (z Jackiem Partyką) tom *American Wild Zones: Space, Experience, Consciousness* (Frankfurt am Mein: Peter Lang, 2016), a także (z Lucyną Aleksandrowicz-Pędich): *Piękniejszy dom od Prozy: O amerykańskiej poezji kobiecej*. (Białystok 2005); *O wiele więcej Okien. O amerykańskiej poezji kobiecej* (Białystok 2008), *Drzwi szerzej otworzyć. O amerykańskiej poezji kobiecej* (Białystok 2011).

Opublikował wiele artykułów dotyczących pisarstwa kobiet i Afroamerykanów oraz powieściopisarzy postmodernistycznych, często skupiając się na zagadnieniach takich, jak: stosunek do tradycji literackiej i kulturowej, kwestie tożsamościowe oraz etyczna wartość transgresji. Prywatnie miłośnik muzyki, kinoman i podróżnik.

„BĘDZIE DOBRZE!”

Panie Profesorze, chciałbym poprosić o podróż sentymentalno-wspomnieniową do czasów, kiedy związał Pan swoje życie studenckie, a później zawodowe z Białymstokiem.

Dr hab. Jerzy Kamionowski, prof. UwB:

Jestem polonistą z urodzenia. Skończyłem polonistykę w Białymstoku. Zaraz po studiach byłem wykładowcą na polonistyce, jednak zaledwie przez



dwa lata, ponieważ nie udało mi się zainteresować nikogo tematem pracy doktorskiej. Poszedłem pracować do III Liceum Ogólnokształcącego, przy okazji prowadziłem też kursy i korepetycje. Później okazało się, że się tym strasznie nudzę. Trafiłem do Białostockiej Szkoły Biznesu na pół etatu. Stwierdziłem, że muszę napisać doktorat, bo po prostu umrę z nudów, ucząc ciągle praktycznego angielskiego. Zacząłem pisać doktorat u promotora, którego polecił mi kolega, prof. Grzegorz Moroz, prof. Jacka Wiśniewskiego z warszawskiej anglistyki... Dyrektorem Nauczycielskiego Kolegium Języków Obcych była wówczas dr Dorota Potocka, która powiedziała, że skoro piszę doktorat, to żebym przyszedł do pracy w kolegium. Był konkurs, komisja, jakoś przekonałem ich do siebie. Zostałem zatrudniony w 1996 roku. W 1997 roku powstał samodzielny Uniwersytet w Białymstoku. Kimś, kto ustawił moje myślenie o literaturze, był prof. Zbigniew Jarsiński, który zmarł w 2000 roku. Nie mam w ogóle takich tendencji, żeby kogoś aż tak wychwalać. Najwyraźniej osobowościowo on mi strasznie pasował, dawał niesamowitą swobodę i kiedy było trzeba, interweniował. Jedno słowo wystarczyło, żebym wiedział, że to czy owo muszę przemyśleć. Doktorat poszedł mi całkiem nieźle, nie napracowałem się przesadnie, choć stres był, nie powiem. Napracowałem się oczywiście od strony obróbki konkretnych tekstów. Potem pracowałem przez lat kilka na Uniwersytecie, aż trzeba było zrobić habilitację. To był dopiero koszmar.

Proszę opowiedzieć o doktoracie. Jaki był jego temat?

Pisałem na temat feministycznej prozy brytyjskiej, konkretnie o Angeli Carter. Na marginesie – świetna pisarka, polecam. Wymyśliłem sobie taki temat: Wirtualność świata przedstawionego w prozie Angeli Carter. Wtedy jeszcze nie było takiego nacisku na technologię komputerową i wirtualny świat, przynajmniej u nas. Nie do końca zdawałem sobie sprawę, co to jest świat wirtualny. Ale wybrnąłem z tego przekonująco – w każdym razie recenzenci nie mieli zastrzeżeń. Na obronie miałem śmieszłą sytuację. Jeden z profesorów, który tu gościnnie przyjeżdżał, lubił mnie z jakiś powodów i mówi: „Wie Pan, zadam Panu jakieś przyjazne pytanie”. Ja mówię: „Jeżeli zobaczy Pan, że ja grzęznę po trzech pytaniach, że źle idzie, to proszę je zadać. Ale tak w ogóle to najlepiej go nie zadawać”. Po czym przewodniczący komisji poprosił o pytania, a mój wykładowca od razu rękę do góry wystrzelił i zadał mi kompletnie inne pytanie niż to, o którym rozmawialiśmy. Ja się w tym momencie spiąłem i w mgnieniu oka spociłem. Przypomniało mi się, iż ktoś mi kiedyś powiedział, że on się z moim promotorem bardzo kłóci. Ale wybrnąłem z tego, mówiąc: „Panie Profesorze, mógłbym przeszukać zakamarki pamięci, żeby odpowiedzieć na to pytanie, ale czy

to jest niezbędne?”. On się strasznie zmieszał i mówi: przepraszam, to jest pytanie na inną obronę. Wszyscy się roześmieli.

Później przyszedł czas na habilitację. Beznadzieja. Pewnego dnia przyszło z kadr polecenie, żebym wystąpił o adiunkturę, bo tego życzy sobie ówczesny rektor, prof. Jamróż. Powiedziałem: nie chcę być adiunktem, bo to znaczy, że zegar do habilitacji zacznie tykać. Ale w kadrach mi powiedziano, żeby się tym w ogóle nie przejmować, po latach wrócę na wykładowcę, a teraz jest taka potrzeba chwili. Zgodziłem się. Kiedy po ośmiu latach chciałem wrócić na etat dydaktyczny, powiedziano mi, że się wszystko zmieniło, nie ma powrotu i muszę robić habilitację. A nigdy nie miałem takich planów. Trochę dłużej to trwało niż powinno, ale to właśnie z tego powodu, że nie miałem nigdy ani takich ambicji, ani takich planów. Doktorat zupełnie by wystarczył. Prowadziłem zajęcia o feminizmie i postmodernizmie, bardzo się w to angażowałem, więc nie miałem głowy do czego innego. Ale trzeba było zasiąść do pisania tej książki zbójczej, więc wróciłem do poezji. Tematem rozprawy była afroamerykańska poezja kobieca. Feminizm, problematyka ideologiczna, polityczna i społeczna była bardzo mocno przeze mnie akcentowana...

Jesteśmy w budynku neofilologii, w którym – mam takie wrażenie – jest więcej ruchu niż w budynku naprzeciwnko. Czy ta atmosfera przekłada się na atmosferę intelektualną, relacje student – wykładowca?

To jest tak, że tu wrze, bo mamy mało miejsca, z fermentem intelektualnym nie ma to zbyt wiele wspólnego. Mamy po prostu dużo studentów, chyba jako jedyny kierunek nie mamy kłopotu z naborem. Nie przyjmujemy wszystkich. Teraz będziemy mieli kłopot, bo minister Gowin wprowadził zasadę 13 do 1, a my mamy chyba 20 do 1. Dwudziestu studentów na wykładowcę, a ma być trzynastu.

A może trzeba będzie zatrudniać wykładowców?

Na pewno nie, właśnie o to chodzi. Też bym był za, ale nic z tego. Wiadomo już, że nie. Kiedyś kandydaci na studia byli lepiej przygotowani, nie wiem, z czego to wynikało, może z tego, że w szkoła średnia była inna? Pracowało się inaczej. Moja żona uczy w liceum, więc trochę się orientuję, jak prowadzi polski. Jak były egzaminy wstępne, to kandydaci musieli się uczyć jeszcze raz, ale pod innym kątem. Przychodzili na egzamin wstępny, pytania były w miarę znane i losowali. Można się było przygotować. Każdy, kto chciał się dostać na studia, musiał naprawdę zapamiętać mnóstwo rzeczy i potrafić posłużyć się tą wiedzą. Obecnie, gdy pytam na wykładzie o tytuły komedii Szekspira, to proszę sobie wyobrazić, że już studenci nie znają

żadnego albo znają tylko Sen nocy letniej. Kiedyś to było nie do pomyślenia. To faktograficzne i proste rzeczy, ale uważam, że dosyć symptomatyczne. Cóż, myślę, że młodzi ludzie z pewnością nie odpowiadają za to, co się im robi od strony ministerialnej. Literatura, której uczę, to specyficzny przedmiot. Jak się idzie na polonistykę, to wiadomo, że się idzie z pełną świadomością, że będzie dużo czytania. Tu młodzi ludzie przychodzą uczyć się głównie języka. Część z nich chce literaturę czytać, chce myśleć o literaturze, a niektórych studentów nic to nie obchodzi.

Przecież czytanie literatury w języku angielskim wzbogaca nasz zasób leksykalny?

Tak. Ci, którzy zechcą zostać tłumaczami, to nagle się z tym skonfrontują po kilku latach. Już się dostosowałem, z każdym umiem pracować, nic mnie nie zaskakuje. Razi chyba tylko to, jak ktoś jest obcesowy i łączy tę postawę z nastawieniem „należy mi się”. Ale nie zdarzyło się nigdy na zajęciach, żeby ktoś był bezpośrednio przykry, obcesowy, chamski. Natomiast jeśli tylko nie umie, to trudno, po prostu trzeba mu czasami wybaczyć, choć oczywiście odpowiednio oceniając. Taką widocznie ma karmę.

A relacja mistrz – uczeń?

Myśli Pan o studiach magisterskich? Jako wykładowca nigdy tego nie doświadczyłem. Trzeba by studentów zapytać, jak oni to odczuwają. Nie mam wrażenia, że dla kogokolwiek jestem mistrzem. Studentom mogę tylko doradzać i korygować ich decyzje badawcze. Taka jest moja strategia przy magisterium. Jeżeli ktoś pisze i oddaje mu z komentarzami jego rozdział, a on nic z tym nie robi, to dalej nie interweniuje, niech sobie pisze, dostaje tróję. Jeżeli ktoś przychodzi i pyta o te uwagi i mówi: a co one znaczą? Albo stara się sprostać zadaniu, to oczywiście bardziej się angażuję. Wtedy to może jest załączek takiej relacji, ale to musi wyjść od studenta. Bo jeżeli widzę, że komuś nie zależy na tym, żeby praca, nad którą pracuje, była lepsza, to ja to akceptuję. Teraz będę miał być może fantastyczną pracę. Pod warunkiem, że moja magistrantka udźwignie temat, to będzie to bardzo oryginalna praca. Trochę jej podpowiedziałem niechętny, ale wyszło, że będzie pisać o Narcyzie w labiryncie w prozie Johna Fowlesa. Jak te dwa mity się nałożą, to może z tego wyjść praca zarówno erudycyjna, jak i oryginalna badawczo. Jeżeli ona się w to naprawdę zaangażuje, to myślę, że zostanę jej mistrzem na te dwa lata.

Oprócz prof. Jarosińskiego miał Pan innych mentorów?

Oprócz prof. Jarosińskiego, który był promotorem mojej pracy magisterskiej

na temat programu i praktyki Nowej Fali, miałem szczęście mieć znakomitych wykładowców. Była na przykład dr Ewa Paczoska. Ewa prowadziła fantastyczne zajęcia z pozytywizmu. Również pan dr Wiśniowski, łacinnik, z którym były związane różne kontrowersyjne historie. Świetnie go wspominam, to przedziwne. Mówię tu o tym, że prowadził fakultatywne zajęcia z literatury antycznej i naprawdę pokazywał, że jest facetem na poziomie, jeśli chodzi o kwestie naukowe. Czytaliśmy Homera, Owidiusza, Apulejusza, rozmawialiśmy o tym w niewielkim gronie, to było inspirujące i otwierało horyzonty. Miał nad innymi gigantyczną przewagę, bo była u niego realistyczna lista lektur, dało się ją przeczytać, przedyskutować i przemysleć. Wspomnienia związane z neofilologią? Jeszcze była Filia UW, w związku z tym mieliśmy opiekę naukową z Warszawy. Przyjeżdżał pewien profesor językoznawca, nazwiska nie pamiętam. To był starszej daty mężczyzna, dżentelmen w każdym calu, ubrany nieskazitelnie, jak „spod igły”. Raz przyjechał na obronę, żeby ją nadzorować. A jeden z naszych kolegów przyszedł ubrany specyficznie, włożył marynarkę, krawat, koszulę, ale że było gorąco, włożył krótkie spodenki i sandały, myśląc, że i tak sukno za stołem wszystko zakryje. Profesor wszedł, on w związku z tym wstał od stołu, przywitał się. Profesor spojrzął i skomentował po angielsku: „How unusual”. Oto cały jego komentarz, taka kwintesencja angielskiej powściągliwości. Gdy nie byliśmy samodzielnym uniwersytetem, mieliśmy okazję poznać, od strony naukowej, ale też prywatnej czy anegdotycznej, sławnych profesorów. Później to się trochę zmieniło, także dlatego, że sami staliśmy się mocniejszą jednostką i nie potrzebowaliśmy już ich zatrudniać. Wciąż istnieje jednak możliwość zapraszania osobistości na wykłady gościnne. Ostatnio było to trochę zaniedbywane z powodów, że się tak wyrażę, budżetowych. Mam nadzieję, że teraz coś się zmieni i będziemy jeszcze widzieli amerykańskie i anglistyczne sławy w Białymstoku.

Pani prof. Lucyna Aleksandrowicz-Pędich opowiadała mi o czasach, kiedy język angielski był dla studentów zupełną nowością. Wtedy inaczej się uczyło, lepiej?

W tamtych czasach dużo inwestowała w nas ambasada USA. Teraz polegamy głównie na grantach. Nawet na coroczną konferencję Polskiego Towarzystwa Studiów Amerykanistycznych trzeba było pisać grant i stawać do konkursu. Oczywiście, wiedzieliśmy tak na 95%, że dostaniemy te pieniądze. Z doktorem Jackiem Partyką współorganizowaliśmy konferencję, gdy Ambasada USA po raz pierwszy wprowadziła konieczność ubiegania się o grant i nagle okazało się, że musimy ubiegać się o niego, podczas gdy wszyscy poprzedni organizatorzy konferencji nigdy takich działań

podejmować nie musieli. Po prostu mieli konferencję, co roku była finansowana, a teraz niestety, trzeba pisać wnioski grantowe. Ale chyba nie odpowiedziałem na Pańskie pytanie. Zatem w skrócie: inaczej, ale nie lepiej. Obecnie statystycznie znajomość angielskiego jest znacznie wyższa, co daje podstawy, by przypuszczać, że literatury powinno uczyć się łatwiej. Ale nic z tych rzeczy – czytanie nie jest ulubioną formą spędzania wolnego czasu większości studentów...

Teraz przychodzą tu ludzie, którzy chcą się uczyć języka, zapominając o tym, że są to także studia filologiczne?

Tak. Język to nie jest coś zawieszonoego w próżni. Jest emanacją kultury, w tym literatury. To nie jest tak, że można sobie uczyć się języka, zapominając, jaki jest jego kontekst. Jak się zna świetnie język, zostaje tłumaczem i ma tekst, który jest złożony z aluzji, to trzeba wiedzieć wszystko już wcześniej, żeby coś z tym zrobić. Mówię na przykład o Monty Pythonie, w którym jest mnóstwo aluzji do Szekspira. Ale też o takiej anegdocie. Otóż kolega opowiadał mi, że w jednym z tłumaczeń Huxleya jest taki mniej więcej fragment zdania: „And Pope’s The Rape of the Lock”. Tłumacz przetłumaczył to dosłownie: „Papieża gwałt na zamku”, nie wiedząc, że chodzi tu o poemat heroikomiczny autorstwa Aleksandra Pope’a Porwanie pukla. Nawet nie przyszło mu do głowy, żeby sprawdzić, co to znaczy. Podobno jest gdzieś takie wydanie Nowego, wspaniałego świata Huxleya. To tłumaczenie pojawiło się na fali eksplozji zainteresowania literaturą na początku lat 90. Był wtedy w Polsce taki „wystrzał”: książki sprzedawano nawet na ulicach. I to właśnie wtedy wydawnictwa rzuciły się, by wydawać jak najwięcej klasyki w nowych tłumaczeniach. Ale dziś to już raczej nie do pomyślenia. Na miejscu, w Instytucie Neofilologii, mamy translatorykę, mamy kolegę Krzyszka Puławskiego, który jest poważnym tłumaczem. Przekładał Williama Blake’a, Williama Butlera Yeatsa oraz sporo dramatów dla „Dialogu”. Ma pod opieką grupkę studentów i sądzę, że on będzie dla nich mistrzem bardziej niż ktokolwiek inny.

Jak neofilologia rozwijała się na przestrzeni lat? Dziś jest to Instytut znany i uznany. A jak było dawniej?

Nie wiem, czy uznany, bo jest nas ciągle zbyt mało. Trzeba czterech pracowników samodzielnych, to znaczy ze stopniem doktora habilitowanego, do prowadzenia kierunku i tyłu akurat mamy. Nie mamy żadnego zapasu, podczas gdy dwoje profesorów jest w wieku emerytalnym. Nikt nie zatrudni ponad bieżącą potrzebę pracownika naukowego, jeżeli nie ma takiej konieczności, to jest pewien paradoks. Sami na razie chyba nie

wygenerujemy kolejnych habilitacji. W bardzo bliskim czasie, być może, zostanie obroniona jedna habilitacja, druga szykuje się za kilka lat. Byliśmy najpierw Nauczycielskim Kolegium Języków Obcych, którego szefem była prof. dr hab. Lucyna Aleksandrowicz-Pędich. Była znakomitą szefową, być może najlepszą, jaką miałem. Ma prawdziwy talent do zarządzania. Później różnie bywało, chociaż dr Dorota Potocka też była znakomita. Następnie Uniwersytet wchłonął nas w obręb wydziału, więc już nie byliśmy tacy niezależni. Zaczęły nas dotyczyć wszystkie kwestie dotyczące na przykład polonistów, to znaczy, jak tu się wyrobić z publikacjami? Pojawiły się zatrudnienia na etatach naukowo-dydaktycznych i dydaktycznych. To oznacza, że pracownicy musieli podjąć w pewnym momencie decyzję, czy zostają przy dydaktyce. Ci, co podjęli decyzję, że zostaną przy dydaktyce, trochę się rozczarowali. Przybywało godzin, zostali lektorami, mają 510 godzin rocznie, pracują bardzo ciężko. A wczoraj na Radzie Wydziału dowiedzieliśmy się, że nawet pracownicy na etatach dydaktycznych muszą przynajmniej jeden tekst opublikować. Nie pamiętam tylko, czy rocznie, czy na cztery lata. Taka mała dygresja. Po wchłonięciu przez Wydział Filologiczny, staliśmy się Katedrą Neofilologii, gdyż nie byliśmy dostatecznie silni kadrowo. Zrobiłem habilitację, później Grzesiek Moroz i zaraz później Ania Tomczak. Trzy habilitacje w jednym roku, nie pamiętam czy kalendarzowym, czy akademickim, w krótkim czasie. Parę miesięcy, trzy habilitacje. I okazało się, że możemy być Instytutem.

Czy Instytut promieniuje na Białystok i region? Myślę o konferencja, imprezach, koncertach, wystawach itp.

Z tym promieniowaniem na Białystok czy na okolice jest problem taki, że Angliści czy Amerykańscy mają wbrew pozorom trudniej. Trudno prowadzić jakieś badania regionalne na przykład. Od kiedy jesteśmy Instytutem, pojawiły się konferencje cykliczne – naprzemiennie literaturoznawcza i językoznawcza. Bierzymy udział w Podlaskim Festiwalu Nauki. Jednak chcę zaznaczyć, że odbywa się to sporym kosztem. Dostępu do książek nie mamy żadnego, biblioteki nie stać na podstawowe zakupy. W elektronicznej bazie danych, według mnie, jest totalna przypadkowość. Jak kolega wyjeżdża za granicę, to proszę go o wypożyczenie, kupno lub skserowanie książki. Albo po prostu kupuję przez Internet, też prywatnie. Nie jest tragicznie, ale z polonistami nie ma co się porównywać, polonista po prostu idzie do biblioteki. Dlatego mnóstwo czasu schodzi nam na poszukiwaniu i składaniu tego, co nam się przyda jako warsztat podstawowy, żeby wygenerować własne teksty, z których jesteśmy rozliczani. Wtedy nie zostaje za dużo czasu na działalność typu: zaprosić kogoś, zorganizować coś itd. Bar-

dzo chętnie bym zaprosił choćby Sonię Sanchez, czarną poetkę, albo Nikki Giovanni, ale nie sądzę, żeby na to były jakiegokolwiek pieniądze.

Panie Profesorze, co trzeba zrobić, by neofilologia miała przed sobą przyszłość?

Życzyłbym wszystkim, i to jest absolutnie podstawowa rzecz, żeby przepisy i różne dyrektywy ministerialne przestały się zmieniać co miesiąc albo co pół roku. Żeby była jakaś stabilność, która by pozwoliła nam planować, bo jak ma zaplanować swoją przyszłość ktoś, kto zaczyna karierę naukową, a nie wie, czy go ocenią za cztery lata, czy za dwa lata. I według jakich kryteriów go ocenią. Dziś dyskryminowane są publikacje w monografiach zbiorowych. Ale nagle może okazać się, że za pięć lat nowy minister wpadnie na pomysł: nie, tak naprawdę monografie się liczą. Tak na marginesie: i oby tak się stało.

Cały system punktowy jest bzdurą. Oczywiście, że w niektórych przypadkach fajnie jest zobaczyć, że się dostało więcej punktów niż koledzy. Najbardziej prestiżowe w Polsce amerykańistyczne czasopismo literaturoznawcze czyli Polish Journal for American Studies, daje 8 punktów. Co to jest 8 punktów? Właśnie wczoraj się dowiedzieliśmy, że musimy publikować w rytmie czteroletnim dwa artykuły minimum za 10 punktów każdy (oprócz innych tekstów), żeby zarobić na swoje pensje, że się tak wyrażę metaforycznie. Stabilność, uregulowanie tego wszystkiego i żeby wreszcie ktoś uwzględnił humanistykę.

Humanistyka nie jest biologią, chemią, ekonomią ani prawem. Oni mają czasopisma po czterdzieści punktów, a my mamy za 8, 10 maksimum. To są dwa takie życzenia. Stabilność i likwidacja punktowego systemu. A temu miejscu życzę więcej habilitacji.

A w relacjach ze studentami?

Młodzi ludzie wiedzą, że musimy się dostosować. Szkoda, że być może trzeba będzie płacić koszty w postaci etatów i zwalniania ludzi, jeżeli minister Gowin mówi 13 do 1. Pamiętam, parę dobrych lat temu, a dobrych to pewnie ze dwanaście, bo czas szybko leci, zetknąłem się z jednym czy z dwoma plagiatami. A tak w ogóle nie mam wrażenia, że oni plagiatują, przynajmniej z literatury. W zeszłym roku kolega „skasował” studenta za to, że próbował plagiatować w jednym rozdziale. I koniec, student powtarza rok. Pod tym względem to nie jest wielki problem. Mamy system antyplagiatowy. OSA się nazywa. Jest to genialny system, który nie czyta angielskiego! Mamy robić fikcję, tzn. siedzieć dwie godziny nad pracą, żeby na koniec dowiedzieć się, że to jest plagiat, który nie jest plagiatem? Muszę

napisać, wbrew temu co się wydrukowało, że nie jest to plagiat itd. Cała Polska ma ten system!

Nie rozumiem, dlaczego?

Też nie rozumiem, aczkolwiek mam pewną koncepcję. Wściekałem się, pieniełem. Nie muszę tego robić, bo nie mam seminarium, będę miał pierwszych w tym systemie studentów za dwa lata, bo pierwszy rok seminarium prowadzę w tym roku. A wcześniej ze względu na operację darowali mi seminarium przez dwa lata. Może po prostu dziurę w drzwiach wytniemy i będziemy rzucać. Po tej stronie stoję ja, po drugiej Grzesiek Moroz, ja wrzucam, on chwytą i mówimy, że to jest plagiat albo to nie jest plagiat. Tak samo byłoby to skuteczne jak system OSA, który nie czyta po angielsku. To strasznie utrudnia pracę, frustruje. Ma negatywny wpływ na myślenie o pracy, o samym sobie, o studentach. Uprawiamy fikcję pod tym względem. Do pracy wszyscy się przykładają, każdy w swojej skali, jeden jest lepszy, drugi gorszy, ale wszyscy pracują z zaangażowaniem. Tylko, żeby takie systemy jak OSA nie przeszkadzały w robocie.

Czy studenci mają swoje ulubione tematy?

Z pewnością mają swoje fascynacje, niekoniecznie zbieżne z moimi, czy niekoniecznie z zainteresowaniami kolegów. Jeden z pracowników Instytutu miał w zeszłym roku pracę na temat Ezry Pounda, znakomicie napisaną. Wprawdzie nie jest wielkim fanem Pounda, ale ten student powiedział, że to musi być ten a nie inny twórca, bo on czytał, że to był faszysta. Właśnie od tej strony go przeczytał, od strony kolaboracji z Mussolinim. Znakomita praca, świetnie wypunktowane wszystko, co u Pounda było wstrętne ideologicznie. Miałem znakomitą pracę na temat Becketta. Studentka przyszła i powiedziała: muszę o Beckettcie, bo go kocham. Podejrzywałem ją o nekrofilie przez chwilę, ale okazało się, że ona nie kocha Becketta, ale jego utwory. Miałem bardzo dobrą pracę o Donaldzie Barthelmie. Zdarzają się więc absolutnie ciekawe pomysły. A czasami trzeba studentowi podpowiedzieć: proszę przeczytać to i to. Wówczas studenci przychodzą i mówią: „No, to jest świetne!”. To wtedy się cieszę, że zainteresowałem studenta ciekawym tematem. Ale generalnie studenci lubią historie o wampirach. Zwykle mówię wielbicielom wampirów: Dobra, podoba się Państwu *Zmierzch*? To proszę przeczytać książkę Marii Janion *Wampir. Biografia symboliczna*. Czytają i mówią: o, tu jest jakaś tradycja w tym wszystkim. Dodają: „Brama Stokera uwzględnijcie troszeczkę w tej pracy”. W końcu okazuje się, że ktoś, kto chciał pisać o *Zmierzchu*, teraz na szczęście pisze o czymś innym, chociaż blisko związanym z tematyką wam-

piryczną. Jestem za tym, żeby dać studentom pewną swobodę w wyborze. Literaturę popularną można analizować na różne sposoby. Ona do tego jak najbardziej się nadaje się, ale na przykład Toni Morrison nie. A przecież w *Umiłowanej* można znaleźć elementy wampiryczne.

Panie Profesorze, skoro wiem, czego życzyłby Pan neofilologii na następne lata, to zapytam o Pana. Czego Pan by sobie życzył?

A jest Pan złotą rybką? Jeżeli tak, to ja mam trzy życzenia. Zdrowie przede wszystkim. Mając chorobę Parkinsona i będąc po operacji, liczę, że będę zdrowy. Zdrowie jest warunkiem wszystkiego. Żeby coś napisać, muszę być zdrowy. Pracuję intelektualnie, więc jestem zmuszony marnować czas, a marnowanie czasu to jeżdżenie rowerem, pływanie oraz inne przyjemności: słuchanie muzyki, chodzenie po górach. Muszę na to mieć czas, żeby sobie ustawić w głowie odpowiednią atmosferę i żeby coś napisać. Jeśli mogę mieć drugie życzenie, to jest ono następujące: żeby gramofon dobrze grał i płyty winylowe, do których wróciłem, brzmiały cudownie. A to się z kolei wiąże z tym, żeby żona chciała ze mną tych płyt słuchać. Czyli życie rodzinne razem z muzyką. Bo muzyka jest dla mnie bardzo ważna. Jazzu słucham bardzo dużo. Ale właśnie teraz ostatnio słucham rocka z 60-tych, między innymi Van Morrisona. A trzecia rzecz, żebym napisał jakieś fajne książki. Mam plany, jak najbardziej.

Chciałbym napisać książkę o motywie domu w poezji afroamerykańskich kobiet, bo one dom postrzegają inaczej niż białe kobiety. Z wiadomych względów, to jest ta tradycja wyprowadzana od niewolnictwa. U mężczyzny w ogóle nie ma takiego motywu domu, w poezji przynajmniej. Już mam kilka artykułów, trochę jeszcze dopiszę. To jest projekt, którym chciałem się na serio zająć teraz, w jakiejś najbliższej perspektywie. To jest ważna dla mnie książka, bo ja czuję, że muszę ją napisać. Kiedyś powiedziałem sobie: „Jeżeli wyzdrowieję, to napiszę książkę o Middle Passage dedykowaną Substantia Nigra, czyli Istocie Czarnej. Istota czarna to bóstwo. Istota czarna to ta substancja, która wycieka mi z mózgu i przez to mam Parkinsona”. Tak sobie wymyśliłem, że jak zadedykuję Istocie Czarnej książkę, to ją na 100% napiszę. Robię takie zagrywki. Z habilitacją było tak, że napisałem ją, bo się uparłem. Od początku miałem okładkę. Myślałem: taka piękna okładka się zmarnuje, niemożliwe! Muszę napisać tę książkę. Pokazać panu okładkę? To jest rzeźba Niki de Saint Phalle – francusko-amerykańskiej artystki. To plastikowa Josephine Baker.

Czy na Pana zajęciach zdarzają się prawdziwe intelektualne dyskusje? Pamiętam, że na polonistyce często sprzecaliśmy się z naszymi wykła-

dowcami, próbując inaczej niż oni czytać klasyczne teksty. Mieliśmy z tego olbrzymią frajdę. Tak jest też na neofilologii?

Konserwatywizm jest tutaj obecny. Nadzieja idzie ze wschodu. Mamy genialną, niespotykaną studentkę z Białorusi. Już ją hołubię, chociaż minimalnie, żeby ktoś nie pomyślał, że to jest jakaś faworytka. Ona inaczej myśli, ma otwarty umysł, ma poglądy, ale wyraża się w taki sposób, że to nie jest dla nikogo raniące, a przy okazji mówi tak, że można to skorygować, nawiązać dialog. Nasi studenci albo się nie odzywają, albo są straszliwie konserwatywni i do tego świetnie przygotowani. Najgorsze jest to, że faceci związani z Młodzieżą Wszechpolską są fantastycznie przygotowani teoretycznie. Oni bzdury mówią oczywiście, ale bzdury z punktu widzenia etycznego. Jeśli chodzi o taki background faktograficzny, mają wszystko w małym palcu. I weź tu z nimi rozmawiaj, jak oni statystykami sypią, datami, nazwiskami. Czytali wszystko, tylko akurat nie te lektury, które powinni. O Korwina-Mikkego kiedyś się otarłem przez przypadek. Przeczytałem dwa pierwsze numery „Najwyższego Czasu”. Wydawało mi się, że to jest perwersyjnie ciekawe, ale na szczęście dalekie od mojej ścieżki. Moją mistrzynią była Sheila Malone, Brytyjka, która uczyła nas British studies, czyli wiedzy o kulturze brytyjskiej. Sheila była trockistką i feministką, w wieku mojej mamy. Chciała uczyć się polskiego, więc się na ochotnika zgłosiłem. Fascynująca postać.

161

A czy studenci są zainteresowani dobrym, awangardowym kinem?

Muszę Pana rozczarować. Parę lat temu zrobiłem quiz i okazało się, że nie znają żadnych brytyjskich reżyserów, nie znają Greenawaya, nie słyszeli o Russellu, Kenie Loachu. Jak to możliwe? Zrobiłem kurs dotyczący kina, znalazłem przystępne materiały, wywiady, książki, opracowania. Nie chciałem pójść w wielkie wyrafinowanie, żeby ich nie zniechęcić. Na zmianę oglądaliśmy filmy, później o nich rozmawialiśmy. To było ciekawe, lecz później umarło śmiercią naturalną. Jakby ktoś przyszedł na seminarium i powiedział, że chce zająć poświęconych filmowi, to nie ma problemu. Bierzemy Jurija Łotmana, klasykę, i mówimy, że film jest tekstem kultury. Będziemy to czytać, interpretować, analizować tak jak dzieło literackie. Albo podobnie jak dzieło literackie. Studenci mówią jednak często: „Obejrzymy to w domu”, a później nie oglądają. Czasami mówię, że jeden czy dwa filmy warto obejrzeć. Pokazuję *Gotyka* Kena Russella, bo tam Byron spotyka się z Shelleyami i z tego ma wyjść *Frankenstein*. Oczywiście studenci później myślą, że tak naprawdę było. Ja im więc mówię: „Nie, nie, spokojnie, to jest fantazja, to jest fantasmagoryczny film”. Faktem jest jednak, że w 1816 roku Byron przebywający na wygnaniu w Szwajcarii zaprosił Shelleyów na lato. Oni tam byli i ta wizyta zainspirowała Mary Shelley do napisania *Frankenstein*.

Kiedyś poprosiłem studentów, by napisali recenzję filmową. Puściłem im *Nagi lunch* Davida Cronenberga na podstawie powieści Burroughsa. W trakcie oglądania filmu jeden student stwierdził: „Nie chcemy oglądać tych obrzydliwości”. Mówię do niego: „W imieniu kogo Pan mówi, proszę powiedzieć”. „W imieniu swoim i kolegi”. „Możecie więc iść do domu, ale to nie zwalnia was z napisania interpretacji”. Zostali do końca, wytrzymali. Widział Pan *Nagi lunch*? Znakomity film. To obyczajowa konserwa się tutaj odezwała.

Panie Profesorze, skoro słucha Pan jazzu, to na pewno przemycą Pan na zajęcia jakieś refleksje o tym wyjątkowym gatunku muzycznym?

Przy czarnej literaturze tak, jak najbardziej. Przede wszystkim John Coltrane. Mam oczywiście wątpliwości, czy Coltrane tak to sobie zaplanował, że będzie grał na saksofonie rzeczy, które czarni radykałowie zechcą zinterpretować później jako wywrotowe, rewolucyjne. Myślę, że niekoniecznie. Te jego dźwięki były jednak na tyle nowatorskie, że aż się prosiło, żeby napisać: „Tak, to razem z Black Power jest jedno”. Puszczam im trochę jazzu przy okazji zajęć z poezji afroamerykańskiej, jak najbardziej Milesa Davisa, na przykład Milesa spokojnego, a potem zradykalizowanego. Amerykanin Kirk Palmer miał kurs na temat kultury amerykańskiej i puszczał jazz. I często nawiązywał do historii jazzu. Od Armstronga aż po czasy współczesne z naciskiem na awangardowy jazz Erica Dolphy’ego. Puszczął również Ornette Colemana. Dzięki temu studenci mieli fajny punkt zaczepienia.

Mógłby Pan powiedzieć, jak więc neofilologia powinna się zmieniać, żeby dostosować się do studentów, „zapotrzebowania” rynkowego, a jednocześnie dawać coś, co jest uniwersalne, nieprzemijające?

Zapotrzebowanie rynkowe pomińmy. Pan jest polonistą i ja w zasadzie jestem polonistą. Wychodzi na to, że polonistyka jest górą, jeśli chodzi o swobodę rozwoju. My tu na anglistyce niestety tego nie mamy. Jak to zmienić? Nie wiem. Ale mam nadzieję, że będzie dobrze.

Dziękuję za rozmowę.



Budynek (do 2014 roku) Biblioteki Uniwersyteckiej im. J. Giedroycia przy ul. M. Skłodowskiej-Curie 14a

Alicja KISIELEWSKA

ALICJA KISIELEWSKA

– dr hab., prof. Uniwersytetu w Białymstoku, filmoznawczyni i medioznawczyni; kieruje Zakładem Wiedzy o Kulturze na Wydziale Filologicznym UwB; prowadzi badania z zakresu kultury audiowizualnej, teorii telewizji, komunikacji kulturowej, antropologii kultury. Zajmuje się problematyką filmu polskiego jako elementu systemu kultury, kulturą audiowizualną, semiotyką przekazów medialnych; komunikacją kulturową. Napisała m.in. książki: *Polskie tele-sagi – mitologie rodzinności*, Kraków 2009; *Film w twórczości Andrzeja Struga*, Białystok 1998. Redaktor książek naukowych, m.in. *Między powtórzeniem a innowacją. Seryjność w kulturze*, Kraków 2004; *Bohater, idol, osobowość medialna* (2004), *Filmowe czytanie kultury* (2007). Od 2009 roku wiceprezes Polskiego Towarzystwa Kulturoznawczego, a także wiceprezes Oddziału Białostockiego Towarzystwa; od 2007 roku bierze udział w pracach *Białostockiej Wszechnicy Kulturoznawczej*.

W 2018 roku powołana na dyrektora Międzywydziałowego Instytutu Kulturoznawstwa i Sztuki.

PROF. SŁAW KRZEMIEŃ-OJAK I KULTUROZNAWSTWO

Pani Profesor, porozmawiajmy o ludziach, którzy tworzyli białostockie kulturoznawstwo. Na ścianie w Pani pokoju wisi portret prof. Sława Krzemienia-Ojaka. Ale nie tylko on zasłużył się dla tego środowiska.

Dr hab. Alicja Kisielewska, prof. UwB:

Zacząłem się od Andrzeja Mencwela. Prof. Mencwel pojawił się na Wydziale Filologicznym, wówczas Humanistycznym, w 1985 roku. Wówczas dyrekcja Instytutu Filologii Polskiej postanowiła, wzorem polonistyki warszawskiej, byliśmy wówczas Filią Uniwersytetu Warszawskiego, wprowadzić na



polonistycy duży blok zajęć związanych z kulturą, filmem, mediami, zajęć dotyczących szeroko pojmowanego antropologicznie słowa, teatru, filmu. W związku z tym, że na uczelni nie było osoby, która mogłaby pokierować taką dziedziną badań, ale też i dydaktyki, to zaproszono prof. Andrzeja Mencwela, wówczas jeszcze doktora, który kończył habilitację, do podjęcia pracy w Białymstoku. Był on delegowanym pracownikiem Uniwersytetu Warszawskiego, który pracował w Białymstoku przez dziesięć lat. Przez te 10 lat stworzył zręby zespołu kulturoznawczego i bardzo mocne podstawy dydaktyczne, ponieważ prowadziliśmy trzy rodzaje przedmiotów. Cały przedmiot nazywał się „wiedza o kulturze”. W skład wiedzy o kulturze wchodziła wiedza o teatrze, o filmie, słowo w kulturze. Kończyło się to dużym egzaminem, który każdy student kończący wtedy polonistykę pamięta. To był taki zaczyn myślenia kulturoznawczego.

Prof. Mencwel był osobą wyjątkową. Z jednej strony to profesor „dojeżdżający”, „pociągowy” i, jak się czasami mówiło, nie będzie się on angażował. W przypadku Profesora tak nie było. To typ osoby, która angażuje się zawsze, jeżeli czegoś się podejmuje. Bywał w Białymstoku co tydzień lub dwa. Prof. Mencwela charakteryzuje to, że swoich współpracowników, o ile ich cenił, bardzo wspierał.

Pracowałam pierwszy rok, gdy przyszedł prof. Mencwel. Zatrudniono mnie również dlatego, że powstawał blok kulturoznawczy. Prof. Mencwel był takim mentorem, ponieważ chodziłam na jego wykłady, które były również dla mnie bardzo interesujące, mimo iż jestem po studiach kulturoznawczych. Był człowiekiem, który wspierał młodych pracowników. Będąc młodą asystentką, wzięłam udział w projekcie pisania skryptów dla studentów polonistyki warszawskiej. To skrypt z audiowizualności w kulturze. Było to dla mnie ogromne wyróżnienie i wyraz potrzeby łączenia środowisk. Jako pracownicy zespołu kulturoznawczego, wówczas nie było jeszcze zakładu, byliśmy zapraszani na wszystkie zebrania naukowe do Katedry Kultury Polskiej UW. Jeździliśmy na wszystkie zebrania. Było nas troje, dr Maria Koszycka, mgr Zbigniew Suszczyński i ja. Stykaliśmy się z kulturoznawcami warszawskimi, i nie tylko, ponieważ prof. Mencwel zapraszał różne osoby spoza Uniwersytetu Warszawskiego, zawsze był dyskutowany jakiś tekst. Była to dla nas dobra szkoła kulturoznawcza.

Prof. Mencwel przyjeżdżał do Białegostoku przez dziesięć lat, ale było wiadomo, że kiedy skończy swoją habilitację, odejdzie do Warszawy. Wrócił na swoje miejsce pracy do Instytutu Kultury Polskiej na Wydziale Polonistyki w Warszawie. Dzisiaj to jest Instytut Kultury Polskiej, wówczas Katedra Kultury Polskiej. Zrobiłam wówczas doktorat, pani dr Koszycka zmarła, Zbyszek Suszczyński był przed doktoratem. Potrzebowaliśmy jakiegoś

profesora, szefa, i prof. Mencwel wynalazł prof. Sława Krzemienia-Ojaka, który ustawowo przeszedł na emeryturę, ale był jeszcze w pełni sił. Przyjechał do Białegostoku, porozmawiał z nami, zorientował się, jak to wygląda i zdecydował się na pracę.

To był rok 1995, Profesor dojeżdżał z Warszawy, ale próbował budować zespół kulturoznawczy przy Zakładzie Literatury Współczesnej w Instytucie Filologii Polskiej. Od 1995 lub 1996 roku staliśmy się samodzielnym Zakładem Wiedzy o Kulturze przy Instytucie Filologii Polskiej. Prof. Krzemień-Ojak kontynuował to, co zapoczątkował prof. Andrzej Mencwel. Stworzył specjalność kulturoznawczą, wiedzę o kulturze na filologii polskiej, która funkcjonowała kilkanaście lat do czasu, kiedy powstało kulturoznawstwo. Ta specjalność opierała się na trzonie antropologiczno-medialno-kulturowym, który zapoczątkował Mencwel, zostało to jeszcze obudowane innymi, dodatkowymi przedmiotami. To była jedna ze specjalności, których na początku były dwie: nauczycielska i wiedza o kulturze. Z czasem powstawały nowe. Wiedza o kulturze cieszyła się zawsze dużym zainteresowaniem i to, że w pewnym momencie poloniści zrezygnowali z tego, wynikało z przyczyn organizacyjnych.

Jaki był prof. Krzemień-Ojak?

Prof. Krzemień-Ojak był jednym z najwybitniejszych kulturoznawców polskich, literaturoznawcą, filozofem i estetykiem. Długi czas w latach 80. kierował Instytutem Kultury w Warszawie, który podlegał bezpośrednio pod Ministerstwo Kultury i Sztuki. Pracował też w Polskiej Akademii Nauk w Zakładzie Filozofii i Estetyki i tam kierował grupą estetyków. Wydawał „Przegląd Estetyczny”. Kierował również pracą zespołu wydającego *Encyklopedię kultury polskiej*. Udało się zrealizować kilka tomów, później nastąpiły przemiany ustrojowe po 90. roku i projekt ten nie był kontynuowany. Profesor był również znawcą kultury i literatury włoskiej, świetnie znał język włoski jako autor książek, takich jak *Antonio Gramsci: filozofia, teoria kultury, estetyka, Labriola*. Natomiast pani dr Krystyna Krzemieniowa była jedną z najwybitniejszych tłumaczek z języka niemieckiego literatury filozoficznej i kulturoznawczo-filozoficznej. Była niezwykle skrupulatna i dociekliwa. Z panią Krystyną miałam mniejszy kontakt, lepszym źródłem byłby prof. Ławski, ponieważ współpracował z nią przez ostatnich kilka lat.

Profesor Krzemień-Ojak był postacią wyjątkową. Gdy przyjechał do Białegostoku, był już po 60-tce. Byliśmy młodym zespołem, otoczył nas opieką dwojakiego rodzaju, w pewnym sensie ojcowską, z drugiej – naukową, umiejętnie prowadzoną. Nigdy nam nie narzucał tematów, projektów, ale tak umiejętnie z nami rozmawiał, że zazwyczaj te projekty, które on pro-

ponował, były przez nas chętnie przyjmowane. Wprowadził nas jako zespół w środowisko kulturoznawców polskich, jeździliśmy na konferencje, byliśmy przedstawiani, zapraszani, rozpoznawalni i z czasem zaczęliśmy sami organizować konferencje ogólnopolskie, na które zapraszaliśmy najwybitniejszych badaczy kulturoznawców z całej Polski. Odbываły się one w Tykocinie, Supraślu, Białymstoku, Białowieży.

Powstała z tego cała seria książek, licząca 11 tomów, które wydawaliśmy po każdej konferencji pod hasłem *Kultura i przyszłość*. Wspólnie jako Zakład (Sław Krzemień-Ojak, Alicja Kisielewska, Monika Kostaszuk-Romanowska, Zbigniew Suszczyński, Natalia Szydłowska, przy współudziale Andrzeja Kisielewskiego) wydaliśmy podręcznik z wiedzy o kulturze dla liceum i technikum – *Wiedza o kulturze. Kultura i przyszłość*. Profesor zainicjował również Białostocką Wszechnicę Kulturoznawczą, był przekonany o potrzebie popularyzowania wiedzy o kulturze. To był cykl otwartych wykładów dla mieszkańców Białegostoku, które odbywały się od 2007 roku, najpierw w Galerii Slendzińskich, później w Muzeum Podlaskim. Dwa lata temu przerwaliśmy działalność Wszechnicy, ale myślę, że do tego wrócimy. Z tego też są książki, odbywały się mikrokonferencje, które Profesor organizował na różne tematy. To wszystko składało się na projekt Profesora stworzenia studiów kulturoznawczych w Białymstoku. Jemu się nie udało, chciał to robić z Wydziałem Pedagogiki i Psychologii, pracował w Białymstoku 15 lat, do 2010 roku. Chyba było na to za wcześnie, kadra nie była odpowiednio silna, może moment nie ten.

To, że te studia kulturoznawcze są w Białymstoku od 2011 roku, to był proces, który zaczął prof. Krzemień-Ojak. Nie był to proces łatwy, studia kulturoznawcze na Uniwersytecie w Białymstoku są to studia prowadzone przez dwa wydziały: Filologiczny i Pedagogiki i Psychologii. Działają to dobrze do dnia dzisiejszego.

Profesor był dobrym duchem, zapraszaliśmy go na Rady Wydziału, przyjeżdżał specjalnie, żeby nas wspierać, chociaż już nie był członkiem Rady. Zbudował w Białymstoku zakład, który później się rozrósł, choć na początku były trzy osoby. Później doszła Natalia Szydłowska, była językoznawczynią, przez lata pracowała w Zakładzie Dialektologii i Historii Języka Polskiego, kierowanym przez panią prof. Barbarę Falińską. Zajmowała się dialektologią, czyli *de facto* regionem, z wykształcenia była polonistką. Zaczęła współpracować z naszym Zakładem i w pewnym momencie prof. Krzemień zaproponował jej przejście do nas. Była to trudna decyzja w sensie naukowym, dlatego że musiała „przeskoczyć płot” między językoznawstwem a kulturoznawstwem. Zdecydowała się na to i stała się bardzo ważnym członkiem naszego zespołu. Prowadziła zajęcia „słowo w kultu-

rze”, zajęła się również kulturą regionu. Pracowała do czasu przejścia na emeryturę.

Państwa zainteresowania badawcze, związane z regionem, wpłynęły na rozwój kulturoznawstwa?

Każdy z nas, kto pracuje w Zakładzie, wchodzi w problematykę regionalną. Bardzo dużo pisałam o kinach białostockich w okresie międzywojennym. Myślałam nawet o książce, być może do tego wrócę. Natalia zajmowała się kulturą regionu, Monika teatrami w Białymstoku, na przykład teatrami nieprofesjonalnymi. Teraz mamy młodą osobę, Maję Rogalę, która jest absolwentką polonistyki, jest moją magistrantką, teraz doktorantką, i specjalizuje się w kulturze regionu, wchodzi w przestrzeń naukową po Natalii Szydłowskiej. Zajmuje się też mediami. Ta problematyka regionu zawsze była i będzie dla nas ważna.

Kto jeszcze wpłynął na rozwój kulturoznawstwa?

Na pewno byli to Maria Koszycka i Zbigniew Suszczyński. Z Marią Koszycką współpracowałam kilka lat, zmarła tragicznie. Była moją pierwszą mentorką, później prof. Mencwel przejął tę funkcję. Pochodziła z Białegostoku i jak były jakieś problemy, można było na nią liczyć. Była literaturoznawcą z wykształcenia, prowadziła zajęcia ze słowa w kulturze. Później poważnie zachorowała i tragicznie zmarła.

Natomiast Zbyszek Suszczyński był ważnym i cennym członkiem naszego zespołu. Zajmował się słowem w kulturze, problematyką słowa w powiązaniu z mediami i przez lata prowadził zajęcia. Uczestniczył we wszystkich przedsięwzięciach, które wspólnie organizowaliśmy. W pewnym momencie zaczął mieć problemy osobiste, które spowodowały, że praca naukowa zaczęła mu ciążyć do tego stopnia, iż możliwości współpracy obu stron się wyczerpały i on zrezygnował. Zmarł później nagle i tragicznie.

Jaka była atmosfera pracy wśród kulturoznawców? Jak wyglądało życie wydziałowe od „kuchni”?

Dogadywaliśmy się bardzo dobrze. W dużej mierze to wynikało z osobowości prof. Krzemienia-Ojaka, później była u nas też prof. Wieczorkiewicz, ale bardzo krótko. On był taką osobą, która doskonale potrafiła łagodzić ledwo rodzące się napięcia. W tej chwili staram się coś takiego robić, żeby było miło. Bardzo dużą rolę odgrywa szef. Profesor nigdy nie udzielił reprimendy, aczkolwiek zawsze czuliśmy respekt. Nawet jeśli ktoś mu podpadł, nigdy tego nie wynosił na forum Zakładu, tego od niego się nauczyłam. Również kiedy odszedł, kontaktowaliśmy się z Profesorem, prosząc o radę

zarówno w sprawach własnych, naukowych, jak i zakładowych, organizacyjnych. Był też dla nas nauczycielem wydawniczym, przy nim nauczyliśmy się redagować książki, to, co dzisiaj umiemy, w dużej mierze zawdzięczamy Profesorowi.

Jak dziś studenci podchodzą do kulturoznawstwa? Jak było dawniej?

Z ogromnym sentymentem wspominamy studentów sprzed 10 czy 15 lat. Panowało zupełnie inne podejście do studiów. Studenci czytali teksty i starali się je zrozumieć, bo byli przeświadczeni o tym, że oni budują nie tylko swoją wiedzę, ale też siebie, że w ten sposób tworzą swoją przyszłość zawodową, i dyskutowali na zajęciach. Dzisiaj jest inaczej. Myślę, że łatwość dostępu do tekstu wcale nie oznacza, że studenci czytają więcej. Nie przekłada się to na jakość studiowania, studenci czytają mniej. Kulturoznawca uczy się też z innych źródeł, uczy się z własnego doświadczenia, z mediów, z prasy, ze środowiska. I to staramy się dzisiaj naszym studentom pokazywać, jak się uczyć z różnych źródeł.

Pamiętam zajęcia, na których oglądaliśmy z Panią Profesor filmy, między innymi Wernera Herzoga. Ta tradycja wciąż funkcjonuje?

Dzisiaj wszystko jest *online*. Kiedy pytam studentów, jakich znają polskich reżyserów, padają dwa, góra trzy nazwiska, i to jest chyba trafny komentarz do obecnego stanu wiedzy. Jesteśmy w trudnej sytuacji, chcemy organizować projekcję, a studenci mówią, że mogą wszystko znaleźć w Internecie. Tylko trzeba do tego sięgnąć. Nie chcę generalizować i mówić, że dzisiaj studenci są gorsi. Są inni, inaczej zdobywają wiedzę i jest jedna zasadnicza różnica. Bardzo często studenci pracują zawodowo podczas studiów stacjonarnych i bywa, że już od pierwszego roku. Często student nie daje rady i „wypada” ze studiów. A jeśli studiuje, to byle jak.

Porozmawiajmy o przyszłości kulturoznawstwa. Jak, według Pani, potoczą się jego losy?

Mam nadzieję, że będziemy się dobrze rozwijali. Mamy bardzo dobry zespół składający się z pracowników z dwóch Wydziałów: Filologicznego, czyli z tego Zakładu, którym kieruję, Zakładu Studiów nad Kulturą i Mediami, i są dwa zakłady kulturoznawcze z pedagogiki.

W tym roku powstał Międzywydziałowy Instytut Kulturoznawstwa i Sztuki. Jest to nowa struktura, która jeszcze nie do końca jest zorganizowana, nie jest wybrany dyrektor i wicedyrektor. Jego celem jest sprawowanie opieki i zarządzanie studiami kulturoznawczymi. Studia kulturoznawcze są naszą podstawową płaszczyzną, ale też współpraca naukowa, merytorycz-

na tych dwóch zespołów. Jest to struktura trudna, bo międzywydziałowa, coś nowego na Uniwersytecie. Bardzo intensywnie myślimy o przyszłości, białostockie kulturoznawstwo ma szansę funkcjonować dobrze. Mamy specjalności dające naszym absolwentom kompetencje zawodowe. Na studiach I stopnia mamy specjalność *media i komunikowanie* oraz *reklama i public relations*; w ramach tych specjalności prowadzimy zajęcia warsztatowe z praktykami. Są to specjalności konkretne, jest duży komponent praktyki. Na II stopniu zaproponowaliśmy kilka specjalności, ale jedna z nich cieszy się największym zainteresowaniem. To jest *komunikowanie w mediach cyfrowych*. Uczymy, jak być dziennikarzem cyfrowym, jak obsługiwać strony cyfrowe, jak się zajmować marketingiem w przestrzeni internetu, jak się zajmować reklamą. Proponujemy też inne specjalności, w tym kulturę regionu, którą udało się uruchomić raz. Mamy też specjalność *filmoznawstwo, medioznawstwo* dla osób, które chcą się zajmować przede wszystkim mediami, bardziej od strony praktyczno-teoretycznej, krytyków filmowych. Próbowaliśmy uruchomić specjalność: *kultura trzeciego wieku*, która jest czymś unikatowym w skali kraju, mamy bardzo dobry program, ale musi być odzew. Największym zainteresowaniem cieszy się *komunikowanie w mediach cyfrowych, filmoznawstwo, medioznawstwo i kultura regionu*. Jeśli chodzi o związki ze wschodnią granicą, próbujemy tę sprawę ożywić. Mam nadzieję, że w ciągu najbliższych lat będzie się coś działo.

Dziękuję za rozmowę.

Michał

KONDRATIUK

MICHAŁ KONDRATIUK

– prof. em. dr hab., językoznawca; pochodzi z Dubin k. Hajnówki. Pracował w Katedrze Filologii Białoruskiej Uniwersytetu w Białymstoku. Znawca zagadnień w zakresie językoznawstwa słowiańskiego i bałtyckiego, badacz gwar wschodniosłowiańskich i polskich oraz onomastyki na pograniczu polsko-białorusko-ukraińskim i słowiańsko-bałtyckim w północno-wschodniej Polsce i na Białorusi. W 1970 roku uzyskał stopień doktora nauk humanistycznych w Instytucie Słowianoznawstwa PAN w Warszawie; habilitację w zakresie językoznawstwa słowiańskiego i bałtyckiego uzyskał w 1984 roku w Instytucie Rusycystyki i Lingwistyki Stosowanej UW. Od 1985 roku docent w Instytucie Słowianoznawstwa PAN. W 1992 roku mianowany na stanowisko prof. nadzwyczajnego Filii UW w Białymstoku. Tytuł profesora uzyskał w 1997 roku na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu; jako profesor zwyczajny na UwB od roku 2003.

Redaktor i współautor wielu prac zbiorowych. Jego zasługi dla rozwoju językoznawstwa doceniły cztery państwa poprzez odnotowanie jego postaci w encyklopediach językoznawczych: polskiej, białoruskiej, litewskiej i ukraińskiej. Pod opieką profesora Kondratiuka prace magisterskie z zakresu gwar białoruskich Białostoczczyzny napisało i obroniło ponad pięćdziesięciu studentów UwB.

Jest autorem monografii: *Elementy bałtyckie w toponimii i mikrotoponimii regionu białostockiego* (Wrocław 1985), *Nazwy geograficzne i osobowe Białostoczczyzny* (Białystok 2016).



JĘZYKOZNAWCA NA POGRANICZACH

Panie Profesorze, kiedy rozpoczął Pan pracę naukowo-dydaktyczną w Białymstoku?

Prof. Michał Kondratiuk:

Do Białegostoku przyszedłem pracować z Instytutu Słowianoznawstwa Polskiej Akademii Nauk w Warszawie, gdzie byłem zatrudniony na całym etacie od 1 lutego 1960 roku do 31 marca 1992 roku. Będąc w Instytucie Słowianoznawstwa (dziś Instytut Sławistyki) PAN obroniłem pracę doktorską i rozprawę habilitacyjną, zostałem docentem dr. hab.

W Białymstoku pracowałem na pół etatu docenta lub profesora od 1 października 1985 roku do 30 marca 1992 roku. Od 1 kwietnia 1992 roku przeszedłem na cały etat. Filia Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku została moim głównym miejscem pracy. Przeniesienie z Warszawy do Białegostoku nastąpiło na zasadzie wzajemnego porozumienia stron między Sekretarzem Naukowym PAN a Ministrem Szkolnictwa Wyższego. W istniejącej Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku na Wydziale Filologiczno-Historycznym istniała specjalność filologia rosyjska, lecz brakowało samodzielnych pracowników naukowo-dydaktycznych, to jest docentów i profesorów ze stopniem doktora habilitowanego.

Pracownicy Filologii Rosyjskiej Uniwersytetu Warszawskiego traktowali wyjazdy na zajęcia do Białegostoku jako swego rodzaju zesłanie. Przez te siedem lat ja również pracowałem na takich samych warunkach. Przejazdy z Warszawy do Białegostoku i z powrotem oraz zakwaterowanie w hotelu uniwersyteckim opłacała Filia UW w Białymstoku.

Duży problem był z literaturą i książkami niezbędnymi na zajęciach, których tu brakowało, więc musiałem je wozić ze sobą. Za każdym przyjazdem zakwaterowywano mnie w różnych pokojach, bo nie miałem stałego pomieszczenia, aby tam można było trzymać niezbędne książki. Kierowniczka naszego hotelu przydzieliła mi potem szafkę na korytarzu, żeby tam zostawić potrzebną literaturę i rzeczy osobiste.

Do pracy w Filii Uniwersytetu w Białymstoku przyjmował mnie dziekan dr hab. Jerzy Kopania, prof. UW, ówczesny Przewodniczący Związku Zawodowego „Solidarność” w Białymstoku. Jego zdjęcia przy kolejnych wyborach do Sejmu RP wisiały w Białymstoku prawie na każdym słupie. I oto ciekawa sytuacja, przewodniczący Solidarności przyjmuje do pracy byłego członka Związku Nauczycielstwa Polskiego, a następnie Związku Pracowników Polskiej Akademii Nauk, nienależącego do „Solidarności”, a także byłego członka PZPR. Interes społeczny, tworzenie ośrodka akademickiego w Białymstoku, samodzielnego uniwersytetu, zapewnienie mu wysoko

kwalifikowanej kadry naukowo-dydaktycznej zwycięża ponad podziałami politycznymi. I takie postępowanie jest właściwe, godne naśladowania. Dzięki moim zachętom do tworzącego się Uniwersytetu w Białymstoku przeniósł się z PAN w Warszawie prof. zw. dr hab. Tadeusz Szymański, wybitny historyk, afrykanista, urodzony we wsi Grądy, gmina Knyszyn.

Na zajęcia z zakresu specjalności filologia rosyjska w Filii UW w Białymstoku dojeżdżali przez pewien czas wykładowcy z rusycystyki warszawskiej, byli to między innymi prof. Jurij Lukszyn, doc. dr Halina Milejowska, dr Walczak-Sroczyńska, a z wykładowców literatury prof. Tadeusz Szyszko i inni. Przez pewien czas kierownikiem Zakładu Filologii Rosyjskiej był prof. dr hab. Michał Łesiów z UMCS w Lublinie. Miejscem jego zatrudnienia na pierwszym etapie był Lublin i dlatego nie należał on do profesorów wliczanych w skład pracowników samodzielnych naszej Filii.

Wielkim zwolennikiem powstania białorutenistyki w Białymstoku był pierwszy rektor samodzielnego Uniwersytetu w Białymstoku, prof. zw. dr hab. Adam Jamróz, a także ówczesny premier Rzeczypospolitej Polskiej, dr Włodzimierz Cimoszewicz i prezydent RP Aleksander Kwaśniewski. Rektor prof. Jamróz był człowiekiem z pomysłami i bardzo konsekwentny. Zgodził się z moją i innych propozycją, aby powołać w Białymstoku białorutenistykę. Nastawał cały czas i powtarzał: „Białorutenistyka to nasz atut. Możemy w ten sposób wyróżnić się na tle innych uczelni”. Dr Bazyli Siegień na uroczystości świętowania 20-lecia Białorutenistyki w Białymstoku dnia 12 kwietnia 2013 roku mówił: „Specyfikę naszej katedry determinuje położenie geograficzne, sąsiedztwo z Białorusią i liczna mniejszość białoruska na Białostocczyźnie”. Przy powoływaniu białorutenistyki w Białymstoku opozycja była nawet ze strony Katedry Filologii Białoruskiej Uniwersytetu Warszawskiego, oni byli jedyną katedrą i sądzili, że my zrobimy dla nich konkurencję. Ale u nas białorutenistyka powstała najpóźniej, bo po zmianach ustrojowych powstała najpierw na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim i w Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Nauczanie na poziomie studium było na Uniwersytecie Jagiellońskim, a także w Olsztynie. W Białymstoku ta specjalność została zatwierdzona jako ostatnia. Jerzy Giedroyc – redaktor „Kultury” – był za tym, żeby w Białymstoku stworzyć białorutenistykę i aby na nią przyciągać nie tylko studentów z Polski, ale też z Białorusi, przez to nawiązać lepszą współpracę, wymianę zdań i poglądów młodzieży obu krajów.

Jak przywitał Pana Białystok?

Białystok przywitał mnie bardzo ciepło. Szybko się zaaklimatyzowałem. Dobrze się tu poczułem, bo do terenu, który badałem, było mi bliżej. Biało-

stoczczyne znam doskonale i wiem nawet, gdzie leży jaka wieś, gdyby mnie ktoś spytał wyrывkowo na ulicy. Tę wiedzę miałem dlatego, że uczestniczyłem w badaniach gwarowych, kiedy wyjeżdżało się na wieś i przebywało tam co najmniej tydzień, ponieważ kwestionariusz do badań gwarowych zawierał około 2 tysięcy pytań. Ja nie miałem żadnych wolnych wakacji, ponieważ oprócz badań gwar różnych miejscowości uczestniczyłem w zespole filologów, którzy prowadzili na Białostocczyźnie i Suwalszczyźnie rejestrację nazw miejscowych i obiektów fizjograficznych na zlecenie Komisji Ustalania Nazw Miejscowości i Obiektów Fizjograficznych przy Urzędzie Rady Ministrów PRL. Odpowiedzialną za rejestrację nazw na danym terenie była pani prof. dr hab. Antonina Obrębka-Jabłońska, kierowała ona zespołem filologów i narzucała nam tempo pracy. Chodziło o to, aby uporządkować nazewnictwo geograficzne na badanym obszarze, bo istniejące nazwy były często błędne i niezrozumiałe. Na przykład takie nazwy jak Gród, Sawiny Gród, Juszkowy Gród, Górny Gród są błędne. To nie są żadne dawne *grody*, a tłumacząc na język polski, *grądy*. A *grąd* w języku białoruskim i ukraińskim brzmi *hrud* i określa teren wyższy wśród bagien i łąk. Mój pierwszy większy artykuł naukowy był właśnie na ten temat.

Przy rejestracji nazw miejscowych i terenowych miałem dużą mapę Sztabu Generalnego Wojska Polskiego w skali 1:100 000 lub 1: 50 000. Aby ją rozłożyć, najpierw rozkładałem gazety, a później na nie mapę, żeby jej nie zabrudzić. Obecni patrzyli na mnie i na mapę i pytali: „A może by pan tę mapę sprzedał, bo tu nawet nasze kolonie są?”. Odpowiadałem, że gdybym ja to sprzedał, to by mnie do ciupy wsadzili, bo to Sztab Generalny. Ludzie sięgali do kufrów i pokazywali swoje herby, nadania i potwierdzenia swojej szlacheckości, bo tu było kilka rodzajów własności: królewska, ziemska, kościelna lub cerkiewna i szlachecka.

Czy razem z Panem na badania terenowe jeździli studenci?

Niestety nie. Przyjechałem do Białegostoku pełen optymizmu, że całą swoją wiedzę przekażę studentom. Potem okazało się, że moje ambicje rozbiły się jak o skałę, bo studenci nie tak chętnie garnęli się do pracy. Niektórzy robili to z musu, ale było też wiele takich, którzy rzeczywiście pracowali solidnie.

Czego pan Profesor uczył na początku?

Na początku uczyłem gramatyki języka rosyjskiego, miałem wykłady z charakterystyki języków słowiańskich: wschodniosłowiańskich (rosyjski, białoruski, ukraiński), zachodniosłowiańskich (polski, czeski, słowacki, górno- i dolnołużycki) oraz południowosłowiańskich (bułgarski, macedoński,

serbski, chorwacki), a także prowadziłem seminaria magisterskie i licencjackie. Jeśli chodzi o języki słowiańskie, to miałem do nich dobre przygotowanie, potrafiłem nawet porozumieć się w wielu językach słowiańskich. Uczyłem się również języka litewskiego, dzięki któremu stałem się w Białymstoku sławny, bo litewskiego nikt do tej pory tu nie uczył i nie znał (oprócz Litwinów przyjeżdżających do Białegostoku). Poza tym trafił mi się dobry podręcznik do nauki języka litewskiego, napisany po rosyjsku. Opanowałem ten język w takim stopniu, że mogłem się porozumiewać, będąc na Litwie. Kiedy jeździłem do Wilna pracować w archiwach, w Instytucie Języka Litewskiego Litewskiej Akademii Nauk i Uniwersytetu, to zawsze miałem jakąś pomoc nauczycielską. Pewnego razu zajechałem tam w modnym ubraniu: bułgarski kożuszek, skórzane wysokie buty w tym samym kolorze i czapka zimowa, to miejscowa telewizja litewska zrobiła ze mną film, który potem wyświetlano w telewizji.

Pamięta Pan swoich studentów?

Oczywiście tak, zwłaszcza tych, którzy chodzili na moje seminaria magisterskie. Studentom dawałem tematy prac tak, aby zebrali nazwiska z całej gminy albo z jej części. Ale z takiej gminy jak Bielsk Podlaski powstały aż trzy prace magisterskie. Jedna poświęcona była północnej części, druga południowej, a trzecia związana z nazwiskami mieszkańców miasta. Wybierałem studentów tak, aby znali dany teren ze względu na miejsce swojego pochodzenia lub urodzenia. Jechali oni na wieś bez problemu, bo tam wszystkich znali. Pytali o nazwiska, zapisywali, jak one brzmią w dowodzie osobistym czy paszporcie, a jak brzmią w wymowie miejscowej ludności. To był zawsze dobry temat do pracy badawczej; cenny, bo nie było i nie ma w Polsce takiego słownika, w którym obok form oficjalnych nazwisk są podane postaci gwarowe. Gdyby te nazwiska zebrane w terenie opublikować, to byłby pierwszy, oryginalny słownik. Założenia takiego słownika napisałem i opublikowałem. Wydanie słownika uzależnione jest od uzyskania grantu. Gdyby go uzyskać, to można jeszcze zatrudnić kilka osób do jego pełnego opracowania. Słownik mógłby się ukazać w ciągu kilku lat. Jeśli chodzi o moje osiągnięcia dydaktyczne, to wypromowałem 3 doktorów, 150 magistrów oraz 6 absolwentów prac licencjackich. Moi współpracownicy z Białegostoku mówili, że kiedy przyszedłem tu do pracy, to bardzo wzrósł poziom nauczania. W regionie białostockim jest taka sytuacja, że wiele ludzi z wyższym wykształceniem, mieszkańców Białostoczczyzny, nie wie o tym, że mieszkają na terenie byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego. Z tego wynika, że wiedza regionalna o własnych korzeniach jest dość słaba. Nie wszyscy wiedzą, gdzie przebiegała granica Mazowska

z Wielkim Księstwem Litewskim. O tym się nie mówi. Ta problematyka regionalna powinna stać się jedną z pierwszych, bo jeżeli się chce być patriotą, to na początku trzeba być patriotą swojego regionu. Poprzez zbiór lokalnych patriotyzmów powstaje patriotyzm dla całej Polski. Mówiono mi kiedyś, że nie trzeba bronić całej Ojczyzny. Wystarczy, że obronimy swoją wieś, gminę, miasto i region, a Polska zostanie obroniona. U nas, na Podlasiu, pomału zaczyna się to zmieniać. Informacja o regionie dociera najczęściej do ludzi wykształconych, którzy chcą wiedzieć, kim jesteśmy, skąd pochodzimy, dlaczego tak się nazywamy? Niektórzy są katolikami, a ich nazwisko pochodzi z języka białoruskiego, ukraińskiego, rosyjskiego, czy też litewskiego lub tatarskiego. Nasz region jest różnicowany pod względem etnicznym, językowym, kulturowym i konfesyjnym.

A ludzie, którzy związali swoje życie z nauką dzięki Panu?

Pierwszym przykładem jest dr hab. Lilia Citko, prof. UwB (dawniej Kruk), ma ona w tej chwili na ukończeniu pracę, która wraz z całym dorobkiem naukowo-dydaktycznym tworzy solidną podstawę do uzyskania tytułu naukowego profesora belwederskiego. Jej rozprawę habilitacyjną opiniałem do druku. Z obecnych doktorów, których zachęcałem do pracy naukowo-dydaktycznej, należy wymienić Ninę Androsiuk, która pod moim kierunkiem napisała piękną twórczą pracę o naszym regionie, pod tytułem *Słownictwo dotyczące świąt, zwyczajów i obrzędów dorocznych w gwarach Białostoczczyzny*. Obrona rozprawy odbyła się w 2001 roku na Radzie Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Wrocławskiego, uniwersytetu, którego mgr Androsiuk była absolwentką. Recenzenci rozprawy doktorskiej i Rada Wydziału uznali, że pracę koniecznie trzeba szybko opublikować w formie książki. Niestety, mimo istniejących możliwości finansowych ze strony Instytutu Filologii Wschodniosłowiańskiej, gdzie dr Androsiuk od wielu lat jest zatrudniona, praca do tej pory nie została złożona do druku. Osobiście mam do Niej żal. O potrzebie wydania książki przez cały czas Jej przypominałem, były nawet zarezerwowane środki finansowe na wydanie monografii, opartej na świeżo zebranych w terenie materiale gwarowym, dobrze uporządkowanym i zanalizowanym. Na podstawie pracy doktorskiej autorka opublikowała kilka artykułów, które wykorzystali chętnie inni, pisząc swoje prace doktorskie na ten sam lub podobny temat i te obie prace doktorskie ujrzały światło dzienne w postaci osobnych książek.

Dzięki mojej inicjatywie i działaniom były absolwent Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku z filologii rosyjskiej, mgr Bazyli Siegień, przebywał przez trzy lata na aspiranturze w Państwowym Uniwersytecie Białoruskim w Mińsku. Napisał tam i obronił pracę doktorską pod tytu-

łem *Przyimek w gwarze wschodniosłowiańskiej wsi Trywieża na Białostocczyźnie*. Promotorem pracy był prof. Lew Michajłowicz Szakun z miejscowego uniwersytetu. Praca napisana po białorusku w formie wydruku komputerowego została wydana w oryginale przez Wydawnictwo Uniwersytetu w Białymstoku w 2001 roku. Rozprawę opiniowali do druku prof. Kondratiuk i prof. Hienadź Cychun z Mińska. Dr Bazyli Siegień po powrocie z Mińska został zatrudniony w Instytucie Filologii Wschodniosłowiańskiej, najpierw na stanowisku asystenta, a potem adiunkta.

Dr Alina Filinowicz (z domu Frankowska) była moją magistrantką na specjalności rusycystyka z białorutenistyką, napisała pracę magisterską z antroponimii gminy Łapy. Zatrudniona była najpierw na godzinach zleconych, następnie na etacie w Katedrze Filologii Białoruskiej Instytutu Filologii Wschodniosłowiańskiej. W 2012 roku na Radzie Wydziału Filologicznego UwB obroniła rozprawę doktorską na temat: *Mikrotoponimia dawnego powiatu sokólskiego*, napisaną pod moim kierunkiem.

Dr Dorota Szymaniuk (z domu Sułkowska) absolwentka naszej rusycystki wyraziła chęć pisania pracy doktorskiej u mnie, ale po ukończeniu w Uniwersytecie Poznańskim drugiego kierunku – anglistyki, napisała pracę u nowozatrudnionej w naszym uniwersytecie prof. Anny Miatluk z Mińska. Spoza Uniwersytetu w Białymstoku pracowało ze mną kilka koleżanek, których zwerbowałem do badań gwarowych w ramach Pracowni Filologii Białoruskiej Instytutu Słowianoznawstwa PAN w Warszawie. Niektóre z nich zrezygnowały z pracy, inne obroniły rozprawy doktorskie i dalej pracowały lub przeniosły się do różnych uniwersytetów.

Będąc docentem, potem profesorem, miałem dobre kontakty z wieloma ośrodkami naukowymi w Polsce i za granicą. Zrecenzowałem dość dużo prac doktorskich i habilitacyjnych pracowników naukowych tych uniwersytetów i instytutów, w tym Polskiej Akademii Nauk, Akademii Nauk Białoruskiej i Ukraińskiej, opiniowałem wiele prac na stopnie i tytuły naukowe – docenta, profesora uczelnianego i profesora tytularnego, a nawet na członka korespondenta czy członka rzeczywistego Białoruskiej oraz Ukraińskiej Akademii Nauk. Współpracowałem z Instytutami Języka i Literatury Litewskiej i Łotewskiej Akademii Nauk oraz uniwersytetami w Wilnie i Rydze.

Jak się Panu w Białymstoku pracowało? Jak wyglądały relacje pomiędzy profesorami a studentami?

Mnie osobiście kontakty z profesorami i studentami w Białymstoku układały się dobrze. Zdarzały się oczywiście różne wypadki. Kiedy zostałem kierownikiem Katedry Filologii Białoruskiej, dyrektor instytutu, prodziekan i osoba z naszego uniwersytetu zaproponowali mi, żeby przyjąć do pracy

pewnego kandydata. Okazało się, że to specjalista od nauczania ateizmu, ale zna język białoruski. Nie chciałem go przyjąć i poradziłem przegłosować kandydaturę na Radzie Instytutu. W tajnym głosowaniu kandydat nie uzyskał większości głosów. Dziekan po zapoznaniu się z wynikami głosowania uznał sprawę za nieaktualną.

W którym roku odszedł Pan na emeryturę?

Na emeryturę przeszedłem ostatecznie w 2011 roku, a formalnie w 2004. Potem byłem zatrudniany co roku przez kolejne 6 lat. Ostatnie zatrudnienie było na umowę o dzieło. Zarobiłem na tym 2500 zł brutto za cały rok. Ważną rzeczą dla mnie była współpraca z „Gazetą Współczesną”. Redaktorzy tej gazety przeprowadzili ze mną wywiad na temat naszych nazwisk i nazw miejscowości, ogłosili w gazecie czytelnikom, że mogą za ich pośrednictwem zadawać do mnie pytania o pochodzeniu ich nazwisk i nazw miejscowości. To ogłoszenie spotkało się z dużym zainteresowaniem czytelników, w ciągu paru dni zgłosiło się telefonicznie lub mailowo ponad 100 osób z prośbą o wyjaśnienie znaczenia i etymologii ich nazwisk i nazw miejscowości. Aby przygotować odpowiedź do piątkowego numeru – Magazynu „Gazety Współczesnej” musiałem poświęcić około dwóch dni na przygotowanie materiału. Robiłem to za grosze. Satysfakcja była jednak z tego, że ludzie są tak zainteresowani swoim pochodzeniem, korzeniami, znaczeniem nazwisk, historią i etymologią ich miejscowości.

Jak ocenia Pan przyszłość białorutenistyki?

Kiedy byłem kierownikiem katedry, na studia nieraz zgłaszało się po 35 lub 42 osoby. Kandydaci na studia mieli egzamin wstępny. Przy zgłaszaniu się większej liczby osób na białorutenistykę musiałem uzyskać zgodę Rektora lub Komisji Rekrutacyjnej Uniwersytetu na przyjęcie takiej liczby kandydatów. Potem na jednej z Rad Wydziału Filologiczno-Historycznego stwierdzono – „trzeba ograniczyć nabór na filologię białoruską” i ustalono, że limit powinien wynosić 20 osób. Większość głosowało za tą propozycją. Przeciw głosowałem ja, Eugeniusz Mironowicz, Oleg Łatyszonek i jeszcze chyba z 5 do 8 osób. Potem były wypadki, że na białorutenistykę zgłosiło się 17-18 osób, brakowało więc 2 lub 3 osoby. Dziekan Wydziału albo Komisja Rektorska zdecydowały, że nie można kontynuować kierunku ze względu na brak tych 2 lub 3 osób.

Takie podejście do studiów to bezmyślność. Kiedy studiowałem na Uniwersytecie Warszawskim, to na sinologię, język hebrajski i inne kierunki zgłaszało się po 6-8 osób. I specjalność dalej istniała. Jest na przykład lituanistyka w Poznaniu, gdzie zgłasza się czasem 14 osób, a po roku studiów

pozostaje 10, ale specjalizacja dalej istnieje i zajęcia są prowadzone. I tak powinno być, bo może ktoś dołączyć ze studiów zaocznych lub powtarzający rok. Może teraz po wypowiedzi Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego Jarosława Gowina, że nie ilość, ale jakość powinna decydować o kształceniu, coś się zmieni na lepsze? Kiedyś była taka zasada, że wszyscy muszą być magistrami. Dlaczego wszyscy? Uważam, że w pracy trzeba wykazać swoją wiedzę i umiejętności, a nie legitymować się jedynie dyplomem.

Chcę dodać, w kontekście aktualnych trudności, z jakimi zmagają się specjalności białorusnistyka, można zaproponować zmiany. Nabór na daną specjalność nie musi być każdego roku. Można go przeprowadzać na przykład raz na dwa lata, tak jak jest na slawistyczne języki (bułgarski, słowacki, czeski, serbski, chorwacki). Tak jest obecnie w Warszawie. I to jest dobry system. Należy zachować potencjał naukowy, niezależnie od tego ilu studentów przyjmie się w danym roku. Łatwo jest pozbyć się pracowników jakiejś specjalności, ale bardzo trudno na nowo stworzyć zespół.

Moim zdaniem, dla mniejszości etnicznych powinno się stosować inne zasady rekrutacji, niż dla dominującej większości w danym kraju. Władze Republiki Białoruś zabiegają, aby utrzymać w Polsce białorusnistykę, która pozytywnie wpływa na losy języka białoruskiego na Białorusi.

Czego Panu życzyć na najbliższe lata?

Najlepiej byłoby życzyć mi, żebym wydał jeszcze jedną książkę, ale tym razem nie swoją, a mojego przełożonego, który w Warszawie w PAN był kierownikiem Pracowni Filologii Białoruskiej. Jest to prof. Stanisław Glinka, pochodzący ze wsi Janki Młode pod Ostrołęką. Opracował on, na przełomie lat 50 i 60 XX wieku, duży słownik gwary wsi Nomiki w gminie Sokółka. Krewni profesora Glinki po jego śmierci przekazali mi kartotekę fiszek zebranego słownika. Jest tam ponad 5 tys. wyrazów. Profesor Glinka był człowiekiem wybitnym. Ukończył on wydział matematyczno-biologiczny Uniwersytetu Warszawskiego. Po studiach przez kilka lat uczył w warszawskich szkołach. Potem został zaproszony do powstającej Pracowni Filologii Białoruskiej w Polskiej Akademii Nauk. Jego kandydaturę zgłosił znany dialektolog, prof. Kazimierz Nitsch z Uniwersytetu Jagiellońskiego, który poznał Glinkę jako studenta, autora bardzo dobrze wypełnionej ankiety do badań gwarowych. Organizatorem powstającej Pracowni w Warszawie była prof. dr Antonina Obrębka-Jabłońska, asystentka profesora Nitscha. Glinka znał dobrze kilka języków: łacinę, grekę, język niemiecki i angielski. Języka rosyjskiego nauczył się dlatego, że jego metryka urodzenia była zapisana po rosyjsku i z tego powodu postanowił sam nauczyć się tego języka. Gdy był przyjmowany do pracy, to także nie znał języka białoruskiego,

ale sam potem ten język opanował dość dobrze, oprócz tego poznał również język litewski.

Profesor Glinka swoje prawie całe życie poświęcił badaniom gwar i folkloru białoruskiego, dla białorutenistyki zrobił bardzo dużo, więcej niż wielu innych, zwłaszcza że był Polakiem z regionu kurpiowskiego. Swoją pracę traktował poważnie, a jego badania gwarowe były bardzo dokładne.

Wdzięcznością za jego duże zasługi byłoby wydanie wspomnianego słownika z połowy XX wieku, ważnego dla kultury materialnej i duchowej Sokólszczyzny. Napisałem o prof. Glince artykuł naukowy, ale warto rozpoznać jego osobę jako wzór prawdziwego naukowca.

Życzę spełnienia planów.



Klatka schodowa Wydziału Filologicznego, PL. NZS-u 1 (dawniej Pl. Uniwersytecki)

Jerzy KOPANIA

JERZY KOPANIA

– prof. dr hab., historyk filozofii, bioetyk, tłumacz, poseł na Sejm I kadencji, nauczyciel akademicki. Studiował w Wyższej Szkole Ekonomicznej w Poznaniu. Na V roku studiów, w wyniku udziału w wydarzeniach Marca 1968 skazany na karę pozbawienia wolności i relegowany z uczelni. W 1972 roku ukończył studia na Wydziale Filozofii Chrześcijańskiej Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, specjalizując się w filozofii i semiotyce. Po studiach zajął się pracą naukową, uzyskał stopień doktora, w roku 1989 doktora habilitowanego w oparciu o rozprawę zatytułowaną *Funkcje poznawcze Descartesa teorii idei*. W 2004 roku otrzymał tytuł profesora nauk humanistycznych.

Był między innymi dziekanem Wydziału Humanistycznego białostockiej Filii Uniwersytetu Warszawskiego. Został kierownikiem Katedry Bioetyki i Antropologii Filozoficznej na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu w Białymstoku. Był też rektorem Wyższej Szkoły Administracji Publicznej w Białymstoku w latach 2007–2012 oraz kierownikiem Katedry Filozofii i Kulturoznawstwa na tej uczelni. Wchodził w skład Komitetu Nauk Filozoficznych PAN. Został też profesorem białostockiego Wydziału Sztuki Łalkarskiej Akademii Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie. Opublikował kilkadziesiąt prac naukowych i artykułów, przełożył także na język polski m.in. dzieła Kartezjusza. W 2008 roku prezydent Lech Kaczyński odznaczył go Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Autor monografii: *Etyczny wymiar cielesności* (Kraków 2002), *Bezsilne piękno rozumu. Szkice filozoficzno-literackie* (Białystok 2002), *Boski sen o stworzeniu świata. Szkice filozoficzno-teologiczne* (Białystok 2003).



JAKBYM TU BYŁ OD ZAWSZE...

Panie Profesorze, swoje życie akademickie związał Pan z Białymstokiem. To był przypadek czy przemyślana strategia na przyszłość?

Prof. Jerzy Kopania:

To zależy. Filozoficznie rzecz ujmując, niektórzy twierdzą, że nie ma przypadku, że wszystko jest znaczące. Jeśli coś uważamy za przypadek, to tylko dlatego, że nie potrafimy uchwycić tego głębokiego, koniecznego powiązania różnych wydarzeń. Na pewno nie przyszedłem tutaj dobrowolnie. W ogóle nigdy wcześniej w Białymstoku nie byłem. Po prostu wyrzucono mnie z poprzedniego miejsca pracy, czyli z Uniwersytetu w Poznaniu. Ale ze względów politycznych nie chciano robić skandalu, pozwolono więc, żebym sobie znalazł inne miejsce pracy. A ponieważ właśnie tutaj prof. Witold Marciszewski tworzył Zakład Filozofii, gdzie był już zatrudniony mój kolega ze studiów, obecnie prof. Kazimierz Trzęsicki, to siłą rzeczy wybrałem Białystok. Kazik polecił mnie prof. Marciszewskiemu, a ten mnie przyjął, jak sądzę, z chęcią. Od 1975 roku jestem więc tutaj jako „element napływowy”, ale tak zakorzeniony, że uważam się za tubylca.

Jak wyglądały te ówczesne „struktury” filozoficzno-logiczne?

Należałoby wyjaśnić, dlaczego właściwie zostałem wyrzucony z Poznania. W tamtejszym Instytucie Filozofii byłem na asystenturze. Moje pierwsze studia to były studia ekonomiczne w Poznaniu. Tam w 1968 roku na fali tzw. wydarzeń marcowych zostałem aresztowany, troszeczkę odsiedziałem i jak już wyszedłem z za krat, to podjąłem drugie studia, te właściwe, filozoficzne, na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Po ich skończeniu jakimś cudem dostałem się w drodze konkursu na asystenturę do Instytutu Filozofii na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu. Wówczas otwierano tam studia filozoficzne i zatrudniono kilku asystentów. Gdyby było tylko jedno miejsce, pewnie bym się nie dostał. Oczywiście nie chwaliłem się tym, że już miałem wcześniej kontakty z Poznaniem, które się tak brutalnie zakończyły. Niestety, wydało się to w 1974 roku. A skoro się wydało, że już stamtąd raz zostałem wyrzucony, to postanowiono mnie wyrzucić po raz drugi. Rzeczą oczywistą było, że gdyby mnie tak bardzo ostro wyrzucono, to ktoś musiałby odpowiedzieć za to, że mnie przyjęto i nie wykazano odpowiedniej czujności. Postanowiono załatwić to delikatnie, tak po cichu, dając mi szansę znalezienia gdzieś pracy. W ten sposób znalazłem się tutaj. Widzę w tym działanie Opatrzności, jakieś powiązanie ze sobą wszystkich zdarzeń.

Jak prof. Marciszewski z Warszawy przyszedł tutaj, organizując nowe struktury filozoficzne w miejsce istniejących tu skostniałych struktur marksistowskich, to pojawiła się szansa zatrudnienia mnie. I jest to bardzo ciekawa historia. Zakład prof. Marciszewskiego liczył sobie razem ze mną wtedy cztery osoby. Z tych czterech osób trzy osoby były po KUL-u, jedna po szkole milicyjnej. Tak trochę żartuję. Chodzi o to, że tą osobą była, niestety nieżyjąca już, moja koleżanka Zinaida Trybulec. Była absolwentką Uniwersytetu Warszawskiego, po filozofii warszawskiej, ale zanim znalazła pracę u prof. Marciszewskiego, miała etap pracy administracyjnej w milicji i tam przechodziła jakieś szkolenia, więc żartowaliśmy sobie: trzech z KUL-u i jedna z milicji. Oczywiście zatrudnienie wymagało zgody ówczesnych władz partyjnych, egzekutywy w Komitecie wojewódzkim, nie pamiętam, jak się to nazywało. Towarzysze mieli poważne zastrzeżenia, czy można jeszcze jednego po KUL-u przyjąć, czy Zakład Filozofii nie będzie za bardzo katolicki. Nie jestem pewien, czy to prawdziwa historia, lecz bardzo prawdopodobna. Mianowicie ówczesny prorektor Uniwersytetu Warszawskiego do spraw Filii w Białymstoku, prof. Andrzej Jezierski (dość osobliwy człowiek, nieżyjący już, mam o nim bardzo dobre zdanie i dobre wspomnienia), który był oczywiście wysoko upartyjniony i był członkiem tejże egzekutywy, powiedział: „Macie rację, towarzysze, nie można tak powiększać tego Zakładu. Stworzymy tam pracownię logiki”. I znalazłem się w tej jednoosobowej pracowni logiki. I tu pojawiło się kolejne działanie Opatrzności, że z tej pracowni logiki potem wyewoluował Zakład Logiki, odrębny, oddzielony od tych, powiedzmy: zasiedziały tutaj, kadr filozoficznych; który to zakład prof. Marciszewski bardzo rozbudował. Zakład się stał później samodzielną, odrębną Katedrą Logiki, Metodologii i Filozofii Nauki. Żartuję sobie, że to właśnie ja stworzyłem miejsce pracy prof. Marciszewskiemu.

Jak się pracowało w Białymstoku? Znalazł się Pan na przeciwległym krańcu Polski, gdzie – jak to się mówiło – po ulicach biegały białe niedźwiedzie...

Przyjechałem tu wtedy po raz pierwszy w życiu. Faktycznie, miałem wyobrażenie, że będę w towarzystwie białych niedźwiedzi i trzeba będzie na ulicach uważać, żeby dziki zwierz nie rozszarpał. Ale było to bardzo przyjemne zaskoczenie. Po pierwsze, atmosfera panowała nieporównanie lepsza niż w Poznaniu. To nie znaczy, że w Poznaniu była zła, ale ludzie są tam bardziej sztywni, tutaj bardziej naturalni, co mi zdecydowanie odpowiadało. Po drugie, przez cały semestr dojeżdżałem z Poznania na zajęcia tutaj. Jak teraz na to patrzę, to tak sobie myślę: „Człowiek wtedy był młody,

więc takie dojeżdżanie nie było problemem”. I teraz muszę przyznać, że nigdy już później nie miałem tyle wolnego czasu, bo przyjeżdżałem raz na dwa tygodnie, przez dwa dni odrabiałem zajęcia, wracałem do Poznania i miałem dziesięć dni wolnych na własną pracę. Potem oczywiście trzeba się było przeprowadzić tutaj i kiedy zamieszkaliśmy z żoną w Domu Asystenta, już tyle wolnego czasu nie miałem. Wokół prof. Marciszewskiego zgromadziła się mała grupka ludzi, którzy współpracowali ze sobą i tworzyli pewien zespół, także towarzyski. Nam ze sobą było dobrze.

Kto był jeszcze w tej drużynie oprócz Pana?

Był prof. Marciszewski, ja, obecny prof. Trzęsicki, nieżyjąca już Zina Trybulec. Potem doszły nowe osoby. Z tych nowych osób do dziś pracuje na Uniwersytecie prof. Halina Świączkowska. Jak już pracowałem tutaj, ona była jeszcze studentką. Potem ten zespół się nie rozrastał, bo Katedra prof. Marciszewskiego zmieniała się w ten sposób, że jego asystenci zdobywali kolejne szlify akademickie i usamodzielniali się. Po zrobieniu doktoratu, potem habilitacji, jako pierwszy otrzymałem swój własny zakład – Zakład Teorii Poznania. To było wpisane w przemiany, które dokonywały się najpierw w samej Filii Uniwersytetu Warszawskiego, potem w nowo powstałym Uniwersytecie w Białymstoku. Nastąpiła zmiana struktur, z Wydziału Humanistycznego najpierw wyłonił się odrębny Wydział Pedagogiki, a potem Wydział Humanistyczny podzielił się na dwa wydziały: Filologiczny i Historyczno-Socjologiczny. I tak zostało do dziś.

Zawsze byłem związany z filologią i nie chciałem przejść, chociaż z racji merytorycznych powinienem, na Wydział Historyczno-Socjologiczny. Nie, żeby miałem coś przeciwko, tylko że bardzo byłem związany z osobami z Wydziału Filologicznego. Mogłem sobie na to pozwolić, miałem już ugruntowaną pozycję formalną, bo w tym czasie przeszedłem różne szczeble kariery administracyjnej. Byłem prodziekanem, najpierw do spraw studenckich, potem do spraw naukowych, dziekanem, zastępcą kierownika Filii, potem prorektorem. Mogłem postawić na swoim, że zostaję z moim Zakładem na Wydziale Filologicznym. Potem profil Zakładu tak się zmienił, że doszło do sytuacji dość osobliwej. Mianowicie Zakład Teorii Poznania, który miał swoją rację bytu na Wydziale Filologicznym, bo teoria poznania może być nauczana wśród filologów, przekształcił się w Zakład, a później Katedrę Bioetyki i Antropologii Filozoficznej – a Katedra Bioetyki na Wydziale Filologicznym to, przyzna Pan, pewna osobliwość. Ale zawsze dobrze mi było na Wydziale Filologicznym i później, kiedy już mogłem sobie swobodnie wybierać zajęcia, większość zajęć miałem na polonistyce, także na rusycystyce. I o wiele lepiej mi się prowadziło zajęcia z filologami,

niż na przykład z historykami czy prawnikami. Jakoś tak bliżej z nimi byłem. Dziś jestem bardzo zadowolony z tego, że mogłem się tak mocno związać z Wydziałem Filologicznym. Bo nigdzie nie znalazłbym tak wdzięcznych słuchaczy, jak właśnie wśród adeptów filologii.

Chciałem zapytać o relacje wykładowca – studenci. Miałem przyjemność uczestniczyć w wykładach Pana Profesora. I pamiętam, że filozofia zawsze była ważnym kontekstem w badaniach literackich.

Znajdowałem wdzięcznych słuchaczy wśród filologów przede wszystkim dlatego, że starałem się przekazać swoje wątpliwości, swoje poszukiwania, swoje problemy badawcze. Na tyle oczywiście, na ile jest to możliwe w przekazie dla studentów, dawałem im właśnie swój warsztat. Kiedy później otworzono na Wydziale Filologicznym studia doktoranckie i tam wykładałem, mogłem to robić na o wiele wyższym poziomie, dając słuchaczom studiów doktoranckich nie tylko filozoficzną wiedzę, ale także ukazując moją drogę dochodzenia do niej. A w wypadku zajęć ze studentami, szczególnie ze studentami filologii polskiej, ważne było to, że oni dobrowolnie przychodzili na moje konwersatoria. Nie dlatego, że musieli, tylko dlatego, że wiedzieli, jak sądzę, iż literatura jest swego rodzaju filozofią. Wprawdzie różni się od filozofii tym, że ma o wiele większy ładunek emocji i uczucia, ale przecież podejmuje te same problemy, które próbuje rozwiązywać filozofia. Stąd też udawało mi się nawiązywać bardzo dobre relacje ze studentami. I to sobie dziś wyjątkowo cenię.

189

A jak się Pan odnalazł w Białymstoku?

Wydaje mi się, że nie musiałem się w tym mieście odnajdywać, bo od początku byłem we własnym środowisku. Proszę zauważyć: nie miałem tu znajomych, rodziny. Ci natomiast, z którymi się zapoznawałem, byli to właśnie ludzie z Uniwersytetu, ludzie z mojego środowiska. Dlatego nie zauważyłem żadnego przejścia. W miasto się z czasem w sposób naturalny wpisałem, i od dawna nie mam poczucia samego siebie jako człowieka, który tu kiedyś przybył. Mam wrażenie, jakbym tu był od zawsze. Oczywiście wiem, że przyszedłem skądinąd, że kiedyś byłem gdzie indziej. Ale to jest odległa historia.

Zapytam jeszcze o dwie kwestie: o wykładowców, którzy wspierali Pana w rozwoju naukowym, i o wybitnych studentów, którzy po ukończeniu studiów rozpoczęli karierę akademicką?

Zacznijmy od tej pierwszej. Jeśli chodzi o pewne wzorce naukowe, z mojej dyscypliny, to oprócz prof. Marciszewskiego tutaj takich wzorców nie mia-

łem. Tu była, powiedzmy sobie szczerze, pustynia filozoficzna. Marciszewski też przecież przyszedł z zewnątrz, nie stąd wyrastał. Kontakty naukowe były zewnętrzne. Prof. Marciszewski te kontakty umożliwiał, otwierał także dla swoich asystentów. Poza tym były także kontakty z moich czasów studenckich, KUL-owskie kontakty, a miało to swoją dobrą stronę, że nikt spośród nas, z tej grupy Marciszewskiego, nie zamykał się we własnych opłótkach, że my byliśmy przez Marciszewskiego, a potem sami z siebie, stymulowani do utrzymywania kontaktów z innymi środowiskami. Z warszawskim przede wszystkim. Potem moje samodzielne kontakty naukowe się rozszerzyły, wyszły zasadniczo poza Warszawę, ale pierwotnie to było poprzez Marciszewskiego w Warszawie. Ważne były również kontakty zagraniczne, popierane przez prof. Marciszewskiego. Chodziło nam o to, by się nie ograniczać tylko do własnego podwórka. To jest niewiarygodne, jakie trzeba było wtedy pokonywać przeszkody, żeby wyjechać gdzieś na konferencję. Widzę teraz młodych ludzi, którzy mają właściwie jeden problem: żeby dostać dofinansowanie. Bo żadnych innych problemów teraz nie ma. A w czasach komuny wszystko było problemem. Dlatego bardzo wiele zawdzięczam prof. Marciszewskiemu. Zarówno w sensie administracyjnym, organizacyjnym, jak i naukowym.

Prof. Marciszewski miał i ma tę bardzo dobrą cechę, że nie narzucał drogi rozwojowej czy wizji pracy naukowej swoim uczniom. Pozwalał się rozwijać w tym kierunku, w jakim dany człowiek czuł, że się rozwijać powinien. Zacząłem od badań w zakresie logiki i lingwistyki formalnej (z tego zakresu zrobiłem doktorat), ale zawsze miałem świadomość, że to tylko mój rozsądek nakazuje mi zajmować się logiką, bo jako logik miałem szansę znaleźć gdzieś pracę. Jako metafizyk w ustroju komunistycznym miałem dość marne perspektywy. Zbyt słaby mam charakter, więc nie stać mnie było na stanowcze postanowienie, by oddać się temu, co w duszy gra. Jednak po zrobieniu doktoratu moja świadomość, że twórczym logikiem to nigdy nie będę, została zaktywizowana, przerodziła się w czyn i – założywszy, że nikt mnie nie wyrzuci z pracy, skoro już tu jestem – postanowiłem zająć się problemami filozoficznymi. Moja habilitacja była filozoficzna i później dalsze prace również ściśle filozoficzne. Ten mój okres romansu z logiką dał mi to, że nabrałem pewnej kultury logicznej w tym, co robię, i w tym, co piszę. I to się jakoś uwidacznia. Cóż, dla mnie to jest ogromna wartość dodana. Ale realizuję się jednak w myśleniu filozoficznym, a nie w tworzeniu systemów logicznych.

A studenci, Panie Profesorze?

Miałem zawsze bardzo dobre kontakty ze studentami. Być może jestem

zarozumiały – nie mnie to oceniać – ale mówię o osobistych odczuciach. Bo dobrze się ze studentami zajęcia prowadziło i dobrze się z nimi rozmawiało. Miałem zawsze chętnych na moje konwersatoria, a to już, obiektywnie, o czymś świadczy. Przychodzili i byli zainteresowani. Co ponadto? Sporo magistrów wypromowałem, gdyż prowadziłem przez wiele lat seminarium magisterskie. I cieszę się dziś, że jako prowadzący nigdy nie narzucałem tematów. Oczywiście moją rolą było, żeby studentom pomagać, zdarzało mi się odrzucać propozycje tematów, ale nie miałem tendencji do narzucania czegokolwiek. Cóż, nie miałem żadnego studenta, którego bym wyprowadził na naukowca. Dopiero w krótkim czasie prowadzenia przeze mnie studiów filozoficznych w Wyższej Szkole Administracji Publicznej miałem szczęście znaleźć studenta, którego naprowadziłem na drogę naukową. Ale to jedyny przypadek i nic w tym dziwnego – proszę zważyć, że przecież zajmowałem się filozofią na wydziale niefilozoficznym. Nie było wówczas studiów filozoficznych, więc ci filologowie, którzy mieli skłonności naukowe, którzy chcieli robić karierę naukową, oni pisali magisteria, doktoraty pod kierunkiem kogoś innego, jakiegoś filologa. To w pełni zrozumiałe. Tak się zastanawiam, czy ja tym ludziom, którzy mieli inklinacje naukowe, coś dałem. Myślę, że tak, bo proszę zauważyć, jeżeli pojawiali się na filologii studenci, którzy mieli zdolności i upodobanie do pracy naukowej, to zdarzali się wśród nich tacy, którzy utrzymywali kontakty z katedrą prof. Marciszewskiego. Tutaj wymieniłbym prof. Halinę Święczkowską, która przecież ukończyła studia polonistyczne, ale poświęciła się już filozofii języka. Do dziś jest czynną badaczką właśnie w tym zakresie, jedną ze znaczących osób w Polsce, jeśli chodzi o badania z zakresu filozofii języka, szczególnie filozofii języka w odniesieniu historycznym. Dla niej mistrzem też był prof. Marciszewski.

Jeden przypadek był przypadkiem szczególnym. Mianowicie pozostawałem w dość bliskich kontaktach z ówczesnym studentem, niestety nieżyjącym już, który stał się znanym poetą białostockim – z Wiesławem Szymańskim. Zastanawiał się on i dyskutował o tym ze mną (być może mało kto o tym wie), czy nie powinien poświęcić się badaniom nad logiką. Jak żeśmy sobie o tym rozmawiali, okazało się, że plany były dość płonne i później jemu to dość szybko przeszło. Ostatecznie Wiesław Szymański nie zaczął kariery naukowej, bo stał się radiowcem. I potem okazało się, że jego powołanie poetyckie jest bardzo silne. Mam osobisty stosunek do jego poezji.

Czy prowadząc konwersatoria i wykłady musiał Pan upraszczać tematy, tak by zrozumieli je studenci-niefilozofowie? A może stawiał Pan sobie i im ambitne zadania?

Na pewno dla studentów filozofii musiałbym to robić inaczej. Jeśli natomiast chodzi o studentów filologii, głównie filologii polskiej, lecz także studentów filologii rosyjskiej, prowadziłem zajęcia podchodząc do tego bardziej literacko. Miałem dobrą sytuację, bo mogłem na zajęciach mówić swobodnie, realizować siebie, nie nastawiać się tylko na to, co należy przekazać studentom zgodnie z programem.

Pamiętam Pana wykłady o Kartezjuszu...

Między innymi, bo Kartezjusz – najbardziej mi bliski intelektualnie i osobowościowo filozof – też może być pokazywany jako postać wręcz literacka. Ale mnie się tak dobrze gadało, że potem, jak chciałem to systematycznie opracować, opisać, to nie potrafiłem tego zrobić. Wtedy brałem następane konwersatorium. I znowu dobrze mi się gadało, czy to o Kartezjuszu, czy o filozoficzno-literackich rozumieniach duszy... Te konwersatoria były rozmaite, one były raczej, powiedzmy, taką rozmową ze studentami. Na pewno nigdy nie były ścisłym przekazywaniem wiedzy systematycznej. Czy to dobrze, czy źle? Nie wiem. Ponieważ 99% zajęć na uniwersytecie polega na przekazywaniu wiedzy, to może ten 1% swobodnej rozmowy stanowi jakąś wartość? Jeśli chodzi o kontakty ze studentami, najwspanialsze było to, co znajdowałem na mój temat w Internecie. Bo później był ten czas, kiedy studenci zaczęli umieszczać na stronach internetowych oceny wykładowców. I znajdowałem tam bardzo pozytywne opinie. Negatywne wpisy w Internecie to miałem, owszem, ale później, jak dziennikarze mnie pytali o różne rzeczy w ramach mojej działalności politycznej. A studenci komentowali w ten sposób: fajnie, dobrze, ciekawe było, to mnie zainteresowało, powinien może zrobić jeszcze coś więcej. A teraz, jak widzę, już to chyba zniknęło, bo nie komentuje się wykładowców. I nie ma tamtej dawnej atmosfery studiów. Przyznam szczerze, że z tych studenckich uwag i rad korzystałem; dwie moje książeczki powstały na motywach podejmowanych przeze mnie na konwersatoriach i studentom w nich za to dziękuję. Niektóre z moich późniejszych artykułów powstawały w dyskusjach ze słuchaczami studium doktoranckiego, co również z podziękowaniem odnotowywałem.

Gdyby Pan zrobił coś w rodzaju rysu historycznego po '68 roku: Studium Nauczycielskie, później Filia Uniwersytetu Warszawskiego i następnie samodzielna uczelnia. Na przestrzeni lat widać progres, tzn. Białystok i środowisko humanistyczne dynamicznie rozwijało się. Ten '97 rok, powstanie samodzielnej uczelni, to był też bardzo ważny krok, także dla Białegostoku. Jak Pan Profesor to wszystko ocenia? Czy tempo zmian było zbyt wolne, zbyt szybkie, a może właściwe?

To jest bardzo trudne pytanie. Nie potrafię tego obiektywnie ocenić. Co więcej, trudno mi się wypowiadać na ten temat, ponieważ ma to być wywiad do książki jubileuszowej, pamiątkowej, więc o pewnych rzeczach nie wypada mówić. Ale powiem coś takiego. Patrząc teraz z perspektywy dłuższego czasu i, co ważne, mając pewien udział w powstaniu tutaj samodzielnego uniwersytetu, to nie powiem wprawdzie, jakobym był przekonany, że źle się stało, ale mam coraz więcej wątpliwości, czy stało się dobrze. W jakim sensie? Ano w takim, że jak sobie porównuję dawną Filię Uniwersytetu Warszawskiego z obecnym Uniwersytetem w Białymstoku, to Filia Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku była bardziej uniwersytecka, niż Uniwersytet w Białymstoku. Dlaczego?

Po pierwsze, dlatego, że Uniwersytet Warszawski był pewnym wzorcem. Byliśmy jednak pracownikami Uniwersytetu Warszawskiego i to do czegoś zobowiązywało. Kiedy powstał samodzielny Uniwersytet, to (mówiąc delikatnie) zbyt wiele głosów, postaw i kompleksów się ujawniło takich nieco zaściankowych, które poprzednio były przytłumione, bo zdawano sobie sprawę, że nie da się przekrzyczeć głosów warszawskich. Mówię to nie w sensie dosłownym, tylko przenośnym.

Po drugie, Filia była mniejsza, a więc bardziej ludzi integrowała. Bardziej mieliśmy wtedy do czynienia ze środowiskiem naukowym niż teraz. Teraz mogę wskazywać pewne znaczące, nawet wybitne, osoby mające duże osiągnięcia naukowe, ale trudno by mi było wskazać środowisko. I to jest różnica. Zastrzegam się – może być tak, że ponieważ tyle czasu już upłynęło od początku mojej pracy tutaj, to zbyt idealizuję przeszłość. Zresztą, wydaje się paradoksalne, iż po transformacji ustrojowej etos akademicki drastycznie się pogorszył w całym kraju.

Pamięta Pan swoje rozmowy, spotkania z warszawskimi profesorami, którzy przyjeżdżali do Białegostoku „na zesłanie”?

Nie tylko „na zesłanie”, gdyż wielu przyjeżdżało z własnej woli. To kursowanie między Warszawą a Białymstokiem było w obie strony, bo z Warszawy przyjeżdżali tutaj wykładowcy, ale przecież pracownicy zamieszkali w Białymstoku jeździli do Warszawy na różnego rodzaju spotkania. Był taki żartobliwy pomysł, że gdyby przenieść Filię Uniwersytetu Warszawskiego do Małkini, to by było po równo w obie strony i nie byłoby poszkodowanych. Trzeba przyznać, że do Białegostoku dojeżdżali ludzie, którzy stanowili pewne wzorce. Wymienię historyków: prof. Andrzeja Wyrobisza, prof. Ewę Wipszycką, prof. Elżbietę Kaczyńską, prof. Andrzeja Wyczańskiego, a spoza Warszawy prof. Stanisława Alexandrowicza. Swoisty ferment wnosił literaturoznawca prof. Andrzej Makowiecki, odrębna, z nikim nieporównywalna

postać. Z filologów „z zewnątrz”, którzy wywierali wpływ porównywalny z wpływem historyków, stanowiąc swoiste wzorce pracownika naukowego, chciałbym wymienić prof. Elżbietę Feliksiak, prof. Mariana Jurkowskiego, prof. Helenę Karwacką, prof. Barbarę Falińską. Z dwojgiem pierwszych łączyły mnie bardziej osobiste kontakty. Wielu natomiast było ludzi młodych: asystentów, adiunktów, którzy przyjeżdżali tutaj i którzy z jednej strony byli kolegami, ale z drugiej byli ludźmi obytymi w świecie i mogącymi stanowić pewne wzorce. Wymienię śp. Stefana Mellera, potem Adama Manikowskiego, Jana Kofmana, Daniela Grinberga, Lecha Mroza. Niektórzy z nich nadal są czynni naukowo, bo to moi rówieśnicy. Jedni, ci starsi profesorowie, tworzyli poziom, z którego nie należało schodzić. Drudzy natomiast tworzyli środowisko, bliskie mi środowisko, w którym się dobrze czułem i w którym mogłem się realizować, także pozanaukowo.

Wspominał Pan o sytuacji, gdy zajmował funkcje kierownicze jako prorektor, dziekan, prodziekan. Czy miał Pan jakąś misję, jakieś cele do zrealizowania?

„Misja”, „cele” – to za wielkie słowa. Humanistykę w Białymstoku, w sensie formalno-organizacyjnym, tworzył prof. Andrzej Wyrobisz. Mówię to z pełną odpowiedzialnością: bez tego człowieka nie byłoby białostockiej humanistyki. Dlatego jest coś żenującego i przykrego, że Uniwersytet nie dał mu doktoratu honorowego. Niewielu zasłużyło się dla humanistyki w Białymstoku tak bardzo, jak właśnie on. I myślę, że gdyby to była nadal Filia Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku, to nie byłoby żadnego problemu z nadaniem mu tytułu doctor honoris causa. Właśnie prof. Wyrobisz jako dziekan, jeszcze kiedy byłem tylko doktorem, zaproponował mi, żebym został prodziekanem do spraw studenckich. No i zostałem. Potem byłem prodziekanem do spraw naukowych. Te funkcje administracyjne na Uczelni dało się dobrze pogodzić z pracą naukową. To późniejsze wydarzenia sprawiły, że mogę odczuwać pewien dyskomfort psychiczny, że jednak zbyt dużo czasu zmarnowałem. Zmarnowałem w sensie naukowym. To były te czasy, kiedy nastąpiła Solidarność, kiedy się trzeba było jakoś włączyć w to wszystko, zaangażować w jakiejś mierze, na tyle, na ile własny charakter pozwalał, na ile człowiek potrafił przełamać swój lęk przed represjami. Dopiero potem, po transformacji ustrojowej, pojawiło się poczucie misji, o której Pan mówi. Dopiero wtedy, gdy włączyłem się w działalność polityczną, gdy zacząłem tworzyć struktury jednej z partii. I doszedłem do tego, że zacząłem tą regionalną strukturą partyjną tutaj kierować. Potem zostałem posłem, byłem też radnym sejmiku wojewódzkiego. To na pewno negatywnie wpłynęło na pracę naukową. Zabierało czas. Ale na szczęście

nie zabrało całkowicie, bo kiedy było już mnóstwo chętnych do działalności politycznej, mogłem z tego zrezygnować.

Mogę powiedzieć, że w polityce sprawdziłem się – to znaczy: sprawdziłem się, okazało się, że się nie nadaję, więc zrezygnowałem. I bardzo sobie to cenię, bo inni się sprawdzają, nie nadają się, a są nadal. Na tym polegała moja wyższość. Poza tym w środowisko białostockie, w Białystok jako miasto, jako pewną społeczność wpisałem się dopiero wtedy, kiedy zacząłem działalność polityczną. Wtedy już nie mogłem się zamykać we własnym środowisku zawodowym, gdyż trzeba było być wśród ludzi.

Panie Profesorze, chciałbym zapytać o przyszłość białostockiej humanistyki. Teraz podejmowane są intensywne działania zmierzające do tego, by przywrócić właściwy status filozofii na uniwersytecie. Czy będą one skuteczne?

Pan pyta o przyszłość humanistyki w sytuacji, kiedy nam się cywilizacja wali. Żyjemy w czasach kryzysu cywilizacji. Jest to kryzys wartości, a zarazem kryzys demograficzny, biologiczny. Nasza cywilizacja nigdy nie przeżywała naraz dwu kryzysów. Przeżywała nie raz kryzys wartości i wychodziła z tego. Przeżywała nie raz kryzys biologiczny i też z tego wychodziła. Teraz mamy do czynienia z zupełnie inną sytuacją. Nic więc dziwnego, że humanistyka jako humanistyka uczelniana, akademicka, uniwersytecka nie jest w ogóle zdolna do podjęcia wyzwań, jakie przed naszą cywilizacją stoją. To, czy w Białymstoku będzie filozofia, czy nie będzie, na jakim poziomie w Białymstoku będzie filologia polska, na jakim poziomie historia, jak będą się rozwijały nauki prawne czy ekonomiczne, nie ma w tym aspekcie żadnego znaczenia. Bo żadna z tych dziedzin nie ma wpływu na to, w jakim kierunku pójdzie nasza cywilizacja. Cóż, jeśli chodzi o humanistykę w Białymstoku, to można wskazać ludzi na bardzo wysokim poziomie, ale nie można mówić o środowisku, bo nie wystarczy, że jest iluś polonistów, historyków, kulturoznawców itd. Są to ludzie zajmujący się określoną problematyką, ale żeby tacy ludzie tworzyli środowisko, muszą być spojeni wspólną ideą, dążyć do niej i realizować wspólny cel. A tego nie ma. Co więcej, nie jest możliwe, aby coś takiego zaistniało. Nie tylko w Białymstoku – na żadnym polskim uniwersytecie i w ogóle na żadnym europejskim uniwersytecie nie jest to możliwe.

Dlaczego?

Za każdym razem, kiedy w naszej cywilizacji pojawiały się oznaki kryzysu i kiedy kryzys narastał, to ci, dzięki którym nasza cywilizacja z tego kryzysu wyszła, byli zawsze spoza oficjalnych struktur. I jeżeli, co daj Boże, pojawią

się ludzie, którzy staną się wzorcami, przewodnikami naszej cywilizacji na drodze wychodzenia z kryzysu, to nie będą oni pochodzić ze środowisk akademickich; być może któryś z nich będzie rzeczywistym filozofem, ale na pewno nie będzie profesorem filozofii. Jednak nie ma we mnie nadziei, że tacy ludzie się pojawiają. Już chyba za późno, kryzys zaszedł za daleko.

Czego Panu osobiście życzyć? Spokojnej pracy, odpoczynku?

Mówi Pan o pracy i o odpoczynku? Przyznam, że w swoim życiu niewiele pracowałem. Bo co to jest praca? Praca to jest wszystko to, co nie jest przyjemnością. Jak coś jest przyjemnością, to nie jest pracą. A prawie wszystko, co robiłem, robiłem z przyjemnością. I nie wyobrażam sobie, że mógłbym być pozbawiony tej przyjemności. Kiedyś to oczywiście nastąpi i wtedy będzie to prawdziwy koniec. Na razie jeszcze doznaję przyjemności działania naukowego, a jeśli chodzi o przyjemność nauczania, to już nie na Uniwersytecie, tylko w Akademii Teatralnej. Pracowałem tam równoległe od ponad 30 lat. Ale to jest jednak odrębny temat, jako że chodzi o inny rodzaj studentów, którzy w pewnym aspekcie dają mi więcej, niż studenci uniwersyteccy. To jest inny rodzaj ludzi. To jest innego rodzaju wyzwanie. To jest przekazywanie problematyki filozoficznej – która z natury rzeczy jest pojęciowa – ludziom myślącym bardziej obrazami, niż pojęciami. I to jest piękne, wspaniałe. Wtedy, kiedy jeszcze pracowałem na Uniwersytecie, to te dwa nurty dydaktyczne jakoś mnie dopełniały. Myślę, że jeśli studenci uniwersyteccy mieli jakieś pozytywne wrażenia z moich zajęć, to w dużej mierze dzięki temu, że pewne doświadczenia z Akademii Teatralnej przenośiłem na Uniwersytet.

I wyznam coś na zakończenie. Ze strony Akademii Teatralnej nigdy żadna mnie nie spotkała przykrość; a w morzu dobra, które otrzymałem od Uniwersytetu, są krople goryczy. Ale gdyby mnie cofnięto w czasie i dano możliwość wyboru jakiejś innej uczelni, to bez wahania znów wybrałbym ową Filię, która stała się moim Uniwersytetem.

Serdecznie dziękuję za rozmowę.

Wejście do gmachu Uniwersytetu
w Białymstoku, dawniej KW PZPR
(obecnie Pl. NZS-u 1)



Mikołaj KRUK

– dr, rusycysta, starszy wykładowca UwB, ur. 20 grudnia 1949. Wyższe studia zawodowe w zakresie filologii rosyjskiej: WSN w Białymstoku w 1971 roku. Studia magisterskie w zakresie filologii rosyjskiej: WSP w Rzeszowie w 1975 roku. Studia doktorskie: Woroneż (Rosja), obrona pracy doktorskiej w Moskwie w 1983 roku. Nauczyciel w szkole podstawowej 1971/72, nauczyciel w szkole średniej 1972–1977, studia doktorskie, naucz szk. śred. 1981/82.

W 1982 roku rozpoczął pracę Zakładzie Filologii Rosyjskiej w ówczesnej Filii UW na stanowisku st. asystenta, przez kilka lat był na stanowisku adiunkta, potem przeniesiony na stanowisko st. wykładowcy i był na tym stanowisku do 2015 roku, do czasu przejścia na emeryturę. W latach 1996–1999 pełnił funkcję zastępcy dyrektora Instytutu Filologii Wschodniosłowiańskiej. Był członkiem ZNP, przez kilka ostatnich lat pracy członkiem Zarządu Uczelnianego pracowników UwB. Członek stowarzyszeń naukowych: PTB i PTR.

Opublikował 45 artykułów w czasopismach naukowych, w wydawnictwach uczelnianych w Białymstoku, Zielonej Górze, Lublinie, a także zbiorach materiałów pokonferencyjnych. Brał udział w konferencjach naukowych w Moskwie, Budapeszcie, Grodnie, Brześciu, Wilnie, Lepai. Artykuły i wystąpienia na konferencjach dotyczyły rosyjskiej literatury przełomu XIX i XX wieku oraz kultury mniejszości białoruskiej w Polsce. Autor między innymi następujących rozpraw: *Białorutenika białostockie w latach 1998–1999*; *Anegdota i dowcip w procesie nauczania języka obcego*; *Język rosyjski we współczesnej Europie*; *Listy satyryczne Arkadiusza Awierczenki* (1999).



OKIEM RUSYCYSTY

Panie Doktorze, Pana kontakt z białostocką filologią rozpoczął się od nauki w Wyższej Szkole Nauczycielskiej ...

Dr Mikołaj Kruk:

Zacząłem studiować filologię rosyjską w Białymstoku w 1968 roku. To był pierwszy rocznik Wyższej Szkoły Nauczycielskiej. Starłem się dostać na geografię do Warszawy, ale niestety było 10 kandydatów na jedno miejsce. Miałem z rosyjskiego piątkę w szkole średniej, dlatego postanowiłem spróbować na tym kierunku. Dostałem się i ukończyłem WSN jako jeden z pierwszych absolwentów. Dostawałem stypendium fundowane płacone przez Urząd Powiatowy dla tych, którzy podpiszą umowę, że po ukończeniu studiów podejmą wskazaną pracę. Rozpocząłem pracę na wsi w klasach I – IV, uczyłem tam wszystkich przedmiotów. Pracowałem rok. Przyjechał do mnie kiedyś na kontrolę inspektor z kuratorium i stwierdził, że mam problemy z pracą w klasach łączonych. Pomógł mi przejść do szkoły, gdzie są przedmioty dla mnie, zgodne z moim wykształceniem. Zacząłem pracę w Zespole Szkół Zawodowych w Michałowie, gdzie była szkoła zawodowa i technikum. Z tą młodzieżą było znacznie trudniej pracować, szczególnie w zawodówce, gdzie niektórzy chłopcy byli wyżsi ode mnie. Po kilku latach dostałem się na dwuletnie zaoczne studia magisterskie na filologii rosyjskiej w Rzeszowie. Po ukończeniu tych studiów dowiedziałem się, że moja praca magisterska brała udział w konkursie i otrzymała stypendium wyjazdowe do Związku Radzieckiego. Praca dotyczyła rosyjskiej literatury lat 20. i 30. XX wieku, a jej promotorem był prof. M. Kuplowski. Byłem tym zaskoczony, ponieważ promotor skierował moją pracę na konkurs, nie informując mnie o tym.

Wyjazd za granicę musiał być ekscytujący...

Początkowo nie wiedziałem, co robić, czy skorzystać z tej szansy, czy zrezygnować. Byłem wówczas świeżo po ślubie, a trzeba było zostawić młodą żonę na trzy lata. Oboje postanowiliśmy, że jednak pojedą. Niestety, sam nie decydowałem, dokąd pojedą. Ostatecznie dostałem skierowanie do dalekiego Woroneża. Jest to miasto, które znajduje się wiele setek kilometrów na południe od Moskwy. O Białymstoku prawie nic w nim nie słyszeli. Wkrótce się okazało, że i w Woroneżu mieszkają potomkowie Polaków. Na szczęście dosyć szybko w tym nowym środowisku się zaklimatyzowałem, między innymi dzięki mojemu promotorowi doc. W. Skobielewowi, z którym bardzo się zaprzyjaźniłem. Był on żywym przykładem tego, jak biurokracja i polityka w ówczesnym Związku Radzieckim nie pozwalały

zdolnym ludziom wspinać się po szczeblach kariery naukowej. W. Skobielew napisał kilka dobrych książek teoretyczno-literackich, jednak, ze względów politycznych, przez wiele lat nie chciano go przenieść na stanowisko profesora. Po powrocie do domu w 1982 roku dostałem się do pracy na Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku na stanowisku starszego asystenta. W 1983 roku w Moskwie obroniłem pracę doktorską. Tematem mojego doktoratu była ewolucja gatunkowa w twórczości mało znanego pisarza A. Małyszkińa oraz oficjalnie hołubionego pisarza A. Fadiejewa. Początkowo praca naukowa na białostockiej uczelni szła mi dobrze, ale pojawiły się problemy zdrowotne i rodzinne. Przerwałem pracę nad habilitacją i poprosiłem o przeniesienie na stanowisko starszego wykładowcy. Rektor zgodził się, chociaż niechętnie. Na tym stanowisku pracowałem do emerytury, do 2015 roku. I mimo że tak się wszystko potoczyło, nie żałuję, że zająłem się nauką i 33 lata pracowałem ze studentami.

Jak się w tamtych czasach pracowało?

Różne były okresy, to zależało od ogólnej atmosfery. Do pracy na uczelni przyszedłem zaraz po wydarzeniach związanych z powstaniem „Solidarności”. Wydział Humanistyczny mieścił się wówczas przy ulicy Świerkowej. Było tam przytulnie i rodzinnie, przebywaliśmy na przerwach w jednym pokoju, nie było podziałów, były wspólne rozmowy i dyskusje, wspólna kawa i herbata. Dobrze wspominam tamte czasy, kierownictwo było bardzo solidne i wymagające, najpierw warszawskie, później białostockie. W pracy dydaktycznej korzystaliśmy też z pomocy profesorów zza wschodniej granicy, co niewątpliwie wzmacniało naszą jednostkę pod względem kadrowym. Przez jedną kadencję pełniłem funkcję zastępcy dyrektora Instytutu. Razem z drugim zastępcą prof. Leonardą Dacewicz i Dyrektorem prof. Janem F. Nosowiczem tworzyliśmy zgrany zespół.

Jakie przedmioty Pan prowadził? Były one zgodne z Pana zainteresowaniami badawczymi?

Z zainteresowaniami badawczymi niekoniecznie, nie byłem językoznawcą, interesowałem się głównie historią literatury. Prowadziłem wykłady i ćwiczenia z historii literatury rosyjskiej XX wieku. Dyrekcja zlecała jednak młodemu pracownikom prowadzenie praktycznej nauki języka rosyjskiego, później kulturoznawstwa. Wprawdzie polubiłem te zajęcia, ale musiałem dosyć dużo czasu poświęcać na przygotowanie się do ich prowadzenia.

Czy studenci interesowali się zajęciami?

Jak zawsze byli różni studenci. Niektórzy byli bardzo zainteresowani, wręcz

zafascynowani nauką języka, inni z kolei znaleźli się na tym kierunku przypadkowo i już na pierwszym roku odchodzili, gdyż okazywało się, że, wbrew powszechnemu przekonaniu, nie jest to wcale taki łatwy język. Były duże problemy z gramatyką, z wymową, a z literatury trzeba było przeczytać sporo książek.

Miał pan swoich ulubionych studentów, magistrantów; ludzi, których Pan dziś szczególnie pamięta? Może udało im się zrobić karierę w nauce?

Nazwiska niektórych studentów, a zwłaszcza magistrantów, pamiętam do dziś. Na studiach zaocznych studiowało u nas kilku policjantów, był też ksiądz prawosławny z małżonką, która pisała u mnie pracę magisterską. Wielu studentów równoległe z naszym studiowało inny kierunek, aby mieć przed sobą szersze możliwości zatrudnienia. Najlepsi nasi absolwenci zostawali też na uczelni i wspinali po szczeblach kariery naukowej do profesora uczelnianego włącznie, na przykład Walentyna Jakimiuk-Sawczyńska czy Lilia Citko. Ta ostatnia pełniła też funkcję prodziekana Wydziału Filologicznego. Niestety, większość absolwentów naszego kierunku nie pracuje zgodnie ze swoim wykształceniem. Mimo wszystko, spotykani absolwenci wspominają studia z sentymentem.

Czy zapamiętał Pan zabawne sytuacje, anegdoty z wykładów lub ćwiczeń?

Pamiętam, że studenci na egzaminie pisemnym w dosyć dużej sali, gdzie ławki są otwarte, próbowali ściągać. Miałem w takich praktykach doświadczenie wyniesione ze szkoły, bo pracowałem jako nauczyciel. Sam zresztą na studiach ściągałem, więc znałem te wszystkie sztuczki. Panie wykorzystywały długie włosy, torebki, którymi zakrywały kartki ze ściągami. Były także odpowiednie bluzki, pończochy. Cóż, cechowała mnie wyrozumiałość, więc nikogo nigdy nie wygoniłem z egzaminu, jedynie konfiskowałem ściągę. Studenci często mieli dobrze przygotowane ściągę. Doceniałem to na swój sposób, bo student musiał długo siedzieć nad ściągą i w trakcie przepisywania materiału na pewno się czegoś nauczył.

A współpraca z innymi wykładowcami? Jak wyglądały relacje między wami?

Jak już wcześniej wspominałem, na ulicy Świerkowej wszyscy byliśmy w jednym pokoju, a po przejściu do budynku na Placu Uniwersyteckim każdy Zakład otrzymał własny pokój. Byłem w Zakładzie Współczesnej Literatury Rosyjskiej razem z prof. Wandą Supą, kierownikiem Zakładu i kilkoma młodymi asystentkami, naszymi absolwentkami.

Dziś bardzo ciepło i z sentymentem wspominam nauczyciela języka rosyjskiego ze szkoły średniej. W WSN tenże profesor z liceum prowadził ze

mną zajęcia z poetyki, a kiedy przyszedłem w latach osiemdziesiątych do pracy na Filii UW w Białymstoku, stał się moim kolegą, współpracownikiem i doradcą w sprawach naukowych. Utrzymywałem z nim bardzo dobre kontakty. Był to prof. Jan Czykwina. W naszym środowisku nie było poważnych konfliktów, pomagaliśmy sobie wzajemnie, pożyczaliśmy książki. Wszystkich, z którymi pracowałem, wspominam dobrze. Większość wykładowców to byli ludzie, którym zależało na rozwoju naszej jednostki. I dyrektorzy Instytutu zawsze starali się utrzymywać poziom i odpowiednią liczbę wykładowców z tytułami. Bardzo dużo zrobił dla nas prof. Jan F. Nosowicz, który będąc Dyrektorem, sprowadził z Rosji i Białorusi kilku znanych językoznawców.

Jak Pan wspomina przekształcenie się Filii UW w samodzielną uczelnię?

To, że staliśmy się Uniwersytetem, w zasadniczy sposób nie wpłynęło od razu na funkcjonowanie naszego Instytutu. Było to prawie niezauważalne. Ale wymagania były coraz większe, szczególnie naukowe. Należało szybciej robić stopnie naukowe, aby osiągnąć status jednostki uniwersyteckiej. Naciski były wyraźne. Jeśli chodzi o mnie, to niestety nie zdobyłem tytułu profesora, zatrzymałem się na etapie doktora nauk humanistycznych. Gdybym zrobił habilitację, mógłbym pracować do 70 roku życia, a tak musiałem odejść na emeryturę.

Ważną zmianą było przekształcenie Zakładu Filologii Rosyjskiej w Instytut Filologii Wschodniosłowiańskiej. Mieliśmy ambicję utworzenia oprócz filologii rosyjskiej także białoruskiej i ukraińskiej, ale udało się utworzyć tylko białoruską. Niestety, z każdym rokiem coraz mniej było kandydatów i kierunek ten upadł. Kadra dydaktyczno-naukowa była dobra. Oprócz miejscowych profesorów M. Kondratiuka i J. Czykwina oraz prof. H. Twaranowicz z Mińska kilku samodzielnych pracowników dojeżdżało z Grodna i Brześćcia. Wśród młodych pracowników dominowali miejscowi absolwenci. Była wśród nich chęć i energia do pracy, ale zabrakło kandydatów na studentów.

Jak wyjaśnić, Panie Doktorze, ten fenomen? Uniwersytet leży w takim miejscu, że powinien promieniować intelektualnie na wschód i ściągać studentów, a tutaj nie było żadnego zainteresowania?

Nie jestem kompetentny, abym mógł powiedzieć, dlaczego tak się stało. Myślę, że jedną z przyczyn tego było zbyt małe zapotrzebowanie w naszym kraju na ludzi dobrze znających język białoruski. Być może nasze władze uczelniane i polityczne niedostatecznie wsparły też ideę utworzenia właśnie w Białymstoku Ośrodka Studiów Wschodnich. Wtedy i rola języka białoruskiego znacznie by wzrosła.

Co zrobić, by zmienić stan rzeczy?

Na pewno nasze władze wiedzą o tym, że można łączyć różne specjalizacje i filologia rosyjska u nas już od dawna to praktykuje. Do najbardziej udanych było połączenie filologii rosyjskiej z rozszerzoną nauką języka angielskiego. Było bardzo dużo praktycznej nauki języka angielskiego, natomiast mniej przedmiotów szczegółowych. Nasi absolwenci mogli uczyć angielskiego w szkole na poziomie podstawowym. Była też próba połączenia kierunku z językiem białoruskim, ale efekty były opłakane. Często trudno było rozróżnić, czy absolwenci mówią po rosyjsku, czy po białorusku. Oni mieszały te języki i powstawał galimatias. Mieli też problemy z pisownią. Różnice między tymi językami są duże, chociaż są to języki słowiańskie i bardzo podobne. Właśnie to podobieństwo było przyczyną trudności. Co innego język niemiecki czy angielski i rosyjski. Kolejny pomysł to specjalizacja translatorska, jednak w tym przypadku problemem był brak specjalistów w tej dziedzinie. Wreszcie specjalizacja język biznesu była bardzo na czasie. Z organizacją zajęć w tym zakresie nie było większych problemów. Wkrótce jednak okazało się że w naszym regionie zapotrzebowanie na tego typu absolwentów jest niewielkie. Wiem, że Dyrekcja Instytutu ma jeszcze inne pomysły, mogę tylko życzyć, aby były zrealizowane.

Jakie plany ma Pan na najbliższą przyszłość?

Nie mam jasno sprecyzowanych planów. Na razie nie zająłem się niczym dodatkowym. Myślę o uczestnictwie w konferencjach naukowych na własny koszt, bo chciałbym utrzymać kontakt ze środowiskiem. Ponadto mam w domu duży zbiór książek z literatury rosyjskiej, więc myślę, co z tym zrobić.

Czego Panu życzyć?

Przede wszystkim zdrowia. Jak jest zdrowie, to wówczas można jeszcze planować i marzyć. Mam już wnuczkę. Dla niej muszę poświęcić część swojego czasu. Moja córka i syn, chociaż są już dorośli, też potrzebują pomocy.

Dziękuję za rozmowę.



Akademiki Uniwersytetu w Białymstoku przy ul. S. Żeromskiego

Halina

KRUKOWSKA

HALINA KRUKOWSKA

– dr hab., profesor senior Uniwersytetu w Białymstoku, badaczka romantyzmu, eseistka, stały współpracownik Katedry Badań Filologicznych „Wschód – Zachód” na Wydziale Filologicznym UwB. Autorka monografii: *Noc romantyczna (Mickiewicz, Malczewski, Goszczyński). Interpretacje* (Białystok 1985, wyd. 2: Gdańsk 2011) oraz prac poświęconych nocnej, ciemnej stronie wyobraźni romantycznej: *Noc Fausta, noc Konrada–Szkoła ukraińska w poezji romantycznej*, a także studiów nad „poezją czystą” w poezji polskiej („*Pan Tadeusz*” jako *poezja czysta*). Inicjator i pierwsza redaktorka Naukowej Serii Wydawniczej „Czarny Romantyzm”. Założycielka oraz wieloletni kierownik Zakładu Literatury Oświecenia i Romantyzmu w Instytucie Filologii Polskiej UwB. Autorka licznych studiów o literaturze polskiej od XVIII do XX wieku, w tym: *Tragizm, heroizm, groza* (2005), *Starość i miłość* (2008), „*Genesis z Ducha*”, czyli *Juliusza Słowackiego medytacje o stworzeniu* (2015), *Konstrukcja, ład, hierarchia. Estetyka klasycyzmu polskiego w początkach XIX wieku* (2016), *Z ducha judaizmu: Simone Weil i Edyta Stein* (2016). W serii czarnorodantycznej wydała z własnym wstępem *Zamek kaniowski* Seweryna Goszczyńskiego (1994 i 2002) oraz *Marię* Antoniego Malczewskiego (1995 i 2002). Opracowała wstęp „*Lesław. Szkic fantastyczny*” Romana Żmorskiego, czyli o *przekraczaniu tabu śmierci*, który otwiera pierwsze krytyczne wydanie tego romantycznego utworu (Białystok 2014). Organizatorka licznych konferencji naukowych. Ostatnio wydała monografię „*Pan Tadeusz*” jako *poezja czysta. Studia i szkice o Mickiewiczu*, Białystok 2016. Mieszka w Wasilkowie. Lubi poezję, muzykę klasyczną oraz tango, naturę i kino.

20 grudnia 2017 (wręczenie: 11 kwietnia 2018 roku) uhonorowana godnością *Doctora Honoris Causa* Uniwersytetu w Białymstoku.



Z MICKIEWICZOWSKIEGO DUCHA

Pani Profesor, znalazłem informację, że swoją karierę zawodową związała Pani w 1969 roku z Wyższą Szkołą Nauczycielską w Białymstoku, na fundamencie której stworzono Filię Uniwersytetu Warszawskiego, a w 1997 roku powołano samodzielny Uniwersytet w Białymstoku. Pani Profesor jest związana z wymienionymi instytucjami od początku i pamięta zamierchłe czasy funkcjonowania Filii Uniwersytetu Warszawskiego.

Prof. sen. Halina Krukowska:

Zostałam zatrudniona we wrześniu 1969 roku. Przyszłam tutaj po studiach doktoranckich z Gdańska. Miałam już wówczas napisany doktorat. Jego obrona planowana była na styczeń 1970 roku. Jednak stało się inaczej. Odbędzie się ona dopiero w maju, ponieważ nastąpiła tego roku sroga zima i recenzenci mego doktoratu: Pan Profesor Czesław Zgorzelski i Pani Profesor Maria Renata Mayenowa, nie mogli dojechać do Gdańska. Przyszłam do pracy w tym momencie, kiedy dziekanem był mgr Stefan Myszczyński. Z tego okresu pamiętam Pana Profesora Jerzego Bralczyka. Miał on wtedy wygląd młodego chłopca o blond włosach.

Wyższą Szkołę Nauczycielską wspominam pozytywnie. Poprowadziłam wtedy prawie 100 prac dyplomowych. Poziom tej uczelni okazał się satysfakcjonujący, co było zasługą kadry i ówczesnych studentów, którzy ukończyli czteroletnie liceum. Pamiętam, że część prac recenzował Pan Prof. Andrzej Makowiecki, który już wtedy był przez komunę zesłany do Białegostoku.

Później utworzono Filię Uniwersytetu Warszawskiego. Myślę, że w tym roku, kiedy zostaliśmy Filią, Rada Wydziału podjęła bardzo mądrą decyzję, aby pierwsze prace magisterskie pisane przez studentów w Białymstoku były oceniane przez profesorów z zewnątrz. Byli to zwykle profesorowie z Warszawy. Ta dobra decyzja sprawiła, że polonistyka białostocka od razu zyskała właściwą naukową, profesorską sankcję. Prace te, jak się podkreślali profesorowie, okazywały się bardzo dobre. Jeszcze raz podkreślam, że to była bardzo pozytywna decyzja dla białostockiej polonistyki. W Filii jako młodej placówce brakowało samodzielnych pracowników naukowych. W związku z tą sytuacją doktorzy musieli prowadzić takie ilości prac, że trudno było temu sprostać. Nie mogę powiedzieć, ilu magistrantów mieli inni pracownicy. Ja zostałam obarczona liczbą zawrotną – 20 prac na studiach zaocznych i 26 na studiach dziennych. Doprowadziłam te prace do obrony w wyznaczonym terminie, czyli w ciągu dwóch pierwszych lat. Wszystkie zostały ocenione pozytywnie, a recenzowali je między innymi prof. Maria Janion, prof. Andrzej Makowiecki, prof. Józef Rurawski i prof.

Irena Maciejewska, która oceniała przede wszystkim moje prace zaoczne i była zdziwiona ich poziomem.

Poprowadzenie takiej ilości prac spowodowało moje wielkie zmęczenie, z którego – jak mi się wydaje – nigdy już nie wyszłam. Z dzisiejszego punktu widzenia mogę powiedzieć, że był to wysiłek niewyobrażalny. Mimo to, uważam, że dobrze się stało, ponieważ profesorowie, którzy recenzowali prace moich studentów zobaczyli, jaki utrzymujemy poziom i że polonistyka białostocka nie uprawia żadnych „przyczynków”. To były prace naprawdę na przyzwoitym poziomie, a niektóre wręcz były wybitne. To, że szanowni profesorowie dostrzegli ich poziom, dla polonistyki białostockiej stało się bardzo pomocne. W ten sposób udowodniliśmy, że nasz kierunek nie jest prowincjonalny, że to polonistyka o standardzie uniwersyteckim, niczym nie różniącym się od poziomu całej Polski. Ci profesorowie widocznie szepnęli o nas „tu i tam”, bo kiedy zorganizowaliśmy sesję naukową poświęconą 190. rocznicy urodzin Adama Mickiewicza, zjechała się do Białegostoku cała polonistyka uniwersytecka. Romantyczna i nieromantyczna. Byliśmy wówczas wszyscy zdziwieni, że Białystok osiągnął taki poziom, jak inne uniwersytety. Przyjechali najwybitniejsi badacze literatury. Wśród tych osobistości byli: prof. Zbigniew Sudolski, prof. Józef Bachórz, prof. Marta Piwińska, prof. Stanisław Makowski. To wydarzenie wielkiej wagi dla romantyzmu białostockiego, ponieważ na tej sesji wytworzyła się niezwykle atmosfera czci dla Mickiewicza. Referaty, które zostały opublikowane w pokonferencyjnej książce, oceniono wysoko. Otrzymałam nawet list od profesora Samuela Fiszmana z Department of Slavic Languages and Literatures na Indiana University w Bloomington z prośbą, by na język angielski przetłumaczył moją rozprawę o *Panu Tadeuszu*.

W którym roku odbyła się wspomniana sesja naukowa?

W 1988 roku, w 190. rocznicę urodzin Adama Mickiewicza. Sukces konferencji uważam za jasną stronę naszej polonistyki. Była niestety i strona ciemna. Zawsze sądziłam, że wkraczanie ideologii na Uniwersytet i upolitycznianie go jest klęską. W naszej pracy zaznaczyło się to bardzo negatywnie, co widać na przykładzie książki z sesji mickiewiczowskiej. Mąż pani prof. Danuty Zawadzkiej przygotował starannie publikację. Wybraliśmy właściwy druk, odpowiedni format itd. Słowem: napracowaliśmy się nad przygotowaniem książki. Kierownikiem Działu Wydawnictw był wówczas „osobnik” z nadania partyjnego. Co on zrobił z tą wspaniale przygotowaną książką!? Na początku krzyczał, po co te książki. Następnie doprowadził do tego, że książka po wydrukowaniu okazała się prawie nieczytelna, papier zastosowano byle jaki. Mówiąc wprost, książkę zepsuto. Jak to zobaczyłam,

myślałam, że pięknie mi serce. Włożyliśmy w Mickiewicza całych siebie, a praca poszła na marne. Protest mój był tak duży, że udałam się nawet do Rektora i opowiedziałam całą historię. Wtedy wydawnictwo uniwersyteckie nadzorował prof. Jerzy Kopania. Poprosiłam go, aby 30 egzemplarzy dla uczestników sesji wydać we właściwym formacie, na odpowiednim papierze i przyzwoitym drukiem. I tak się stało. Sama się tak zbuntowałam, że chciałam porzucić pracę i zająć się prozaiczną rzeczą, czyli prowadzeniem warsztatu tokarskiego, odziedziczonego po Ojcu.

Były takie momenty na Wydziale, że upolitycznienie, prymitywna ideologizacja praktycznie niszczyły polonistykę. Działy egzekutywy, nastawiali kolejni wydziałowi sekretarze partii. Zdarzyło mi się kiedyś powiedzieć na zajęciach popularne zdanie Gombrowicza o Sienkiewiczu: że jest to „pierwszorzędny pisarz drugorzędny”. Wśród studentów byli agenci, tzw. kapusie, którzy donieśli o tym fakcie do sekretarza wydziałowego partii. Sekretarz mnie wezwał i zapytał, czy to prawda, że mówiłam coś o Gombrowiczu. W tym czasie, jak wiadomo, o autorze *Ferdynand* mówić nie było wolno. Poinformował mnie, że grozi mi wyrzucenie z pracy. Wezwała mnie także dyrektor Instytutu, pani dr Irena Halicka, i zapytała, skąd mam Gombrowicza. Odpowiedziałam, że mieszkam w Wasilkowie, prawie na wsi, więc skąd mogę mieć taką literaturę... i jakoś tak ją zagadałam, że sprawa ucichła.

Druga choroba ideologiczna objawiła w stanie wojennym. Wpłynęła ona negatywnie nie tylko na mnie, ale i na pracę całego Wydziału Humanistycznego. Byłam poddana dwóm weryfikacjom. Najpierw komisja weryfikacyjna wydziałowa stworzyła negatywną opinię o mnie. Jak ją przeczytałam, byłam bardzo zdumiona, bo zawierała kłamstwo, że miałam silne powiązania ze sprawą bydgoską i radomską. Przykro wspominać tę komisję. Prof. Witold Marciszewski (ówczesny rektor) brał w niej udział. Poinformował mnie, że: „tak strasznie chcieli panią wyrzucić, że i ja do tego się przyłożyłem”. Z kolei pan prof. Dobroński, który z racji pełnionej funkcji prodziekana też brał udział w tej komisji, wyznał, że jeden pracownik z Instytutu Filologii Polskiej podczas posiedzenia tej komisji zachowywał się na tyle haniebnie, że przejdzie z nim na „per pan”. To była komisja weryfikacyjna wydziałowa, humanistyczna. A potem kolejna: na wyższym szczeblu. W gronie jej licznych członków (liczyła ona chyba z 20 osób) były milicja, wojsko. Zmuszali mnie do zaakceptowania stanu wojennego. Oczywiście, nie mogłam tego zrobić. Powiedziałam, że władza to ludzie, którzy też mogą się mylić. W każdym razie, żeby mnie wyrzucić z pracy, napisali w opinii, że nie rokuję na pisanie habilitacji. Po doprowadzeniu do obrony wielu prac magisterskich nastąpiła „nagroda” w postaci wyrzucenia z pra-

cy! Komuniści pojechali w tej sprawie do Warszawy, bo byliśmy przecież Filią. Na szczęście Warszawa zorganizowała się w taki sposób, że nas wybroniła. Co ciekawe, tylko przy moim nazwisku zażądano odrębnego głosowania, tak bardzo chcieli mnie wyrzucić. Cała sytuacja jest dla mnie do dzisiaj bardzo dziwna, bo byłam najbardziej nieznaczącym pracownikiem. Jakimś tam doktorem. A stałam się przedmiotem głównego ataku, którego do dzisiaj nie rozumiem. Dodam, że z mojej teczki personalnej, do której miałam dostęp, została usunięta nie wiadomo kiedy i przez kogo opinia wydziałowej komisji weryfikacyjnej.

Pani Profesor w maju 1982 roku usunięta została z pracy za działalność opozycyjną w NSZZ Solidarność?

Tak, to prawda. Dla mnie wyrzucenie z pracy było dużym ciosem. Jednak jakoś to zniosłam. Napisałam habilitację, której to miałam nigdy nie napisać, i nigdy niczego od władz nie żądałam. Za mój doktorat uczelnia nic nie zapłaciła, a habilitację napisałam bez żadnych dłuższych urlopów czy stypendiów. Byłam pierwszym pracownikiem stąd, który uzyskał habilitację. Dziś z przykrością myślę o tym, co kiedyś się wydarzyło. Ale, dzięki Bogu, to już minęło.... Nikt jednak za te moje prześladowanie nie poniósł konsekwencji.

Po obronie habilitacji kierowała Pani Zakładem Literatury Polskiej, a po przekształceniu Filii stworzyła Zakład Literatury Oświecenia i Romantyzmu, którym kierowała do 2007 roku. Jak wyglądała praca na uczelni? Pamiętam ze studiów, że utworzenie Zakładu Literatury Oświecenia i Romantyzmu było kamieniem milowym w rozwoju białostockiej polonistyki.

Myślę, że momentem organizującym nas już przy powstaniu Zakładu była jednak sesja Mickiewiczowska. Ona dała nam zapał do dalszej pracy. Zobaczyliśmy, że jesteśmy doceniani w całej Polsce, a także poza nią. Wówczas pojawił się pomysł powołania Naukowej Serii Wydawniczej „Czarny Romantyzm”, która pokazała, że białostocka polonistyka ma coś do powiedzenia, posiada własny charakter. Kiedy powstał pomysł na tę serię, szybko uformował się zespół kreatywnych ludzi. Przy książkach pracowali studenci i pracownicy naukowci. Był to zespół niezwykle żywy i oddany. Udało się w tym gronie zorganizować kilka wspaniałych sesji naukowych, na przykład o tragizmie, o motywach faustycznych w literaturze, o *Marii Malczewskiego*. Trzeba zaznaczyć, że to, co nas połączyło, to miłość do Marii. Rzecz naprawdę niezwykła. Dzisiaj, gdy rozmawiamy o tym z Panem Profesorem Ławskim, to się uśmiechamy na samo wspomnienie tego arcydzieła. Oceniam całą naszą „czarną serię” bardzo pozytywnie.

Cieszę się, że coś się zorganizowało, coś się udało zrobić dla dobra humanistyki. Podkreślam: humanistyki. Ja siebie nie uważam za „uczoną”. Moim głównym zadaniem było zawsze stanie na straży wartości humanistycznych. I pisałam tak swoje prace, żeby pokazać się jako strażnik właśnie wartości. Z utworów, którymi się zajmowałam, usiłowałam wydobyć zawsze stronę duchową, gdzie ujawniają się sensy wyższego rzędu. I one sygnalizują tę sferę duchową. Prowadząc prace magisterskie, a było ich w sumie ponad 250, również starałam się, aby student odkrywał w nich wymiar duchowy, nie tylko faktograficzny, który oczywiście też jest bardzo ważny. Jednak poza faktami zawsze są prawdziwe wartości, które, moim zdaniem, głównie ukierunkowują nasze życie.

Miałam bardzo wybitnych studentów, a wśród nich był doktor Zbigniew Suszczyński. To wielki talent humanistyczny i bardzo żałuję, że tak smutno potoczyły się jego losy. Polonistyka białostocka straciła wspaniałego profesora, takiego autentycznego, wielkiej klasy. Humanistę z ducha – tak go trzeba nazwać. To wielka strata, że odszedł w tak młodym wieku.

Pełniła Pani również funkcję dyrektora Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu w Białymstoku. Proszę powiedzieć, jak to się stało, że prof. Halina Krukowska zdecydowała się na objęcie funkcji związanej z administracyjnymi obowiązkami? Chciało się Pani Profesor robić coś, co siłą rzeczy odrywa do pracy badawczej?

Nie jest istotne, że się chciało, czy nie. Tak się po prostu układało. Jeżeli chodzi o stronę organizacyjną mojego życia, tzn. o udział w różnych działaniach, muszę się pochwalić, że ta działalność nie przeszkadzała mi jako duchowi absolutnie romantycznemu. Błędem jest myślenie, że romantyk to człowiek niezorganizowany, chodzący „z głową w chmurach”. To nieprawda. Potwierdza to talent organizacyjny prof. Jarosława Ławskiego, który też jest z ducha romantykiem. W mojej pracy ujawniały się skłonności organizacyjne, widoczne choćby w udanych sesjach naukowych. Oczywiście, nie był to tylko mój wysiłek, ale całego zespołu. Zawsze będę wspominała uczestników sesji Mickiewiczowskiej. Okazało się, że jak nasi goście pojechali do innych miast na konferencję, to powtarzali: „ale w Białymstoku to była sesja!”. Takie głosy do nas dochodziły. Myślę, że jak człowiek jest do czegoś zdolny, to zdolny jest do wielu rzeczy.

Jak byłem na drugim roku polonistyki, to najbardziej baliśmy się egzaminu właśnie u Pani...

Studenci o egzaminatorach wymyślają bardzo różne historie i anegdoty. W końcu to część uniwersyteckiego życia. Najpiękniejsze w tym wszystkim

jest właśnie to, że nie zamykamy się hermetycznie w systemowej otoczce, pompatyczności, ale że pojawia się miejsce na luz i humor. Egzaminy oblewali studenci, którzy na przykład twierdzili, że III część *Dziadów* nazywa się drezdeńska, bo napisana jest w Rosji... Kompromitowało to tego człowieka jako studenta polonistyki. Ja nigdy nie deprecjonowałam studentów, którzy – przypuśćmy – dostali dwóję. I nigdy nie czułam wewnętrznego uprzedzenia do studenta. Dwóję musiałam postawić nie dlatego, że chciałam studentowi dokuczyć, tylko dlatego, że jego odpowiedź nie kwalifikowała się na dostateczny.

Czy Pani Profesor pamięta wybitnych studentów, którzy na trwałe wpi-sali się w Pani pamięć? A może zwiqzali swoje losy z uczelnią?

Na pierwszym miejscu muszę wymienić pana profesora Jarosława Ławskiego, który był moim magistrantem. Wciąż podziwiam jego talent, jest bardzo pracowity, dużo tworzy. Wszystko, co pisze, ma wyższe przesłanie humanistyczne. Znakomicie prowadzi serię „Czarny Romantyzm”. Na drugim miejscu wymienię doktora Zbigniewa Suszczyńskiego. Myślę, że do grona takich wyróżniających się studentów należała także profesor Danuta Zawadzka, która napisała pod moim kierunkiem wybitną pracę magisterską o *Sonetach krymskich*. Wymienię również panią doktor Barbarę Sawicką. Mogłabym jeszcze wymienić wielu studentów bardzo uzdolnionych.

Współpracowałam przede wszystkim z profesorem Jarosławem Ławskim, który, gdy przesłam na emeryturę, nie pozwolił mi na „zaleniwienie ducha”. Proponował mi pisanie ciągle nowych tekstów. Jestem wdzięczna mu za to, bo pisanie, tworzenie uważam za największą życiową satysfakcję.

Chciałem zapytać o atmosferę panującą w Filii, w której Pani Profesor pracowała. Przyjeżdżali wtedy z Warszawy ludzie niezwykli, bardzo sympatyczni, o otwartych umysłach, więc w Białymstoku musiało powstać intelektualne wrzenie?

Myślę, że Warszawa dla polonistyki białostockiej zrobiła bardzo dobrą robotę. Dzięki temu nasz Instytut stopniowo podnosił swój poziom. Podziwiam tych badaczy, naukowców, którzy tyle lat dojeżdżali do Białegostoku. Odbieram to jako poświęcenie z ich strony. Jazda pociągami co tydzień w różnych, nieraz bardzo trudnych zimowych warunkach musiała ich bardzo dużo kosztować. Mogę im tylko jako mieszkanka Białostocczyzny podziękować. Z wielką sympatią myślę o panu profesorze Andrzeju Mako-wieckim. Podziwiałam jego inteligencję, erudycję, jego oryginalne poczucie humoru oraz życzliwy stosunek do nas – białostoczan.

Jak Pani Profesor przyjęła decyzję w 1997 roku, że Uniwersytet przestaje być Filią, a staje się samodzielną uczelnią? Przypuszczam, że wiązało się to z dużymi plusami. Ale i minusy pewnie się pojawiły?

Myślę, że musiał taki moment nastąpić wcześniej czy później. Jak teraz patrzę na historię uczelni z perspektywy czasu, to uważam, że stało się dobrze. Ludzie stąd musieli zrobić niesamowity wysiłek, żeby dojrzeć do poziomu uniwersyteckiego. Praca na uniwersytecie wymaga prawdziwego skupienia i oddania. To praca twórcza. Uniwersytet, który nie jest twórczy, i polonistyka, która nie jest twórcza, stają się zupełnie niepotrzebne. Z samej idei uniwersytetu wynikają takie wartości, jak: twórczość, innowacje, inspiracje. To, że humanistyka musi się stawać coraz bardziej głębsza i odkrywczą – to sprawa fundamentalna. Nie możemy tylko przekazywać wiedzy, która jest powszechnie dostępna w podręcznikach, w komputerach. W mojej pracy był to bardzo ważny cel, żeby stworzyć twórczą atmosferę intelektualną wśród studentów. Starłam się, żeby każdy utwór, nad którym pracujemy ze studentami, przynosił coś nowego. To znaczy, żeby było widać, że tworzę coś twórczego jako badaczka i jako pedagog. Starłam się, aby prowadzone przeze mnie prace magisterskie były twórcze.

Dziś mamy do czynienia z dynamicznym rozwojem nauk informatycznych, technicznych. Co więc w takiej sytuacji ma zrobić polonistyka?

Moim zdaniem, ten, kto rzeczywiście czuje w sobie talent humanistyczny, podejmie studia tego typu, wybierze humanistykę. Cieszymy się, gdy wybiera polonistykę. Takie myślenie, żeby za wszelką cenę przyciągnąć jak najwięcej studentów, nie prowadzi do niczego dobrego. Uważałam, że uczniowie, którzy z trudem sobie radzą, często wybierają polonistykę. Aby polonistyka się rozwijała, nie trzeba zastępu studentów. Po prostu musi być uniwersytet tak zorganizowany, by skupiać uwagę na utalentowanych jednostkach. W przeciwnym razie uprawiamy „orkę na ugorze”.

Jestem optymistką i myślę, że humanistyka nigdy nie upadnie, bo człowiek bez wiedzy humanistycznej staje się robotem. Dusza musi objawić się wszędzie, na Politechnice czy na innych studiach. Do tego muszą doprowadzić wykształceni humaniści. Jeżeli widzimy, że ktoś jest utalentowany, trzeba to traktować jako najwyższy skarb. Nie ma innego wyjścia. Wierzę, że polonistyka jak istniała, tak istnieć będzie. Jednakże nie może to być polonistyka „taka sobie”, bo wówczas faktycznie upadnie. Oczywiście, nasza sytuacja jest związana z poziomem szkolnictwa średniego. Od momentu, kiedy powstały trzyletnie licea, wszystko w szkolnictwie straciło właściwą jakość, a zwłaszcza humanistyka. Te trzyletnie licea nie zdołały wzbudzić zainteresowania humanistycznego, bo stanowią one wyłącznie

przygotowanie do matury, a nie umożliwiają skupienie na utalentowanych uczniach, na jednostkach, osobowościach. Stworzenie liceum trzyletniego i gimnazjów było błędem. Błędem jest także podział studiów magisterskich na licencjat i magisterium.

Czego dziś powinniśmy życzyć profesor Halinie Krukowskiej?

Abym jeszcze napisała jeden ważny tekst o Mickiewiczu. Wtedy byłabym naprawdę szczęśliwa. W mojej pracy i w moim myśleniu o życiu najważniejszy był Mickiewicz. Uważam, że mój związek duchowy z Mickiewiczem to było coś, co mnie budowało w różnych klęskach i doznaniach. W Mickiewiczu zawsze znajdowałam duchowy ratunek. Życzyłabym moim kolegom z Instytutu, żeby naprawdę bardzo głęboko potraktowali swoją pracę. I nigdy nie zapomnieli, że ten rodzaj pracy wymaga szczególnego oddania i zupełnego zapomnienia o sobie. Kto nie odda się pracy naukowej, nigdy nie osiągnie prawdziwej wartości badawczej.

Dziękuję za rozmowę.

Cezary KUKLO

C E Z A R Y K U K L O

– prof. zw. dr hab., pracownik Instytutu Historii i Nauk Politycznych Uniwersytetu w Białymstoku. Jego zainteresowania badawcze obejmują historię społeczną i gospodarczą, demografię historyczną, historię kobiet, rodziny, dzieje miast i mieszczaństwa. Od 2008 roku jest przewodniczącym Rady Naukowej Instytutu Historii i Nauk Politycznych Uniwersytetu w Białymstoku. Pełnił liczne funkcje, był między innymi członkiem (od 2004) Komisji Historycznej Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk; ekspertem (od 2010) Państwowej Komisji Akredytacyjnej; sekretarzem (od 2011) Komitetu Nauk Historycznych PAN. W latach 2000–2012 był dyrektorem Oddziału Instytutu Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Białymstoku. Kierował wieloma projektami badawczymi, od 2013 – kierownik projektu badawczego, finansowanego przez Narodowy Program Rozwoju Humanistyki, pod hasłem *Rodzina i jej gospodarstwo na ziemiach polskich w geografii europejskich struktur rodzinnych do połowy XX wieku*. Jest autorem blisko 300 prac publikowanych w kraju i zagranicą, w tym książek: *Rodzina w osiemnastowiecznej Warszawie* (Białystok 1991); *Kobieta samotna w społeczeństwie miejskim u schyłku Rzeczypospolitej szlacheckiej* (Białystok 1998); *Demografia Rzeczypospolitej przedrozbiorowej* (Warszawa 2009).



WSPOMINAJĄC ŚWIATY MISTRZÓW

Panie Profesorze, jest Pan białostoczanie z urodzenia, więc ma Pan pewnie mnóstwo wspomnień związanych nie tylko z rozwojem uczelni, ale i miasta, na które istotny wpływ miało środowisko akademickie. Jakie wspomnienia przychodzą Panu do głowy, kiedy myśli Pan o 50-leciu istnienia białostockiej filologii?

Prof. Cezary Kuklo:

Jestem chłopakiem z Bojar, z ul. Ogrodowej. Kończyłem tu II ogólniak, początkowo jeszcze przy ul. Kościelnej, potem przy ul. Narewskiej. Nie ukrywam, że już wtedy lubiłem lekcje historii. Miałem dobrego nauczyciela historii, który wcześniej przez pewien czas był nawet dyrektorem jakiegoś wieczorowego uniwersytetu marksizmu i leninizmu, ale ostatecznie wylądował w II ogólniaku. Miał piękną cechę: prowadził zajęcia, nie wykorzystując podręcznika. To od niego wówczas, w początkach lat 70., po raz pierwszy dowiedziałem się o Katyniu i o rzeczywistych przyczynach buntu poznańskich robotników czerwcu 1956 roku. Troszkę mnie to zainspirowało do studiowania historii. Po drugie, wielu z nas przejawiało zainteresowanie tym, co się dzieje wokół nas. Pamiętajmy, że był to próg epoki gierkowskiej i nam, młodym ludziom przed maturą, wydawało, że po „siermięczyźnie gomułkowskiej”, po tych tragicznych wydarzeniach na wybrzeżu 1970 roku, coś się zacznie się zmieniać.

Początkowo, prawdę mówiąc, chciałem studiować prawo, ale w Białymstoku nie było tego kierunku. Istniała tylko administracja, zaś prawo można było studiować w Warszawie. Niestety, mój ojciec zaczął wówczas chorować na raka i mama dała do zrozumienia, że będzie jej trudno utrzymać mnie w stolicy. W związku z tym zapadła decyzja o pójściu na historię. Tym bardziej, że jako jeden z finalistów olimpiady o Polsce i świecie współczesnym byłem zwolniony z egzaminu wstępnego na studia historyczne. Takie były wówczas warunki. Z koleżanką i kolegą, którzy razem ze mną startowali w olimpiadzie, znaleźliśmy się na historii. W październiku 1973 roku przekroczyłem mury niedużego budynku przy ul. Świerkowej 20a. Pamiętam, że odbierałem indeks z rąk pani dr Ireny Halickiej, ówczesnej prodziekan do spraw studenckich, a była to przecież polonistka. Później dopiero dowiedziałem się, że jest językoznawczynią. Kupiłem nawet książkę jej autorstwa o nazwach miejscowych Podlasia, gdyż była oparta na źródłach historycznych, które mnie interesowały. I tak zaczęła się przygoda z historią...

To były cztery lata intensywnych studiów historycznych?

Tak. I te cztery lata bardzo sobie cenię, chociaż lekko nie było i nie tylko

studiowałem. To wszystko było trochę bardziej skomplikowane. Po pierwsze, mówię to głośno, zaczynało nas 52 studentów na I roku. Wówczas większość kadry filologii polskiej i na historii to byli nauczyciele akademicy z Warszawy. Z wieloma po latach już jako pracownik Instytutu Historii przeszedłem na „ty”. Ale szczerze mówiąc, to oni stosowali „twardy wychów”. Proszę sobie wyobrazić, że po pierwszym semestrze z historii starożytnej Grecji, którą prowadziła pani dr Hanna Geremek, odpadło aż 18 osób. To były trzy błyskawiczne podejścia łącznie z „komisem”. W następnym semestrze, czyli w czerwcu 1974 roku jeszcze, „skromne” osiem dalszych osób nie zdało egzaminów z historii starożytnej Rzymu u dr Jana Trynkowskiego, znakomitego wykładowcy, ale wówczas bardzo surowego. Z tej wielkiej grupy 52-osobowej nagle zostało nas tylko 26. Od początku II roku byliśmy w dwóch niewielkich grupach 13-osobowych i po koleżeńsku powiedzieliśmy sobie, że dość już „cięcia” nas jako studentów. Robiliśmy wszystko, żeby pozostać w tych grupach do końca. I praktycznie to się udało. Przyjeżdżały do nas sławy warszawskie bardzo życzliwe, ale miały swoje niemałe wymagania.

Miałem to szczęście, że po paru miesiącach niełatwej adaptacji trzeba było dużo czytać fachowej literatury, nie zawsze łatwej w odbiorze (swoją drogą sporo książek przywozili wykładowcy do czytelnicy wydziałowej i po niej, podobnie jak w Bibliotece Wojewódzkiej przy ul. Kilińskiego, ustawialiśmy się w kolejce do czytania, choćby fragmentów), starsi koledzy studiujący historię z przysposobieniem obronnym zaproponowali mi pracę w kole naukowym. Pamiętam, że była wówczas jeszcze tylko jedna sekcja – historii najnowszej, kierowana przez śp. mgr. Wiesława Jagodzińskiego. Po pierwszym roku wyłądownołem razem ze starszymi kolegami (Marek Mrówczyński, Wojtek Kowalczyk) i sympatycznymi koleżankami z roku na obozie naukowym w Olecku, podczas którego gromadziliśmy relacje o działalności na tych terenach Armii Krajowej.

Nomen omen ćwierć wieku później przyszło mi budować i przez ponad 12 lat kierować oddziałem IPN-u w naszym mieście (2000–2012) oraz zajmować się historią najnowszą. To było moje pierwsze, trudne doświadczenie, bo zbierając relacje trzeba było przełamywać pewną nieufność rozmówców. Wówczas gdzieś zupełnie śladowo, nie kojarzyliśmy nawet tego za bardzo, pojawiały się pewne elementy wydarzeń, które dzisiaj znamy wszyscy pod hasłem obławy augustowskiej w lipcu 1945 roku. Wówczas byliśmy zbyt młodzi, żeby to jeszcze wszystko łączyć.

Faktem jest, że praca w kole naukowym mnie wciągnęła. I mówię to z dużą satysfakcją. Część kolegów zaangażowała się wyczynowo w AZS-ie, jak chociażby Tomek Czarnecki i paru innych. Część z nas, jak na przykład Ania Izy-

dorczyk, Alina Czapiuk, Basia Kubiak, podjęła pracę w kole naukowym. Po II roku nastąpiła zmiana sytuacji gdyż dotychczasowe koło podzieliło się na dwie sekcje. Znalazłem się w sekcji historii nowożytnej, którą kierował mgr Józef Maroszek, dzisiaj profesor naszego uniwersytetu. Natomiast druga część pozostała w sekcji historii najnowszej, której opiekunem naukowym został mgr Jan Jerzy Milewski, w późniejszych latach mój znakomity kolega i przyjaciel; także prodziekan wydziału i wieloletni wicedyrektor Instytutu Historii. Muszę szczerze powiedzieć, że była to fantastyczna praca. Po pierwsze, panowała bardzo dobra, pełna wzajemnej życzliwości, atmosfera koleżeńska. Dzięki Józkowi Maroszkowi zjeździliśmy całe Podlasie. Byliśmy czasami przyjmowani nawet przez proboszczów w odwiedzanych parafiach, którzy serwowali nam miejscowe rarytasy kulinarne. Podczas takich wyjazdów zapoznawaliśmy się ze źródłami, między innymi z księgami metrykalnymi i dokumentami z epoki staropolskiej. Ta przygoda była kontynuowana podczas kolejnych dwóch obozów naukowych w Surażu, którymi – jako prezes całego studenckiego koła naukowego – kierowałem od strony organizacyjnej, a kolega Józef Maroszek (jeszcze chyba nie miał doktoratu) od strony naukowej. W Surażu podczas drugiego obozu latem 1976 roku dołączyło do nas koło folklorystów Zakładu Filologii Polskiej, kierowane przez – późniejszego mojego serdecznego kolegę – znakomitego poetę, Jana Leończuka, wielce zasłużonego dla naszego miasta i regionu, wieloletniego dyrektora Książnicy Podlaskiej. Janek Leończuk miał problemy, gdzie ulokować swoją grupę, a myśmy byli w dobrych kontaktach z administracją Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego w Łapach, które właśnie budowały dom wypoczynkowy nad Narwią w Surażu. Zaprosiliśmy więc ich do współpracy.

To było coś fantastycznego. Po pierwsze, grupa historyków i przesympatycznych koleżanek z filologii polskiej była rozśpiewana. W związku z tym kładliśmy się spać około godziny 3-4 nad ranem. Oczywiście budziliśmy się też trochę późno, ale potem braliśmy się do roboty. Szliśmy do księdza proboszcza na plebanię i tam pracowaliśmy w księgach metrykalnych, które nam udostępnił. Rok później na ich podstawie przygotowałem mój pierwszy artykuł naukowy, opublikowany w „Zeszytach Naukowych” w 1977 roku. Janek z kolei zabierał swoje uroczce studentki i jechali w teren, zbierając relacje folklorystyczne, etnograficzne. Ponownie spotykaliśmy się wszyscy wieczorem na kolacjach. Dziewczyny ze zwykłych produktów potrafiły „wyczarować” wyjątkowo smakowite kanapki. Może ich smak wynikał po trosze także i z tego, że oprócz herbaty częstym gościem na stole było węgierskie białe wino *Riesling*. Proszę sobie wyobrazić, gdy za trzecim razem pojechałem z Basią Kubiak do zaprzyjaźnionego już sklepu

w łapach, z dużą torbą turystyczną, żeby kupić tenże „produkt”, sklepowa z pewnym przerażeniem powiedziała: „Panie, nie ma nic, wszystko żeście już wykupili”. Raczyliśmy się więc jakimś jeszcze innym czerwonym winem, ale *riesling* był zdecydowanie lepszy. Krótko mówiąc, oba supraszkie obozy naukowe były fantastyczną przygodą.

Gdzieś w połowie naszych studiów doszliśmy do wniosku, że oprócz pracy naukowej warto byłoby uczestniczyć także w studenckim życiu kulturalnym. I mieliśmy z tym problem. Mianowicie Filia nie miała własnego klubu studenckiego i my chociażby na potańcówki z koleżankami wybieraliśmy się albo do „Feniksu” (to był klub WSI przy ul. Krakowskiej), albo do „Herkulesów” Akademii Medycznej. Dodajmy, że medycy mieli jeszcze swój wewnętrzny klub w akademiku – „Co nie co”, ale tam nas w ogóle nie wpuszczano. Z wejściem do „Feniksu” nie było specjalnego problemu, choć trzeba było nieraz odstać, zwłaszcza w soboty, w długiej kolejce. Gorzej było z wejściem do „Herkulesów”, gdyż koledzy z Akademii Medycznej woleli wpuszczać nasze koleżanki, niekoniecznie nas. W pewnym momencie ta sytuacja zaczęła nam doskwierać. Na początku mojego III roku studiów pojawiła się myśl budowy własnego klubu w Filii. Wsparli ją koledzy z filologii polskiej, wychowania technicznego i pedagogiki. Jeśli pamięć mnie nie zawodzi, to zdaje mi się, że wiosną 1976 roku zaczęliśmy „deptać” do władz rektorskich w tej sprawie. Było nam trochę łatwiej, bo byliśmy znani władzom uczelni z działalności w kole naukowym, z pracy w AZS-ie. Udało nam się zdobyć zaufanie ówczesnego prorektora do spraw studenckich, matematyka doc. dr Piotra Mytnika, który bardzo konsekwentnie udzielał nam wsparcia. Wszystko nie było takie proste, bowiem marzył nam się klub w podziemiach, co było oczywiste, akademika przy ul. Świerkowej, które były zajęte przez magazyny Studium Wojskowego. Nie jestem pewien do końca, czy aby nasza inicjatywa nie zbiegła się w czasie z połączeniem Studium Wojskowego Filii UW i WSI. W każdym razie udało nam się stosunkowo szybko uzyskać najpierw zgodę rektora na powstanie takiego klubu, następnie fundusze, a potem sami rozbijaliśmy małe klitki magazynowe z cegły i wywoziliśmy gruz, żeby było szybciej. Budowaliśmy coś. Kierownikiem klubu w budowie został mój kolega z roku śp. Zbyszek Dąb, po paru miesiącach zastąpił go Tadek Gąsowski, który okazał się bardzo sprawnym jego organizatorem. Koledzy wybrali mnie na zastępcę kierownika do spraw programowych. Kolega z filologii polskiej, Heniek Jankowski, poprzez jakieś rzutniki na ścianie zaprojektował wystrój. Klub składał się z dwóch sal: jednej, z parkietem do tańca i drugiej, typowo klubowej, w której królowały ławy zrobione z grubego drzewa. Do tego dochodził normalny bar, pokój dla kadry i magazyn. Planując otwarcie klubu wraz z dwoma

kolegami, pojechałem do Łodzi nocnym pociągiem, do tamtejszej „Foniki”, żeby rozeznac się w możliwości zakupu stołu mikerskiego do puszczenia płyt. Za jakiś czas kupiliśmy potrzebny sprzęt. Cały IV rok spędziłem, łącząc pracę w kole naukowym, choć już zdecydowanie mniej intensywnie, z pracą nad otwarciem klubu, no i pisząc pracę magisterską pod kierunkiem prof. Andrzeja Wyczańskiego. W grudniu 1976 roku, w jeszcze nie do końca ukończonym klubie (nie było oficjalnego otwarcia), urządziliśmy Sylwestra, którego jego uczestnicy do dzisiaj wspominają. Dopiero parę tygodni później, w styczniu 1977 roku, miało miejsce faktyczne otwarcie naszego klubu „Styk”, które prowadziłem. Na tą okazję przygotowaliśmy program we współpracy z trochę starszą koleżanką, asystentką na pedagogice, mgr Grażyną Olszewską. Jej, już nieżyjący, mąż Karol oparł nam całość muzycznie (komponował na przykład dla Maryli Rodowicz). Powstała także własna kapela, między innymi z udziałem kolegi z roku Zenka Krysiewicza, Mariana Hoduna, studenta wychowania technicznego, późniejszego wieloletniego kierownika Urzędu Stanu Cywilnego w Białymstoku i innych. Koledzy z pedagogiki, w tym Tolek Chomicz (dzisiaj fotoreporter „Kuriera Porannego”) i chyba nieżyjący już Boguś Lider, założyli teatr „Nam-2” i wystawili słynną (z racji późniejszych konsekwencji) sztukę o rozbijaniu muru. Wówczas nie przykładaliśmy do jej treści aż takiej uwagi, ale wkrótce niektórzy zaczęli widzieć w owym burzeniu muru jakiś wydźwięk polityczny. Faktem jest natomiast, że cały scenariusz uroczystego otwarcia musiałem w imieniu kierownictwa klubu przekazać do wglądu Komitetowi Uczelnianemu PZPR, żeby uzyskać stosowne „błogosławieństwo”. Na tym otwarciu był chyba nawet jakiś sekretarz tegoż Komitetu Uczelnianego. Całość wspominam bardzo sympatycznie, bo wpadliśmy na pomysł, że za oficjalne otwarcie klubu uznamy rozsupłanie ostatniego węzła zawiązanego na grubym sznurze przez rektora Mytnika, a było ich kilkanaście. Symbolizowały one półtoraroczny wysiłek, żeby doprowadzić rzecz do końca. Trzeba przyznać, że byliśmy zaskoczeni, jak rektor Mytnik, bardzo cierpliwie i z uśmiechem na twarzy, wszystkie je w ciągu dziesięciu minut rozwiązał. Pierwszą kapelą, którą zaprosiliśmy, był słynny wówczas zespół jazzowo-folkowy Ossjan. Klub dosłownie trzeszczał, brać studencka, żeby więcej osób mogło wejść, siedziała na podłodze, a oni grali.

Jak to się stało, że po ukończeniu studiów postanowił Pan zostać nauczycielem akademickim? To był przypadek, a może już w trakcie nauki, na III lub IV roku, wiedział Pan, że taka będzie Pana przyszłość?

Pod koniec studiów miałem trochę problemów innej natury, ponieważ wraz z kolegami na szkoleniu politycznym prowadzonym w ramach Stu-

dium Wojskowego zadawaliśmy trudne pytania. Odbiło mi się to czkawką we wrześniu 1977 roku, w najmniej spodziewanym momencie. Kierownik Zakładu Historii, pani prof. E. Kaczyńska, pokazała mi pismo: wniosek o zatrudnienie mgr. Cezarego Kuklo na stanowisko asystenta stażysty w Zakładzie Historii, przygotowany przez panią profesor. Widniały tam bardzo pozytywne opinie promotora mojej pracy magisterskiej, prof. A. Wyczańskiego, opiekuna sekcji nowożytnej SKN Historyków, mgr. Maroszka. I było tam też jedno zdanie, które pamiętam do dzisiaj: „Oddziałowa Organizacja Partyjna nie popiera wniosku o zatrudnienie mgra Cezarego Kuklo na stanowisko asystenta stażysty”. Obok pieczętka z podpisem pewnego docenta z pedagogiki. Ta opinia – równoznaczna z decyzją – zamknęła mi na rok możliwość pracy w Zakładzie Historii. Dzięki jednak interwencji prof. Wyczańskiego, a przede wszystkim życzliwości Prorektora UW ds. Filii w Białymstoku, historyka prof. Juliusza Łukasiewicza, także jego zastępcy doc. dr P. Mytnika, w listopadzie tego roku znalazłem zatrudnienie w administracji uczelni jako starszy referent w Dziale Spraw Studenckich. Byłem takim swoistym pełnomocnik prorektora Mytnika do spraw studenckich, z którym współpracę wspominam bardzo dobrze. Po roku okazało się że „partyjna karencja” została zdjęta (pierwsza próba po semestrze zimowym i wizyta w KU PZPR okazała się bezowocna) i mogłem już pracować z młodzieżą studencką jako asystent. Natomiast do dzisiaj pozostały mi dobre kontakty z administracją centralną.

A skąd zainteresowania historyczne i praca na uczelni? Praca w kole naukowym dała możliwość obcowania z oryginalnym źródłem, a zamiłowanie nie tyle do historii, co do jej uprawiania, najmocniej zaznaczył fakt spotkania prof. A. Wyczańskiego i dwuletni pobyt na jego seminarium magisterskim. Nigdy wcześniej ani później nie spotkałem historyka badacza o tak rozległych horyzontach myślowych. To pod jego wpływem przesiąknęłam zamiłowaniem do historii społecznej, historii mentalności i historii rodziny. Byłem pod dużym wrażeniem umiejętności stawiania nowych pytań badawczych, a jednocześnie razem z innymi poznawałem go jako ciepłego, bardzo wyrozumiałego człowieka. I wreszcie jakiś wpływ mieli inni moi wykładowcy, jak na przykład Stefan Meller, Adam Manikowski, Jan Kofman. Wszyscy oni przyjeżdżając do Białegostoku na zajęcia, przywozili zarazem powiew kontaktów zagranicznych, wydarzeń w środowisku naukowym, zachęcali i podrzucali ciekawe lektury. Z kolei z innymi kolegami, już białostockimi, jak Adam Dobroński, Henryk Ruciński, Jan Jerzy Milewski, łączyły wspólne pogawędki w drodze do domu na osiedle „Piasta”. Gdzieś w tej atmosferze obserwowania i rozmów z niepokornymi wykładowcami, potem moimi starszymi kolegami z Zakładu Historii, krystaliz-

zowały się także moje poglądy na to co się działo w kraju, czy w obozie tzw. KDL-u. Jesienią 1980 roku byłem zaangażowany na tyle w budowę „Solidarności” na Wydziale Humanistycznym, że koledzy wybrali mnie na członka komisji zakładowej, której przewodniczył mój starszy kolega z Zakładu, śp. doc. dr Henryk Ruciński. Z tamtego okresu pamiętam jedno mało sympatyczne wydarzenie. Wszyscy lub prawie wszyscy jako pracownicy należeliśmy wówczas do ZNP, z którego nasza organizacja wydziałowa postanowiła jesienią tego pamiętnego roku wystąpić. Wraz z dr Haliną Krukowską i mgr Teresą Kopanią zostałem zobligowany do przekazania wspomnianej decyzji na ogólnouczelnianym zebraniu ZNP, które miało miejsce gdzieś późną jesienią, chyba w listopadzie. Samą decyzję miała zakomunikować najstarsza z nas stażem pracy na Filii, dr Krukowska. Kiedy jednak weszliśmy do auli Wydziału Administracyjno-Ekonomicznego przy ul. Mickiewicza, dało się odczuć atmosferę wrogości do naszej trójki, gdyż część sali (zdominowanej przez pracowników z legitymacją PZPR) już wiedziała nieoficjalnie o podjętej przez organizację ZNP Wydziału Humanistycznego decyzji. Pobladała dr Krukowska zwróciła się do mnie: „Panie Czarku, pan to przeczyta po prostu”. Oczywiście, że przeczytałem, ale za chwilę zaczęły padać pod naszym adresem mało przyjemne słowa. Sala, a była to potężna aula, huczała wręcz jazgotem na naszą trójkę. Prym wiedli doktorzy Jerzy Kowalczyk, Zenon Herba i wielu innych. W stosunku do mnie padały takie argumenty, że jeszcze nic nie zrobił dla uczelni, a już występuje z ZNP. W każdym razie, jeśli mnie pamięć nie myli, wytrzymałszy nerwowo około kwadransa, a opuszczając aulę nie było nam do śmiechu.

To były trudne czasy dla wykładowców niepokornych?

Tak. Myślę, że zwłaszcza w drugiej połowie lat 70. było już widać na uczelni swoiste ciśnienie polityczne ze strony partyjnych pracowników, z nielicznymi wyjątkami, wyraźnie przeciwstawiających się wszelkim zmianom, mogącym złamać jej polityczny monopol na wszystko. W tamtym okresie dla wszystkich studentów i pracowników było jasne, że nie dziekan, prodziekan czy kierownik zakładu jest decydentem, na przykład w sprawach kadrowych, organizacyjnych, a nawet programów studiów, ale sekretarz z egzekutywą oddziałowej/uczelnianej organizacji partyjnej. Taka była ówczesna uczelniana rzeczywistość, z którą przychodziło się zmierzyć. A przecież trzeba pamiętać, że na Wydziale Humanistycznym dwa Zakłady Filologii Polskiej i Historii w skali całej uczelni praktycznie funkcjonowały z minimalnym upartyjnieniem. Społeczność pierwszego stanowili m.in. tak znakomici i oryginalni na swój sposób wykładowcy, jak małżeństwa państwa Gorenistów, państwa Chodźków, ale też wspomniana wcześniej Hali-

na Krukowska, Elżbieta Feliksiak, Andrzej Makowiecki, Marian Jurkowski czy Jan Leończuk. Społeczność drugiego tworzyli między innymi wieloletni dziekan Wydziału i pierwszy dyrektor Instytutu Historii prof. Andrzej Wyrobisz, a także Elżbieta Kaczyńska, Ewa Wipszycka-Bravo, Andrzej Wyczański, Mieczysław Wrzosek, z młodszych Stefan Meller, Daniel Grinberg, Jan Kofman, Adam Manikowski, Henryk Ruciński, Andrzej Woltanowski. Jednym i drugim daleko było do gloryfikowania ówczesnej rzeczywistości, a niektórzy z nich doznali nawet represji w stanie wojennym i do końca 1989 roku pozostawali na cenzurowanym, na szczęście, słabnącej już PZPR.

Białystok sprzyjał pracy naukowej? Czy tu rozwinął Pan skrzydła? Z kim jest Pan najbardziej związany?

Z całą pewnością tak, ale nie było to łatwe, chociażby ze względu na skromne zasoby książki naukowej w Bibliotece Wojewódzkiej, podobnie Archiwum Państwowego, którego poważniejsze zbiory zaczynają się z początkiem XIX stulecia. Proszę porównać zatem start do pracy naukowej naszych kolegów w stolicy, Krakowie, Poznaniu, Wrocławiu... To pod wpływem spotkania prof. Wyczańskiego, który cierpliwie nam tłumaczył, że nie ma rozwoju naukowego bez stałego kontaktu z tym, co piszą inni, pod koniec studiów zdobyłem się na nie lada wysiłek finansowy, a mianowicie zaprenumerowałem do domu aż trzy podstawowe periodyki historyczne: „Kwartalnik Historyczny”, „Przegląd Historyczny” i „Roczniki Dziejów Społecznych i Gospodarczych”, *nota bene* prenumeruję je do dzisiaj. Na seminarium magisterskim i doktorskim prof. Wyczańskiego najpierw uczyłem się, a potem doskonaliłem swój warsztat badawczy. Z kolei prowadzenia objazdów naukowych i szerzej dydaktyki uczyłem się u pana prof. Wyrobisza, ceniłem jego celne, merytoryczne ale zawsze życzliwe uwagi po każdej hospitacji zajęć. Miałem szczęście do bardzo dobrych wykładowców, a większość z nich była wybitnymi specjalistami w swoich obszarach badawczych. Z tych pierwszych rozmów toczonych w Zakładzie Historii będąc już pracownikiem naukowym pamiętam do dzisiaj opinię przełożonych, że debiutując na rynku wydawniczym, trzeba zaczynać od wydawnictwa uniwersyteckiego (choćby w „Zeszytach Naukowych”), ale już drugi tekst należy oddać do czasopisma ogólnopolskiego i nie zrażać się, nawet jeżeli nie przyjmą, czy skierują artykuł do poprawy.

Takie po trosze koleżeńskie rozmowy z ludźmi, którzy swoim przykładem poświadczali wysoki poziom naukowy i byli autorytetami w środowisku, z całą pewnością mnie mobilizowały. Z drugiej strony, miałem świadomość, jaką postacią nie tylko w kraju, ale i za granicą jest mój Mistrz, i chciałem, żeby uczeń był jego godny. W doktoracie obronionym w 1987 roku, opartym

na blisko 100 tys. XVIII-wiecznych aktów metrykalnych warszawskiej parafii św. Krzyża, tej z Krakowskiego Przedmieścia, posłużyłem się mało znaną francuską metodą badawczą L. Henry'ego celem rekonstrukcji losów demograficznych rodzin w dobie saskiej i stanisławowskiej. Mam prawo sądzić, że stał on na dobrym poziomie, skoro przedstawiając jego tezy w konkursie na najlepszą pracę doktorską na X Międzynarodowym Kongresie Historii Gospodarczej w Luvain w 1990 roku, zająłem razem z Amerykaninem Patrickiem Richardem Galloway'em, I miejsce w sekcji wczesnonowożytnej. Habilitacja przyszła w sposób naturalny w 1998 roku. Pracując na księgach metrykalnych parafii Św. Krzyża, znalazłem spis jej mieszkańców z 1791 roku; prawie 18 tys. osób zapisanych z imienia i nazwiska. Występowało w nim dużo kobiet samotnych, które kierowały gospodarstwami. Narodził się więc pomysł studiów nad kobietą samotną – studiów demograficznych, ale zarazem gospodarczo-społecznych. Tak się szczęśliwie *złożyło*, że znając francuski, zaglądałem do Paryża, a tam rozpoczynał się wówczas nurt badań kobiecych od strony demograficznej, kierowany przez Antoinette Fauve-Chamoux. Przyniosła mi ona nagrodę ówczesnego ministra indywidualną I stopnia. Dopelnieniem tego wszystkiego była wydana w 2009 roku synteza, podręcznik *Demografia Rzeczypospolitej Przedrozbiorowej*, która była podstawą profesury tytularnej nadanej rok później; nagrodzona została w 2012 roku nagrodą Wydziału I Nauk Humanistycznych i Społecznych PAN. A środowisko białostockie? Muszę szczerze powiedzieć, że jeżeli chodzi o atmosferę, tutaj zawsze była życzliwość i pomoc, choć ostatnimi laty to się trochę zmieniało, daje się odczuć postępującą atomizację. Może to efekt tego, że wielu z naszych starszych kolegów jest już na emeryturze, niektórzy z nich odeszli na stałe. Gdybym musiał powiedzieć, czego mi trochę brakuje, to właśnie tego, że dawniej w jednym zakładzie mogło być paru znakomitych kolegów i koleżanek z tytułami profesorskimi. Niekoniecznie mieli tendencje do pójścia na swoje. Wydaje mi się, że te obecne trzy-, czteroosobowe zakłady troszkę zgubiły życie naukowe. Trzydzieści lat temu jako asystenci mieliśmy obowiązek przedstawiania założeń, a następnie wyników pracy doktorskiej na ogólnym zebraniu Zakładu/Instytutu. Podobnie referowaliśmy przynajmniej część swoich rozpraw habilitacyjnych. Dzisiaj już tego nie ma i nie dziwny się, że niektórzy z nas słabo się orientują w zainteresowaniach badawczych koleżanki czy kolegi z Instytutu. Chcąc to przełamać i stworzyć platformę do dyskusji i wymiany myśli, byłem inicjatorem utworzenia na Wydziale Historyczno-Socjologicznym czegoś, co się nazywa Centrum Badań Struktur Demograficznych i Gospodarczych Przednowoczesnej Europy Środkowo-Wschodniej. To inicjatywa wybitnie naukowo-badawcza. Kierując Centrum (dr Piotr Gu-

zowski jest jego sekretarzem naukowym), staramy się pozyskiwać granty i chyba na tej niwie idzie nam całkiem dobrze. Mamy ambicje przygotowywania *workshopów* co trzy miesiące, czasami co pół roku, z udziałem innych kolegów z kraju, liczymy, że pojawią się także naukowcy z zagranicy. W Centrum spotykamy się, dyskutujemy, uczymy się zastosowania bardziej wysublimowanych metod statystycznych, często także toczymy spory, gdyż wzajemne kadzenie raczej szkodzi, niż rozwija naukę. To także miejsce do intensywnej pracy dla doktorantów.

Przed Panem okrągły jubileusz?

3 listopada 2017 roku będę obchodził jubileusz 40 lat pracy na Uniwersytecie. Co prawda, przez pierwszy rok byłem zatrudniony w administracji uczelnianej, ale faktem jest, że to będzie 40 lat. Nie ma co ukrywać, ale te minione lata były dla mnie czasem bardzo aktywnym, a przez to nie zostały zmarnowane. Od 1977 roku, początkowo co miesiąc, potem co dwa miesiące, dojeżdżam na posiedzenia Sekcji Demografii Historycznej Komitetu Nauk Demograficznych przy Polskiej Akademii Nauk w Warszawie. Od 2000 roku kieruję pracami wspomnianej Sekcji. Gdzieś po drodze, w ostatnich latach, było zasiadanie z wyboru środowiska w Komitecie Nauk Historycznych PAN; w poprzedniej czteroletniej kadencji byłem jego Sekretarzem Naukowym, w obecnej jestem jednym z dwóch jego wiceprzewodniczących. Od paru też lat zasiadam w prezydium Komitetu Nauk Demograficznych PAN. Ciekawych wrażeń dostarczyły też wielokrotne udziały w komisjach akredytacyjnych, początkowo w charakterze eksperta Uniwersyteckiej Komisji Akredytacyjnej, a potem członka Polskiej Komisji Akredytacyjnej. Bliska sercu jest moja wieloletnia współpraca z Głównym Urzędem Statystycznym w Warszawie, gdzie wspólnie z byłymi rektorami Filii UW w Białymstoku, profesorami Andrzejem Jezińskim i Juliuszem Łukasiewiczem oraz z Andrzejem Wyczańskim, opracowałem kilkanaście tomów *Historii Polski w liczbach*. O wyjazdach na posiedzenia kilku rad redakcyjnych i rad naukowych periodyków ogólnopolskich czy konferencjach naukowych nie będę nawet wspominał...

Jest jeszcze Polskie Towarzystwo Historyczne...

Tak oczywiście. Jestem jego członkiem. To organizacja powstała w końcu XIX wieku we Lwowie i obecnie zrzesza prawie 4 tys. ludzi: zawodowych historyków, studentów, nauczycieli. Podstawowa praca jest realizowana w około 40 kołach w całym kraju. Jedno z nich funkcjonuje także w Białymstoku. Co pięć lat odbywamy powszechne zjazdy historyków pod patronatem prezydenta. Tradycja sięga jeszcze czasów sprzed wojny. Nie

ukrywam, że praca w towarzystwie sprawia mi dużą satysfakcję osobistą, gdyż daje możliwość wymiany myśli i poglądów z kolegami z całego kraju, z wielkich uniwersytetów i tych jak nasz białostocki, trochę mniejszych. Przez ostatnie trzy lata byłem Sekretarzem Generalnym PTH, a więc osobą, która spinała szereg przedsięwzięć towarzystwa, a teraz koledzy powierzyli mi funkcję jednego z czterech wiceprezesów Polskiego Towarzystwa Historycznego. Z naszego białostockiego środowiska podobną funkcję sprawował tylko prof. Władysław Andrzej Serczyk. Praca w towarzystwie to dla mnie okazja promowania też naszej uczelni i regionu, z jego stolicą na czele. Staram się, na ile to możliwe, żeby o ukochanym (i tego słowa nie wstydzę się) Białymstoku było pozytywnie głośno. Z drugiej strony odwiedzając wiele miast w kraju, denerwuję się (to łagodne określenie) na samą myśl, co się dzieje w ośrodku, który ma kilka uczelni państwowych i prywatnych z instytucją o nazwie *Białostockie Towarzystwo Naukowe*, ale to może taka cecha chłopaka z Bojar...

Pana wychowankowie?

Przede wszystkim miałem większy lub mniejszy wpływ na zatrudnienie w Instytucie Historii co najmniej kilkunastu najlepszych studentów po ukończeniu przez nich studiów, z czego się bardzo cieszę, widząc ich rozwój naukowy. Sam uprawiam dość trudną specjalizację, historię społeczno-gospodarczą i demografię historyczną, wymagającą nie tylko dobrej znajomości źródeł, ale też łaciny czy posługiwania się metodami statystycznymi. Do tej pory pod moją opieką naukową powstały trzy rozprawy doktorskie na bardzo dobrym poziomie, a przy tym bardzo różne tematycznie. Pani dr Małgorzata Kamecka (pracownik Instytutu Noeofillogii w naszym uniwersytecie) pisała o edukacyjnych podróżach do Francji młodzieży magnackiej w dobie saskiej; dr Łukasz Lubicz-Łapiński (z pionu naukowego białostockiego oddziału IPN) przygotował ciekawą rozprawę poświęconą przemianie rodziny drobnoszlacheckiej na Podlasiu w XV-XXI wieku, zaś dr Radosław Poniak z macierzystego Instytutu po raz pierwszy przedstawił w naszej historiografii na taką skalę problem funkcjonowania służby domowej w miastach od połowy XVIII do końca XIX wieku. Doktorzy Kamecka i Poniak na podstawie rozpraw wydali książki, które zyskały pozytywne recenzje i funkcjonują już w obiegu naukowym. W listopadzie tego roku powinna odbyć się obrona kolejnego mojego doktoranta, mgra Piotra Łozowskiego, który napisał rozprawę poświęconą aktywności gospodarczej rodzin Starej i Nowej Warszawy w późnym średniowieczu i wczesnej nowożytności. Sprawuję opiekę nad jeszcze kolejnymi trzema doktoratami. Tak że jest co robić i na tym polu, z czego także się cieszę.

Od paru dobrych lat przewodniczę Radzie Naukowej Instytutu Historii i Nauk Politycznych, która nadaje stopnie doktorskie i staramy się wszyscy, żeby ich poziom był wysoki. W sumie udało się na dzięki kolegom z Warszawy i wysiłkom białostoczan, między innymi Adama Dobrońskiego, Michała Gnatowskiego, śp. Hani Konopki, Haliny Parafianowicz, śp. Henryka Rucińskiego, śp. Władysława Andrzeja Serczyka (po kilkunastu latach przeniósł się do Rzeszowa), zbudować mocne środowisko naukowe. Dzisiaj, moim subiektywnym zdaniem, plasujemy się w okolicach piątego miejsca w ogólnopolskim rankingu środowisk historycznych. Na pewno trudno nam się mierzyć w sensie liczbowym i produkcji wydawniczej z Warszawą, Krakowem, Poznaniem, Wrocławiem. Ale myślę, że już z Gdańskiem, Lublinem, Łodzią, Olsztynem czy Rzeszowem w całą pewnością.

Niczego Pan nie żałuje?

Gdzieś jest nuta żalu, że uczestniczyłem w budowie klubu uniwersyteckiego z prawdziwego zdarzenia, a potem zagościły w nim „myszki”, kiedy w budynku po akademiku ulokowano biologię. Dziś, jeżeli się nie mylę, ponad 10-tysięczny uniwersytet nie ma własnego klubu.

Nieubłagany upływ czasu budzi także trochę smutniejszą refleksję, że nie będę mógł już wypić kawy lub wina z moim Mistrzem i wieloma innymi, których już, niestety, nie ma...

A z czego jest Pan dumny?

Jestem dumny, że pochodzę z białostockich Bojar, że tutaj właśnie w Białymstoku, początkowo Filii UW, a potem na samodzielnym Uniwersytecie, udało mi się zrealizować wiele moich planów i zamierzeń, a przy tym poznać tylu znakomitych starszych kolegów i koleżanek. Pragnę podkreślić, że dopóki żył prof. Wyczański, to z rozmów z nim czerpałem swoisty „wiatr w plecy”. Pamiętam doskonale jego obawy, żeby Białystok nie był zaściankiem naukowym, żeby publikować w polskich czasopismach, ale także i za granicą. A teraz muszę szczerze powiedzieć, że taką dużą radość dają mi częste rozmowy z moimi wychowankami i młodszymi pracownikami skupionymi w kierowanym przeze mnie Centrum (dr hab. Marzena Liedke, doktorzy Piotr Guzowski, Radosław Poniak, Krzysztof Boroda, Piotr Łozowski). Jestem z nich dumny, bo widzę, że jeżdżą już po świecie, że dostają propozycje z najlepszych ośrodków do udziału w konferencjach, zdobywają kolejne granty, bo potrafią spojrzeć na badania historyczne z jeszcze innej perspektywy, mając przy tym wiele ciekawych pomysłów badawczych. To jest ta olbrzymia moja radość.

Panie Profesorze, czego więc dziś życzyć Wydziałowi Historyczno-Socjologicznemu na następne kilka lub kilkanaście lat?

Wie Pan, czego nam życzyć? Niech Pan popatrzy na ten pokój, w którym rozmawiamy, w którym znajdują się biurka z epoki późnego Gierka! Chciałbym życzyć nam lepszych warunków pracy. Oczywiście w tych pokojach da się wytrzymać. Mam nawet taki pokój prawie że po sąsiedzku, w którym się zbieramy o ustalonej porze na herbatę, dyskutujemy i wracamy do siebie. Myślę jednak, że ogólne warunki do pracy naukowej, także dydaktyki, mogłyby być tutaj zdecydowanie lepsze i mówię o tym bardzo zdecydowanie! I chciałbym nam wszystkim życzyć młodzieży, która trafia na studia historyczne, ale nie tylko, żeby była świadoma swojego wyboru, i wartości humanistyki w codziennym społecznym życiu. Bardzo bym chciał, żeby ta nasza przyszła inteligencja nie była li tylko inteligencją obrazkową i tabletową. Niech owe tablety służą, jeżeli już nie przede wszystkim, to chociaż także do czytania książek. A młodym ludziom mówię krótko, warto studiować właśnie w Białymstoku, gdyż dzisiaj z perspektywy półwiecza znajdziemy tutaj znakomitych, zaangażowanych wykładowców i coraz lepszą (mam nadzieję że i dla humanistów) bazę materialną. Chciałbym, żeby nasza młodzież była dumna, tak jak ja, że jest z Podlasia.

Czego prof. Cezary Kukło życzyłby sobie na najbliższe lata?

Chciałbym, żeby udało mi się umiejętnie połączyć czas dla rodziny, dla dwóch fantastycznych wnuczek, 6-letniej Marysi i 4-letniej Tosi, z czasem na napisanie kolejnych książek i na spotkania z przyjaciółmi. Kiedy rozmawiamy, wnuczki są razem z córką za granicą, która dostała półroczne stypendium Fulbrighta, i za chwilę wracają. Tęsknię za nimi mocno. Chciałbym móc jeszcze częściej się spotykać z przyjaciółmi przy kawie, winie, piwie, słuchając dobrej muzyki. Dawniej szło się do nich bez specjalnego zapowiadania się, wpadało się i już. Dzisiaj trzeba zsynchronizować kalendarze, bo wielu z nich ma różne dodatkowe obowiązki itd.

Na pewno czekają mnie dwie książki, które muszę napisać wspólnie z innymi badaczami. Jedna książka zamyka grant poświęcony dziejom rodziny na ziemiach polskich, ukazanych na szerokim europejskim tle porównawczym. Druga natomiast jest już bardziej osobista. Chciałbym napisać pracę o społeczeństwie wiejskim, chłopsko-szlacheckim parafii Trzcianne w XIX wieku, w której żyli moi dziadkowie i rodzice, i w której spędzałem najpiękniejsze wakacje w moim życiu. Chciałbym zobaczyć, na ile owa społeczność między Bugiem a Narwią podlegała jakimś procesom modernizacji; czy bariery między chłopami a drobną szlachtą tutaj, na Podlasiu, bywały już gdzieś przekraczane przy doborze małżonków, chrzestnych. Mam

praktycznie opracowane trzy potężne spisy jej mieszkańców z lat 1843, 1880 i 1910. Książka wzbogacona o księgi metrykalne ślubów, chrztów i pogrzebów i o jeszcze inne źródła powinna być ciekawym studium ruchliwości społecznej i zawodowej wspólnoty wiejskiej i zachodzących w niej zmianami. Byłaby ona swego rodzaju hołdem oddanym tej społeczności, z którą także czuję się związany.

Dziękuję za rozmowę.

Dariusz KULESZA

– prof. dr hab., polonista, historyk literatury na Uniwersytecie w Białymstoku, kierownik Zakładu Literatury Międzywojennej i Współczesnej w Instytucie Filologii Polskiej UwB. Zainteresowania naukowe: literatura chrześcijańska, literatura powojenna, literacki Białystok oraz epepeja. Współautor *Słownika poetów polskich* (Białystok 1997). Autor takich książek, jak: *Tragedia ukrzyżowana. Dramaty chrześcijańskie Romana Brandstaettera i Jerzego Zawieyskiego* (Białystok 1999), *W poszukiwaniu istoty rzeczy. Studia i portrety* (Białystok 2014). Redaktor i współautor tomu *Tradycja i przyszłość genologii* (Białystok 2013). Współredaktor czterech monografii naukowych dotyczących cykliczności oraz literatury religijnej. Ostatnio wydał monografię: *Epepeja. Myśliwski, Herbert, Mrożek* (Białystok 2016).

DARIUSZ KULESZA

NIE TYLKO O PROF. ZBIGNIEWIE JAROSIŃSKIM

Panie Profesorze, nie miałem okazji poznać prof. Zbigniewa Jarosińskiego. Ale znam jego książki. Proszę o kilka wspomnień związanych z tym wybitym badaczem literatury.

Prof. Dariusz Kulesza:

Dużo Pan stracił jako student, nad czym ubolewam, mam nadzieję, że zdołam Panu jakoś to zrekompensować. A mówiąc bardziej serio, zadał Pan pytanie i od razu na nie odpowiedział. Osobą, która wywarła największy wpływ na badanie literatury XX wieku w czasach, kiedy się uczyłem, kiedy zaczynałem pracować, był prof. Zbigniew Jarosiński. Na marginesie: kiedy mówię o nim, myślę o Profesorze. Ale był to człowiek takiej życzliwości, że zmusił nas do tego, byśmy mówili do niego i o nim: Ty. Ulegliśmy, ja też, ale nie miało to nic wspólnego z traktowaniem, które w jakikolwiek sposób umniejszałoby jego wielkość. Do rzeczy. To był człowiek, do którego odwoływaliśmy się zawsze jako do autorytetu. Kiedy odbywały się zebrania, podczas których komentowaliśmy swoje prace, książki czy artykuły, Zby-



szek zwykle wypowiadał się na końcu. Wyglądało to tak. Zebranie. Rozmawiamy. Wszyscy się wypowiedzieli, burza mózgów, każdy jest niezmiernie zadowolony z tego, co powiedział, a Zbyszek czeka. Zebranie się kończy, wszyscy patrzą na niego, a on w taki sposób, jakby nie do końca orientował się w temacie, wygłaszał dosłownie kilka myśli, które sprawiały, że stawało nam się głupio, że w ogóle przed nim zabieraliśmy głos. On rozstrzygał, jaka była rzeczywista wartość tekstów, o których rozmawialiśmy. Nie dotykając nikogo, ratował nasze artykuły przed publikacją w takiej formie, w jakiej chcieliśmy je udostępnić światu.

Uczyłem się literatury, czytając jego książki i rozmawiając z nim. Prowadziłem z nim spór na takiej zasadzie, że niektóre jego prace, które znaleźliśmy w maszynopisach, wydawały mi się lepsze w tej wersji niegotowej, niż w wersji opublikowanej. Miewałem do niego o to pretensje, chodzi między innymi o *Nadwiślański socrealizm*. Kiedy Zbyszek pokazywał fragmenty tej książki, w których konkluzywność była bardzo daleko posunięta, kiedy w odniesieniu do poezji socrealistycznej mówił o poetyce refleksji światopoglądowej czy poetyce politycznych aktualności, to po prostu rozstrzygał, definiował, zamykał sprawę. A w książce stało się to bardziej rozpisane, nie tyle rozmiękczone, ile jego wiedza w momencie oddania publikacji do druku nie mieściła się w formułach, które uprzednio sprawę zamykały. Jako mniej zaawansowany polonista chciałem „strawy” jasnej, oczywistej i ostatecznej. Nie byłem gotowy na tę „strawę” skomplikowaną, złożoną, wielowymiarową, tę strawę prawdziwszą, którą on w książkach swoich publikował.

Zbyszek tak z nami współpracował, że my przejmowaliśmy jego sposób myślenia o literaturze mimowolnie. Nie narzucał swojego zdania, to zdanie było na tyle rozstrzygające, mądre, że my, jeśli starczało nam rozsądku, mówiąc o literaturze, nie tylko o tematach, którymi on się zajmował, byliśmy w stanie po krótszym albo dłuższym czasie zauważyć, że nasze sądy wynikają z tego, czego dowiedzieliśmy się od niego. To jest wpływ. Nie mówił: masz myśleć tak a nie inaczej, nie wskazywał na rozstrzygnięcia, które powinniśmy przyjąć jako własne. Tak zajmował się literaturą, że my, chcąc nie chcąc, stawaliśmy się tacy jak on. W każdym razie taki był nasz nieosiągalny cel.

Wracam do *Nadwiślańskiego socrealizmu*. To jego ostatnia książka. Opublikowano ją w roku 1999, a Zbyszek zmarł w styczniu 2000 roku. Jest w *Nadwiślańskim socrealizmie* taki fragment w części drugiej, poświęcony temu, jak emigracja reagowała na literaturę socrealistyczną. Zbyszek opowiadał o tym, jak potrzebował dwóch zdań czy jednego akapitu na stosunek redakcji „Orła Białego” do socrealizmu w naszym kraju. Przeczytał wszystkie roczniki „Orła Białego”, jakie były dostępne. To jest coś, czego dzisiaj się nie robi, albo co robi się bardzo rzadko, a on to praktykował, dla niego była

to norma. Był jednym z najważniejszych historyków literatury w naszym kraju. Konsumował wszystko, co było nieprawdopodobne i absolutnie niemożliwe. Pamiętam, jak mówił o Przemysławie Czaplińskim, który jest gigantycznym punktem odniesienia, przez jednych lubianym, przez innych niekoniecznie. Pamiętam ten podziw w oczach Zbyszka, kiedy mówił o profesorze Czaplińskim, że on wszystko czyta. Ujawniał wtedy miarę, którą stosował wobec literatury: poznać wszystko, żeby sformułować sąd jasny, czytelny, nie tyle spektakularny, nie tyle nadający się do spektaklu, do kawiarni, ale sąd, który stawia istotną diagnozę dotyczącą historii literatury. Wielcy ludzie bywają zaabsorbowani swoją wielkością, na rzeczy mniej ważne, na osoby, także na swoich współpracowników może brakować im czasu. To go nie dotyczyło. Miarą tego, jakim był historykiem literatury, było jego zachowanie, kiedy zaczął chorować. Pamiętam takie spotkanie: Zbyszkowi ciężko było nawet siedzieć, położył się na tapczanie i mówił o literaturze. Nie dlatego, że chciałem, ale on, zmęczony, miał na to ochotę. Sporadycznie przechodził na kwestie czysto prywatne, nie potrafiłem się w tej sytuacji znaleźć.

Zbyszek to taki święty, patron polonistów, trudno mi sobie wyobrazić kogoś, kto jest bardziej kompetentny i równie dobry, chyba że prof. Stefan Sawicki. Porusza mnie coś takiego, co w wypadku jego świętości może mieć znaczenie, coś na kształt męczeństwa. Nie chodzi o brak uznania, znany i uznany był, pełnił funkcje w Instytucie Badań Literackich PAN, był przez pewien czas z-cą dyrektora do spraw ogólnych, organizował studia doktoranckie. Pisze o tym we wspomnieniu publikowanym na łamach „Pamiętnika Literackiego” (zeszyt 4 z roku 2000) Zygmunt Ziątek, jeden z jego najbliższych przyjaciół. Na stronie naszego Uniwersytetu jest też wspomnienie, które Zbyszka dotyczy. Męczeństwo to między innymi jego choroba. Patrząc na to egoistycznie, w tym sensie, że on tak wcześniej oszczędł, bojąc się liczyć lata, które przeżył. Urodził się w marcu 1946 roku, zmarł w styczniu 2000 roku, to 53 lata.

Miewał zabawne słabości. Nie wiem na przykład, czy zrobił prawo jazdy, a jeśli tak, to na pewno po kilkunastokrotnym zdawaniu egzaminu. Sam o tym opowiadał. Był taki ludzki i zwyczajny, nie pasował do wielkości tego śladu, dorobku, który zostawił. Prof. Karwacka, niezjąca już szefowa naszego Instytutu, mówiła (ona już dawno była profesorem belwederskim, Zbyszek wciąż pozostawał doktorem), że bardzo wielu profesorów nie ma takiego dorobku, jaki on miał, mimo że nie wydał wielu książek. Inna sprawa, jaką wartość miały te książki. Został opublikowany na początku lat 80. doktorat, przygotowany u Marii Janion, poświęcony myśli lewicowej w literaturze XX-lecia międzywojennego. Głównie zajmował się awan-

gardą. Potem książka z 1988 roku *Postacie poezji i słynna*, wydana w serii „Mała historia literatury polskiej”, *Literatura lat 1945–1975*. Ta książka była recenzowana jako podręcznik przez wielkiego profesora Tadeusza Drownowskiego, ale też przez nauczycielkę języka polskiego. Śmieszyło mnie bardzo, kiedy Zbyszek mówił o zarzutach, jakie formułowano wobec jego „podręcznika”. Znam go, jak większość polonistów. Ta praca jest trochę oschła, wyciśnięta, funkcjonuje nieco na zasadzie skryptu, najlepszego z możliwych. Jest w niej wiedza podana w formie skondensowanej. Taka była intencja tej serii. On potrafił się samoograniczać ze względu na cel, który związany był z publikacją, jaką tworzył.

Znakomita pani prof. Krukowska wiedziała, że uwielbiam prof. Jarosińskiego, i w trosce o mnie, zatrzymała mnie kiedyś na korytarzu, podała dłoń i z troską powiedziała: „Darek, uważaj na tego Jarosińskiego, on jest pozbawiony zmysłu metafizycznego”. Pomyślałem o tej diagnozie, niewątpliwie słusznej, kojarząc ją z sytuacją pisania przez Zbyszka o T. S. Eliocie. Co by o Eliocie nie powiedzieć, to zmysł metafizyczny mógłby się przy czytaniu *Jałowej ziemi*, *Zjazdu rodzinnego* czy *Mordu w katedrze* przydać.

Zbyszek nie był strukturalistą. Strukturalizm dominował w latach jego pracy w IBL-u. Były takie giganty w rodzaju Janusza Sławińskiego, Michała Głowińskiego, które ustawiły literaturoznawstwo na jednoznacznie strukturalistyczne tory. Zbyszek nie, był on z socjologicznej/socjologizującej szkoły Stefana Żółkiewskiego. Kiedy czytał tekst literacki, widział go w kontekście historii, a nawet polityki. Widział go w kontekście tak rozumianej rzeczywistości. Nie odlatywał przy okazji literatury, ani nie zamykał jej w misterne struktury. Wiedział, że nawet najwspanialszy tekst uwikłany jest w tę doraźność, doczesność, miałość, w tę małość codzienną. Uważam, że nie mamy poglądów, tylko doświadczenia. Owocem spotkania z nim stało się kluczowe dla mnie przeświadczenie o tym, że literatura związana jest nierozzerwalnie z rzeczywistością.

Umiejętności, które Zbyszek posiadał, skazywały go na pisanie o socrealizmie. To także konsekwencja jego prac. Magisterium pisał w momencie, kiedy wyrzucono Stefana Żółkiewskiego z Uniwersytetu Warszawskiego w marcu 1968 roku. Zbyszek kończył studia w 1969 roku, był też przewodniczącym Koła Naukowego Polonistów na UW, co jest ważne. Napisał magisterium o powieściach Orzeszkowej. Potem doktorat o myśli lewicowej związanej z awangardą w XX-leciu międzywojennym. Pewne rzeczy, które wydarzają się na początku, pozostawiają trwałe ślady. Potem pisał o wszystkich. Jego teksty o Marku Nowakowskim, Kazimierzu Brandysie czy hasła w *Słowniku literatury XX wieku* są bezcenne. Zbyszek bardzo szybko zadebiutował jako krytyk literacki, jeszcze podczas studiów, w 1967 roku. Rów-

nie szybko tę twórczość krytycznoliteracką porzucił i zajął się tekstami o charakterze syntetycznym, o charakterze historycznoliterackim.

Jak prof. Jarosiński postrzegł nasze miasto?

Zbyszek zaczął pracować w Białymstoku w roku akademickim 1978/1979, od II semestru. Jeśli chodzi o integrację, przebiegała ona w sposób pożądany, głównie z naszego punktu widzenia. Wtedy zakładów było mniej, myśmy mieli jeden zakład z kulturoznawcami dzisiejszymi, na przykład z prof. Alicją Kisielewską. Nasze zebrania były dosyć liczne. Zanim powstały studia doktoranckie i studia podyplomowe w IBL-u, badacz, taki jak on, który pracował naukowo, potrzebował dydaktyki, kontaktu ze studentami. Był młody... Jak Pan widzi, jednoznacznej odpowiedzi na Pana pytanie udzielić nie mogę. Sądząc po sposobie spędzania czasu w Białymstoku, nie był to dla niego czas stracony. Myśląc o przyjazdach Zbyszka do Białegostoku, głównie mam świadomość tego, jak myśmy na tym korzystali. W każdym miejscu byłby równie bezcenny.

Porozmawiamy o innych postaciach ważnych dla białostockiej polonistyki. Wśród nich są prof. Helena Karwacka i mgr Waldemar Smaszcz.

Zawdzięczam bardzo wiele pani prof. Karwackiej. Była dyrektorem naszego Instytutu. Zaczęła rządzić w Białymstoku po prof. Andrzeju Makowieckim, ja go już nie spotkałem. Była ważna jako administrator, a jeszcze bardziej jako wielka, prawdziwa dama białostockiej polonistyki. Trudno mi o niej mówić, bo wyjątkowo dużo jej zawdzięczam. Pani Profesor uczyła mnie jako studenta. Byłem jej seminarzystą i doktorantem. Tego się nie zapomina, za to nie sposób podziękować, ale trudno o tym mówić, bo nie potrafię sprowadzić tej relacji do czysto zawodowej, akademickiej. Za dużo prywaty wchodzi w grę, za dużo zbyt intymnych zwierzeń. Może kiedyś będę gotów, ale jeszcze nie teraz. Zbyszek był moim bohaterem i to nie tylko zawodowym. Pani Profesor była jak bliski krewny, by nie powiedzieć więcej. Nie umiem o tym mówić.

Jeśli chodzi o pana Waldemara Smaszcza, był on i wciąż jest osobą oryginalną. Prowadził kiedyś zajęcia z poetyki i przez cały semestr zdanie po zdaniu analizował *Latarnika* Sienkiewicza. I to się studentom bardzo podobało. Mówiąc serio, pan Smaszcz był po świetnej edukacji toruńskiej. Jego mistrzowie to prof. Konrad Górski i prof. Artur Hutnikiewicz, który był kimś, kto bezpośrednio i realnie wpłynął na jego wykształcenie, bo jeśli Waldemar Smaszcz, to Skamander, to literatura emigracyjna, to Wierzyński i Lechoń. Waldemar Smaszcz zdobył solidne wykształcenie i dzielił się nim z nami na zajęciach typu analiza dzieła literackiego albo na konwersatoriach. Zbyszek powie-

dział mi kiedyś, że pan Smaszcz rozmienił się na drobne. Z perspektywy Zbyszka ta diagnoza była nieuchronna, ponieważ pan Smaszcz mógł zrobić doktorat bez problemu, gdyby napisał o Wierzyńskim szerzej, bo głównie nim się zajmował i najwięcej na jego temat publikował. Był edytorem i komentatorem jego poezji. Oczywiście, z perspektywy wielkiego historyka literatury ta diagnoza (rozmieniamy się na drobne) dotyczy większości z nas, którzy się za historyków literatury uważamy.

Pan Smaszcz był bardzo aktywny także poza uniwersytetem. Pracował w Białymstoku w latach 1974–1984, to było takie miejsce przy okazji. Jego życie literaturoznawcze, naukowe, krytycznoliterackie czy historycznoliterackie działo się głównie w trasie. To były wojaże przede wszystkim krajowe, ale także zagraniczne. Na początku pan Smaszcz mówił o sobie: krytyk literacki, eseista. Tak też był opisywany. Z czasem perspektywa historycznoliteracka stawała się dla niego coraz ważniejsza.

Pan Smaszcz pisze teksty o „wszystkim”: od *Bogurodzicy* po poezje ks. Jana Twardowskiego. Są jednak autorzy, których ostentacyjnie pomija, na przykład Witold Gombrowicz. Pan Smaszcz chciałby być też kimś, kto w wywarzony sposób sytuuje wybranych przez siebie autorów czy białostockich, czy emigracyjnych, polskich czy zagranicznych w kontekście wielkiej historii literatury. Najczęściej – i słusznie – mówi się jednak o tym, że bez pana Smaszcza nie byłoby początków życia literackiego w naszym mieście. Waldemar Smaszcz to rocznik 1951, skończył studia w 1974 roku, debiutował w „Kontrastach”. Razem z Janem Leończukiem położył wielkie zasługi w promowaniu marki literackiej naszego miasta pod tytułem Wiesław Kazanecki. Zadbał o to, żeby powstała Nagroda Literacka Prezydenta miasta Białegostoku imienia Wiesława Kazaneckiego. Złośliwi uważają, że literatura w Białymstoku staje się ważna tylko raz w roku, kiedy celebrytuje się jej wręczenie. Nie jest to prawda, ale to też sygnał, jak to może być traktowane. Także inna nagroda białostocka, im. Franciszka Karpińskiego, ogólnopolska, literacka, powstała nie bez udziału pana Waldemara Smaszcza. Krytyk literacki na pewno, eseista na pewno, ale także menedżer kultury i literatury.

Moje wspomnienia związane z panem Waldemarem Smaszczem są miłe, sympatyczne, jako student miałem z nim do czynienia. Kiedy już pracowałem, razem wyjeżdżaliśmy na literackie imprezy. Chcę publicznie po raz kolejny podziękować panu Smaszczowi za rady, których mi udzielał, także na temat tego, jak należy pertraktować z organizatorami zapraszającymi nas na wszelkiego rodzaju literackie spotkania. Kiedy przygotowywałem jubileuszowy wybór poezji Wiesława Kazaneckiego, zadzwoniłem do pana Smaszcza, ponieważ chciałem, żeby w tym wstępie pojawiło się jego na-

zwisko obok Jana Leończuka i Janusza Taranienki. Pamiętam spacery po Białowieży, opowieści, rady, nie tylko literackie, ale też życiowe. Teraz pan Smaszcz z jednej strony przyjął rolę specjalisty od „mistrza Twardowskiego”, powołując się na przyjaźń z nim, a z drugiej funkcjonuje jako promotor pewnych literackich nazwisk. Ktoś, kto ma doświadczenie, autorytet, pozycję może pomóc i pomaga nie tylko znanym, ale także/zwłaszcza nowicjusom. Życie pana Waldemara Smaszcza jest pełne takich i podobnych dobrych, literackich uczynków.

Jest Pan wielbicielem literatury regionalnej i od lat zajmuje się jej historią. Kiedy myślę o białostockiej poezji, przypominam sobie dwie postaci: Katarzynę Ewę Zdanowicz i Piotra Nowika.

Te nazwiska wystarczą, bo choć czasy się zmieniają i nowych twórców wciąż przybywa, Kasia i Piotr nadal są mi bliscy. Każde z nich zasługuje na osobne wspomnienie. Teraz wolałbym opowiedzieć o etapach, które my: pracownicy Filii Uniwersytetu Warszawskiego kiedyś, a teraz Uniwersytetu w Białymstoku, przechodziliśmy w związku z literaturą, która tutaj powstawała i powstaje. Najpierw, etap pierwszy: byliśmy zajęci sobą i wielką literaturą, a na marginesie naszej aktywności w mieście działali tacy ludzie, jak Jan Leończuk czy pan Waldemar Smaszcz, którzy białostocką literaturę stwarzali, nadając jej instytucjonalne i organizacyjne ramy. Zabiegali o to, żeby powstała w naszym mieście placówka, oddział, komórka Związku Literatów Polskich. Uniwersytet sobie, a życie literackie w Białymstoku sobie. Długo to trwać nie mogło, bo im intensywniej pracował pan Smaszcz, tym bardziej poloniści z uniwersytetu czuli się niekomfortowo. Doskonale przygotowani do tego, żeby o literaturze pisać, nie robili czegoś, co za nich robił ktoś inny. Przegrywając z panem Smaszczem w dyscyplinie „literacki Białystok”, postrzegani bywaliśmy jako równie drugorzędni na polu „literatura w ogóle”. To stało się na tyle poważnym problemem, że poloniści z uniwersytetu zaczęli wkraczać na tereny: lokalne, miejskie, podlaskie, które do tej pory były w dużej mierze obsługiwane przez pana Smaszcza. I to był etap drugi. Doszło do naturalnego rozwiązania problemu, do odreagowaniem „smaszczowej”, literackiej dominacji. Tak naprawdę okazało się, że my nie chcemy pójść w tę stronę, robimy coś, żeby odreagować jakiś kompleks, nieobecność. Ale to nie przekłada się na konkretne badania dotyczące literatury miasta i regionu.

Celowo używam tej nazwy, jako że łączy się ona z etapem trzecim, który, moim zdaniem, dzieje się teraz. Kilkoro polonistów, a dokładniej: kilka polonistek/literaturoznawczyń z Uniwersytetu w Białymstoku uznało, że trzeba zająć się miastem i regionem bardzo serio. Istnieje przecież oryginalna

metodologia badań regionalnych, tzw. nowy regionalizm. Funkcjonują związane z nim przedsięwzięcia pod tytułem „wielkie ogólnopolskie granty”, w których białostoczanie uczestniczą. Zajmujemy się literackim Białymstokiem ze świadomością, że robimy to jako wysoko wykwalifikowana kadra literaturoznawcza – powiedziałbym, gdybym do grona regionalistek należał. Są wśród nich Danusia Zawadzka, Ela Dąbrowicz i Kasia Sawicka-Mierzyńska. Wymieniam te osoby, które liderują, bo ich jest znacznie więcej, należałoby je tutaj przywołać, i one działają nie tylko naukowo, poprzez publikacje, ale także poprzez swoją aktywność animującą kulturę. Nagroda Kazaneckiego nie jest nagrodą, o przyznawaniu której rozstrzyga pan Leończuk czy pan Smaszcz. W rozstrzyganiu o tym, kto tę nagrodę otrzymuje, mają udział nasi pracownicy, pani prof. Sztachelska czy pan prof. Kochanowski. To jest miara tego, jak świadomie próbujemy za ten Białystok, my poloniści, wziąć odpowiedzialność. To jest normalna, regularna, pełnowymiarowa praca naukowa, dotycząca czy Sokrata Janowicza, Wiesława Kazaneckiego, Wiesława Szymańskiego, czy nurtu związanego z literaturą języka białoruskiego. Tego jest mnóstwo, mnóstwo nazwisk, mnóstwo tekstów i perspektyw badawczych. I to jest nasze. Wielkie dzięki składam tym moim Koleżankom i Kolegom, którzy studiują literaturę naszego regionu.

Dziękuję za rozmowę.



Dworzec kolejowy w Białymstoku. Tu przyjeżdżał i stąd odjeżdżał pociąg z i do Warszawy

Fan LEOŃCZUK

– poeta, prozaik, eseista, tłumacz; mgr; w latach 1975–1985 (Filia Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku) oraz 1987–1998 (Filia UW, a od 1997 roku Uniwersytet w Białymstoku) wykładowca uniwersytecki, folklorysta, potem także bibliotekarz, społecznik, bibliofil.

Debiutował w „Kontrastach” w 1970 roku. Jego utwory drukowały między innymi „Poezja”, „Literatura”, „Tygodnik Kulturalny”. Laureat Nagrody im. Pietrzaka w 1991 roku. W latach 1991–2000 członek Kapituły Nagrody Literackiej Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego. Wykładowca w Studium Kultury Polskiej w Wilnie w latach 1990–1994 i od roku 1998 członek Rady Krajowej Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” oraz wieloletni członek Zarządu Podlaskiego Oddziału tegoż Stowarzyszenia. Członek Związku Literatów Polskich od 1989 roku, w latach 1992–1995 wiceprezes, a w latach 1995–1999 prezes białostockiego Oddziału ZLP.

Od 1998 do 2016 roku piastował funkcję dyrektora Książnicy Podlaskiej im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku.

Trzykrotny laureat Nagrody Literackiej im. Wiesława Kazaneckiego w latach 1991, 1996 i 2010. W czerwcu 2006 roku odznaczony Brązowym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”. Uehonorowany księgą *Bibliotheca mundi. Studia bibliologiczne ofiarowane Janowi Leończukowi* (red. J. Ławski, Ł. Zabielski, Białystok 2016).

Inicjator i współredaktor III-tomowej edycji *Pism rozproszonych Zygmunta Głogera* (Białystok 2014–2016).



SZALEŃSTWO PANOWAŁO TOTALNE...

Pana przygoda z białostocką humanistyką zaczęła się w 1970 roku od studiów na Wydziale Humanistycznym Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku. Później rozpoczął Pan pracę jako nauczyciel akademicki w Instytucie Filologii Polskiej i w Instytucie Historii. Przez wiele lat był Pan związany z uczelnią. Jak Pan wspomina tamte czasy? Była to przygoda wyjątkowa, elektryzująca?

Jan Leończuk:

W jakim sensie przygoda? Dydaktycznym? Oczywiście, czułem się w pewnym momencie wyróżniony – nie wiem, dlaczego – przez profesora (wówczas docenta) Andrzeja Makowieckiego, którego byłem nieformalnym asystentem. Mój szef pracował wówczas we Wrocławiu i to mnie trochę rozkojarzyło – ta wędrówka między Białymstokiem a Wrocławiem, która była, nawet dla młodego organizmu, dość uciążliwa. Tym bardziej, że prowadziłem wówczas zajęcia chyba z pięciu różnych przedmiotów. Bardzo to lubiłem.

Pamięta Pan, jakie to były przedmioty?

Po tylu latach pamiętam już niestety niewiele. Co roku zmieniano program. Byłem zatrudniony – jako młody pracownik – na zasadzie takiej „zaphaj dziury”. Jako nauczyciela akademickiego drażniło mnie zawsze to, że studentom proponowano mało ambitne tematy typu: *Sprawa Witkacego a coś tam*. Prace dyplomowe, które wtedy powstawały, ale też i późniejsze prace magisterskie, okazywały się właściwie jedynie kompilacją różnych informacji, pochodzących z różnych źródeł. Owszem, to też jest ważne, choćby z powodów warsztatowych, metodologicznych. Ale czy aż tak? Czy o to chodzi w humanistyce? Miałem w życiu to szczęście, że znalazłem się na seminarium we Wrocławiu u prof. Czesława Hernasa, badacza folklorystyki. Tam było praktycznie wszystko: niesamowita różnorodność tematyczna, przede wszystkim interdyscyplinarne prace, na przykład o folklorze wędkarskim. Profesor był, powiedzmy, takim omnibusem, który chciał połączyć jak najwięcej różnych wątków, zjawisk, tekstów. I łączył znakomicie. Jego książka o hejnalistyce polskiej jest pracą, której nikt później nawet nie musiał rozwijać, niczego do niej dopowiadać. Okazała się kompletna.

Pan próbował zaszczepić w Białymstoku tę różnorodność?

Sposób, w jaki wtedy uczono, wywoływał we mnie opór i oburzenie. Buntowałem się przeciwko pracom wtórnym, kompilacjom. Chciałem nawet przekonać prof. Helenę Karwacką, by zaproponować studentom samodzielne poszukiwanie nieodkrytych jeszcze utworów literackich. Studiowa-

łem filologię polską z historią. Kierunki były wówczas łączone, a to dawało możliwości prawdziwego studiowania humanistyki jako czegoś, co pozwalało uważnie przyjrzeć się człowiekowi, z różnych stron. Muszę powiedzieć, że czas studiów to ogromne przeżycie, a zarazem lęk. Często miałem wątpliwości dotyczące poziomu tego, czego się nauczyłem. Mieliśmy do przepracowania po 50 godzin w tygodniu, odliczając sobotę i niedzielę. To straszliwy natłok pracy, a u mnie pojawiły się ogromne braki w wiedzy. Mówię to teraz, stawiając zarzut samemu sobie. Wówczas pomyślałem nawet, jeżeli Bóg pozwoli dożyć emerytury, to jeszcze raz sięgnę po mniej znane książki i – jako ten dawny „niedoczytany” student filologii polskiej i historii – wszystko nadrobię. Ale Stwórca z takich planów śmieje się aż do rozpuku, bo okazało się, że dziś z powodu choroby nie jestem w stanie czytać. Jest jeszcze słuchanie, ale w audiobookach jest niewiele prawdziwej literatury.

A studenci? Jacy wtedy byli?

Jestem ogromnie zadowolony ze studentów. I mam nadzieję, że oni byli zadowoleni ze mnie. Choć, szczerze powiedziawszy, nigdy nie zostałem zaliczony do grona nauczycieli akademickich, tylko do nauczycieli „technicznych”. Wymyśliłem wówczas temat *Na peryferiach literatury i historii*. Tu było wszystko. Przyznam się szczerze, że to mnie bardzo pociągało. Miałem wówczas, kiedy dojeżdżałem do Wrocławia, błogosławieństwo mojego szefa-profesora na takie szerokie nauczanie; profesora, który również zajmował się „wszystkim”, od takiej *poezji szalekowej* zaczynając, kończąc na czymś bardzo wysokim i wyrafinowanym, Szekspirze chociażby. Interesowało nas wówczas wszystko, co się do literatury nie zaliczało, ale było literaturą. Etnografia, kultura, historia, folklor, pogranicza literatury. Próbowałem te „ogony” czy „ogonki”, które gdzieś tam się pojawiały, zgłębiać. Powstał już wówczas, specjalnie ku takim badaniom powołany, ośrodek w Opolu. Ale nie było to wszystko jeszcze tak penetrowane gruntownie, jak się to czyni współcześnie. Teraz jest już sporo na ten temat prac, rozpraw, monografii. Myślałem nawet, że swoje prace z tamtego okresu zbiorę do gromadki jeszcze, ale uświadomiłem sobie, że musiałbym mnóstwo uzupełniać. A na to nie mam już sił.

Czy wówczas studenci taką materię dydaktyczną przyjmowali bez zastrzeżeń?

Oczywiście, między innymi dlatego, że równocześnie z badaniami literaturoznawczymi prowadziłem także badania socjologiczne. A to było dla nich atrakcyjne. Przykładowo: były to badania dotyczące plotek i pogło-

sek budowanych na takich dramatycznych faktach, jak pożar cerkwi na Świętej Górze Grabarce. Robiliśmy więc przymiarki do tego tematu, zbierając tekst najbliższej Siemiatycz i Grabarki. Ten sam temat był wielokrotnie powtarzany, ale w każdym rejonie nieco inaczej. To było ciekawe, jak się w świadomości ludzkiej to rozpisuje: tekst i fabulat, który był przy tym tworzony. Ogromnie się z tego cieszyłem i studentom opowiadałem te historyjki. Myśmy penetrowali różne obszary ciemne czy mniej ciemne, ale mam nadzieję, że jednego ich nauczyłem: że nawet to, co zostało napisane w ustępie na ścianie, to jest literatura, tzw. *literatura trzecia*, która ma swoje zakamarki, ale ma też swoją metodologię i badaczy. Zajmowałem się właśnie tą *literaturą trzecią*. Pracę napisałem o Brunonie Schulzu u profesora Makowieckiego. Była zatytułowana: *Erotyzm w prozie i rysunkach Schulza*. Nawet poznałem narzeczoną Schulza, która mieszkała na Pradze w Warszawie i jeszcze wówczas pracowała, chociaż była staruszką. Mieszkałem przy ulicy Strzeleckiej na Pradze Północ, a ona mieszkała przy ulicy Inżynierskiej. To właściwie sąsiednie ulice. Pomagałem jej wtedy przy różnych drobnych czynnościach domowych, i tak żeśmy się zaprzyjaźnili. Sporo informacji mam na różnych kartkach. Nie wszystkie spożytkowałem w swojej pracy. Przede wszystkim jednak pozostały wspaniałe wspomnienia z tamtych czasów. Teraz, kiedy czytuję książki związane z Schulzem, to uświadamiam sobie, że o pewnych sprawach wiedziałem dawno, nawet odnotowałem to w swojej pracy. Szedłem wówczas głównie w stronę erotyzmu i takiego nieuporządkowanego świata cielesności. To mnie wtedy bardzo pociągało.

Gdyby nie Pan, nie byłoby między innymi Kickiego Salonu Poetyckiego, działającego na Uniwersytecie Warszawskim w latach 1975–1976. Nie byłoby białostockiej Grupy Literackiej ZNP „Bakałarz” (to lata 1975–1977). Okazuje się więc, że nie interesowała Pana tylko nauka i praca dydaktyczna, ale i poezja. W takim razie, co było wcześniej: fascynacja badaniami literackimi, czy pisanie literatury? Czy dało się to wtedy pogodzić? Był Pan nauczycielem akademickim, uczył Pan studentów, ale już wrzała w Panu potrzeba literackiej ekspresji...

Miałem, że tak powiem, swoją literaturę, która mnie fascynowała. Natomiast na użytek dydaktyki musiałem stosować się do kanonu i być mu w jakiś sposób wierny. W 1973 roku napisałem pracę dyplomową o Schulzu i później trzymałem się tego, co było mi bliskie. Lubiłem, gdy literatura – użyję niezbyt precyzyjnego terminu – była mitologizująca. Właśnie dlatego Schulz ogromnie mnie fascynował.

Dużo Pan tworzył. Pisanie rodziło się nie tylko z potrzeby badania literatury, ale też z potrzeby ekspresji. Chodzi mi o to, że dziś jest niewielu badaczy, którzy łączą pisanie z badaniami literackimi.

Mnie bardziej pociągało pisanie. Nigdy nie konfrontowałem swojego pisania z innymi. Chociaż wiedziałem już później, że w takiej sytuacji był profesor Bogusław Żurkowski, przyjaciel Wiesława Kazaneckiego. Znałem takich ludzi – kilku, którzy uprawiali pracę naukową, ale i literaturę. Na przykład Jan Drzeżdżon.

Czy studenci albo wykładowcy polonistyki wiedzieli o tym, że Pan pisze? Te teksty ukazywały się gdzieś?

Niewiele publikowałem. Ale moje teksty ukazywały się chociażby w „Kontrastach”. Kiedyś miałem ogromną potrzebę, zresztą tak jak wszyscy piszący, żeby to, co piszę, poddać ocenie. Nie było wtedy takiej prasy, jak dzisiaj, tylu najróżniejszych sposobów pokazywania i publikowania, ale jakoś się wpisywałem w świat twórców. Mieszkając w Warszawie, w akademiku, to właśnie tam stałem się częścią Kickiego Salonu Poetyckiego. Po drugiej stronie ulicy był żeński akademik, a w jego podpiwniczeniu klub, więc nawiązywanie więzi było bardzo łatwe. Pojawiali się różni ludzie, z różnych części kraju, a później i świata. I nam, takim zwirowanym młodzieńcom, było tam razem dobrze. Wtedy miałem wielką ochotę na działanie, na bycie aktywnym. Łatwiej powiedzieć, gdzie mnie wtedy nie było, bo pojawiałem się nawet w Hybrydach. Nie wiem, czy dzisiaj, gdybym miał taką możliwość, czy bym się tak „szastał”, ale wtedy szukałem ludzi myślących podobnie jak ja. Albo wręcz przeciwnie, inaczej.

Czasem rodziło to zabawne sytuacje. W akademiku, w którym mieszkałem w czasie studiów, przebywał niejaki Kucharski. Budził mnie dosyć często, bo mieszkał naprzeciwko, a nie sypiał nocami. Użyłem w którymś ze swoich wierszy takiego określenia gwarowego, które wzbudziło jego zainteresowanie. Wielokrotnie prosił: „Słuchaj, ja już któryś raz przychodzę, żebyś mi wytłumaczył, co to znaczy”. Ale wiedziałem, że to jest tylko zgrywanie się z jego strony. Dziś to wspominam z wielkim sentymentem. Organizowałem konferencje, wykłady w Białymstoku. Jednym słowem: działało się wtedy.

Pozostańmy zatem przy tym temacie. Proszę zdradzić, jak się Panu udało zaprosić Steda, czyli Edwarda Stachurę?

To było bardzo proste. Sted występował wtedy w Warszawie na Kickiego. Powiedział któregoś razu, że chętnie by do nas przyjechał. Więc umówiliśmy się. Wracalem do Białegostoku i tu go przywozłem, tzn. przyjecha-

liśmy razem, chociaż on właściwie nie potrzebował opiekuna. Wiadomo, że był „wędowniczkiem”, jeździł po świecie. Już w wagonie się o tym przekonałem, kiedy zaczął rozmawiać z kimś po hiszpańsku. Ja go poznałem na dworcu, bo miałem zadanie z Klubu Literackiego, by przywieźć Steda do Białegostoku, a nie wiedziałem, czy mi się gdzieś po drodze nie ulotni. Trzeba było więc jechać razem. Tak żeśmy dotarli. On mieszkał u Bogusława Pezowicza nad restauracją „Grodno”. W Białymstoku pojawiliśmy się w BWA, czyli w dzisiejszym Arsenale. Byłem wstrząśnięty tym spotkaniem. Kiedy czytał fragmenty swojej książki *Się*, jeden z młodzików zawołał nagle: „Nie pierdol, Stachura, tylko śpiewaj”. Wtedy w oczach Stachury zobaczyłem łzy. I Sted zaczął śpiewać. Smutne to było, tym bardziej, że on trzy miesiące później popełnił samobójstwo. Zrobiliśmy wtedy w dużej sali w PAKS-ie kolejne spotkanie, i patrząc z przerażeniem, że ci, którzy go wtedy tak potraktowali, siedzą w pierwszym rzędzie. Dla mnie to było ogromne przeżycie.

Kto jeszcze odwiedzał Białystok?

Ryszard Milczewski-Bruno tu bywał. Przy ul. Świerkowej, na tym placu od ulicy Wiejskiej były kręgi betonowe i pamiętam, gdzieś nam zaginęła, i szukaliśmy go przez całą dzień. A on w krąg betonowy wszedł i tam spał. Dziwadła tu mieliśmy najróżniejsze. I to było przesympatyczne z jednej strony, ale z drugiej... wielce kłopotliwe.

A pozytywne dziwadła wśród studentów? Mówi się o studentach polonistyk, że oni programowo powinni być nieco oderwani od rzeczywistości.

Wtedy studentem „piszącym” był Jan Sochoń, obecnie ksiądz profesor. Nie wiem, co dziś się z nim dzieje. Było też paru innych twórczych studentów, którzy mi się już zawieruszyli w pamięci, więc nie wiem, czy im się udało zrobić karierę literacką. Ksiądz Sochoń był później autorem wiodącym, przedstawicielem młodszego pokolenia. Był również piszący wiersze Paweł Soroka, dziś profesor politologii. Był Edward Hołda – prozaik, poeta i reportażysta – bardzo sympatyczny. Patrząc na ten pokój, w którym siedzimy, i odtwarzam tamte klimaty i tamte obrazy.

Jeśli śnią się Panu czasy studenckie lub czasy, kiedy pracował Pan jako wykładowca akademicki, to co się Panu śni? Czy te wspomnienia wracają?

Wracają mi wspomnienia ludzi, których wówczas kochałem i dzisiaj Kocham. To były dla mnie bardzo ważne lata. Któregoś dnia miałem z żoną nawet małą potyczkę słowną, bo mam w swych zbiorach z czasów mło-

dości różne nieuporządkowane papiery. I tam leżał taki plik moich listów do kolegi, z którym kiedyś korespondowałem. Ów kolega później wyjechał daleko w świat i przed wyjazdem, pakując się, zwrócił mi te listy. I przez wszystkie lata uważałem, że te listy to moje największe dzieło; w części, oczywiście. Pisałem je codziennie. To były listy do Janka ze Sztokholmu. Moja żona... nie pytając o nic... Dlatego powiedziałem, że nigdy więcej... Już nie zostawiam niczego, bo musiałbym do każdego zdania robić przypis... taki rozbudowany. Zresztą cenię taką „literaturę pisaną”, epistolografię, która do publikacji przeznaczona jest dopiero po wielu latach. Nawet mam takie fajne dedykacje od Ernesta Brylla: „Basi od nalewki, a Janowi niestety od wierszy”. Chociaż, z innej strony, bardzo on lubił i szanował to moje pisanie. Co prawda nie oczekiwałem żadnych pochwał, ale pochwały były.

Obchodzimy dziś 50-lecie białostockiej filologii. Czego życzyłby Pan studentom i wykładowcom dzisiaj? Co warto byłoby powtórzyć, zachować, przywrócić? Zapewne były jakieś minusy tamtych czasów.

Polonistycy życzyłby tego, czego mi się nie udało zrobić w pełni ze studentami, a mianowicie, żeby zamiast prac, które są kompilacją różnych źródeł, artykułów, których często promotor nie zna, powstawały naprawdę oryginalne teksty. Rozwiązanie jest proste. Trzeba dać studentowi tekst na przykład z XIX wieku, jakiś popowstaniowy wierszyk. I niech ten przyszły magister zrobi do niego komentarz. Ten komentarz mógłby mieć kilkadziesiąt stron. Student musiałby ustalić tło tego wszystkiego: obiegi, warianty tekstu, bo na pewno ich było wiele, bo to najczęściej były teksty popularne, obiegowe, anonimowe itd. Taki student nauczyłby się wielu spraw związanych z teorią literatury, socjologią i historią. O to właśnie prosiłem śp. profesor Karwacką. Temu było poświęcone moje ostatnie z nią spotkanie, bo już wtedy nie pracowałem na uczelni. Więc taką ucieliśmy gadkę, i pytałem, czy dałoby się coś takiego studentom polonistyki proponować. Zwróciłem się do niej, bo ona była wtedy kierownikiem zakładu, w którym pracowałem. Była to osoba otwarta na literaturę. Ale wszystkiego nie udało się zrobić.

Zwraca Pan uwagę na ważną rzecz, którą kontynuował już jako dyrektor Książnicy Podlaskiej. Myślę o głębokim zainteresowaniu literaturą regionalną, wyrastającą z miejsc, w których przyszło nam żyć. Wydaje mi się, że to, co teraz dzieje się na polonistyce, to działania zmierzające właśnie w tę stronę, by poznać to, co nam najbliższe. Spotkałem ostatnio studentkę, która pisze pracę magisterską o Jerzym Nachile. To

dobry znak. Studenci zaczynają fascynować się przestrzenią, z której wyrastają.

Wówczas były takie czasy, można powiedzieć, pogardy wobec tego, co się na Białostocczyźnie rodziło. Nie było wtedy odważnych wykładowców, a tym bardziej odważnych studentów. Prowadziłem zajęcia, na których, oczywiście, próbowałem zainteresować studentów tym rodzajem literatury regionalnej. Wówczas popularne było pojęcie literatury ludowej, samorodnej. Niektórzy traktowali ją jak grafomanię, ale był cały „zestaw” poetów ludowych tu, z terenów Podlasia czy województwa białostockiego, którzy byli niezwykle interesujący. Czołową postacią była Melania Burzyńska, ale też Elżbieta Daniszewska, Franciszek Świącki, nad którego książką pracowałem. Pamiętam, wydaliśmy wtedy takiego „samorodka” z Wysokiego Mazowiecka.

Nie żałował Pan tego, że rezygnuje z Uniwersytetu na rzecz pracy w Książnicy Podlaskiej? To oczywiście był awans, ale człowiek musiał się wcisnąć w garnitur, krawat.

Bardzo lubiłem studentów i młodych ludzi. Myślę, że była też jakaś wzajemność. Nikomu nie postawiłem oceny niedostatecznej, a pracowałem około 20 lat. Prowadziłem egzaminy, profesor Makowiecki w jednym pokoju, ja w drugim. Odsyłałem, jak czułem, że już nic się nie da „wycisnąć”, ale nie stawiałem ocen niedostatecznych. Egzaminy miały być zwykłą rozmową, tak jak z Tobą rozmawiam, przeskakując z jednego tematu na drugi, później wracając jeszcze raz, głębiej wchodząc, później znowu „wychodząc”, żeby nie zmęczyć studenta i żeby to było miłe spotkanie.

A dlaczego zmieniłem uczelnię na bibliotekę? To taki dla mnie bardzo smutny epizod. Moje ostatnie pobory na uczelni to 510 złotych na rękę. Co wystarczało mi wówczas na dwie stawki insuliny, czyli tak na miesiąc i trochę. Już wtedy cierpiałem na cukrzycę, więc nie ukrywam, że pieniędzy mi brakowało. Zostałem w pewnym momencie mojego życia wezwany do Urzędu Wojewódzkiego, by jako prezes białostockiego oddziału ZLP poprzeć kandydaturę pewnej osoby. Gdy przybyłem do urzędu, pani wojewoda, wówczas Krystyna Łukaszyk, zapytała mnie wprost: „A Ty nie mógłbyś zostać dyrektorem Biblioteki Wojewódzkiej?”. Podziękowałem, bo to było sympatyczne, ale powiedziałem, że muszę to przemyśleć. Następnego dnia miałem dać odpowiedź... no i zgodziłem się.

Chciałbym zapytać jeszcze o życie towarzyskie na ówczesnej polonistyce w Białymstoku. Chodzi o relacje między studentami a wykładowcami. Na przykład pamiętam niesamowite konwersatoria ze śp. profesorem

Elżbietą Feliksiak, kiedy przychodziliśmy do Zakładu. To był zawsze czwartek, godzina 16.00. Parzyliśmy wtedy herbatę, a Pani Profesor przynosiła ciastka. I tak siedzieliśmy rozmawiając o literaturze chyba trzy czy cztery godziny. Pamiętam nie tylko niesamowity poziom tych spotkań, ale i życzliwość Pani Profesor. To było spotkanie jak przy rodzinnym stole. Czy Pan uczestniczył w takich dyskusjach, a może był ich inicjatorem?

Ja uczestniczyłem w takich spotkaniach we Wrocławiu.

A w Białymstoku była taka atmosfera?

Tak. Do osób, które potrafiły stworzyć taką atmosferę należała chociażby doktor Gorenkowa. Czasami szaleństwo panowało totalne.

Proszę powiedzieć o tym szaleństwie, bo teraz bardzo mi go brakuje. Dla mnie polonistyka to było pięć szalonych lat.

Cały urok polonistyki polegał na tym, że tam nie było skrępowania, jakie istnieje często między uczniem i nauczycielem. Nie chodziło o to, żeby się ze sobą zbratać i mówić sobie na „ty”, tylko o to, że nie było tematów, które mogłyby zostać odrzucone.

Taka atmosfera panowała już wtedy, gdy polonistyka była w budynku przy ul. Świerkowej?

Tak. Nas w jednym pokoju było wtedy dziesięciu. Nie zawsze rozmowy mogły być takie spójne, bo każdy, kto wchodził, przynosił coś nowego. Herbata i kawa łały się litrami, i to było bardzo scalające dla nas wszystkich. Wtedy nie czuliśmy, że ktoś jest profesorem, doktorem habilitowanym czy innym. To były bardzo ciekawe spotkania. Byłem tu, w Białymstoku, przypisany do profesora Makowieckiego. Makowiecki zatrzymywał się w Hotelu Asystenta. Wchodzę w takie już prywatności, w które nie chciałbym wchodzić. Mogę powiedzieć, że było bardzo sympatyczne. Nie ukrywam, że czasami częstowaliśmy się czymś mocniejszym.

Czasów stanu wojennego na polonistyce nie mogę pamiętać z racji wieku. Ale chciałbym o tym porozmawiać. Jak polonistyka radziła sobie wtedy? Pamiętam, że jak studiowałem, to byłem dumny z tego, że wchodzę na teren uniwersytetu, do którego policja nie miała prawa wejść. Czy był wtedy ferment intelektualny, który skłaniał do pójścia pod prąd?

Miałem takie epizody. To temat bardzo ciekawy, ale nie chciałbym już do tego wracać.

Ale pamięta Pan pojawianie się literatury, wydawanej gdzieś w konspiracji, dystrybuowanej „tylnymi drzwiami”?

Oczywiście. Wielokrotnie wieźliśmy walizy takich książek z Warszawy, bo otrzymałem je w Muzeum Archidiecezji Warszawskiej na Solcu. Tam był pan Krzysztof Burek i to on nam wtedy pomagał. Kiedyś, jak wracałem do Białegostoku z profesorem Maroszkim, to namierzyli nas w tym pociągu i pamiętam, że wtedy wysiadłem w Łapach, bo wiedziałem, że w Białymstoku już się na nas szykują. Wtedy udało mi się zmylić trop, bo między Łapami a Białymstokiem już pociąg się nie zatrzymywał. Zawsze znajdowało się jakieś sposoby. A wracając do zakazanych książek... Cóż, bardzo lubiłem tę literaturę, dlatego że ona uzupełniała moje ogromne braki.

Co się wtedy czytało?

Wszystko, co wpadło w ręce, także prasę podziemną. Wtedy jeszcze Miłozsa, Konwickiego, Brandysa nie można było dostać. Tego typu literaturę nam dowożono.

Jak zaczynałem studia w 1997 roku, to był to pierwszy rok funkcjonowania Uniwersytetu w Białymstoku. Pan pracował jako nauczyciel akademicki w czasach, kiedy w Białymstoku działała Filia UW. Filia była miejscem „zsyłki” dla niektórych niepoprawnych politycznie warszawskich wykładowców. Czy atmosfera tej niepoprawności dała się odczuć?

Oczywiście, i w pełni potwierdzam, że to był błogosławiony czas dla tej Filii i tych profesorów. Oni tu znajdowali bardzo szybko kontakt ze studentami. To były więzi, które pozostały na całe życie.

Jakich warszawskich wykładowców Pan pamięta?

Nie będę wymieniał nazwisk, bo mógłbym kogoś zwyczajnie pominąć. W tamtych czasach pociąg Warszawa – Białystok nazywano uniwersyte-tem latającym, bo tam ponoć toczyły się oryginalne wagonowe dyskusje. Studiowaliśmy polonistykę z historią, więc tam i profesorowie historii podróżowali. To ponoć było coś niesamowitego. Ja nie wędrowałem w tym pociągu. Myśmy tylko następnego dnia, że tak powiem, odbierali informacje i materiały, ponieważ przywożono tego dużo. Ci, którzy przywozili, wiedzieli, komu można, a komu nie można ufać. Nie wyglądało to rzecz jasna tak, że przychodzili, stawali na środku holu i rozdawali. To była konspiracja, ale taka, że z tymi publikacjami miało zapoznać się jak największą liczbę osób. Nam wtenczas darowywano nieprzeczytane lektury w zamian za przeczytanie tych przywiezionych tekstów.

Pamiętam na pierwszym roku studiów wykłady u profesora Józefa Wierchowskiego. On nigdy nie krył tego, że jest politycznie niepoprawny.

Wszyscy, których myśmy znali, nigdy nie kryli swoich politycznych orientacji. To było dla nas coś, co dodawało sił, a poza tym uczyło otwarcia na studentów. Nam było łatwiej, bo my byliśmy tylko asystentami, a nie profesorami. Oczywiście nie wszyscy się w to bawili. To inna sprawa.

2018 rok to 50-lecie istnienia środowiska. Kawał czasu. Czasy się zmieniają. Mówi się, że ludzie czytają mniej książek, bo pojawił się Internet, nowoczesne technologie, a tu trzeba przyjść na zajęcia i przeczytać setki pozycji. Co zrobić, by polonistyka wciąż była modna? Wydaje mi się, że moda na myślenie nadal jest.

Nawet nie wiem, jakie są w tej chwili lektury. Wtedy nie było takiego zamordyzmu okropnego. Bo to jednak zależy od osoby, która prowadziła zajęcia. Osoba, która była bardziej otwarta, miała rzeczywiście słuchaczy, a inni to tak różnie.

Jak u Pana było na zajęciach?

Ja zajęcia prowadziłem w poniedziałki, ale to już ostatni etap mojego życia uczelnianego. Tylko o jednym epizodzie opowiem. Wcześniej prowadziłem w dużej auli na parterze coś w rodzaju wykładów. Tematy były różne, ale z literaturą związane, takie „bieganie po literaturze”. Chodziło o to, żeby cały proces literatury jakoś tak przekazać w miarę strawnie, żeby się to studentom utrwalalo. Prowadziłem również zajęcia „Literatura dla dzieci i młodzieży”, ale to już zupełnie inna bajka. Natomiast co do tej historii, to przyznaję szczerze, że miałem studentów tłumnie odwiedzających moje zajęcia. Tam były najprzeróżniejsze rozmowy, które nie tylko literatury dotyczyły. Przychodzili też się zwierzać. Pamiętam taką scenę. Miałem w poniedziałek z rana wykład, to konwersatorium się nazywało. Było 60-100 osób. Przychodzili z różnych kierunków, kto chciał. Prowadziłem w poniedziałek od godziny 8.00, więc myślałem, że nie będą przychodzić o tak wczesnej porze. A zawsze miałem komplet. Nawet dawałem im delikatnie do zrozumienia, żeby nie przychodzili. Ale przychodzili. Pamiętam też, jak kiedyś szedłem przez ul. Wiejską, podbiegła do mnie kobieta, taka – powiedzmy – 30-kilkuletnia i krzyknęła: „Panie magistrze, panie magistrze”, i się rozgląda. To ja się zatrzymuję i pytam, w czym mogę pomóc? A kobieta mówi, że chciała powiedzieć, bo tu nikogo nie ma, że mam „osobę” jedną i drugą, która się mną „opiekuje”. I wymieniła trzy nazwiska. Poprosiła mnie, żebym uważał, bo te osoby współpracują z „nimi”. Ja to sprawdziłem i wszystko się zgadzało. A więc różni byli wtedy ludzie.

W takim razie, jaki jest przepis na dobre wykłady, dobre zajęcia, przyciągające studentów?

Nie należy wyciągać jakichś wyjątkowych sensacji, ale wystarczy być normalnym, czyli jak masz temat, to masz sukces. Prowadziłem między innymi zajęcia poświęcone plotce i pogłosce. I to się studentom podobało. Bo jak człowiek oddala się od miejsca, w którym coś konkretnego się wydarzyło, to zaczynają się pojawiać motywy i opowieści rodem z XIX wieku i one jakby przyklejają się do oficjalnego komunikatu, obudowując go atmosferą sensacyjności. Dzisiaj jest tego tak dużo na rynku wydawniczym, że nie ma potrzeby prowadzić takich zajęć, bo sprawdzenie, co jest prawdą, a co fałszem, jest praktycznie niemożliwe. Ale wówczas te przecieki, które urastały do rangi opowieści, były niezmiernie ważne.

Pamiętam moje czasy polonistyki, kiedy panowała relacja uczeń – mistrz. Były autorytety: prof. Halina Krukowska, prof. Elżbieta Feliksiak.

Też miałem na szczęście takich profesorów. Ogromnie się cieszyłem właśnie z takiego kontaktu. Myśmy szli na przykład na piwo i tam żeśmy debatowali jeszcze. To były bardzo fajne relacje. To był taki uniwersytet, który funkcjonował „po godzinach”.

To trzeba utrzymać, prawda?

Powinno się! To jest to, o czym mówisz, relacja mistrz – uczeń. Ja byłem asystentem, więc nie byłem mistrzem, ale przy mistrzu żyłem i jakoś tak wzajemnie się wspieraliśmy. Przywoziłem też z Wrocławia informacje od mojego szefa, prof. Hernasa, którego wszyscy kochaliśmy. Nie wstydę się o tym mówić, że my, asystenci czy adiunkci, mieliśmy na przykład jego zdjęcia i trzymaliśmy je na półteczkach czy w portfelach. Profesor kiedyś nawet nam delikatnie zwrócił uwagę, że on takiego uwielbienia by nie chciał, bo go to krępuje. Niezwykłe to były czasy, aż mi się zechciało do Wrocławia pojechać.

Mimo że przestał Pan pracować na Uniwersytecie, wiążąc się z Biblioteką Wojewódzką, współpracował Pan intensywnie z Wydziałem Filologicznym Uniwersytetu w Białymstoku. I wciąż jest Pan przyjacielem białostockiej polonistyki.

Dobrze, że są prof. Jarosław Ławski i dr Krzysztof Korotkich, i sporo ludzi, bez których nie dałoby się inaczej, do których się Ignie. Ja jestem tym typem, który się przylepia.

A czego dziś Panu życzyć? Znajdujemy się wśród książek, całe Pana życie jest związane z książkami. Jakie plany ma Jan Leończuk – literat, działacz, człowiek-instytucja?

Jestem chory, to wiadomo. Mam ogromne problemy ze wzrokiem. Nie jestem w stanie czytać. Od roku nie napisałem ani jednego zdania. Jest mi więc smutno, bo przygotowałem sobie tyle publikacji do przyswojenia. To, co tutaj się znajduje, to tylko część biblioteki. Pan Bóg najbardziej się śmieje, jak człowiek planuje. Myślałem, że jak przejdę na emeryturę, to będę czytał i czytał. A tu przykra niespodzianka.

Dlatego życzę Panu zdrowia. I dziękuję za rozmowę.

Ja również dziękuję.

Andrzej MAKOWIECKI

ANDRZEJ MAKOWIECKI

– prof. zw. dr hab.; polonista, historyk literatury, emerytowany profesor Uniwersytetu Warszawskiego i Akademii Teatralnej. Zajmuje się historią literatury okresu pozytywizmu, Młodej Polski i dwudziestolecia międzywojennego; w swoich badaniach często uwzględnia perspektywę socjologii literatury. Autor wielu monografii, w tym: *Młodopolski portret artysty* (1971), *Tadeusz Żeleński (Boy)* (1974), *Trzy legendy literackie Przyszewski – Witkacy – Gałczyński* (1980), *Młoda Polska* (1981), *Wokół modernizmu. Szkice* (1985). Twórca *Słownika postaci literackich* (2000), także autor lub współautor kilku podręczników literatury dla liceów i studentów polonistyki.

Po Marcu 1968 roku pracował na białostockiej Filii Uniwersytetu Warszawskiego, na stołeczną polonistykę powrócił w roku 1981 i kierował Zakładem Literatury Pozytywizmu i Młodej Polski przez dwadzieścia lat. Ostatnie lata aktywnej działalności poświęcił pracy w Kolegium Międzywydziałowych Indywidualnych Studiów Humanistycznych UW. Pełnił wiele funkcji organizacyjnych, między innymi dyrektora Instytutu Filologii Polskiej na Filii UW w Białymstoku (1980–1981), prodziekana do spraw studenckich Wydziału Polonistyki UW (1984–1987), dyrektora Instytutu Literatury Polskiej Wydziału Polonistyki UW (1987–1993), dziekana Wydziału Wiedzy o Teatrze PWST (1989–1993), przewodniczącego Zespołu Nauk Humanistycznych w Komisji Ekspertów przy Ministrze Edukacji Narodowej (1995–2001), zastępcy dyrektora do spraw studiów i studentów w Kolegium MISH UW (1996–2005). Jest członkiem Rady Akademii Artes Liberales od chwili jej powstania. Wypromował 23 doktorów i kilkuset magistrów.

Podziwiany jako dydaktyk. Mieszka w Warszawie.



SALON des ARTS
(mars-avril 1955)
Hall de la PLOTE 27-29-30
01 rue Bonaparte - Paris



WSPOMNIENIA SENTYMENTALNO-DODATNIE

Na stronie internetowej Rady Akademii Artes Liberales znalazłem informację, że po Marcu 1968 roku odbywał Pan ideologiczną kwarantannę na białostockiej Filii Uniwersytetu Warszawskiego. Kierował Pan polonistyką białostocką przez wiele lat, mnóstwo czasu poświęcił Pan naszej uczelni. Jakie wspomnienia z tych początkowych, trudnych czasów pozostały?

Prof. Andrzej Makowiecki:

Znalazłem się w Białymstoku razem z wieloma innymi, z którymi pożegnał się Uniwersytet Warszawski po Marcu 1968 roku. Byłem świeżo po doktoracie, ale od nowego roku akademickiego nie miałem szans na zatrudnienie na Uniwersytecie Warszawskim. Przez jakiś czas byłem bez pracy, ale zarabiałem pisanem. Później poszedłem do Państwowego Instytutu Wydawniczego na pół etatu redaktorskiego, żeby przetrwać. Pewnego dnia prof. Danuta Buttlerowa i prof. Andrzej Wyrobisz złożyli mi propozycję dalszego poświęcenia się dydaktyce. Od jesieni '69 roku podjąłem więc pracę na Filii w Białymstoku i od tego też roku pojawił się „desant” naukowców z Warszawy. I tak do Białegostoku dojeżdżali znakomici historycy: Ewa Wipszycka-Bravo, Andrzej Wyrobisz, Andrzej Wyczański, Stefan Meller, Adam Manikowski i Jan Kofman. To była reprezentacyjna drużyna o określonych politycznych poglądach i był to rodzaj zesłania, które dla wielu (jak się później okazało) miało swoje dobre strony.

Dojeżdżali też poloniści. Z warszawskich językoznawców prowadzili zajęcia między innymi: Danuta Buttlerowa i Roxana Sinielnikoff, z literaturoznawców – Zbigniew Sudolski, Elżbieta Feliksiak, Anna i Andrzej Goreniowie.

Na początku pojawiło się trochę problemów z dojazdami. Do Białegostoku z Warszawy wiodła jedna nitka torów kolejowych z „mijanką” w Małkini (kursował oczywiście pociąg parowy z lokomotywą). Bywało, głównie zimą, że podróż trwała niewyobrażalną liczbę godzin. Zawsze staram się nawet w trudnych sytuacjach zachowywać poczucie humoru, dlatego mówiłem, że nie jestem pierwszym pokoleniem polskiej inteligencji, które wyjeżdża w kierunku wschodnim, mam więc i tak wyjątkowe szczęście, że wysiadam dosyć wcześnie, a nie w okolicach Władystoku. Zresztą w miarę upływu czasu zapomina się o tych gorszych doznaniach, tzn. wypiera się je z pamięci i pozostają już tylko miłe wspomnienia. Bywały też problemy z pracą, która wymagała zostawienia rodziny, bo tych dni poza domem było dużo. Jeździłem do Białegostoku regularnie, od jesieni '69 roku do '81 roku. Gdyby policzyć dni, które tam spędziłem, to były to 2 – 3 dni w tygodniu przez 12 lat, co daje w sumie szmat czasu. Białystok jest więc miastem, które po

Warszawie znam najlepiej, i czuję się tutaj jak w domu. Żał mi trochę tej lokalizacji przy ul. Świerkowej, poza miastem, koło lasku. Hotel Asystenta, w którym nocowaliśmy, stał tuż obok, dlatego w lecie było tam cudownie. Poza tym zima białostocka też jest malownicza, piękniejsza niż rozdeptana zima warszawska. A więc mam wspomnienia sentymentalno-dodatnie.

Wykładowcy, którzy przyjeżdżali do Białegostoku, wnosili energię do pracy dydaktycznej, naukowej i kształcili coraz lepszych studentów. Trudno temu zaprzeczyć...

To jest naturalny proces. Samodzielna, autonomiczna uczelnia o randze uniwersytetu, kształcąca na wielu kierunkach i mająca pewien „zasób personalny” stały i wysokiej próby, nie powstaje od pstryknięcia palcami. W którymś momencie postanowiono, że Uniwersytet Warszawski przejmie opiekę nad dotychczasowym Studium Nauczycielskim i to będzie Filia UW z rozwojem do studiów magisterskich. Warszawskie nauczanie uniwersyteckie w ten sposób się „zdecentralizowało”. Miało to swoje wady, bo uczelnia „na walizkach”, żywiąca się w dużej mierze zamiejscowym zasobem personalnym, to nie jest dobre wyjście. Wykładowcy w którymś momencie znikają, nie mogą służyć konsultacjami, gdy tego potrzebują studenci. W dużej części te potrzeby zaspokajała kadra miejscowa Studium Nauczycielskiego: metodyk Stanisław Morawski, językoznawcy – Irena Halicka, Halina Saniewska, Teresa Branicka, Jerzy Bralczyk, literaturoznawcy – Halina Krukowska, Barbara Noworolska. Oni tu mieszkali i tym samym łatwiej im było sprostać codziennym obciążeniom. Ale już wtedy formowała się „własna” kadra. Uczelnia staje przecież samodzielnie na nogi wtedy, gdy część pracowników, poświęcających się dydaktyce i pracy naukowej, jest już wykształcona na tej uczelni. W tej chwili kadra polonistyki białostockiej to są w znacznej części ludzie, którzy ukończyli studia w Białymstoku w rozmaitych latach, a więc to jest już „własna” kadra.

Pan Profesor pamięta zapewne czasy, kiedy w Białymstoku brakowało książek do prowadzenia dydaktyki. Jak się wtedy uczyło? Jacy byli studenci?

Kiedy uczelnia otrzymała nazwę Filii Uniwersytetu Warszawskiego, podniosła się jej ranga. Ale zanim doszło do tego, przez jakiś czas było jeszcze kształcenie dwukierunkowe, nauczanie języka polskiego z historią. Wtedy wszystko przekształcało się nieustannie. W Białymstoku już wtedy funkcjonowała Akademia Medyczna, do dziś ciesząca się wysokim szacunkiem i uważana za jedną z lepszych w kraju, mająca jedno z najwyższych miejsc w zakresie ginekologii i położnictwa. Ale atmosfera kulturalno-humanistyczna w mieście była dopiero w trakcie formowania, brakowało książek

i często trzeba je było na zajęcia przywozić z Warszawy. Na Rynku Kościuszki funkcjonował antykwariat i tam można było niekiedy złapać kompletne rarytasy. Być może okoliczni mieszkańcy, pozbawieni humanistycznych zapędów, wyprzedawali księgozbiory po rodzicach czy krewnych. Ale to się skończyło, bo te książki zaczęli wykupować studenci polonistyki. Z jednej strony to zjawisko, które mogło cieszyć, a z drugiej było żal, że już się nie trafiało takich „białych kruków”.

Czuł się Pan wtedy jak „spadochroniarz”, który wpada na moment do miasta? A może był już Pan istotną „częścią” jego struktury?

Jeżeli się weszło w strukturę uczelni, to wrastało się w miasto w sposób zupełnie oczywisty. Przyjeżdżałem na dworzec w Białymstoku z wyprzedzeniem, żeby się nie spieszyć (a prowadziłem także wykłady dla studentów świeżo otwartego Wydziału Lalkarskiego warszawskiej PWST – dziś Akademii Teatralnej). Zajęcia miałem nieco później i mogłem sobie pozwolić na spacer przez ul. Lipową i Rynek Kościuszki. „Gapiłem się”, wsiadałem w 10-tkę, która jechała ul. Kawaleryjską. Czasami przyjeżdżałem dzień wcześniej, żeby przenocować i w spokoju rozpocząć pracę następnego dnia. Ostatni raz byłem w Białymstoku 1,5 roku temu i wszystko w obrazie miasta zmieniło się na lepsze w stosunku do tamtych, pionierskich lat. To jakby punkt docelowy tego ruchu, który zaczynał się wówczas. Wtedy z nabożnym skupieniem oglądaliśmy boczne uliczki Białegostoku ze starą, drewnianą zabudową, prawie wiejską, której teraz oczywiście nie ma. Budynek przy Świerkowej był za miastem i jak się chciało zjeść między zajęciami, wszyscy wędrowali piechotą przez ulicę Kawaleryjską, ponieważ przy stacji benzynowej była restauracja. Piechotą zwiedziłem wielokrotnie cały Białystok. Po pewnym czasie zawiązaliśmy kontakty towarzyskie z miejscowymi pracownikami Filii, którzy okazali się bardzo serdeczni i gościnni.

Czy pracował Pan w budynku przy ulicy Liniarskiego?

Nie. To był budynek partii, zasiedlić go humanistyką uniwersytecką można było dopiero, gdy rozwiązało się PZPR. Duży, przyzwoicie wyglądający budynek nagle opustoszał. Po tych przenosinach parę razy tam byłem, ale mam sentyment do starej siedziby przy Świerkowej.

Jak wyglądały relacje między studentami a wykładowcami? Pamiętam ze swoich czasów studenckich niezwykle relacje uczeń – mistrz, świetne seminarium z prof. Krukowską i prof. Feliksiak. Czy wtedy rzeczywiście funkcjonował etos studenta i etos wykładowcy?

Myślę, że tak. Studenci odczuwali dumę, że z uczelni robi się coś ważnego.

Obraz studenta przez lata się nie zmienia, tamci studenci są podobni do tych, którzy studiują obecnie. Zdarza się wśród nich stały procent wybitnych, dominująca grupa średnia, która wychodzi z uczelni z dobrym wykształceniem. I część, która znalazła się tu przypadkowo, albo w ogóle nie chciała tego kierunku, ledwo sobie radzi. Taki skład procentowy nie ulega zmianie, bez różnicy, czy to Warszawa, Sorbona czy Białystok.

Miałem dobre relacje ze studentami, nigdy nie budowałem specjalnych granic, uważałem, że byliśmy kolegami w polonistycznej robocie. Studentami w tym czasie byli także i ci, którzy w tej chwili zajmują wysokie miejsca w hierarchii naukowej, na przykład Barbara Olech, Anna Kieźuń, Jolanta Sztachelska, Jan Leończuk, Ryszard Chodźko i wiele osób, z którymi nie miałem potem kontaktu. Ci ludzie mieli wiele ambicji i wiele możliwości intelektualnych, by tym ambicjom sprostać i to w trudnych warunkach. Piotr Wróblewski był wtedy dyrektorem biblioteki Filii. Kiedyś zwrócił się do mnie z pytaniem dotyczącym kupienia kompletu *Bibliografii polskiej* Karola Estreichera. To było w sumie kilkadziesiąt tomów... i wysoka cena. Powiedziałem, że przyzwoita biblioteka uniwersytecka, polonistyczna czy historyczna, powinna obowiązkowo taką pozycję mieć. Piotr Wróblewski zdecydował się więc na kupno. Później w „Gazecie Białostockiej” pojawiła się wiadomość o zakupie książek za ogromne pieniądze i zaczęły się „dyskusje społeczne”. Była to „burza w szklance wody”. Ale wszystko szybko ucichło, a *Estreicher* pozostał.

Pamiętam z tych pierwszych lat, że uczelnia najpierw miała tylko Zakład Filologii Polskiej, gdzie pracowało kilkanaście osób. Potem się podzieliliśmy na językoznawstwo i historię literatury.

Był Pan dyrektorem Instytutu Filologii Polskiej w latach 1980–1981. Jak Pan wspomina te czasy?

Nie było łatwo w atmosferze gorącego społecznego protestu i stawania się historii na naszych oczach. Skończyłem kadencję z końcem roku akademickiego 1980–1981. W tym momencie zostałem odwołany do Warszawy, a na moje miejsce przyszła prof. Helena Karwacka. W tych gorących latach 1980–1981 na Uniwersytecie Warszawskim powstała specjalna komisja do spraw niewłaściwych decyzji personalnych, którą kierował nieżyjący już prof. Klemens Szaniawski, wybitny uczony. „Odkręcano” te wszystkie zsyłki po marcu '68 roku i w ramach decyzji tej komisji zostałem przywrócony do pracy na Uniwersytecie Warszawskim. W tym samym czasie, jeżdżąc do Białegostoku, działałem także na Wydziale Lalkarskim Akademii Teatralnej (zresztą brałem udział w jego zakładaniu razem z Klemensem Krzyżagórskim i Krzysztofem Rauem). To było doświadczenie, które wspo-

minam jako bezcenne. Przyjeżdżałem do Białegostoku przez wiele lat, a od '75 czy '76 roku na dwie uczelnie. Prowadziłem zajęcia z historii literatury dla aktorów lalkarzy i normalne zajęcia polonistyczne na Filii. Ponadto były jeszcze funkcje organizacyjne.

A stanowisko dyrektora w tamtych trudnych czasach?

Miałem mało kontaktów z tym stróżem, który nazywał się Partia. Ale był rok siedemdziesiąty któryś, kierowałem Zakładem Filologii Polskiej. Poproszono mnie, żebym się zgłosił do Wydziału Nauki i Oświaty w Komitecie Wojewódzkim. Przyjęła mnie jakaś pani, chyba kierownik, nawet sympatyczna. Kierowałem zakładem najpierw jako adiunkt, ale od 1974 roku byłem docentem (tzw. kontraktowym, bo nie miałem habilitacji). To było nieco śmieszne, taki kredyt zaufania: my ciebie powołamy na to stanowisko, bo już zaraz zrobisz habilitację. Ta pani zaczęła ubolewać nad stanem upartyjnienia polonistyki, że mało jest członków partii. Sam jestem bezpartyjny – mówię – nie mogę dać przykładu. A ona mówi: panu to już nie jest potrzebne, pan jest już docentem, ale tych młodych by pan zachęcił. Ten cynizm, który ujawnił się mimochodem... Nic w tym nie było dziwnego. Po Marcu '68 też mnie namawiano, żebym się zapisał do partii, to pozostałem na UW.

Jeździliście Państwo do Białegostoku, prowadziliście dydaktykę, seminaria magisterskie, ale potrzebowaliście jeszcze czasu na badania naukowe. Jak to Państwo łączyliście? Wykorzystując zimą wielogodzinną podróż z Warszawy do Białegostoku?

Należę do ludzi, którzy niechętnie coś robią w pociągu. Mogę rozmawiać, czytać, ale nie wyobrażam sobie intensywnej pracy naukowej. Zresztą chyba nigdy warunków do niej w tym pociągu nie było. Jechała cała ekipa, jechali na Politechnikę Białostocką i na Filię, na Wydział Lalkarski. Ten ranny pociąg do Białegostoku – w początkach kursował chyba tylko jeden – był rozgadany, trzęsący się od rozmów. Opowiadano dowcipy, częstowano herbatą, chodzono do bufetu. Słowem: w pełni intensywne życie towarzyskie. Chodzi tu o ranny pociąg relacji Warszawa–Białystok, ponieważ powroty do stolicy odbywały się w bardzo rozmaitych terminach i różnymi kursami. Ale rano śmiałem się, że jadą bojówki dydaktyczne w stronę Białegostoku. Pamiętam świetne rozmowy z Janem Wilkowskim, znakomitym lalkarzem i reżyserem lalkowym, który też systematycznie dojeżdżał z Warszawy. W pociągu poza polonistami, którzy z reguły grali w ulubioną przez prof. Buttlerową kanastę (była to gra karciana wówczas modna), jeździł Adam Manikowski, późniejszy dyrektor Biblioteki Narodowej i dy-

rektor Instytutu Historii PAN-u, Jan Kofman – późniejszy dyrektor PWN-u, Stefan Meller – późniejszy minister Spraw Zagranicznych, często lalkarze-wykładowcy, aktorzy i dyrektorzy teatrów warszawskich. To było znakomite towarzystwo do rozmów, żartowania, opowiadania sobie historyjek. I do rozmów poważnych.

Czy po powrocie do Warszawy, czego Panu nie brakowało?

Już pracując tutaj, w Warszawie, przez jakiś czas jeszcze jeździłem do Białegostoku. Musiałem kończyć seminaria magisterskie, zajęcia. Ponieważ prowadziłem też zajęcia dla nowo utworzonej reżyserii Teatru Lalek, studenci tego kierunku przyjeżdżali do mnie do Warszawy. To była mała grupa, cztero-, pięciosobowa. Dodam, że w Białymstoku mieszkają bliscy krewni mojej Żony, więc pobyt w mieście był zawsze okazją do odnowienia znajomości. Z nostalgią wspominam odwiedziny u Bralczyków na jednym z osiedli w okolicach ul. Mickiewicza. Studenci bardzo lubili zajęcia Jerzego, prowadzone z dużym poczuciem humoru, z autoironią i subtelnymi dystansem. Już wtedy znać było klasę osobowości wykładowcy.

Czy byliście Państwo częścią życia kulturalnego Białegostoku. Czy wykładowcy pisali do gazet, organizowali spotkania literackie?

Po 1974 roku ukonstytuował się zamiejscowy Wydział Lalkarski przy warszawskiej Akademii Teatralnej. Jego współzałożycielem był Klemens Krzyżagórski, który objął redakcję miesięcznika „Kontrasty” w Białymstoku – pisma reporterów, które miało znakomitą markę w całej Polsce. Wiele razy pisałem do „Kontrastów” historyczno- i krytycznoliterackie artykuły.

Panie Profesorze, rozmawiałem z Janem Leończukiem, poetą, dyrektorem Książnicy Podlaskiej, który zorganizował przyjazd Edwarda Stachury do Białegostoku. Czy Pan pamięta spotkania z ludźmi pióra, ludźmi kultury, niekoniecznie związanymi z uczelniami?

Pamiętam, że sam wygłaszałem słowo wstępne na wieczorze poetyckim Stefana Mellera w „Spodkach” koło dworca. Wyszedł wtedy jego tomik i odbył się wieczór autorski. Filarem polonistyki w tym czasie był wspomniany Jan Leończuk, literacko firmował Filię. Środowisko białostockich literatów nie było zbyt liczne. Był Czykwin, Niczyporowicz, Kazanecki i jeszcze parę osób. Te lata białostockie z perspektywy lat dobrze wspominam, także w tej przyczynie, że byłem młodszy. Te lata przyniosły niestereotypowe doświadczenie dla kogoś, kto urodził się w warszawskiej rodzinie i poza Warszawą dłużej nie przebywał. Białystok zrobił się dla mnie drugim – po Warszawie – najważniejszym miastem.

Jak Państwo spędzaliście czas po zajęciach? Podlaska kuchnia, podlaskie trunki?

Poza Białymstokiem nigdzie nie udało mi się jeść rosółu z frykadelkami, które serwowała restauracja „Grodno”. Wspominam też babkę ziemniaczaną, którą się zajadaliśmy. Piło się też wódkę przy różnych okazjach, do późnych godzin nocnych prowadziliśmy rozmowy towarzyskie. Odwiedzałem też z Adamem Manikowskim jego rodziców, wybitnych lekarzy białostockich.

W 2018 roku obchodzimy 50-lecie istnienia białostockiej filologii. Czego by Pan Profesor nam życzył?

Polonistyka i studia humanistyczne przeżywają dzisiaj kłopoty. Kultura humanistyczna jest w odwrocie. Liczą się zawody, które mają charakter pragmatyczny, w których efekty osiąga się wymierne i materialne, takie, w których sukces mierzy się miejscem na rynku. To humanistyce nie sprzyja. A polonistyce białostockiej należałoby życzyć, żeby nadal trzymała poziom, na który weszła z trudem od lat siedemdziesiątych, od czasu dwuletnich studiów na SN, i weszła wysoko. Musi ten poziom utrzymywać i promieniować kulturą humanistyczną, także na wschód.

Cały pas wschodni ma, poza humanistycznymi zadaniami, również zadania patriotyczne. W swojej wielonarodowej strukturze jest znakomitym przykładem tego, jak ważne jest współistnienie i zgoda na wspólnym terytorium. Polacy, Białorusini, Tatarzy z tego regionu to jest resztką Rzeczypospolitej wielu narodów. To ważne, żeby świadomość kulturowa była silna na wschodnich terytoriach Polski w czasach, które kulturze humanistycznej nie sprzyjają. Myślę, że Uniwersytet w Białymstoku poradzi sobie z tymi zadaniami.

Dziękuję za rozmowę.



Dawna restauracja „Hortex” przy ul. M. Skłodowskiej-Curie, miejsce spotkań studentów

Fan Jerzy MILEWSKI

JAN JERZY MILEWSKI

– dr; w latach 1968–1971 studiował filologię polską z historią w Filii UW w Białymstoku (praca dyplomowa pod kierunkiem dr. Andrzeja Makowieckiego), następnie historię w Uniwersytecie Warszawskim – promotorem pracy magisterskiej (1974) i doktorskiej (1982) był prof. dr Andrzej Garlicki. Od 1 marca 1974 roku zatrudniony w Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku. Dwukrotnie był prodziekanem Wydziału Humanistycznego d/s studenckich (1983–1985 i 1996–1999), pełnił też różne funkcje w Instytucie Historii (zastępca dyrektora Instytutu Historii, kierownik Studium Podyplomowego). W ostatnich kilkunastu latach pracował także w Instytucie Pamięci Narodowej i Wydziale Zarządzania Politechniki Białostockiej.

Zajmuje się historią I połowy XX wieku ziem północno-wschodnich Polski (pogranicza polsko-litewsko-białoruskiego). Autor kilkuset prac opublikowanych poza Polską na Litwie, Białorusi, Rosji i Ukrainie, w tym kilku książek (m. in. *Województwo białostockie. Zarys dziejów. 1919–1975*, Białystok 2011), redaktor lub współredaktor kilkunastu książek (ostatnio: *Ź dziejów represji sowieckich wobec Polaków w latach 1937–1952. Białoruś, Litwa, ziemie północno-wschodniej Polski*, Białystok – Warszawa 2017). Zajmował się m. in. zbrodniami w Jedwabnem i okolicy (współautor *Wokół Jedwabnego*, t. I– II, Warszawa 2002) oraz oblawą augustowską (m.in. współautor i redaktor *Oblawa augustowska – lipiec 1945 r. Wybór źródeł*, Białystok 2010). Od 2000 r. redaktor „Biuletynu Historii Pogranicza”. Obecnie jest prezesem Oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego w Białymstoku.



MIELIŚMY SZCZĘŚCIE DO LUDZI...

1968 rok, Wyższa Szkoła Nauczycielska, później Filia Uniwersytetu Warszawskiego, samodzielna uczelnia. Jest co wspominać...

Jan Jerzy Milewski:

Przyjechałem po raz pierwszy do Białegostoku prawie 50 lat temu, bo powstawała nowa uczelnia, kształcąca nauczycieli. Zacząłem studia na kierunku dosyć trudnym, bo filologia polska z historią wymagała czytania wielu lektur. To były studia 3-letnie zawodowe, teraz określa się je mianem licencjackich. Tak zostałem w Białymstoku do dzisiaj, z krótką przerwą na kontynuację studiów w Warszawie. I jestem z tego bardzo zadowolony. Dodam, że od samego początku była to Filia Uniwersytetu Warszawskiego, a WSN była w ramach Filii. Wszyscy otrzymaliśmy zresztą indeksy UW.

Jakie były początki studiów?

Byłem chłopakiem z prowincji. Co prawda podwarszawskiej, ale to można bardzo szeroko interpretować. Kiedyś na zajęciach ze szkolenia wojskowego pułkownik zapytał jednego z kolegów: *Wy, Buszko, skąd jesteście?* On mówi: *Spod Warszawy. A konkretnie skąd? Z Białowieży.* Cała kompania ryknęła śmiechem. Mieszkąłem bliżej Warszawy, ale ta uczelnia zaczęła mi się podobać, jej koloryt i charakter, który nadawali pracownicy przyjeżdżający z Uniwersytetu Warszawskiego. Oni reprezentowali uczelnię z tradycjami i te kadry były uzupełnione przez byłych pracowników Studium Nauczycielskiego, którzy z jednej strony czuli się zagrożeni przez ludzi z zewnątrz, obejmujących najważniejsze stanowiska, lecz z drugiej strony część z nich aktywnie zaczęła nad sobą pracować, podnosić swoje kwalifikacje, zdobywać kolejne stopnie naukowe.

Kiedyś studia wyższe czy stopień magistra to było coś zupełnie innego niż teraz. 50 lat temu magister znaczył co najmniej tyle co teraz doktor, jeżeli nie więcej. Na naszych absolwentów czekały miejsca pracy. Wszyscy, chyba na II roku studiów, dostaliśmy propozycje nie do odrzucenia. Trzeba było podpisać umowy o stypendia fundowane, co nas zobowiązywało do pracy w określonych placówkach. Taką umowę podpisałem z Kuratorium w Białymstoku, żeby nie pogorszyć swojej sytuacji materialnej. Potem okazało się, że miałem pracować w Liceum Ogólnokształcącym w Sokółce. Uważaliśmy to za dopust Boży, za ograniczenie naszej wolności. Teraz gdyby nasi absolwenci dostawali propozycje pracy, to byłiby szczęśliwi. To były inne czasy. Brakowało nauczycieli z wyższym wykształceniem.

W Wyższej Szkole Nauczycielskiej było bardzo dużo przedmiotów pedagogicznych i w ogóle bardzo dużo zajęć, a jeszcze jeden dzień w tygodniu

wypadał na szkolenie wojskowe. Obciążenie ponad 40 godzin tygodniowo zajęć, łącznie z sobotą. Jeżeli ktoś miał jeszcze hobby, a ja trenowałem lekkoatletykę w AZS-ie w Białymstoku, to zupełnie nie było wolnego czasu. Chodziło się po bibliotekach, nie można było kserować książek, nie było takich urządzeń jak kserokopiarki. Trzeba było czytać i robić notatki, co miało też dobre strony. Jak się przeczytało artykuł i zrobiło notatki, to się miało pewne pojęcie na określony temat. W ostatnich latach, jak zauważyłem, studenci robią sobie kserokopie i czytają dopiero podczas zajęć. To jest bardzo smutne i niewiele daje. W dodatku nie można było powtarzać pierwszego roku – jeżeli się nie zdało jakiegoś przedmiotu, było się wyrzucanym ze studiów. Takie osoby znajdowały się w dramatycznej sytuacji, zwłaszcza mężczyźni, którym groziła dwuletnia zasadnicza służba wojskowa. Dlatego my wtedy byliśmy grupą osób bardzo intensywnie pracującą i staraliśmy się sprostać wysokim wymaganiom, które nam stawiali nasi wykładowcy. Niestety, prawie każdy uważał, że jego przedmiot jest najważniejszy.

Pamięta Pan nazwiska?

Oczywiście, że pamiętam. Najwybitniejsi wykładowcy to byli historycy, czołowi polscy naukowcy, począwszy od prof. Stanisława Herbsta czy Stefana Kieniewicza. Dziekanami naszego Wydziału Humanistycznego byli historycy, którzy – co oczywiste – mieli lepsze kontakty w środowisku historycznym. A jeśli chodzi o polonistów, to szczególnie pamiętam panią doc. Danutę Buttlerową, która jakiś czas była kierownikiem Zakładu Filologii Polskiej. Zdawałem u niej egzamin, bardzo się bałem, że zapyta mnie o rozbiór logiczny zdania. Do tej pory mam z tym kłopoty. Na szczęście pani doc. Buttlerowa uważała, że takie rzeczy na pewno są oczywiste i pytała mnie o różne nowoczesne koncepcje, teorie językoznawcze, o których mówiła na wykładach. Pilnie chodziłem na wykłady i sobie z tym poradziłem, więc zdałem egzamin na czwórkę.

Drugą osobą, która miała istotny wpływ na tutejszą polonistykę, był doktor, późniejszy profesor, Andrzej Makowiecki, u którego pisałem pracę dyplomową, a z którym, jak zacząłem pracować na Filii Uniwersytetu, mieszkałem w jednym pokoju w Hotelu Asystenta przy Świerkowej. To wspinała postać (potem znany jako przewodniczący jury w „Wielkiej grze”), potrafił barwnie opowiadać, studenci nigdy na jego wykładach się nie nudzili.

Trzeba też pamiętać o miejscowych wykładowcach. Pani Halina Krukowska, która zaczynała pracę jako magister, była osobą niezwykle solidną. Wkrótce stała się – choć była bardzo życzliwa – postrachem części studentów, dlatego, że bardzo dużo wymagała na egzaminach z romantyzmu. Była też, może trochę obecnie zapomniana, pani dr Barbara Noworolska, która mia-

ła żyłkę społecznika, uczestniczyła w życiu literackim Białegostoku. Dzięki niej, chyba nieformalnie, uruchomiono specjalizację radiową; w efekcie kilkoro studentów trafiło do radia na dłużej i stało się znanymi dziennikarzami. Warto by tutaj wspomnieć jeszcze jedną osobę, pana dr. Stanisława Morawskiego. On z kolei był miłośnikiem filmu i organizatorem Dyskusyjnego Klubu Filmowego – filmy były poprzedzane prelekcjami, z dyskusjami po seansach było już gorzej. Te zajęcia zachęcały studentów do interesowania się kinem. Powinienem też wspomnieć o opiekunce mojego roku, pani dr Irenie Halickiej, która z matczynym podejściem starała nam się pomagać w kłopotach życiowych. Później była prodziekanem, a następnie kierownikiem Zakładu Filologii Polskiej. Koniecznie trzeba jeszcze wymienić dr. Jerzego Bralczyka – obecnie największego gwiazdora wśród językoznawców, z którym moja znajomość zaczęła się, gdy już byłem asystentem. Okazało się, że w młodości mieszkaliśmy przy tej samej linii kolejki wąskotorowej, ale na dwóch jej końcach: on przed Mławą, ja – przed Makowem.

Co skłoniło Pana do podjęcia pracy naukowej?

Pracy w Liceum w Sokółce nie podjąłem. Ówczesny dziekan, pierwszy dziekan Wydziału Humanistycznego, doc. Andrzej Wyrobisz, zainspirował wielu studentów do działalności naukowej. Powstało Koło Naukowe Historyków. Jeździliśmy na letnie obozy, zbieraliśmy relacje o działalności Armii Krajowej na Suwalszczyźnie (choć sam dziekan był mediewistą) i to pogłębiło moje zainteresowania naukowe. Braliśmy też udział w ogólnopolskich konferencjach kół naukowych, który organizował corocznie Uniwersytet Warszawski w schronisku w dolinie Rostoki. Bywało tam grono obecnie wybitnych historyków: prof. prof. Tomasz Nałęcz, Andrzej Chojnowski, Wiesław Władyka, Cezary Król. Będąc studentem III roku, pojechałem z koleżanką Wiesławą Marek do Rostoki. Przedstawiliśmy tam referat o działalności AK w okręgu białostockim i dostaliśmy pierwszą nagrodę. Była to wielka sensacja dlatego, że w konferencji uczestniczyli studenci wszystkich najważniejszych polskich uczelni, łącznie z KUL-em (z Bogdanem Borusewiczem na czele). Z innych uczestników pamiętam Tomasza Wołkę z Gdańska, obecnie znanego publicystę. Sukces dowartościowywał nie tylko nas, ale i uczelnię, dlatego został bardzo dobrze przyjęty w środowisku. Pozwolił nam uwierzyć we własne siły, a w moim przypadku miał decydujący wpływ na skierowanie mnie na studia na Uniwersytecie Warszawskim. Kilka osób z naszego roku zostało właśnie zakwalifikowanych po ukończeniu III roku na studia indywidualne na UW. Miałem wtedy trochę kłopotów, bo oblałem przed egzaminem dyplomowym w czerwcu egzamin z literatury dla dzieci (jedyne, którego nie zdałem podczas studiów) u pani

dr Joanny Papuzińskiej, znanej autorki książek dla dzieci. Dostałem trudne pytanie: jakie znam powieści dla dziewcząt. Ja ich nigdy nie czytałem, więc nie mogłem popisać się wiedzą. I była dwójka w indeksie. Dziekan Wyrobisz zmartwił się tym i zapytał: „Co zrobimy? Przecież pan ma iść na studia do Warszawy?”. Wymyślił jednak sposób: nie czekano z poprawką do jesieni, lecz zorganizowano ją jeszcze w czerwcu. Pojechałem do Warszawy i zdałem. To działalność w kole naukowym zdecydowała, że kontynuowałem studia w Instytucie Historycznym UW pod kierunkiem prof. Andrzeja Garlickiego, który był moim promotorem pracy magisterskiej i doktorskiej.

Pierwsza propozycja pracy na uczelni...

Tę propozycję pracy dostałem od dziekana Wyrobisza. Już na semestr przed zakończeniem studiów miałem napisaną pracę magisterską, ale proszono mnie, bym jeszcze nie zdawał egzaminu magisterskiego (żeby nie stracić stypendium), bo etat będzie dopiero od marca 1974 roku. Przyjechałem więc do Białegostoku. A studenci? Nasi studenci to byli bardzo sympatyczni ludzie. Spotykamy się do dzisiaj w różnych sytuacjach. Wielu z nich zrobiło karierę. Miałem wówczas do czynienia ze studentami historii, ale również miałem kontakt z polonistami, bo przez kilka lat pełniłem funkcję prodziekana do spraw studenckich na Wydziale Humanistycznym. Pierwszy raz, to były lata 1983–1986, a za drugim razem w latach 1996–1999. Stąd też znam bardzo wielu absolwentów polonistyki, którzy wtedy byli studentami, a teraz są bardzo znanymi pracownikami naukowymi.

Jak sprostą Pan obowiązkowi dziekana?

Jeśli chodzi o pierwszą kadencję z lat 1983–1986, to była ona bardzo trudna, bo w cieniu stanu wojennego. Wielu studentów zostało aresztowanych, miało rozprawy sądowe. Najbardziej znaną postacią był Tomasz Wiśniewski. Ale tymi sprawami się nie zajmowałem, prowadził je Adam Dobroński, który był wtedy dziekanem i w miarę możliwości udzielał wsparcia, oraz wielu innych pracowników związanych ze zdelegalizowaną wówczas „Solidarnością”. To były czasy trudne z różnych względów. Najbardziej dotkliwe było skrócenie studiów magisterskich z lat 5 do 4, co powodowało szereg komplikacji. Prawdopodobnie wynikało to z chęci szybkiego pozbycia się tych studentów z uczelni, którzy byli przyczyną „fermentu”. Był to problem dla ówczesnych władz na szczeblu ministerstwa, bo jeśli chodzi o nasze władze na wydziale czy władze Uniwersytetu Warszawskiego, to one zawsze stawały w ich obronie. Mieliśmy to szczęście, że byliśmy Filią Uniwersytetu Warszawskiego i uczelnia-matka była takim parasolem ochronnym nad naszą Filią, bo na miejscu były osoby skłonne dokonać czystki.

Pracowało u nas wiele osób, które wcześniej w Warszawie były usunięte z pracy ze względów politycznych i taką formą kary było dla nich skierowanie do Białegostoku. Odbierane to było jako kara, choć czasami stawała się ona szansą, a dla nas darem z nieba. Jeden ze znanych historyków, później minister spraw zagranicznych, Stefan Meller, pracował w Warszawie w Spółdzielni Fryzjerskiej. Dla niego przeniesienie i możliwość pracy na Filii Uniwersytetu w Białymstoku było ważne. Wspominały człowiek, studenci go bardzo dobrze wspominają jako jednego z najlepszych wykładowców. Drugi okres, kiedy byłem prodziekanem (1996–1999), miał inną specyfikę: odpłynęły problemy polityczne, pojawiły się kwestie materialne. Nastąpiła liberalizacja regulaminu studiów, ale trzeba było płacić za wpis warunkowy na następny rok, za powtarzanie roku itp. Niektórych studentów nie było na to stać. Pamiętam podanie studentki, chyba z filologii rosyjskiej, która prosiła, żeby opłatę (na wniesienie której jej nie było stać) mogła odpracować fizycznie na uczelni. Zdarzali się też wykładowcy, którzy może nie tyle byli złośliwi, co wykazywali brak empatii wobec studentów i trzeba było te konflikty rozwiązywać w sposób ugodowy. Tu zawsze mogłem liczyć na pomoc bardzo dynamicznych wicedyrektorów instytutów, obecnych profesorów: Cezarego Kuklo (historia), Bogdana Nowowiejskiego (filologia polska) i Leonardy Dacewicz (rusycystyka). Do kwestii studenckich podchodziłem nie tylko formalnie: zaliczanie semestrów, rozpatrywanie podań w sprawie przeniesienia egzaminów, uzyskania urlopów, wyznaczanie egzaminów komisyjnych itp., ale uważałem, że należy podejmować także inne działania i tak wspólnie z samorządem organizowaliśmy spotkania z najlepszymi studentami. Jeżeli nawet najlepsi studenci dostają stypendia, to warto się z nimi spotkać, uścisnąć im rękę, poznać ich problemy, bo prodziekan najczęściej spotykał się ze studentami, którzy mieli kłopoty.

Najbardziej cieszyłem się z tego, że udało się doprowadzić, chyba po raz pierwszy, do konferencji naukowej, w której wzięły udział wszystkie studenckie koła naukowe działające na Wydziale Humanistycznym.

Pana najwybitniejsi studenci?

Podczas mojej drugiej kadencji była grupa świetnych, aktywnych studentów uczestniczących w studenckim ruchu naukowym (wspominam ze względu na charakter wydawnictwa tylko polonistów, choć tacy byli także wśród historyków i rusycystów). Znaczna ich część jest obecnie pracownikami Uniwersytetu: to Anna Janicka, Marek Kochanowski, Anna Bosko-Brzozowska. Dwie kolejne osoby, które szczególnie pamiętam i zasługiwały na uwagę z polonistyki, to: Emil Popławski, który wyjechał na stu-

dia doktoranckie do Krakowa, i Elwira Hryniewicka – jedna z najlepszych studentek. Niestety, nie udało się jej zostać na uczelni.

Chciałbym wrócić do czasów, które wykładowcy często wspominają, kiedy białostocka humanistka mieszkała się jeszcze przy ul. Świerkowej...

Warunki pracy na Świerkowej były trudne, nie było mowy o gabinetach dla samodzielnych pracowników. Był gabinet dla dyrektora Instytutu czy kierownika zakładu, a cała reszta pracowników gromadziła się w jednym pokoju, który wcale nie był duży, ale nasze wymagania wówczas były skromne. Część przyjeżdżających pracowników mieszkała w Hotelu Asystenta przy Świerkowej. W przerwie niektórzy biegali do baru „Zajazd”, żeby coś zjeść. Kiedyś wrócił stamtąd Andrzej Makowiecki i mówi: „Powie wam, co tam słyszałem. Zaczęło się dwóch klientów kłócić, nawzajem wyzywać i w końcu jeden do drugiego mówi: *Ty pieprzony Asnyku!*”. I to profesora strasznie rozbawiło. Może to był jakiś literat właśnie? Później na miejsce „Zajazdu” powstał klub „96”, ale naszych pracowników chyba już nie było stać, żeby go odwiedzać.

Świerkowa miała swój klimat: nie było automatów z napojami ale pani Dzienisowa na dole zaparzała herbatkę, poza tym biegał pies zwany „Dziekanem”, sad z ulami, las po drugiej stronie, zbroceńcy cychający o zmroku za rogami budynku i kioski z piwem przy Wiejskiej. Budynek przy Świerkowej 20 pękał w szwach, zwłaszcza po wyodrębnieniu się w 1977 roku osobnego Wydziału Pedagogiki i Psychologii, który też dynamicznie się rozwijał. Kilkanaście lat później nasi studenci „zdobyli” budynek Komitetu Wojewódzkiego PZPR i Wydział Humanistyczny przeniósł się do centrum miasta.

Pamięta Pan zmiany związane z utworzeniem samodzielnego Uniwersytetu?

Dążenia do usamodzielnienia trwały przez wiele lat. Pierwsze przyspieszenie nastąpiło po grudniu 1981 roku. Głównie chodziło o to, że część miejscowych funkcjonariuszy partyjnych chciała się uniezależnić od Warszawy, która im ciągle przeszkadzała, bo jak chciano kogoś zwolnić z pracy, gdyż był niewygodny politycznie, to rektor w Warszawie mówił „nie”. Z tegoż względu przeciwna zbyt szybkiemu usamodzielnieniu była też część pracowników. Samodzielny uniwersytet utworzono, gdy umocniły się miejscowe kadry, które myślały już w sposób uniwersytecki i uważały, że uniwersytet to niezależna instytucja, która powinna być w stanie oprzeć się naciskom politycznym, no i mieliśmy już państwo demokratyczne. Na początku lat dziewięćdziesiątych ciągle goniliśmy za różnymi wskaźnikami (głównie chodziło o ilość pracowników naukowych z habilitacją), żeby

sprościć wymogom stawianym uczelni uniwersyteckiej. Nie do końca to się udało, ale przymknięto na to oko (z życzliwym poparciem premiera Włodzimierza Cimoszewicza). Tu warto podkreślić wielką rolę, jaką odegrał wówczas pracownik naszego Wydziału, poseł Adam Dobroński: najpierw był przewodniczącym podkomisji, która analizowała materiały w sprawie powołania w Białymstoku uniwersytetu, a potem referował pozytywny wniosek w tej sprawie na posiedzeniu plenarnym Sejmu. Dostał nawet od prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego pióro, którym podpisał on ustawę o powołaniu Uniwersytetu w Białymstoku. Akt ten był ukoronowaniem wieloletnich starań i stanowił wielką nobilitację dla regionu. Białystok stał się miastem w pełni uniwersyteckim.

Porozmawiajmy o historii. Wydział Historyczno-Socjologiczny jest dzielony w Polsce i Europie. Jak Wam się to udało osiągnąć?

Ale może powiedzmy najpierw, jak przestaliśmy być Wydziałem Humanistycznym, choć byliśmy bardzo zaprzyjaźnieni z filologami od ponad trzydziestu lat. Ówczesny rektor, który miał wielkie zasługi dla powstania Uniwersytetu, uważał, że Wydział Humanistyczny jest „niesterowalny”. I chyba nie chodziło mu o to, że miał ponad pięć tysięcy studentów. Wracając do pytania: wszystko zależy od ludzi. Mieliśmy szczęście do wspaniałych uczonych – tych, którzy przybyli przede wszystkim z Warszawy (Andrzej Wyrobisz, Elżbieta Kaczyńska, Ewa Wipszycka-Bravo, Andrzej Wyczański), ale i z Krakowa (prof. Władysław Andrzej Serczyk), którzy byli dla nas uniwersyteckimi wzorcami, zaszczepiali uniwersyteckie obyczaje, inspirowali do podejmowania badań naukowych. Prof. Wyczański miał dobre kontakty we Francji i tak wysyłał swoich uczniów. Prof. Michał Gnatowski był z kolei znaną postacią na Białorusi. Mieliśmy rozwiniętą współpracę z Białorusią i Litwą. Nasi pracownicy byli członkami międzypaństwowych komisji ds. podręczników historii: polsko-ukraińskiej przewodniczył prof. Serczyk, w polsko-białoruskiej pracowali profesorowie Dobroński, Jerzy Urwanowicz i ja. Nasi wspaniali koledzy, którzy dojeżdżali z Warszawy, mniej angażowali się w życie naukowe w Białymstoku i regionie. To spadało na barki miejscowych – tu zdecydowanym liderem był prof. Adam Dobroński. Oczywiście i miejscowi byli różni: tacy, którzy po zajęciach szli do domu, oraz tacy, którzy działali na rzecz środowiska. Jedną, ale bardzo ważną, szansę badawczą chyba jednak zmarnowaliśmy – szansę bycia pomostem pomiędzy Wschodem a Zachodem

Czy na przestrzeni lat zmieniła się relacja wykładowca – student? Jak dziś wygląda ethos pracownika naukowego i ethos studenta? Coś takiego jeszcze istnieje?

Po pierwsze, trzeba zwrócić uwagę na upowszechnienie studiów, wyższego wykształcenia. Kiedyś dostać się na studia było bardzo trudno i wiele osób, które na to zasługiwały, znajdowało się na liście nieprzyjętych. To zresztą była bardzo nieprzyjemna sytuacja dla pracowników podczas egzaminów. Ci, którzy dostawali się na studia, był to bardzo wybrany element, to byli ludzie, którzy mieli wiedzę, którzy wiedzieli, czego chcą i do czego dążą, i którym chciało się pracować. Natomiast w ostatnich latach sytuacja jest odwrotna. Dostanie się na studia nie jest trudne, a skoro coś przychodzi zbyt łatwo, to nie jest szanowane; na studiach część studentów pracuje zbyt słabo, nie czyta się lektur zalecanych przez wykładowców. Ci ostatni z kolei patrzą czasami przez palce podczas egzaminów, starają się, żeby zbyt dużo studentów nie odpadło, bo będzie za mało grup, za mało godzin. To jest bardzo zła sytuacja. Słabi studenci, ci którzy traktują studia od niechcienia, obniżają poziom studiów i utrudniają rozwój tym, którzy chcą zdobywać wiedzę, a takich nadal jest wielu. I to jest jeden z najważniejszych problemów szkolnictwa wyższego w Polsce.

Należałoby też oczekiwać od naukowców bardziej aktywnego uczestnictwa w bieżącym życiu naukowym i kulturalnym (tu akurat poloniści dają dobry przykład), w wykładach otwartych, dyskusjach na aktualne tematy historyczne (w Białymstoku nie było publicznej dyskusji z udziałem historyków ani na temat Jedwabnego, ani na temat stosunku podziemia do ludności białoruskiej). Pozytywnym zjawiskiem jest tworzenie się szkół (środowisk) badawczych. Jedną z najbardziej interesujących grup, skupiająca młodych badaczy, powstała wokół prof. Cezarego Kukli – ucznia prof. Wyczańskiego.

Proszę powiedzieć o swoich zainteresowaniach badawczych. Czy wiążą się one z historią regionu?

Jako polonista pisałem pracę dyplomową na temat obrazu końca wojny w powieściach Hena, Dobrowolskiego i Czeszki. Natomiast później skupiłem się głównie na historii okresu międzywojennego. Interesowały mnie dzieje ziem północno-wschodnich Polski międzywojennej, pogranicze polsko-litewsko-białoruskie. Wydaje mi się, że to jest bardzo ważny temat dla historyków Uniwersytetu w Białymstoku. To u nas właśnie powinno być centrum, ośrodek badań nad historią Polski, Białorusi, Litwy oraz historią naszych kontaktów z Rosją. Na tym obszarze powinna też być badana historia ludności żydowskiej. Kilkadziesiąt lat temu, w Białymstoku z inspiracji wspaniałego człowieka, prof. Andrzeja Wyczańskiego, odbyła się konferencja naukowa z okazji 500-lecia osadnictwa Żydów na Podlasiu. Teraz to zainteresowanie wśród miejscowych historyków osłabło i okazuje się, że dziejami Żydów w tym regionie zajmuje się Instytut Filologii Polskiej.

Kiedyś odbyła się promocja naszego Uniwersytetu w Paryżu. Bardzo nas to zdziwiło, po co mamy się reklamować w Paryżu? Trudno przypuszczać, żeby ktoś z tamtejszych, młodych ludzi przyjechał do nas studiować. Warto byłoby sprawdzić, czy ktoś z Francji studiował u nas, w Białymstoku, po 1999 roku. To były pieniądze wyrzucone w błoto. Powinniśmy się promować na wschód, na północny-wchód, budować kontakty z sąsiednimi krajami. Co prawda powstała sieć uniwersytetów wschodnich, ale największym osiągnięciem były dwa mecze siatkówki kobiet reprezentacji naszego uniwersytetu. To jakby za mało. Są nawet umowy podpisane z uniwersytetem w Grodnie. Czasami bywam na konferencjach na Białorusi. Niestety, nie ma na nich wielu przedstawicieli z Białegostoku. I odwrotnie: do nas nie są zapraszani naukowcy zza wschodniej granicy. Z roku na rok jest coraz gorzej. Rozumiem, że to związane jest z brakiem pieniędzy, bo nasi koledzy z Białorusi nie są w stanie przyjechać do Białegostoku i sfinansować swego pobytu. Wydaje mi się, że na takie cele nie można żałować pieniędzy, że Białystok powinien być właśnie ośrodkiem współpracy sąsiednich krajów, zwłaszcza spadkobierców dawnej Rzeczypospolitej.

Litwini w zasadzie nas już nie potrzebują, dlatego, że mają rozwinięte kontakty z zachodnią Europą, z krajami skandynawskimi, i mogą Białystok delikatnie pomijać. Wcześniej na konferencje naukowe przyjeżdżali do nas goście z uniwersytetu z Wilna i z Kowna. Teraz to się zmieniło. Ale jestem pewny, że dla nas to ważne zadanie: próbować odzyskać rolę ośrodka, który próbowałby doprowadzić do nawiązania i rozwinięcia relacji między przedstawicielami humanistyki z tych krajów. Jest przecież duża mniejszość polska na Litwie i na Białorusi. W poprzednich latach studenci filologii polskiej z Grodna jeździli na praktyki językowe do Siedlec. Mnie to bardzo dziwiło: dlaczego aż do Siedlec, skoro po drodze jest Białystok? Możemy zbudować swoją pozycję właśnie jako ośrodek położony między Wschodem a Zachodem. I nie powinniśmy jeździć do Paryża, tylko zaprosić kogoś z Paryża do Białegostoku, żeby spotkał się z historykami czy polonistami z Białorusi i Litwy. O tym zapominamy.

Ostatnie pytanie: co zrobić, by humanistyka się rozwijała? Czy stawiać nacisk na to, by studiowało jak najwięcej osób, a może postawić na elitarny kierunek dla wybranych?

Trzeba to wypośredkować. Nie można popadać ani w jedną, ani w drugą skrajność. Nie może to być zjawisko bardzo powszechne, sprawdzające się do tego, że kto chce, to wstępuje na uniwersytet i nigdy nie może być skreślony z listy studentów. Nie może być takiej presji, że nie wyrzucamy studentów, bo nie będziemy mieli grup. Trzeba przywrócić to, co było

wcześniej. Dawno temu zmniejszono grupy ćwiczeniowe, a dziś ponownie są duże. Był taki okres, że wprowadzono równoległe wykłady i student mógł wybierać profesora, do którego będzie chodził na wykład kursowy. O tym też już wszyscy zapomnieli. Myślę, że wyższe uczelnie państwowe, które powinny być wzorcem, a ich absolwenci cieszyć się szczególnym prestiżem, płacą cenę za brak zainteresowań ze strony władz państwowych, za ich niedoinwestowanie. I to musi się zmienić. Jeśli to nastąpi i nie będzie presji materialnej, to być może powrócą wymagania. To jest jeden kierunek działań. Drugi kierunek, o którym już wspominałem: uniwersytet nie może być oderwany od miasta i regionu, on musi żyć jego życiem, musi wychodzić do mieszkańców, organizować różne konferencje, w których wszyscy mogą wziąć udział. Wyprowadzenie Uniwersytetu do kampusu poza centrum nie będzie dobrze służyło Białemustokowi; tym bardziej, jeżeli pozbędziemy się wszystkich budynków w centrum. Szybciej ktoś weźmie udział w spotkaniu na wydziale w centrum miasta, niż gdyby miał jechać pół godziny albo dłużej. Trzecia kwestia, o której też mówiłem, to budowanie relacji między Wschodem a Zachodem. Niech nasza przeszłość odbija się również w badaniach polonistycznych, historycznoliterackich i językoznawczych. To niestety wymaga wielkiego wkładu pracy. Na koniec może drobiazg: uniwersytet to tradycja, jednym z jej elementów jest indeks. Unowocześnienie uniwersytetów nie polega na likwidacji indeksów.

Pana plany i marzenia na przyszłość?

Przez ponad dwadzieścia lat pełniłem zawsze jakieś funkcje na uczelni. Zawsze też byłem bardzo zaangażowany społecznie w różnych organizacjach. Miało to negatywny wpływ na inne dziedziny mojej działalności. Udało mi się jednak „popęłnić” ponad 200 publikacji, nie tylko w Polsce, ale i na Białorusi, Ukrainie, Litwie i w Rosji. Mam też nadal bardzo dużo niewykorzystanych materiałów archiwalnych z archiwów białoruskich i litewskich. Jeśli mi zdrowie pozwoli, chciałbym jeszcze napisać parę rzeczy z dziejów ziem północno-wschodnich (pogranicza polsko-litewsko-białoruskiego) w XX wieku. Ale z humanistami jest inaczej niż z przedstawicielami nauk technicznych. Do przedstawiciela nauk technicznych ktoś przychodzi i prosi, żeby coś zrobił. On pyta, ile za to dostanie pieniędzy. Natomiast humaniści odwrotnie: najpierw piszą, a potem chodzą z kapeluszem, żeby dostać pieniądze na druk. To też nie jest dobra sytuacja. Oczywiście, powinny być zachowane pewne kryteria: trzeba publikować tylko to, co spełnia wymogi naukowe.

Życzę więc zdrowia i twórczej energii.

Dziękuję.

Aleksander MIŚKIEWICZ

– doktor nauk humanistycznych; urodzony w 1945 roku; Tatar; polski historyk. Studiował na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, doktorat obronił na Wydziale Historycznym Polskiej Akademii Nauk w Warszawie. Obecnie emerytowany starszy wykładowca na Uniwersytecie w Białymstoku. Autor książek o polskich Tatarach, m.in.: *Tatarzy wierni Polsce: szkice z dziejów Tatarów polskich w XX wieku* (Gdańsk 2017); *Tatarzy na Ziemiach Zachodnich Polski w latach 1945–2005* (Gorzów Wielkopolski 2009). Naukowo zajmował się okolicznościami pojawienia się ludności pochodzenia tatarskiego w dawnej Rzeczypospolitej, oceniał ich wkład w kulturalny rozwój tych ziem, opisał mało znane tradycje i obyczaje kultywowane przez Tatarów od stuleci. Uczył historii na białostockiej polonistyce.

ALEKSANDER MIŚKIEWICZ

TATARZY, ŻYCIE AKADEMICKIE, HISTORIA

Jak to się stało, że swoje życie akademickie, ale i prywatne związał Pan z Białymstokiem i tutejszą uczelnią? Dlaczego historia i dlaczego Białystok?

Dr Aleksander Miśkiewicz:

Jestem absolwentem Historii na Uniwersytecie Poznańskim. Przez 35 lat mieszkałem w Szczecinie. Skończyłem studia w Poznaniu i zacząłem pracować w Instytucie Zachodniopomorskim w Szczecinie, przy byłej WSP. Przeprowadziłem się z mamą do Gdyni, gdzie pracowałem w Muzeum Archeologicznym w Gdańsku, a później Muzeum Miasta Gdyni. Oprócz tego uczęszczałem na studium doktoranckie Polskiej Akademii Nauk w Warszawie. Zastanawiałem się wówczas intensywnie, gdzie „zapaść korzenie”. Muzeum Miasta Gdyni to perspektywa piękna, ale ograniczona. Przed 1989 rokiem niewskazane było, aby Gdynię eksponować. Zaczynały się nawet redukcje w etatach.



Tu, do Białegostoku, często przyjeżdżałem. Architekt wojewódzki, nieżyjący już pan mgr inż. Leonard Budryk, powiedział mi, że powstała tu Filia Uniwersytetu Warszawskiego i że potrzebują ludzi do pracy. Złożyłem aplikację. Po powrocie do Gdyni otrzymałem list podpisany przez ówczesnego dziekana, prof. Adama Czesława Dobrońskiego. To był rok 1983. Zostałem zaproszony, obiecano mi mieszkanie służbowe, powstawała Pracownia Badań Regionalnych. Na początku cała humanistyka i pedagogika mieściła się przy ulicy Świerkowej. „Wyrywaliśmy” sobie pokoje do zajęć. Mrowie studentów i my, nauczyciele – tak to wyglądało. Byłem pełnomocnikiem dziekana do spraw praktyk robotniczych. Studenci sadzili kwiaty na skwerze, pracowali w szpitalu. Moim obowiązkiem było tę grupę prowadzić. Później praktyki zniesiono.

Mieszkałem w Hotelu Asystenta przy ulicy Świerkowej. Tam wszyscy spotykaliśmy się w świetlicy wieczorami na wiadomości. Pamiętam panią prof. Elżbietę Feliksiak, prof. Stefana Mellera, późniejszego pracownika Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Prof. Wrzosek z historii też przyjeżdżał, także prof. Andrzej Wyczański. Było wesoło i sympatycznie. Miałem mało zajęć. Zatrudniony byłem w Pracowni Badań Regionalnych, którą kierował nieżyjący już prof. Stanisław Alexandrowicz. Do naszego grona należeli też: dr Józef Maroszek, kolega mgr Jerzy Zieleniewski, który już nie pracuje. Był z nami Jan Leończuk, był kolega Antoni Mironowicz, obecnie profesor. Pracownia została zlikwidowana, gdy się przenieśliśmy do budynku po Komitecie Partii przy ulicy Liniarskiego. Kiedy zachorowałem (zaczęło się od rwy kulszowej), musiałem się poddać operacji w Klinice w Gdańsku. Rok byłem na zwolnieniu lekarskim.

Potem rektorem został prof. Andrzej Serczyk. On mi powiedział, że jestem zatrudniony na uczelni i muszę prowadzić dużo dydaktyki. Prof. Jerzy Urwanowicz prowadził wtedy wykłady z historii Polski, a ja ćwiczenia z historii Polski na filologii polskiej. Później miałem zajęcia z historii regionalnej na stacjonarnej historii i na wieczorówce. Oczywiście dochodziła do tego zaoczna filologia polska i zaoczna historia. Wykład monograficzny do wyboru: „Dzieje Polski nad Bałtykiem” i „Dzieje Tatarów polskich”. Muszę przyznać, że zawsze miałem słuchaczy. Później zmniejszono ilość zajęć na filologii polskiej. Na mnie „spadło” wtedy osiem lat pracy: ćwiczenia i wykłady. Później wróciłem na jeden rok na filologię polską i uczestniczyłem w badaniach nad Kresami. To ten sam okres, kiedy w Białymstoku odbyła się jedna z pierwszych sesji poświęconych Kresom. Rok '89. Na czele polonistyki stały prof. Feliksiak i prof. Krukowska. Przyjechało mnóstwo ludzi z całej Polski. A oprócz tego jeździłem ze studentami do Trójmiasta na objazdy 4-dniowe i na objazdy zagraniczne do Grodna, dwukrotnie – na Spotkania Mic-

kiewiczowskie nad Świtezią. Wtedy bardzo dużo się działo. Mówię o tym, bo habilitacji nie zrobiłem. Pracowałem nad nią, ale moja mama ciężko zachorowała i często jeździłem do Gdyni i – mówiąc szczerze – zabrakło na to czasu. No i zbliżałem się do emerytury. Na filologii polskiej przyjęto z biblioteki młodą panią historyk i mi podziękowano. Jeszcze została mi wieczorówka, ale nie było już studiów zaocznych. Mimo to, pracowałem jeszcze rok na emeryturze, a na pocieszenie mam teraz co roku studia podyplomowe z historii.

Na szczęście na emeryturze pracy mam mnóstwo, szczególnie pracy społecznej. Działalem w Towarzystwie Przyjaciół Grodna i Wilna, a od czterech lat jestem redaktorem naczelnym pisma „Goniec Kresowy”. Staramy się jak najczęściej spotykać, co jest dziś bardzo trudne. A większość założycieli już nie żyje. Muszę pochwalić się, bo dostaliśmy od Senatu Rzeczypospolitej dotacje na dwa następne numery.

Jest jeszcze moja praca na rzecz Tatarów polskich. Wielokrotnie uczestniczyłem w „Orientach Sokólskich”, organizowanych przez Sokólski Ośrodek Kultury, którego dyrektorem była najpierw Krystyna Ceglarska, potem Krystyna Andrzejewska. Wtedy co dwa lata miłośnicy Tatarów polskich spotykali się w Sokółce. Na „Orienty” przyjeżdżali znani profesorowie. Wśród nich byli prowadzący: prof. Adam Czesław Dobroński i prof. Władysław A. Serczyk. Tak, tam zawsze dużo było referatów. Orienty zastąpiono Letnimi Akademiami Wiedzy o Tatarach Polskich.

Panie Doktorze, proszę sobie przypomnieć, jaka była w tamtych latach atmosfera. Miał Pan wsparcie ze strony pracowników naukowych, wykładowców? Byliście Państwo zżytą grupą? Czy czuł się Pan dobrze w naszym mieście?

Niektóre sprawy mnie drażniły. Szczególnie spojrzenie miejscowych nacjonalistów. Usłyszałem, że jestem spadochroniarzem, jak ci wszyscy, co tutaj przyjeżdżali. Ale byliśmy zżyci i było fajnie. Później to się zaczęło psuć. Warszawiacy odeszli, przyszli inni, miejscowi, jedni w porządku, drudzy... różnie bywało. Konfliktów nie pamiętam. Mieliśmy też prywatne spotkania. Jak dyrektorem Książnicy Podlaskiej został Jan Leończuk, u niego w gabinecie i w Łubnikach odbywały się dyskusje i ciekawe spotkania. Z przyjemnością przywoziłem wydawnictwa z Polski i zasilalem Książnicę Podlaską.

A studenci? Trzymał Pan w garści dwa żywioły: historyczny i polonistyczny. Proszę opowiedzieć o studentach. Jak się zmieniali na przestrzeni lat? Plusy studentów historii, plusy studentów polonistyki...

Poloniści szanowali historię jako przedmiot. Chociaż niektórzy twierdzili,

że mają przecież historię literatury. Zawsze tłumaczyłem, że między historią literatury a dziejami kraju są daleko idące różnice. Większość akceptowała historię, zadawała pytania. Najbardziej interesował ich XX wiek, lata międzywojenne, II wojna światowa i Polska Ludowa. Ale niektórych też interesowała Polska szlachecka. Pojawiały się liczne i częste pytania, czy dzieje Piastów to nie bajka, czy Mieszko nie był wikingiem. Historycy byli bardziej zainteresowani, co jest oczywiste.

Czy nauczanie historii było ryzykowne? Musieliście Państwo stosować język ezopowy, żeby powiedzieć to, o czym oficjalnie nie można było mówić?

Na szczęście już wtedy nie. Gorzej było po 1945 roku. Jeśli chodzi o stalinowski okres po '56 roku, trzeba było się zastanawiać, co się mówi. Różne było spojrzenie w PZPR. Podchodziłem do tego spokojnie. Starłem się nie obrażać nikogo. Mówiłem, że baliśmy się, jak była wojna w Wietnamie, wcześniej, jak był pobór do wojska. Mówiliśmy, że mur berliński mógł spowodować wojnę, sowieckie rakiety na Kubie to też powód do wojny. W tym czasie pojawiały się książki, postać Piłsudskiego. Tłumaczyliśmy, jak go oceniać, czarno czy kolorowo. Podobnie Dmowski, Paderewski itd.

A wyjazdy na Wybrzeże, o których Pan wspominał? Skąd pomysł? Jak wyglądał program? Jako student polonistyki uczestniczyłem w takim wyjeździe w 1999 roku i byłem zachwycony historią Wybrzeża. Aby Panu podziękować, przygotowaliśmy wtedy koncert piosenek Jacka Kaczmarskiego. Zaśpiewaliśmy je wieczorem w hotelu. Pamięta Pan?

Oczywiście! To były wyjątkowe chwile. Myślałem o urozmaiceniu zajęć dydaktycznych. I to był główny impuls. Dziekan filologii polskiej zgodził się i pojechaliśmy. Chciałem studentom pokazać Trójmiasto. Brałem przewodniczkę z Wejcherowa. W tym czasie Gdańsk obchodził 1000-lecie. Pokazałem studentom Muzeum i słynny obraz Hansa Memlinga *Sąd Ostateczny*. I całą galerię, Gdynię jako miasto II Rzeczypospolitej, łącznie z Muzeum, w którym kiedyś pracowałem. Pojechaliśmy turystycznie na Hel i Puck zobaczyć miejsce, gdzie odbyły się zaślubiny Polski z morzem w '20 roku. A że to filologia polska, miałem pozwolenie na pójście do teatru albo do teatru muzycznego. Trzy razy wylądowaliśmy w Teatrze Muzycznym w Gdyni. Byli też z nami studenci zaoczeni. W Wejcherowie zwiedzaliśmy Muzeum, Kalwarię, a także Hel i Muzeum Rybackie w kościele protestanckim. Jeden wyjazd odbył się za czasów PRL-u. Później były swobodne wyjazdy po '89 roku. Odwiedzaliśmy Muzeum „Solidarności”, Pomnik Poległych Stoczniovców 1970 roku, gdzie składaliśmy kwiaty. Wszyscy okazali zainteresowanie. Dostałem nawet bukiet kwiatów w podziękowaniu..

Później dołączyli do nas prof. Józef Maroszek z prof. Haliną Parafianowicz. Pojechaliśmy dwa razy na Pomorze Zachodnie. Uczelnia miała swój autokar. Zobaczyliśmy Zamek Książąt Pomorskich, Muzeum Mechanizacji – stare tramwaje, samochody i motocykle. Wycieczka statkiem po porcie, Stargard – piękna gotycka bazylika, starówka, mury obronne. Byliśmy też w dużym Domu Towarowym Galaxy z fontanną w środku. W Trójmieście zawsze spaliśmy w Hotelu „Klif” nad samą Zatoką Gdańską. Studenci się kłócili o pokoje: czy od lasu, czy od zatoki. Tam był taki olbrzymi salon, przez Norwegów zbudowany. W Białymstoku takiego jeszcze nie było. Studenci co wieczór chodzili do tego „Klif”, byli oczarowani, czuli się jak na zachodzie Europy. Wiele osób po raz pierwszy było nad morzem. Stały punkt wycieczki to willa Wałęsy na gdańskich Polankach.

Zajmował się Pan kwestiami związanymi z historią powojenną. Ale w Pana pracy badawczej pojawiają się tematyka Tatarów polskich. Wszak Białystok jest prężnie działającym ośrodkiem badań historycznych nad regionem. Odnalazł się Pan w tym?

Centrum Tatarów polskich jest tutaj. Przed wojną było w Wilnie. Co ciekawe, jedno z centrów po wojnie powstało w Gorzowie Wielkopolskim. Tatarzy tam się przenieśli, ale potem przesiedlili do Białegostoku. Teraz Związek Muzułmański wydał książkę *Słownik biograficzny Tatarów polskich XX wieku*. Wychodzi również pismo „Przegląd Tatarski”, a w 2017 roku ukazała się książka *Tatarzy wierni Polsce*, wydana przez Oficynę Gdańską. Interesowałem się także związkami Białystok – Pomorze. Pamiętam, że był kiedyś statek towarowy *Białystok* (widziałem go w Szczecinie), statek *Hajnówka*, *Ziemia Białostocka* i *Ziemia Suwalska*. To dawne czasy...

Panie Doktorze, czego życzyć uczelni na kolejne lata? Pan ma jeszcze wciąż zajęcia na studiach podyplomowych, jest Pan blisko uczelni. Czy dostrzega Pan kryzys nauk humanistycznych? Czy należałoby coś zmienić?

Kryzys jest, to fakt. Mało ludzi młodych idzie na studia humanistyczne. Kiedyś filologia polska gromadziła rocznie po 80 osób. Teraz to mniej niż połowa tamtej liczby. Absolwenci szkół średnich uważają, że nie znajdą po humanistyce pracy. Dlatego utworzono inne kierunki: obrona narodowa, stosunki międzynarodowe. Prawdopodobnie na wielu filologiach poznano już historię, co dla mnie jest zupełnie niezrozumiałe. Cóż, bardzo bym chciał, by uniwersytet się rozwijał. Trzeba jakoś przekonać młodych ludzi, żeby jednak na studia humanistyczne szli. Prawo zawsze będzie miało odpowiednią ilość chętnych. Albo pedagogika. Ale tu jest gorzej. Żeby muzeów powstawało więcej, to i praca by była.

A czego życzyć Panu, Panie Doktorze? Jest Pan aktywnym człowiekiem, dużo Pan pisze, publikuje...

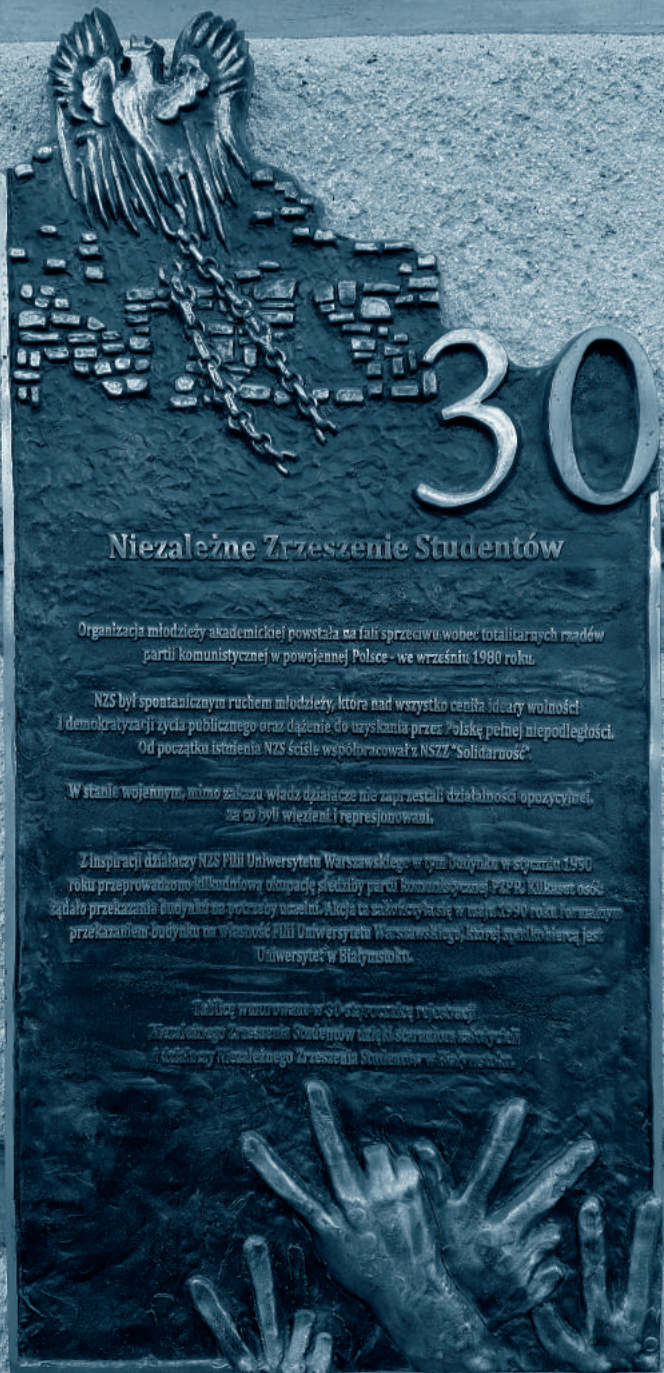
Nadal myślę, co jeszcze napisać. Teraz kończę rozprawę na temat: *Stosunki Polski z Bliskim Wschodem w latach międzywojennych*. Trzeba będzie szukać wydawcy. Dużo ciekawych materiałów znalazłem. To są tematy znane i nieznanne. Poza regionem mam obowiązek wobec swego miasta, czyli Szczecina. Chcę napisać moje szczecińskie wspomnienia. Dużo pamiętam. Białystok już jest opisany, okres międzywojenny i powojenny. Może jakieś przyczynki złapać, uzupełnić, może jakieś małe wspomnienia? A mam co wspominać. Po raz pierwszy przyjechałem z rodzicami do Białegostoku w '56 roku, by odwiedzić krewnych. Po wypadkach poznańskich poszła plotka, że wojna będzie. Dlatego zdecydowaliśmy, że chociaż z krewnymi się zobaczymy. Przyjechaliśmy ze Szczecina. Całą noc jechaliśmy zatłoczonym pociągiem do Warszawy. Później tramwajem na Pragę na Dworzec Warszawa Wileńska i pociągiem do Białegostoku. Jak był czas, szliśmy na Bazar Różyckiego. Pamiętam Rynek Sienny, furmanki, konie, owoce, warzywa. *Vis á vis* Soboru św. Mikołaja był sklep samoobsługowy. To był eksperyment, pierwszy w Polsce.

Pamięta Pan te pierwsze lata swojej pracy? Jak wyglądał Białystok, jak się zmienił?

Bardzo się zmienił. Mieszkałem przy ul. Świerkowej. Tam było dużo drewnianych chałupek. Potem je wszystkie znieśli i na ul. Wiejskiej piękne bloki teraz stoją. Na moich oczach miasto się zmieniało. Pamiętam stare francuskie autobusy, białego koloru. Jak przyjechałem tutaj w '56 roku, Białystok mi się nie podobał. Brakowało mi wody, statków, tego, co znaleźć można było w Szczecinie. Potem zacząłem przyjeżdżać częściej. I tak oto jestem na stałe osiedlony właśnie tutaj.

Powstała plotka, znajomy mówił moim rodzicom: nie spieszcie się z przeprowadzką, ma być wyrównana granica ze Związkiem Radzieckim i Białystok miał przejść do ZSRR. Mój ojciec, który pięć lat przesiedział w obozie karnym w Uzbekistanie, przekonywał: to poczekamy w Szczecinie. Na szczęście wszystko ułożyło się pomyślnie i swoje życie mogłem związać z tym właśnie miastem, stolicą Podlasia. I tutejszą uczelnią.

Dziękuję za rozmowę.



Tablica poświęcona dziejom NZS-u.
Budynek UwB przy Pl. NZS-u 1 (sie-
dziba Wydziału Filologicznego)

Barbara NOWOROLSKA

– dr, literaturoznawczyni, wieloletni nauczyciel akademicki studentów białostockiej Filii Uniwersytetu Warszawskiego, przewodnicząca i jedna z założycielek Podlaskiego Towarzystwa Sienkiewiczowskiego. Zainteresowania naukowe: kultura i literatura XIX wieku. Autorka wielu artykułów, w tym: *Czułość prawdy. Rozważania wokół życia i twórczości Juliana Ursyna Niemcewicza* (2017). Redaktorka tomów: *Adam Mickiewicz. Pamiętnik konferencji w Nowogrodzku*, „Zeszyt Naukowy” 1993, nr 44, t. VIII: *Filologia polska*; A. Markowa, *Dojrzałość od jutra* (Białystok 1985) oraz (wraz z W. Stecem) *Lukasz Górnicki i jego czasy* (Białystok 1993). Autorka książki: *Eliza Orzeszkowa. Trwanie, pamięć, historia* (Białystok 2005). W roku 2017 opublikowała tom studiów: *Kultura literacka Podlasia. Szkice* (Białystok)

ABSOLWENCI WCIĄŻ MNIE ODWIEDZAJĄ...

Początki białostockiej humanistyki wiążą się z uruchomieniem Filii Uniwersytetu Warszawskiego. Wcześniej funkcjonowała Wyższa Szkoła Nauczycielska. Pracowała Pani w niej jako wykładowca...

Dr Barbara Noworolska:

Dużo pamiętam z tamtych czasów, ale moja pamięć jest czysto subiektywna. Od początku środowisko dążyło do posiadania pełnej uczelni z możliwością nadawania tytułu magistra. Część pracowników Studium Nauczycielskiego przeszła więc do pracy na Filii, ale niewielu. Na polonistkę przeszła tylko prof. Halicka i przeszedł pan Stefan Myszczyński po Uniwersytecie we Wrocławiu. Pierwszy egzamin na nowo otwartą uczelnię był przeprowadzony dla rocznika, na którym był Józef Maroszek i Ewa Urwanowicz. Egzaminowaliśmy we troje: ja, moja koleżanka Duńska Drużyńska (też po UJ) i polonista, który pracował w Kuratorium. Profesor Maroszek miał wtedy indeks o numerze jeden. Pamiętam, że egzaminowałyśmy we



troje – ja, moja koleżanka Duńska Drużyńska i polonista, który pracował w kuratorium. Na egzamin przyjechała wtedy pani Jakubowska. Mówiono, że jest starszym wykładowcą i żoną prof. Jakubowskiego. Wynik tego był taki, że z tej trójki, która egzaminowała, tylko ja zostałam zmuszona do pracy w Filii. Byłam na seminarium doktoranckim w Warszawie i powiedziano mi, że albo zacznę prowadzić zajęcia na Filii w Białymstoku, albo mnie wywalą z seminarium doktorskiego. To był 1969 rok. Kiedy z Warszawy przyjechała prof. Buttlerowa, zostałam zatrudniona.

Pierwszym dziekanem został pedagog z Warszawy, drugim był profesor Andrzej Wyrobisz (był bardzo krótko, przeniósł się do Częstochowy), a prodziekanem – Stefan Myszczyński. Opiekowałam się studentami trzeciego rocznika. Na studia przyszły wtedy dziewczyny z rocznika, na którym nie było matur z powodu reformy programu. One miały pewne różnice programowe, były trochę starsze i czuły się jak prowincjuszki. Żeby je wyleczyć z kompleksu wsi, założyłam Koło Folklorystyczne. Nie chodziło mi o naukowy aspekt, chciałam im pokazać, że to jest coś ważnego. I zaczęłyśmy wyjeżdżać w teren.

Jak się Pani Doktor pracowało z młodymi ludźmi?

Bardzo dobrze. Jak przyszedł prof. Wyrobisz, zrezygnowano ze mnie po pierwszym półroczu. Pracowałam nadal w Muzeum Okręgowym w Białymstoku i bardzo to sobie ceniłam. W zakresie moich obowiązków było przede wszystkim popularyzowanie dziedzin reprezentowanych przez Muzeum. Otworzyliśmy między innymi Muzeum Kajki. Muzeum miało ambicje naukowe, wydawało rocznik, organizowało konferencje. Braliśmy udział w ogólnopolskim ruchu naukowym.

Jakimi przedmiotami zajmowała się Pani w pierwszych latach nauczania?

Tych przedmiotów było aż siedemnaście. Zaczęłam od małych form literackich. Następnie prowadziłam współczesne życie literackie, literaturę staropolską i XX-lecie międzywojenne (dopóki nie przyszedł doktor Andrzej Makowiecki z Warszawy). Także literaturę francuską i powszechną na rusycystyce.

Można było ogarnąć tyle zagadnień?

Na początku miałam literaturę staropolską, potem bieżące życie literackie. Po dwóch czy trzech latach zaczęto mi zmieniać zajęcia i to był problem. Pierwszym kierownikiem zakładu była docent Danuta Buttlerowa, bardzo kulturalna i sympatyczna osoba. Kiedy zdawała sobie sprawę, że może być awantura o to, co kto będzie prowadził, przyjeżdżała z Warszawy

z blachą szarlotki i pacyfikowała wszystkie awantury. Ze Studium Nauczycielskiego przeszła pani Halicka, z Gdańska Halina Krukowska (już wtedy zaczęła pisać doktorat, ale nie miała jeszcze otwartego przewodu), z Torunia Daniela Saniewska (on była od językoznawstwa) i Stefan Leszczyński ze Studium Nauczycielskiego. Przyjeżdżali również wykładowcy z Warszawy. Ustaliła się taka zasada, że jak ktoś w Warszawie był na stypendiach zagranicznych, wykładach lub w innej pracy w Europie, potem odpracowywał to w Białymstoku. Pierwsze dwa roczniki to była razem polonistyka z historią. Był doc. Skowronek, dr Kieniewicz, Bronisław Geremek i jego żona, która prowadziła zajęcia z historii starożytnej. Geremek właśnie wrócił z Paryża i musiał odpracować stypendium w Białymstoku. Jak Geremek poszedł na pierwszy spacer po Białymstoku, zaczął go elegancki mężczyzna i poprosił o pomoc. Zaprowadził go w bramę, wyjął piersiówkę, otworzył, wypił i podziękował za towarzystwo, bo bardzo nie lubił sam pić. W Filii pracował także prof. Zygmunt Saloni, prof. Stanisław Alexandrowicz, profesor Maciejewska i wielu innych.

W 1970 roku zrezygnowała Pani z pracy w Muzeum i wróciła na uczelnię.

Tak, zależało mi wtedy na doktoracie, więc zaczęłam pracować na etacie. To było ciekawe doświadczenie zawodowe, bo w mojej gestii były przedmioty, które sprawiały mi kłopot. Zajmowałam się literaturą współczesną na rusycystyce i prowadziłam literaturę dla dzieci i młodzieży na pedagogice. Oprócz tego było konwersatorium, ale nie musiałam się do niektórych rzeczy przygotowywać. Natomiast sporo kłopotu przysporzyła mi teoria literatury, dlatego szybko się jej pozbyłam. Wzięła ją wtedy doktor Anna Goreniowa. Nie lubiłam też zająć z nauk pomocniczych.

Zaczęłam pracę w Białymstoku jako magister i miałam problemy z doktoratem. Wzięłam się za temat, który, jak się później okazało, już został przez kogoś opracowany. Byłam na zaawansowanym etapie pracy, więc postanowiłam się poddać. Potem zmarł prof. Jakubowski, więc miałam problem ze znalezieniem innego promotora A kiedy zaczęłam pisać pracę *Kultura literacka Suwalszczyzny w XIX wieku*, okazało się, że materiału jest tyle, co nic. Ale mimo, to doprowadziłam wszystko do finału. Potem przeczuciłam się na Orzeszkową i z jej twórczości zrobiłam doktorat. Później wróciłam do okresu staropolskiego i zaczęłam pracować nad manieryzmem. Wyszło mi wtedy, że manieryzm w Polsce był w tym samym czasie, co we Włoszech, że nie byliśmy opóźnieni, tak jak w wypadku renesansu. Mieliśmy bardzo dobre osiągnięcia, łączyło się to ze sztuką, a mnie to zawsze interesowało. Opublikowałam dwie rozprawy na ten temat. Potem przyszedł stan wojenny. Wcześniej jednak założyłam taki kierunek: – ra-

dioznawstwo jako furtkę dla młodzieży, której się nie odnajdowała w zawodzie nauczycielskim. Prowadziłam cykl audycji literackich, które były prezentowane nawet na ogólnopolskiej antenie. Załatwiłam również to, że z uczelnią współpracowało Polskie Radio Białystok, które zaoferowało możliwość zrealizowania praktyk studenckich i otworzyło dostęp do wszystkich urzędzeń. Na radioznawstwie znalazło się 12 osób, z tego potem 8 miało etat w radiu. Następnym rocznikom już nie było, bo przyszedł stan wojenny. A ci, co zostali, też musieli przejść przez sito, na przykład Tomek Piotrowski, który nie podpisał lojalki.

Jak długo Pani pracowała jako nauczyciel i wykładowca?

Pracowałam do 1983 roku, jeszcze w trakcie stanu wojennego.

Jakie wybitne postacie wpłynęły na Pani pracę? Może pamięta Pani wyjątkowych studentów?

Ze studentów pamiętam Ewę Dubas-Urwanowicz i Józefa Maroszka, Urszulę Sokólską, Bożenę Chodźko, Bogusława Nowowiejskiego, Jana Leończuka, Elżbietę Okalewską. Z szefów wyjątkowa była Irena Maciejewska – znakomity człowiek, osoba, która wypuściła dużo magistrantów. Świetnym kierownikiem zakładu był prof. Marian Jurkowski. A jak przyszła pani Halicka, która przez dłuższy czas była sekretarzem partii na wydziale, to było ciężko. Mnie było ciężko, Ewie Sikorskiej było ciężko. Zmieniała nam co roku zajęcia i trzeba było dużo się przygotowywać. Ale młodzież była sympatyczna i nie miałam z nią kłopotu. Do dzisiaj moi absolwenci mnie odwiedzają. Dużo dało tu Koło Folklorystyczne. Przejął je następnie Jan Leończuk. Dziś pamiętam prof. Jolantę Sztachelską, wtedy studentkę II rocznika. Był też taki rocznik studentów, w którym większą część stanowili ludzie przysłani po egzaminie w Warszawie. Był to bardzo ciekawy rocznik, z pomysłami, z wyobraźnią. Była na nim Anka Jełowicka, hrabianka zresztą, dawna właścicielka dworu w Jałównce.

Gdzie Państwo jeździliście i co badaliście?

Pierwszy taki wyjazd miałyśmy z kołem w 1971 roku na Suwalszczyznę, która miała dużą tradycję kultury literackiej. Tam działali studenci z Wilna. Byliśmy dwa tygodnie na obozie. Razem z polonistami pojechali wtedy historycy. Trafiliśmy do wsi Leszczewo, do czteropokoleniowego gospodarstwa nad jeziorem.

Czy za Pani czasów funkcjonował etos relacji mistrz – uczeń? Pytam o to, bo na uczelni pewna hierarchia na pewno obowiązywała, ale na

wyjazdach folklorystycznych wszystko mogło się wydarzyć...

Nigdy nie miałam problemu z autorytetem. Uważałam, że jestem szanowana i lubiana. Stawiałam niedużo ocen niedostatecznych. Dużo wymagałam, ale studenci byli dobrze przygotowani. Ostatnio przyjechały do mnie dziewczyny, już na emeryturze, i mówią, że nigdy nie czuły się głupsze od absolwentów po renomowanych uniwersytetach, a czasem nawet lepsze, zwłaszcza po zmianach programu. To mnie cieszy. Był to wysiłek wszystkich kolegów. Oczywiście miałam czasami drobne nieprzyjemności, na przykład za to, że omawiałam na zajęciach teorię Freuda. Koło Folklorystyczne się rozrosło i czasami robiłam z nimi rzeczy ogólnohumanistyczne, które ich interesowały. Dlatego wprowadzałam studentów we Freuda, ponieważ powinni oni wiedzieć takie podstawowe historie, często bardzo przydatne historykom literatury. Wyszły wtedy 622 *upadki Bunga* i to też omawialiśmy.

Jak potoczyła się Pani kariera po 1983 roku?

Nigdy nie zrezygnowałam z Białegostoku. Po zakończeniu pracy na uczelni pracowałam w szkole podstawowej, a później przeszłam do Technikum Budowlanego. I chciałam wrócić do habilitacji, ale już się nie dało. Po pierwsze szkoła ma swoje wymagania. Jak potrzebowałam jechać do Warszawy, musiałam mieć wolny dzień. A były lekcje. Wtedy mocno pozmieniano rozkłady jazdy i do Warszawy trudno było dojechać. Straciłam również zapał. Pojechałam pewnego razu w sobotę do Warszawy, lecz zanim dotarłam do biblioteki, było po 10.00, a o 12.00 już ją zamykali. Także do habilitacji nie przystąpiłam. Potem pisanie zaproponowała mi Elżbieta Feliksiak. Pracę oceniła tak, jak się spodziewałam. Świetną natomiast recenzję napisał Stanisław Fita, profesor KUL (tę recenzję powinnam oprawić w ramki). Później weszły bardzo sztywne granice wieku i z habilitacji zrezygnowałam, bo musiałabym ją robić jako wolny strzelec, a już byłam starszą osobą. Wyrzucono Janinę Kulczycką-Saloni, Irenę Maciejewską. Uważam to za krzywdzące, bo w naszym zawodzie im człowiek starszy, tym więcej posiada wiedzy i umiejętności pedagogicznych.

Czy Studium Nauczycielskie kulturalnie promieniowało na Białystok?

Jak pracowałam w Muzeum, miałam wolną rękę. Gdy była konferencja polonistyczna, udostępniano wykaz referatów. Przyszedł do mnie do Ratusza, bo tam pracowałam, prof. Kazimierz Wyka, pani Maria Bokszczanin i prof. Julian Krzyżanowski. Prof. Wyka zaproponował mi pracę w Katowicach. Pracowałam wówczas tylko w Muzeum. Jak schodzili z góry, spotkali moją dyrektorkę i prof. Wyka powiedział, że zazdrości takiego pracownika i chętnie by mnie porwał. Od tego czasu nie musiałam się tłumaczyć, po co

ja coś robię. Zaczęliśmy wtedy robić spotkania humanistyczne, jedno nawet było opisane w „Kontrastach”. Te spotkania humanistyczne prowadziłam przez cały czas i przychodziło na nie bardzo dużo osób. Gdy przeszłam na Filię, to pod warunkiem, że ze mną przechodzi ta impreza.

Nie było kłopotów w pracy?

Podpadłam dwukrotnie. Po pierwsze, zrobiłam ze studentami esej Kołakowskiego *Kapłan i błazen* i musiałam się z tego tłumaczyć. Po drugie, to taka śmieszna i towarzyska historia. Przyjeżdżali ludzie na oficjalną wizytę do rektora i dostałam polecenie przybycia do restauracji wieczorem, aby ich zabawić. Wysłałam oficjalne pismo, że nie jestem zatrudniona do zabawiania gości, bo jestem pracownikiem naukowym. I tyle.

Nie zapytałem o to na początku, a powinienem. Dlaczego związała się Pani z Białymstokiem? Pani nie jest przecież stąd.

Siedziałyśmy z koleżanką na tarasie kawiarni w Krakowie (w tej samej, w której Piłsudski organizował Legiony) i pisałyśmy listy w poszukiwaniu pracy. Chciałam zostać w Krakowie, ale Kraków był miastem zamkniętym, trzeba było mieć zameldowanie i nie można było dostać pracy. Odpisano nam z Koszalina i z Białegostoku. Koszalin mi się nie spodobał, a w Białymstoku przyjęto nas bardzo życzliwie. Pochodzę ze Śląska, a rodzina jest z Krakowa. II wojna światowa nas wyгнаła. Były możliwości, gazeta otwarta, klub prasowy funkcjonował. Wtedy na Podlasiu humanistów po doktoracie było dwóch: Troczewski i Teofilewicz, a po magisterium cztery czy pięć osób. Środowisko było głośne tytułów.

Jak wykładowcy w tamtych czasach spędzali wolne chwile? Gdzie się chodziło, z kim się gadało, co się piło?

Z młodzieżą do Teatru im. Węgierki, do Teatru Lalek. Wtedy wystawiali *Kartotekę* Tadeusza Różewicza, trochę aktorsko, trochę z lalką. To było bardzo ciekawe przedstawienie. Chodziliśmy także na koncerty, na ciekawe filmy, do Empiku, do klubu prasowego. W Białymstoku panował zwyczaj, że wszyscy ważniejsi ludzie, którzy mieli w kulturze coś do powiedzenia, przychodzili do klubu na kawę między 11.00 a 12.00 godziną. Wtedy załatwiano się różne sprawy.

Przez pewien czas dyrektorem Teatru Węgierki był Jerzy Zegalski, którego fascynował dramat romantyczny, więc chodziliśmy ze studentami na spektakle. No i namówiłam następnego dyrektora do premiery dramatu Łukasza Górnickiego *Troas*. Na premierę przyjechał z Krakowa profesor Tadeusz Ulewicz.

Czy ma Pani jeszcze kontakt z białostocką polonistyką? Pamiętam, publikowała Pani teksty w „Epei”, wydawnictwie Książnicy Podlaskiej.

W 2002 roku wyszła moja książka, która miała być habilitacją: *Eliza Orzeszkowa. Trwanie, pamięć, historia*. Chodziłam na naukowe zebrania prof. Elżbiety Feliksiak. Teraz też znam ludzi. Violetta Wejs-Milewska jest dyrektorem Instytutu, przedtem Urszula Sokólska, która była moją studentką. Ostatnio napisałam dużą rozprawę do księgi pamiątkowej dla Elżbiety o Kraszewskim i jego książce kresowej. Publikuję we wrocławskich „Studiach Wschodnich”, jeżdżę na konferencje do Pułtuska, brałam udział w konferencji profesora Ławskiego na temat Sybiru i w tej wielkiej konferencji o emancypacji kobiet. Piszę w kwartalniku Towarzystwa Grodno – Wilno, do „Zesłańca” i „Bibliotekarza Podlaskiego”.

Czego życzyć białostockiej humanistyce, która jest raz mniej, raz bardziej popularna. Warto rozwijać studia, które dają szeroki punkt widzenia na świat?

Na początku o to walczyłam. Pierwsze dwa lata to była polonistyka z historią. Okazało się, że miałam rację, twierdząc, że albo będą z nich historycy, albo poloniści, a nie jedno i drugie. Ten pierwszy rocznik to historycy, jak Maroszek, drugi – poloniści. Potem się rozdzielili. Należy kształcić na poziomie podstawowym do magisterium bardzo solidnie, potem można na tym budować. Po polonistyce można zostać nauczycielem, dziennikarzem, wydawcą, ale trzeba mieć szerokie podstawy. Jak się zrobi dyletanta historyka i dyletanta polonistę, to się człowieka okaleczy, zamknie mu pewne drogi. A życzyć należy dobrej, zasobnej biblioteki.

Pani Doktor, a czego Pani życzyć?

Przede wszystkim proszę przestać mnie tytułować, bo nigdy tego nie lubiłam. Cóż, teraz nie życzę już sobie niczego. Mogłam robić habilitację jako wolny strzelec, kiedy mnie nie zatrudniono na wydziale, ale już byłam w moim odczuciu za stara. Uważano, że się przestraszyłam habilitacji. Jak się miałam przestraszyć habilitacji? Nie ma epoki literackiej, z której bym nie prowadziła zajęć. Nikt tak się nie przeorał przez historie literatury, jak ja. A studenci nigdy nie przecież nie krytykowali za brak wiedzy.

Czy teraz Pani Doktor nad czymś pracuje, ma jakieś pomysły?

Recenzuję – prosił o to profesor Kuczyński. Siedzę też nad Kraszewskim. Mówi się, że ta praca Kraszewskiego o kresach jest pierwszą książką pokazującą tamte miejsca. To nie jest prawda. Pierwszy opisał kresy nasz rodak Podlasianin – Julian Ursyn Niemcewicz. No i czytam, czytam...

W takim razie życzę sukcesu. I dziękuję za rozmowę.

Bogusław NOWOWIEJSKI

– prof. zw. dr hab.; językoznawca, kieruje Katedrą Historii Języka Polskiego w Instytucie Filologii Polskiej na Uniwersytecie w Białymstoku. W swoich badaniach zajmuje się nie tylko historią języka, ale także m.in. dialektologią, onomastyką, polszczyzną kresową, a ponadto współczesnym językiem w mediach. Jest redaktorem naczelnym rocznika „Białostockie Archiwum Językowe” (od 2000) oraz redaktorem serii wydawniczej „Białostockie Studia Językoznawcze” (od 1998). W latach 1985–1998 wicedyrektor Instytutu Filologii Polskiej UwB; 1999–2005 prorektor Uniwersytetu w Białymstoku. Od 2008 do 2016 roku pełnił funkcję dziekana Wydziału Filologicznego UwB. Najważniejsze publikacje książkowe i monografie autorskie: *Zapóżyczenia leksykalne z języka niemieckiego w polszczyźnie XIX wieku (na materiale czasopism)*, Białystok 1996; *Ź zagadnień kontaktów językowych*, Białystok 2010; *Słownik Mrongowiusza. Źródło do historii polskiej leksyki i leksykografii*, Białystok 2011.

NIE MAMY SIĘ CZEGO WSTYDZIĆ

Studia polonistyczne to przede wszystkim historia i teoria literatury. Pan swoje życie zawodowe poświęcił językoznawstwu i białostockiej uczelni. Proszę wrócić pamięcią do czasów, kiedy trzeba było podjąć bardzo ważne decyzje...

Prof. Bogusław Nowowiejski:

Bezpośrednio po obronie pracy magisterskiej nie wiedziałem, co ze sobą zrobić, więc intensywnie zastanawiałem się nad wyborem dalszej drogi życiowej. Obronę miałem w czerwcu 1979 roku. Ze względu na ówczesny profil studiów była tylko polonistyka o specjalności nauczycielskiej, większość studentów szykowała się do pracy w szkolnictwie. Ja też zakładałem,



że tak będą wyglądać początki mojej aktywności zawodowej, zwłaszcza że miałem pewne tradycje rodzinne związane z oświatą. Obserwując losy życiowe niektórych kolegów absolwentów, miałem świadomość, że po ukończeniu studiów mogą nie mieć żadnej w miarę atrakcyjnej oferty pracy. Dlatego uznałem, że najlepszym wyjściem będzie odbycie obowiązkowej wówczas po studiach służby wojskowej w tzw. Szkole Oficerów Rezerwy. Może nieco naiwnie uważałem, że podczas pobytu w wojsku znajdę czas na zastanawianie się, co mógłbym ewentualnie robić, spotkam ciekawych ludzi z całej Polski i nawiążę interesujące kontakty.

Jak wspomina Pan pobyt w wojsku? To ciekawy czas dla absolwenta polonistyki...?

To prawda. Pamiętam, że wezwano mnie do Elbląga. Tam był batalion SOR-u liczący czterystu mężczyzn, absolwentów różnych kierunków studiów, głównie humanistycznych i społecznych. Pobyt w wojsku trwał rok. Dziś różnie to wspominam. Z jednej strony był to trudny okres, bo komunistyczna indoktrynacja miała miejsce właściwie bez przerwy. Z drugiej strony, miałem pewne satysfakcje, ponieważ zawsze byłem człowiekiem energicznym i lubiłem sport, a w wojsku, kiedy ma się chociaż trochę uzdolnień sportowych, to ma się łatwiejsze życie, można było reprezentować batalion, na przykład w różnych grach zespołowych, zamiast zamiatać. Uważałem, że lepiej grać. Poza tym nie byłem palaczem, a to w wojsku duży mankament. Jeśli w czasie zajęć dowódca pododdziału ogłaszał przerwę na papierosa, to niepalący wykonywali różne czynności porządkowe. Więc lepiej było palić. Późną wiosną 1980 roku zbliżyliśmy się do zakończenia służby, do przysięgi i powrotu do cywila. I właśnie wtedy, dość niespodziewanie, skontaktowała się ze mną ówczesna dziekan Wydziału Humanistycznego, pani doktor Irena Halicka.

Dlaczego nawiązała kontakt właśnie ze mną? Zapewne dlatego, że napisałem u niej językoznawczą pracę magisterską, a także z inspiracji ówczesnego docenta Zygmunta Saloniego, do którego uczęszczałem na proseminarium. Docent Saloni chyba widział we mnie cechy, które pozwalałyby mi w przyszłości zostać językoznawcą. Na podstawie telegramu z uczelni otrzymałem przepustkę i pojechałem do Białegostoku.

W długiej rozmowie Pani Dziekan przekonywała mnie, że byłbym dobrym kandydatem na przyszłego pracownika nauki. Byłem tym kompletnie zaskoczony, prawdę mówiąc, nie widziałem siebie w roli nauczyciela akademickiego, chociaż studentem byłem nie najgorszym. Miałem bardzo dobre oceny z różnych przedmiotów, na których mi zależało, a niekoniecznie dobre z tych, do których nie miałem przekonania. W ciągu czterech lat

studiów otrzymałem jedną ocenę niedostateczną z przedmiotu podstawy nauk politycznych, a tróję z filozofii marksistowskiej. I to były moje najslabsze oceny. Ale za to wszystkie trzy egzaminy, które zdawałem u prof. Andrzeja Makowieckiego, czyli z literatury angloamerykańskiej, z modernizmu i z XX-lecia międzywojennego, zaliczyłem na piątkę. Równie dobrze szło mi z językoznawstwa. Zwłaszcza, że wtedy mogliśmy się uczyć od tak wybitnych przedstawicieli polskiego językoznawstwa, jak wspomniany doc. Saloni. Poza tym miałem też zajęcia z historii języka i z kultury języka u prof. Mariana Jurkowskiego, a językoznawstwo ogólne i gramatykę opisywają ówczesnego doktora, a później profesora Kazimierza Feleszki, znakomitego, ale niestety nieżyjącego już sławisty (zm. 2001).

Doktor Halicka obdarzyła Pana zaufaniem...

Oczywiście. Ponownie spotkałem się z doktor Halicką w Warszawie, gdzie odbywałem praktykę w jednostce wojskowej. Pani Dziekan przyjechała do mnie i razem udaliśmy się na Wydział Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Czułem się trochę niezręcznie dlatego, że byłem w mundurze, a w czerwcu 1980 roku na ludzi w mundurach, zwłaszcza w murach uniwersyteckich, patrzono podejrzliwie. Szybko jednak znaleźliśmy się w gabinecie doc. Władysława Kupiszewskiego, który był wtedy kierownikiem Zakładu Historii Języka Polskiego i Dialektologii. Pani dr Halicka z nim współpracowała, gdyż zajmowała się toponimią, a prof. Kupiszewski był dialektologiem i historykiem języka. Dr Halicka była przekonana, że prof. Kupiszewski z racji osiągnięć naukowych i doświadczeń dydaktycznych zdobytych na znakomitym uniwersytecie będzie dla mnie odpowiednim opiekunem naukowym.

Dla mojego zatrudnienia sporo zrobił prof. Jurkowski, kierownik Zakładu Filologii Polskiej i recenzent mojej pracy magisterskiej. Ja się wahałem: „Panie Profesorze, nie wiem, czy to dla mnie”. Profesor przekonywał mnie, że obrałem właściwą drogę i nie powinienem z niej zawracać. Z kolei prof. Kupiszewski od początku nie miał wątpliwości, że jestem właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Starłem się spełnić oczekiwania profesorów i od 1 października 1980 roku rozpocząłem pracę jako asystent stażysta. Prof. Kupiszewski został formalnie moim opiekunem naukowym. W dodatku zaczął regularnie przyjeżdżać do Białegostoku (co wiązało się w ówczesnym obowiązkiem pracowników UW realizowania części pensum na Filii) i prowadził wykłady z gramatyki historycznej, w których brałem udział jako słuchacz. Po wykładach zawsze mieliśmy spotkania trwające 2-3 godziny, w których uczestniczyła Ula Sokólska, także podopieczna Profesora. Po każdym spotkaniu Profesor zadawał nam swoistą pracę domową,

czyli materiał, z którego mieliśmy się przygotować na kolejne spotkanie. To było trudne zadanie, trzeba było przedzierać się przez setki stron specjalistycznej literatury, nie zawsze łatwej w lekturze. Sumiennie „walczyłem” z tymi pracami, aby się przed Profesorem nie skompromitować. Raz wychodziło to lepiej, raz gorzej, ale proces mojej edukacji akademickiej nabierał tempa. Studentów było niewielu, były takie roczniki, które liczyły po 30 osób. Zwykle tworzone były tylko dwie grupy ćwiczeniowe. Prowadziłem różne zajęcia, poczynając od podstaw nauczania języka polskiego na Wydziale Pedagogiki, gramatyki opisowej i leksykologii, kończąc na dialektologii. Później zaczęła się specjalizacja idąca w kierunku moich zasadniczych zainteresowań, czyli gramatyki historycznej i historii języka polskiego. Późniejszy przebieg mojej kariery akademickiej był dość rytmiczny. Oczywiście, był trudny moment, czyli lata 1980–1981, ponieważ ówczesne wydarzenia społeczno-polityczne w Polsce znajdowały swoje odbicie na uczelni. Pracownicy różnie się zachowywali. Nie chcę mówić o konkretnych przykładach negatywnych zachowań pracowników, którzy na przykład straszili studentów interwencją ZOMO, a nawet wizją relegowania z uczelni, gdyż ten wywiad nie powinien mieć charakteru rozliczeniowego. Ważne jest to, że ogromna większość kolegów utożsamiała się z opozycją antykomunistyczną i integrowała się ze studentami. Co innego, że jedni koledzy byli zaangażowani w działalność opozycyjną bardziej, inni mniej. Ci bardziej zaangażowani w okresie stanu wojennego zostali internowani. Jestem pewien, że część kolegów, która będzie udzielać wywiadów do tej wspomnieniowej książki, była znacznie bliżej tych wydarzeń i ma lepszą orientację w ich przebiegu i konsekwencjach. Szkoda, że w tej księdze zabraknie wspomnień niezwykłego Zbyszka Suszczyńskiego (zm. 2009), obdarzonego wszechstronnym i błyskotliwym umysłem, który był bardzo politycznie zaangażowany, co przypłacił internowaniem. Nastąpił taki moment, kiedy kierownictwo wydziału (dziekan prof. Andrzej Wyrobisz), czy ówczesna dyrektor Instytutu Filologii Polskiej prof. Helena Karwacka (zm. 2017), na znak protestu przeciw polityce władz zrezygnowali z pełnionych funkcji. Kiedy zakończył się stan wojenny, prof. Karwacka powróciła na pełne dwie kadencje na stanowisko dyrektora, ale byliśmy już wtedy w innej Polsce.

Praca w Filii Uniwersytetu Warszawskiego była nobilitacją...

Atmosfera była szczególna. Pracownicy i studenci czuli się częścią Uniwersytetu Warszawskiego, a to, że na dyplomie ukończenia studiów istniał dopisek „Filia”, było dla większości środowiska sprawą drugorzędną. Jednak nie wszyscy taki stan rzeczy akceptowali. Miałem takich kolegów

z okresu studiów, którzy przez wiele lat nie odbierali dyplomów, licząc na to, że będziemy kiedyś prawdziwym wydziałem Uniwersytetu Warszawskiego, nie jego Filii.

W tym czasie sytuacja naszego środowiska polonistycznego nie była łatwa. Było budowane głównie przez pracowników polonistyki warszawskiej, podobnie jak środowisko historyków, tyle tylko, że historyków było znacznie więcej, stanowili od razu silniejszą grupę. Do nas do pracy przyjeżdżały tylko pojedyncze osoby. Wówczas byłem wicedyrektorem Instytutu i musiałem troszczyć się o właściwą realizację zadań dydaktycznych, zwłaszcza że mieliśmy ponad pół tysiąca studentów na studiach dziennych i ponad 300 na zaocznych. A ponieważ dyrektorzy Instytutu (najpierw prof. Karwacka, później prof. Barbara Falińska) dojeżdżali z Warszawy, zwykle co dwa tygodnie, więc siłą rzeczy organizowanie pracy Instytutu było trudne i ktoś, kto był na miejscu, musiał robić to niejako w zastępstwie. Te obowiązki spadały głównie na mnie i jakoś musiałem sobie z tym radzić. Na szczęście wspomagał mnie w tym dr Wiesław Stec, wybitny specjalista od retoryki oraz literatury renesansu i baroku. Szkoda, że nie zrobił habilitacji, powinien być dziś profesorem.

Jak Pan radzi sobie z dostępem do książek, archiwów, prac naukowych? To też nie było łatwe...

Nie mieliśmy niestety biblioteki z prawdziwego zdarzenia. Była oczywiście biblioteka przy ul. Mickiewicza, później przeniesiona na ul. Skorupską, ale w księgozbiornie były liczne braki. Jeżeli ktoś chciał pisać pracę z językoznawstwa historycznego, to na zbyt wiele materiałów nie mógł w niej liczyć. Właśnie tak wyglądała moja sytuacja, ponieważ po obronie doktoratu (w 1985 roku), namówiony przez prof. Kupiszewskiego, zacząłem pisać pracę o zapożyczeniach niemieckich w polszczyźnie prasowej wieku XIX. Znałem niezłe język niemiecki, więc uznałem, że jest to temat odpowiedni właśnie dla mnie. Aby mnie zdopingować do tej pracy, prof. Kupiszewski w porozumieniu z prof. Jadwigą Puzyniną wysłali mnie na staż do Getyngi. Kierownikiem Seminarium Filologii Słowiańskiej Uniwersytetu w Getyndze był wówczas prof. Andrzej Vincenz (zm. 2014), naukowiec, pisarz i publicysta, a zarazem przesympatyczny człowiek o wielkiej kulturze, który z przyjemnością rozmawiał ze mną po polsku, a ponadto udostępnił wiele nieosiągalnych w Polsce materiałów. Życzliwie wspierał mnie też jego zastępca prof. Gerd Hentschel. Bogate materiały, którymi mogłem dysponować, wiązały się z tym, że zespół z Getyngi realizował grant pod tytułem *Słownik zapożyczeń niemieckich w polszczyźnie*. Niejako w rewanżu przez kilka lat współpracowałem z zespołem, przysyłając regularnie intere-

sujące ich różne materiały źródłowe. W pewnym momencie sprawa słownika utknęła w miejscu ze względu na brak finansowania. I dopiero kilka lat temu otrzymałem maila z Oldenburga (gdzie obecnie pracuje prof. Hentschel), że jest dostępna w Internecie elektroniczna wersja słownika¹. Lektura tego dzieła dała mi dużo satysfakcji, gdyż poza oficjalnymi podziękowaniami od zespołu redakcyjnego za wieloletnią współpracę moje nazwisko można znaleźć nie tylko w spisie bibliograficznym, czy w kartotece słownika, ale i w wielu artykułach hasłowych. W niektórych wypadkach zasadniczą część artykułu stanowi materiał leksykalny i komentarze językowe zaczerpnięte z moich opracowań.

Wszystkie materiały źródłowe znalazł Pan w Białymstoku?

Nie, dlatego musiałem jeździć do Warszawy. Na szczęście mieszkali tam moi teściowie, i to w pobliżu Placu Krasińskich, gdzie znajdował się Oddział Zbiorów Specjalnych Biblioteki Narodowej, więc to znakomicie ułatwiało sprawę. Poza tym nie musiałem się martwić o zakwaterowanie i wyżywienie. To było ciekawe doświadczenie: od poniedziałku do piątku przez osiem do dziesięciu godzin przesiadywałem w czytelni biblioteki i analizowałem sfilmowane teksty prasowe. Oddział dysponował bogatym zbiorem XIX-wiecznych czasopism w formie mikrofilmów, które przeglądałem na specjalnych czytnikach. Korzystałem także z zasobów Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego. Problem w tym, że w BUW-ie większość czasopism miała tradycyjną postać, a słabe oświetlenie w czytelni sprawiało, że dawne gazety, których papier ma kolor szarozielony, czytało się z dużym trudem.

Białostocka polonistyka miała inne problemy?

Podstawowym problemem były niedobory kadrowe, zwłaszcza wśród pracowników samodzielnych, czyli docentów i profesorów. W pewnym momencie wszyscy profesorowie byli z Warszawy. Zespół, który stanowił podstawę Instytutu składał się z prof. prof. Mariana Jurkowskiego (zm. 2005), Andrzeja Makowieckiego, Zygmunta Saloniego i Józefa J. Wierzchowskiego (zm. 1999). Ważnymi pracownikami Instytutu byli także doświadczeni doktorzy literaturoznawcy, zwłaszcza Elżbieta Feliksiak i Halina Krukowska, które rychno się usamodzielniały w roli pracowników nauki. W pewnym momencie do zespołu dołączyli nowi koledzy z „importu”: prof. Barbara Falińska i prof. Sław Krzemień-Ojak. Dzięki tej solidnej podstawie, w razie konieczności

¹ *Wörterbuch der deutschen Lehnwörter in der polnischen Hochsprache: von den Anfängen bis in die heutige Zeit*, Oldenburg 2010 (on-line).

uzupełnianej przez znakomitych filozofów, tj. prof. Jerzego Kopanię i prof. Witolda Marciszewskiego, nasza polonistyka mogła funkcjonować.

Istotnym naszym problem kadrowym było to, że część kolegów profesorów zatrudniana na białostockich etatach swoich współpracowników lub uczniów związanych z Warszawą, którzy, zwłaszcza po uzyskaniu stopnia naukowego, dziękowali za współpracę i wracali do stolicy. Do tej grupy zaliczyłbym obecnych profesorów: Barbarę Bobrowską, Dorotę Kielak Ewę Paczoską, Mariana Płacheckiego. Wybitny specjalista od literatury współczesnej, Zbigniew Jarosiński, wprawdzie uzyskał habilitację, ale zbyt późno, tuż przed śmiercią (zm. 2000). Gdyby te osoby po uzyskaniu stopni i tytułów pozostały w Białymstoku, to i wtedy, i obecnie nasza sytuacja wyglądałaby inaczej.

W gronie wykładowców byli też koledzy, którzy nie uzyskali w odpowiednim czasie wymaganych ustawą stopni naukowych, chociaż powinni, bo mieli ogromny potencjał. Przede wszystkim są to Janusz Taranienko i Waldemar Smaszcz, którzy powinni być profesorami. Nie dokończyła rozprawy habilitacyjnej Maria Koszycka, która popełniła samobójstwo, co było dla nas wielkim, traumatycznym przeżyciem. Anna Berlińska nie zrobiła habilitacji, może przez to, że zbyt długo pracowała we Francji jako lektor języka polskiego. Nie doczekał się publikacji jej doktorat. Jerzy Jaroszuk, który uczył mnie gramatyki historycznej jako trochę starszy kolega, nie spełnił się naukowo chyba z powodów osobistych i też nie opublikował swojej rozprawy. Wielka szkoda, bo obie prace były wartościowe i dotyczyły antroponomii naszego regionu. Dziś znajdowałyby się w kanonie prac onomastycznych.

Wspomniał Pan o Pani Profesor Elżbiecie Feliksiak...

Białostocka polonistyka zawdzięcza prof. Elżbiecie Feliksiak (zm. 2015) bardzo dużo. Jej największą zasługą było umiejętne skupianie wokół siebie uzdolnionych młodych osób i czynienia z nich prawdziwego naukowego zespołu, który zajmował się organizowaniem licznych konferencji oraz działalnością wydawniczą. Uczniami Profesor są między innymi prof. Elżbieta Konończuk oraz obecna dyrektor Instytutu prof. Violeto Wejs-Milewska. Duże zasługi dla Instytutu miała także prof. Falińska, która na dużą skalę rozwinęła badania regionalne oraz corocznie organizowała, przy wsparciu doktorantów i studentów, cieszące się dużą popularnością, letnie warsztaty dialektologiczne dla młodzieży ze szkół różnego stopnia. Owocem obozów były bogate materiały gwarowe, część z nich doczekała się publikacji.

Jacy byli studenci w tamtych czasach? Kiedy wspominam lata 1997–2002, wtedy tylko kserografy były w użyciu. Nie było komputerów. Pan

pamięta czasy, kiedy nie było nawet urzędzeń do kopiowania książek i czasopism. Czy znaczy to, że osiągnęliśmy wtedy gorsze wyniki?

Studenci byli z pewnością inni, prawdopodobnie lepsi, co wiązało się z faktem selekcji kandydatów na studia. Z 3-4 kandydatów studentem zostawała statystycznie jedna osoba, najślabi nie pokonywali progu rekrutacyjnego. Przez pewien czas istniała bardzo wyraźna różnica między poziomem studiów dziennych i zaocznych. Miało to miejsce zwłaszcza wtedy, gdy zaocznie studiowały niemal wyłącznie osoby, które uzupełniały wykształcenie pedagogiczne, ponieważ taki wprowadzono wymóg. Wśród setek osób studiujących polonistykę dominowały panie, ponieważ zawód nauczyciela polonisty był i jest mocno sfeminizowany. Te studentki często przyjeżdżały na zajęcia nieprzygotowane. Dlatego większość ćwiczeń przybierała charakter wykładu. Akceptowaliśmy tę sytuację, zdawaliśmy sobie sprawę z tego, jak trudno było pogodzić obowiązki nauczyciela, nierzadko jednocześnie wychowawcy, z obowiązkami rodzinnymi i studiowaniem na uczelni, do której dojazd zajmował czasem kilka godzin. Pewną część zajęć nauczycielki-studentki przesypiały, gdyż nie były w stanie wytrzymać intensywnych zajęć prowadzonych przez wiele godzin od piątku do niedzieli.

A studenci ze studiów dziennych?

Pierwotnie studenci dzienni z pewnością byli o wiele lepsi. Poziom obu typów studiów zaczął się wyrównywać w latach 90., kiedy w trybie zaocznym zaczęli studiować ludzie młodzi. Podchodzili oni do rzeczy pragmatycznie, studia zaoczne pozwalały im na podejmowanie w ciągu tygodnia pracy zawodowej, a w sobotę i niedzielę można było się uczyć. Dzisiaj studiów tego typu już nie ma.

Obecnych studentów stacjonarnych niełatwo ocenić. Być może dzisiaj jest większe zróżnicowanie, więcej indywidualności w dobrym i gorszym sensie. Nasi obecni studenci mają chyba więcej pomysłów na różne rzeczy, wykazują większą aktywność na wielu polach. Kiedyś to było bardziej sformalizowane i może nawet nieco sterowane. Koła Naukowe powinny być funkcjonować i wykazywać się działalnością, którą dokumentowały rozmaite sprawozdania. Inna rzecz, że w kołach działali niejednokrotnie bardzo zdolni ludzie. I tacy studują także dziś. Podobnie jest z jednostkami wybitnymi i wyraźnie słabymi, były kiedyś i są dziś, ale zmieniły się proporcje, wybitnych jest chyba mniej, a słabsi są chyba liczniejsi niż w przeszłości. Można odnieść wrażenie, że najbardziej zmienili się studenci „środką”, kiedyś byli mocniejsi i było ich więcej. Ma na to wpływ wiele czynników, poczynając od poziomu edukacji szkolnej, formy matur, wreszcie braku

konkurencji, wyrażającego się odstąpieniem uczelni od egzaminów wstępnych na większości kierunków. Tak jest i u nas, przyjmujemy każdego, kto przyjdzie i nie jesteśmy tak samo rygorystyczni, jeśli chodzi o ocenę efektów nauczania.

Dobrze ilustruje ten stan rzeczy poziom prac magisterskich. Zdarzają się i dziś prace bardzo dobre, czasem wybitne, stanowiące podstawę publikacji i zachęcające do podjęcia studiów trzeciego stopnia. Ale jest dużo prac słabych i bardzo słabych, napisanych bez pomysłu i nieudolnie, które wymagają od promotora gigantycznego nakładu pracy. Sądzę, że w jakimś stopniu wpłynął na to Internet. Bo to oczywiście jest z jednej strony znakomite ułatwienie, które wymaga mniej wysiłku od piszącego. Kiedyś, gdy praca musiała mieć formę maszynopisu, trzeba ją było samodzielnie wystukać na maszynie lub, częściej, dać komuś rękopis do przepisania. Każdy z piszących musiał w to włożyć dużo wysiłku; pomyłka wymagała pisania strony od początku. A dzisiaj? Przycisk „delete” załatwia sprawę. Poza tym, dyplomanci niejednokrotnie sięgają do zasobów Internetu mechanicznie, bezrefleksyjnie, metoda „kopiuj”/„wklej” często przynosi piszącemu więcej szkody, czasem wstydu, niż pożytku.

Panie Profesorze, standardowe pytanie: co zrobić, jeśli trzeba coś robić, by humanistyka była atrakcyjna?

Polonistyka w ciągu lat pod wieloma względami bardzo się zmieniła. W czasie moich studiów filologia polska miała tylko jedną specjalność – nauczycielską. W latach 90., kiedy przeprowadziliśmy się do budynku po dawnym Komitecie Wojewódzkim PZPR, zaczęliśmy bardzo mocno modyfikować program studiów. Przede wszystkim został mocno odchudzony. Kiedy studiowałem, zajęcia odbywały się przez pięć dni w tygodniu, często od rana do wieczora, z przerwą na obiad. W ramach niemal każdego przedmiotu był wykład, do tego ćwiczenia, czasem dwa. To było naprawdę duże obciążenie, a przecież trzeba było mieć czas na czytanie lektur. Gdy prof. Krukowska przedstawiła nam spis lektur do egzaminu, to wszystkim zrobiło się słabo. Poza tym sam egzamin z literatury XIX wieku obejmował dwie duże epoki, tj. romantyzm i pozytywizm. To była straszna „kobyła”, ale studia były czteroletnie, dlatego też wymagały większej intensywności i koncentracji materiału.

W nowych warunkach społeczno-politycznych i lokalowych pojawiły się nowe pomysły na program i przebieg studiów, już pięcioletnich. W konsekwencji zmniejszyła się liczba przedmiotów i obowiązkowych godzin dydaktycznych. Pojawiły dwie specjalności: literaturoznawcza i językoznawcza. Student wybierający konkretną specjalność miał ograniczoną

liczbę godzin dydaktycznych z drugiej, miał zatem więcej czasu na indywidualne studiowanie. Mimo że wkrótce z przyczyn demograficznych Instytut zaczął mieć pewne kłopoty z rekrutacją, zrezygnowaliśmy ze studiów zaocznych, to przez te lata, okrępeł, rozwinął się bardzo dynamicznie. Wielu kolegów uzyskało stopnie naukowe doktorów i doktorów habilitowanych (tę serię zapoczątkowali prof. Halina Krukowska i prof. Piotr Wróblewski). Pojawiły się białostockie profesury tytularne.

Obecnie wśród naszej kadry nie ma już magistrów, za to funkcjonują studia doktoranckie. Na szczególną uwagę zasługuje to, że Instytut ma kadre relatywnie młodą. Najstarsi profesorowie nie osiągnęli jeszcze wieku emerytalnego. Mieliśmy kategorię B w ocenie parametrycznej jednostek naukowo-dydaktycznych i liczne osiągnięcia publikacyjne, w tym uznane serie wydawnicze jak „Czarny Romantyzm”. Nie mamy się czego wstydić. Są w Polsce uniwersytety, czasem o dłuższej tradycji, które nam zazdroszczą. Naukowy poziom białostockiej polonistyki poszedł mocno w górę, niestety spadła liczba studentów.

Wykładowcy nie mają pomysłu na to, co z tym zrobić?

Ciągle pojawiają się pomysły, jak zaradzić sytuacji, która wynika z czynników zewnętrznych. Część projektów została ujęta w nowej misji Wydziału Filologicznego na lata 2016–2020. Warto zauważyć, że polonistyka mocno się zmieniła, nie jest w tej chwili kierunkiem nauczycielskim. Powstały nowe specjalności: dziennikarska, edytorska, regionalna i kulturoznawcza. Znaczący udział w powołaniu tej ostatniej, a następnie jej przekształceniu w kierunek kulturoznawstwo, miał prof. Krzemień-Ojak (zm. 2012). Ta atrakcyjniejsza od wcześniejszej oferta edukacyjna nie przełożyła się niestety na wzrost liczby kandydatów na filologię polską. Ponadto spowodowała pewne komplikacje w realizacji dydaktyki. Otóż, studenci zaczęli częściej wybierać specjalności niepolonistyczne, zmalała też liczba chętnych do pisania prac dyplomowych *stricte* językoznawczych albo literaturoznawczych, zaczęły dominować seminaria licencjackie i magisterskie o interdyscyplinarnym charakterze. Nawet w wypadku prowadzonych przeze mnie seminariów magisterskich coraz częściej uczestnicy chcą pisać o nie tylko o języku polityki, reklamy, ale o tekstach piosenek i skeczy kabaretowych oraz języku mediów, zwłaszcza Internetu, w tym blogów, portali plotkarskich, terminologii gier komputerowych. W efekcie tych zmian część kolegów odeszła z pracy. Oczywiście nie tylko z tych przyczyn, ale też powodów osobistych, na przykład faktu przejścia na emeryturę. W konsekwencji liczba pracowników Instytutu istotnie zmalała.

Był Pan nie tylko pracownikiem naukowo-dydaktycznym, ale i dyrektorem Instytutu oraz prorektorem.

Przez 36 lat pracy ciągle pełniłem jakieś funkcje. Przez 12 lat byłem wicedyrektorem Instytutu Filologii Polskiej. Przez 6 lat byłem prorektorem, przez 8 lat dziekanem wydziału. To były ważne zobowiązania, zwłaszcza wobec współpracowników. Jako człowiek odpowiedzialny szalenie to przeżywałem, chociaż starałem się (chyba z powodzeniem) to przed kolegami ukrywać. Trudno się funkcjonowało w czasach socjalizmu, zwłaszcza w okresie stanu wojennego. Jako środowisko akademickie byliśmy w większości oburzeni na to wszystko, co się wówczas działo, ale ponieważ człowiek jest w stanie przywyknąć do różnych trudności, to dawaliśmy sobie jakoś radę. Jak w filmach Barei.

Potem przyszedł nowy czas, nowe porządki, ludzie i reguły gry. Pojawił się na przykład system studiów licencjackich i uzupełniających, czyli magisterskich. Byłem temu zdecydowanie przeciwny, uważałem, że to jest kompletne nieporozumienie, zwłaszcza w przypadku filologii narodowej. Ten system jest nie tylko bardziej kosztowny i kłopotliwy organizacyjnie, ale generuje rozmaite szczegółowe komplikacje. Czym innym jest prowadzenie pracy magisterskiej studenta, który zdobył licencjat na polonistycę, a nie na takich kierunkach, jak: pedagogika, kulturoznawstwo, politologia, teatrologia itp. To jest prawdziwa mordęga.

Wracając do moich funkcji, za najprzyjemniejsze uważam lata spędzone na stanowisku wicedyrektora Instytutu, mieliśmy wtedy wielu studentów na studiach dziennych i zaocznych oraz setki słuchaczy na studiach podyplomowych. Wiązało się to ze znaczącymi wpływami finansowymi z tzw. płatnej dydaktyki, co znakomicie ułatwiało kierowanie jednostką.

Nienajgorsze były też lata spędzone w rektoracie, sporo się wówczas działo, zwłaszcza w zakresie inwestycji: zbudowaliśmy bibliotekę uniwersytecką z prawdziwego zdarzenia, nowoczesny akademik przy ul. Żeromskiego, aulę Wydziału Prawa, piękną halę sportową przy ul. Świerkowej. Poza tym miałem znakomitych szefów, od których wiele się nauczyłem, czyli prof. Adama Jamroza i prof. Marka Gębczyńskiego. Zdobyte wówczas różnorodne doświadczenia procentowały w czasie dziekanowania.

Niestety, ten ostatni okres to nie był łatwy czas. Przede wszystkim pojawiły się kłopoty finansowe uczelni. W konsekwencji trzeba było sprzedać bibliotekę i budynek rektoratu. Zwłaszcza ta pierwsza decyzja wzbudziła gorącą publiczną dyskusję. Zawieszenie rekrutacji na filozofię odbiło się szerokim echem w całym kraju i podobnie jak sprawa biblioteki niekorzystnie wpłynęło na wizerunek naszego uniwersytetu. Oliwy do ognia dołączyło zwolnienie pracowników, w części nauczycieli akademickich, co szczególnie dotkliwie poza rektorem odczuli dziekani.

Panie Profesorze, czego Panu życzyć na następne lata pracy?

Zacząłem wypowiedź od zarysu swego charakteru i trybu życia. Byłem zawsze człowiekiem energicznym, dobrze zorganizowanym i pracowitym, chociaż pracę zawodową traktowałem jako konieczny obowiązek. Co innego, że praca naukowa, a zwłaszcza obowiązki nauczyciela akademickiego, wielokrotnie dawały mi dużo satysfakcji. Myślę, że dzisiaj my, pracownicy uniwersytetu, jesteśmy w większości po prostu zmęczeni i to nie samą nie tyle samą pracą, co uwarunkowaniami, w których musimy funkcjonować. Idzie mi przede wszystkim o rozbuchaną do granic wytrzymałości biurokratyzację i to zinformatyżowaną. Powszechną irytację budzą ciągle zmieniające się przepisy, wydumane przez urzędników wymagania i widzeniu w pracowniku uniwersytetu nie naukowca i nauczyciela, ale dostarczyciela punktów. Chciałbym jeszcze jakiś czas popracować, o ile będę uczelni potrzebny, ale też móc działać w normalnych warunkach i koleżeńskiej atmosferze, które sprawiają, że się chce człowiekowi iść do pracy. Wtedy daje ona prawdziwą satysfakcję. Mimo upływu lat.

Podsumowując: chciałbym mieć zdrowie, by chodzić do pracy, by móc jeździć rowerem, pograć w tenisa i nie mieć problemów z sercem. Chciałbym również, żeby mój pies był mi zawsze posłuszny.

Dziękuję za rozmowę.



Akademik „Alfa”
przy ul. Zwierzynieckiej
w Białymstoku

Barbara OLECH

BARBARA OLECH

– dr; pracownik Uniwersytetu w Białymstoku. Zainteresowania badawcze: literatura II połowy XIX wieku i XX wieku ze szczególnym uwzględnieniem pisarstwa kobiet (Maria Grosseck-Korycka, Zofia Trzeszczkowska, Bronisława Ostrowska), literatura dla dzieci i młodzieży, baśniowe i mityczne topoty w literaturze polskiej XX wieku, pisarze polscy pochodzenia żydowskiego (zwłaszcza piszący w Izraelu), Kresy w literaturze polskiej. Autorka monografii *Harmonia, liryzm, trwoga: studia o twórczości Bronisławy Ostrowskiej* (Białystok 2012); opracowała i poprzedziła wstępem książkę Marii Grosseck-Koryckiej, *Utwory wybrane* (Kraków 2005). Od kilkunastu lat bierze udział w pracach jury Olimpiady Literatury i Języka Polskiego na Białorusi, a od 2007 r. także na Łotwie, członek jury wszystkich edycji Dyktanda Polskiego na Białorusi; inspiratorka Dyktanda Polskiego na Łotwie, członek Centrum Edukacji Obywatelskiej Polska – Izrael, współorganizatorka Festiwalu Kultury Żydowskiej „Zachor – Kolor i Dźwięk”.

PROFESOR HELENA KARWACKA, DOKTOR MARIA KOSZYCKA I INNI

Pani Doktor, porozmawiajmy o osobach, które wpłynęły na pani rozwój naukowy i z którymi się Pani przyjaźniła. Czy wśród nich była prof. Helena Karwacka?

Dr Barbara Olech:

Pani prof. Helena Karwacka miała znaczący wpływ na rozwój polonistyki białostockiej, a ja należałam do pierwszego rocznika studentów, którzy się z Panią Profesor zetknęli. Część osób z mojego roku nie wybrała proseminarium z literatury. Liczyliśmy na proseminarium u pana docenta Andrzeja Makowieckiego. Niestety, poszedł on na urlop naukowy. My zaś nie potrafiliśmy się odnaleźć w żadnej propozycji. Wówczas doc. Marian



Jurkowski – ówczesny kierownik Zakładu Filologii Polskiej – obiecał nam, że ktoś na pewno z Warszawy przyjedzie w zastępstwie. Byliśmy wtedy (mówię nie tylko o naszej niepokornej grupie bez proseminaryjnego przydziału) zakochani w Młodej Polsce, w znacznej mierze ze względu na doc. Makowieckiego. To był człowiek, który tak prowadził wykłady, że siedzieliśmy z otwartymi buziami, a gdy był egzamin, wstydziliśmy się nie umieć. I nie chodziło o ocenę... Nie chcieliśmy zawieść jego zaufania.

Kiedy przyszedł IV rok naszych studiów, okazało się, że wśród pracowników naukowych białostockiej polonistyki pojawiła się nowa osoba, która przyjechała z Warszawy. Była to prof. Helena Karwacka. Uruchomiła ona seminarium magisterskie – jednak nie z literatury Młodej Polski (jak oczekiwaliśmy), a z dwudziestolecia międzywojennego. Na tym seminarium byłam między innymi ja, Joanna Mackiewicz, Jolanta Borowska, (nieżyjąca już, która pisała później doktorat u pani prof. Karwackiej), Alicja Backiel, Janina Śliwińska-Jaroszuk (pierwsza białostocka doktorantka pani profesor). Chcąc nie chcąc, staliśmy się specjalistami od recepcji twórczości różnych autorów w dwudziestoleciu międzywojennym, bo taka była tematyczna specyfika tego seminarium, podporządkowanego jednej dominancie. Pani prof. Karwacka była nad wyraz życzliwa, bardzo otwarta i opiekuńcza. Zobligowani tematami prac siedzieliśmy w czytelniach Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego i Biblioteki Narodowej. Przeglądaliśmy stare pisma, gazety międzywojenne. Sprawdzaliśmy, jaka była reakcja recenzentów na wystawienia dramatów Szaniawskiego, Rostworowskiego, jak przyjmowała krytyka kolejne tomiki Iłłakowiczówny, Staffa, Tuwima... W Białymstoku nie mieliśmy tak bogatych zbiorów gazet i czasopism. Zresztą nadal ich nie mamy, ale digitalizacja pozwala teraz bez wychodzenia z domów korzystać online z bibliotek cyfrowych i przeglądać stare pisma, książki (pierwodruki). Myśmy wcześniej (jako studenci) nie mieli świadomości, że tak interesujące może być wertowanie starych pism i śledzenie recepcji. Dzięki tak ustawionemu seminarium wchodziliśmy w świat międzywojnia z nieco innej perspektywy, z perspektywy ludzi tamtego okresu. Była to fascynująca przygoda intelektualna. Staliśmy się miłośnikami międzywojnia.

Warto chyba powiedzieć, że byliśmy rocznikiem, który zamiast czterech lat miał mieć już cztery i pół roku studiów. Kiedy zaczynaliśmy V rok, nikt nie przypuszczał, że po dwóch miesiącach – w grudniu – wybuchnie stan wojenny. Pani Profesor nie manifestowała przed nami swoich poglądów politycznych. Nie byliśmy przecież partnerami do takich rozmów. Jednak wiedzieliśmy z wcześniejszych jej wypowiedzi, zachowań, polecanych nam lektur (zwłaszcza spoza oficjalnego obiegu), że opowiada się po stronie „Solidarności”, będąc wyznawczynią wolności i demokracji. O bliskim jej

świecie wartości, o swoich mistrzach z okresu studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim (profesorach: Kazimierzu Wyce, Juliuszu Kleinerze, Zenonie Klemensiewicz) często – jakby mimochodem – nam wspominała. W ten sposób poniekąd zwracała naszą uwagę na to, co w życiu jest ważne, jaka jest rola humanistów i humanistyki. Wiedzieliśmy także, że bardzo sekundowała działaniom Niezależnego Zrzeszenia Studentów.

W tym trudnym roku akademickim 1981/82 pani Profesor Karwacka była dyrektorem Instytutu Filologii Polskiej. Kiedy na naszej uczelni – wówczas Filii Uniwersytetu Warszawskiego – w listopadzie 1981 roku wybuchły strajki studenckie, Pani Profesor wzięła w nich udział. To była bezpośrednia przyczyna odwołania jej w stanie wojennym ze stanowiska dyrektora. Powróciła na nie – decyzją rektora Uniwersytetu Warszawskiego prof. Henryka Samsonowicza – w roku akademickim 1982/83 i była dyrektorem do roku 1993. Gdy wprowadzono stan wojenny, zajęcia na uczelniach na pewien czas zostały zawieszane. W tej sytuacji Pani Profesor – jako dyrektor Instytutu – i władze dziekańskie podjęły decyzję, że będziemy mieć ważne legitymacje studenckie przez kolejny semestr. Tym samym byliśmy studentami i – w razie trudnej sytuacji – mogliśmy liczyć na ich wsparcie. Do obrony prac magisterskich nasze seminarium przystąpiło dopiero w maju 1982 roku.

Pani Profesor – nic nie mówiąc ani mnie, ani Joli Borowskiej – podjęła działania, by nas zatrudnić. Obie pisałyśmy o recepcji dramatów – Rostworowskiego i Szaniawskiego. Pani Profesor rekomendowała pracę Joli Borowskiej na Wydziale Lalkarskim PWST, proponując jej kandydaturę na asystenta do prowadzenia zajęć z historii teatru i dramatu. Mnie chciała zatrudnić jako swoją asystentkę na naszej uczelni, co jednak – z powodu blokady etatów – okazało się niemożliwe. Poszłam więc pracować do szkoły. Byłam bibliotekarką przez rok w Szkole Podstawowej nr 4 i 12, a potem przez dwa lata pracowałam w Szkole Podstawowej nr 13 jako polonistka.

Cały czas utrzymywałam kontakt z Panią Profesor. Uznała ona bowiem, że z osobami, z którymi się zaprzyjaźniła i które wykazywały – jej zdaniem – pewne predyspozycje intelektualne, warto się spotykać. Kiedy Pani Profesor przyjeżdżała do Białegostoku na zajęcia, wieczorem w jej pokoju w hotelu pracowniczym przy ulicy Świerkowej odbywały się regularne zebrania naukowe, dyskusje. Uczestniczyły w nich nie tylko osoby, które przymierzały się do ewentualnego pisania doktoratu, ale też bliscy Pani Profesor pracownicy Instytutu – Ewa Paczoska, Barbara Bobrowska (wówczas jeszcze doktorzy, teraz profesory). To były dla nas – młodych ludzi, poszukujących swojego miejsca w świecie – ważne spotkania. Umacniały w nas przekonanie, że warto być humanistą, warto szukać odpowiedzi

na trudne pytania, warto być niezależnym myślowo. To była prawdziwa oaza wolnej, niezależnej myśli w trudnym, pogrudniowym czasie. Bardzo tego potrzebowaliśmy i byliśmy wdzięczni Pani Profesor za te wieczorne dyskusje w gronie osób podobnie patrzących na świat, podobnie myślących. Przy czym, co warto podkreślić, Pani Profesor nigdy nie narzucała nam swojego zdania, a tak moderowała dyskusję, że każdy z nas czuł się pełnoprawnym uczestnikiem spotkania. Gdy patrzę na to z perspektywy minionych lat, podziwiam jej takt i mądrość.

W 1985 roku Pani Profesor zaproponowała mi pracę w Instytucie. Miałam wówczas sporo wątpliwości, zwłaszcza czy podołam oczekiwaniom, czy odnajdę się w pracy naukowej i dydaktycznej. Pani Profesor uważała, że poradzę sobie z tymi wyzwaniem. Już wcześniej zleciła mi prowadzenie zajęć ze studentami niestacjonarnymi z historii teatru. To było wprawdzie tylko kilka godzin, ale doświadczenie niezwykle cenne. Przychodząc na uczelnię, miałam prowadzić zajęcia związane tematycznie z teatrem. To był krąg zagadnień od lat bardzo mi bliski. To była też jedna z pasji badawczych Pani Profesor. Pod koniec września okazało się, że – z powodu różnych zmian kadrowych – będę prowadziła wykłady i ćwiczenia z literatury dla dzieci i młodzieży. I to było dla mnie ogromne wyzwanie. Zmieniłam też wtedy swoje zainteresowania badawcze. Pierwotnie myślałam, interesując się dramatem i teatrem, że będę pisała doktorat o Wacławie Grubińskim. Miałam już sporo zgromadzonych materiałów. Kiedy jednak zaczęłam prowadzić zajęcia z literatury dla dzieci, odkryłam książkę *Bohaterski Miś* Bronisławy Ostrowskiej, o której z wielkim entuzjazmem się wypowiadały osoby dla mnie ważne – prof. Helena Karwacka i prof. Andrzej Mako-wiecki. Wtedy też zrodził się pomysł na doktorat poświęcony twórczości Bronisławy Ostrowskiej – poetki Młodej Polski, ale także i dwudziestolecia międzywojennego, poetki dwóch najbliższych mi okresów literackich.

Pani Profesor – jako dyrektor Instytutu – zależało na budowaniu przyjaznej atmosfery. Dopingowała też nas do aktywności naukowej, do zdobywania stopni. Budowanie wspólnoty, środowiska nie było łatwe. Wielu z utytułowanych pracowników naszego Instytutu to osoby przyjeżdżające na zajęcia z Warszawy, z Warszawą też emocjonalnie związanych. Tym samym nie mogły one w pełni uczestniczyć w różnych działaniach na zewnątrz, w przestrzeni miejskiej. Pani Profesor, będąc szefową Instytutu, szukała konstruktywnych rozwiązań. Miała zawsze duże wsparcie w gronie białostockich pracowników. Sekundowała ich poczynaniom. Otaczała opieką organizowane konferencje naukowe, a z tych – organizowanych zwłaszcza przez Panią Profesor Halinę Krukowską i Panią Profesor Elżbietę Feliksiak – można było być dumnym, bo wносиły wiele nowego do polskiej humani-

styki. Profesor Karwackiej zależało, by białostocka polonistyka wzorowała się na najlepszych. W pamięci miała zawsze swoje studia i swoich mistrzów z Uniwersytetu Jagiellońskiego i Uniwersytetu Łódzkiego, a także swoje doświadczenia z pracy na Uniwersytecie Łódzkim.

Pani Profesor była prawdziwą damą. Myśmy ją podziwiali za klasę, styl, elegancję, za takt i kulturę. Nieprzypadkowo w prywatnych, nieoficjalnych rozmowach mówiło się o niej „piękna Helena”.

Pani Profesor miała w Białymstoku swoich uczniów, wychowanków. Pod jej kierunkiem doktorat napisałam nie tylko ja, ale także Dorota Kielak (obecnie prof. UKSW), Dariusz Kulesza (obecnie prof. UwB), Janina Śliwińska-Jaroszuk. Bliska finalizacji była też praca Jolanty Wiśniewskiej (dawnej Borowskiej), która tragicznie zmarła. Ale Pani Profesor nie pozwoliła, by jej trud poszedł na marne. W porozumieniu z rodziną (z dostępnych materiałów, fragmentów jej wcześniej złożonych) zredagowała książkę *W poszukiwaniu „złotego klucza”. Polska twórczość dramatyczna dla teatru lalek (1945–1970)*. Opatrzyła ją także słowem wstępnym. Ten przykład chyba najlepiej świadczy, jaki był stosunek Pani Profesor do nas – jej podopiecznych. Zawsze dyskretnie nas obserwowała. Nie narzucając swojego zdania, sygnalizowała stałą gotowość do pomocy.

Kiedy w 1993 roku przestała pracować w naszym Instytucie, nie zerwała kontaktów z białostockim środowiskiem. Organizowała seminaria doktoranckie na Uniwersytecie Warszawskim. Jeździliśmy na nie regularnie – Jolanta Wiśniewska (Borowska), Dariusz Kulesza i ja. Na tych spotkaniach była też zawsze Dorota Kielak. Bywała także Maria Olszewska (obecnie prof. tytułarny UW), która doktorat pisała pod kierunkiem prof. Andrzeja Makowieckiego. Pojawiały się także prof. Ewa Paczoska i prof. Barbara Bobrowska. To było grono zaprzyjaźnionych ludzi, których losy połączyła białostocka polonistyka. Pani Profesor była dobrym duchem tych cyklicznych spotkań.

Moje relacje z Panią Profesor nie ograniczały się tylko do spotkań naukowych. Znała moich najbliższych – męża, córkę. Ja z kolei bywałam w jej mieszkaniu na warszawskim Ursynowie, gdzie w naszych rozmowach uczestniczył mąż Pani Profesor – prof. Władysław Karwacki. I wiem, że taki był Jej stosunek do wszystkich jej uczniów. Interesowała się ich losami, często radami wspierała w trudnych, życiowych sytuacjach. Śledziła ich publikacje. Życzliwie komentowała wszelkie działania. Była nie tylko naukowcem, mistrzem, ale i przyjacielem nas wszystkich. Myślę, że w znacznym stopniu ukształtowała nas, nie tylko jako nauczycieli akademickich, ale i jako ludzi – odważnie szukających swego miejsca w życiu, ale też pokazujących młodym adeptom polonistyki, jak twórcze może być wędrowanie śladami literatury.

We wspomnieniach wykładowców, z którymi rozmawiałem, przygotowując tę książkę, często pojawiała się pani dr Maria Koszycka. To była bardzo barwna, charyzmatyczna postać. Czy Pani ją poznała?

Gdyby nie doktor Maria Koszycka, nie wiem, czy bym tutaj studiowała. Na I roku filologii polskiej pierwsze ćwiczenia z literatury współczesnej były z nią. Zajęcia organizacyjne – które, jak wiadomo, ze swej natury do porywających nie należą – były jednymi z tych, które na zawsze zostaną w mojej pamięci. Mareta – tak, żeśmy o niej mówili i pod takim imieniem w środowisku funkcjonowała – nie ograniczyła się do przedstawienia tematów ćwiczeń, ale zaczęła nam opowiadać o inscenizacji Jerzego Jarockiego dramatu *Matka* Witkacego. Siedzieliśmy jak zahipnotyzowani, kiedy ona z ogromnym zaangażowaniem, bardzo plastycznie mówiła o kłębkach kolorowej włóczki, o czerni i bieli jako wiodących barwach dramatu i spektaklu. Nastawialiśmy się na fascynujące zajęcia, intelektualną przygodę... Jak to często jednak bywa, plan niespodziewanie uległ zmianie i kto inny dostał ten przedmiot do prowadzenia. Byliśmy zawiedzeni. Zwłaszcza, że na tych pierwszych zajęciach głośno czytaliśmy fragmenty dramatu, wchodząc niejako w klimat opowiadanych wydarzeń i czuliśmy, że Mareta jest nietuzinkową osobowością, która będzie umiała nas otworzyć na trudny świat literatury współczesnej, a także na piękno żywego słowa.

Wtedy też – po zajęciach – Mareta zaprosiła mnie do współpracy z teatrem, który prowadziła przy Klubie Nauczycieli „Bakałarz”. Chodziłam tam krótko. Nie umiałam się odnaleźć w grupie ludzi sobie bliskich, już zaprzyjaźnionych. Byłam wtedy osobą wycofaną, trochę zahukaną. I choć Mareta bardzo starała się włączyć mnie do grupy, stwarzając przyjazną atmosferę, to chyba wtedy jeszcze nie dojrzałam do bycia z nimi. Wzięłam wprawdzie udział w Zaduszkach Poetyckich, recytowałam powierzone mi wiersze, ale potem... bez słowa wyjaśnienia wycofałam się. Uderzyło mnie wszakże – podczas tych kilku spotkań, prób – jak Mareta budowała relacje z grupą, jak potrafiła wydobyć z młodych ludzi emocje. W trakcie ożywionych dyskusji rodziła się koncepcja artystyczna przedstawienia. Mareta pokazywała różne tropy interpretacyjne, wskazywała, jakie mogą być artystyczne konsekwencje pójścia jedną z możliwych ścieżek. Wizja rodziła się w toku wymiany zdań. To było coś niezwykłego. Byłam zaskoczona bezpośredniością Marety, jej wrażliwością, ale i umiejętnością wydobywania z innych tego, co w nich było najlepsze, najpiękniejsze.

Potem – na II roku studiów – miałam szczęście mieć z Mareta Koszycką ćwiczenia z romantyzmu. Była ona znakomitym dydaktykiem. Perfekcyjnie przygotowywała zajęcia, zmuszając nas do aktywności intelektualnej. Nie odpytywała ze znajomości tekstów, opracowań... Umiejętnie stawiała problemy do dyskusji. Sprawdziała nasze myślenie, inspirowała, pozwalała

nam się nawet mylić. Chciała, żebyśmy szukali swoich ścieżek. Wtedy chyba naprawdę zrozumieliśmy, że każde wielkie dzieło literackie może być odczytywane na różne sposoby. I tak długo żyje, jak długo porusza czytelników, interpretatorów, badaczy.

Kiedy pojawiłam się na uczelni, weszłyśmy z Maretą w nieco inne relacje, koleżeńskie. I wtedy też doceniłam ją nie tylko jako dydaktyka, ale także jako naukowca. Rozmawiałyśmy na różne tematy – literackie, naukowe, życiowe. Często mówiła o swoim wewnętrznym rozdarciu, wynikającym z próby satysfakcjonującego godzenia życia rodzinnego i pracy naukowej. Miała wobec siebie duże wymagania. Myślę, że to jedna z najbardziej fascynujących osobowości białostockiej polonistyki tamtego czasu. Zawsze kiedy o niej myślę, widzę osobę skupioną na rozmówcy, podejmującą z nim dialog. Kiedy Mareta wypowiadała się na zebraniach czy spotkaniach, w rzeczach zwyczajnych potrafiła znaleźć coś niezwykłego, jakby odnieść je do jakiegoś uniwersum. I to było bardzo cenne, niebanalne.

Przy tym i zewnętrznie, ubiorem, wyróżniała się. Miała swój styl. Nie do podrobienia. Sprawiała wrażenie bardzo silnej osoby. Świadomie chyba budowała taki swój wizerunek. Chyba wielu z nas w to uwierzyło. Tak naprawdę była wrażliwa i krucha. Chwilami nie radziła sobie z otaczającą rzeczywistością i z samą sobą, a my – choć byliśmy blisko – nie umieliśmy odczytać sygnałów, które do nas wysyłała. Jej tragiczna śmierć była dla nas zaskoczeniem. Do dziś, gdy ją wspominamy, nie umiemy sobie odpowiedzieć na pytanie, czy czegoś nie zaniechaliśmy... Jej odejście było ogromną stratą dla naszego środowiska.

Wspominając ją teraz, mam poczucie winy, że zapomnieliśmy o jednej ważnej rzeczy. Na fali żalu po Marecie zapadła decyzja, że będzie przyznawana nagroda jej imienia za najlepszą pracę magisterską. Przez kilka lat po jej śmierci tak było. Potem w nawale codzienności gdzieś to nam umknęło. Obecni studenci nie wiedzą, kim była. Ale są jeszcze przecież osoby, które miały z nią kontakt. Jestem przekonana, że powinniśmy o tych, którzy odeszli, a współtworzyli białostocką polonistykę pamiętać. Budowanie tradycji to przechowywanie w pamięci i przekazywanie innym wiedzy o przeszłości, także, a może przede wszystkim, o ludziach.

I tu pozwolę sobie przypomnieć niezjącego już Bogdana Zawistowskiego. Był ze mną na roku. Jako jedyne z naszego roku pisał – po indywidualnych uzgodnieniach – pracę magisterską u prof. Andrzeja Makowieckiego. Przez pewien czas prowadził ćwiczenia z literatury Młodej Polski. Chcąc polepszyć swoją sytuację finansową, na krótko wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Po powrocie nie było możliwości zatrudnienia go w Instytucie. A zapowiadał się na świetnego badacza...

Pani Doktor, a prof. Zbigniew Jarosiński? Wiem, że Pani go dobrze znała.

Nie wiem, jak wyglądałaby białostocka polonistyka, gdyby nie Zbyszek. Był jednocześnie pracownikiem naszego Instytutu i Instytutu Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk. Świadomie podaję to w takiej kolejności. Bo dla nas Zbyszek był „nasz”. Żył naszymi problemami, przyjaźnił się z nami, był obecny w życiu instytutu. Przez wiele lat był kierownikiem naszego Zakładu Literatury Międzywojennej i Współczesnej. Zbyszek cieszył się wielkim poważaniem i przyjaźnią wielu wybitnych naukowców z Instytutu Badań Literackich. W sposób naturalny umożliwiał nam cenne kontakty z nimi. Odznaczał się taką delikatnością, taktem i tak ogromną wiedzą, że to było aż zaskakujące. Nigdy nikogo nie upokorzył. Zawsze, kiedy mieliśmy zebranie zakładu, przedstawialiśmy swoje artykuły, poddawaliśmy je ocenie kolegów, licząc na konstruktywne opinie. Zbyszek zawsze wzmacniał w nas poczucie wartości. Wypunktowywał na początku rzeczy ważne i dobre, a dopiero potem mówił, co on sam by ewentualnie w artykule zmienił. I to było trafienie w punkt. Wiedzieliśmy, że do tego trzeba się zastosować. Wiele mu zawdzięczamy. Uczył nas precyzji myślenia.

Wiem, że studenci także Zbyszka kochali. Prowadził bardzo interesujące wykłady. Skupiał uwagę słuchaczy. Był świetnym promotorem. Wielu białostockich polonistów to jego wychowankowie. Wielu też wspomina go do dziś. Może dlatego otaczała go taka dobra aura, że zawsze starał się wydobyć z człowieka jego najlepsze cechy. Nigdy nikogo nie zranił. Także na egzaminie, w sytuacji, gdy odpowiadający nie miał wiedzy, gdy jako egzaminator miał prawo się zdenerwować... Zbyszek potrafił „otworzyć” zestresowanych studentów. I nagle okazywało się, że oni myśląc, że niczego nie wiedzą, mówią nieprawdę, bo wiedzą.

Ceniliśmy Zbyszka za jego wiedzę. Był dla nas autorytetem, mistrzem. O rzeczach trudnych pisał i mówił jasno, przystępnie. Precyzyjnie konstruował swoje teksty. To wielka sztuka. Bardzo się cieszyliśmy z jego habilitacji (1999 rok). Mieliśmy wiele wspólnych, zakładowych planów.

Muszę tu o jeszcze jednej ważnej kwestii powiedzieć: o uczynności Zbyszka, o jego bezinteresownej pomocy. Jak wiadomo, wielu książek nie było w Białymstoku. Przez wiele lat regularnie jeździliśmy do bibliotek warszawskich (IBL, BN, BUW), by tam na miejscu korzystać z bogatego księgozbioru. Choć mogliśmy niektóre książki wypożyczać, to jednak nie wszystkie one były dla osób z zewnątrz dostępne. Wystarczyło jednak o tym powiedzieć Zbyszkowi. Dla niego nie było rzeczy niemożliwych. Przywoził nam książki i mobilizował do pracy.

Zbyszek w Instytucie Badań Literackich nie miał dydaktyki. Miał ją za to w Białymstoku i w byciu nauczycielem akademickim, w przekazywaniu

wiedzy studentom spełniał się. To była taka osoba, która mając pół etatu, pracowała tyle, co na cały. Zawsze był dyspozycyjny. Nigdy nie odmówił udziału w pracach instytutowych. Recenzował prace magisterskie, uczestniczył w rekrutacji.

Wszyscy chcieliśmy mieć kontakt ze Zbyszkiem, bo przebywanie z nim utwierdzało w nas wiarę w ludzką dobroć, życzliwość, bezinteresowność. Byłam chyba ostatnią osobą, która ze Zbyszkiem rozmawiała przed jego śmiercią. To było w grudniu, w ostatnim przedświątecznym tygodniu. Miałam długo zajęcia, Zbyszek również. Spotkaliśmy się po zajęciach w naszym zakładowym pokoju. Przy herbacie długo rozmawialiśmy, bo Zbyszek miał sporo czasu do odjazdu pociągu do Warszawy. Życzyliśmy sobie dobrych Świąt Bożego Narodzenia i szczęśliwego Nowego Roku... Nie wiedziałam, że jest to nasze ostatnie spotkanie. Zmarł 1 stycznia 2000 roku. To nie był dobry Nowy Rok...

Chciałbym porozmawiać o Pani zainteresowaniach. Wśród nich jest kultura żydowska i jej wpływ na nasz region...

Tak, rzeczywiście. Od wielu lat ten krąg zagadnień stał się dla mnie ważny. To wszystko stało się przez przypadek. Albo – jak ktoś woli – los tak zrzędził. Do 1998 roku nie interesowałam się szczególnie kulturą żydowską. Młoda Polska, międzywojnie, literatura kresowa, piśmiennictwo dla najmłodszych – to były obszary moich naukowych fascynacji. W maju 1998 roku wraz z prof. Anną Kiezuń pojechałam do Krakowa na konferencję organizowaną przez Uniwersytet Jagielloński, poświęconą dziedzictwu *Panu Tadeusza*. Wygłaszałam referat o Leonardzie Podhorskim-Okołowie – poecie, eseiście, tropicielu śladów Mickiewicza, a do tego kresowiaku. To była bardzo prestiżowa konferencja, na którą przybyli naukowcy z całej Polski, ale także z renomowanych ośrodków światowych. Tam właśnie poznałam Ryszarda Löwa – krakowianina z Tel Awiwu. Otrzymałyśmy z Anią od niego jego książki (z serdecznymi dedykacjami). Publikacje wydane w Universitasie dotyczyły związków polsko-żydowskich. Wtedy uświadomiłam sobie, że mam duże luki w swojej humanistycznej edukacji. Krakowska znajomość z Ryszardem Löwem przerodziła się w wieloletnią przyjaźń. Otrzymywałam i otrzymuję od niego książki wydawane w Izraelu po polsku. Dużo na ten temat rozmawiamy, ostatnio głównie przez telefon. Był czas, że często spotykaliśmy się na konferencjach naukowych. I tak dzięki tej znajomości odkryłam świat literatury, którego nie znałam. Zrozumiałam także, że muszę bardziej się zainteresować przeszłością mojego miasta, którego oblicze, kulturę przez lata współtworzyli Żydzi, a którego pierwotny charakter zniknął po II wojnie światowej wraz z zagładą żydowskich mieszkańców.

Tę pamięć o przeszłości stara się przywrócić Lucy Lisowska (prezes Centrum Edukacji Obywatelskiej Polska – Izrael), która od lat organizuje Festiwal Kultury Żydowskiej „Zachor – Kolor i Dźwięk”. Włączyłam się w te działania. Przez zupełny przypadek dwa impulsy zadecydowały o tym, że zaczęłam czuć potrzebę odkrywania żydowskich korzeni w polskiej literaturze i kulturze. Wydaje się, że polska literatura bez tej świadomości jest ułomna.

Przy okazji festiwalu organizowaliśmy spotkania z autorami, były prelekcje, wykłady. Nie było to jednak dokumentowane w formie publikacji. Pomyślałyśmy z Lucy Lisowską, że dobrze byłoby coś z tym zrobić. Przystaliśmy do prof. Jarosława Ławskiego i wspólnie podjęliśmy decyzję o realizacji projektu badawczego „Żydzi wschodniej Polski”.

Co udało się zrobić na przestrzeni lat?

Odbyło się sześć konferencji naukowych poświęconych problematyce żydowskiej, organizowanych przez Katedrę Badań Filologicznych „Wschód – Zachód”, Centrum Edukacji Obywatelskiej Polska – Izrael i Książnicę Podlaską im. Łukasza Górnickiego. Spotkaniom naukowym towarzyszyły wydarzenia festiwalowe (koncerty, warsztaty, wystawy, prelekcje, projekcje). Myślę, że udało się nam jako Instytutowi, jako Wydziałowi w tej materii wiele zrobić. Prowadzimy na ten temat konwersatoria i na kulturoznawstwie, i na polonistyce. Za zgodą poprzednich władz dziekańskich i obecnych organizujemy spotkania poświęcone tradycji i kulturze żydowskiej. W ten sposób wypełniamy białą plamę, ale też spłacamy dług wobec przeszłości. Uczymy naszych studentów otwartości na świat i pokazujemy, jak bardzo złożona jest polska literatura i kultura, jak ważna jest pamięć.

Ważnym zdarzeniem dla naszej społeczności akademickiej było przyznanie Ryszardowi Löwowi Medalu Zasłużony dla Uniwersytetu w Białymstoku. Jego wręczenie odbyło się 19 czerwca 2012 roku podczas I Międzynarodowej Konferencji Naukowej „Żydzi wschodniej Polski”. Uehonorowaliśmy naszego Przyjaciela, bo Ryszard Löw stał się przyjacielem nie tylko moim, ale całego naszego białostockiego, polonistycznego świata: prof. Anny Kieżuń, prof. Anny Janickiej, prof. Jarosława Ławskiego, prof. Jolanty Sztachelskiej, prof. Violetty Wejs-Milewskiej. Jako społeczność byliśmy i jesteśmy mu wdzięczni za niezwykle dar: zapisanie swojego prywatnego księgozbioru naszej Bibliotece Uniwersyteckiej. Warto też chyba wspomnieć, że ostatnia książka Ryszarda Löwa *Literackie podsumowania: polsko-hebrajskie i polsko-izraelskie* (2014) ukazała się w Białymstoku.

Jestem głęboko przekonana, że takich dobrych, ważnych wydarzeń jest jeszcze wiele przed nami. Tematów nam na pewno nie zabraknie.

Dziękuję za rozmowę.



Budynek Wydziału Pedagogiki i Psychologii przy ul. Świerkowej, dawna siedziba Filii UW w Białymstoku

Edward OZOROWSKI

– ks. Abp senior, prof. zw. dr hab. – urodził się 1 maja 1941 roku w Wólce-Przedmieście k. Białegostoku. Studiował w Archidiecezjalnym Wyższym Seminarium Duchownym w Białymstoku w latach 1958–1964. Święcenia kapłańskie przyjął 21 czerwca 1964 roku w prokatedrze białostockiej z rąk bp. Władysława Suszyńskiego. Studia specjalistyczne odbył w latach 1964–1970 na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim (1967 – magisterium, 1970 – doktorat z teologii dogmatycznej pod kierunkiem ks. prof. W. Granata). W 1970 roku rozpoczął pracę jako adiunkt w Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie, gdzie w 1973 i 1976 roku dwukrotnie przeprowadził przewód habilitacyjny. Tam też został zatrudniony jako: docent w 1978 roku, profesor nadzwyczajny – 1987, profesor zwyczajny historii teologii i dogmatyki – 1994.

Mianowany przez papieża Jana Pawła II dnia 31 stycznia 1979 roku biskupem pomocniczym Archidiecezji w Białymstoku i tytularnym Bitetto. W latach 1979–1992 pełnił urząd rektora AWSD w Białymstoku, a w latach 1999–2012 Kierownika Międzywydziałowej Katedry Teologii Katolickiej Uniwersytetu w Białymstoku. Należał do różnych Komisji i Rad Konferencji Episkopatu Polski. Metropolitą Białostockim został mianowany przez papieża Benedykta XVI 21 października 2006 roku. Publikacje, m.in. *Znaczenie słowa w przekazie prawdy* (2009), *Dziecko w aspekcie celu* (2007), *Nauka a pytania graniczne* (2009), *Rzym i Konstantynopol jako modele kultury europejskiej* (2005). W 1991 roku został laureatem nagrody indywidualnej Ministra Edukacji Narodowej, a w 2011 nagrody indywidualnej Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego. W 2002 został uhonorowany Nagrodą im. Włodzimierza Pietrzaka w kategorii naukowej. W 2007 roku otrzymał tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu w Białymstoku. Wieloletni wykładowca białostockiej polonistyki, współpracownik naukowy Instytutu Filologii Polskiej.



O PRACY NAD SŁOWEM

Dr Krzysztof Korotkich: Wydział Filologiczny, wcześniej Wydział Humanistyczny, w przyszłym roku obchodzi 50-lecie. Ksiądz Arcybiskup był współpracownikiem Wydziału, wcześniej pracownikiem Uniwersytetu w Białymstoku. Jako naukowiec zna środowisko i studentów. Księżę Arcybiskupie, w jaki sposób doszło do współpracy z Uniwersytetem, na pewno nie był to przypadek? Czy ta współpraca z Uniwersytetem i praca na Uniwersytecie jest dla Księdza Arcybiskupa dobrym wspomnieniem? Jak się zaczęło, jak się skończyło, co to za okres w życiu Ekszelencji?

Jego Ekszelencja ks. Abp. prof. Edward Ozorowski:

Do Białegostoku przyszedłem w 1979 roku jako już wieloletni pracownik naukowy z Warszawy – Akademii Teologii Katolickiej, a potem Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Zapał do pracy naukowej zabrałem ze sobą i kiedy tu przyszedłem, nosiłem w sobie pomysł spotkań z ludźmi nauki. Zorganizowałem pierwszą konferencję, miała na niej wystąpić pani prof. Byrdy z tematem *Prawo, szansa czy zagrożenie?* Wybuchł jednak stan wojenny. Na kilka lat moje związki z uczelniami ustały. Miałem kontakt z ludźmi, którzy zamierzali stworzyć pełny uniwersytet, tu była Filia Uniwersytetu Warszawskiego. W końcu prof. Jamrozowi udało się to zrobić. Z ludźmi nauki prowadziłem wiele rozmów, mieliśmy różne pomysły i idee. Zainicjowałem spotkania rektorów wyższych uczelni miasta, która to praktyka istnieje do dzisiaj. Prof. Jamróż był bardzo skuteczny w swoim działaniu. Doprowadził do powstania Uniwersytetu, Katedry Teologii Katolickiej i wybudowania Biblioteki Uniwersyteckiej im. Jerzego Giedroycia. Szkoda, że ona teraz padła, kto inny to miejsce zajął. Kiedy zostałem kierownikiem Katedry Teologii Katolickiej w Białymstoku, podjąłem wykłady na pełnym etacie, siedem godzin tygodniowo. Swoje wykłady prowadziłem głównie z historii. Były to bardzo ciekawe spotkania, odbywały się w dużej auli przy Placu Uniwersyteckim. Potem przeszedłem na Wydział Filologiczny. Moje wykłady miały charakter monograficzny.

Jaką rolę odegrało według ks. Abpa wprowadzenie w struktury Uniwersytetu w Białymstoku Katedry Teologii Katolickiej? Na pewno to było oryginalne, ważne wydarzenie w życiu akademickim. Owoce Ekszelencji zna najlepiej.

Myślę, że było to wydarzenie epokowe, bo sięgało początków uniwer-

¹ Rozmowę tę przeprowadził dr Krzysztof Korotkich w obecności red. Dominika Sołowieja.

sytetów, w których wydział teologiczny był na górze. Wszystkie wydziały miały zwieńczenie w teologii. Nauka zajmuje się badaniem rzeczywistości i można stosować różne metody. Fizyk ma dużo do powiedzenia i nauki medyczne, ale w końcu wszyscy zwracają się do teologii, aby dowiedzieć się o rzeczywistości pozaempirycznej. W związku z tym to wydarzenie na UwB było epokowe. W epoce Oświecenia słowo *science* (nauka) zawężono tylko do badań doświadczalnych. W związku z tym filozofia i teologia otrzymały wymówienie z obrębu nauk. Dziś pod tym względem dużo się zmieniło. Specyfiką Katedry Teologii Katolickiej w UwB jest to, że jest ona międzywydziałowa. Podlega bezpośrednio Rektorowi i nie prowadzi własnej dydaktyki. Daje natomiast swoim pracownikom możliwość prowadzenia nauczania na innych wydziałach w formie wykładów, konwersatoriów i ćwiczeń. Pożytek jest obustronny.

Wprowadził Ksiądz Arcybiskup nowy model uprawiania nauki w Katedrze Teologii Katolickiej, mianowicie badania interdyscyplinarne. To była współpraca z innymi wydziałami UwB, także z Wydziałem Ekonomii, Wydziałem Filologicznym. W jaki sposób mógłby Ksiądz ocenić dzisiaj tę współpracę, co udało się zbudować?

Odbywało się to głównie poprzez organizowanie konferencji międzywydziałowych. Takich konferencji mieliśmy wiele z różnymi uczelniami miasta. Owocem konferencji były publikacje. Interdyscyplinarność jest bardzo ważna. Gdy człowiek zamknie się tylko w wąskim kręgu swoich badań, może i wiele uzyskuje, ale nie wie, co jest poza tym obrębem. W związku z tym interdyscyplinarność jest wymogiem uniwersalności nauki.

A współpraca z Wydziałem Filologicznym, wspólne konferencje poświęcone chrześcijańskiemu dziedzictwu europejskiemu?

Wspólne konferencje na temat korzeni kultury europejskiej miały charakter interdyscyplinarny. Na Wydziale Filologicznym prowadziłem też wykłady kursoryczne. Studenci powoli oswajali się z moją obecnością. Gdy pierwszy raz pokazałem się w murach Uniwersytetu, to patrzono na mnie jak na coś nieznanego, potem nawiązywały się nawet różne sympatyczne kontakty. Wydział Filologiczny ma ogromne znaczenie, chociaż przez nauki przyrodnicze nie jest doceniany. To praca nad słowem. Słowo jest ważne. Biblia zaczyna się od: „Rzekł Bóg i stało się”. Słowo w Biblii posiada dynamikę. Nie był to tylko zapis myśli, to było słowo, które tworzyło rzeczywistość. Ewangelia wg św. Jana zaczyna się od: „Przed wszystkim jest słowo” („En arche en ho logos”). Słowo Wcielone, czyli słowo, które się uzewnętrzniło ma nieskończone możliwości mówienia do człowieka. Mówi

wydarzeniami, które potem spisano. Do Ewangelii powstają coraz to nowe komentarze: słowem, pędzlem, dźwiękiem, dłutem itp.

Czyli praca dydaktyczna Księdza Arcybiskupa to również praca interdyscyplinarna. Korzysta Ksiądz Arcybiskup z literatury?

Tak. Gdy byłem w Warszawie, przez 20 lat pracowałem w Instytucie Studiów nad Rodziną, szkoda, że zabrakło mi czasu. Chciałem bowiem powołać Katedrę Literatury Małżeństwa i Rodziny i razem ze studentami wydobywać to, co tam napisane. Wielu poetów, ale głównie powieściopisarzy, przekazywało językiem literackim teologię, czyli te najgłębsze prawdy. Na przykład Johna Steinbecka *Na wschód od Edenu* jest komentarzem do tego, co stało się po wypędzeniu Adama i Ewy z raju. Tołstoj pięknie pisał o małżeństwie. W tym miejscu należałoby mówić o randze, jaką posiada słowo ludzkie i o tych naukach, które zajmują się słowem. Polonistyka dba o język staranny. Nie jest on potoczystym potokiem wyobrażeń, mniemań. Jest to przekaz (zapis) rzeczywistości, która nam jest dostępna. Nie wszystko da się wyrazić językiem naukowym czy językiem popularnym, którym na co dzień się posługujemy.

Nie da się przecenić roli literatury w pracy teologa?

Jest ona potrzebna. Jest ona wręcz konieczna.

A gdyby Ksiądz Arcybiskup mógł a vista przywołać jakieś książki, które wywarły szczególny wpływ...

Dużo ich było, nie zdołałbym. Ostatnio czytam, wracając, bo czytałem już wcześniej, Abrahama Joshui Heschela *Bóg szukający człowieka*. Jak on, Żyd, mądrze pisze! Pod wszystkim, co on pisze, chrześcijanin może się podpisać. Wracam też do kardynała Roberta Saraha *Bóg albo nic*. Teraz czytam tegoż autora *Moc milczenia*. Ważne jest, by człowiek wiedział, po co żyje i co to znaczy przeżyć. Warto kochać tylko to, co zmartwychwstanie.

Ekscelencja miał na Wydziale Filologicznym zajęcia różnego typu, to były wykłady, konwersatoria. Pamiętam popularność wykładu o tradycji biblijnej w literaturze. Studenci byli zadowoleni, że mogą słuchać swojego biskupa w sytuacji akademickiej. Jak wspomina Ksiądz Arcybiskup swoje zajęcia ze studentami?

Były dla mnie bardzo miłe, zwłaszcza w mniejszych grupach, bo w dużych dyskusja prawie jest niemożliwa. W mniejszych, gdy jest swoboda wypowiedzi, wychodzą różne pytania, które czasem dalekie są od filologii, ale w końcu o tę filologię zaczepiają. Móc nazwać rzeczywistość to bardzo

dużo. Jest wprawdzie słowo niewypowiedziane, które musi poprzedzać słowo wypowiedziane, ale jeśli by pozostało tylko jako niewypowiedziane, to pewnie by przeminęło i nic po nim by nie zostało. Natomiast słowo wypowiedziane już jest tworzeniem rzeczywistości.

Z tego, co pamiętam, wysiłek Księdza Arcybiskupa nie był bezowocny. Zdarzyło się nawet, że seminarium białostockie pozyskało jednego ze studentów polonistyki. Po jednym z takich kursów.

Tak, bardzo sympatyczny chłopak. Gdy kilka lat temu z alumunami na rowerach jechaliśmy przez Polskę, to wszędzie spotykałem swoich studentów, głównie z ATK i UKSW. Niektórzy nawet zajmowali wysokie stanowiska i, co miłe, do mnie się przyznawali.

Nie było to więc tylko głoszenie nauki, ale sianie dobrego ziarna, skoro były takie owoce?

To bardziej zależało od Boga niż ode mnie. Po prostu starałem się być wierny temu, co czyniłem. Zawsze na uczelni przekazanie wiedzy jest głównym zadaniem wykładowcy. Chociaż, jeśli jest wiarygodny, przekazuje z przekonaniem, a nie tylko czyta cudze teksty, to zawsze wynik tego jest taki, a nie inny.

Wracając do konferencji naukowych. Katedra Teologii Katolickiej była współorganizatorem wraz z Wydziałem Filologicznym pod egidą prof. Zofii Abramowicz cyklu konferencji poświęconych chrześcijańskiemu dziedzictwu duchowemu narodów słowiańskich. Jak Ekscelencja ocenia ten pomysł i realizację?

To był jeden z cyklów. Dużo więcej zorganizowaliśmy z Wyższą Szkołą Ekonomiczną, potem z Uniwersytetem Medycznym. Wszystkie te konferencje chyba były przyjmowane pozytywnie, a ja osobiście dużo z nich skorzystałem.

Jeżeli chodzi o pracę na Uniwersytecie, był Ksiądz Arcybiskup kierownikiem Katedry, przez 10 lat pełnił funkcję Metropolity, wcześniej także funkcję rektora seminarium. Jak ocenia Ksiądz Arcybiskup Uniwersytet z perspektywy kogoś, kto zarządza? Czy można zorganizować lepiej Uniwersytet w Białymstoku, czy miałyby Ksiądz Arcybiskup jakieś pomysły na to, żeby kolejne pięćdziesiąt lat Wydziału Filologicznego było okresem bardziej dynamicznego rozwoju? A może jest dobrze i nie dałoby się lepiej?
Uniwersytet powinien pozostać wierny pierwszym założeniom, bo powstał, żeby scalać te odcinki wiedzy uprawianej w mniejszym lub większym gronie. *Universitas* to próba ogarnięcia wiedzą całej rzeczywistości, nie tylko

jednego z odcinków życia. Ci wszyscy, którzy zapatrzeni są w swoje cząstki, zwykle popełniają błędy. Wydział Teologiczny jest w korzystnej sytuacji, bo każda nauka posługuje się słowem. Kiedyś chodziłem do pracowni patomorfologii, gdzie badało się komputerowe nagrania opisujące ludzki organizm. Wtedy doszedłem do wniosku, że język na ekranie niedostępny jest temu, kto go nie zna, jest dla niego niezrozumiały. A fachowcy orzekają, co to za choroba. Jest inny sposób orzekania o prawdzie bez słowa artykułowanego. Dzisiaj rozwinęły się nauki techniczne, i dużo uzyskują przez swe badania, ale jednocześnie pokazują, jak znikoma jest ich wiedza. Wydaje im się, że już ogarniają całość bytu, lecz popełniają jeden z największych błędów brania części za całość. Filolog, który potrafi operować biegle swoim językiem, może dotrzeć do tych wszystkich, którzy korzystają z techniki.

Obecny kształt Seminarium Duchownego w Białymstoku wiele zawdzięcza pracy Księdza Arcybiskupa. I przychodzi mi taka myśl: w jaki sposób, jeśli w ogóle, nauki filologiczne mogłyby wspierać formację duchową w seminarium? Poloniści byli pracownikami seminarium, ale czy w dzisiejszym świecie dobry kapłan to również taki mówca, którego różne dyscypliny filologiczne mogłyby jeszcze bardziej zbudować? Tak, aby był jeszcze lepszym pasterzem, jeszcze sprawniejszym mówcą. Czy my możemy w jakikolwiek sposób jako filolodzy angażować się, wspierać?

Sposób mówienia ulega zmianie, i to mechanicznie. Dzisiaj zauważamy duży napływ do języka polskiego słów angielskich. Poza tym są skróty myślenia. Tak samo w przekładach Biblii. Polaków cechuje to, żeby przełożyć inaczej. Zwykle jednak sięga się do Jakuba Wujka. On był na swój sposób mistrzem słowa na tamte czasy, na nim wychowali się romantycy. Wcześniej byli: Kochanowski, Mikołaj Rej – ojcowie języka polskiego. Oni potwierdzili to, że polski język jest coś wart. Dzisiaj w języku polskim mamy piękną literaturę i poezję. Jeżeli przychodzą do seminarium ci, którzy już to wiedzą, jest im łatwiej. Na studiach w AWSD są warsztaty z kultury języka polskiego i dużo zależy od tego, kto je prowadzi. Sumując, można powiedzieć, że kultura języka jest zawsze ważna w przepowiadaniu.

Wpadliśmy w patos przez chwilę. A gdybym zapytał Księdza Arcybiskupa, czy życie na uniwersytecie zawsze było takie poważne? Może są jakieś sytuacje radosne, dowcipne, może pamięta Ksiądz Arcybiskup coś wesołego?

To bardziej czasy studenckie, wtedy jeszcze z natury swojej nie byłem taki poważny jak teraz. Grałem na gitarze podczas studiów na KUL-u, często mnie proszono, bym z grupami studentów jechał na wycieczkę. Koledzy mówili, żebym nic nie robił, tylko grał, i to nieźle mi wychodziło. Poza tym

na rowerze przejechałem Polskę wszerz i wzdłuż. Nie ma miejsca, gdzie bym nie był, przez prawie 40 lat wizytowania znam nie tylko wszystkie parafie, ale prawie wszystkie wsie naszej archidiecezji. To w końcu składa się na to, jakim człowiek jest.

Oczywiście, radość i smutek nie tyle zależą od okoliczności, lecz także od tego, co człowiek ma w sobie. Tak samo cisza wewnętrzna nie oznacza braku hałasu z zewnątrz. Może być tak, że nie ma hałasu z zewnątrz, ale hałas jest w człowieku, i wtedy jest niedobrze. I może być odwrotnie. Człowiek, będąc w środku tego hałaśliwego życia, zachowuje ciszę w sobie. Cisza jest potrzebna człowiekowi, to jest wchodzenie w samego siebie.

Czy emerytura to stan, w którym zdecydował Ksiądz Arcybiskup, że nie będzie już współpracował z Uniwersytetem? Czy można liczyć na to, że przyjmie Ksiądz Arcybiskup zaproszenie do projektów naukowych, gdyby takie się pojawiły?

Jeśli przyjdzie zaproszenie, to poddam je pod rozwagę.

Zapytam na koniec, pozostając w kręgu filologicznym, czy ten czas, który został teraz Księdzu Arcybiskupowi podarowany przez sytuację, planuje Ksiądz Arcybiskup wykorzystać również do tworzenia literatury, do pisania, do pracy piórem? Czy można zapytać o plany pisarskie?

Mam nadzieję, że nie będę leniuchem, ale staram się to robić, co mi podpowiada chwila, ponieważ robienie takich długich planów zawsze jest ryzykowne. Znam profesorów, którzy całe życie zbierali materiał, a inni z nich korzystają, bo sami już nie zdążyli go opracować i stworzyć własnego dzieła. Tego, co napisałem, jest tak dużo, że wystarczy, i mówi samo za siebie. A co Pan Bóg mi pozwoli teraz czynić, to na Niego się zdaję.

Jakie marzenia ma Ksiądz Arcybiskup?

Na razie odzyskuję to, co zagubiłem przez dziesięć lat rządów Archidiecezją.

Nadeszło 20-lecie Uniwersytetu, pięćdziesięciolecie filologii białostockiej. Czy miałby Ksiądz Arcybiskup jakieś słowo do jubilatów akademickich, jakieś życzenia?

Oczywiście. Sukcesy uczelni będę uważał za swoje. Jeżeli jej pracownicy będą dzielni, otwarci na rzeczywistość, będę miał w sobie radość. Ważne, by nigdy nie stracili z oczu człowieka, bo przecież Bóg go cały czas szuka.

Dziękuję serdecznie.

Ewa PACZOSKA

EWA PACZOSKA

– prof. zw. dr hab., polonistka; związana z Wydziałem Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. W pracy naukowej zajmowała się problematyką literatury okresu pozytywizmu, następnie Młodej Polski i literatury okresu dwudziestolecia międzywojennego. Jako badacz literatury debiutowała w 1983 artykułem *Problemy życia literackiego drugiej połowy XIX w. w oczach ówczesnej krytyki* (podp. E. Gaworska), zamieszczonym w tomie zbiorowym *Problemy życia literackiego w Królestwie Polskim 2. połowy XIX w.* W tymże roku doktoryzowała się na podstawie rozprawy *Krytyka literacka pozytywistów* (promotor: prof. Janina Kulczycka-Saloni).

W 1984 roku podjęła pracę jako adiunkt na Wydziale Humanistycznym Filii UW; przez kilka lat kierowała tam Zakładem Literatury. Od 1988 roku uczestniczyła w pracach Olimpiady Literatury i Języka Polskiego przy IBL PAN jako członek Prezydium i przewodnicząca Komitetu Okręgowego, najpierw w Białymstoku, następnie w Warszawie. Napisała monografie: *„Lalka” czyli rozpad świata* (Białystok 1995); *Krytyka literacka pozytywistów* (Wrocław 1988); *Dojrzewanie, dojrzałość i niedojrzałość. Od Bolesława Prusa do Olgi Tokarczuk* (Warszawa 2004); *Prawdziwy koniec XIX wieku: śladami nowoczesności* (Warszawa 2010). Redaktorka książek: *Doświadczenie prowincji w literaturze polskiej II połowy XIX i XX wieku* (z R. Chodźką; Białystok 2003); *Dwie gwiazdy, dwie drogi: Konopnicka i Orzeszkowa – relacje różne* (z E. Ihnatowicz; Warszawa 2011); *Moderнизм: spotkania. Antologia* (wraz z Leną Magnone; Warszawa 2008).

Od 2012 roku pełni funkcję dyrektora Instytutu Literatury Polskiej Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Jest autorką i współautorką kilku podręczników licealnych do literatury Młodej Polski i pozytywizmu, a także redaktorką tomów zbiorowych. Członkini Komitetu Nauk o Literaturze PAN.



PIERWSZE KROKI W BIAŁYMSTOKU

Czy pamięta Pani swój pierwszy przyjazd do Białegostoku?

Prof. Ewa Paczoska:

Tak. Pojawiłam się w Białymstoku, gdzie zaczęłam pracę na stanowisku adiunkta, w 1984 roku. To był rok po zrobieniu doktoratu. Ściągnął mnie tam prof. Andrzej Makowiecki, któremu jestem dozgonnie za to wdzięczna. Bardzo szybko podjęłam decyzję, ponieważ w Warszawie szans wtedy na zatrudnienie dla mnie nie było. Przyjechałam jakoś w wakacje, przed październikiem, żeby się zorientować, gdzie jest hotel asystencki, gdzie wszystko jest ulokowane. Pamiętam pierwszy widok w Białymstoku przed dworcem. Widzę, że jedzie furmanka zaprzężona w konia, z taką charakterystyczną uprzężą, potem się dowiedziałam, że to się nazywa hołoble. Miałam poczucie, że trafiłam do troszeczkę innego świata. Potem pojechałam zobaczyć swoją uczelnię, swoje miejsce pracy. Ono było wtedy ulokowane przy ul. Wiejskiej, róg Świerkowej. Nazwy tych ulic były adekwatne do tego miejsca, bo było rzeczywiście wiejsko, leśnie, ale bardzo dobrze wspominam tamten czas. Było ciasno, budynek miał raczej barakowy *design*, ale panowała tam bardzo fajna atmosfera. Przede wszystkim do Białegostoku trafiali ludzie, którzy z różnych względów w Warszawie nie mogli dostać pracy, byli źle widziani albo po prostu nikt ich nie chciał zatrudnić. Także osoby, które miały różne związki z alternatywą polityczną. Wspominam szczególnie ten nasz wesoły pociąg do Białegostoku, gdzie było fascynujące towarzystwo. Zawsze mówię, że moją *Alma Mater* to był ten pociąg. To nie jest UW, to nie jest UwB, to pociąg Warszawa-Białystok i z powrotem. Spotykałam tam fantastycznych ludzi, takich jak Daniel Grinberg, Jola Brach-Czajna, Adam Mańkowski, Czesiek Dziekanowski, Stefan Meller, prof. Stelmachowski, prof. Wyczański, prof. Wyrobisz, z kręgu polonistycznego oczywiście prof. Karwacka, Elżbieta Feliksiak. Ten pociąg był wspólnym doświadczeniem, podobnie jak ta uczelnia, ponieważ była w niej atmosfera tworzenia czegoś od początku.

Muszę powiedzieć, że w pociągu czytałam wiele książek. Mam wiele tytułów z dedykacją napisaną w pociągu, np. *Szczeliny istnienia* Jolanty Brach-Czajny. Pociąg stoi w Małkini i Jola wpisuje mi dedykację itd. W czasie podróży często panowała atmosfera bojowa, bo pociąg potrafił się spóźniać, stać kilka godzin i często nie był w ogóle ogrzewany. Albo potem były takie momenty pod koniec lat 80., kiedy jeździli tam nałogowo ludzie z telewizorami przewożonymi ze Związku Radzieckiego. I człowiek nie mógł ani wsiąść, ani wysiąść z tego pociągu, wszędzie stały telewizory. Raz wracałam wściekła po tych dwóch dniach zajęć i zrobiłam awanturę jakie-

muś Rosjaninowi: Dlaczego tutaj te telewizory stoją na wszystkich siedzeniach, niech je pan postawi na korytarzu, żebyśmy mogła usiąść! Na to on po prostu wziął mnie za kołnierz i powiedział: „*Diewuszka idź!*” i wyprowadził mnie za kołnierz z tego przedziału. Pociąg z Warszawy zatrzymywał się w Białymstoku, ale potem jechał jeszcze dalej do granicy. W Białymstoku wdzierały się tłumy ludzi i myśmy często nie mogli wysiąść. Pamiętam jak Daniel Grinberg wymyślił taką odzywkę, że jak się pociąg zatrzymuje, to my musimy krzyczeć *eto pierwszy klass* (bo my zawsze jeździliśmy pierwszą klasą, taka nasza odrobina luksusu) – to wtedy nikt się nie będzie pchał. Pociąg staje i my z tą naszą ekipą akademicką ruszamy do wyjścia i Daniel krzyczy: *eto pierwszy klass*, a tam już tłum nas wbija z powrotem do pociągu krzycząc: *znajem, znamem, eto pierwszy klas*. Daniel był przez nas – podróżników (mam nadzieję, że się nie obrazi, jeśli to przeczyta), uważany za Jonasza. Jak się spotkało Daniela na dworcu w Warszawie, to wiadomo było, że podróż będzie trwała co najmniej 4 godziny zamiast 2 i pół według rozkładu. Tych historii było wiele. Kiedyś z Danielem jedziemy, jest mróz, środek zimy. Pociąg po raz pierwszy stanął na moście na Wiśle, potem stał strasznie długo na stacji Warszawa Wschodnia i Daniel mówi: „Słuchaj, ale jeżeli przejedziemy tylko Hutę im. Paplińskiego w Wołominie, to już dalej będzie dobrze”. I pod tą hutą staliśmy 4 godziny, ponieważ, jak powiedziała konduktorka, elektrownia nie podawała prądu! Kiedy przyjechaliliśmy do Białegostoku, wszystkie nasze zajęcia już się dawno odbyły i właściwie można było ruszać z powrotem. Różne były historie. Mam jedno zdjęcie z pociągu. Jedziemy z panią prof. Karwacką. Nie wiem już, kto zrobił to zdjęcie. Jestem przywalona tłumami kwiatów, bo to właśnie były obrony prac magisterskich i wyglądam jak nieboszczka leżąca w trumnie. Myśmy byli wszyscy od tego pociągu uzależnieni. Pamiętam taką historię związaną z Elżbietą Feliksiak. Elżbieta postanowiła zmienić obicia foteli i kanapy w swoim mieszkaniu. Jak już wybrała obicie, to stwierdziła, że ono niezwykle przypomina to obicie, jakie występowało w pociągu. Byliśmy uzależnieni od pociągu, uzależnieni od tych historii.

Ja zawsze jeździłam pociągiem *Hańcza*. Wyjeżdżał o 6.22 z Dworca Centralnego. Mój mąż ukuł więc wierszyk: „Pospieszny Hańcza wszystkich wykańcza”. W tym pospiesznym Hańcza spotykaliśmy się z kolegami dojeżdżającymi do Białegostoku. Kiedy pociąg zatrzymywał się na stacji w Białymstoku, w tym samym momencie z megafonu na dworcu w rozlegał się następujący komunikat: „Pociąg do Zubek Białostockich odjeżdża z peronu trzeciego”. I prof. Wierzchowski mówił wtedy: „Pani Ewo, pojedźmy tam do Zubek. Pani Ewo, umówmy się, że pojedziemy razem do Zubek Białostockich”. Cóż, nigdy nie pojechaliliśmy. Ale to była taka nasza trady-

cja kolejowa, że kiedyś zrealizujemy to marzenie. Nie udało się. Profesor już nie żyje.

A wracając do uczelni... Chociaż byłam dopiero doktorem, natychmiast musiałam pełnić funkcje kierownicze. Oczywiście w pewnym sensie, bo już byli tam samodzielni pracownicy naukowcy. Była prof. Karwacka, prof. Krukowska, prof. Feliksiak. Miałam wtedy intensywne poczucie tego, że jestem tutaj potrzebna, że mogę coś zrobić i mogę tu być dużo bardziej samodzielna niż na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie panowały bardzo feudalne układy i świeży doktor był na samym końcu w hierarchii. Biały-stok dał mi poczucie wolności; tego, że mogę robić, co chcę, dlatego, że wszyscy chcą, żebym robiła to, co chcę. No i studenci. Wspominam niesłychanie ciepło moich studentów z tych pierwszych lat, czyli lat 80. Krzysztof Paliński, który potem zasłynął w mediach białostockich. Dariusz Kulesza, który był moim studentem w pierwszym roku pracy. Pamiętam go jako świetnego studenta. W następnych latach Jarosław Ławski, Anna Janicka, która potem była moją doktorantką. To były takie świetne roczniki, a tych studentów było mało. Były dwie grupy na początku, czyli około 40-50 osób. Na tle polonistyki warszawskiej to była garstka. No, ale w związku z tym, że miałam z całym rokiem ćwiczenia z pozytywizmu i chyba jakiś wykład monograficzny, to miałam poczucie, że znam wszystkich studentów. Przez kilka lat znałam całe roczniki, to był zupełnie inny kontakt. Jakoś tak się stało, że się z nimi zaprzyjaźniłam, zaczęłam bywać w akademikach politechnicznych, gdzie mieszkali nasi studenci. A to jakaś studentka się zarażyła i mnie zaprosiła, a to komuś urodziło się dziecko. To był też czas takich politycznych, alternatywnych działań i część tych działań odbywała się wieczorami w akademikach.

Co tam się wtedy działo? Słynne dyskusje po świt?

Były to dyskusje po świt i słuchanie muzyki. To był czas podziemnych wydawnictw. W Białymstoku wychodziło pismo „Nasz Głos”, podziemne, to pamiętam, w to byli zaangażowani nasi studenci, absolwenci. Oprócz Krzysztofa Palińskiego pamiętam jeszcze Jurka Nachiłę, poetę. Nie żyje. Bardzo wrażliwy człowiek, niesłychanie inteligentny, z taką żywą wyobraźnią. On też był w to zaangażowany. Miałam potem jeszcze taki epizod, to był rok chyba 1987. Byłam na stypendium „podziemnym” w Paryżu. To jest jakby część mojej pracy w Białymstoku. Pani prof. Karwacka, pan prof. Wyrobisz z historii – oni załatwili kilku osobom nielegalne, niezależne stypendia naukowe w Paryżu. Na takim stypendium byłam ja, był Marian Płachecki, Daniel Grinberg i Jola Sztachelska. Profesorowie Uniwersytetu Warszawskiego i Uniwersytetu w Białymstoku weszli w kontakt z różnymi

organizacjami, które chciały pełnić funkcje mecenasa dla młodych polskich naukowców. Myśmy jechali, mając tylko kontakt, telefon i imię osoby, do której mamy się zgłosić w Paryżu, w wielkiej tajemnicy. To były takie dwumiesięczne stypendia. Instytucjonalnie ulokowane były w Bibliotece Polskiej, w Polskim Towarzystwie Literacko-Historycznym w Paryżu. Była to wtedy fantastyczna okazja, żeby nagle, z tego zatrzaśniętego polskiego świata tam się znaleźć. Moje stypendium się kończyło, stypendium Mariana się zaczynało i jeszcze się spotykaliśmy w Paryżu przez tydzień. Idziemy sobie po Polach Elizejskich i o czym rozmawiamy? O polonistyce w Białymstoku, ponieważ to nas najbardziej na świecie interesowało. Wtedy właśnie, kiedy wracałam ze stypendium, oprócz przechowywanych w wielkim opakowaniu po proszku do prania egzemplarzy miniatur „Kultury”, przywiozłam także pieniądze dla podziemnego „Naszego Głosu”. Pamiętam też moment, gdy studenci polonistyki, między innymi Nachiło, Paliński, chcieli wydawać jakieś pismo literackie. Musiałam się w tym celu, jako opiekunka koła naukowego, udać do siedziby cenzury w Białymstoku, do cenzora, który, jak przyszłam, przywitał mnie, patrząc spode łba. On chyba myślał, że jestem studentką, dopiero gdy się przedstawiłam, z satysfakcją powiedział: „A, pani doktor do mnie przyszła!”. I wtedy zaczął ze mną rozmawiać. Efekt tych rozmów był taki, że pozwolono im wydać dwa czy trzy numery pisma „Kartki”.

Dużo czasu poświęcała Pani na przyjazdy w Białymstoku?

Dwa i pół dnia w tygodniu, przez 10 lat. Byłam bez przerwy w podróży. Miałam taką torbę z juchtovej skóry, która stała w przedpokoju i zawsze albo musiałam ją rozpakować, albo pakować. Potem sytuacja zrobiła się bardziej skomplikowana, bo miałam małe dziecko. To już nie było tak fascynujące i tak łatwe logistycznie. Na powrót do Warszawy zdecydowałam się przede wszystkim z tego względu – nie tylko dlatego, że była taka możliwość i że wtedy, w latach 90., wszyscy z naszego wesołego pociągu trafili do różnych instytucji politycznych i kulturalnych. Daniel został szefem ŻIH-u, Stelmachowski pierwszym ministrem edukacji, Mańkowski został szefem Biblioteki Narodowej, Meller – ambasadorem. Ja wróciłam i rok później zostałam prodziekanem Wydziału Polonistyki UW. To był powrót na falę. Z jednej strony cieszyłam się, że wybrałam Warszawę. Zdecydowały względy rodzinne, bo już się nie dało mieć tych dwóch żyć. Tamto białostockie życie wspominam wciąż bardzo dobrze. To był bardzo fajny czas, bo mieszkaliśmy wszyscy w Domu Asystenta, blisko Wiejskiej, taki malutki budynek przy Świerkowej. Zimą zasypany śniegiem, wiosną kwitły tam drzewa owocowe, śpiewały słowiki i panowały niesłychanie familiar-

ne stosunki. Jestem tuż po doktoracie, przyjechałam do Białegostoku na pierwsze czy drugie zajęcia, budzi mnie pani prof. Karwacka, pukając. Tam był taki system, że były wspólne mieszkania, a ja dzieliłam pokój z drugą osobą. Pani prof. jako dyrektor Instytutu miała swój oddzielny pokój. Kuchnia była wspólna dla kilku pokoi. Pani prof. Karwacka puka, ja przerażona, szybko się ubrałam. Pyta: „Czy zrobić pani jajko po wiedeńsku, pani Ewo?”. Na co odpowiadam z pewną nieśmiałością: „Bardzo chętnie”. Siedzę w kuchni (ta kuchnia była bardzo przaśna, z takimi meblami z lat 60. z laminatu) skulona przy stole, nagle wchodzi jakiś bardzo elegancki mężczyzna w wytwornej bonzurce i piżamie i pani Karwacka mówi: „Może pani pozna pana dziekana?”. Cała ta sytuacja była z perspektywy warszawskiej niewyobrażalna.

Byłam osobą bardzo obowiązkową. Pamiętam, że prowadziłam zajęcia o ósmej rano. Kiedyś zepsuł mi się zegarek (wtedy jeszcze nie było komórek), więc już o piątej zaczęłam się dobijać do pani Karwackiej, pytając, która godzina. Potem ona przez lata mi to wypominała, a ja mówiłam, że powinna się cieszyć, że ma pracowników o takim wysokim poczuciu odpowiedzialności i obowiązku... Miałam w Białymstoku swoje oddzielne życie, także intelektualne, spotykaliśmy się w hotelu z podróżnikami. Kwitły różne kontakty interpersonalne i interdyscyplinarne. Organizowaliśmy jakieś kolacyjki, jakieś śniadania. Pamiętam prof. Zygmunta Saloniego, któremu czasami przynosiła doktorantka jakieś pierogi do hotelu. Ja dla zabawy snułam wtedy taką opowieść: „Doktorantka idzie przez pola, przez lasy, z dwojaczkami, niosąc te pierogi dla profesora”.

Odwiedzali nas również w hotelu nasi współpracownicy i przyjaciele, mieszkający w Białymstoku. Tam powstała rzecz wspaniała z inicjatywy Mariana Płacheckiego – czyli Zespół Literatury XIX wieku, prowadzony najpierw przez Mariana, a po jego wyjeździe do Amsterdamu przeze mnie. Oprócz pociągu, o czym już mówiłam, drugą ważną „instytucją” naukową, która mnie ukształtowała był ten zespół. Stworzyło go kilka osób, niestety kilka z nich już nie żyje. To był oczywiście Marian, byłam ja, była Elżbieta Dąbrowicz, była Jola Sztachelska, była nieżyjąca już Mareta Koszycka, której samobójczą śmierć na początku lat 90 bardzo wszyscy przeżyliśmy. Mareta była badaczką romantyzmu, zrobiła doktorat u prof. Zbigniewa Sudolskiego. To była wspaniała osoba, wybitna intelektualnie, piękna kobieta, która szła i świeciła. Pamiętam pogrzeb Marety, jak wszyscy stoimy w październikowy dzień na cmentarzu w Białymstoku, po prostu jakbyśmy dostali w łeb.

Był wśród nas Bogdan Zawistowski, który w końcu nie zrobił doktoratu. Pojechał do Stanów, miał rodzinę, miał obowiązki, to był ten dylemat lat

80. Ale napisał parę świetnych tekstów, które się ukazały w prestiżowych czasopismach, w tym w „Pamiętniku Literackim”. Zajmował się Wacławem Berentem, jego teksty zostały i są ciągle cytowane. Potem dołączył do nas jeszcze Zbigniew Suszczyński, też już nieżyjący. Zbigniew i Bogdan to byli „chłopcy rewolwerowcy” w sensie intelektualnym. Taki to był zespół. Marian Płachecki narzucił nam ostre tempo pracy. Spotykaliśmy się co dwa tygodnie, żeby dyskutować nad swoimi tekstami. Co dwa tygodnie musieliśmy też dostarczyć fiszki do wspólnego archiwum, które opracowywaliśmy. Część tych fiszek miała charakter bibliograficzny, czyli każdy musiał przynieść taki pliczek danych bibliograficznych, żeby udowodnić, czym się zajmował przez te dwa tygodnie. To mi zostało. Mam z tych swoich fiszek takie kalendarium wydarzeń XIX wieku: historia literatury, historia kultury, historia polityczna. Każdy z nas chyba go wciąż ma. No i dyskusje nad książkami. To był pierwszy zespół naukowy XIX wieku, który powstał na polonistyce białostockiej. Pamiętam te ogłoszenia na tablicy w zakładzie literatury: „Uwaga dziewiętnastowieczni, spotykamy się w pokoju Ewy Paczoskiej, w hotelu, tego i tego dnia”. Dyskutowaliśmy na temat różnych książek, które się wtedy ukazywały. Dyskutowaliśmy nad naszymi tekstami. Do tej pory opowiadam swoim doktorantom, co się wtedy działo. Mówiąc szczerze, wzajemnie się wykańczaliśmy, tzn. przychodził autor, którego tekst musiał trafić tydzień wcześniej do wszystkich diskutantów, po czym członkowie zespołu (z Marianem na czele) rozwalali tekst i autora, tak, że nic z niego nie zostawało.

Pamiętam, jak kiedyś mój tekst był dyskutowany – słuchając kolejnych zarzutów siedzę i myślę, żeby się tylko rozplakać dopiero za drzwiami, jak wyjdę z pokoju; żeby się nie rozplakać przy moich kolegach. Potem te teksty jeszcze raz poprawialiśmy, Marian robił na nich szczegółowe uwagi, potem wszyscy pozostali. To była niezła szkoła. Dziś jestem za nią wdzięczna losowi. Potem Marian sam miał kłopot z pisaniem i kiedy wreszcie swój tekst nam objawił, myśmy go tak samo potraktowali. Jego kłopoty z pisaniem przez lata wynikały z tego, że tak wysoko sobie ustawił poprzeczkę. Był maksymalistą, chciał nas też wszystkich na tę stronę mocy przeciągnąć. Dla mnie to była niesłychana nauka. To jest dość niesamowite, byłam przecież wcześniej na studiach doktoranckich w Warszawie, współpracowałam z Pracownią Pozytywizmu w Instytucie Badań Literackich PAN, ale tak naprawdę naukowo ukształtowała mnie praca w Białymstoku. W jakimś momencie nasz zespół postanowił wydać książkę – a wtedy była to na białostockiej polonistyce inicjatywa nowa. To były absolutne pierwociny życia naukowego w Białymstoku. Z tej naszej książki jestem do dzisiaj dumna. To *Miasto słów. Studia z kultury i kultury drugiej połowy XIX wieku*. I tam wła-

śnie są nasze teksty, wśród nich mój pierwszy artykuł, który napisałam o *Lalce* do swojej przyszłej książki *Lalka, czyli rozpad świata*. We wstępie do tej książki zapisałam w skrócie założenia naszego zespołu, wyłożyłam nasz program badawczy. Jak dzisiaj to czytam, widzę, że myśmy byli wtedy w absolutnej awangardzie naukowej, wtedy dopiero nowy historyzm się kształtował, a myśmy w Białymstoku go już uprawiali.

Następna wspólna książka, z której też jestem dumna, to *Książka pokolenia. W kręgu lektur polskich doby postyczeniowej*. Książka ma wciąż dość wysoki wskaźnik cytowania, jak to się dzisiaj mówi. Została wydana pod redakcją moją i Joli Sztachelskiej. Potem jeszcze do naszego zespołu dołączyła Barbara Bobrowska. Ona prowadziła przede wszystkim zajęcia z metodyki, ale była oczywiście XIX-wiecznikiem. Już wtedy pisała swoją habilitację z Konopnickiej, więc też z nami współpracowała. Potem dołączyła jeszcze Dorota Kielak, a w kolejnych latach Anna Wydrycka i Ania Janicka. Ostatnią rzeczą, którą zrobiłam w Białymstoku, była książka *Literatura Młodej Polski: między XIX a XX wiekiem* – efekt wielkiej konferencji, którą zrobiliśmy właśnie chyba z Jolą Sztachelską. Jest jeszcze książka pod redakcją moją i Ryszarda Chodźki (*Doświadczenie prowincji*).

Pod koniec mojej pracy w Białymstoku zaproponowałam także, by wydawać małe słowniki pisarzy w białostockim Wydawnictwie „Łuk”. Niestety, nic z tego nie wyszło. Natomiast swoją habilitację wydałam w Wydawnictwie Trans Humana (*Lalka czyli rozpad świata* miała później dwa wydania). Najbardziej jestem przywiązana do tego wydania z reprodukcją obrazu Wojtkiewicza na okładce. Ta książka była podsumowaniem mojej pracy naukowej, ale też, w pewnym sensie, działalności naszego zespołu XIX wieku, bo myśmy się wszyscy właściwie wtedy zajmowali literaturą jako zapisem świadomości i podświadomości polskiej XIX wieku.

Pani Profesor, a studenci? Wspomniała Pani, że grupa była niewielka w porównaniu z grupą studentów studiujących na Uniwersytecie Warszawskim. Przypuszczam jednak, że poziomem nie odbiegali od studentów warszawskich?

Jeśli odbiegali, to w górę, a nie w dół. Uważam, że nigdy już potem (tzn. od roku 1996, kiedy przeniosłam się na polonistykę warszawską) nie miałam tak dobrych studentów jak w Białymstoku. Ci białostoccy studenci byli przede wszystkim skupieni na studiowaniu, a to dobrze robi na głowę. Studiować to przecież znaczy poświęcać czemuś bardzo dużo uwagi. Tam wtedy w Białymstoku niewiele się działo, jeśli chodzi o kulturę. Mieliśmy różne wykłady otwarte w Empiku (Klub Książki i Prasy mieścił się w centrum przy ulicy Lipowej) – i tam także przychodzili nasi studenci. A dziś jest więcej

działań, tak mi się wydaje. Bardziej aktywizuje się Książnica, Arsenał. Wtedy to Filia UW była takim ogniskiem, z którego szły w różną stronę bodźce intelektualne. Odbływały się też spotkania z miejscowymi pisarzami, takimi jak na przykład Janek Leończuk, Janek Kamiński. I to wszystko było na uniwersytecie, ale miało już charakter bardziej otwarty, więc człowiek widział kulturotwórczą rolę uczelni w takim dość małym i wtedy dość zapyziałym mieście, jakim kiedyś był Białystok. Teraz to się oczywiście zmieniło.

Dzięki nowoczesnym technologiom dziś studiuje się szybciej, ale czy lepiej?

Studenci przychodzą na zajęcia lub do biblioteki z tabletem albo smartfonem i pracują kciukiem, ale to się nie przekłada na pracę intelektualną. Albo przynoszą kserówki. Nie wystarczy zrobić kserówkę, trzeba to przeczytać. Do Białegostoku musiałam oczywiście książki bez przerwy wozić. Jak przestałam pracować w tym mieście, to część książek zostawiłam. To już były kilogramy. Z lekturami było krucho. Pamiętam mój pierwszy rok pracy, gdy poleciłam przeczytać studentom *Na prowincji* Orzeszkowej. Przyjeżdżam na zajęcia, a Danusia Zawadzka wstaje i mówi: „Pani doktor, tej książki nie ma w Białymstoku, bo tutaj jest właśnie «na prowincji». Przepraszamy”. Tym mnie rozbroili. Potem, żeby studenci nie wykorzystywali takich sytuacji, zaczęłam sprawdzać zasoby miejscowych bibliotek. A one się z latami powiększały.

Czasami jakieś książki się zostawiało jako depozyt. Studenci to doceniali niesłychanie, że książki przywozimy i że te książki im dajemy. A dziś w Warszawie mam takie wrażenie, że często jest tak, że jak ludzie mają bardzo duże możliwości, ale za mało skupienia i chęci studiowania, to nic z tego nie wychodzi. Dziś jest za dużo mediów, a możliwości percepcyjne ludzkiego umysłu nie zwiększają się. Czasami opowiadam o białostockich studentach swoim studentom w Warszawie. Stara pani profesor opowiada, że był kiedyś taki złoty czas, że byli studenci, którzy czytali, którzy byli zainteresowani, którzy byli w stanie poświęcić temu naprawdę dużo czasu. Bez względu na miejsce, w którym mieszkali. Bo tamta administracja była zapyziała. I uniwersytet od strony infrastruktury i polityki był ograniczony. Mimo wszystko, ja, a chyba i większość studentów, czuliśmy się w nim wolni.

Pamięta Pani swoich doktorantów?

Moi białostoccy doktoranci to: Ania Janicka, Ania Zdanowicz, Adam Tyszka, Urszula Kowalczyk. Jestem z nich wszystkich bardzo dumna. Urszula Kowalczyk zrobiła już habilitację kilka lat temu i objęła po mnie obowiązki kierownika Zakładu Literatury i Kultury II połowy XIX wieku na warszawskiej polonistyce. Po habilitacji jest też Ania Janicka. Ania Zdanowicz pracuje na-

ukowo w Bibliotece Narodowej i również robi habilitację. Adam Tyszka jest nauczycielem w Warszawie, ale przez jakiś czas pracował w prywatnej wyższej szkole w Łodzi. Niech Pan zobaczy, ilu moich białostockich studentów zostało w nauce. Więc kiedy tak się zachwycam tą białostocką polonistyką, to nie jest tylko tęsknota za dawno utraconymi latami młodości naukowej. To są naprawdę fakty.

Zaczynała Pani pracę przy Świerkowej, a kończyła już w centrum miasta. Czy spodobał się Pani ten charakterystyczny budynek?

Czy Pan wie, jak odbyły się przenosiny? Z inicjatywy studentów. Przed wakacjami byliśmy jeszcze przy Świerkowej, a po wakacjach nagle znaleźliśmy się w tym budynku Komitetu Wojewódzkiego PZPR przy „Centralu”. I nagle mieliśmy gabinety i te wspaniałe sale wykładowe na dole. To był taki przeskok, jakby się przesiąść z rozklekotanego, zardzewiałego poloneza do toyoty. Biblioteka została przy Świerkowej, co było pewnym problemem. W nowym budynku była natomiast sauna, gdzie przedtem białostoccy partyjni oficjele wypacali swoje grzechy i stresi i odpoczywali po ciężkiej pracy. W końcu nie wiem, co w pomieszczeniu po tej saunie powstało, chyba jakaś kawiarenka. Myśmy się szybko odnaleźli w tym budynku. Chyba uznaliśmy, że jesteśmy tego warci i to było kapitalne, że tego dokonali studenci.

Przenosiny do centrum miasta były też ważne jeszcze z jednego względu. Kiedy zaczynałam pracę w Białymstoku, to na przykład często nie dojadłam, bo tam był jeden sklep przy ul. Wiejskiej. Jeśli zapomniałam kupić coś w odpowiedniej porze, to kiedy przychodziłam po zajęciach, nic już nie było na półkach. Taki wiejski sklep przy ul. Wiejskiej. Pamiętam, że Zbyszek Jarosiński doradzał mi, abym kupiła sobie pastę rybną i trzymała na wszelki wypadek w lodówce. Ale nigdy nie skorzystałam z tego pomysłu, pasta rybna mnie odstręczała. A tutaj byliśmy w centrum miasta, sklepy były bliżej, a poza tym bliżej było też do Filharmonii, do teatru. Zresztą w teatrze grała wtedy Ewa Palińska, która chyba do tej pory gra, jest jedną z aktorek Teatru im A. Węgierki; żona Krzysztofa, mojego studenta i potem przyjaciela. Kiedy aktorzy teatru zaczęli dostawać mieszkania przy ulicy Skłodowskiej-Curie, czyli bardzo blisko nowej siedziby polonistyki, wszystko się jakoś ucywilizowało i zmieniło w porównaniu z naszym odludziem róg Świerkowej i Wiejskiej.

Pani Profesor, czego by pani dzisiaj życzyła dziś białostockiej polonistyce?

Polonistyka ma dzisiaj problemy, przede wszystkim z naborem studentów. I to nie jest tylko przypadłość Białegostoku, tak dzieje się w całej Polsce.

Życzę białostockiej polonistyce, żeby przewyciężyła ten ogólnopolski trend, żeby pracownicy też zdali sobie sprawę, że to jest przypadłość ogólnopolska. Teraz nastał czas niżu, ale można go wykorzystać dla wzmocnienia naukowego, dla podniesienia jakości kształcenia, chociaż myślę, że ta jakość w Białymstoku jest bardzo wysoka. Kadra jest znakomita. Polonistyka białostocka ma swoje specjalności, jest kojarzona z określonymi praktykami badawczymi. Bardzo ważne wydają mi się wyraziste inicjatywy naukowe Jarka Ławskiego i jego zespołu, Joli Sztachelskiej. Darka Kuleszy, Marka Kochanowskiego, Elżbiety Dąbrowicz, Danuty Zawadzkiej. Myślę, że białostoccy profesorowie to „crème de la crème” polskiego literaturoznawstwa.

Życzę im wszystkim, żeby kontynuowali tę wyrazistość i o nią dbali, bo jest się naprawdę z czego cieszyć.

Dziękuję za rozmowę.

Halina PARAFIANOWICZ

– prof. zw. dr hab., amerykanistka, pracuje w Instytucie Historii i Nauk Politycznych Uniwersytetu w Białymstoku. Specjalizuje się w dziejach powszechnych najnowszych, szczególnie w społecznej i politycznej historii Stanów Zjednoczonych i Europy Środkowo-Wschodniej XX wieku. W obszarze jej zainteresowań badawczych są również stosunki międzynarodowe, amerykańskie *First Ladies* i biografistyka.

W latach 1999–2005, przez dwie kadencje, była dziekanem Wydziału Historyczno-Socjologicznego, a potem pełniła obowiązki prorektora ds. nauki i współpracy z zagranicą (2005–2008). Kieruje Katedrą Historii 1919–1945 i jest redaktorem naczelnym „Białostockich Tek Historycznych”. Prowadziła badania naukowe w wielu ośrodkach uniwersyteckich, archiwach i bibliotekach krajowych oraz zagranicznych, zwłaszcza w USA, Niemczech, Austrii, Włoszech, Czechach, Holandii i Wielkiej Brytanii. Laureatka wielu prestiżowych stypendiów, m. in. American Council of Learned Societies, Woodrow Wilson International Center for Scholars, Salzburg Seminar, Roosevelt Study Center, Fundacji Rockefellera, Hoover Institution on War, Revolution and Peace, John F. Kennedy Institute for North American Studies, Fundacji Lanckorońskich oraz Stypendium Fulbrighta, które owocowały kolejnymi publikacjami. Autorka monografii: *Polska w europejskiej polityce Stanów Zjednoczonych w latach prezydentury Herberta C. Hoovera, 1929–1933* (1991), *Zapomniany prezydent. Biografia polityczna Herberta C. Hoovera, 1874–1964* (1993), *Czechosłowacja w polityce Stanów Zjednoczonych w latach 1918–1933* (1996), *Eleanor Anna Roosevelt (1884–1962): w cieniu wielkiego męża* (2000).

Od lat bierze udział w pracach Komisji Historii Kobiet Komitetu Nauk Historycznych PAN. Jest także członkiem Komisji Stosunków Międzynarodowych PAN oraz Polish Fulbright Alumni Association.



WSPOMNIENIE WSPÓLNOTY

Pani Profesor, proszę podzielić się z nami wspomnieniami. 50-lecie białostockiej humanistyki to połowa wieku. Mnóstwo wydarzeń, przyjemnych i nieprzyjemnych. Mnóstwo studentów, konferencji, prac naukowych, książek...

Prof. Halina Parafianowicz:

To temat rzeka – liryczny i trochę romantyczny, bo byliśmy tacy młodzi, pełni energii i zapału do twórczej pracy... Ówczesny Wydział Humanistyczny, zlokalizowany przy ul. Świerkowej, obejmował nie tylko polonistykę, rusycystykę i historię, ale byli też tam pedagodzy i logicy. W legendarnym brzoźowym zagajniku, na obrzeżach ówczesnej białostockiej metropolii, w całkiem przywoitych warunkach lokalowych (zwłaszcza jak na tamte czasy) mieściły się nasze małe jeszcze wtedy struktury wydziałowe, tj. Zakład Historii czy Zakład Polonistyki, które prowadziły poszczególne kierunki nauczania. Z prawdziwym sentymentem wspominam tamte czasy... (ale to jest może przywilej młodości?). Pamiętam wiele moich koleżanek i kolegów z innych kierunków, dzisiaj już poważnych badaczy, profesorów i osoby zasłużone dla środowiska akademickiego. Ale wtedy wszyscy byliśmy młodymi adeptami nauki, którzy z zapałem podejmowali kolejne wyzwania badawcze, zazwyczaj pracując pod kierunkiem docentów (z czasem profesorów) i nieco starszych od nas kolegów, którzy przyjeżdżali z Warszawy. Jak nieraz żartowaliśmy, przywozili „kaganek oświaty” na tereny, gdzie miały biegać... „białe niedźwiedzie”. Wielu z nich było swego rodzaju misjonarzami, którzy z uporem i oddaniem przez lata budowali i wspierali miejscowe środowisko humanistów.

Świetnie pamiętam ten okres, taki wspólnotowy, kiedy chętnie uczestniczyliśmy w wielu wspólnych przedsięwzięciach i imprezach, dzieląc radości i sukcesy. Sympatycznie wspominam nasze wspólne herbatki i kawki (w zatłoczonych nieraz pokojach) oraz liczne spotkania naukowe, jak i towarzyskie. Każdy pretekst był dobry – urodziny dzieci, otrzymanie upragnionego mieszkania, a zwłaszcza świętowanie doktoratów. Pamiętam też ciekawe konferencje, na przykład polonistów, w których czasem uczestniczyłam. Niezwykle sympatycznie zapamiętałam wyjazd konferencyjny do Wilna i Trok, a ówczesne dyskusje na temat historii Wileńszczyzny i miejsc uwiecznionych w literaturze pięknej pozostawiły na zawsze serdeczne wspomnienia.

Prowadziłam też – jako historyk-powszechnik – zajęcia na rusycystyce, choć zajmowałam się, czy też chciałam się zajmować, przede wszystkim historią Stanów Zjednoczonych. Ale nie zwalniało mnie to z prowadzenia

zając z „historii Rosji”, czy „historii narodów Związku Radzieckiego”. Poświęcałam wtedy całe wakacje na przygotowanie tych kursów, które dopiero z czasem uznałam za całkiem pożyteczne dla poszerzenia wiedzy i szerszego oglądu wielu spraw. Prowadzone przeze mnie wówczas zajęcia dydaktyczne to przede wszystkim „historia Polski i powszechna, 1914–1939”. Naturalnie, starałam się na wszelkie dostępne sposoby wprowadzić pewne wątki amerykańistyczne, a więc to, co mnie najbardziej interesowało. Wbrew oczekiwaniom władz i niektórych kolegów nie zajmowałam się ani historią Polski, ani historią lokalną, ale zgłębiając warsztat powszechnika, chciałam specjalizować się w historii Stanów Zjednoczonych. I tak też się stało (ale to osobna historia na inną rozmowę).

Z tego okresu przy Świerkowej bardzo serdecznie i ciepło wspominam nasze wspólne, pełne zapału działania w tworzeniu Biblioteki Wydziałowej. Młoda kadra (a więc magistrowie wszystkich kierunków) miała obowiązek dyżurów w bibliotece i pomocy w gromadzeniu i opracowywaniu zbiorów, także udostępnianiu książek czytelnikom. Z czasem uznaliśmy, że było to bardzo ciekawe i pożyteczne doświadczenie. Kierownik biblioteki, Pani Maria Sztukowska, którą ciepło wspominam, była też swego rodzaju misjonarką, która w latach 70-tych i 80-tych pieczołowicie i z wielkim zaangażowaniem gromadziła księgozbiór dla naszych potrzeb, nie tylko dydaktycznych. Czas ten i podejmowane działania zapamiętałam jako lata swego rodzaju pozytywistycznej pracy od podstaw, w której wszyscy gremialnie uczestniczyli, radując się z czasem z efektów tych działań.

Skończyłam bardzo nietypowy kierunek: „historia z przysposobieniem obronnym” i po trzech latach zostałam skierowana, wraz z dwójką kolegów, do Instytutu Historycznego UW na studia magisterskie z indywidualnym tokiem nauczania. Była to swoista nagroda i wyróżnienie za pracę dyplomową, napisaną pod kierunkiem doc. Teresy Monasterskiej i osiągnięcia w nauce. W 1977 roku, po obronie pracy magisterskiej na UW (*Pierwsza prezydentura Franklina D. Roosevelta w polskiej opinii publicznej*) zaproponowano mi pracę na stanowisku asystenta w Zakładzie Historii na Filii UW w Białymstoku. Znalazłam się wówczas w gronie kilku innych kolegów z historii i polonistyki, którzy rozpoczęli asystenturę na $\frac{3}{4}$ etatu. Po to, by budować środowisko, władze uczelniane świadomie zatrudniły większą liczbę osób, na bardzo zresztą skromnych warunkach finansowych. Ale dały nam jednocześnie szansę pracy naukowej. Ja oczywiście z uporem i dużą determinacją pozostałam przy swoich zainteresowaniach badawczych. Chciałam w Białymstoku (sic!) zajmować się historią Stanów Zjednoczonych, co wówczas nie było takie proste i wymagało też pewnego poświęcenia. Pamiętam częste wyjazdy do Warszawy, czasem dwa razy

w tygodniu – na seminarium doktorskie prof. Andrzeja Bartnickiego oraz do archiwum i bibliotek warszawskich, bo na miejscu nie miałam nawet podstawowej literatury przedmiotu odpowiadającej moim amerykańskimi zainteresowaniom. Ale do Warszawy jeździli też inni rówieśnicy i wielu kolegów z innych kierunków, a zwłaszcza poloniści. Niejednokrotnie umawialiśmy się na wspólne wyjazdy, by umilić wielogodzinną jazdę pociągiem (nawet do 6 godzin). Pracując w BUW-ie lub w Bibliotece Narodowej (jeszcze wtedy przy ul. Hankiewicza), robiliśmy przerwy, by spotkać się na kawę i dzielić się na bieżąco lekturami i „odkryciami” z naszych poszukiwań badawczych. Były to niezapomniane chwile.

Kogo Pani pamięta z tamtych czasów?

Oczywiście bardzo wielu moich nauczycieli, kolegów i znajomych. Spośród polonistów chciałabym przypomnieć nieżyjącą od dawna śp. Maretę Wyżyńską (potem Koszycką), z którą spędzałam bardzo dużo czasu na intelektualnych rozmowach o naszych zainteresowaniach literaturą, sztuką i historią. A także – dzisiaj profesor uniwersytecką – Annę Kieżuń, która towarzyszyła nam nieraz w wielu wspólnych wyprawach do bibliotek warszawskich i dyskusjach temu towarzyszących. Koleżanek i kolegów z Zakładu (potem Instytutu) Historii nie chciałabym wymieniać z nazwiska (wszak to dziesiątki osób), bo mogłabym kogoś niechcący pominąć. Ale chcę wyraźnie podkreślić, że tamte lata, kiedy czuliśmy się akademicką wspólnotą, wspominam niezwykle serdecznie. Okres prac nad doktoratami szczególnie utkwił mi w pamięci. Te wyjazdy do bibliotek, rozmowy o swoich konseptach, o tym, czym się każdy z nas zajmuje w swoim doktoracie (o jakże różnych tematach), były czymś wyjątkowym, niepowtarzalnym i bardzo nas wzbogacającym. Mieliśmy przy tym świadomość współtworzenia środowiska akademickiego, w którym chcieliśmy mieć swój udział, choćby „przysłowiową cegiełkę”. Co więcej, w różnych okolicznościach nasze władze dawały nam do zrozumienia i przypominały, że jesteśmy potrzebni Uczelni. To było bardzo ważne, bo nas motywowało do zdobywania kolejnych etapów w karierze uniwersyteckiej, tj. doktoratów i habilitacji.

Bardzo dobrze pamiętam, zwłaszcza z perspektywy swoich wyjazdów amerykańskich, że czułam się zobowiązana, by – jak wrócę – coś tutaj stworzyć, wykorzystać swoją wiedzę, także do zajęć ze studentami. Przypomina mi się taka zabawna historyjka związana z cudownym człowiekiem, nieżyjącym już od kilku lat Profesorem Mieczysławem Wrzoskiem, dziekanem Wydziału Humanistycznego. Jako młoda osoba, po doktoracie, świeżo po powrocie ze Stanów, zafascynowana systemami komputerowymi i dostępem do bazy danych bibliotek amerykańskich, zwróciłam się do niego

z prośbą, by zakupić komputery dla Wydziału. Staralam się go przekonać, że jest to niezbędne, a dostęp do Internetu daje ogromne możliwości dla każdego z nas, by przyspieszyć swoje badania i rozwój naukowy. Profesor spojrział na mnie uważnie i w charakterystyczny dla niego sposób odrzekł: „Tu mi kaktus wyrośnie, na tej ręce, jeśli to się stanie tak szybko, jak Pani sobie wyobraża”. Prof. Wrzosek, który był bardzo życzliwym i wyrozumiałym człowiekiem nie podzielał moich fascynacji i entuzjazmu nowoczesną technologią. Ale nie dałam za wygraną i przy innej sposobności starałam się go przekonać, że musimy nadażać za zamianami. Spojrział wtedy na mnie i powiedział: „Proszę pani, pani to taka Amerykanka, niech pani zejdzie na ziemię”... Rozmawialiśmy jeszcze o tym parę razy, a inni pracownicy też podnosili tę kwestię. Kilka lat później, kiedy wróciłam z konferencji międzynarodowej, okazało się że pan profesor zakupił pierwsze cztery komputery dla Wydziału. W słynnym potem pokoiku (nie pamiętam numeru) na pierwszym piętrze na końcu korytarza (w budynku przy Placu Uniwersyteckim 1) młoda kadra miała możliwość korzystania z dobrodziejstw nowoczesnej technologii. Ten wspaniały człowiek, ceniony historyk, świetny wykładowca, przy pierwszej sposobności zauważył, jakby tłumacząc się: „Miała Pani rację, ja też się nauczę korzystać z komputera”. I słowa dotrzymał, a w przyszłości z niemałą satysfakcją i dla pożytku badawczego chętnie i często, także zamiast maszyny do pisania, korzystał z komputera.

Pani Profesor, wspomniała Pani o ulicy Świerkowej. To było podobno niesamowite miejsce. Pamiętam je tylko jako miejsce, w którym była biblioteka humanistyczna. Ale Państwo spędziście tam kawał życia...

Jeśli chodzi o Świerkową, to pamiętam atmosferę życzliwości, wzajemnego zrozumienia, szacunku i wielkich pasji, które nam towarzyszyły na co dzień. Utkwił mi w sympatycznej pamięci pokój nr 118 w Zakładzie Historii, gdzie było niezwykle tłoczno i gwarno, a czasami przebywało w nim nawet kilkanaście osób. Z przyjemnością dzieliliśmy się refleksjami na temat swoich badań oraz sukcesami i nie było między nami złośliwości czy nieżyczliwości. To był koniec lat 70. i potem stan wojenny (ale to osobny temat na dłuższą rozmowę).

Dziś bardzo serdecznie wspominam ówczesną atmosferę panującą w Zakładzie Historii, i w ogóle na Wydziale. Pamiętam, że w pewnym okresie ton nadawały trzy wspaniałe kobiety, reformatorki i „misjonarki”: doc. Elżbieta Kaczyńska, doc. Teresa Monasterska i doc. Ewa Wipszycka-Bravo, pełniące ważne funkcje administracyjne. Potem odpowiedzialne funkcje kierownicze pełnili uznani badacze, między innymi prof. Andrzej Wyrobisz, prof. Andrzej Wyczański, a także wspomniany już tutaj Mieczysław Wrzo-

sek, który przyszedł z Wojskowego Instytutu Historycznego (WIH) w Warszawie. Podjął on pracę na Filii UW bodaj w 1973 roku na stanowisku docenta. Przesympatyczny, uśmiechnięty i zawsze życzliwy. Był traktowany przez nas prawie jak „miejscowy” pracownik. W 1978 roku dr Wrzosek jako pierwszy zdał kolokwium habilitacyjne, świętowane wspólnie w pokoju przy dziekanacie na I piętrze, właśnie na Świerkowej.

Chciałabym też serdecznie wspomnieć kadrę administracyjną, wszystkich ludzi, którzy pracowali na rzecz uczelni i wspólnie tworzyli to środowisko i wpływali na jego klimat. Z pewnością taką oddaną administratorką, osobą bardzo wymagającą, choć niełatwą w kontaktach, była Rita Popławska, też już nieżyjąca – wieloletnia kierowniczką dziekanatu, najpierw przy Świerkowej, a potem na Placu Uniwersyteckim, a na koniec Dyrektor Administracyjny Wydziału Humanistycznego UwB.

Kadra naszego Wydziału to uznani specjaliści w swoich dziedzinach i profesjonaliści, którzy angażowali się w tworzenie Filii UW, ale z nadzieją i głębokim przekonaniem, że z czasem staniemy się samodzielnym uniwersytetem. Ci pracownicy, którzy przyjeżdżali głównie z warszawskich ośrodków, historycy czy poloniści, wydatnie wspierali miejscowe środowisko. Jako wykładowcy przez lata uczyli kolejne roczniki studentów, a najzdolniejszych kierowali do pracy na Uczelni. Zabiegali i pomagali, by magistrowie robili doktoraty, doktorzy stawali się doktorami habilitowanymi. I tak się z czasem stało. Oba środowiska: i historyczne, i filologiczne budowało się od podstaw, przy usilnym wsparciu i pomocy naukowej docentów i profesorów dojeżdżających przede wszystkim z Warszawy. Nasi wykładowcy ułatwiali nam często kontakty zewnętrzne, zachęcali do publikacji oraz udziału w konferencjach krajowych i zagranicznych. Korzystaliśmy z ich wiedzy, doświadczenia i życzliwości, wypływając z czasem „na szerokie wody”. Z nieukrywaną radością i dużą satysfakcją spotykałam potem na interdyscyplinarnych konferencjach, także zagranicznych, swoich kolegów z białostockiego środowiska, historyków i polonistów, którzy występowali tam z referatami i zbierali zasłużone pochwały. I byłam dumna z ich sukcesów, a więc i sukcesów – jak to odbierałam – naszego ośrodka.

Miło wspominać bardzo ciekawe, cykliczne konferencje na temat badań nad Wschodem, pograniczem, Wilnem i Wileńszczyzną, podczas których historycy, poloniści czy rusycyści znajdowali wiele wspólnych obszarów badawczych i tematów do ożywionej, twórczej dyskusji. Byliśmy wtedy bardzo młodzi (jeszcze bez habilitacji, która dawała „samodzielność naukową”), ale silnie motywowani i pełni energii twórczej. Wchodziliśmy stopniowo nie tylko w krajowy obieg naukowy, ale i szerzej. Czuliśmy silną więź środowiskową i mieliśmy świadomość, że współtworzymy własny akademicki ośrodek.

Pani Profesor, czy miała Pani swoich mistrzów?

Oczywiście. I zachowuję najlepsze o nich wspomnienia i wdzięczność. Już wzmiankowałam o doc. Teresie Monasterskiej, ówczesnej dziekan Wydziału Humanistycznego, która była uznanym autorytetem i mentorką dla seminarzystów. Jej niezwykle ciekawe merytoryczne wykłady z „historii Polski, 1914–1939” oraz „historii powszechnej, 1914–1939”, oparte na rozległej wiedzy, bogatej faktografii i pogłębionej refleksji, cieszyły się ogromnym naszym zainteresowaniem. Pani doc. Monasterska, należąca do partii, nie unikała nigdy tematów trudnych ani kontrowersyjnych, a tym bardziej nie pozwalała sobie na ideologiczne czy propagandowe interpretacje podczas wykładów. Zawsze perfekcyjnie przygotowana (o czym też świadczą moje zachowane notatki z jej wykładów) przywoływała przed nami wydarzenia rewolucji w Rosji, odbudowę państwa polskiego, zamach majowy, procesy polityczne i czystki w ZSRR w latach trzydziestych, wojnę domową w Hiszpanii etc. Zawsze przy okazji spotkań towarzyskich kolegów z roku wspominamy ten okres, ówczesne zajęcia i doc. Monasterską bardzo serdecznie. Prawdę powiedziawszy wówczas ani nasi Nauczyciele, ani my nie używaliśmy tego jakże zobowiązującego, a dziś czasem nadużywanego słowa „Mistrz” w relacjach z nami, seminarzystami. Ale to doc. Teresa Monasterska była dla mnie i pozostała wspaniałą Nauczycielką, osobą ważną i moją Mistrzynią.

Drugą ważną osobą w mojej akademickiej karierze i moim mentorem stał się niedługo później profesor Andrzej Bartnicki, wybitny badacz dziejów powszechnych, założyciel w 1976 roku Ośrodka Studiów Amerykańskich na Uniwersytecie Warszawskim i pierwszy jego dyrektor. Obszar zainteresowań badawczych Profesora koncentrował się wokół dziejów pozaeuropejskich, historii dyplomacji XIX-XX wieku oraz polityki zagranicznej Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Na cotygodniowe wtorkowe seminarium doktorskie w Instytucie Historycznym UW stawiałam się z prawdziwą przyjemnością, przygotowana do kolejnych ciekawych merytorycznych dyskusji, czasem nawet burzliwych ze względu na temperamenty uczestników. *Spectrum* podejmowanych problemów i tematów naszych dysertacji był niezwykle szeroki, choć od początku dominowała historia Stanów Zjednoczonych.

Profesor Bartnicki był człowiekiem o szerokich horyzontach, niespożytej energii, niezwykle pracowitym. Był laureatem wielu prestiżowych stypendiów, bardzo otwarty, tolerancyjny, ciekaw świata i innych kultur. Swoją ogromną wiedzą, erudycją, znajomością języków i świata wzbudzał nasz posłuch i szacunek. Profesor był, i pozostał, wielkim autorytetem i niezapomnianym Mistrzem, przedwcześnie zmarłym wiosną 2004 roku.

Przygotowując dysertację doktorską, musiałam często wyjeżdżać na kwerendę do bibliotek, a także do Archiwum Akt Nowych w Warszawie. To głównie w BUW-ie, Bibliotece Sejmowej oraz Narodowej spędzałam całe dni na żmudnej kwerendzie, zwłaszcza prasy z okresu międzywojennego. Nierzadko badania te prowadziłam w okresie wakacyjnym, „samofinansując” je z własnych oszczędności i korzystając z gościny u cioci w Rembertowie. Z samego rana stawiałam się w którejś z bibliotek warszawskich, by wyjść z niej wieczorem, tuż przed zamknięciem. Warto dodać (o czym dzisiejsza młodzież może nie wiedzieć), że nie mieliśmy wówczas aparatów cyfrowych, ani możliwości zrobienia ksero z interesujących nas materiałów. Trzeba było po prostu uważnie czytać i zrobić odręczne notatki, które potem służyły do naszej twórczości naukowej. I tak się rodziły porządne dysertacje doktorskie białostockich historyków, oparte na solidnych źródłach, bogatej obcojęzycznej literaturze przedmiotu oraz wnikliwych studiach i własnych przemyśleniach.

Jacy wtedy byli studenci? Czy byli to ludzie, którzy świadomie wybrali historię jako kierunek studiów? Jakie były ich oczekiwania? Jak wyglądały relacje z wykładowcami?

Zawsze marzyłam o pracy nauczycielskiej, a zatrudnienie na uczelni traktowałam jako swego rodzaju wyróżnienie, ale i możliwość spełnienia moich pasji. Asystent w szkole wyższej był wówczas ważną i szanowaną postacią. Większość naszych wykładowców i promotorów była przecież młodymi ludźmi, często doktorami. Byli to nieraz trochę od nas starsi, prawie rówieśnicy, stąd takie prawie partnerskie relacje z większością kadry (zwyczajowo zwracaliśmy się do siebie po imieniu) wpływały również na bardzo serdeczne relacje ze studentami. Szczególnie życzliwie wspominam czas, kiedy byłam opiekunką jednego z pierwszych roczników studentów historii. Prawdziwi entuzjaści z tego grona powołali, pod moją opieką merytoryczną, koło naukowe badające emigrację z Kurpi do Stanów Zjednoczonych w okresie międzywojennym. Trochę *ad hoc*, w iście harcerskim stylu, przygotowaliśmy wakacyjny wyjazd na Kurpiowszczyznę. Odwiedziliśmy kolejne wsie i wioseczki, przeprowadzając wywiady z miejscową ludnością. Nocowaliśmy, dzięki gościnności władz, w kolejnych szkołach, a wyżywienie organizowaliśmy własnym sumptem. Peregrynacja autobusami (z rzadka tam kursującymi), czasem przypadkowe podwózki osób miejscowych i długie spacery do miejsc zakwaterowania uatrakcyjniały nam kolejne dni. Było to, jak żartowaliśmy – życie na „pograniczu”, prawie jak kiedyś na amerykańskim „dzikim Zachodzie”. Do dzisiaj pozostały w mojej pamięci szczególnie miłe wspomnienia pierwszych roczników

studentów historii i tych późniejszych, którzy – jak sądzę – byli zazwyczaj bardziej motywowani, niż powiedzmy większość z nich dzisiaj. Ówczesny poziom wymagań zarówno od nas, jak i studentów był wysoki. Naturalnie potem szukano dla nich tematów prac magisterskich możliwych do zrealizowania w warunkach białostockich. Chodziło o to, by studenci mogli korzystać ze źródeł i opracowań zgromadzonych w archiwach i bibliotekach miejscowych: Bibliotece Publicznej, Bibliotece SN-u. Ale wielu z nich deklarowało też swoją chęć i gotowość do kwerend i wyjazdów do Warszawy. Przesympatycznie też wspominam kontakty późniejsze z wieloma absolwentami (z niektórymi mam je do dziś) i niecodzienne wręcz spotkania w najróżniejszych miejscach. Niektórzy z nich angażowali się w pomoc, kiedy – dzięki życzliwej decyzji ówczesnego Rektora, Prof. Adama Jamroza, jako dziekan Wydziału Historyczno-Socjologicznego, tworzyłam Lektorium dla potrzeb dydaktycznych naszych studentów i pracowników. Jeden z absolwentów, pan Sławomir Zgrzywa, pełniący wtedy ważną funkcję publiczną, zakupił pierwszy komputer do naszej biblioteki. Studenci zaś ochoczo pomagali w porządkowaniu wnętrza po dawnym barze, a także w... malowaniu stołów i krzesełek, które nadal służą odwiedzającym i dziś naszą piękną czytelnię, o wzbogaconym księgozborze, nad którym przez lata czuwała Pani kierownik, dr Bożena Moss, i jej zespół także zaangażowanych bibliotekarek.

Pani Profesor, a dzisiaj absolwenci utrzymują kontakt z uczelnią?

Odpowiem na podstawie własnych doświadczeń, bo trudno mi generalizować. Kiedy po latach, w pociągu do Warszawy lub Krakowa, ktoś nagle głośno wołał: „Pani profesor, dzień dobry!”, to natychmiast wiedziałam, że jest to nasz student. Miałam kilka takich niesamowitych spotkań, zupełnie zresztą przypadkowych, w Wielkiej Brytanii czy Niemczech, a nawet w Stanach Zjednoczonych. Nasi wychowankowie przypominają się nieraz z serdecznym uśmiechem i pozdrowieniem na ulicy, w sklepie, teatrze czy operze. Czasem otrzymywałam pocztówki świąteczne, albo z wakacji, a dzisiaj raczej maile. Z wieloma byłymi magistrantami mam wciąż okazjonalny, ale serdeczny kontakt. To chyba dowód na to, że ci, którym zależało na studiowaniu i którzy bardzo byli związani z uczelnią, do dzisiaj o niej pamiętają. Podtrzymują kontakt i każdy powód czy pretekst jest okazją do tego, by zajrzeć czasem, jak mówią, „do szkoły” i odwiedzić swoich nauczycieli. Niektórzy z nich, choćby dziennikarze, podtrzymują kontakt przy okazji różnych konferencji, a zwłaszcza organizowanego przeze mnie Forum Amerykanistycznego. Nasi absolwenci funkcjonują chyba najczęściej w środowisku humanistycznym: są to zazwyczaj nauczyciele, bibliotekarze,

archiwisci, dziennikarze, czasem działacze czy politycy. Przy okazji rozmaitych spotkań i uroczystości rocznicowych wielu z nich bardzo ciepło wspomina lata studenckie, swoich wykładowców i zajęcia dydaktyczne z nimi. Myślę, że to jest jedno z osiągnięć tego środowiska. Wykształciliśmy wielu zdolnych ludzi, a więzi z nimi przetrwały, niezależnie od zmieniających się uwarunkowań politycznych i nieraz po trudnych latach społecznych zawirowań dla wielu z nich.

Jak dziś białostockie środowisko naukowe jest postrzegane za granicą?

Proszę mi pozwolić odnieść się tylko do mego pola badawczego, bo nie czuję się upoważniona, by uogólniać. Ale nieraz wysłuchiwałam pozytywnych zdań na temat wielu kolegów i dokonań naszego środowiska. Mam też niejako niezbite dowody sympatii i uznania, bo od wielu lat organizuję na Uniwersytecie w Białymstoku Forum Amerykanistyczne. To są cykliczne spotkania, odbywające się corocznie w czerwcu. Ponieważ konferencja jest w języku angielskim, mamy też gości zagranicznych, często z bardzo odległych krajów, między innymi ze Stanów Zjednoczonych, Francji, Hiszpanii, Wielkiej Brytanii, ale też z sąsiednich – Czech, Słowacji, Litwy, Białorusi czy Ukrainy. Przyjeżdżają do nas, do Białegostoku wybitni specjaliści – historycy, angiści, politolodzy, antropolodzy etc. i wyjeżdżają usatysfakcjonowani konferencją i zachwyceni naszym miastem. Co ciekawe, podobne opinie wyrażają również goście krajowi – z Krakowa, Wrocławia czy Szczecina, którzy albo nigdy wcześniej w Białymstoku nie byli, albo byli tu jakieś dwadzieścia lat temu i zachowali obraz miasta sprzed lat. Ponieważ pochwałem nie ma końca, więc czasem jestem podejrzliwa, czy jest to szczerze... Ale przekonamy się za rok, przy kolejnym Forum, na które już zapowiadają się pierwsi chętni, także tacy, którzy tu jeszcze nigdy nie byli.

Chciałabym dodać, że często podczas moich pobytów na krajowych czy zagranicznych konferencjach spotykam się z życzliwością wielu uczestników, którzy z uznaniem mówią o dorobku poznanych wcześniej kolegów humanistów z Białegostoku i przekazują, za moim pośrednictwem, pozdrowienia. Są to bardzo miłe i wzruszające słowa oraz gesty. Historycy i poloniści uczestniczyli nieraz, także w ostatnich latach, w konferencjach organizowanych choćby w Odessie, Wilnie, Kijowie czy we Lwowie.

Dziś, dzięki językowi angielskiemu, wchodzimy z rezultatami swoich badań coraz częściej do międzynarodowego obiegu naukowego. Ale przecież nie wszystkie badania, myślę zwłaszcza o polonistach czy w szerszej sławistach, powinny i muszą być upowszechniane w języku angielskim. Rozumiem, że genetyka czy medycyna, tak, ale sławistyka chyba niekoniecznie. Przecież Amerykanie, Anglicy czy Francuzi, którzy interesują się językiem, literatu-

rażą czy historią Polski, powinni operować językiem polskim. I tak jest istotnie, o czym świadczą cała plejada znakomitych fachowców cudzoziemców w tym zakresie.

Wracając jednak do Pana pytania i podsumowując moją wypowiedź: Tak. Uniwersytet w Białymstoku jest dobrze znanym i liczącym się ośrodkiem naukowym. Nasza humanistyka weszła na dobre do naukowego krwioobiegu w Polsce i za granicą, o czym świadczą publikacje i aktywność naukowa kadry. Jest to słyszalne i widoczne na wielu konferencjach i w różnych gremiach. I to jest nasze wspólne osiągnięcie, wszystkich tych, którzy najlepsze lata swego życia poświęcili pracy na rzecz Uczelni, która służy (i będzie służyć) kolejnym pokoleniom.

Pani Profesor, czego dziś życzyć białostockiej humanistyce?

Kontynuacji ambitnych planów i podjęcia nowych przedsięwzięć naukowych. I dalszych sukcesów, również na polach badawczych, z których jesteśmy już znani i mamy niekwestionowane osiągnięcia. Moim zdaniem, nie mamy powodów do kompleksów, a powinniśmy pokazywać i promować to, co najlepsze w dorobku półwiecza.

Życzyłabym naszej (i w ogóle) humanistyce tego, by nie uległa presji komercjalizacji. Myślenie, że tylko to, co jest po angielsku i da się „sprzedać”, bądź przeliczyć na jakieś punkty, to – moim zdaniem – pułapka, która nie służy najlepiej badaniom humanistycznym. Sądzę, że powinniśmy sami zadbać o rangę i podkreślenie specyfiki badań w dziedzinie humanistyki, również białostockiej i jej niekwestionowanego przecież dorobku, także w zakresie badań regionalnych. I nie poddać się standaryzacji ani marginalizacji naszych pól badawczych z powodu niedofinansowania. Nawiasem mówiąc, kiedy moje pokolenie zaczynało prowadzić własne badania, też nie mieliśmy wielkich finansów na ich wsparcie. Nierzadko nawet na wyjazdy służbowe do bibliotek krajowych czy na konferencje trzeba było dokładać własne pieniądze. A jednak jeździliśmy, bo widzieliśmy potrzebę tych poczynań, bo chcieliśmy, bo byliśmy motywowani etc.

Zakończę optymistyczną refleksją. Także i dziś, nawet czasem bez wielkiego wsparcia finansowego, młodzi, ambitni pasjonaci (choć nieraz słyszę, że to chyba desperaci) mogą zrealizować swoje marzenia. I osiągnąć prawdziwy sukces. I tego życzę wciąż i z całego serca naszej białostockiej humanistyce na jej kolejne półwiecze!

Dziękuję za rozmowę.

Marian PŁACHECKI

MARIAN PŁACHECKI

– dr hab., prof. SWPS, polonista, historyk literatury, kulturoznawca, od 2010 roku profesor Uniwersytetu SWPS na Wydziale Nauk Humanistycznych i Społecznych. Urodzony w Warszawie, ukończył Wydział Filologii Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego, 1980 – doktorat w Instytucie Badań Literackich PAN na podstawie rozprawy *Ź zagadnień poetyki realistycznych tekstów narracyjnych*. 2010 – habilitacja w specjalności kulturoznawstwo – kolokwium habilitacyjne w SWPS na podstawie książki *Wojny domowe. Szkice z antropologii słowa publicznego w dobie niewoli 1800–1880*. Zajmuje się patologiami życia publicznego w Polsce „rozbiorowej” i współczesnej. Interesuje się socjologią komunikacji publicznej oraz literaturą jako formą uczestnictwa w kulturze. Na Uniwersytecie SWPS prowadzi zajęcia z zakresu topiki antycznej i biblijnej, historii cywilizacji i teorii narracji. W pracy wykładowcy akademickiego najbardziej ceni żywy kontakt z grupą. W latach 1986–1988 oraz 1993–1995 związany z Instytutem Filologii Polskiej Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku. Autor klasycznych studiów z literatury polskiej XIX wieku: *Antropologia błędu Romana Źaworskiego* (2002), *Dekadentyzm południa wieku. Rekonesans* (2002).

BIAŁOSTOCKI HISTORYCYZM. PROJEKT I DZIEJE

Gdy wraca Pan wspomnieniami do czasów pracy w Białymstoku, to są to przyjemne wspomnienia?

Dr hab. Marian Płachecki, prof. SWPS:

Trudno przewidzieć. Raz tak, raz odwrotnie. Mam dużo wspomnień „niebieskiego mundurka”. Z całą pewnością był to ważny okres w moim życiu



i w jakimś sensie formotwórczy, chociaż miałem już kilkunastoletni staż w zawodzie, pracując w PAN-owskim IBL-u.

Po Marcu 1968 roku było raczej w złym smaku mieć coś wspólnego z polonistyką i paru innymi wydziałami Uniwersytetu Warszawskiego, a jednocześnie PAN był wymysłem stalinowskim, najpierw pomyślanym jako tuba propagandowa partii. Po Marcu wszystko się odwróciło – prawdziwą naukę teraz uprawiało się w PAN-ie – ale ciągle to był pomysł chory. Bez dydaktyki trudno o naturalne potwierdzanie autorytetu. Mieliśmy w Instytucie samych starców, zresztą w różnym wieku, a jeden miał się za mądrzejszego od drugiego. *Notabene* wielu wcale się w tej mierze nie myliło.

Pensja była skandalicznie niska (pierwszą wypłatę poświęciłem w całości na skórzaną kurtkę, do dzisiaj mój syn w niej chodzi). Wszyscy gdzieś dojeżdżali, pracowali na pół etatu. Maria Janion dojeżdżała do Gdańska i położyła tam olbrzymie zasługi. Ja się miotalem po kraju. Miałem najpierw zajęcia w Siedlcach w Szkole Rolniczo-Humanistycznej, potem był Białystok na semestr czy dwa, potem jakiś semestr w warszawskiej szkole teatralnej, a potem wróciłem do Białegostoku. Znalazłem się tam w sporej grupie osób dojeżdżających z Warszawy, na ogół tych, którzy na UW byli przez „czynniki” źle widziani, lecz nie zostali bez reszty skreśleni, tylko łaskawie przesunięci do pracy w Filii. To była całkiem spora grupa, zwłaszcza historyków.

Moja białostocka historia zaczyna się w '83 roku. Zaczyna się w momencie, kiedy jestem już mocno rozczarowany pracą w IBL-u. Bardzo chciałem się tam dostać i trochę boczną drogą, bo dzięki dobrej o mnie opinii Marii Janion, trafiłem najlepiej jak tylko można – do w pracowni Janusza Sławińskiego. Proszę Pana, tam było cudownie: co dwa tygodnie żywa dyskusja, skoncentrowana na tekstach, bardzo ostra, takie ostrugiwanie młodych ludzi odprawiane z niezwykłą serdecznością osobistą.

Oboje Sławińscy uważali wtedy, że chwycili Pana Boga za nogi i wiedzą, jak jest naprawdę. Zwłaszcza w procesie historyczno - literackim. Dlatego z niesłychanym impetem angażowali się w polemiczne, krytyczne uwagi. I to było świetne. Dostałem taką szkołę, że potem nikt przy żadnej publicznej okazji nie był w stanie mnie spieszyć. Chciałem koniecznie być taki, jak Sławiński, tylko jeszcze „lepszy”. Zajęło mi pewnie ze sześć lat, nim zrozumiałem, że jestem idiotą; przecież muszę sobie wymyślić coś swojego, bo w tym, co robi Sławiński, nie będę nigdy nawet porównywalny, a co dopiero lepszy. I wymyśliłem sobie coś swojego. To było przeniesienie Jakobsona, czyli immanentystycznego strukturalizmu, do refleksji nad tekstami w obiegu publicznym. Jakobsona, muszę dodać, przepuszczonego przez Bachtinowską teorię konfliktu w komunikacji literackiej i poza nią. Interesowało mnie życie publiczne, literatura, teksty jako czynniki zmiany politycznej, społecznej.

Sławiński przyjął do pracowni pięć osób z jednego, mojego rocznika. To był ewenement, bo i wtedy kogokolwiek nowego zatrudnić graniczyło z cudem. Sławińskiemu się udało, sądzę, dzięki temu, że zobowiązał się pisać z nami historię krytyki literackiej. Każdy z nas miał opisać machnąć monografię krytyki w innej epoce.

Popadłem w rozpacz zupełną, bo chciałem oczywiście brać się za romantyzm, a przydzielono mi pozytywizm. Przez rok byłem głęboko nieszcześliwy. W końcu – chciał nie chciał – zacząłem czytać. To, że się obróciłem w stronę życia publicznego, trochę się wiązało z charakterem tej epoki. Pewnie nie miałbym takiego pomysłu, gdyby to był romantyzm.

To moje podejście nie było jednak dla Sławińskiego ciekawe. Uznał, że lepiej zrealizuję się w pracowni pozytywizmu, którą właśnie zakładał Janusz Maciejewski. Myślałem, że tam się da rozkręcić jakąś pracę zespołową, ale się nie dało, bo ludzie, których było niewielu, myśleli rozsądnie: najpierw doktoraty, potem porozmawiamy.

W tym stanie ducha wylądowałem w Białymstoku. Pracowałem na pół etatu, miałem dwa konwersatoria i proseminarium. To była filia, na miejscu nie było chyba żadnych tzw. „samodzielnych”, jedna osoba miała zaawansowaną pracę habilitacyjną. Przyjeżdżający z Warszawy robili swoje zajęcia i wyjeżdżali, żadnego życia naukowego praktycznie nie było. Od czasu do czasu odbywały się zebrania naukowe, w których uczestniczyli wszyscy literaturoznawcy. Młodzi pracownicy po magisterium z obawami i nieśmiałością zabierali się do pisania doktoratów.

Zespół powstał w 1985 roku i wytrwał przez 2 lata. Spotkały się dwa zapotrzebowania. Było parę osób, które miały poczucie, że „ugrzęzły” z doktoratami z różnych powodów, na przykład ktoś, kto miał być promotorem, spóźniał się z własną habilitacją.

IBL cieszył się wtedy autorytetem w Polsce. Kiedy się pojawiłem w Białymstoku, młode osoby zagadywały mnie o konsultacje, taka rozmowa z kimś z zewnątrz była im potrzebna. Tak zrodził się pomysł stworzenia zespołu. Chcieliśmy zmierzać do rekonstrukcji historycznej literatury jako zapisu – wielorako nieoczywistego – świadomości czy raczej wrażliwości historycznej w danej epoce, sposobu przeżywania historii przez ludzi w danej epoce, a to przy założeniu, że my przecież, bo skąd, nie znamy tej epoki; nie znamy języka tej epoki, musimy się tego wszystkiego uczyć.

Na zakończenie funkcjonowania zespołu spisałem nasze założenia. Dziś mnie zastanawia, jak są nadal aktualne. W bardziej ucywilizowanej, nieco też żartobliwej formie wydrukowałem je we wstępie do swojej książki, nazywając je białostockim historycyzmem. (Książka *Wojny domowe* jest w Internecie na stronie marianplachecki.pl.) Dziwnym obrotem zdarzeń,

dokładnie w 1987 roku, kiedy w Anglii zaczął się *new historicism*, u nas w zespole zaczęło się – patrz Pan – to samo, tzn. rezygnacja z badań arcydzieł jako czegoś wyróżnionego, bo każde świadectwo literackie jest cenne, jeśli wie się, jak do niego podejść. Także odważne sięganie do innych dziedzin humanistyki.

Było kilka typów spotkań naszego zespołu. Jedne poświęcone referatom kolegów, inne ważnym książkom, które właśnie się ukazały, czasem dyskusje na temat tekstów nietłumaczonych.

W IBL-u krążyłem pomiędzy trzema pracownikami, z jednej strony Sławiński, z drugiej Żółkiewski i socjologia literatury, z trzeciej Maria Renata Mayenowa, czyli poetyka i językoznawstwo strukturalne w ściślejszym sensie. Starłem się tym zarazić koleżeństwo, co w ówczesnym Białymstoku było dosyć dziwne. Nagle znaleźliśmy się w sytuacji „zielonej łąki”. Ludzie w zespole rozkwitali, zwłaszcza Bogdan Zawistowski, który już nie żyje, wielki talent, z bardzo złą samooceną. Był lekko chromy, miał jedną nogę krótszą, był dosyć otyły, nieefektywny z urody, ale był świetny i z olbrzymim potencjałem. Zaczął pisać rzeczy naprawdę godne uwagi. Udało mi się zorganizować w iblowskiej Pracowni Romantyzmu zebranie z jego referatem. Wystąpił przed Aliną Witkowską, Marią Janion i całym towarzystwem największych wtedy autorytetów w tej dziedzinie. Owszem, były głosy krytyczne, ale pojawiły się też, bardzo wyraźnie, aprobatywne. Potraktowali go jak partnera. Z całą powagą. Cieszyłem się tym, bo widziałem, że nasza praca w zespole ma sens. Kiedy trzeba się było z zespołem związać (nie wszystkim w Białymstoku się podobał), miałem poczucie przegranej. Bogu dzięki potem nastąpił Amsterdam, pięć lat kierowania Sekcją Polską w Slavish Seminar na tamtejszym uniwersytecie, ale generalnie miałem poczucie zmarnowanej szansy. I mojej, i środowiskowej.

Wczoraj, kiedy myślałem o czekającej mnie rozmowie z Panem, uzmysłowilem sobie, może bez potrzeby, że ten zasiew został, że jest wyczuwalny w twórczości paru ludzi. To były takie czasy, kiedy się uważało, że pozytywizm był epoką optymizmu cywilizacyjnego. Napisałem tekst *Dekadentyzm południa wieku* z tezą, że ów deklaracyjny optymizm był podszyty rozpaczą. To, że po powstaniu styczniowym wszyscy byli skłócenii, miało swoje następstwa bliskie i odwleczone. Dzisiaj mamy świetną analogię: stan umysłów po katastrofie smoleńskiej. Pomysł, że po czymś takim można napisać realistyczną relację z biegu zdarzeń, jest równie szalony, jak przypuszczenie, że po powstaniu styczniowym mogła powstać powieść realistyczna. I takie myśły wtedy w Białymstoku robili odkrycia. Minęło kilkanaście lat i dzisiaj wszyscy wiedzą, że pozytywizm wcale nie był taki optymistyczny, że to wszystko było do dna czarne i ponure.

Ewa Paczoska w Warszawie chyba trochę przytłumiona w katedrze Kulczyckiej-Saloni, która była kochaną kobietą, ale wszystko, co chciała wiedzieć, już wiedziała. Ewa w zespole odżyła – i tak jej zostało. Podobnie z Jolką Sztachelską, która również „urosla”, spoważniała i rozkwitła; stała się cenionym sienkiewiczologiem. Zadziały takie ambicjonalne względy, które zawsze w środowisku naukowym są bardzo żywe.

Doprowadziliśmy do reformy programu nauczania poetyki. Chcieliśmy trochę ruszyć dydaktykę, nie tylko życie naukowe. To prof. Helena Karwacka poprosiła mnie, żebym przygotował program. Był nieprzyzwoicie ambitny. Zwiększyła się pula godzin, poetyka otrzymała dwa pełne lata nauczania, ćwiczeniom kursowym towarzyszyły dwa konwersatoria, jedno poświęcone estetyce recepcji i odbioru oraz drugie – socjologia literatury. Nasz zbiorowy etos był dla nas oczywisty: „Chcemy pracować na Uniwersytecie”. To była bardzo wyraźnie sformułowana myśl: „Nie chcemy być filią. Budujemy Uniwersytet w Białymstoku”.

Helena Karwacka któregoś dnia, będąc pod wrażeniem planów rozkręconego tuż po naszym zespole Elżbiety Feliksiak, spytała mnie, co my szukujemy, jaką konferencję, jaką książkę? Powiedziałem: żadną. Chodziło mi tylko o to, aby stworzyć minimalne środowisko naukowe konieczne, jeśli kto by chciał napisać dobry doktorat. Sukcesem zespołu miały okazać się doktoraty. I tak się stało.

W swoim prywatnym slangu mam dwa określenia: wulgarna psychologia i wulgarna socjologia. Opisują przypadek, gdy w instytucji dzieje się coś złego czy nagannego, co lepiej, żeby się nie przydarzyło, czego nikt by nie chciał, a mimo to dzieje się w najlepsze, bo wyzwanie trochę przerosło ludzi, którzy przed nim stanęli.

Zespół nie przetrwał złych emocji, które wokół niego – wokół, a nie w nim – zaczęły narastać. Dzisiaj pamięć o nim tli się, jeśli w ogóle, słabym ognikiem. Podczas obchodów poprzedniej rocznicy powstania białostockiej UW nie było po niej śladu. Dlatego bardzo się cieszę, że teraz miał Pan pomysł, by do tej iskiereki w popiele na chwilę wrócić.

Na nasz zespół można patrzeć dwojako. Z jednej strony idealistycznie czy utopijnie. Z drugiej – z pełną świadomością, jakim osiągnięciem było i powołanie zespołu, i utrzymanie go w burzliwym życiu polemicznym przez dwa lata.

Dzisiaj wiem, że nie mogłem oczekiwać niczego więcej, że i tak – prawdę mówiąc – nic lepszego w całym moim życiu zawodowym mnie nie spotkało. Natomiast wtedy było mi przykro. Miałem wrażenie, że koledzy białostocki uważają, że to ja powinienem walczyć do upadłego, bo zawsze mam jeszcze w odwodzie etat ibłowski. A oni – szkołę podstawową pod Białymstokiem. Ja chciałem, żebyśmy zawalczyli wszyscy razem, jak pod Grunwaldem.

Czy założenia pracy badawczej, o której Pan mówił zostały spisane, sformalizowane, jakoś skodyfikowane?

Moim zdaniem – tak. Przybrały postać – *Wojen domowych*, książki o najnudniejszym okresie w historii literatury polskiej – pierwszych 12 latach po powstaniu styczniowym. Książka jest w PDF na mojej stronie marianplachecki.pl. To daje rodzaj satysfakcji. Gorycz została też. Nie bierze się wcale stąd, że ludzie nie sprostali. To po prostu nie mogło się udać na szerszą skalę, wtedy, tutaj.

W Amsterdamie dosyć regularnie słuchałem BBC. Trafiłem kiedyś na wywiad ze Stephenem Greenblattem, twórcą *new historicism*. Miałem wrażenie, że opowiada dokładnie o tym, do czego my również doszliśmy w latach 1985–1987, latach naszego zespołu. W Białymstoku.

Tylko niech Pan nie mówi o tym nikomu.

Czego by Pan życzył dziś białostockiej polonistyce?

Wierzę w obecnego Dziekana, Jarosława Ławskiego. Myślę, że jest przytomnym człowiekiem i że mu zależy, żeby polonistyka zyskiwała na znaczeniu ponadlokalnym. Wie: trzeba mieć zróżnicowaną ekipę. To nie może być ogon wielbicieli, którzy traktują szefa jako przedmiot kultu.

Zwłaszcza teraz, gdy polonistyka stoi przed olbrzymim zadaniem. Elżbieta Dąbrowicz gdzie może reklamuje ideę uniwersytetu regionalnego. Nasze władze w ramach „reformy” chcą wygasić, zmienić w szkoły zawodowe, wszystkie uniwersytety założone po 1945 roku. Zostanie kilka tzw. flagowych. Tymczasem sam Pan wie, czym jest uniwersytet dla inteligencji białostockiej. Stawka jest duża. Trzeba koniecznie wybronić uniwersytet regionalny. Polonistyka bardzo się może po temu przydać, ale właśnie taka, jaką Pan w swojej pracy dziennikarza zna i uprawia: kontaktowa, polegająca na tym, że ludzie się spotykają, rozmawiają i jeszcze panują nad tym, co mówią. Trzeba gdzieś ćwiczyć podzielność uwagi, zdolność słyszenia samego siebie, tego jak mówi, jak zapanować nad składnią, jak się nie pogubić w składni zdań podrzędnie złożonych. Wbrew wszelkim pozorom studiowanie literatury i polszczyzny na uniwersytecie takie kompetencje daje. A raczej – powinno.

Dziękuję za rozmowę.



HERKULESY

Wejście do klubu studenckiego Herkulesy

Bożena PONIATOWICZ (z domu Neufeld)

– mgr; urodzona 8 sierpnia 1960 roku w Białymstoku. Ukończyła Wydział Pedagogiki i Psychologii Uniwersytetu w Białymstoku – kierunek: pedagogika opiekuńczo-wychowawcza. Praca zawodowa: od 1982 roku praca na Filii Uniwersytetu w Białymstoku, a następnie na Uniwersytecie w Białymstoku, dodatkowo w latach 1994–2010 jako nauczyciel w prywatnych policealnych szkołach ekonomicznych. Od 1998 roku kierownik dziekanatu Wydziału Filologicznego Uniwersytetu w Białymstoku. Od 2009 r. dyrektor administracyjny Wydziału Filologicznego Uniwersytetu w Białymstoku. Od 1980 roku członek Stowarzyszenia *PAX*, a od 2013 członek i skarbnik w Stowarzyszeniu Naukowym *OIKOUMENE*. Odznaczenia i Nagrody: 2003 rok – Brązowy Krzyż Zasługi; 2017 rok – Medal Zasłużona dla Uniwersytetu.

NAJSYMPATYCZNIJ WSPOMINAM PIĄTKI...

Pani Dyrektor, przypuszczam, że ma Pani mnóstwo wspomnień związanych z białostocką polonistyką, chociażby dzięki pracy w dziekanacie. Jak rozpoczęła się Pani przygoda z uczelnią?

Mgr Bożena Poniatowicz:

W kwietniu 1982 roku odbywałam miesięczną praktykę zawodową na Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku. Centrala mieściła się wówczas przy ul. Nowotki, obecnie ul. Świętojańska, i tam właśnie trafiłam. W trakcie praktyki nawiązałam wiele wspaniałych znajomości i najprawdopodobniej moja praca spodobała się Pani kierownik rektoratu, która po zakończonej praktyce zaproponowała mi etat.



Nie byłam tym szczególnie zainteresowana, ponieważ już za trzy tygodnie miałam zmienić stan cywilny i chciałam wyjechać z mężonkiem w podróż poślubną, a pracę musiałabym rozpocząć 1 lipca. Oczywiście odmówiłam. Pani Anna jednak nie odpuściła, bo z Panem mecenasem Puciłą (ówczesnym radcą prawnym Filii UW) przyjechała do mnie do domu z ponowną propozycją pracy. W tym momencie akurat byłam nieobecna, więc gości podjął mój tatuś, który, jak mniemam, bardziej niż ja był zainteresowany podjęciem przeze mnie pracy na Uniwersytecie.

Kiedy wróciłam do domu i dowiedziałam się o wizycie, jaka miała miejsce, nie byłam zbyt zadowolona, jednakże po rozmowie z tatą, który zrobił mi wykład na temat zaszczytu, jakim jest praca na Uniwersytecie, jako posłuszna córka zdecydowałam się na tę propozycję.

Pracę w rektoracie podjęłam 1 lipca 1982 roku na stanowisku referenta. Moją bezpośrednią przełożoną była pani mgr Anna Roszczyńska, bardzo sympatyczna osoba, lecz niestety małomówna, ja zaś z natury jestem gadułą. Pani Ania cały dzień robiła swoje i prawie w ogóle nie rozmawiałyśmy, co przy moim charakterze i młodym wieku było nieco męczące. Kiedy w połowie lipca Anna Roszczyńska wzięła 3-tygodniowy urlop, spotkało mnie nie lada wyzwanie, musiałam samodzielnie protokołować posiedzenie Senatu. Nie znałam osób uczestniczących w tym zebraniu, nie miałam dyktafonu, wszystko musiałam zapisać, a to nie było takie proste. Na szczęście obok mnie siedziała wspaniała osoba – pani dr Bożenka Chodźko. Zauważyła, że jestem zagubiona, cała w pąsach, i pomogła mi. Pomoc ta polegała na przekazywaniu mi nazwisk osób zabierających głos. I tak pierwsze lody zostały przełamane. Później urodziłam dziecko, a po wykorzystaniu urlopu macierzyńskiego i wychowawczego przeniostałam się na Wydział Pedagogiki i Psychologii, gdzie podjęłam pracę w dziekanacie. Tam pracowałam do momentu zmiany władz. Pracownicy dziekanatu byli bardzo związani z ustępującym dziekanem – docentem Michałem Balickim – i odeszli wraz z nim. Wszyscy odchodzący pracownicy administracji znaleźli sobie nowe posady, niekoniecznie na Uniwersytecie, ja zaś trafiłam na Wydział Humanistyczny.

Kierownikiem dziekanatu była wówczas pani Zinaida Popławska – osoba, która zespół trzymała „w ryzach”. Prawie wszyscy pracownicy się jej bali, czego nie mogę powiedzieć o sobie. Potrafiłam walczyć o swoje.

Pracę na Wydziale w tamtym okresie wspominam bardzo ciepło. Przyjeżdżało do nas wielu naukowców z Warszawy, między innymi wspaniały, już świętej pamięci prof. Stefan Meller, prof. Wiesław Władyka, prof. Adam Manikowski i również już nieżyjący prof. Józef Wierzchowski. Byli to dydaktycy z polonistyki i historii.

Dziekanat Wydziału Humanistycznego był bardzo duży, jedno wielkie pomieszczenie, za ścianą pokój dziekanów i prodziekanów, a na pogawędkach spotykaliśmy się w dziekanacie właśnie. Najsympatyczniej wspominam piątki, z uwagi na przyjazd „Warszawy”. Przyjeżdżający z przyjemnością przychodzili do dziekanatu, nie wiem, czy z chęci napicia się dobrej kawy, czy też z uwagi na fajne, młode dziewczyny, pracujące w dziekanacie, panią Romę Huszczę, Danusią Muszyńską, no i mnie oczywiście. Profesorowie opowiadali przeróżne, często śmieszne, historie ze swojego życia naukowego i nie tylko...

Równie niezapomniana postać to pani prof. Halina Krukowska – z pozoru poważna, groźna, wymagająca, a w głębi duszy ciepła, życzliwa, empatyczna osoba. Chyba do mnie i do Ewy Płotko – sekretarki w Instytucie Filologii Polskiej – miała jakąś słabość, ponieważ wszystkich pracowników administracji określała mianem „urzędniczek”, a do nas zawsze zwracała się po imieniu.

A wykładowcy z innych kierunków? Jacy byli?

Kontakty z rusycystami były raczej ograniczone, oni, według mojej oceny oczywiście byli bardzo poważni. Jedynie pan dr Waław Szeszunowicz był ich przeciwnością. Wówczas pełnił funkcję prodziekanem ds. studenckich. Rozpieszczał nas ciastkami, czekoladkami, załatwiał dobrą kawę, o którą w tamtych czasach było raczej trudno, ale co najważniejsze miał niesamowite poczucie humoru.

Na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych uczelnia organizowała różnego rodzaju imprezy integracyjne, między innymi kuligi, bale karnawałowe itp., na które jeździli przedstawiciele różnych grup zawodowych i właśnie przy takich okazjach poznawało się ludzi. Wykładowca w pracy, na balu wesoły, wspaniały człowiek i nieważnie z jakiego kierunku. Chociaż nie ukrywam, że poloniści byli mi chyba najbliżsi, może przez fakt niezapomnianego tańca z panem prof. Bogusławem Nowowiejskim na balu w Supraślu.

A Sylwestry?

Przez około dziesięć lat w auli naszego budynku organizowaliśmy bale sylwestrowe, na które przychodzili prawie wszyscy pracownicy uczelni. Panie z dziekanatu w okresie międzyświątecznym same wszystko szykowały, przepiękne dekoracje wprowadzające uczestników balu w cudowny nastrój, zamawialiśmy cateringi, orkiestrę, czy też występy różnych artystów jako dodatkowe atrakcje. Za pieniądze, które zostawały po rozliczeniu balu, wyposażaliśmy dziekanat, choćby w różnego rodzaju sprzęty, na przykład gospodarstwa domowego. Do pomocy przy dekoracji auli i korytarzy angażowaliśmy nasze dzieci, które robiły cudowne gwiazdki, łańcuchy, dmuchały balony, świetnie się przy tym bawiąc.

Wspomniała Pani o profesor Halinie Krukowskiej. A inne niezwykle osoby na Wydziale?

Poza panią profesor Krukowską niezwykle sympatycznie wspominam panią profesor Elżbietę Feliksiak, która po przejściu na emeryturę nadal utrzymywała z Wydziałem i ze mną bliski kontakt. Zawsze pamiętała o moich imieninach, dzwoniąc w tym dniu z życzeniami.

Również z wielkim wzruszeniem myślę o panu profesorze Józefie Wierzchowskim, o którym już wspomniałam. Był człowiekiem z wielkim poczuciem humoru. On również bardzo często odwiedzał dziekanat i opowiadał przeróżne śmieszne historie ze swojego życia. Jedną zapamiętałam szczególnie. Opowieść dotyczyła jego wnuczki, która namalowała portrecik dziadziunia. Na pytanie dziadka, dlaczego nie namalowała mu włosów, odpowiedziała, że nie miała łysej kredki. Pamiętam również wykłady inauguracyjny Pana Profesora, jeden był szczególnie rewelacyjny, zakończony ogromnymi brawami. Niestety, nie ma już tych wspaniałych ludzi wśród nas, ale w naszej pamięci pozostaną zawsze obecni.

Pani Dyrektor, w 1997 roku Filia Uniwersytetu Warszawskiego przekształciła się w samodzielny Uniwersytet w Białymstoku. Pamięta Pani ten czas? Jak na to zareagowali studenci, wykładowcy?

Według mnie, studenci woleli kończyć Filię Uniwersytetu Warszawskiego, dlatego chyba nie byli zbyt zadowoleni. Natomiast pracownikom dało to większe możliwości. Oczywiście niektóre osoby na tej zmianie straciły, nie został wówczas zatrudniony między innymi dr Trynkowski – wspaniały historyk, który na Filii UW pracował wiele lat. Jednakże wiele osób zyskało, między innymi ja. Kiedy wydziały się podzieliły, pan prof. Nowowiejski zaproponował mi kierownicze stanowisko w dziekanacie, na którym byłam dziesięć lat. Później zostałam dyrektorem administracyjnym Wydziału.

Dziekanat był i wciąż jest sercem Wydziału. Tam przede wszystkim przychodzą studenci. A ten żywioł trzeba jakoś ogarnąć.

Nasz dziekanat, chociażby przez fakt, że jesteśmy humanistami, zawsze był przyjazny studentom. Bardzo pozytywną opinię o pracownikach dziekanatu studenci wyrażają w ankietach, które rokrocznie wypełniają. Ponadto wielu studentów przenoszących się do nas z innych uczelni mówi nam wprost, że są zaskoczeni takim wspaniałym stosunkiem do studenta. Myślę, że to między innymi zasługa Pani kierownik dziekanatu, która potrafi tak pokierować zespołem, aby wszyscy byli zadowoleni.

Jak wyglądała sprawa samorządu studentów? Czy Pani miała kontakt ze studentami samorządowcami jeszcze za czasów Filii, czy dopiero później?

Zawsze miałam i do dzisiaj mam bardzo dobry kontakt ze studentami, czy to z samorządu, czy też nie i bez względu na fakt, czy to była Filia UW, czy UwB. Nasz obecny samorząd jest wspaniały, żyjemy jak rodzina. Dziekani nie skąpili nigdy środków na działalność kół naukowych i samorządu, który wydaje je nadzwyczaj rozsądnie, a relacje między pracownikami i studentami są przyjazne. Z byłymi studentami i samorządowcami mam do dzisiaj kontakt chociażby przez fakt, że pamiętają o mnie i innych pracownikach dziekanatu, przesyłając nam życzenia, najczęściej noworoczne. W takiej atmosferze i przy wzajemnej sympatii aż się chce przychodzić do pracy.

Pamiętam, że na którymś roku studiów otrzymywaliśmy stypendia naukowe prawie tak duże jak wynagrodzenie asystenta. Jak dziś to wygląda? Studenci mają motywację do nauki?

Zapewne stypendia naukowe były tak wysokie ze względu na fakt, że bardzo dobrze się uczyliście! Niemniej dzisiaj jest podobnie, co z pewnością motywuje do nauki i nie jest źle, skoro studenci niechętnie angażują się w pracę zarobkową. Wielokrotnie szukałam dla dzieci znajomych korepetytora z języka angielskiego, rosyjskiego, czy polskiego – raczej bezskutecznie. Na podkreślenie zasługuje również fakt, iż warto przedłużać sobie studia na III stopniu. Doktoranci otrzymują trzy rodzaje stypendiów: naukowe, rektorskie i projakościowe, nie wspomnę już o socjalnym.

Studenci się zmieniają, czasy, motywacja do nauki, wysokość stypendiów również, a ja ciągle wspominam tych swoich „starych”. Kiedyś, a mówię o latach 90-tych, studenci nie tylko ze względu na stypendia bardzo dobrze się uczyli, dbali też o swój wizerunek. Jednym z moich ulubionych studentów, właśnie z lat 90-tych, był pan mgr Jerzy Gimier, rusycysta, wspaniały student i człowiek.

Dzięki współpracy z dziekanem Romanem Hajczukiem samorząd Wydziału Filologicznego organizował wiele imprez integracyjnych, naukowych i kulturalnych. Tak było, kiedy studiowałam. A jak jest dziś?

Dzieje się dużo. Jest wielu wykładowców, którzy starają się młodzież zaangażować w różnego rodzaju działalność. Zakładają koła naukowe, mają swoje czasopisma, piszą, drukują. Muszę wspomnieć o studentach z filologii wschodniosłowiańskiej, którzy przy pomocy pani dr Anny Romanik utworzyli wspaniały zespół wokalny-muzyczny, zapewniający nam występy podczas organizowanych na Wydziale imprez. To jest garstka osób, która coś robi i dzięki niej wraca wiara w studenta.

Chciałbym zapytać również o budynek, w którym była kiedyś siedziba partii. Kiedy zacząłem tu studiować, bardzo imponowało mi to miejsce. Wolnomyślicielska polonistyka w miejscu, które z otwartością nigdy ludziom się nie kojarzyło.

W czasie, kiedy budynek został przejęty, chorowałam i przebywałam na kilkumiesięcznym zwolnieniu. Z opowieści jedynie wiem, że niesamowitym przeżyciem było pierwsze wejście tutaj. Wszystkie pokoje okablowane, telefony awaryjne, tajne wyjścia przez szafę na korytarz. No ale też nie brakowało komfortu – superstołówka i sauna na drugim piętrze.

W pokoju, w którym obecnie pracuję, mieściło się archiwum. Sądząc po ilości regałów i półek, wyobrażam sobie ile akt przechowywano w tym pomieszczeniu.

Słyszeliście Państwo chichot historii? Przenieśliście się Państwo do miejsca, w którym robiono wszystko, by intelektualny ferment zdusić w zarodku?

Redaktorze, wychowywałam się w czasach zakłamej historii, o tej prawdziwej opowiadał mi mój ojciec, który choć nie walczył w powstaniach, to z pełną odpowiedzialnością mogę nazwać go prawdziwym patriotą i to dzięki niemu właśnie rozumiałam, że z tym budynkiem ludzie prawi mieli niezbyt miłe wspomnienia. Przykładem była chociażby postawa mojego taty. Otóż w 1996 roku moja córka miała I Komunię Świątą. Przyjęcie po uroczystości odbyło się w stołówce tego budynku. Proszę sobie wyobrazić, jakie rozczarowanie przeżył mój ojciec, jak dowiedział się, że jego ukochana wnuczka prosto z kościoła pójdzie do byłej siedziby KW PZPR i tylko z powodu ogromnej miłości do „komunistki” przekroczył próg tego gmachu, jednakże nie na długo. Po godzinie pożegnał gości i prawdopodobnie w samotności wspominał smutne czasy swojej młodości.

Jak zaczynaliśmy studia, to funkcjonowała wyłącznie specjalizacja nauczycielska. Dopiero później uruchomiono kulturoznawstwo. Teraz uczelnia wychodzi naprzeciw oczekiwaniom studentów i tworzy specjalizacje typu rzecznik prasowy, krytyk literacki, dziennikarz. Jak się polonistyka zmienia i czy powinna się zmieniać?

Nie tylko polonistyka się zmienia, zmiany następują na wszystkich kierunkach i we wszystkich instytutach naszego Wydziału. Związane jest to z oczekiwaniami kandydatów, którym oferujemy szeroki wachlarz specjalności. Niestety, w ostatnich dwóch latach, pomimo tworzenia nowych specjalności, mamy coraz mniej studentów, a to ze względu na okrojone limity przyjęć na pierwszy rok studiów, narzucane nam przez MNiSW. Obecnie

pieniądze na uczelniach wyższych nie idą za studentem, lecz za pracą naukową. Im więcej publikacji w punktowanych czasopismach, tym większa dotacja z Ministerstwa. Ma to oczywiście oprócz plusów ogromne minusy, bo cóż zrobić z tak liczną i wspaniałą grupą pracowników naukowo-dydaktycznych, którzy serce włożyli w rozwój polskiej humanistyki?

Czy zbieracie Państwo dane na temat tego, gdzie pracują absolwenci polonistyki i innych kierunków? Czy dzisiejsi studenci przychodzą na studia w konkretnym celu?

Pani prof. Violetta Wejs-Milewska w ubiegłym roku uczestniczyła w Kongresie Polonistyki Uniwersyteckiej, na którym spotkali się poloniści będący przedstawicielami ok. 20 ośrodków. Na kongresie dyskutowano o „upadku polonistyki”. Może przyczyna tkwi w systemie bolońskim, a może w odejściu od egzaminów wstępnych. Moje wieloletnie obserwacje i rozmowy z pracownikami naukowymi wskazują na znaczny spadek poziomu wiedzy wśród studentów. Obecnie na kierunki humanistyczne rekrutuje się w większości młodzież, która ucieka od nauk ścisłych, jednakże po ukończeniu studiów filologicznych niechętnie podejmuje pracę w zawodzie. Zaledwie niewielki odsetek absolwentów podejmuje pracę zgodnie z ukończonym kierunkiem studiów. Może problem tkwi w dalszym rozwoju, stopniach awansu, a może zwyczajnie młodzi ludzie szukają pracy lepiej płatnej? Z wiedzy, jaką posiadam, wynika, iż duży odsetek absolwentów wyjeżdża za granicę.

Jak widzę, Wydział Filologiczny wydaje teraz mnóstwo książek. Badacze literatury piszą artykuły publikowane w renomowanych pismach. Dużo się dzieje...

Tak, to prawda. Od dawna Wydział tak dużo nie publikował. W tej kwestii słowa uznania należą się Panu Dziekanowi – prof. Jarosławowi Ławskiemu, który zmobilizował pracowników do takiej aktywności. Niektóre doktoraty leżały niepublikowane latami, a w ubiegłym roku zostały wydane. Drukujemy nawet prace osób „z zewnątrz”, tj. wypromowanych na naszym Wydziale doktorów i emerytowanych już pracowników. Pan Dziekan dofinansowuje takie publikacje i sądzę, że w najbliższych latach sytuacja się nie zmieni.

Czego życzyć Pani na kolejne lata pracy ?

Zdrowia przede wszystkim, gdyż w ostatnim okresie mnie nie rozpieszczało, a ponadto dalszej dobrej współpracy z gronem dziekańskim i pracownikami Wydziału. Czasami w nawale pracy narzekam, marząc o emeryturze,

ale za chwilę już wiem, że nie wyobrażam sobie życia bez Uniwersytetu i jeśli tylko władze Wydziału zechcą nadal ze mną współpracować, z przyjemnością zostanę, nie chciałabym stracić kontaktu z Uczelnią i wieloma osobami z którymi spędziłam ok. 40 lat.

Dziękuję za rozmowę.

Budynek UwB przy
placu NZS-u (dawniej
Liniarskiego i Plac
Uniwersytecki)



Sławomir RAUBE

SŁAWOMIR RAUBE

– dr hab., prof. Uniwersytetu w Białymstoku. Filozof, filolog. Zainteresowania badawcze obejmują pogranicze literatury i filozofii; filozofię kultury; kulturę masową i popularną; wpływ nowoczesnych technologii i mediów elektronicznych na współczesne przemiany kulturowe. Najważniejsze publikacje: *Deus explicatus. Stworzenie i Bóg w myśli Ralphi Cudwortha* (Białystok 2000); *Metafizyka i etyka Samuela Clarke'a* (Białystok 2010); *Nietrwałość. Niepewność. Smutek. Szkice o literaturze i filozofii kultury* (Białystok 2016); *Lingwistyka antropologiczna a problem poznania* („Pomosty” 2003; współautor – Sergiusz Griniewicz); *Etyka Locke'a na podstawie „Rozważań dotyczących rozumu ludzkiego”* (2009).

Redaguje periodyk „Idea. Studia nad Strukturą i Rozwojem Pojęć Filozoficznych”. Wieloletni wykładowca na polonistyce i kulturoznawstwie.

OSOBOWOŚĆ NIEPOWTARZALNA. O DR. ZBIGNIEWIE SUSZCZYŃSKIM

Panie Profesorze, porozmawiajmy o jednej z najciekawszych, najbardziej intrygujących postaci białostockiej polonistyki. W jakich okolicznościach poznał Pan doktora Zbigniewa Suszczyńskiego?

Dr hab. Sławomir Raube, prof. UwB:

Zacznijmy od tego, że gdy studiowałem ekonomię, Zbigniew Suszczyński był błyskotliwym studentem filologii polskiej. Pamiętam okoliczności związane z założeniem Niezależnego Zrzeszenia Studentów, gdzie pierwsze skrzypce w kwestii powołania tej organizacji odgrywali studenci filologii polskiej i historii z ówczesnego Wydziału Humanistycznego FUW. Oprócz Zbyszka Suszczyńskiego byli tam: Andrzej Ciszewski, student filologii polskiej oraz historyk, późniejszy przewodniczący NZS-u, Ryszard Zieliński, i wielu innych. Pamiętam pierwsze wstępne spotkanie, które miało na celu



powołanie nowej organizacji studenckiej, oczywiście niezależnej, na tyle, na ile to mogło być możliwe, od struktury ówczesnej władzy; spotkanie odbywało się w budynku uniwersyteckim przy ul. Świerkowej, gdzie mieściła się właśnie polonistyka i historia; spotkanie burzliwe, pełne napięcia i nadziei, trochę w stylu spotkań rewolucjonistów francuskich w kawiarniach paryskich lat 50. XX wieku (tak przynajmniej to sobie wyobrażałem). Zbyszek sprawiał wrażenie „motoru napędowego”, który na dodatek wyposażono w błyskotliwą elokwencję retoryczną i wiedzę. Zrobił na mnie wówczas bardzo pozytywne wrażenie intelektualisty o polityczno-rewolucyjnym zacięciu.

Później przyszedł stan wojenny i to wszystko nieco siadło. Można powiedzieć, że przeszliśmy wtedy od radykalnego rewolucjonizmu do rewolucjonizmu realistycznego, co wcale nie oznacza, że pojawiła się rezygnacja. Zbyszek skończył polonistykę, dostał się do Instytutu Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk w Warszawie, gdzie podjął się pisania doktoratu i trafił do kręgu niezmiernie elitarnego, mianowicie na seminarium prof. Marii Janion. Ja wówczas studiowałem filozofię na Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie. I to Zbyszek po pewnym czasie, mówiąc kolokwialnie, „uratował mi skórę”. Nie miałem mieszkania w Warszawie, dojeżdżałem z Białegostoku pociągiem na zajęcia do stolicy; prawdziwa „szkoła przetrwania”. Zbyszek znalazł jednak stancję, gdzie wspólnie zamieszkaliśmy, mianowicie w domu pani Hanny Baranowskiej, której córka, Małgorzata Baranowska, był przyjaciółką i współpracownicą Marii Janion. Tym kanałem, tzn. od Małgorzaty Baranowskiej i poprzez moją gospodynię, jej mamę, dowiadywałem się prawie wszystkiego, co dzieje się na seminarium prof. Janion, i jak oceniany jest mgr Zbigniew Suszczyński. Często byłem zdumiony opiniami, jakie do mnie docierały o nim. Małgorzata Baranowska twierdziła kilkakrotnie, że Pani Profesor Janion postrzega Zbyszka Suszczyńskiego jako jednego z najbłyskotliwszych swoich doktorantów w dziejach jej seminariów.

Jakie to były lata?

To były lata 80. Czasy wrzenia intelektualnego i wewnętrznej wolności myśli. Coś takiego nie powtórzyło się już więcej. Niestety nie wiem, jak to się stało, że Zbyszek nie napisał doktoratu w wyznaczonym terminie. Zmęczenie tematem, wypalenie... Później w jego życiu nastąpiły pewne „tąpnięcia” i „ruchy tektoniczne”, minął rok, drugi, trzeci... lecz swojej dysertacji nie sfinalizował. Było mu coraz niezręczniejsz z upływem czasu, wielokrotnie zrywał kontakt z prof. Janion.

Ostatecznie związał się z Filią Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku. Zbyszek, co warto podkreślić, w punkcie wyjścia swojej intelektualnej

kariery i działalności badawczej zajmował się właśnie literaturą romantyzmu. Pierwszą jego mentorką była prof. Halina Krukowska. W drugiej połowie lat 80. zatrudniono go na filologii polskiej jako asystenta, gdzie zajmował się literaturą polskiego romantyzmu i kontynuował pisanie pracy doktorskiej na temat frenezji u Zygmunta Krasińskiego. Później przestał się jednak fascynować romantyzmem i zainspirował się problematyką kulturoznawczą. Głównie interesowały go media oraz kultura druku. Ma nawet interesujące publikacje z tego zakresu.

W latach 90. znalazł się w orbicie oddziaływania prof. Sława Krzemienia-Ojaka. Obronił ostatecznie doktorat z romantyzmu Krasińskiego w 1997 roku na Uniwersytecie Warszawskim; promotorem ostatecznie został prof. Zbigniew Sudolski, wybitny literaturoznawca z Uniwersytetu Warszawskiego. Zbyszek trafił do niego z prawie gotową pracą, która w zdecydowanej części powstała na seminarium prof. Janion. To był zarazem moment przejścia z Zakładu Romantyzmu do Zakładu Wiedzy o Kulturze, kierowanego przez prof. Krzemienia-Ojaka. Ja wtedy pracowałem już na uczelni; nasze kontakty się zintensyfikowały, ponieważ z inspiracji Zbyszka studenci filologii polskiej założyli Kulturoznawcze Koło Naukowe, które zresztą świetnie funkcjonowało. Spotykaliśmy się w rytmie cotygodniowym na debatach kulturoznawczych. Zaczęliśmy też jeździć po świecie w ramach koła naukowego. Zwiedziliśmy takie miejsca, jak Wrocław, Praga, Ryga, Wilno; z dr Moniką Kostaszuk-Romanowską studenci pojechali też do Moskwy. W 2004 roku zorganizowaliśmy ogólnopolską studencką sesję naukową. Wówczas Zbyszek pisał i publikował na temat mediów i kultury druku. Sporo tekstów pojawiło się w książkach, które redagował Sław Krzemień-Ojak.

Jaki był prywatnie dr Zbigniew Suszczyński?

Zbyszek miał osobowość nietuzinkową, niepowtarzalną, osobną, ale była ona osadzona na jego wiedzy i poznawczej inklinacji. Zbyszek był intelektualistą krystalicznym, podręcznikowym przykładem radykalnego zaangażowania w kwestie poznawcze; uważał, że problemy związane z wiedzą, poznaniem, zrozumieniem świata są ważniejsze niż sprawy materialne. Wielką wagę przywiązywał do „stroju” umysłowego, a nie do szaty zewnętrznej.

Nasza znajomość, rozciągająca się przez wiele lat, nie miała charakteru ciągłego. Zbyszek po seminarium u prof. Janion wrócił do Białegostoku, ja zostałem w Warszawie i kontynuowałem studia filozoficzne, kontaktu wtedy już w zasadzie nie było. Gdy wróciłem do Białegostoku, nie miałem pracy i perspektyw, nie mówiąc o karierze jakiegokolwiek, mimo dwóch

dypłomów. Nasza znajomość, a nawet przyjaźń, uległa reaktywacji, kiedy w 1991 roku dostałem pracę na Filii UW w Białymstoku. Pracowaliśmy razem na Wydziale Humanistycznym. Kontakty były oparte na więzach intelektualnych, nasze spotkania dotyczyły debat, dyskusji i polemik. Intensyfikacja naszej intelektualnej przyjaźni nastąpiła wtedy, gdy wszedłem jako drugi opiekun naukowy do Kulturoznawczego Koła Naukowego studentów filologii polskiej (a był to czas, kiedy nie było jeszcze studiów kulturoznawczych).

Mieliście wspólne zainteresowania badawcze? Byliście dla siebie źródłem inspiracji?

Mieliśmy niewątpliwie wspólny mianownik dotyczący konkretnych problemów. Miałem i mam dotąd różnorodne pola badawcze. Przez pewien czas zajmowałem się filozofią nowożytną, dokładnie mówiąc: filozofią brytyjską XVII i XVIII wieku, na której Zbyszek się nie znał dokładnie. Nigdy nie byłem przesadnym entuzjastą romantyzmu polskiego, co nie znaczy, że się w tej tematyce nie orientowałem. To, co nas łączyło w ramach tej wspólnoty zagadnień, to był stan przemiany kultury współczesnej. Zbyszek się w późniejszych latach zajmował problematyką kulturoznawczą, a ja zawsze się interesowałem filozofią współczesną, która nie może uciec od zagadnień kulturowych. To nas łączyło, ale mieliśmy często odmienne poglądy i dochodziło między nami do polemik, co się bardzo studentom podobało. W ten sposób też wyglądały nasze spotkania w ramach KKN-u. Częściej Zbyszek, rzadziej ja, proponowaliśmy fragmenty tekstów znanych socjologów, kulturoznawców, filozofów, studenci te teksty czytali, a następnie na naszych spotkaniach dochodziło do dyskusji – zawsze partnerskiej. Myśmy jako opiekunowie naukowi występowali w tej samej roli dyskusyjnej, w jakiej występowali studenci. Taka demokracja intelektualna bardzo się studentom podobała.

Jaka była atmosfera tamtych lat, kiedy razem pracowaliście?

Chciałbym uniknąć tonu tetryka, który ma już swoje lata i który zwykle mówi: „lepiej było kiedyś”. Atmosfera na studiach była bardziej interesująca za komuny niż po przemianie ustrojowej, niestety muszę to wyznać. Komuna była, w skrócie mówiąc, państwem wszędobylskim, które chciało reglamentować wszelką aktywność, szczególnie w sferze społecznej czy publicznej. Natomiast w sposób samoczynny wykrystalizowała się, wskutek nieudolności esencjalnej systemu, nisza intelektualna, w której panowała swoboda, prawdziwa wolność myśli. Jeśli intelektualności w PRL-u się spotykali w prywatnych miejscach, to mówili o wszystkim w sposób

wolny od reguł reżimowych. Nie pozwalano debatować na temat polityki, gospodarki w sferze publicznej. Można za to było dyskutować zupełnie spontanicznie, bez ograniczeń, na temat literatury, muzyki, filozofii, kultury, cywilizacji oraz gospodarki i polityki właśnie w tym prywatnych niszach, które się rozmnożyły w prywatnych domach czy kawiarniach; owoc zakazany smakuje – dlatego te tematy rozgrzewały debaty do granic przegrzania. Nie było wolności zewnętrznej, wewnątrz zaś panowała spontaniczność myśli. Wobec tego przekładało się to również na ogólną atmosferę studiów, wyraźnie to widziałem na moich studiach filozoficznych w Warszawie. Spieraliśmy się, ale zawsze o idee, koncepcje, doktryny, nurty, nigdy o pieniądze, o status społeczny wynikający z tego, kto jakim samochodem jeździ. To jest pewien paradoks, że takiej swobody duchowej było więcej w PRL-u.

Już lata 90. i transformacja ustrojowa zmieniły ludziom preferencje. Ludzie bardziej byli zainteresowani mnożeniem bogactwa, uganianiem się za dochodami, usprawnianiem swojej pozycji materialno-finansowej. Kiedy nastał kapitalizm, tak zaczęliśmy oceniać innych: nie ile wiesz, ale ile masz. W końcu lat 90. panowała jeszcze atmosfera napięcia intelektualnego, potrzeby doskonalenia umysłu i ducha. Jeszcze na początku lat 2000. ślady tamtej atmosfery duchowo-intelektualnej dałoby się zauważyć, ale później, niestety, poszło w kierunku merkantylnym, ekonomicznym, finansowym. Ostatecznie w drugiej dekadzie obecnego stulecia kultura uległa temu, co czasami nazywa się finansjalizacją kultury.

Odejście dr. Zbigniewa Suszczyńskiego w tak młodym wieku to duża strata dla naszej uczelni.

Z całą pewnością przedwczesne odejście Zbyszka, w wieku zaledwie 50 lat, trzeba zinterpretować jako stratę dla Uniwersytetu w Białymstoku, i dla jego przyjaciół z jeszcze większą pewnością. To na pewno. Strasznie nad tym ubolewam. Ale dla kultury polskiej w jakiejś mierze również. Zbyszek dobrze się zapowiadał jako badacz tej najbardziej współczesnej kultury, kultury mediów, kultury druku. Wielka szkoda, że odszedł tak wcześnie.

Dziękuję za rozmowę.

Marianna ROGOWSKA

– dr, językoznawczyni; zainteresowania naukowe i dydaktyczne obejmują fonetykę i fonologię, logopedię. Od dziecka mieszkała w Piasecznie pod Warszawą, studiowała w Warszawie. W 1977 roku przeniosła się wraz z mężem do Białegostoku. Przez wiele lat współpracowała z Zakładem Współczesnego Języka Polskiego Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu w Białymstoku. Współtworzyła białostockie Studia Podyplomowe Logopedyczne, którymi kierowała w latach 1991–2001.

A POTEK BYŁA LOGOPEDIA

Jest Pani osobą, która zainicjowała w Białymstoku kształcenie logopedyczne studentów. Ale na początku była gramatyka...

Dr Marianna Rogowska:

Mieszkałam od dziecka w Piasecznie pod Warszawą. Studiowałam w Warszawie, bo od trzeciej klasy podstawówki chciałam być nauczycielką polskiego. Bawiłam się w teatr, śpiewanie i nawet reżyserkę. Na Starówce w Warszawie był teatr amatorski, Teatr Światła i Ruchu. Poszłam na casting, wtedy to się tak nie nazywało, i mnie przyjęli. Powiedziano mi, że koniecznie powinnam iść do Szkoły Aktorskiej, ale ja chciałam być nauczycielką. Po pierwszym roku studiów poznałam mojego obecnego męża, zakochaliśmy się od pierwszego wejrzenia. Od trzeciego dnia znajomości już planowaliśmy, kiedy się pobierzemy, ile będziemy mieli dzieci. Ale były jeszcze studia. On studiował na matematyce, ja na polonistyce. Gdzie tylko się dało chodziliśmy razem.

Pierwsza taka merytoryczna przestrzeń, w której się spotykaliśmy, to było seminarium doktoranckie prof. Zygmunta Saloniego. Prof. Saloni jest też matematykiem z wykształcenia. Miał on wykład z gramatyki na polonistyce warszawskiej. W gramatyce i w tej osobowości naukowej, jaką on był, i w tym człowieku, oczywiście platonicznie, zakochaliśmy się obydwoje. Takie matematyczne podejście do gramatyki zafascynowało mnie wów-



czas i ta fascynacja trwa do dziś. W 1977 roku wzięliśmy z mężem ślub, on, chociaż mógł zostać w Warszawie na asystenturze, postanowił wrócić do Białegostoku. Białostoczanie jest od dziecka, od dziada pradziada, tutaj mieszkała jego, samotna już w tamtej chwili, mama, ponieważ siostra męża wyemigrowała do Szwecji. A ja... „gdzie ty, Kajus, tam i ja, Kaja”. Nauczycielką mogę być wszędzie, szczególnie że akurat wtedy prof. Saloni i jemu podobni naukowcy zostali zesłani na banicję do Białegostoku. Już wtedy to była Filia Uniwersytetu Warszawskiego. Pracę magisterską pisałam u prof. Saloniego.

Zamieszkałam w Białymstoku w 1977 roku, ale musiałam ostatni rok studiów skończyć w Warszawie. Poprosiłam Saloniego, żeby poszukał dla mnie pracy w szkole podstawowej, bo gramatyka jest głównie tam. Kiedy obroniłam pracę magisterską, poinformował mnie, że jest mu bardzo przykro, ale w żadnej szkole nie ma wolnego etatu. Ale on potrzebuje asystentki, chociaż nie ma etatu. W końcu zostałam zatrudniona na $\frac{3}{4}$ etatu w Filii UW w Białymstoku. Profesor okazał się cudownym nie tylko naukowcem, dydaktykiem, nauczycielem, ale też i człowiekiem. Potrafił, jak miał zaoczną studentkę w ciąży gdzieś tam pod Łomżą, jechać rowerem do Białegostoku przez Łomżę. Zajeżdżał tam, udzielał konsultacji przy pracy magisterskiej, nocował w stodole, nie chciał w domu, bo był zakurzony. Pierwszą jego wizytę u nas pamiętam, jakby to było dziś. To było lato i przyjechał rowerem, wtaszczył rower na trzecie, wysokie piętro, żeby nikt mu nie ukradł. Był w sandałach, bez skarpetek, wszedł, ściągnął buty. Mówię, że nie trzeba. Nie zdjął i nie chciał wejść nogami na dywan, bojąc się, że go zabrudzi. Trzeba było podwijać dywan, żeby czuł się usatysfakcjonowany. Pamiętam jego seminaria. Toczyły się tam rozmowy, dyskusje, w końcu przerwa. On wyciągnął bułkę z kieszeni i mówi: „Może ktoś chce, bo ja się mogę podzielić”.

Po podjęciu pracy na etacie asystenta szybko zorientowałam się, że nie mam w sobie takiej jak Profesor weny naukowej. Praca naukowa to nie jest to, co bym chciała robić. Całe życie lubiłam robić coś takiego, co służy bezpośrednio ludziom. Szanuję naukowców, to są intelektualiści przeogromni, ale sama nie widziałam siebie w takiej roli. Wymyśliłam, że skończę Studium Logopedyczne z nadzieją, że może kiedyś sama takie otworzę. Było to mało prawdopodobne ze względu na czasy, kiedy wszystko było państwowe i na nic nie było pieniędzy. Uważałam, że brakuje logopedów w przedszkolach i szkołach, bezpośrednio przy dzieciach. W poradniach są, ale matka musi wziąć urlop, żeby od 8.00 do 15.00 pójść z dzieckiem na specjalistyczne badania. W 1985 roku skończyłam logopedię. Poszłam do przedszkola na Słonecznym Stoku. Diagnozowałam dzieci,

lżejsze przypadki sama prowadziłam, cięższe kierowałam do dalszej diagnozy. Nieraz potrzebny był i laryngolog, i psycholog. Bardzo przyjemnie wspominam ten okres. Obecnie mieszkamy tu w Brończanach 14 lat, najdłużej jednak mieszkaliśmy na Słonecznym Stoku, bo jeszcze wiele lat po 1989 roku, kiedy w Polsce wybuchł kapitalizm. Zmieniło się wszystko, cały świat. Nigdy nie byłam partyjna. Jeszcze na studiach podpisałam protest przeciwko wprowadzaniu do konstytucji w PRL-u, że Związek Radziecki jest naszym najważniejszym sojusznikiem. Byłam zaangażowana, siedziałam na strajkach ze studentami. Jak prof. Saloni przywoził gazetki, to pomagałam rozprawdzać. Byłam całym sercem w to zaangażowana, do dzisiaj jestem po stronie prawdziwej „Solidarności”, tej właśnie z lat 1980–1981. Lech Wałęsa to symbol tamtych czasów, później jako prezydenta można go różnie oceniać, natomiast wtedy był genialny. On, Kuroń, Michnik, to były dla mnie naprawdę twarze tej całej naszej opozycji.

Na studiach nienawidziłam romantyzmu. Uważałam, że to właśnie romantyzm, tak pieczołowicie hołubiony w programie szkolnym, jest odpowiedzialny za nasze latanie „z motyką na słońce”. I ta niepragmatyczna mentalność jest szalona.

Mimo że nie czuła Pani w sobie weny do pracy naukowej, napisała Pani doktorat i zajęła się dydaktyką?

Doktorat zrobiłam z językoznawstwa, ale znacznie wcześniej, bo w 1983 roku poszłam do Podyplomowego Studium Logopedycznego na Uniwersytecie Warszawskim. Po jego skończeniu cały czas badałam możliwość założenia szkoły. Żeby wzbogacać dydaktykę, sama sobie robiłam praktyki. Ale nie chciałam być tylko logopedą, bo miałam w sobie potrzebę nauczania. Zmiana systemu bardzo mi pomogła. W 1990 roku poczyniłam wszelkie starania, zebrałam dokumentację, kadre i w wyniku tego rok później rozpoczęło działalność Podyplomowe Studium Logopedyczne przy Instytucie Filologii Polskiej na Wydziale Humanistycznym Filii UW w Białymstoku. Logopedia jest multidyscyplinarna: tam jest i pedagogika, i psychologia, i medycyna. Jest anatomia, fizjologia, genetyka, foniatria, ortodoncja. Szkoła teatralna jak najbardziej, ponieważ jest to kultura żywego słowa, techniki, żeby pomagać komuś, kto ma problemy z wymową, emisją głosu. Ogromna pula różnych działów nauki. Z Białegostoku miałam sporo kadry i poradnie do praktycznych ćwiczeń musiałam mieć również. Jeszcze głusi, surdologopedia, dysleksja i to wszystko, co związane jest z metodami dydaktycznymi. Mnóstwo tego było. W pierwszym okresie musiałam kadry poobserwować. Dowiadywałam się od różnych ludzi, kim kto jest, zapraszałam do współpracy, ale czasami było tak, że trzeba było zrezygno-

wać z kogoś, bo studenci nie byli zadowoleni, a to oni płacili. Musieli mieć najlepszych, na jakich mnie było stać. Z Warszawy przyjeżdżała dziewczyna, co do której wiedziałam, że jest ambitną logopedką, która dba o swoje wykształcenie i rozwój, ona nawet na praktyki ze studentami do szkół i przedszkoli sama chodziła.

Najważniejszy był prof. Kaczmarek z Lublina, który w Polsce stworzył podwaliny logopedii. Lublin już wtedy był dużym ośrodkiem studiów logopedycznych. Stamtąd miałam fantastyczną panią doktor (obecnie profesor) K. Krakowiakową, specjalistkę od nauki artykulacji głuchych. Przyjeżdżały cudowne osoby z Krakowa i pani prof. M. Bogdanowicz od dysleksji z Gdańska. Niektórzy przyjeżdżali tylko na pojedyncze wykłady, a niektórzy regularnie. Wiele z tych osób nocowałam u siebie w domu, bo nie zawsze były wolne pokoje. To było w trybie zaocznym, czyli od piątku do niedzieli. Fantastycznie mi się wtedy współpracowało z panią profesor A. T. Midro. Ona jest genetykiem klinicznym, ma swój Zakład na Uniwersytecie Medycznym w Białymstoku. Kolejna wybitna wykładowczyni to otolaryngolog prof. E. Hasman-Poznańska. Kiedy prof. Midro diagnozowała dziecko, które miało genotyp zdeformowany czy zmieniony w kierunku dysfunkcji, zapraszała do badań wszystkich możliwych specjalistów. I mnie także. Doszła do wniosku, że warto sprawdzić, czy przy zaburzeniach genetycznych powtarzają się podobne dysfunkcje w zakresie mowy. Odkrywała nowe zaburzenia w genotypie i razem pisałyśmy artykuły. U nas jest tak, że piszesz albo sam, albo co najwyżej z jedną osobą. Rzadko się zdarza, że jest więcej niż dwa, góra trzy nazwiska. A w medycynie to jest normalne. Ona jest na początku, bo jest szefową, i tam każdy ma swoją część. A więc myśmy tak pisały, ona tłumaczyła na angielski i wysyłała do zagranicznych pism. Tych publikacji się nzbierało, ale w latach 90. doszłam do wniosku, że nie uda mi się zrobić z tego habilitacji. Dyrektorem instytutu był prof. Bogusław Nowowiejski, prof. Adam Dobroński był dziekanem. Prof. Nowowiejski do mnie przyszedł, akurat była sprawa na radzie wydziału, moja sprawa, i powiedziałam, że nie złożyłam stosownych dokumentów, ponieważ nie zrobię habilitacji. On powiedział, że się nie zgadza, i że zostanę starszym wykładowcą. Ja dydaktykę kocham. To był rok akademicki 2001/2002. Zawsze była dla mnie ważna jakość dydaktyki. A logopedia bardzo dużo mi do niej wniosła. A potem się pojawiła moja wnuczka i obserwacja jej rozwoju językowego bardzo wpłynęła na wzbogacenie mojej dydaktyki, miałam wtedy taki ogień wewnętrzny, pasję.

Tym sposobem zostałam na Uniwersytecie, ale Podyplomowe Studium Logopedyczne przejęła na moją prośbę dr Urszula Andrejewicz. Zorganizowała ona w 2011 roku uroczyste obchody 20-lecia rozpoczęcia kształcenia

logopedycznego i zaprosiła mnie jako jego twórczynię. Przyszła też prof. Midro i miała bardzo ciekawy wykład. Powiedziała, że ma dla mnie ogromną niespodziankę, bo właśnie dotarła do niej publikacja, z której wynika (to było brytyjskie doniesienie genetyczne), że odnaleźli w genomie człowieka gen gramatyki. Wszystkie te prace, które prowadziliśmy w latach 90., wtedy nie miały takiego znaczenia, te przypadki genetyczne to jest jeden na milion albo jeszcze więcej. Nie przywiązywano do tego takiej wagi, a w tym momencie, kiedy odnaleziono gen gramatyki, to raptem genetyczne obserwacje i powiązane z tym badania, na przykład rozwoju mowy, nabrały sensu do tego stopnia, że zaczęto nas cytować. Czasopisma, w których drukowano nasze publikacje w latach 90., znalazły się na tzw. liście filadelfijskiej To dla mnie ogromna satysfakcja. Muszę powiedzieć, że czuję się zawodowo, naukowo i dydaktycznie absolutnie spełniona.

Pani Doktor, skoro tak bardzo dbała Pani o studentów, oni to na pewno doceniali. Jak układały się relacje między wykładowcami a studentami?

Jeśli chodzi o kontakty studentów i nauczycieli akademickich, to były bardzo przyjemne, szczególnie, że młodzież była wtedy znacznie bardziej zaangażowana politycznie i nie tylko, ten drugi obieg i ta literatura, te dyskusje, to zupełnie inni ludzie byli. Nie należę do tych, którzy narzekają na dzisiejszą młodzież. Ale po 2000 roku młodych ludzi przestało obchodzić to, co się dzieje wokół. Zawsze puszczałam do nich pewne sygnały, ale nie było odzewu, żadnego. Atmosfera była o tyle sympatyczna, że myśmy się czuli wszyscy solidarni, chociaż były osoby bardzo nieciekawe, jak wszędzie. Dopiero po 90. roku dowiedziałam się, że pierwszy sekretarz partii na wydziale ponoć powiedział do mojego kierownika zakładu, że dopóki on ma coś do gadania, to ta Rogowska nigdy nagrody nie dostanie. No i nie dostałam nagrody do 90. roku. Jak tylko zmienił się system, to byłam jedną z pierwszych osób, która dostała nagrodę za dydaktykę i za działalność.

Było niewiele wspólnych spotkań, mimo że to wydział humanistyczny. Parę razy miałam zaproszenie na przedstawienia kabaretowe czy otrzęsiny. Mój mąż pracował na Wydziale Ekonomicznym. Tam to się naprawdę bawiłam. Tamci studenci organizowali się regularnie, otrzęsiny, połowinki, jakieś obrony i wiecznie tylko balanga i imprezowanie. Jak byliśmy na studiach, to mój mąż miał już bardzo mało zajęć, więc on wysiadywał przed salą na polonistycę, gdzie miałam zajęcia, i jak wychodziliśmy na miasto, to całą moją grupą. Spotykaliśmy się, śpiewaliśmy, graliśmy, tańczyliśmy. Dwie dziewczyny były *tekściami*, chłopak grał na gitarze. Mój mąż był maskotką grupy, wszystkie dziewczyny siadały mu na kolanach. Natomiast w naszym życiu zawodowym to się odwróciło, byłam znacznie częściej u niego

na wydziale, na różnych imprezach, na wigiliach, na wyjazdach integracyjnych. U nas też wigilie się odbywały, ale jako osoba raczej niezaangażowana religijnie, raz poszłam, raz nie poszłam. Bardzo miło wspominałam wszystkich profesorów *banitów*. Bardzo dobrze wspominałam profesorów Makowieckiego, a także (już św. pamięci) Jurkowskiego. Oczywiście mojego mistrza, prof. Saloniego. Miłą osobą była też prof. Falińska. Bardzo miło wspominałam prof. Krukowską, z którą żeśmy się zasadniczo nie zgadzały w wielu kwestiach. Byłam u niej w Wasilkowie w domu, jeszcze z naszym synem, miał ze 3 czy 4 lata. Ona do dzisiaj to opowiada wszystkim tym, którzy chcą tego słuchać, że nawet nie wiadomo kiedy mój syn jej kotu obciął wąsy. Dla kota wąsy to niemal podstawa istnienia. Ale cóż, syn był taki trzpiot, straszny rozbójnik.

Wszystkich moich studentów szanowałam, w każdym widziałam coś ciekawego. Zawsze uważałam, że są genialni, tylko niezainteresowani, albo im się nie chce. Był taki przypadek, że chłopak zupełnie nic nie umiał, starał się, ale mu ewidentnie nie wychodziło. Dałam mu ostatecznie trzy pytania do opracowania w domu. Pamiętam też studenta, bardzo inteligentnego, który lubił zajęcia ze mną, był aktywny, ale nie chciało mu się uczyć. Nie wiem, co tam z nim było później, nie wiem, czy nie poszedł w stronę historii. Po którymś razie zaliczył. I on mówi tak: „Wie Pani Doktor co, bardzo dobrze, że najpierw dostałam tę dwójkę i że potem też nie udało mi się zaliczyć, bo teraz to ja się tyle nauczyłam tej fonetyki, że ta trójka mi się należy”. Bardzo mi podziękował. Zawsze mnie dziwiło, że ludzie, którzy dostali u mnie dwójkę, nie mieli do mnie o to pretensji.

Opowiem panu przypadek niezwykły. Student, chyba się nazywał Aleksiejuk, ale na pewno na imię miał Jan. On zaczynał studia na historii, a polonistykę wziął jako drugi fakultet. Studiował jednocześnie pierwsze dwa lata polonistyki. Egzamin z gramatyki u prof. Saloniego jest na drugim roku, po semestrze zimowym. Powiedziałam, że jeśli zda egzamin z tego przedmiotu, to zaliczę również drugi semestr z pierwszego roku bez uczestniczenia w zajęciach. Chłopak okazał się genialny. Fonetykę miał naprawdę w małym paluszkach, on tylko mało się odzywał, a to głównie dlatego, że bardzo ostro śledzikował i wstydził się tego. Egzamin zdał celująco. Po czym pojawił się u mnie na ćwiczeniach w II semestrze, chociaż umawialiśmy się, że nie będzie musiał. A on na to: tak, ale ja sam się uczyłem, a jak tu będę chodził, to nauczę się jeszcze czegoś więcej. I chodził, pisał kolokwia do samego końca (same oceny celujące). Takich rzeczy się nie zapomina. Był genialny i bardzo skromny. Dostał propozycję zostania asystentem, chyba nawet trochę pracował, potem się dowiedziałam, że wrócił do swojego miasteczka uczyć dzieci w szkole. To wielka strata dla nauki, on naprawdę

mógłby góry przenosić. Miałam też niesłuchanie zdolnego chłopaka, który był laureatem olimpiady polonistycznej i mógłby w Warszawie wybrać sobie każdy kierunek. O wszystko się wyklócał.

Logopedia jest z dnia na dzień coraz bardziej potrzebna. To jedna z nie-licznych praktycznych dziedzin nauk humanistycznych. Może więc na-stawienie na praktykę jest szansą humanistyki?

Tak, to prawda. Jestem pragmatykiem i nie chcę nikogo urazić ani nikomu zabierać walorów naukowych. Uważam, że absolutnie powinno się iść za czasami, za ludźmi, za ich potrzebami. Na przykład językoznawstwo powinno iść bardziej w kierunku tego, co mogłoby się przydać. Oczywiście historia literatury powinna być. Wolałabym, żeby mniej było tej dobro- ojczyźnianej hucpy, takiego płytkiego patriotyzmu („Jak patriota, to musi przelewać krew”). Oglądał Pan fantastyczny, oskarowy film amerykański *Przełęcz ocalonych?* To opowieść o żołnierzu, który nigdy nie oddał jedne- go strzału, a uratował mnóstwo ludzi podczas wojny. O to właśnie chodzi. Inaczej nie zbudujemy nigdy społeczeństwa obywatelskiego. Tacy ludzie, którzy latają z okrzykami, jaka to wojenka cudna, oni też nie zbudują czło- wieka odpowiedzialnego za swoje czyny. I właśnie przez taką mentalność mamy w tej chwili to, co mamy.

A jeśli chodzi o przyszłość humanistyki i logopedii? Do niczego Pan nikogo nie zmusi. Niebezpieczeństwo dysleksji można dostrzec wcześniej, bo już na poziomie przedszkola. Dysleksja to nie tylko kłopoty z nauką pisania i z płynnym czytaniem, ale też kłopoty z koncentracją, cierpliwością. Rodzi- ce nie zawsze mają tego świadomość i sądzą, że dziecko jest leniwe, że nie chce się uczyć i robi im na złość. Wskazane jest, żeby jak najwcześniej, przy jak najmniejszych obawach pójść z dzieckiem do poradni specjalistycznej.

Pani Doktor, Pani plany na przyszłość?

Odeszłam z pracy, ponieważ stwierdziłam, że już nic świeżego do mojej dy- daktyki nie wniosę. Poczułam się wypalona. Poza tym bardzo dużo choro- wałam, okres przejściowy z aktywnego biologicznie organizmu do takiego usypiania, że się tak wyrażę, bardzo się odcisnął na mnie. Byłam praktycz- nie niemobilna, choroby ciągle mnie zatrzymywały w domu, to mnie też iry- towało. To jest jedna rzecz. Uważam, że jeżeli pracować, to do momentu, kiedy człowiek sam wie, że jest dobry w tym, co robi i co sprawia mu radość. Moje obecne życie jest bardzo ciekawe. Mogę wreszcie czytać, ile chcę i co chcę. A przy okazji rozprawdzam książki. Mam takie kółko czytelnicze, czyta kilka osób ze wsi, a na koniec oddaję książki pewnej młodej dziew- czynie. Syn zabrał najwartościowsze, ja zatrzymałam swoje zawodowe,

a resztę po przeczytaniu oddają. Jestem bardzo zaangażowana w wychowanie moich wnuczek. Część wakacji spędzają u nas. Oprócz tego jestem tak aktywna fizycznie, na ile pozwala mi zdrowie.

Czego życzyć Pani na najbliższe lata?

Czego mi życzyć? Mam fantastyczne życie osobiste, bo żeśmy się z mężem zakochali, z tą iskrą, co przeskakuje. Teraz jesteśmy 40 lat po ślubie. Mąż żartuje, że ma nową żonę, bo emerytkę. Życzę każdemu człowiekowi na każdym etapie życia optymizmu i znalezienia sposobu na siebie. Ktoś książki będzie pisał (nigdy nie lubiłam pisać nawet głupich artykułów, a co mówić o książkach), ktoś inny wnuki pilnował. Mam swoje plany nieduże, utrzymać kondycję jak najdłużej i mieć w sobie zawsze choć trochę optymizmu.

Dziękuję za rozmowę.



Siedziba Instytutu Neofilologii UwB przy ul. Liniarskiego

Jadwiga SADOWSKA

dr hab., prof. em. UwB, kierowała Zakładem Informacji Naukowej i Bibliotekoznawstwa (2008–2016) w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu w Białymstoku oraz była kierownikiem Podyplomowych Studiów Informacji Naukowej i Bibliotekarstwa UwB (2008–2015). Wcześniej: kierownik Instytutu Bibliograficznego Biblioteki Narodowej (1993–2007) i zastępca dyrektora Biblioteki Narodowej ds. bibliografii i automatyzacji (1994–1998).

Praca doktorska na temat: *Określniki w systemie języka haseł przedmiotowych: aspekty semantyczno-syntaktyczne* (1983, Uniwersytet Warszawski); rozprawa habilitacyjna: *Język haseł przedmiotowych Biblioteki Narodowej: studium analityczno-porównawcze* (2004, Uniwersytet Wrocławski). Opublikowała: *Instrukcja tematowania i katalogu przedmiotowego*, Warszawa 1990; *Języki informacyjno-wyszukiwawcze. Katalogi rzeczowe*, Warszawa 1991 (współaut. T. Turowska); *Hasła przedmiotowe w teorii Adama Łysakowskiego i praktyce „Przewodnika Bibliograficznego”*, Warszawa 2000; *Język haseł przedmiotowych Biblioteki Narodowej. Poradnik*, Warszawa 2001; *Język haseł przedmiotowych Biblioteki Narodowej. Studium analityczno-porównawcze*, Warszawa 2003; *Książki i czasopisma w Polsce świetle liczb (1990–2010)*, Białystok 2013. Zredagowała m.in. tomy: *Prasa regionalna i lokalna na terenie województwa podlaskiego w latach 1989–2010*, Białystok 2013; *Prasa na terenie województwa podlaskiego w latach 1944–2012*, Białystok 2014; *Jednodniówki na terenie województwa białostockiego i województw wschodnich (nowogródzkiego, poleskiego, wileńskiego, wołyńskiego) Drugiej Rzeczypospolitej* (red. z Katarzyną Zimnoch, Białystok 2017).



W PRZESTRZENI BIBLIOTEK

Kiedy i w jakich okolicznościach zaczęła Pani Profesor pracę na Uniwersytecie w Białymstoku? Jak to się stało, że zajęła się Pani bibliotekoznawstwem?

Dr hab. Jadwiga Sakowska, prof. UwB:

Jestem absolwentką polonistyki ze specjalizacją językoznawczą na Uniwersytecie Warszawskim. Po studiach rozpoczęłam pracę w Bibliotece Narodowej i w ten sposób zainteresowałam się praktycznym bibliotekarstwem. Po kilku latach zdałam egzamin państwowy dla bibliotekarzy dyplomowanych, a jednocześnie rozpoczęłam studia doktoranckie na Wydziale Neofilologii UW w zakresie systemów i języków informacyjno-wyszukiwawczych. Wyjaśnię od razu, że języki informacyjno-wyszukiwawcze to języki sztuczne stosowane w katalogach rzeczowych, inaczej treściowych, i bibliotecznych bazach danych. Wiele lat pracowałam w różnych działach Biblioteki Narodowej – w Zakładzie Katalogów Rzeczowych, w Ośrodku Przetwarzania Danych, w Instytucie Książki i Czytelnictwa, w Instytucie Bibliograficznym, którym kilkanaście lat kierowałam. Byłam też przez kilka lat wicedyrektorem Biblioteki Narodowej ds. automatyzacji i bibliografii. To pozwoliło mi poznać różne aspekty pracy bibliotekarskiej. Dydaktyką zajmowałam się wówczas sporadycznie na studiach podyplomowych na Uniwersytecie Warszawskim. Sporo publikowałam, brałam udział w konferencjach krajowych i zagranicznych.

Po kilkunastu latach od doktoratu postanowiłam przygotować rozprawę habilitacyjną i wówczas otrzymałam propozycję pracy w Instytucie Informatyki Naukowej i Bibliotekoznawstwa na Uniwersytecie Wrocławskim. Zdecydowałam się na nią, był to bowiem najlepszy ośrodek kształcenia bibliotekarskiego w kraju. Mieszkałam w Warszawie, a do Wrocławia dojeżdżałam – taki tryb życia prowadziłam przez 7 lat. Miałam tam okazję poznać nie tylko pracę dydaktyczną, ale także organizacyjną. Wrocław był jednak daleko, dojazdy okazały się dość uciążliwe, ciągle remontowano koleje. W tej sytuacji zdecydowałam się zrezygnować z pracy na Uniwersytecie Wrocławskim i podjęłam pracę na Uniwersytecie w Białymstoku. Był to rok akademicki 2008/2009.

Jakie były początki białostockiego bibliotekoznawstwa? Jaki był w tym Pani udział?

Kształcenie bibliotekarzy i pracowników informacji naukowej na Uniwersytecie w Białymstoku rozpoczęło się w 1991 roku. Wówczas na Wydziale Humanistycznym zorganizowano dwuletnie pomaturalne Studium Bi-

bliotekarskie. Następnie powstały studia podyplomowe, a od 1998 studia licencjackie. Twórcami Studium byli pracownicy ówczesnego Zakładu Filologii Rosyjskiej – dr Waław Szerszunowicz i profesor Jan Franciszek Nosowicz, których zainteresowanie bibliotekoznawstwem wynikało, przynajmniej częściowo, ze zmian, jakie nastąpiły w kraju po 1989 roku, w tym między innymi z faktu, że język rosyjski przestał być przedmiotem obowiązkowym w szkołach i absolwenci zaczęli mieć trudności ze znalezieniem pracy. Chodziło więc o to, aby rusycyści, ale nie tylko, mogli zdobyć dodatkowe wykształcenie, które umożliwiłoby im połączenie pracy dydaktycznej nauczyciela z pracą bibliotekarza szkolnego. Niemniej jednak na tę decyzję należy patrzeć także z punktu widzenia potrzeb bibliotek na Podlasiu. Cały ten wielki obszar, od Suwalszczyzny po Łomżę i Bielsk Podlaski, nie miał żadnego ośrodka kształcenia bibliotekarskiego. Najbliższe ośrodki kształcenia na poziomie wyższym znajdowały się w Warszawie, Lublinie i Olsztynie. Z myślą o absolwentach utworzono więc Podyplomowe Studium Bibliotekarstwa, które cieszyło się dużą popularnością.

Początkowo kształcenie bibliotekarskie odbywało się tylko w trybie zaocznym, ale planowano wprowadzenie studiów dziennych. Zamiarem organizatorów było uzyskanie dla kierunku bibliotekarstwa, czy szerzej – bibliotekoznawstwa, statusu jednostki międzywydziałowej, co było uzasadnione, bowiem studia bibliotekoznawcze są studiami humanistycznymi w szerokim tego słowa znaczeniu: łączą literaturę, historię, kulturoznawstwo, filozofię, a jednocześnie mają swój specyficzny profil, związany ze źródłami informacji, opracowaniem dokumentów, heurystyką informacyjną itp. Niestety, projekt ten nie został zrealizowany, natomiast w 1998 roku utworzono w Instytucie Filologii Rosyjskiej Zakład Bibliotekoznawstwa oraz uruchomiono trzyletnie studia licencjackie (W roku akademickim 1998/1999 z zakresu bibliotekoznawstwa i informacji naukowo-technicznej). Następnie, w roku 1999, po podziale Wydziału Humanistycznego na Filologiczny i Historyczno-Socjologiczny, Zakład umieszczono w strukturze tego drugiego, a rok później przeniesiono na Wydział Filologiczny, gdzie przez kilka lat funkcjonował w strukturach Instytutu Wschodniosłowiańskiego. Do 2005 roku Zakładem kierowała profesor Anna Sitarska, wcześniej pracująca w Instytucie Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej Uniwersytetu Warszawskiego, dyrektor Biblioteki na Zamku Królewskim w Warszawie, znana w polskim środowisku bibliotekarskim przede wszystkim ze swoich zainteresowań automatyzacją procesów bibliotecznych i bibliograficznych, między innymi w Bibliotece Narodowej. Po jej odejściu z UwB opiekę nad kierunkiem do października 2008 roku, to jest do mojego zatrudnienia na Uniwersytecie w Białymstoku, sprawowała profesor Wanda Supa jako pełnomocnik

Rektora ds. kierunku bibliotekoznawstwo i informacja naukowa. Od 2008 roku Zakład Informacji Naukowej i Bibliotekoznawstwa został umieszczony w strukturze Instytutu Filologii Polskiej na Wydziale Filologicznym. Na ogół w takiej strukturze znajduje się ten kierunek na innych uniwersytetach. Dodam, że przez cały czas były prowadzone studia podyplomowe.

Jak powiedziałam, kształcenie na poziomie licencjatu odbywało się początkowo w trybie niestacjonarnym i skierowane było do bibliotekarzy, którzy już pracowali. Równolegle realizowano studia dzienne, ale ta druga forma skierowana była tylko do studentów co najmniej IV semestru studiów magisterskich o wysokiej średniej ocen na podstawowym kierunku. Od roku akademickiego 2002/2003 na dzienne studia licencjackie zaczęto przyjmować również osoby po maturze, tak jak na innych uniwersytetach, choć zgłaszały się na ten kierunek także ci, którzy mieli już ukończone studia magisterskie, zwykle z zakresu filologii polskiej lub obcej, historii, prawa, pedagogiki. Traktowali oni studia bibliotekoznawcze jako możliwość zdobycia drugiego zawodu. Niestety, w 2011 czy 2012 roku za studiowanie drugiego kierunku wprowadzono opłaty, wobec czego, co zrozumiałe, studenci przestali się interesować drugim kierunkiem. Wprawdzie po dwóch latach zmieniono przepisy, ale ten proces praktycznie był już nieodwracalny. Liczba studentów na roku w tamtym okresie wynosiła 20-30 osób, zaś limit przyjęć – od 25 do 35. Niestety, mimo że był to jedyny ośrodek akademicki na terenie województwa podlaskiego kształcący w zakresie bibliotekoznawstwa, rekrutacja na studia licencjackie została w roku akademickim 2015/2016 zawieszona, a kierunek wygaszony. Już dwa lata wcześniej rekrutacja nie wypełniała limitu 35 osób, co było warunkiem uruchomienia kierunku. Dodatkowo, już wcześniej kierunek borykał się z wypełnieniem tzw. minimum kadrowego, które według przepisów ministerialnych było jednakowe na I stopniu, zarówno dla kierunku, na którym studiowało na przykład 30 osób, jak i 200. Stąd nasze problemy z Polską Komisją Akredytacyjną. Jeśli do tego dodamy zdecydowanie niższe zainteresowanie uniwersyteckimi studiami humanistycznymi, jak i stale zmniejszającą się liczbę studentów nie tylko na Uniwersytecie w Białymstoku, to skutki tej sytuacji były łatwe do przewidzenia. Kierunek został wygaszony.

Czy potencjalni kandydaci z tego regionu wybiorą się na studia bibliotekoznawczo-informacyjnie do innych miast? Do Warszawy czy Lublina – bo to są najbliższe ośrodki? Raczej nie. Za daleko i za drogo. Rodzi się też pytanie, czy warto studiować bibliotekoznawstwo i informację naukową? Przecież według powszechnego stereotypu, w bibliotece może pracować każdy. Otóż, jeśli byśmy chcieli porównywać się z krajami wysoko rozwiniętymi Europy Zachodniej, Japonią czy Stanami Zjednoczonymi, to tam

do studiów bibliotekoznawczo-informacyjnych przykłada się dużą wagę, a absolwenci tego kierunku bez trudu znajdują pracę w komercyjnych firmach „handlujących informacją” (jest takich coraz więcej na rynku). Także w bibliotekach niemieckich czy amerykańskich niełatwo otrzymać pracę, jeśli nie spełnia się dosyć wysokich kryteriów przygotowania zawodowego. U nas jest ciągle nieco inaczej.

Tak więc, wracając do naszych realiów, zdobycie wykształcenia z zakresu bibliotekoznawstwa na poziomie akademickim w województwie podlaskim nie będzie na razie, a może i dłużej, możliwe.

Jak wspomina Pani atmosferę pracy w Białymstoku? Czy urzekło Panią to miasto i jego mieszkańcy?

Urodziłam się we wsi oddalonej o 90 km od Warszawy i 100 km od Białegostoku. To są okolice Ostrowi Mazowieckiej. W okresie międzywojennym moja wieś należała do województwa białostockiego, może dlatego te tereny były mi zawsze bliskie. Białystok był inny niż Warszawa i Wrocław. Bardziej swojski, bardziej przyjazny, bardziej kameralny. Ma on jednak niewątpliwie swoją specyfikę, wynikającą ze wschodniego położenia, gdzie czas płynie trochę wolniej, a ludzie są bardziej otwarci i przyjaźni. Ja w każdym razie od razu poczułam się tutaj bardzo dobrze. Sprawy formalne załatwiałam z ówczesną Panią Dziekan Wydziału Filologicznego, profesor Leonardą Dacewicz, potem z następnym Dziekanem, profesorem Bogusławem Nowowiejskim i dyrektorem Instytutu Filologii Polskiej, profesorem Ursulą Sokólską. Jestem im wdzięczna za wszelką pomoc.

Niewątpliwie też praca na Uniwersytecie w Białymstoku pozwoliła mi bardziej zainteresować się tym regionem i nieco go poznać.

Jakich ludzi ważnych dla swojej pracy spotkała Pani w Białymstoku? Czy ktoś Panią na przykład inspirował?

Będąc członkiem Rady Wydziału Filologicznego miałam okazję poznać wiele osób, pracowników Uniwersytetu, którzy są znani w środowisku, na pewno nie tylko białostockim. Chciałabym natomiast wspomnieć tu o profesorze Józefie Maroszku z Wydziału Historyczno-Socjologicznego, wybitnym znawcy regionu podlaskiego, z którym miałam przyjemność rozmawiać na tematy regionalne pogranicza Mazowsza i Podlasia, a także o doktorze Aleksandrze Miśkiewicz, znawcy historii i kultury Tatarów polskich. Poznałam też nieco wcześniej, jeszcze w Bibliotece Narodowej – profesor Krystynę Jakowską.

Poznałam też osobiście wielu bibliotekarzy, dyrektorów bibliotek białostockich, w tym pana Jana Leończuka, dyrektora Książnicy Podlaskiej

i jego zastępczynią panią Ewę Kołomecką, z którą wielokrotnie spotykałam się między innymi przy okazji redakcji „Bibliotekarza Podlaskiego”, dyrektor Halinę Brzezińską-Stec z Biblioteki Głównej UwB. Podziwiam jej umiejętności organizacyjne, które uwidaczniały się nie tylko w sprawnym zarządzaniu Biblioteką, organizacji Podlaskiej Biblioteki Cyfrowej, ale też w organizacji konferencji, w których miałam okazję uczestniczyć. Poznałam panią dyrektor Joannę Putko z Biblioteki Politechniki Białostockiej, panią Danutę Albowicz, kierującą Biblioteką Wydziału Psychologii i Pedagogiki, panią Marię Czyżewską, kierującą Biblioteką Akademii Ekonomicznej, a obecnie wicedyrektor Biblioteki Politechniki. Cenię sobie spotkania z uczestnikami Podlaskiego Forum Bibliotekarskiego, choć nie zawsze mogłam brać udział w tych spotkaniach.

Chciałabym przy tej okazji wspomnieć o swoich bezpośrednich współpracownikach: dr hab. Annie Nosek, absolwentce białostockiej polonistyki, specjalizującej się w literaturze dziecięcej oraz czytelnictwie, co na kierunku bibliotekoznawczym jest bardzo przydatne. Drugą osobą była dr Katarzyna Zimnoch, absolwentka historii i studiów bibliotekoznawczych, specjalizująca się w badaniach nad historią książki i bibliotek na terenie Podlasia od XVI wieku do współczesności. Jest ona autorką wielu cennych artykułów źródłowych dotyczących księgozbiorów historycznych, na przykład w Supraślu i Różanymstoku. Mam nadzieję, że pod koniec 2017 roku ukaże się nasza wspólna publikacja o jednodniówkach na terenie województwa białostockiego i województw wschodnich II Rzeczypospolitej¹. Pracowniczką naszego Zakładu Informacji Naukowej i Bibliotekoznawstwa była też dr Katarzyna Sawicka-Mierzyńska, z którą przygotowałam wydanie dwóch publikacji o prasie białostockiej: *Prasa regionalna i lokalna na terenie województwa podlaskiego w latach 1989–2010* oraz *Prasa na terenie województwa podlaskiego w latach 1944–2012*. Przy tych opracowaniach współpracowałam też z bibliotekarzami z Białegostoku, Łomży i Suwałk. Pracownikiem Zakładu był też mgr Marcin Pędach, absolwent anglistyki i bibliotekoznawstwa, który zajmował się technologią informatyczną. Przez pewien czas pracowała w Zakładzie dr Jadwiga Nowacka, wicedyrektor Biblioteki Miejskiej w Suwałkach, oraz dr hab. Ryszard Nowicki, dojeżdżający z Bydgoszczy.

Jacy byli Pani studenci? Czy pamięta Pani najlepszych, najzdolniejszych? Czym się wyróżniali?

¹ *Jednodniówki na kresie województwa podlaskiego i województw wschodnich (nowogrodzkiego, poleskiego, wileńskiego i wołyńskiego) Drugiej Rzeczypospolitej*, red. J. Sadowska, K. Zimnoch, Białystok 2017.

Na każdym kierunku studenci są i byli różni. Niektórzy są wyraźnie zdolni, a inni słabsi. Są to często skutki poziomu kształcenia w szkole średniej. Niektórzy są ambitni i chcą się uczyć, inni znaleźli się na studiach trochę przypadkowo. Byli też tacy, których sytuacja rodzinna zmuszała do podejmowania pracy w czasie studiów. Niestety, praca i studia nie dają się dobrze łączyć, zwłaszcza na początkowych latach. Wiedziałam o takich przypadkach, ponieważ rozmawiałam czasem o sytuacji materialnej studentów. Trzeba też zwrócić tu uwagę na studentów drugiego kierunku, tzn. takich, którzy skończyli licencjat lub studia magisterskie na innym kierunku niż informacja naukowa i bibliotekoznawstwo. Tacy studenci byli zawsze lepsi, mieli nie tylko większą wiedzę, ale też umiejętności kształcenia się. Taką studentką była pani Kamila Śliżewska-Hościło, po studiach historycznych, która napisała bardzo dobrą pracę licencjacką o czasopiśmie „Białostoczczyzna”. Jest ona też autorką kilku artykułów na temat prasy podlaskiej. Taką studentką była też pani Grażyna Knap, po studiach polonistycznych, obecnie doktorantka na Wydziale Filologicznym, autorka pracy licencjackiej na temat dziejów wydawniczych Edmunda Niziurskiego. Ale pamiętam też pana Jana Wojciecha Wieczorka, bardzo inteligentnego młodego człowieka, o rozległych zainteresowaniach humanistycznych, który często miał jakieś uwagi i pytania na zajęciach, co zawsze jest inspirujące. Nasi absolwenci podejmowali studia II stopnia w większości na kulturoznawstwie.

Pani zawodowe plany na przyszłość...

Ograniczam już moje zawodowe plany. 30 września 2017 roku przestałam pracować etatowo. Nie oznacza to oczywiście całkowitego wyłączenia się z pracy naukowej, ale zmieniam nieco jej kierunek. Jak wspomniałam, mamy z dr Katarzyną Zimnoch złożoną publikację o jednodniówkach na Kresach Północno-Wschodnich w okresie międzywojennym. Chciałabym, aby młodzi pracownicy kontynuowali dotychczasowe i podjęli nowe prace badawcze nad szeroko rozumianą kulturą książki na Podlasiu. Chodzi o instytucje wydawnicze, rynek wydawniczy książki i prasy, historię bibliotek, ludzi książki, czytelnictwo. Ja od kilku lat zajmuję się historią swojej wsi i jej mieszkańców. Badam metryki urodzeń, zgonów i ślubów od XVIII wieku oraz inne dokumenty archiwalne, głównie XIX-wieczne. Wydałam na tej podstawie monografię *Mieszkańcy Kaczkowa Starego i Nowego w parafii Brok (od połowy XVIII do połowy XX wieku)*. Chciałabym jeszcze dokładniej zbadać i spisać historię mojej rodziny, a z tym powinnam się pośpieszyć, bowiem już coraz mniej jest osób, które mogłyby mi w tym pomóc, a i ja jestem coraz starsza.

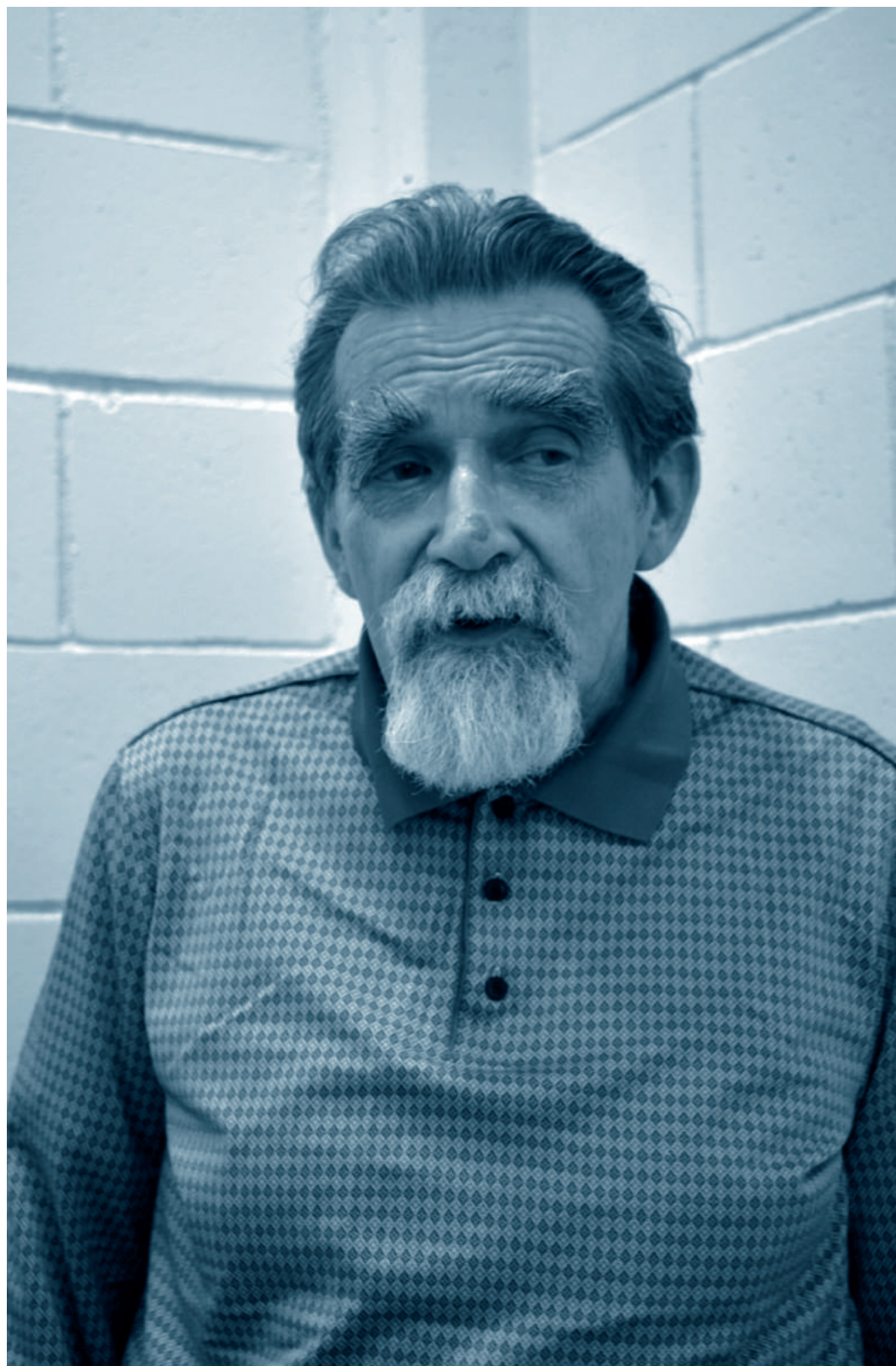
Dziękuję za rozmowę.

Zygmunt SALONI

– prof. dr hab., językoznawca. Ukończył dwa kierunki uniwersyteckie: polonistykę oraz matematykę. W roku 1968 uzyskał stopień doktora nauk humanistycznych w dziedzinie językoznawstwa, w 1976 roku stopień doktora habilitowanego. Tytuł profesora został mu nadany w 1988 roku.

Zainteresowania badawcze koncentrują się wokół gramatyki języka polskiego oraz leksykografii. Jest autorem lub współautorem fundamentalnych i wielokrotnie wznawianych dzieł dotyczących składni i morfologii polskiej. Wśród najważniejszych publikacji wymienić można monografie: *Cechy składniowe polskiego czasownika* (1976), *Wstęp do koniugacji polskiej* (wyd. I 2000), *Czasownik polski: odmiana, słownik* (wyd. I 2001) oraz *Składnia współczesnego języka polskiego* (we współautorstwie z M. Świdzińskim, wyd. I 1981). Do najbardziej znaczących opracowań leksykograficznych należą: *Słownik gramatyczny języka polskiego* (współautor, wyd. I 2007) oraz *Schematyczny indeks a tergo polskich form wyrazowych* (współautorstwo wraz z J. Tokarskim, wyd. I 1993). W latach 80. XX wieku podejmował inicjatywy zmierzające ku nowemu wydaniu *Słownika języka polskiego* pod red. W. Doroszewskiego, później kierował pracami nad suplementem do *Słownika języka polskiego PWN* pod red. M. Szymczaka (wyd. 1992). Jest również współautorem licznych słowników ortograficznych języka polskiego, słowników dwujęzycznych, polsko-angielskich i angielsko-polskich (pisanych we współpracy z T. Piotrowskim) oraz prac dydaktyczno-językowych, przeznaczonych dla uczniów i nauczycieli.

Pracował na Uniwersytecie Warszawskim (w Warszawie i Filii w Białymstoku), następnie na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie. W 2009 roku ponownie podjął pracę na Wydziale Lingwistyki Stosowanej Uniwersytetu Warszawskiego. Członek Komitetu Językoznawstwa PAN.



ZATRUDNIONY W „NIEDOBRYM ROKU”

Panie Profesorze, jak to się stało, że część swojego życia naukowego i prywatnego, bo Białystok – jak zgaduję – angażował nie tylko „czas zawodowy”, związał Pan właśnie ze stolicą Podlasia? Jakie wspomnienia przychodzą Panu do głowy, kiedy zamyka Pan oczy i myśli: „Białystok”?

Prof. Zygmunt Saloni:

To bardzo proste, dlaczego znalazłem się na Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku. Po prostu nie było dla mnie miejsca w Warszawie. Zostałem zatrudniony w 1968 roku, w niedobrym roku, na Uniwersytecie Warszawskim, w jednostce, która nosiła nazwę: Zakład Lingwistyki Stosowanej. Tam się źle czułem, uważałem się za polonistę i na własny wniosek zostałem przeniesiony na polonistykę. Ale tam także nie czułem się najlepiej. Widziałem, że jestem niepotrzebny. Nie było zapotrzebowania na kolejnych specjalistów, było ich dostatecznie dużo. Uniwersytet prowadził taką politykę, że mniej wartościowych pracowników przenosił do ośrodków prowincjonalnych. Przy okazji jakiś rozmów wysunięto propozycję i do mnie, a ja się zgodziłem, dałem się przenieść. Odszedłem z Uniwersytetu Warszawskiego. Powtórnie zostałem tam zatrudniony dopiero wówczas, kiedy przeszedłem na emeryturę.

Skupmy się na okresie, gdy przybył Pan do Białegostoku. Lata siedemdziesiąte. Istnieje mnóstwo wspomnień z tym okresem związanych, jak przypuszczam?

Kilkanaście lat pracowałem w Białymstoku, a potem z własnej inicjatywy przenieśliśmy się do Olsztyna. Dlaczego się przenieśliśmy? Były różne przyczyny, także środowiskowe. Czułem, że w Białymstoku przebywałem zbyt długo, za bardzo zacząłem wchodzić w środowisko, w układy. Jednak główną przyczyną była taka, że bardzo polubiłem region mazurski i chciałem tam jeździć na wakacje. A ponieważ życie moje ułożyło się w ten sposób, że miejsce zamieszkania stałego i miejsce pracy miałem dosyć oddalone, wolałem więc jeździć z Warszawy w to samo miejsce do pracy i na wakacje. Region białostocki też lubię, ale jeziora mazurskie, warmińskie podobały mi się bardziej.

Będę z uporem wracał do wątku związanego z Białymstokiem. Pan się uśmiecha, gdy myśli o Białymstoku?

Mam miłe wspomnienia z Białegostoku.

Jak się tam pracowało? Jak się wtedy tworzyło naukę?

To, co się czuło przede wszystkim w Białymstoku w latach 70., kiedy się

tam znalazłem, to dążność do awansu środowiska. Mianowicie istniała grupa ludzi, która chciała robić coś innego, stworzyć coś; była tym zainteresowana, a jeszcze nie spetryfikowała się w postaci ustabilizowanego ośrodka uniwersyteckiego.

A gdy Pan przyjechał, to funkcjonował już na uczelni zakład mniej lub bardziej ukonstytuowany, zajmujący się konkretnymi rzeczami?

Tak, ale tych struktur nie bardzo pamiętam. Nie za bardzo się interesowałem. Niewątpliwie zajmowałem się przedmiotami językoznawczymi. Chyba istniał Zakład Filologii Polskiej, a może Instytut Filologii Polskiej... w każdym razie w tych strukturach się znalazłem.

Jak się pracowało?

Bardzo przyjemnie. Zwłaszcza w budynku przy ul. Świerkowej, pod lasem. Tam niedaleko był Dom Asystenta, w którym można było nocować. Panowała miła atmosfera i zarazem prymitywne warunki mieszkalne. Na polonistyce pracownicy mieli dwa pokoje, warunki lokalowe były jeszcze gorsze niż tutaj, w tym nowoczesnym gmachu Neofilologii i Lingwistyki Stosowanej Uniwersytetu Warszawskiego, w którym obecnie się znajdujemy. Ale, trzeba przyznać, było przyjemnie i sympatycznie. Potem przeniesiono nas do dawnego gmachu Komitetu Wojewódzkiego PZPR, gdzie dostałem pojedynczy pokój po jakimś sekretarzu. Wielki pokój, dobre warunki i... znacznie mniej przyjemna atmosfera.

Mam wspomnienia ze stanu wojennego, niewątpliwie związane z Filią Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku. Stan wojenny został wprowadzony w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 roku, z soboty na niedzielę. Jeździłem do Białegostoku na zajęcia z zaocznymi w niedzielę, a potem miałem zajęcia ze studentami dziennymi w poniedziałek i we wtorek. Nocowałem we wspomnianym Domu Asystenta. Miałem zawsze wcześniej kupiony bilet. Jeździło się z Dworca Gdańskiego pociągiem, który się nazywał *Leninrad*. To bardzo przyjemny pociąg. Rano wstałem i pojechałem na Dworzec Gdański, gdzie spotkałem panią dziekan Ewę Wipszycką. Pojechaliliśmy do stacji Białystok Główny, wysiedliśmy i chyba poszliśmy pieszo na ulicę Świerkową. Tam zostaliśmy powitani przez panią portierkę słowami, że wprowadzono stan wojenny. Było to pierwszego dnia, czyli w niedzielę około godziny 10.30. Po drodze widzieliśmy byli żołnierzy koczujących tu i ówdzie przy szlakach komunikacyjnych, wzbudziło to nasze bardzo umiarkowane zainteresowanie. Myśmy na to reagowali zupełnie inaczej niż ludzie młodszy. Dla nas widok żołnierzy wykonujących jakieś czynności typowo służbowe nie był zaskakujący. Pamiętaliśmy wojnę, okres bezpo-

średnio powojenny i to, że pojawia się jakiś ruch i żołnierze coś robią, było czymś naturalnym. Potrzebują coś zrobić, to robią, widocznie dostali rozkaz. Pamiętam sytuację, kiedy latem 1954 roku byłem na wycieczce w Elblągu i przez ulice miasta przejeżdżały w celach roboczych, manewrowych dwa czołgi. Jeden z nich utknął, zepsuł się i zablokował ruch samochodów i tramwajów. Jeśli w 1954 roku coś takiego mogło się zdarzyć, dlaczego w roku 1981 wojsko nie ma prawa się ruszać? Mnie nie szokował widok żołnierzy grzejących się przy koksownikach na ulicach Warszawy czy Białegostoku. Po uzyskaniu od portierki informacji pani dziekan wydała zarządzenie, że odwołuje zajęcia, rozpuściła studentów zaocznych, którzy przyjechali na zajęcia, bo połowa przyszła, też nie wiedząc o niczym.

Jacy byli wykładowcy, studenci? Jaka atmosfera panowała na zajęciach? Pan czuł się jak przysłowiowa „ryba w wodzie”?

Ogólnie było sympatycznie. Panowało powszechne przekonanie, że tworzy się życie uniwersyteckie. Byli tu zarówno koledzy z Warszawy, którzy regularnie dojeżdżali, jak i białostoczanie, ludzie z regionu, którzy stanowili przyszłość uczelni. Panowała atmosfera twórczej pracy. I to się rzeczywiście wtedy czuło, także za sprawą organizowanych spotkań. Ja też kilku atrakcyjnych prelegentów do Białegostoku sprowadziłem. Studenci odznaczali się wyraźną aktywnością, co było widać na takich spotkaniach. Część z nich jest dziś pracownikami, profesorami Uniwersytetu w Białymstoku. Kogo do Białymstoku zaprosiłem?

Raz pojechałem tam z panią prof. Marią Renatą Mayenową, która *nota bene* była białostoczanką, i dzisiaj jest tam uhonorowana poprzez nadanie jej imienia jednej z sal wykładowych na Wydziale Filologicznym. Miała ona z Białymstokiem bardzo silny związek, bo jej rodzice zginęli w getcie białostockim. Jeszcze przed wojną osiadła w Wilnie i tam pracowała, a potem, kiedy powróciła jako repatriantka do Polski, miała przystanek w drodze do Warszawy właśnie w Białymstoku, gdzie była zatrudniona chyba w Bibliotece Wojewódzkiej.

Innym razem zaprosiłem na wykład do Białegostoku Antoniego Liberę, który teraz jest znanym pisarzem. Najatrakcyjniejszym jednak prelegentem, którego sprowadziłem, był Janusz Szpotański. Był to człowiek „ziewający jadem nienawiści przeciwko partii i władzy ludowej; człowiek o moralności alfonsa”, jak go scharakteryzował Władysław Gomułka w swoim przemówieniu z 19 marca 1968 roku. Janusz Szpotański dla mojego pokolenia to był niewątpliwie Ktoś. Natomiast dla współczesnych dwudziestolatków czy trzydziestolatków jest jedynie kartką z historii, która została wymieciona do archiwum, żeby nie powiedzieć brutalniej. Ale jego utwory znajdują

się w Internecie, w Gdańskiej Bibliotece Literatury Polskiej. A w roku 1981 jego wieczór autorski na Filii Uniwersytetu Warszawskiego sprawił wielką frajdę słuchaczom i pisarzowi, który jedyny raz w życiu recytował „anty-państwowe” wiersze w państwowej instytucji.

Z jakim przyjęciem spotykały się Pana zajęcia z językoznawstwa?

Miałem dobre wrażenia. Jestem nauczycielem z powołania. Pracę zaczynałem w szkołach niższego szczebla. Wtenczas ukształtowało się moje widzenie struktury współczesnego języka polskiego, z którego potem w jakiś sposób zdałem sprawę. W późnych latach 70. napisaliśmy wraz z Markiem Świdzińskim podręcznik składni, którego pierwsze wydanie zostało wydrukowane przez Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego w grudniu 1981 roku. Potem pojawiły się kłopoty, ponieważ władza stanu wojennego zatrzymała dystrybucję książek, które nie weszły jeszcze do obiegu, i „zaaresztowała” wszystkie książki, które były w magazynie Wydawnictwa; to, co zostało wydrukowane, a jeszcze nie poszło do księgarń. To, co wyraźnie czułem w Białymstoku, a czego nie doświadczyłem w Warszawie, to obecność Służby Bezpieczeństwa. W Warszawie Służba Bezpieczeństwa istniała, natomiast dla mnie na Uniwersytecie Warszawskim jej działanie było niedostrzegalne. Byłem tam zbyt małym pionkiem, żeby być przedmiotem jej zainteresowania. Nie byłem żadnym działaczem, tylko sympatykiem określonych środowisk. Natomiast w Białymstoku współpracownik Służby Bezpieczeństwa najniższego szczebla koniecznie chciał się ze mną zobaczyć i porozmawiać. I muszę powiedzieć, że bardzo chwalebnie sobie lojalne zachowania moich kolegów białostoczan, którzy mnie o tym uprzedzili. Kiedy się z tym panem spotkałem, byłem dobrze przygotowany.

Profesorowie, którzy ze mną rozmawiali, zwracali uwagę na to, że początek białostockiej humanistyki to bardzo intensywna praca. Trzeba było stworzyć nowe środowisko. A mimo wszystko, ludzie ci mieli czas, żeby ze sobą spotkać się, porozmawiać. Pan to potwierdza swoją opowieścią...

Tak. Zgadzam się. Efektem tego były przeróżne spotkania, sympozja i konferencje. Nie jestem zwolennikiem życia bardzo towarzyskiego. Prowadzę je raczej w gronie kameralnym. Ale miałem w Białymstoku kilku przyjaciół. I do dzisiaj mam znajomych zarówno ze środowiska polonistycznego, jak i niepolonistycznego. Jedno nazwisko może wymienię. To matematyk i informatyk Andrzej Trybulec, który w Warszawie wciągał mnie w problemy ścisłego opisu języka naturalnego metodami matematycznymi. Był on trochę młodszy ode mnie. Szukał zatrudnienia i miejsca w życiu. Najpierw

zatrudnił się w Płocku na Filii Politechniki Warszawskiej, potem – na Uniwersytecie w Białymstoku. Miał własne koncepcje informatyczno-matematyczne, stworzył język sformalizowanego zapisu twierdzeń Mizar. Wiązał z nim duże nadzieje. Wielkiej kariery nie zrobił, zmarł jako niehabilitowany doktor kilka lat temu. To na pewno strata intelektualna dla Białegostoku.

Pierwsze lata kształtowania się humanistyki białostockiej naznaczał duży brak książek, brak literatury. Czy Pan, tak jak profesor Makowiecki, też dźwigał książki, przywożąc je do Białegostoku?

Oczywiście, między innymi przywoziłem 100 egzemplarzy naszego pierwszego wydania podręcznika składni. Książkę natychmiast rozprowadziłem wśród studentów. A to był okres stanu wojennego, gdy na wszystko potrzebne były zezwolenia. Na własnym grzbiecie przytargałem tę publikację w plecaku. Przywoziłem również inne książki. I pomagałem Uniwersytetowi w Białymstoku w przejściu dużej części księgozbioru prof. Marii Renaty Mayenowej, która zapisała je uczelni w testamencie, a mnie i prof. Jerzego Woronczaka uczyniła pełnomocnikami. Muszę powiedzieć, że przekazanie książek do Uniwersytetu w Białymstoku było związane z dużymi trudnościami, co zresztą jest zupełnie zrozumiałe. Biblioteki niechętnie przyjmują takie dary i Białystok nie był w tym wypadku wyjątkiem. W końcu książki przyjął i w jakiś sposób zagospodarował.

A ten słynny pociąg, który zmierzał zawsze z Warszawy do Białegostoku? Pan przecież też z niego korzystał?

Tak. To był bardzo przyjemny pociąg, ten odchodzący z Dworca Gdańskiego. Mogę opowiedzieć dwie anegdoty, ale niezwiązane ze sferami intelektualnymi, tylko z prostymi ludźmi. Mianowicie przychodzę na Dworzec Gdański i widzę, że stoi pociąg już na peronie, a przy nim konduktorka. Idąc, pytam: „A ten pociąg do Białegostoku?” Słyszę charakterystyczne: „Do Białegostoku? Pan siada, Pan jedzie”.

Panie Profesorze, ciekawie się jeździło? Po '68 roku do Białegostoku przyjeżdżali ludzie, którzy w Warszawie nie mogli zagrzać miejsca, przede wszystkim z powodów politycznych. W tym pociągu, jak informowało mnie kilku wykładowców, zawsze było miejsce na dyskusje i odrobinę alkoholu. Pan Profesor poczuł tę atmosferę?

W Białymstoku niewątpliwie zdarzało mi się pić alkohol, choć nie przypominam sobie, że bym go pił w tym pociągu. Natomiast podróże pociągiem stanowiły okazje do rozmów i kontaktów towarzyskich. Ale te rozmowy nie utkwiły mi w pamięci. Pamiętam tylko jedną rozmowę z konduktorem,

który opowiadał mi o swoim życiu. Był repatriantem z terenów wschodnich, przyszedł z I Armią Wojska Polskiego do Polski jako zupełny nędzarz i osiadł pod Białymstokiem. Opowiadał o swoich trudnych pierwszych latach i o tym, że został tutaj dobrze przyjęty. Wspominał też księdza, który wziął od niego pieniądze na mszę za duszę ojca, ale podarował mu równocześnie koszulę.

Pamięta Pan ludzi, którzy byli jego studentami, a którzy zrobili karierę? Czy w Białymstoku dokonał Pan Profesor jakiegoś odkrycia związanego z językoznawstwem?

Mam oczywiście uczniów, którzy w tej chwili są zatrudnieni w Białymstoku. Nie chciałbym wymieniać nazwisk, niech mówią sami. Kiedy przyjechałem do Białegostoku, byłem ukształtowany, zacząłem już pisać to, co miałem napisać. Miałem plany leksykograficzne i zacząłem badania. Na podstawie doświadczeń dydaktycznych w Białymstoku wydałem trzytomową serię *Studia z polskiej leksykografii współczesnej*. Dwa z tych tomów ukazały się nakładem wydawnictwa Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku, a pierwszy – ogólnopolskiego Wydawnictwa Ossolineum. To w dużej części prace moich współpracowników i magistrantów ze studiów zaocznych. No właśnie, seminarium magisterskie na studiach zaocznych w Białymstoku dawało mi satysfakcję: udawało mi się zachęcić studentki, nauczycielki szkół z regionu, do pracy na materiale słownikowym. Jedną z nich, Halinę Lipińską z Klukowa, po kilku latach zrobiła na Uniwersytecie Warszawskim doktorat. Dalej pracowała w szkole, a teraz jest już emerytką.

A Pana aktywność badawcza w Białymstoku: czy wiązała się z charakterystyczną mową regionu? Pytam o ten słynny „zaśpiew”, śledzikowanie, mieszkankę językową, w której pojawiają się wyrazy z języka białoruskiego, rosyjskiego, ukraińskiego? Czy Pana to interesowało?

Interesowało mnie to wszystko, o czym Pan wspomina, w sposób zupełnie naturalny, jako że tam byłem i miałem życzliwy stosunek do ludzi. Ale nie było to przedmiotem mojego zainteresowania językoznawczego. Interesowałem się polszczyzną ogólną. To jasne, że Białystok – jako te skrawki Cesarstwa Rosyjskiego, które należą obecnie do Polski – zachował resztki cech kresów północno-wschodnich. Trochę się tego jeszcze spotyka. Śledzikowanie to raczej zjawisko południowe. Było trochę ludzi pochodzenia białoruskiego wśród moich uczniów polonistów, było też trochę prawosławnych, mających korzenie czysto ruskie. A Pan też pochodzi z rodziny prawosławnej?

Mieszanej, katolicko-prawosławnej. Mama była prawosławna, tata jest katolikiem.

Mam sentyment do prawosławia. Bardzo silny wpływ na mnie wywarła moja babcia, prawosławna Rosjanka, z którą mieszkalem przez 20 lat z górą.

A z Białegostoku robiłem wycieczki. Jeździłem na przykład rowerem do Michałowa, na południe od szosy do Bobrownik. Odwiedzałem panią Teresę Laskowską, nauczycielkę z miejscowej szkoły, która zrobiła u mnie doktorat, i stykałem się z tamtejszymi ludźmi, poznawałem region. Były też kontakty z Białorusinami. Jest mi trochę smutno, kiedy o nich mówię, bo jest to grupa, która w tej chwili przestaje istnieć. Polonizują się na potęgę, ale to naturalny proces, nie można go negatywnie oceniać.

Panie Profesorze, jeszcze pytanie „administracyjne”, na które pani prof. Paczoska chętnie odpowiedziała. Początki białostockiej polonistyki to jest budynek przy ulicy Świerkowej, a później budynek dawnego Komitetu Wojewódzkiego. Jak Pan Profesor wspomina te przenosiny? To taki żart historii, że w budynku partii pojawiła się polonistyka – źródło intelektualnego fermentu.

Nie lubię uroczystości, pompy, przepychu i o ile budynek przy Świerkowej, zbudowany jako szkoła, robił wrażenie sympatyczne, o tyle gmach popartyjny przy dawnej ulicy Liniarskiego nie był dla mnie przyjemny.

Panie Profesorze, nie oszukujmy się. W nowym budynku były większe pokoje dla nauczycieli akademickich i więcej sal przeznaczonych na dydaktykę...

To prawda. Ale kiedy dostałem tam pokój, to się poczułem nieswojo. Może i dlatego przeniosłem się do Olsztyna? Miałem tam początkowo też złe warunki, lecz i tam wybudowali nowy gmach, a mnie posadzili w dużym pokoju. Jednak i tam długo miejsca nie zagrzałem.

Opuszczając Białystok dla Olsztyna, czuł Pan żal, tęsknotę za czymś, co bezpowrotnie mija?

Przeszedłem do Olsztyna, kiedy on był w trochę innej sytuacji. Wówczas był to ośrodek bardziej rozwinięty. Funkcjonowała tam Wyższa Szkoła Pedagogiczna, która miała ukształtowaną kadrę, ale wciąż potrzebowała ludzi wykwalifikowanych, więc przyjęli i mnie. Przyznam jednak, że nie byłem tam tak potrzebny, jak w Białymstoku. W samym środowisku adaptowałem się gorzej, chociaż znalazłem ludzi, z którymi się zaprzyjaźniłem.

Pytam wykładowców o jeszcze jedną ważną dla mnie rzecz. O to, czego życzą białostockiej polonistyce. Wszystkie tego typu kierunki w Polsce borykają się z mniejszymi bądź większymi problemami, na przykład z naborem studentów. Polonistyka musi się zmienić. Pytanie: czy powinna bezwzględnie dostosować się do wymogu czasów?

Na Pana pytanie nie umiem odpowiedzieć. Zmienia się świat, zmienia się i profil kształcenia. Kształcenie przybrało charakter masowy, dawniej nie było w Białymstoku uniwersytetu, nie było polonistyki – i nie było nieszczęścia. W jakiś sposób funkcjonowało również środowisko intelektualne. Potem szkolnictwo wyższe zaczęło się dynamicznie rozwijać, więc dziś uczelni jest dużo, nawet za dużo. I teraz się „zwijają”. Uniwersytetów też jest strasznie dużo. Nic więc dziwnego, że niektórzy mają duże kompleksy. Nie umiem powiedzieć, czego bym życzył Uniwersytetowi w Białymstoku i polonistyce.

Co do jednego jestem przekonany, że produkcji naukowej, czy tzw. naukowej w zakresie nauk humanistycznych, a w szczególności w zakresie polonistyki, zarówno literaturoznawczej, jak i językoznawczej, jest za dużo. Należy ją ograniczyć. Nie powinno się dążyć do tego, żeby ludzie na siłę robili stopnie, publikowali książki itd. To w tej chwili jest patologia, a sprzyja jej obecny system oceniania pracowników nauki. Oczywiście życzyłbym rozwoju białostockiej polonistyce. Na pewno nie życzyłbym jej tego, by zlikwidowano Uniwersytet w Białymstoku, ale czy ma się rozwijać, czy dążyć do tego, żeby było więcej studentów – tego naprawdę nie wiem.

A czego Panu życzyć osobiście? Czasami wykładowcy życzą sobie rozwoju naukowego, zdrowia, a czasami mówią o tym, że chętnie by do Białegostoku powrócili...

Mogę Panu odpowiedzieć szczerze, czego ja bym sobie życzył. Spokojnej śmierci. Umrzeć spokojnie, a nie po kilku latach cierpień.

To w takim razie życzę, żeby Pan Profesor był zdrowy i szczęśliwy.

Krótkofalowo to jest taki mały plan. Mam już swoje lata, sam się dziwię, że jeszcze czynnie pracuję. Mamy w tej chwili koniec marca i moim życzeniem jest to, żebym wytrzymał do końca tego roku akademickiego bez katastrofy.

Zapraszam do Białegostoku.

Urszula SOKÓLSKA

URSZULA SOKÓLSKA

– dr hab., prof. Uniwersytetu w Białymstoku. Zainteresowania badawcze: historia polszczyzny, zwłaszcza doby średnio- i nowopolskiej. Szczególne miejsce w tej problematyce zajmują zagadnienia dotyczące języka artystycznego, języka prasy oraz polszczyzny kresowej, dawnej i nowszej. Napisała między innymi książki: *Siedemnastowieczna polszczyzna kresów północno-wschodnich* (Białystok 1999); *Leksykalno-stylistyczne cechy prozy Melchiora Wańkowicza* (Białystok 2005); *Studia i szkice o języku pisarzy* (Białystok 2010).

Należy do: Polskiego Towarzystwa Językoznawczego, Podlaskiego Oddziału Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, kolegium redakcyjnego „Białostockiego Archiwum Językowego”, rady naukowej „Roczników Humanistycznych” i „Kwartalnika Językoznawczego”. Organizatorka i pomysłodawczyni Podlaskich Akademickich Mistrzostw w Ortografii, autorka dyktand konkursowych; prowadziła Internetową Poradnię Językową na stronie www.ifp.uwb.edu.pl.

W latach 2008–2016 kierowała Instytutem Filologii Polskiej na Wydziale Filologicznym UwB. W 2017 roku opublikowała monografię: *„O, mowo polska, ty ziele rodzime”. Wokół refleksji nad kształtem polszczyzny* (Białystok).

JEST MIĘDZY NAMI WIĘŻ...

Pani Profesor, kto zainspirował Panią do pracy naukowej?

Urszula Sokólska, prof. UwB:

Doktor Irena Halicka – to ona była pierwszą osobą, która zaczęła mnie kształtować jako językoznawcę. Pisałam u niej pracę magisterską na temat *Staropolskich nazw kwiatów i ziół*. Pracę recenzował prof. Jurkowski, wtedy



jeszcze docent, bardzo kochany i uwielbiany przez studentów – za wielką wiedzę oraz życzliwość, którą miał dla wszystkich. Tak, dr Halicka i prof. Jurkowski – to było pierwszych dwoje językoznawców, którzy wpłynęli na wybór mojej zawodowej, a w konsekwencji również osobistej, drogi życiowej. Nie mogę tu oczywiście pominąć prof. Władysława Kupiszewskiego, którego miałam zaszczyt poznać już jako asystent-stażysta w roku 1980, kiedy to Profesor zaczął przyjeżdżać do Białegostoku. Wkrótce został moim opiekunem naukowym, a w kilka lat później promotorem pracy doktorskiej zatytułowanej *Siedemnastowieczna polszczyzna Kresów północno-wschodnich*.

Doktor Halicka prowadziła wykłady z gramatyki historycznej na drugim roku studiów, przedmiotu, który w latach siedemdziesiątych dziesiątkował studentów. Lubiłam te zajęcia, a na egzaminie dostałam piątkę. Zawsze pociągała mnie przeszłość językowa i cała związana z nią magia odkrywania rzeczy minionych. Kiedy zatem pani doktor otworzyła seminarium magisterskie, uznałam, że właśnie językoznawstwu diachronicznemu poświęcę swój czas i zainteresowania. Może już tylko na marginesie dodam, że doktor Halicka, choć nigdy nie uzyskała tytułu i odeszła na emeryturę na początku lat osiemdziesiątych, nadal pozostaje autorytetem dla wielu badaczy zajmujących się onomastyką. Jej dwutomowa monografia z 1976 roku, poświęcona nazwom miejscowym środkowej i zachodniej Białostoczczyzny, na stałe znalazła miejsce w bibliografii onomastycznej, wciąż jest cytowana i przywoływana we współczesnych pracach podejmujących problem toponimii.

Wykładów profesora Jurkowskiego z gramatyki opisowej słuchałam na pierwszym i drugim roku studiów. Mimo że wykłady nie były obowiązkowe, to na zajęciach zawsze był tłum studentów. Bo Profesora słuchało się z największą przyjemnością i z dużym zaciekawieniem. O zagadnieniach trudnych potrafił mówić interesująco, zadziwiał nas różnymi anegdotami i barwnymi – nawiązującymi do treści wykładu opowieściami, na przykład przy okazji omawiania różnic między językami naturalnymi a sztucznymi opowiadał o języku pszczoł, o tym, jak się one porozumiewają między sobą i w jaki sposób informują, gdzie jest właściwe poletko, z którego mogą zebrać pyłek kwiatowy. Profesor Jurkowski prowokował młodych ludzi do wgłębiania się w literaturę nie tylko językoznawczą, zachęcał do doskonalenia siebie i wskazywał dodatkową bibliografię.

Posiadał dar zjednywania sobie osób, przekonania do tego, co jest ważne i istotne, a w każdym dostrzegał to, co w nim najlepsze. Choć drobnej postury – był człowiekiem wielkim w najpiękniejszym tego słowa znaczeniu, człowiekiem wielkiego umysłu, wielkiego ducha i serca. Kiedy szliśmy do niego na egzamin z gramatyki opisowej, baliśmy się nie tego, że nie zdamy

egzaminu, tylko tego, że się ośmieszymy, że czegoś nie będziemy wiedzieli, że zrobimy tym przykrość prowadzącemu.

Życzliwości pana Profesora doświadczyłam również jako młody pracownik, gdy pełnił on funkcję dyrektora Instytutu, a wiele lat później recenzował moją rozprawę habilitacyjną do druku. Pan Profesor już niestety nie żyje, ale pozostał w pamięci tych, którzy go znali. Na zawsze zapamiętam jego życzliwie uśmiechniętą twarz i niezwykle oczy... młode oczy... Nawet kiedy miał już lat siedemdziesiąt kilka i był ciężko chory, paliły się w tych oczach młodzieńcze iskierki. Bo był wyjątkowy człowiek, szanowany i ceniony przez wszystkich. Po prostu autorytet. Myślę, że takich ludzi nam dzisiaj brakuje.

Wiele też zawdzięczam profesorowi Władysławowi Kupiszewskiemu, promotorowi mojej pracy doktorskiej. Jako nieodrodny uczeń profesora Witolda Doroszewskiego otaczał mnie, młodą adeptkę nauki niezwykłą życzliwością, dawał nieocenione wsparcie merytoryczne, pomagał poruszać się w meandrach „sztuki językoznawczej”. Z przyjemnością – a nie z asystenckiego obowiązku – chodziłam na jego wykłady, by uczyć się wszystkiego: i zagadnień językoznawczych, o których wtedy wiedziałam jeszcze bardzo, bardzo niewiele, i samego prowadzenia zajęć ze studentami. To była świetna, niezapomniana szkoła życia w wielu jej aspektach.

Profesor w bardzo trudnych czasach stanu wojennego był „pełniącym obowiązki” dyrektora Instytutu. I co jest bardzo ważne, niezwykle ważne, to potrafił zachować się – mimo najróżniejszych przeciwności polityczno-administracyjnych – godnie i z niezwykłą klasą. A to przecież zaleta ludzi szlachetnych, do jakich profesor Kupiszewski niewątpliwie należy.

Do osób, które miały na mnie ogromny wpływ, należy też niewątpliwie profesor Zenon Leszczyński, który pracował na białostockiej polonistyce od 2 VII 2000 do 30 IX 2007 (do czasu odejścia na emeryturę). Czas ten – stosunkowo krótki – przyniósł Instytutowi Filologii Polskiej nieocenione korzyści. Profesor – uznany badacz języka, członek ważnych gremiów językoznawczych, by wymienić choćby Komitet Językoznawstwa PAN i Radę Języka Polskiego – zrezygnował z etatu w jednym z największych polskich uniwersytetów (KUL) i przeniósł się na pierwszy etat do Białegostoku, by wspomóc znajdującą się wówczas w bardzo trudnej sytuacji kadrowej białostocką polonistykę. Swoim ogromnym autorytetem zaktywizował środowisko: zbudował Zakład Historii Języka Polskiego, prowadził konwersatorium skierowane do pracowników Wydziału Filologicznego, inspirował i zachęcał do podejmowania wyzwań badawczych, wspierał wszelkie działania naukowe, a przede wszystkim niezwykle życzliwie i z ogromnym taktem recenzował prace naukowe białostockich językoznawców. Przez te

wszystkie lata w UwB zawsze służył pomocą i wiedzą, fascynował swoją erudycją, czytaniem i badawczą rzetelnością, a dzięki swemu niebywalemu poczuciu humoru sprawiał, że każde spotkanie i każda rozmowa z Nim stawała się wielką intelektualną przygodą.

Czy miała Pani mistrzów, prawdziwych mentorów, którzy nie tylko inspirowali, ale pomagali w pracy naukowej?

Tak. Miałam. W pierwszych latach mojej pracy – oprócz profesora Jurkowskiego, doktor Halickiej, profesora Kupiszewskiego i profesora Leszczyńskiego – byli również: prof. Piotr Wróblewski, dr Teresa Wróblewska, dr Ewa Prechitko, mgr Teresa Branicka – moi nauczyciele na studiach, teraz koledzy z Zakładu Języka Polskiego; także profesorowie dojeżdżający z Warszawy: Barbara Falińska, Zygmunt Saloni, Józef Wierzchowski i Jadwiga Chłudzińska-Świątecka. Wszyscy oni tworzyli ówczesne środowisko białostockie, z reguły byli ode mnie starsi o całe pokolenie, nie – o kilka lat, ale o całe pokolenie. Intuicyjnie czułam tę barierę, bałam się jej nawet, czułam się zagubiona i onieśmielona.

Kiedy w październiku 1980 roku po raz pierwszy miałam wejść do pokoju nauczycieli akademickich, miałam wrażenie, że za chwilę wejść do klatki lwa. Nic takiego się nie stało. Zapamiętałam wyłącznie życzliwość, z jaką mnie powitano. Zapamiętałam i profesora Piotra Wróblewskiego, i panią doktor Teresę Wróblewską, i panią doktor Ewę Prechitko, którzy przywitani mnie jak koleżankę, nie dali nawet przez chwilę odczuć, że są ode mnie ważniejsi, bo starsi i już w Instytucie zdomowieni. Przyjęli mnie bardzo serdecznie, ciepło i pomagali przetrwać pierwsze, trudne chwile, kiedy pierwotną barierę: student – nauczyciel akademicki zmieniałam w relację: młody pracownik – dojrzały kolega z Instytutu. W podobny sposób zachowywał się profesor Saloni. Pan Profesor budził mój respekt, z pozoru surowy i groźny... A tu proszę...

Kiedyś wchodzę do pokoju zziębnięta, bo mróz trzaskający na dworze, a profesor Saloni proponuje mi herbatę, szuka kubka i tę herbatę samodzielnie mi przygotowuje. Miałam szczęście do ludzi z klasą, ludzi wielkiej wiedzy i kultury, umiających dostrzec w młodym człowieku człowieka, młodszego partnera, który ma prawo czuć się zagubiony i któremu trzeba koniecznie pomóc, zarówno w sferze osobistej, jak i naukowej. Tego właśnie nauczyłam się od swoich mistrzów. I staram się tę dewizę w swoim życiu realizować. Mam nadzieję, że skutecznie.

A ci profesorowie niepokorni, którzy przyjeżdżali na „zesłanie” do Białegostoku? Czy miała Pani z nimi kontakt?

Do niepokornych na pewno należał prof. Andrzej Makowiecki – literaturoznawca. Wszyscy wiedzieli o tym, że został relegowany z UW za udział w strajku 1968. Jego wykłady z pozytywizmu i Młodej Polski, prowadzone z niezwykłą erudycją, lekkością i swobodą – bez żadnych kartek i notatek – spotykały się z najszczerzym uznaniem studentów. Potem egzamin, trudny, bo obejmujący kilkaset lektur, ale w formie dyskusji, takiej swobodnej z pozoru rozmowy, podczas której można się było jeszcze wiele nauczyć. Na ile byli niepokorni wobec ówczesnej władzy inni pracownicy Uniwersytetu Warszawskiego zesłani do Białegostoku, trudno dziś mi, po latach jednoznacznie to stwierdzić. Na pewno za ówczesną władzą nie przepadali i prof. Barbara Falińska, i prof. Władysław Kupiszewski, i prof. Zygmunt Saloni, i na pewno prof. Marian Jurkowski. Nie znam szczegółów, a więc tym bardziej nie czuję się upoważniona, by o tym mówić.

Pracę w Białymstoku rozpoczęła Pani w budynku w centrum miasta, czy jeszcze przy ul. Świerkowej?

Przy Świerkowej. Do dawnego Komitetu przeprowadziliśmy się w lipcu 1990 roku. Tu odbyły się już egzaminy na studia roku akademickiego 1990/91, pierwsi studenci rozpoczęli zajęcia w nowych pomieszczeniach w październiku 1990 roku. To akurat pamiętam dobrze, bo w styczniu 1991 roku urodziłam drugiego syna.

Jaka była atmosfera przy ul. Świerkowej?

Kiedy rozpoczęłam pracę w roku 1980, w świeżo powołanym Instytucie Filologii Polskiej były dwa zakłady. Mieliśmy wówczas do dyspozycji dwa pokoje, jeden zajmowali pracownicy Zakładu Historii Literatury Polskiej, drugi – Zakładu Języka Polskiego. W tych niewielkich pokojach (bez rygorystycznych zresztą podziałów) spotykaliśmy się wszyscy. Dzięki temu kontakty były bliższe i częstsze, mieliśmy więcej czasu, żeby wypić wspólnie herbatę czy zejść do barku, który mieścił się obok czytelni humanistycznej, na najniższym poziomie Wydziału. Mieliśmy więcej czasu, by podyskutować czy zwyczajnie porozmawiać o swoich sprawach prywatnych. Inaczej zresztą planowane były zajęcia, a dłuższe przerwy (niektóre nawet półgodzinne) ułatwiały integrację pozanaukową. I nikt nie narzekał, że zajęcia trwają do dziewiętnastej czy dwudziestej. No, może późną jesienią i zimą, gdy wcześniej zapadał zmierzch i strach było przemierzać niezbyt dobrze oświetloną ścieżkę prowadzącą od budynku uczelnianego do przystanku, ścieżkę biegnącą między drzewami i krzewami. Ale generalnie było miło i sympatycznie. Może również dlatego, że nie było bzdurnej papierologii, a pięcioletni program studiów polonistycznych mieścił się na dwóch czy trzech kartkach formatu A4.

Nikt nie słyszał wtedy o sylabusach, efektach kształcenia, matrycach przedmiotowych, punktach ECTS i systemie USOS, który uprzedmiotawia i studenta, i pracownika; były papierowe indeksy, symbol społeczności akademickiej. Nikt w najczarniejszych snach nie przewidywał nadejścia tej urzędniczej, wszechogarnianej nas dziś maszyny biurokratycznej, która obecnie pochłania mnóstwo niepotrzebnej energii. Teraz wciąż gdzieś pędzimy, tracimy czas na spełnianie zaleceń ministerialnych, produkujemy tony dokumentów, by wpisać się bezduszny system. Inaczej student nie uzyska zaliczenia, potem dyplomu, a Wydział – podczas kolejnej kontroli – nie będzie mógł być pozytywnie zweryfikowany. Ale nie jest to wyłącznie przypadłość białostocka. Bezwzględny duch urzędniczy krąży dziś nad każdą uczelnią w kraju.

Na Świerkowej spędziłam 14 lat i wiąże się z tym wiele moich wspomnień, miłych, sympatycznych i niekiedy zabawnych. Może o jednym opowiem..., nawet bardzo zabawnym. Otóż wokół budynku wydziałowego przez wiele miesięcy błąkał się bezpański pies, któremu studenci nadali imię Dziekan. Psiak był bardzo przyjazny, wiedział, że nic mu nie grozi, łaścił się do wszystkich, bowiem żacy dzielili się z nim różnymi smakołykami. Również podkarmiłam go swoimi kanapkami. Pewnego dnia postanowiłam zabrać z domu resztki, które zostały po zrobieniu galarety. Gdy pakowałam to wszystko do torby moja mama – bardzo zdziwiona – zapytała: „Co robisz?”; „Zaniosę Dziekanowi – odpowiedziałam”. Mama zrobiła wielkie oczy i wykrzyknęła z oburzeniem: „Dziecko, zwariowałaś, co on sobie pomyśli. Żarty sobie stroisz?”; – „Mamo, uciesz się i będzie merdał ogonem. Dziekan to pies, nie mówiłam ci o tym”. Śmiałyśmy się obie z tego nieporozumienia. Zdarzyło się też kilkakrotnie, że ktoś krzyczał: „Dziekan do nogi!”, albo „Dziekan, Dziekan, do mnie!”, a tu nagle – jak spod ziemi – wyrastał prawdziwy dziekan Wydziału. Na szczęście dziekan miał ogromny dystans do siebie i z takich komicznych pomyłek śmiał się serdecznie.

Powróćmy do relacji mistrz – uczeń. Czy dziś studenci potrzebują mentorów? A może w dobie internetowych i cyfrowych źródeł informacji sami zdobywają wiedzę?

O to trzeba byłoby zapytać studentów. Ale na pewno nie wolno generalizować. Są i tacy, którzy mają pasję, a w związku z tym mentorów szukają, i tacy, którzy przyszli na studia tylko po to, by jak najmniejszym wysiłkiem zdobyć dyplom. A tym studentom żaden mentor nie jest potrzebny. Póki jednak młodzi ludzie przychodzą na nasze seminaria magisterskie i doktoranckie, a potem – nawet po latach – przysyłają życzenia świąteczne, to

znaczy, że dla części z nich jesteśmy ważni. Otrzymuję wiele takich dowodów sympatii. Jedna z moich uczennic od 11 lat przysyła mi kartki bożonarodzeniowe, wielkanocne i z okazji Dnia Nauczyciela. Dla takich chwil chce się z młodzieżą pracować. A na negatywne zachowania spuśćmy zasłonę niepamięci. Nie warto ich wspominać.

Dziękuję za rozmowę.

Wanda SUPA

– prof. zw. dr hab., rusycystka, literaturoznawczyni. Magisterium uzyskała w 1971 roku na WSP w Rzeszowie; doktorat w 1979 roku na Uniwersytecie Warszawskim; habilitacja w roku 1989 na Uniwersytecie Warszawskim. Tytuł naukowy profesora otrzymała w 2009 roku.

Zainteresowania badawcze: literatura rosyjska XX i XXI wieku oraz literatura białoruska, sporadycznie ukraińska w kontekście literatury światowej. Najważniejsze problemy badawcze: teoria satyry i śmiechu, najnowsza literatura rosyjska, antropologia literatury, recepcja twórczości polskich pisarzy w Rosji.

Najważniejsze publikacje: *Poetyka współczesnej prozy rosyjskiej. Mimetyzm oraz formy umowne* (Białystok 1989); *Twórczość Walentina Katajewa* (Białystok 1996); *Biblia a współczesna proza rosyjska* (Białystok 2006); skrypt *Rosyjska literatura „przywrócona” i najnowsza. Wypisy* (Białystok 1998); współautorka *Słownika pisarzy rosyjskich* (Warszawa 1994). Redaktorka serii naukowej *Satyra w literaturach wschodniosłowiańskich* (t. I: 1993, t. II: 1998, t. III: 1999, t. IV: 2000, t. V: 2002, t. VI: 2005, t. VII: 2008). Pełnione funkcje: 1990–1996 (dwie kadencje) prodziekan Wydziału Humanistycznego FUW, od 2008 do 2016 roku (druga kadencja) dyrektor Instytutu Filologii Wschodniosłowiańskiej UwB, przewodnicząca literaturoznawczej Komisji Doktorskiej.

Odnaczenia – Złoty Krzyż Zasługi w 2004 roku. Mieszka w Białymstoku.



Z HISTORII FILOLOGII ROSYJSKIEJ

Pani Profesor, chciałem poprosić o wspomnienia związane z tym, co działo się tutaj, w budynku przy Placu NZS-u. Proszę opowiedzieć o tym, co budzi w Pani pozytywne wspomnienia i uśmiech na twarzy.

Prof. Wanda Supa:

Rozpoczęłam pracę jeszcze na Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku 1 października 1979 roku. Wtedy pracowało się na to, żeby istniał konkretny kierunek i żeby sama Filia mogła się przekształcić w samodzielną uczelnię. Z dużym sentymentem wspominam ten okres, kiedy Wydział Humanistyczny tworzyliśmy jeszcze z kierunkiem historii i kiedy miał siedzibę przy ulicy Świerkowej. To było bardzo ładne otoczenie, właściwie lepiej się tam pracowało niż w budynku, w którym znajdujemy się obecnie. Chociaż było bardzo ciasno. Przeniesienie się na obecny Plac NZS-u było oczywiście konieczne: trochę na tym przeniesieniu zyskaliśmy, trochę straciliśmy. Straciliśmy na pewno ciszę, bo tu jest znacznie głośniejsze. Budynek ten wywalczyli niejako studenci. Początkowo samorząd studencki był bardzo zadowolony, że mamy takie reprezentacyjne miejsce do dyspozycji. Później się okazało, że jest w nim mało średnich sal wykładowych, za to dużo pomieszczeń nadających się na gabinety i kilka dużych sal, między innymi aula, która do tej pory jest wykorzystywana do specyficznych celów. W kolejnych latach pojawiły się nowe kierunki oraz rozrastały się te, które istniały wcześniej. Na sąsiednim wydziale otwarto socjologię. Na Wydziale Filologicznym z czasem też przybywało specjalności. Dlatego dziś jest tu równie ciasno jak na Świerkowej, tyle że znajdujemy się w centrum miasta.

A studenci? Studentów na naszym kierunku od początku mieliśmy bardzo ciekawych. Pamięta się oczywiście tych najbardziej zdolnych, część z nich zresztą została zatrudniona na Uczelni. Pamiętam również takich, którzy sprawiali kłopoty, ale były to kłopoty możliwe do opanowania. Częściej musieliśmy się z nimi spotykać na rozmowy lub umawiać na egzaminy.

Filologia rosyjska jest kierunkiem, dla którego ważne są kontakty zagraniczne, żeby doskonalić język, poznawać realia krajów, w których danym językiem się mówi. Dla rusycystów bardzo ciekawą sprawą jest na przykład organizowanie takich konferencji naukowych, na które przyjeżdża wielu gości zagranicznych, głównie ze Wschodu. Zdarzało się, że odwiedzali nas bardzo ciekawi uczeni z dużym dorobkiem, również sławiści zachodni. W czasach socjalistycznych studenci naszego kierunku wyjeżdżali na cały semestr w ramach podpisanej umowy do Moskwy, do Instytutu im. A. Puszkina, instytucji ukierunkowanej na pracę z cudzoziemcami. Przeby-

wali tam w zasadzie studenci i wykładowcy z całego świata, ale najwięcej osób przybywało z krajów socjalistycznych i Bliskiego Wschodu.

Miałam okazję uczestniczyć w wielu konferencjach, odbywających się na terenie Rosji i innych byłych republik radzieckich. Wyjazdy, zwłaszcza w głąb Rosji, niekoniecznie do stolic, robią wielkie wrażenie, ponieważ można się tam zetknąć z autentyczną historią, z tym, co niejako stanowi o sensie, chciałoby się powiedzieć, duszy rosyjskiej, mentalności naszych wschodnich sąsiadów. Największe wrażenie zrobiły na mnie rozległe przestrzenie, których w Polsce i Europie Zachodniej już nie ma. Niezapomniane wrażenie wywołują też bezpośrednie kontakty z kulturą, zwłaszcza ze wspaniałymi teatrami, baletem, muzyką. Poza tym miałam okazję zetknąć się za granicą ze studentami, na przykład z Uniwersytetu w Stawropolu czy Nowoczerkasku (na Kaukazie). Są oni podobni do naszych studentów, ale mają nieco inne zainteresowania.

W pracy chyba każdego wykładowcy, pracownika dydaktyczno-naukowego ważne jest przede wszystkim zdobywanie kolejnych awansów. Rozpoczęłam pracę na naszym Uniwersytecie już z doktoratem, ale od razu trzeba było rozpocząć pracę nad habilitacją, ponieważ byli potrzebni pracownicy z tym stopniem. Pamiętam, że większy kłopot niż napisanie rozprawy sprawiło mi jej przepisanie, żeby oddać książkę do wydawnictwa. Niestety, były to czasy maszyn do pisania, a ja musiałam przepisać tekst dysertacji na maszynie z czcionką rosyjską, trzeba było pisać w specjalnych ramkach, więc nastroczało to dużo trudności technicznych, a pomyłka groziła tym, że stronę trzeba było przepisywać od nowa. Obecnie w dobie komputerów trudno to sobie wyobrazić.

Jak Pani ocenia rozwój filologii rosyjskiej?

Filologie obce intensywnie się rozwijają, zwłaszcza pod względem naukowym. Kiedy zaczynałam pracę, na Filii nie było jeszcze wystarczającej liczby pracowników samodzielnych, zwłaszcza zamieszkałych w Białymstoku. Na nasz kierunek przyjeżdżało wiele osób z Warszawy, żeby na przykład prowadzić seminaria magisterskie. Był taki okres, kiedy przyjeżdżał profesor T. Szyszko, profesor A. Semczuk, profesor H. Milejowska. Rozwój białostockiej kadry następował systematycznie. Był okres, kiedy w naszym Instytucie pracowało jedenastu samodzielnych pracowników różnych specjalności. Oczywiście, z roku na rok wzrastała liczba naszych publikacji naukowych, zwłaszcza rozdziałów w monografiach zbiorowych bądź artykułów w czasopiśmie, ale również w postaci monografii autorskich.

Jeżeli chodzi na przykład o literaturoznawstwo, to wciąż się poszerza zakres penetracji zjawisk literackich. Tym bardziej, że zmiany ustrojowe,

konkretnie zmiana polityki kulturalnej w Rosji, spowodowały napływ całej lawiny tekstów literackich, które albo długo nie były drukowane w ogóle, albo tylko na Zachodzie. A były to często teksty bardzo wartościowe i one również stały się przedmiotem naszych badań. Literaturoznawstwo rosyjskie też przeszło swojego rodzaju ewolucję, może się rozwijać bez ograniczeń. Literatura i język rosyjski to coś takiego, czym z pewnością warto się zainteresować. Nawet niespecjaliści często czytają klasykę rosyjską lub utwory współczesne, powiedzmy, teksty Michaiła Bułhakowa czy Wieniedikta Jerofiejewa i zachwycają się nimi. Żal tylko, że dożyliśmy takich czasów, kiedy coraz mniej osób chce czytać. I studenci wszystkich filologii nie zawsze chętnie czytają powieści, jeżeli mogą, wybierają ich streszczenia. Naturalnie, próbujemy do tego nie dopuścić, ale żyjemy w czasach dominacji kultury wizualnej.

Pani Profesor, czy relacja uczeń – mistrz jest ważna dla rusycystów? Czy powinna być kultywowana?

Jest kultywowana. Studenci zawsze cenili i nadal cenią tych wykładowców, którzy mają dużą wiedzę i potrafią tę wiedzę w sposób przystępny przekazać, są otwarci na ich problemy, okazują im życzliwość. Także etos mistrza jak najbardziej jeszcze funkcjonuje. Teraz jest on „wyliczany” niejako matematycznie, ponieważ studenci wypełniają ankiety, oceniają pracę wszystkich pracowników, więc wiadomo, kogo mniej bądź bardziej cenią, a kogo w ogóle.

Białostocka rusycystyka promieniuje na miasto i region?

Staramy się, by nasza obecność była widoczna, chociaż możliwości mamy dosyć specyficzne, ponieważ popularyzujemy obcą, w Polsce nie zawsze odbieraną przyjaźnie, kulturę. W Instytucie bardzo żywe są związki z naszymi najbliższymi sąsiadami, z Białorusinami, mimo że nie udało nam się utrzymać białorutenistyki jako kierunku ze względu na nikłe zainteresowanie absolwentów szkół średnich tym kierunkiem. Chętnie współpracujemy z każdą instytucją, która jest zainteresowana kulturą rosyjską czy białoruską. Swego czasu współpracowałam z wydawnictwem Łuk, które postawiło sobie ambitny cel tłumaczenia i klasyki i rosyjskiej literatury współczesnej na język polski. Współpracujemy ze Stowarzyszeniem Współpracy Polska – Wschód, z Rosyjskim Stowarzyszeniem Kulturalno-Oświatowym oraz ze szkołami. Bierzymy udział w organizacji różnego rodzaju imprez kulturalnych, obejmujemy patronatem przedsięwzięcia organizowane przez szkoły (głównie średnie) regionu. Osobiście zorganizowałam trzy konkursy piosenki rosyjskiej, na które zapraszaliśmy studentów ze wszystkich uczelni białostockich

oraz z regionu i z zagranicy, a także laureatów Wojewódzkiego Konkursu Piosenki Rosyjskiej organizowanego przez XI LO w Białymstoku. I były to bardzo przyjemne imprezy, ponieważ uczestnicy mogli wzbogacić swoje umiejętności, nauczyć się czegoś nowego, nawiązać kontakty ze studentami z innych uczelni. Pracownicy Instytutu regularnie organizują spotkania z pisarzami, wieczory i poranki poetyckie z udziałem studentów. W ostatnich latach prężnie działa studencki teatrzyk. Na wymienione wyżej imprezy mogą przychodzić wszyscy mieszkańcy Białegostoku. Zainteresowani jesteśmy również kulturą białoruską tworzoną tutaj, bo, jak wiadomo, istnieje bardzo prężna grupa pisarzy ze stowarzyszenia „Białowieża”. Organizujemy konferencje poświęcone badaniu tego zjawiska.

Pani Profesor, jaką przyszłość wróży Pani humanistyce?

Humanistyka musi się zmieniać i się zmienia. Na początku byliśmy ukierunkowani na kształcenie nauczycieli, ponieważ były jeszcze takie potrzeby. Później musieliśmy się przestawić na przygotowywanie studentów do innych zawodów, zmodyfikować program tak, aby student znał języki specjalistyczne, na przykład język biznesu, turystyki, prawa, medycyny i drugi język obcy. Oczywiście monitorujemy to, gdzie znajdują pracę nasi studenci. Wiadomo, że między innymi trafiają do służb celnych, do firm handlowych i spedycyjnych, do szkół oczywiście też, ale w szkołach rosyjski nie jest przecież obowiązkowy. Studenci mają też w programie przedmioty z zakresu przestrzegania prawa, tak żeby mogli prowadzić własną działalność biznesową. I nasi absolwenci na przykład dobrze sobie radzą jako właściciele czy współpracownicy biur podróży. Oczywiście, nie wszyscy pracują w zawodzie. W ostatnich latach są organizowane spotkania z pracodawcami. Dużym zainteresowaniem cieszy się nasza specjalizacja język biznesu, a na drugim stopniu studiów niedawno wprowadziliśmy specjalizację przekładoznawstwa, bo było takie zapotrzebowanie ze strony studentów. Dziś każdy kierunek musi badać rynek, jego potrzeby i w miarę szybko na nie reagować. I staramy się to robić. Myślę, że takie i podobne działania zapewnią humanistyce uniwersyteckiej pomyślną przyszłość. Oczywiście, dla dobrego funkcjonowania kierunku niezbędne są też badania naukowe, prowadzone przez specjalistów danego kierunku.

Warto studiować rusycystykę w Białymstoku? Może ze względu na atmosferę, na wyjątkowy klimat? Pani Profesor się uśmiecha, mierzam w dobrą stronę...?

Tak. Filologia rosyjska to okno na wschód. I nie tylko. Studenci mogą się zapoznać z bardzo pięknym, bogatym językiem, ze wspaniałą literaturą i fi-

lozofią naszych wschodnich sąsiadów. Mogą rozwijać wielotorowo własną osobowość, ponieważ mają możliwość uczestniczenia w różnego rodzaju konkursach, na przykład poetyckich, piosenkarskich, wiedzy o Rosji. Mogą też drukować własne teksty literackie, własną twórczość, jeżeli ją uprawiają. W trakcie studiów mogą wyjeżdżać za granicę, na przykład do Moskwy, na Litwę i Łotwę, na Węgry. Krótko mówiąc, studiując na naszym kierunku młodzi ludzie mogą spędzić pożytecznie, ciekawie i przyjemnie pięć, a nawet dziewięć (studia doktoranckie) lat życia.

Czego Pani Profesor życzyłaby filologii rosyjskiej, Wydziałowi Filologicznemu na następne lata funkcjonowania?

Po pierwsze, genialnych rozpraw naukowych, wyjaśniających kluczowe kwestie literaturoznawcze i językoznawcze. Młodym pracownikom naszego Wydziału życzę doskonałych habilitacji i doktoratów, szybkich awansów. No i chętnych do nauki studentów.

A czego życzyłaby Pani sobie?

Mnie już zostało niewiele lat pracy. Muszę jeszcze dokończyć te prace badawcze, które są już na zaawansowanym poziomie. Chciałabym także, żeby utrzymały się dobre relacje między studentami a pracownikami. To jest najważniejsze.

Dziękuję za rozmowę.

Gmach dawnej Biblioteki Uniwersyteckiej im. J. Giedroycia. Obecnie siedziba Książnicy Podlaskiej im. Łukasza Górnickiego (od 2015 roku)



Wacław SZERSZUNOWICZ

– dr nauk humanistycznych (ur. 16 grudnia 1935 roku w Brzezynie).
Wykształcenie wyższe: magisterium na Uniwersytecie Warszawskim,
Wydziale Filologii Polskiej i Słowiańskiej, doktorat w Instytucie Sło-
wianoznawstwa Polskiej Akademii Nauk na temat tłumaczeń poezji
wschodniosłowiańskich dokonanych przez Kazimierza Andrzeja Ja-
worskiego.

Przebieg pracy: w 1953 roku nauczyciel Szkoły Państwowej w Zubrach
przez pięć lat, następnie nauczyciel Szkoły Podstawowej w Białymstoku,
ul. Lipowa, z kolei przez dziesięć lat nauczyciel w Zespole Szkół Spo-
żywczych w Białymstoku, później Filia Uniwersytetu Warszawskiego
w Białymstoku, zatrudniony w Zakładzie Filologii Rosyjskiej. Następnie
Uniwersytet w Białymstoku aż do przejścia na emeryturę.

Pracując, równocześnie od roku 1993 prowadził prywatną szkołę police-
alną w systemie zaocznym w zawodzie m. in. technik hotelarstwa, ob-
sługi turystyki, gastronomii, agrobiznesu i informatyki. Należał do ZNP,
uczestniczył w spotkaniach organizowanych przez stowarzyszenie Civi-
tas Christiana. Ponadto prowadził działalność usługową, m. in. tłuma-
czenia na bieżąco wykładów, rozmów oraz usług zaopatrzenia w wodę
lokalnych farmerów, sadowników i plantatorów. Najdłużej współpraco-
wał z Towarzystwem Wiedzy Powszechnej w Białymstoku.

Zainteresowania: przekładoznawstwo, tłumaczenia tekstów fachowych,
dokumentów, tekstów reklamy. Z dziedziny tłumaczenia tekstów li-
terackich i inskrypcji nagrobnych opublikował 60 artykułów, rozpraw
i recenzji. Jest ojcem trojga udanych dzieci – Piotra, Joanny i Anny oraz
dziadkiem trójki wnuków: Jana, Szymona i Julii.

Mieszka w Białymstoku.



W ZAWODZIE NAUCZYCIELA I WYKŁADOWCY

Panie Doktorze, zajmował się Pan w życiu różnymi rzeczami. Był między innymi nauczycielem w Technikum Spożywczym, wykładowcą uniwersyteckim oraz właścicielem firmy. Dużo pracy, a więc i dużo wspomnień, także związanych z białostocką humanistyką?..

Dr Wacław Szerszunowicz:

Tak, tych wspomnień jest sporo. W zawodzie nauczyciela jestem niedługo, jakieś 64 lata. W szkole średniej nie chciałem wstąpić do Związku Młodzieży Polskiej i potraktowano mnie jak wroga narodu. Musiałem opuścić szkołę i zostać nauczycielem wiejskim. Kwalifikacje zdobywałem zaocznie i w czynie społecznym budowałem szkoły, a potem awansowałem do Białegostoku do szkoły podstawowej, gdzie przepracowałem 5 lat. Następne 10 lat przepracowałem w Zespole Szkół Spożywczych, tam było Technikum Spożywcze i Szkoła Zasadnicza. W międzyczasie skończyłem studia, rozpocząłem doktorat. Tytuł mojej pracy magisterskiej brzmiał Poezja rosyjska w tłumaczeniu Kazimierza Andrzeja Jaworskiego. Promotorowi tak spodobała się moja dysertacja (on pracował w Akademii Nauk i na Uniwersytecie Warszawskim), że zaproponował mi studia doktoranckie, które dotyczyły inskrypcji nagrobnych na cmentarzach na Białostocczyźnie. Powstała bardzo ambitna praca (pod opieką prof. Bazylego Białokozowicza z Polskiej Akademii Nauk), doktorat był z przekładoznawstwa, natomiast habilitacji nie napisałem, bo miałem żonę, trójkę dzieci, trudności materialne. Trzeba było zająć się zarabianiem w bardzo dziwny sposób. Groził mi wózek inwalidzki, musiałem pracować fizycznie, na przykład przy podwieszanych sufitych, przy wierceniu studni głębinowych. Kolega się tym zajmował, a ja u niego pracowałem bezpłatnie, później miałem własny zakład. Jak Pan widzi, dzisiaj nie jeżdżę na wózku, jestem sprawny fizycznie.

Opowie Pan, jak się pracowało w Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku?

Studentów było bardzo dużo, a administracja była niewielka. Dziekan przyjeżdżał z Warszawy, prodziekani (swego czasu też byłem prodziekanem) robili wszystko, co trzeba. Studentów było co najmniej trzy razy tyle co obecnie, cztery panie w dziekanacie i wszystko szło sprawnie. Teraz biurokracja tak się rozbudowała, że trzeba oddzielne budynki dla nich budować, studentów malutko, a papierów, komputerów trzykrotnie więcej. To był Zakład Filologii Rosyjskiej Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku, wcześniej Wyższa Szkoła Nauczycielska. Zakład z czasem awansował do postaci Instytutu Filologii Rosyjskiej. Nadbudowa teoretyczno-naukowa wzro-

sła i pięknie się rozwinęła. Byli tutaj bardzo znani profesorowie warszawscy, przyjeżdżali, opiekowali się nami, kadry swojej nie mieliśmy. To był prof. Jerzy Lukszyn, prof. Wiktor Skrunda, prof. Tadeusz Szyszko. Przywozili wieści stołeczne. Z czasem dorobiliśmy się swoich kadr. Dzisiaj dyplom studiów nie daje zatrudnienia, czasy się mocno zmieniły, ale z definicji inteligencji wynika, że jednak studia muszą dostosowywać się do rynku, do zapotrzebowania. Trzeba kształcić takich, którzy są potrzebni. Poloniści tak, ale potrzebni są, w mojej ocenie, i ludzie ze znajomością języka angielskiego, rosyjskiego. Państwa, które tymi językami się posługują, to potęgi gospodarcze i mocarstwowe. Może nie filolodzy stricte, a tłumacze, ludzie, którzy w dziedzinie jakiejś są operatywni. Filolog to człowiek, który ukochał język i literaturę, a życie to nie tylko wierszyki i powieści. Życie to twarda praca, zawody, medycyna, przemysł. Muszą filolodzy nauczyć się i słownictwa, terminologii i trochę tych dziedzin, ponieważ, żeby tłumaczyć, należy znać dziedzinę. Dorabiałem więc jako tłumacz. Są tematy, przy których można pracować bez większego przygotowania, ale jeżeli chodzi o farmację, przemysł drzewny, mięsny – tu już jest trudniej. Filologia współcześnie powinna kształcić tłumaczy, którzy będą przydatni w kontaktach nie tylko z politykami, ale i przedstawicielami handlu, usług itp.

Jak wyglądały tamte lata? Zaczynał Pan pracę jako doktor?

Zacząłem jako magister, w Polskiej Akademii Nauk zrobiłem doktorat, moja praca spodobała się komisji i jako jedyny byłem wytypowany na „zesłanie” do Moskwy. Na koszt państwa byłem 3 miesiące w Moskwie, zbierałem materiały do habilitacji, takie jak historia religii, pochówku, organizacja cmentarzy, obrzędy pogrzebowe, a głównie napisy nagrobne, czyli co po nas zostaje.

A równoległe zajęcia na Filii Uniwersytetu Warszawskiego?

Władze wiedziały, że mam zakład wiercenia studni głębinowych, ale nie protestowały z tego powodu, bo nie chciały, abym zapisał się do „Solidarności”. I chociaż były problemy, wspominam wszystko z rozrzewnieniem. Łezka się w oku kręci, jacy to byli studenci: grzeczni, pracowici, uśmiechnięci. Odrobina łobuzerstwa w nich również była, ale to cecha młodości. Spotykam tych ludzi po latach, nie mijamy się, obejmujemy się jak ojciec z dziećmi. Bardzo lubię tę młodzież. Pracując na uniwersytecie, założyłem policealną szkołę Studium Hotelarstwa i Obsługi Turystyki. Potem poszerzyłem zakres kształcenia o gastronomię, agrobiznes i to trwało 20 lat. Później bardzo mądra minister edukacji narodowej powiedziała, że zamyka te wszystkie szkoły w kraju, nie są potrzebni w Polsce ani kucharze, ani agroturyści, ani

hotelarze, nic nie jest potrzebne. Potrzebny pewnie człowiek niewykształcony. Zamknęła to wszystko, szkoda. W mojej szkole był nauczany dwa lata (w policealnej szkole!) język angielski, niemiecki, francuski i włoski. Część moich absolwentów pracuje we Włoszech, Francji, sporo w Niemczech, Anglii, w Stanach, czasami dostają od nich pocztówki. Na uniwersytecie miałem zajęcia z przekładoznawstwa, czyli translatoryki. Uczyłem, jak tłumaczyć głównie dokument, ale też literaturę. Literatura jest dokumentem epoki nie tak nomen omen, ale jednak pokazuje kierunki, rozwój. Jak tłumaczyć teksty od przyziemnych dokumentów, jak dowód osobisty, świadectwo urodzenia i zgonu, ślubu, wiza czy druk urzędowy, ale i poezję.

Lubił Pan swoje zajęcia?

Tak. Praktycznie absencja nie wchodziła w grę. Dzisiaj to nie jest mocno przestrzegane, studenci są bardziej roszczeniowi, wymagający. Prawdą jest, że dyplom nie zapewnia pracy, wiedza nie otwiera wielu drzwi, ale wiedzę trzeba dostosować do nowych realiów. Programy filologiczne są mało przydatne w praktyce, absolwent polonistyki, rusycystyki czy anglistyki tłumaczem nie jest, a szkoda.

Czym się różniła tamta edukacja od obecnej?

Wtedy potrzebny był nauczyciel języka rosyjskiego, ponieważ rosyjski był w szkole podstawowej, średniej, zawodowej i technikach. Lektorat z języka rosyjskiego był też na studiach. Było zapotrzebowane i ludzie po filologii rosyjskiej mieli pracę. Dzisiaj takiego obowiązku nie ma, w programie nie ma nauczania języka rosyjskiego. Kształcenie powinno iść nie ku nauczaniu języka jako lektoratu, lecz jako usługa językowa w różnych dziedzinach przemysłu, kultury, techniki, sztuki czy nauki.

W 2001 roku zakończył Pan pracę na Uniwersytecie. Czy nie brakowało Panu później zajęć ze studentami?

Zaczął brakować mi czasu. Mam 83 lata i muszę się umawiać, żeby być słownym. Jestem bardzo aktywnym człowiekiem, przy ul. Warszawskiej 2 prowadziłem szkołę dla dorosłych. Każdy, jak odchodzi, to czuje tęsknotę, więc gdybym nie był tak zajęty, też bym ją odczuwał. Jak zostawiałem pracę na wsi, gdzie pracowałem pięć lat i budowałem szkołę w czynnie społecznym, to więcej płakałem. Po uniwersytecie łez nie było, ale tęsknota pozostała i szacunek do uczelni. Pomimo dużego dostępu do środków, spłycone są badania, Internet nie zmusza do chodzenia do bibliotek, oglądania oryginałów, notowania, zapamiętywania. Nie oceniam tego najlepiej. My wtedy przede wszystkim kształciliśmy nauczycieli. Mając 5 lat do czynienia ze szko-

łą podstawową na wsi, 10 lat doświadczenia w szkole średniej w mieście, starałem się uczyć nauczyciela, który zainteresuje przedmiotem i nauczycy.

Nie jest łatwo uczyć języka rosyjskiego w kraju, w którym stosunek do Rosji zawsze był ambiwalentny. Aby zainteresować, trzeba dużo się napracować, jakiś żart powiedzieć, piosenkę zaśpiewać, ciekawy epizodzik przedstawić.

Pamiętam pewną sytuację: dorabiałem jako tłumacz i kiedyś pojechałem do jednej z gmin na terenie województwa białostockiego z towarzyszami radzieckimi. To było zima, o 11.00 mieliśmy jechać na polowanie, stoły zastawione, jedzenie, napoje. Chciałem tłumaczyć, a sekretarz gminny partii mówi, że on zna ruski (nie rosyjski). Myślę: Bóg z tobą. Po półtorej godziny, kiedy wszyscy dobrze zjedli i popili, on postukał widelczykiem, zrobiło się cicho i mówi: Nu towarzyszczi, pojeli, popili, ubirajties, pojedem na ochotu. Faceci więc wstali, wzięli czapki i palta i wyszli. Ubiratsa po rosyjsku to wynocha, a należało powiedzieć odiewajties. Przedstawiciele delegacji tak się obrazili, że kiedy tłumaczyliśmy im, że to lapsus, że sekretarz się pomylił, stwierdzili tylko, że my, Polacy, wszystko dobrze wiemy i zrobiliśmy to specjalnie. Nie było polowania, wróciliśmy do Białegostoku, sekretarz zdeenerwowany, Rosjanie nie chcieli z nim rozmawiać i odjechali swoją wołgą.

Tłumacz to odpowiedzialna praca. Opowiem jeszcze jedną historię. Jeżdżę po całej Polsce z profesorem filozofii z Ułan Bator przez dwa tygodnie. Od 9.00 do 11.00 miał wykład, potem siedzimy w hotelu, on opowiada o sobie, ja o sobie. Kiedy odjeżdżał, doradziłem mu kupno synom polskich jeansów. Żonie poradziłem kupno pięknej torebki robionej na Podkarpaciu, a on mi mówi, że jeśli on jej przywiezie prezent, to synowie nie podadzą mu do śmierci ręki za to, że się tak zniżył i przywiózł żonie prezent. Tłumaczyłem, że jest profesorem filozofii, kulturalnym człowiekiem. Powiedział, że nasz kraj jest zwariowany i na tle kobiety mamy hopla. 26 maja jest uroczyste zakończenie jego pobytu w Akademii Medycznej. Jest piękna kurtyna i napis „Dzień Matki”. Siedzimy w pierwszym rzędzie, ja jako tłumacz, centralne obchody. On się nie odzywa, pytam, co się stało, a on odpowiada: jak następnym razem zaprosicie, przyjadę natychmiast, bo zapewne na kurtynie będzie napisane „Dzień Małego Palca Kobiety”. Jak wam nie wstyd, Dzień Matki, po rosyjsku matka to macica. Racja, to zbieżność słów. Tak samo jest z francuskim, angielskim. W naszym języku słowo brzmi tak samo, a w innym zupełnie co innego znaczy.

Z Pragi chcieliśmy odwołać dziennikarza Mieczysława Szukałę, lecz czescy dziennikarze zaprotestowali. „Szukać” po czesku to „pieprzyć”, więc za każdym razem, gdy Czesi słyszeli słowa: „Z Pragi do Was mówi Mieczysław Szukała”, sytuacja stawała się wesoła. I dlatego powiedzieli nam: „Zostawcie tego wesołego dziennikarza”.

Kiedy Pan pracował na uczelni, przyjeżdżali do Białegostoku profesoremie z Warszawy – ci niepokorni, oddelegowani z Warszawy za karę...

Tak, przyjeżdżali. I bardzo dobrze układały nam się z nimi stosunki, dobra była współpraca, przyjeżdżali bardzo ciekawi ludzie, chociażby profesoremie takiej miary, jak Andrzej Makowiecki, Marian Jurkowski, Józef Wierchowowski i wielu innych. Politycy nie byli tak mocno rozgarnięci, nie grzeszyli przesadną inteligencją, można było z nimi wytrzymać. Dziś bardzo wysoko cenię sobie prywatne rozmowy z profesorem Piotrem Wróblewskim, Mariannem Jurkowskim i Józefem Wierchowowskim. Przy ul. Świerkowej był wspólny wydział, była też historia, gdzie wykładali profesorowie tej miary, co Stefan Meller, Andrzej Wyczański, ciekawi ludzie, bardzo życzliwi. Studenci byli fajni. Myślę, że dzisiaj też tak jest, tylko obecnie bardzo trudno jest wykładowcy to towarzystwo porwać, zainteresować, formować charakter.

Znalazłem na stronie internetowej Uniwersytetu w Białymstoku taki oto fragment: „U progu lat 90-tych, przy Zakładzie Filologii Rosyjskiej, powstało Studium Bibliotekarskie pod kierownictwem dra Szerszunowicza”.

Sprawna biblioteka to dobry kontakt z użytkownikiem. Przychodzi student, a bibliotekarz, który ma wiedzę potrzebną do tej pracy, może mu doradzić, wskazać, podpowiedzieć, nawet coś skserować. Widziałem taką potrzebę, w szkołach z reguły w bibliotece pracował albo nauczyciel emeryt, albo osoba, którą było szkoda zwolnić. A to jest warsztat wiedzy ucznia czy studenta. Czuję potrzebę, żeby tam pracowali bibliotekarze. Obecnie na polonistyce, gdybyśmy byli dwujęzyczni, angielsko-polscy, byłoby o wiele łatwiej o studenta z zagranicy. W Akademii Medycznej jest tak do dzisiaj, że ci, którzy są na emeryturze, a władają angielskim, mają godziny, a dobrzy specjaliści, którzy nie władają angielskim, godzin nie mają. Dlatego polonistyka do samej polonistyki ograniczać się nie może, na przykład hiszpański jest szeroko potrzebny na świecie, niemiecki i rosyjski powinni Polacy znać. Jak się bibliotekoznawstwo organizowało, to był tylko dr Jan Jakubowski, dyrektor naszej biblioteki. Z tej branży prawie nie było doktorów, nie mówiąc już o habilitacji czy profesurze.

Jak Państwo zdobywaliście wtedy książki? Mieliście na to pieniądze?

Pan lubi żartować. Dobrze, że Fenicjanie wymyślili pieniądze, tylko że mało ich wymyślili, zawsze ich brakuje. Tym bardziej, że sprawujący władzę nigdy nie widzą potrzeb dotyczących biblioteki, literatury, poezji czy nauk ściśle humanistycznych. Ich bardziej gospodarka przygniata, handel, eksport, import, niemniej do upartych świat należy. Tę przypadłość mam do dnia dzisiejszego i mogę się panu pochwalić, że czasami w antykwariatach

za parę złotych można znaleźć cenne dokumenty, ale to wymaga chodzenia i szukania.

Panie Doktorze, czego by Pan dzisiaj życzył białostockiej humanistyce?

Ona musi dostosować się do potrzeb czasu, epoki. Są wspaniali pracownicy, wspaniali ludzie, można tylko się cieszyć, więc życzę im, żeby mieli dużo roboty, żeby musieli organizować egzaminy wstępne, żeby musieli przeprowadzać selekcję. Życzę, żeby było w miarę dużo studentów. Chociaż może to dobrze, że jest mało, może przez to zyskuje się zupełnie inną nobilitację? Może trzeba pójść w jakość? Z pewnością model kształcenia powinien być dostosowany do potrzeb. Z tym, że problem jest jednak na górze. Ramy godzinowe idą z góry. Nic bym nie zmienił, bo góry nie da się zmienić. Mojżesz poszedł do góry, a nie góra do niego. Góra nie jest bez grzechu, mam na myśli poziom ministerialny. Chociażby zamknięcie zasadniczych szkół zawodowych to było działanie antypolskie. Nie mamy szewców, nie mamy krawców, spawaczy, bo tego w technikach się nie uczy. Technika mają narzucony program, gdzie uczy się teorii na ten temat, ale praktyk nie ma, jak w zasadniczych szkołach zawodowych. To były najwspanialsze tradycje zakonników polskich, którzy uczyli rzemiosła i te szkoły zlikwidowało ministerstwo.

Czy wciąż utrzymuje Pan kontakty z Uniwersytetem? Zagląda Pan od czasu do czasu do budynku w centrum miasta?

W tym budynku pracowałem. Pamiętam, jak go obejmowaliśmy. Wtedy wszyscy szybko wybierali sobie pokoje. A mi co zostało? Pokój na parterze na samym końcu po prawej stronie, nr 13. Tam była kasa partyjna. A wracając do Pana pytania: dziś kontaktów specjalnie nie mam, bo przyszło nowe pokolenie i nowe myślenie. Młodzieży nie warto przeszkadzać. Młodzież jest internetowa. Teraz jest łatwe zdobywanie informacji, która nie zostaje w nas zbyt długo. Nas uczyli tabliczki mnożenia. Czasami jak jestem w sklepie, to w pamięci wszystko szybciej policzę niż pani na kasie. Nas uczyli dużo na pamięć, wam nic nie trzeba, wszystko jest w zabawkach elektronicznych. Ale niech się młodzież rozwija.

Panie Doktorze, a czego życzyć Panu?

Żeby Pan Bóg był łaskawy i nie spieszył się z ostatecznymi decyzjami. Mnie na życiu za bardzo nie zależy, ale – skoro trzeba – to ja mogę i 120 lat wytrzymać na tym świecie, bo Pan Bóg, tworząc go, był z pewnością w dobrym nastroju i gust miał wspaniały.

Dziękuję za rozmowę.

Janusz TARANIEŃKO

– mgr; polonista, teoretyk literatury i krytyk literacki, poeta; studia na Uniwersytecie Warszawskim (dyplom 1977). W latach 1977–1987 asystent na polonistyce w Filii UW w Białymstoku.

Debiutował jako krytyk literacki w 1976 roku na łamach „Poezji”, z kolei zaś jako poeta w 1977 w tygodniku „ITD.”. Ma w swoim dorobku ponad 130 publikacji literackich, krytycznych i publicystycznych (recenzje, eseje, szkice, redakcje, publicystyka kulturalna, omówienia radiowe).

W ostatnich latach publikował w internetowej „szAFie”, na portalu „pi-sarze.pl” oraz w gdańskim kwartalniku literackim „Migotania”. Bywa obecny na antenie Polskiego Radia Białystok i w białostockim wydaniu „Gazety Wyborczej”. Współredaguje dział literatury w wydawanym przez Uniwersytet w Białymstoku „Nie - regularniku Filologicznym *Próby*”; uczestniczy w pracach redakcyjnych serii literackiej uniwersyteckiego wydawnictwa *Białostocka Kolekcja Filologiczna*. W roku 2015 zainicjował publikację serii *Podlaskie Prezentacje Poetyckie*.

Wydął tom Wiesława Szymborskiego *Literatura i radio* (wraz z Dorotą Sokołowską, Białystok 2014).

Jego tom wierszy *Przeszłości* uzyskał nominację w XXV edycji nagrody Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego na najlepszą książkę roku 2015.



POLITYKA, TEORIA, POEZJA...

Panie Januszu, jak się zaczęła Pana przygoda z białostocką polonistyką? Bo na pewno była to – i wciąż jest – przygoda...

Janusz Taranienko:

O polonistyce mógłbym dobre dwa dni opowiadać i pewnie bym nie skończył! I to zdecydowanie więcej, niż przygoda. To kawał życia – bo czterdzieści lat! Ale o początkach mego związku z białostocką polonistyką – bardzo proszę, z przyjemnością.

Jestem białostoczaninem; tu się urodziłem. W 1972 roku zrobiłem maturę w III LO, zdałem na warszawską polonistykę w UW. A chciałem studiować ją po to, by później pójść na reżyserię teatralną; ta, z kolei, była wtedy studiami drugiego stopnia, po dowolnym magisterium, a polonistykę rozumiałem wtedy, i chyba słusznie, jako studia najbardziej wszechstronne humanistyczne. Bo teatr był i jest moją miłością. Życie jest teatrem... Natomiast wyszło tak, jak wyszło: reżyserii nawet nie zacząłem, ponieważ na ostatnich latach studiów, a były one wtedy pięcioletnie, zaczęły się pojawiać możliwości, plany, że mógłbym zostać asystentem na polonistyce białostockiej.

Jakie to były lata?

W 1977 roku obroniłem magisterium i można powiedzieć, że rok wcześniej podjąłem kroki, by zostać zatrudniony na białostockiej Filii UW. Wtedy nie było takiej blokady etatów jak dziś. Pojawiały się – dla młodych, zdolnych. Chyba wówczas do takich należałem... Perspektywa pracy na uczelni interesowała mnie. Na czwartym roku ożeniłem się z olsztynianką studiującą psychologię. Studia kończyliśmy razem. Pojawiła się opcja, że również i żonie, Ewie, uda się dostać pracę na Filii, na Wydziale Pedagogiki i Psychologii. Było to niezwykle obiecujące dla młodych ludzi, którzy mieli naukowe aspiracje. Istotny jest również fakt, że moi rodzice mieli dom w Białymstoku i istniała możliwość adaptacji strychu. Wszystko to razem było ogromną zachętą: bo była szansa na atrakcyjną pracę i na mieszkanie. Czyli na to, co jest najważniejsze dla młodych „na starcie”. Obojgu nam udało się zostać asystentami; przystosowaliśmy mieszkanie ze strychu... Super, prawda? Zajmowałem się teorią literatury i poetyką jeszcze podczas studiów, z tego pisałem magisterium i zawsze w tę stronę mnie ciągnęło; zresztą: zostało to do dziś. Zacząłem się również parać krytyką literacką: na czwartym roku (1976) debiutowałem recenzją w „Poezji” – czyli 40-lecie mojego debiutu, „pracy twórczej”, jak się to dziś mówi, minęło we wrześniu 2016. Pisałem też wiersze. Jako tak zwany poeta debiutowałem w styczniu 1977 roku w „ITD”. Wracając po studiach do Białegostoku miałem na swoim

koncie już kilkanaście publikacji w pismach krajowych, takich jak „Poezja”, „ITD”, „Nowy Wyraz”, „Nowy Medyk”, „Miesięcznik Literacki” – i w innych okazjonalnych. Były to głównie publikacje krytyczne, też i z gatunku publicystyki kulturalnej, może ze dwie poetyckie. Będąc już w Białymstoku nadal uprawiałem krytykę, współpracując z pismami warszawskimi: głównie pisywałem recenzje z tomików poetyckich, szkice, czasem większe eseje. I swoje prace krytyczne opierałem na zdobyczach wiedzy właśnie z zakresu poetyki i teorii literatury – dlatego opowiadam o tym swoim uprawianiu krytyki w kontekście Pana pytania o uczelnię. Bo moje publikowanie miało związek z dydaktyką i z nauką, z ogólnym pojmowaniem literatury. Na uczelni prowadziłem przedmioty teoretycznoliterackie i one właśnie stanowiły podstawę, jakby bazę prac krytycznych. Inaczej niż na przykład u Waldka Smaszcza (wówczas starszego kolegi z Instytutu), który również widział i widzi bazę krytyki w nauce – ale on uprawia krytykę literacką opartą na innej dyscyplinie literaturoznawstwa, bo na historii literatury. Ja – na teorii. Poszukiwałem odpowiedzi na pytanie zasadnicze, ogólne, stawiane z perspektywy estetyki jako dziedziny filozofii – a teorię literatury pojmowałem jako dziedzinę nauki zależną od ustaleń estetyki. Więc taką sobie zależność, czy „drabinkę” nadrzędności, zbudowałem: filozofia – estetyka – teoria literatury. O jakich „pytaniach zasadniczych” mówię? Na przykład o takich: „co to jest (tj. na czym polega) poezja – czy literatura w ogólności?”, „jakie są jej wyznaczniki – to jest jakie są kryteria, które pozwalają odróżnić tekst literacki od zwykłego komunikatu językowego?”. I tu nie interesowały mnie dociekania i uwarunkowania, konteksty historycznoliterackie, biograficzne czy domniemywane psychologiczne, rozmaicie pojmowane konteksty socjologiczne – w gruncie rzeczy wszystkie one są zewnętrzne wobec utworu, tekstu. Jasne, że rozumiem wagę refleksji nad wpływami wcześniejszych twórców lub środowiska rówieśnego na autora danego dzieła – i, po drugiej stronie diachronii historycznoliterackiej – badanie oddziaływania tegoż dzieła (czy autora) na potomnych. Ale takie perspektywy, i historyczna, i heterocentryczna (w sensie analiz wpływów czynników zewnętrznych wobec dzieła), były i są poza moim zainteresowaniem. Zawsze patrzyłem i patrzę na literaturę ergocentrycznie, jak na sztukę „samą w sobie”, na wysoko zorganizowany twór językowy. Jakby „strukturalnie”, można powiedzieć. Czy „poststrukturalnie”...

Nawiasem mówiąc: dzisiaj krytyka literacka, jak myślę, wygląda już inaczej, bardziej przypomina dziennikarskie omówienie niż analizę i interpretację (by o wartościowaniu nie wspominać); dziś ta „niby-krytyka” w większości prasowych czy internetowych publikacji abstrahuje zarówno od perspektywy immanentnej, jak i rozmaicie pojmowanej kontekstowej... Nie bazuje

na nauce; jest bardziej publicystyką – i też impresją. Ale to już jest inna bajka i nie o tym, zapewne, mamy mówić. A ja, tymczasem, i tak zaprezentowałem Panu swoje „credo immanentysty”, a nie o to Pan przecież pytał...

Jaki wyglądał początek Pana pracy?

W 1977 roku na Filii UW był Wydział Humanistyczny; w jego strukturze istniał Instytut Filologii Polskiej, Instytut Historii, chyba Zakład Filologii Rosyjskiej i zakład – a może katedra? – związany z filozofią – o ile pamiętam o nazwie Logiki, Filozofii i Metodologii Nauk (którym kierował pan prof. Witold Marciszewski, pierwszy rektor uczelni wybrany demokratycznie po powstaniu „Solidarności” w 1980 roku – którego rektorowanie trwało tylko do czasu ogłoszenia stanu wojennego). W obrębie mego instytutu, o ile dobrze pamiętam, były dwa zakłady: Literatury Polskiej i Języka Polskiego. Jak mówiłem, zajmowałem się przedmiotami teoretycznoliterackimi, tzn. dydaktykę miałem z tego bloku przedmiotów. Początkowo z poetyki. Później prowadziłem również zajęcia z teorii literatury; w ostatnich latach swojej asystentury także z nowo powstałego przedmiotu – teorii lektury. Na początku mojej pracy nie było wydzielonego zakładu czy też katedry zajmującego się teorią literatury; był tylko zespół ludzi. Pracowały w nim dwie osoby dojeżdżające z Warszawy: dr Elżbieta Feliksiak – dla której białostocka uczelnia była głównym miejscem pracy – i dr Anna Goreń, związana z Instytutem Badań Literackich PAN. Aha: była też przecież Wanda Sadowska, która specjalizowała się w poetyce, w wersologii – pisała doktorat u prof. Lucylli Pszczołowskiej w IBL PAN; obroniła go pewnie w połowie lat 80.! Zespół musiał istnieć, bo w programie nauczania był cały blok przedmiotów teoretycznoliterackich: bodaj w wymiarze 2 lub 3 semestrów poetyki na roku 1. i 2., oraz 2 semestrów teorii literatury na trzecim roku; po nim był całościowy egzamin z teorii literatury. Egzaminowali ci, którzy prowadzili wykłady – więc obie panie doktor na zmianę.

Moim oficjalnym opiekunem stażowym była, nieżyjąca od niedawna, pani profesor Elżbieta Feliksiak (w tamtym czasie tuż po obronie doktoratu). Nawiasem – szczerze mówiąc – naukowo niewiele wynikało z tego „opiekuństwa”... Ale to też inna historia.

Na polonistycę białostockiej doszedłem do stopnia starszego asystenta. Pracowałem tam przez dziesięć lat. Z roczną przerwą, bo w lipcu roku 1979, po dwóch latach asystentury, wzięto mnie do armii. Miałem szczęście, że wyszedłem w końcu czerwca 1980, przed sierpniem...

Ale, z tego co wiem, doktoratu pan nie obronił, prawda?

Fakt, dobrze Pan wie! Miałem problemy z doktoratem, którego ostatecznie

nie napisałem. A raczej problemy z promotorami. Siłą rozpędu chciałem pisać pracę u swego promotora magisterium, prof. Andrzeja Lama z warszawskiej polonistyki. Ale on został właśnie bodaj dyrektorem (czy kimś równie ważnym) na polonistyce warszawskiej i po niespełna dwóch latach moich jazd do Warszawy i z powrotem dał mi do zrozumienia, że nie bardzo jest zainteresowany zajmowaniem się moim naukowym rozwojem. Potem przyszło wojsko – jak już mówiłem. A zaraz potem zaczęła się „solidarka”, w którą byłem bardzo zaangażowany. Po wojsku, chyba w październiku '80 (albo w lutym '81), dostałem semestralny urlop naukowy z delegacją do Pracowni Badań Poetyki Historycznej IBL PAN, gdzie pracowali wybitni poloniści, moi „bogowie” – można powiedzieć: prof. Janusz Sławiński, prof. Michał Głowiński – i inni również. Choć, tak naprawdę, nie pamiętam, czy miałem wtedy urlop – czy po prostu regularnie bywałem w Pałacu Staszica. Dość, że byłem uczestnikiem seminarium doktorskiego prof. Głowińskiego; nawiasem mówiąc z Jolą Żadziłko (obecnie prof. Jolanta Sztachelska). Jola obroniła doktorat w IBL-u, u profesor Aliiny Brodzkiej. A do mnie przysłała „Solidarność” – niedługo potem wybuchł stan wojenny i przewrócił wszystko do góry nogami...

Później (nie pamiętam dokładnie: zapewne w 1982?) zainteresowałem swymi literackimi teoriami socjologa-religioznawcę, człowieka otwartego na wszelką humanistykę, prof. Włodzimierza Pawluczuka; Pawluczuk przez rok czy dwa widniał w wydziałowych papierach jako oficjalny promotor mego doktoratu. I jeździłem do Ryboł, gdzie Włodek naówczas mieszkał, by deliberować o istocie wszechświata, konsumując nadnarwiańskie dary natury... Pan się niejednoznacznie uśmiecha – ale ja przecież mam na myśli chleb ze smalcem, zagryzany surowymi, małosolnymi lub kiszonymi ogórkami – ich rodzaje bywały różne, ze względu na porę roku! Jasne, że i popitki, miejscowej „grunwaldki” nie zabrakło! Jakże by bez niej mądrze mówić o świecie? Ale i ta współpraca z Włodkiem jakoś się rozmyła – już nawet nie pamiętam, z jakiego powodu. Szkoda; to wspaniały człowiek, opowiadacz, facecjonista... Lubimy się do dziś – mam nadzieję, że z wzajemnością.

Wreszcie, w 1983, trafiłem na „swojego człowieka”, który rozumiał literaturę dokładnie tak samo jak ja: na doktora Janusza Lalewicza z pracowni, którą poprzednio kierował prof. Stefan Żółkiewski, a następnie docent Krzysztof Dmitruk; w IBL PAN; pracownia ta była związana z socjologią literatury, nie pamiętam jej dokładnej nazwy. A właśnie pojawił się nowy przedmiot nauczania w bloku teoretycznoliterackim: teoria lektury. Można by ją również nazwać „poetyką odbioru”. Lalewicz ukuł określenie „socjologia komunikacji literackiej”. Byłem tym zafascynowany i wierzyłem, że taka opcja widzenia literatury zmienia jej obraz: mało kto, jak dotąd, ana-

lizował tekst z perspektywy „trzeciego członu” Bühlerowsko-Jakobsonowskiego schematu komunikacji językowej! No fakt: była szkoła niemiecka, której zwolennikiem i popularyzatorem w Polsce był prof. Ryszard Handke i mniej znana szkoła francuska, którą propagował Lalewicz. Janusz pisał właśnie pracę habilitacyjną o komunikacji literackiej; ja – doktorat. Z tym, że on wydał swoją książkę „na łożu śmierci”; termin jego kolokwium habilitacyjnego był wyznaczany podczas jego pobytu w szpitalu... Nie wiem, czy do doszło do obrony; pewnie nie. Nie wiem, czy Janusz zdążył się habilitować... Ale jego praca została wydana! Lalewicz zmarł wczesną jesienią 1985 na raka płuc. Ja zdołałem napisać zaledwie fragment (obszerny – bo obszerny!) pierwszego, teoretycznego rozdziału doktoratu... No i musiałem się obronić najpóźniej do połowy 1987, pod groźbą rotacji. Zostały mi dwa lata – a Janusza już nie było na świecie. Tymczasem w ostatnich dniach grudnia 1984 urodził się mój syn! I znów były ważniejsze wartości, niż doktorat – tak, jak wcześniej „Solidarność”, tak teraz Maciek. Tyle, skrótowo, o doktoracie. Mówię: skrótowo – bo ten temat ma dalszy ciąg, przy wciąż tym samym efekcie: doktoratu nie mam – i nie będę już miał! Taką podjąłem decyzję.

A jak się pracowało ze studentami? Jacy wtedy byli studenci?

Mój pierwszy rok pracy, te cztery bodaj godziny stażu, były nadzwyczaj udane. Przytoczę nazwiska studentów, bo trzeba mówić o ludziach, którzy są – a o tych, których już nie ma – należy pamiętać. Warto te osoby chwalić, bo jest za co. Pierwszym moim studentem, któremu postawiłem piątkę na zaliczeniu, był Wiesiek Szymański. Wiesiek po paru miesiącach zajęć zdradził, że pisze wiersze. Zaczął mnie swoimi wierszami dosłownie zarzucać. A ponieważ pisywałem w pismach ogólnopolskich (co nie znaczy, że nie podjąłem współpracy z lokalnymi pismami: „Kontrastami”, „BIK-iem”) – więc pomogłem Wieskowi w poetyckim debiucie. Było to już przywoływane „ITD”, numer z lutego 1978; 2. semestr 2. roku studiów Wieśka. Ciekawostka: zupełnie niedawno, robiąc porządki, odnalazłem ten numer „ITD”! Stąd tak dobrze o tym pamiętam! Nawet dałem te jego debiutanckie wiersze na fejsbuka, 18 sierpnia, gdy Wiesiek skończyłby 60 lat...

Powiem o kilku innych studentach z pierwszego roku mojej pracy. Objawił się taki drugi chłopiec w tej samej grupie drugiego roku, co Wiesiek: Tadek Pruszyński. Po obronie magisterium – bodaj w 1980 – Tadeusz przez wiele lat był polonistą w VII Liceum. Wiesiek z Tadeuszem, jak już mi później powiedzieli, umawiali się, że na moich zajęciach jeden będzie „Pan Tak”, a drugi – „Pan Nie”. Czyli, gdy omawialiśmy teksty naukowe na ćwiczeniach, to jeden z nich był „za”, a drugi – „przeciw”. I w ten oto sposób było

o czym mówić przez całe zajęcia; tworzyła się dyskusja; rozpatrywaliśmy argumenty „pro” i „kontra” właśnie analizowanego poglądu. Na szczęście – obaj byli doskonale „naczytani” i wiedzieli, o czym mówią.

Na tym samym roku była również dziewczyna, która się teraz nazywa Bożena Bednarek, a wcześniej Żukowska. Bożena przez wiele lat była prezenterką w Radiu Białystok. Dziewczyna o doskonałym radiowym głosie. Andrzej Jarosz studiował również na tym roku – później, przez wiele lat był wieloletnim dziennikarzem Radia Białystok. Poza tym próbował swoich sił w prozie, niedawno (chyba z 8-10 lat temu) wydał książkę, zbiór opowiadań. Prowadziłem z nim spotkanie w Książnicy Podlaskiej, z którą na ówczas współpracowałem. No i przecież Jola Żadziłko – czyli dziś profesor Jolanta Sztachelska. Również ten sam rok – z tym, że ona nie była moją studentką, bo prowadziłem zajęcia w równoległej grupie. Tym niemniej jakoś się do niej przyznaję (i ona do mnie – co dzisiaj czyni mi zaszczyt!) – bo myślę, że pewnie nieco pomogłem Joli w jej pierwszych zajęciach dydaktycznych, zapraszając do swoich grup, proponując jej prowadzenie ćwiczeń; w pewnym sensie pod moim okiem – bo byłem o kilka lat pracy bardziej doświadczony, a ona dopiero startowała w uniwersyteckiej dydaktyce.

Na pewno pominąłem wiele osób; proszę mi wybaczyć. Nie pamiętam, na przykład, czy Wiesiek Różański, również polonista, a potem dyrektor VII LO, był na tym roku – czy rok później. A przecież Basia Sobolewska (dziś Ci-ruk), potem przez wiele lat pracująca w radiu, a jeszcze później w lokalnym oddziale TVP! W każdym razie: tamten drugi rok białostockiej polonistyki w okresie mego stażu, '77/'78, to był naprawdę świetny rocznik, świetni studenci! Miałem szczęście, że na nich właśnie trafiłem w pierwszym roku swojej pracy.

Zapewne rok później (lub dwa?) w mojej grupie studenckiej była Urszula Czajkowska. Dzisiaj to imię i nazwisko mało co komukolwiek mówi. Ale kiedy powiem, że jest to profesor językoznawstwa Urszula Sokólska, poprzednia dyrektor Instytutu Filologii Polskiej (zresztą: przed Urszulą szefową Instytutu była Jola Sztachelska), to mówi to już zdecydowanie więcej. Na tym samym roku była też druga Urszula: Pietras. Oczywiście, jej pannieńskie nazwisko też „jest szyfrem”, ale wszystko stanie się jasne, gdy wyjawię, że jest to doktor Urszula Andrejewicz – wybitna specjalistka od języka, uczennica profesora Zygmunta Saloniego.

Z tymi wszystkimi osobami, które wymieniłem, nadal mam bardzo dobre układy: takie koleżeńskie, życzliwe, serdeczne. Wracając do Pana pytania: pracowało się świetnie! I bardzo mnie cieszy, że wśród moich byłych studentów jest obecnie kilkoro profesorów uczelnianych, mnóstwo szkolnych nauczycieli polskiego, dziennikarzy, ludzi pióra. Wielu z nich dorobiło się

wielkich zasług dla nauki. Ale jeszcze, skoro mówię dobrze o ludziach, to absolutnie koniecznie muszę powiedzieć przynajmniej o dwóch wybitnych studentkach z czasów mojej intensywnej współpracy z Januszem Lalewiczem: pewnie z roku '83, może '84. Obie są od kilku lat po habilitacjach. To profesor Elżbieta Konończuk i profesor Elżbieta Dąbrowicz.

Panie Januszu, czy pracowało się spokojnie? A polityka wkraczała w życie studenckie?

Pracowałem w czasie, obejmującym rok 1980, kiedy „wybuchła” Solidarność, jak się to czasami mówi. My założyliśmy „Solidarność” w niecałą godzinę, kiedy przyjechał dr Marian Płachecki, współpracujący z IBL PAN. Marian zrobił bardzo wiele dobrego dla naukowego rozwoju polonistyki białostockiej. Takie jest moje zdanie. Nie chcę powiedzieć, że przed nim nic się naukowo nie działo – bo działo się. Ale nie tak intensywnie i nie tak „systemowo”. Marian, w owym czasie, był niezwykle skrupulantem; to solidny i dokładny i człowiek, i badacz literatury. Nie kontaktowaliśmy się lata – i nie wiem, co on teraz robi, gdzie pracuje. W każdym razie: w tym czasie bardzo wiele zmienił, jeżeli chodzi o życie naukowe w Instytucie i wewnątrz poszczególnych zakładów: przede wszystkim, za jego udziałem wśród pracowników został dokonany podział na zespoły przedmiotowe i w ramach tychże zespołów zaczęły odbywać się regularne naukowe spotkania robocze, z referatem, z zadaną lekturą dla wszystkich uczestników. Słowem: Marian tworzył na polonistyce „naukową kuźnię”. Ale pytał Pan o „Solidarność”, o politykę – spotkaliśmy się chyba podczas wakacji, może to już był początek roku akademickiego 1980/81? Więc tak: przyjechał Płachecki. Okazało się, że wystarczy piętnaście osób, aby założyć podstawową komórkę „Solidarności”, na prawach stowarzyszenia. I rzeczywiście, „z biegu” założyliśmy „S” na polonistyce. Pamiętam później burzliwe zebrania już na Wydziale. Szefem wydziałowym został dr Henryk Ruciński, historyk. Jasne, że pojawiały się spory wewnętrzne, spięcia między członkami; nie wiedzieliśmy przecież, co i na ile możemy sobie pozwolić, czy działamy jako związek zawodowy – czy coś w rodzaju partii politycznej. I czy i kiedy komuna utrzyma nas...

Pamiętam, kiedy zaczęła się stan wojenny, w grudniu 1981 roku, to zaraz po świętach zrobiono na uczelni listę ludzi, którzy mieli zostać wyrzuceni. Ale nie był to ani jedyny, ani pierwszy krok władzy – bo, przede wszystkim, natychmiast po grudniowym zamachu władzę rektorską przejął komisarz (podczas ostatniego plenum partii wybrany na zastępcę członka KC PZPR) – prof. Jerzy Niemiec z pedagogiki (zresztą – kontrkandydat prof. Marciszewskiego na rektora uczelni w pierwszych demokratycznych wyborach); rów-

niez i zajęcia zostały zawieszono do odwołania – no i zaczęła się weryfikacja pracowników. Głośno mówiono o tym, że każe się nam podpisywać „lojalki”. Od nas, z Instytutu, „jedyneką” do wyrzucenia była dr Halina Krukowska, nr 2 – to dr Elżbieta Feliksiak, a nr 3 – ja. Komunistyczne władze chciały nas usunąć z pracy, bo miały zdanie, że siejemy wrogi ferment... A mi się wydawało, że zajęcia z teorii literatury i poetyki są abstrakcyjne, że są oddalone od historii literatury, od bieżącego życia literackiego – a od polityki to już zupełnie. To jednak nieprawda, bo teoria jest budowana na uogólnieniach – ale jednak na literaturze – a literatura przecież odnosi się do rzeczywistości. Teoria nie jest wyszana z palca. Chociaż też tak i bywa, że jest wymyślana przy biurku. Wcześniej, w pierwszych dwóch latach pracy, nie wiedziałem, co mam odpowiedzieć, gdy studenci pytali mnie o Katyń. Mówiłem, że nie stanowi to przedmiotu naszych zainteresowań na zajęciach... Dyrektorem IFP w czasie pierwszych dwóch lat mojej pracy (przed „S”) była już nieżyjąca dr Irena Halicka, ale ona piastowała też funkcję I sekretarza wydziałowej organizacji partyjnej PZPR (chyba tzw. „Podstawowej Organizacji Partyjnej”). I często pozostanie na uczelni było „delikatnie” warunkowane tym, czy człowiek się zapisze do PZPR. Ja autentycznie przeszedłem takie doświadczenie. Zrobiłem ostry „myk” i mimo to, że nie zostałem członkiem naszej kochanej partii, pozostałem na uczelni. Opowiem Panu o tym hopsztosie. Miałem koleżankę, która razem ze mną zaczęła asystenturę; nieżyjącą od października 1991 roku – Marię Wyszyńską, bardziej znaną jako Mareta. Jej nazwisko po mężu brzmiało Koszycka. Mareta zajmowała się romantyzmem, była duszą natchnioną i cyganką, taką trochę Rachelą z „Wesela”. Tego rodzaju kobieta. Zawieszona w totalnych obłokach. Pewnego razu przychodzi do mnie Mareta do zakładu na dyżur i mówi: „Janusz, słuchaj, dr Halicka daje nam do zrozumienia, że po to, żebyśmy zostali na uczelni, to trzeba by się było zapisać do partii”. Ja mówię, że zastanowię się. Zawsze można było używać argumentu, że jeszcze nie jest się na tyle dojrzałym, by podjąć tak ważną życiową decyzję. Wiadomo, że to była wymówka. Natomiast nie pamiętam, jak to się stało, że miałem wtedy również i studentów zaocznych. A może to zdarzenie miało miejsce podczas drugiego roku mojej pracy? Nieważne; w każdym razie na pewno na początku. Otóż jedną z tych zaocznych studentek była pani sekretarz Stronnictwa Demokratycznego w Białymstoku, dzisiaj nazwalibyśmy to stanowisko: kierownik biura. W SD „sekretarz” nie oznaczało tego samego, co w PZPR; tam była to funkcja wyłącznie administracyjna, a nie partyjna. Nie przypominam sobie teraz, jakie struktury miało SD. Ale generalnie, gdy idzie o siły polityczne w kraju, to – jak zapewne mało kto pamięta – najważniejsza była „przewodnia siła narodu”, czyli Polska Zjednoczona Partia Robotnicza; a tuż za nią dwa bratnie stron-

nictwa: Zjednoczone Stronnictwo Ludowe i Stronnictwo Demokratyczne. SD było stronnictwem inteligenckim, a ja nie pasowałem ni do robotnika, ni do chłopa; nic: „czystej krwi” mieszcuch. Ojciec był rzemieślnikiem; również kiedyś go zmuszono do wstąpienia do SD. I był to dla mnie silny argument: „tradycje rodzinne”. Więc ja w te pędy na Sienkiewicza, prawie na rogu Alei Piłsudskiego (wówczas 1 Maja); tam się trzeba było wdrapać po piekielnej ilości schodów na 2 czy 3 piętro, gdzie miał swoją siedzibę Miejski Zarząd SD. Idę do swojej studentki, pani Basi, Krysi czy Danusi, nie pamiętam, i mówię: „Jest taka sprawa, że muszę się zapisać do Stronnictwa Demokratycznego”. Moje akces do SD został z premedytacją wykonany i zostałem członkiem bratniego stronnictwa! Osobą wprowadzającą była zapewne ta pani, studentka. Przyjęto mnie natychmiast, po kilku bodaj dniach.

Po niedługim czasie znów przychodzi do mnie Mareta, i mówi: „Janusz, to co z tym wstąpieniem do PZPR, bo doktor Halicka pyta, jak tam z tobą”. A ja odpowiadam: „Wiesz, Mareta, może ja bym nawet i wstąpił do partii, tyle tylko, że jestem członkiem Stronnictwa Demokratycznego”. I to był taki „myk”! Zresztą później, w wojsku, srogo i boleśnie zapłaciłem za to, że jestem w SD – a nie w PZPR. Ale asystenturę mi przedłużono – bo oficjalnie przecież nasza przewodnia siła narodu szła ramię w ramię z ZSL i SD, musiała się liczyć z chłopstwem i inteligencją pracującą (miast i wsi, zresztą!). Wystąpiłem z SD w kwietniu 1982; pamiętam jak dziś! Po wysłuchaniu w telewizji obrad z posiedzenia sejmu PRL, który uprawomocnił nielegalny przecież „Dekret o Stanie Wojennym” z grudnia '81, przemówień przewodniczących poszczególnych klubów poselskich – w tym i „mojego przedstawiciela” z SD – zwróciłem „legitymację partyjną” i złożyłem stosowną deklarację o wypisaniu się. Warto się było znowu wdrapywać schodami w budynku przy Sienkiewicza.

Wówczas zdałem egzamin czeladniczy z „rzemiosła stolarstwo” na wypadek wyrzucenia mnie z uczelni. Mój ojciec był mistrzem stolarstwa; to zrobienie uprawnień stało się za jego namową – uważał, że jeśli mnie relegują, to powinienem mieć z czego żyć. Chciał mnie chronić, asekurować. Dziś, jako również ojciec, doskonale to rozumiem. Wtedy – myślałem głównie o tym, by zrobić ojcu przyjemność – skoro tak bardzo mu na tym zależy... Całe dzieciństwo i młodość spędziłem w warsztacie, w wórach i trocinach, do matury przecież! I naprawdę dużo wiedziałem i umiałem. A egzamin ze stolarstwa zdałem rzetelnie. Wtedy nie można było, tak jak dzisiaj, otwierać dowolnej działalności gospodarczej, jeśli się nie miało na to uprawnień; minimum stanowiło posiadanie dyplomu czeladnika – więc zrobiłem ten dyplom i jestem czeladnikiem „rzemiosła stolarstwo”. Bo lojalki bym nie podpisał, a groźba wyrzucenia z uczelni była realna. Halina Krukowska

dzwoniła, ostrzegała, że będę wezwany „na rozmowę”. Zdaje się, bardzo pięknie zachował się wówczas dr Adam Dobroński. Pewno z ramienia wydziału zasiadał on w tej weryfikującej komisji uczelnianej i bronił kogo i jak mógł. A ja podpadłem wojennym władzom również dlatego, że podczas dyżuru nocnego na portierni przy Świerkowej (choć zajęcia były zawieszono i nie wiedzieć czemu te dyżury miały służyć) przesiedziałem całą noc ze znaczkiem „Solidarności” w klapie marynarki. Nikt nie mówił, że nie wolno, ale widocznie ktoś to widział. Pewnie wszyscy. I komuś musiało się to bardzo nie spodobać i chyba to również było przyczyną złego widzenia mojej osoby. Przez władze stanu wojennego. I, oczywiście, powodem byli również moi studenci, którzy nie byli prawomyślni. A potem aresztowani – ale to już pod koniec kwietnia '82 – a te „czystki” wśród pracowników planowane były wcześniej, w pierwszym kwartale tegoż roku.

Ale przesłuchania, rewizja i aresztowanie, i śledzenie mnie podczas stanu wojennego to już inna opowieść. Gdy obejrzałem swoje akta w białostockim IPN-ie, to dowiedziałem się, że byłem inwigilowany przez bezpiekę do 1985. A, z drugiej strony, przesłuchiwanie studenci opowiadali mi, że pokazywano im zdjęcia z pytaniem „a czy tego znasz?”. Byłem w tej kolekcji zdjęć. W każdym razie: mam nadany przez IPN status „pokrzywdzonego”, a odpisy oficjalnych papierów przechowuję w biurku... No i jeszcze coś tam o mnie piszą w „Encyklopedii Solidarności”; trochę wtedy działałem – niewiele w stosunku do innych i nie ma się czym chwalić. Może jedynie tym, że razem z Darkiem Boguskim (wtedy studentem 3. czy 2. roku) zredagowałem pierwszą publikację BOW – Białostockiej Oficyny Wydawniczej. Był to tomik wierszy stanu wojennego pt. Gryps; antologia, najczęściej z anonimowymi autorami. Ubecja w mieście była wściekła! A mówię o tym też i dlatego, że sporo faktów odnalazł dyrektor Archiwum Państwowego, pan Marek Kietliński – i nawet niedawno, pod koniec czerwca, zrobił wystawę wydawnictw bezdebitowych na ogrodzeniu archiwum – w tym i Gryps. A we wcześniejszych swoich publikacjach też wymieniał moje nazwisko w tych kontekstach, więc temat został „odtajniony”. Ale ze swoich działań w stanie wojennym nigdy nie odcinałem kuponów. Aha: dostałem od Ministra Kultury odznakę „Zasłużony Działacz Kultury”. Za komuny dawano ją za byle co i znów nie ma się czy chwalić – z tym, że ta moja „blaszka” akurat została przyznana w 19. rocznicę stanu wojennego, w 2000 roku, „Za obronę wolnego słowa”; w mieście wtedy odznaczono nią ze 20 osób. I to już coś znaczy; tak myślę.

Gdy zająłem do książki „Województwo białostockie w ocenie SB”, znalazłem pana nazwisko, znalazłem również Tomasza Wiśniewskiego...

To znaczy tak: w tej książce znalazłby Pan zapewne i innych, na czele

z Darkiem Boguskim. Zaś gdy idzie o moje nazwisko, to znalazłby Pan je i w innych książkach o tematyce stanu wojennego w Białymstoku, opracowywanych przez wspomnianego już dyrektora archiwum w mieście, Marka Kietlińskiego. Ja, przynajmniej, mam jeszcze inne dwie takie książki pana Marka. Ale rozumiem, że pytając o Tomka, pyta Pan o NZS, o ruch studencki. Tomek i Darek Boguski byli razem na roku, na polonistyce. Był z nimi też Andrzej Ciszewski – od lat w lokalnym ośrodku TVP. Intensywnie działali w NZS-ie. Tomek trafił do aresztu w akcji bezpieczeństwa w kwietniu '82. To była druga akcja białostockiej milicji pod względem zaangażowania środków i ludzi – wzięto nawet pracowników cywilnych! – oraz gdy idzie o ilość aresztowanych; po tej pierwszej, największej, w nocy z 12 na 13 grudnia. Akcja kwietniowa objęła zasięgiem ok. 30 osób ze środowiska akademickiego, głównie studentów, ale i pracowników, z Filii i z Politechniki; ja również byłem w tej grupie. Tylko trzy osoby wyszły z komendy z Sienkiewicza tego samego dnia wieczorem: Leszek Sadowski (asystent na historii, mąż Wandy, koleżanki z instytutu), ja i... już nie pamiętam, kto trzeci. A standard działania był taki sam: czterech milicjantów w mieszkaniu przed szóstą rano z nakazem rewizji (bo od szóstej przestawała obowiązywać godzina milicyjna i można było nie zastać delikwenta w domu), potem szukanko, potem do suki i przesłuchanie w komendzie wojewódzkiej. A w konsekwencji – dla większości – „dołek” na Kopernika. Około trzydzieści osób spędziło w więzieniu minimum trzy miesiące; Tomek Wiśniewski między innymi, Ciszewski również, kolega asystent z psychologii, Janek Kalisz, wyszedł dopiero w lipcu czy sierpniu. Tomek miał szczególnie trudną sytuację – albo „symboliczną”, można powiedzieć – bo jego ojciec był wówczas naczelnym „Gazety Współczesnej”, lokalnego organu naszej wszystko wiedzącej partii. Ojciec, zaufany działacz partyjny – a syn anarchista! Ekstremista: tak wówczas mówiono. Ale to są zupełnie inne opowieści, „kombatanckie” – można powiedzieć. I pewnie nie czas i miejsce na nie. Fakt: stan wojenny zabrał nam mnóstwo zdrowia i czasu.

Myślę, że w dzisiejszych czasach została przekłamana prawda o tamtejszej „S” z 80. roku. Nam wtedy nie chodziło o sprawy gospodarcze, o możliwość „ustawiania się” (jak na przykład przysłowiowa „uwłaszczona nomenklatura”) – bo zawsze są bliżsi i dalsi znajomi, zawsze koszula bliższa ciału, bez względu na ustrój i system. Ludzie często rezygnują z własnych poglądów po to, by wiodło się im lepiej w życiu. Tak zawsze było, jest i będzie. Nam chodziło o odkłamanie rzeczywistości przede wszystkim. Mówię „nam” w sensie „Solidarności”, w tamtych czasach. Żeby pokazywać, że białe jest białe, a czarne – czarne. Nie kłamać, nie oszukiwać. Pokazywać obiektywnie, bez obawy narażenia się na krzywą minę „przełożonego” – bo każdy

miał i ma swojego „przełożonego”. Żyliśmy w takiej sytuacji, że człowiek pytany o coś kłamał, pytający wiedział, że odpowiadający kłamie, a wszyscy podawali sobie ręce, klepali po ramieniu i mówili: „w porządku jest, towarzysz”. Jedno wielkie zakłamanie i jedna wielka bzdura. I ten solidarnościowy etos bycia w zgodzie z prawdą, został – dzisiaj – gdzieś stracony, gdzieś zgubiony. Zastanawiam się, czy gdybyśmy wtedy wiedzieli, jakie będą po latach „efekty uboczne” tej naszej wolności, i ekonomiczne, i we wzajemnych relacjach międzyludzkich, te spaczenia, rozwydrzenia, upadek kultury bycia i dobrych obyczajów (wielokrotnie się słyszy, że skoro jest demokracja, to wszystko wolno!) – to nie wiem, czy byśmy zaczynali to wszystko... Na pewno nie mieliśmy świadomości tego, jak opacznie można tę wolność rozumieć, jak kretyńsko, że tak powiem, jej używać; przynajmniej ja nie miałem takiej świadomości. Nam chodziło o pewien etos: prawdy przede wszystkim. Uczciwości, szczerości. Przyzwoitości; o etos etyczny. „Warto być przyzwoitym”!

Czy jestem rozgoryczony? Jasne, że tak! Pamięta pan *Człowieka z żelaza*? Odpowiedź, którą stary Birkut daje synowi, w 1968, że on już swoje zrobił i to nie jest już jego czas? I w podtekście pytanie, co dziś zostało z tamtego protestu, jak zagospodarowaliście nasze ciężko wywalczone zdobycze? Im jestem starszy, tym bardziej to rozumiem. Jak można było – przepraszam – tak to wszystko spieprzyć? „Bo dużo jeszcze jest do spieprzenia – a będzie więcej!”, że zacytuję genialnego Młynarskiego. Wciąż jest i będzie dużo do spieprzenia... I wciąż na górze są tacy, którzy nic innego nie robią, jak pieprzą. Widocznie nie czytali „ze zrozumieniem” *Nie-Boskiej* Krasińskiego... Płakać się chce; wciąż mnie to rusza, jak można spieprzyć, zniweczyć; i, dziwiąc się samemu sobie, łapię się na tym, że wciąż mnie to rusza...

Zmieniając temat – mamy przecież mówić o polonistyce, a nie o polityce. Jest 2017 rok, mamy Internet, nowoczesne technologie. Proszę opowiedzieć, jak wyglądało w czasach przemian życie studenta, wykładowcy uniwersyteckiego na polonistyce? Nie było Internetu, ale ludzie mieli swoje źródła informacji, chcieli chodzić do biblioteki, ubierali się w charakterystyczny sposób, bo też majątni nie byli. Pewne książki nosiło się pod pachą. Jak wyglądał ówczesny student polonistyki?

OK, ma Pan rację, wróćmy do polonistyki. To będzie lepsze. Myślę, że student się nie zmienił. Myślę, że wyglądał tak samo, jak wygląda teraz. Dziś, gdy się spotka grupka ludzi, to każdy grzebie w swoim smartfonie zamiast rozmawiać między sobą, ale to chyba takie czasy. Natomiast muszę Panu powiedzieć, że już od dwudziestu paru lat korzystam z dobrodziejstw Internetu, z poczty elektronicznej, z możliwości przesyłania dokumentów.

Oczywiście, mam na myśli niekoniecznie teksty, ale również zdjęcia, muzykę, filmy, nagrania. Bardzo sobie cenię te udogodnienia także w pracy dydaktycznej, bo przecież wystarczy napisać jeden mejl czy jeden post do zdefiniowanej grupy na Facebooku i dodać w załączniku teksty, które mamy omawiać. Albo wysłać link z adresem serwera z dokumentami.

A jak wyglądało to wtedy? Pamiętam, że w 1997 roku mieliśmy czasami jedną książkę na cały rok i umawialiśmy się, kto będzie ją czytał. Część czytała, część czekała na swoją kolej.

Myśmy na zajęciach analizowali i omawiali teksty teoretycznoliterackie. Taki tekst naukowy rzadko miał więcej niż pięćdziesiąt stron. Wiele z nich – na przykład artykuły profesora Sławińskiego, ale nie tylko te – były w Białymstoku w publicznym dostępie w jednym egzemplarzu. Wtedy nie było tak, że w każdym sklepiku z zeszytami stała ogólnodostępna kserokopiarka. Obowiązywała cenzura, żeby nie powielać i kolportować treści niewygodnych politycznie, dlatego nie było kserokopiarek. Nie mogłem, jako asystent, wziąć 15- czy 20-stronicowy tekst naukowy, pójść do biblioteki czy czytelnicy, wrzucić x razy po pieniążku i zrobić odpowiednią ilość kopii. Nie było takiej możliwości. Należało prosić o zgodę dyrektora instytutu bądź kierownika zakładu. Taką zgodę dostawałem wielokrotnie i szedłem wtedy do profesora Piotra Wróblewskiego (wówczas doktora), który był kierownikiem głównej Biblioteki Uniwersyteckiej Filii UW przy ul. Mickiewicza – gdzie teraz jest Wydział Prawa. I dostawałem pozwolenie na 5-10 odbitek. Robiłem kopie i informowałem studentów wcześniej lub na następnych zajęciach, że kserówki są w naszej bibliotece czy czytelnicy wydziałowej i że można się zapoznać z tekstami. Zawsze 5 egzemplarzy to więcej niż 1. Tak to działało. A co studenci nosili pod pachami, kiedy czytali? Nie umiem powiedzieć.

A co Pan nosił pod pachami?

Pamiętam, że odkryłem wówczas, że bycie po drugiej stronie katedry to zupełnie „inna para kaloszy”. Bo musiałem być zawsze przygotowany. A po przeciwległej stronie katedry, z pozycji studenta, można było sobie czasem pozwolić na nieprzeczytanie lektury. Najczęściej bez negatywnej konsekwencji wyrażonej w ocenach. Dlatego czytałem dużo i dużo książek nosiłem pod pachami. Zaś wojenne biuletyny informacyjne „S” nosiłem na Świerkowej w teczcze! Żeby nie było ich widać.

Czy studenci się czasem nie przygotowywali?

A to różnie bywało. Ja musiałem. Przygotowanie zajęć półtora-godzinnych, bo takimi blokami to szło, zajmowało często dwa dni. Ale wtedy chciało

się to robić. W ramach teorii literatury robiłem przegląd metodologii badań literackich w porządku chronologicznym; albo inaczej: historię teorii literatury, koncepcji pojmowania literatury – począwszy od Arystotelesa po badania semiotyczne. A dzisiaj wystarczy wpisać w wyszukiwarce internetowej „poetyka” i większość tekstów ściągnie się w pdf-ie. Albo w formatach worda. Nie muszę robić nadbitek z *Poetyki* Arystotelesa czy z prac Bachtina, na przykład.

Tu wejdę w słowo. Wiadomo, że jest lepiej.

Jest lepiej. Dostępność wszelkich tekstów jest lepsza. I z historii literatury, i z teorii. I są przecież także wszelkie słowniki online. To wielkie ułatwienie.

Ala wciąż pytam o etos studenta. Pamiętam, że swoją żonę poznałem w bibliotece. Siedzieliśmy na korytarzu z kanapkami, gadaliśmy, czytaliśmy kserówki. Dzisiaj włączamy komputer i logujemy się na stronę biblioteki. Nie musimy z nikim rozmawiać, z nikim się dogadywać.

To zależy, co się ściąga. Jeśli teksty źródłowe, to OK. Jeśli czyta się w sieci jakieś opracowania, na przykład ze „ściągi” czy innych popularnych „szkolnych” portali – to chyba mniej OK. Chociaż z drugiej strony i z nich można się dużo dowiedzieć, tylko trzeba je umiejętnie czytać, analizować. Stosować „zasadę ograniczonego zaufania”.

Natomiast gdy idzie o etos studenta – nie mam pojęcia, jak zestawić tamte czasy z dzisiejszym dniem. Myślę, że „bycie studentem”, a szczególnie humanistyki, trzeba by chyba rozpatrywać w kontekście czasów, rzeczywistości. Za komuny – to jednak jakiś pozytyw! – społeczeństwo nie było ani tak skomercjalizowane, ani tak konsumpcyjne, jak dziś. Pewnie też i dlatego, że humanistyka traktowana była jako azyl, „emigracja wewnętrzna”. Nie było tak powszechnie obowiązującej opcji patrzenia, spragmatyzowanej i interesownej, na zasadzie: „co będę z tego mieć?”. Myślę, że było wtedy więcej idealizmu, że wiele działań podejmowało się bezinteresownie – w tym również mało przydatne praktycznie studia humanistyczne. I ci studenci to była elita, intelektualna, oczywiście. Może nawet trochę „złote ptaki”, które stać było mentalnie na nieliczenie się z materialnymi dobrami (dopóki nie wydorośleli i „rzeczywistość zaczęła skrzeczeć” domagając się mieszkania, telewizora, samochodu i wkładu do garnka). Dziś młodzież chyba częściej ogląda się za korzyściami; podejmując studia zastanawia się wcześniej, co te studia dadzą po ich skończeniu, jak pozwolą ustawić się w życiu. W materialnym rozumieniu słowa „ustawić się”. Liczba studentów humanistyki maleje – bo jaka później przyszłość? Jakie pieniądze? Nie wiem, ale teraz chyba jest mniej „pasjonatów”; młodzież coraz bardziej

„stąpa po ziemi”. W dzisiejszych czasach, także wśród młodzieży, romantyzm przegrywa z pozytywizmem! (a za mojej młodości było odwrotnie). Nie wiem: dobrze to, czy źle. *Signum temporis*.

Jest Pan nie tylko wykładowcą, ale i krytykiem literackim. Wydaje pan poezję i zajmuje się młodymi ludźmi uzdolnionymi literacko. Ostatnio widziałem plakat zapraszający do udziału w warsztatach literackich...

To niezupełnie tak, jak Pan mówi, bo wykładowcą nie jestem! Moja kilkuletnia obecność na polonistyce ma charakter raczej gościnny – i cieszę się, że wciąż ma miejsce. Natomiast co do krytyki i innych moich działań „animacyjnych”, że tak powiem, to też jest stara historia. Ona znowu sięga lat studenckich. W zasadzie ciągle robię to samo. Może trochę przesadzam i ubarwiam, ale te moje zajęcia wokół młodych jakoś się fajnie zająbiają, w czasie i materii. Zacznę ten wątek od Jerzego Leszina-Koperskiego. Gdy do niego trafiłem, miałem 21-22 lata, chyba na 4. roku studiów, może pod koniec trzeciego. Gdybym był wtedy wiedział, że jego działania zapewne były dyktowane przez naszą kochaną partyjną politykę kulturalną, to nie wiem, czy bym w to wchodził. Dziś już można przeczytać, co wyczyniali poeci z „Orientacji Poetyckiej Hybrydy” (mam na myśli choćby Leszina, Gąsiorowskiego, Waśkiewicza i innych). To byli znani przecież poeci i działacze; ale zapewne byli oni sterowani przez PZPR; wielu z nich jest na liście współpracowników partii, donosicieli czy „TW”. A ich działania okołoliterackie wyglądały tak pięknie, szczególnie dla 20-letniego studenta polonistyki! Jak to było dokładnie, ze współpracą z PZPR, już się nie dowiemy, bo z tego pokolenia został chyba tylko Andrzej Zaniewski. Wiem, że Leszin przed śmiercią publicznie przeprosił... Ale też naprawdę wiele dobrego zrobił dla polskiej młodej poezji – i ferowanie jednoznacznych sądów byłoby dalekim uproszczeniem. Niedawno rozmawiałem o tym z Leszkiem Szarugą, znanym poetą z pokolenia „Nowej Fali”, zdeklarowanym opozycjonistą, więźniem politycznym już od marca '68, dziś profesorem uniwerku w Warszawie – i Szaruga również potępia jednoznaczne osądy, nie patrzy „czarno-biało”. A kto może być bardziej wiarygodny, jak nie on? Nieżyjący już Barańczak? Teść obecnego prezydenta, Julian Kornhauser? Może tak. I Leszek Szaruga, wracając do niego, daleki jest od totalnej negacji działań Leszina-Koperskiego w czasie Gomułki i Gierka: bo zarówno Jurek Leszin, jak i Andrzej Krzysztof Waśkiewicz, zrobili bardzo wiele dobrego dla polskiej poezji.

Leszin zajmował się młodą literaturą, był działaczem, wydawcą, animatorem życia młodoliterackiego. Gdy go poznałem – jak mówiłem bodaj w 1975 czy 76 – rozpoczął wydawanie serii tomików pod nazwą „Pokolenie, które wstępuje”; wcześniej wydawał serię „Generacje”. „Pokolenie,

które wstępuje” to była seria arkuszy-tomików poetyckich, liczących tylko 16 stron, młodych autorów z całej Polski. Poznałem wówczas wielu poetów; z niektórymi do dzisiaj mam bardzo sympatyczny i przyjacielski kontakt. Można powiedzieć, że Jurek był istotnym mecenasem, animatorem życia młodopoetyckiego w Polsce. I sporo z jego autorów, debiutantów z tych lat, przetrwało jako pisarze do dzisiaj; są znani i uznani – na przykład Zbigniew Joachimiak (od 15 lat wydawca kwartalnika „Migotania” w Gdańsku), Władysław Zawistowski, pisarz, dramaturg i poeta, również z Gdańska, Sergiusz Sterna-Wachowiak z Poznania, Czesław Markiewicz z Zielonej Góry, Marek Grała z Płocka, Gienek Kurzawa z Zielonej Góry (z kilkuletnim epizodem w Białymstoku w „Kurierze Podlaskim”), Urszula Benka, Roman Chojnacki (emigrant kanadyjski), Lech Jacek Majewski, znany reżyser filmowy – i wielu innych. A wymieniam tylko niektórych autorów pierwszych dwóch serii „Pokolenia”. Podobała mi się ta mecenasowska działalność Jurka Leszina. Organizował on doroczne, kilkudniowe, ogólnopolskie seminaria poetyckie. Zaraz po śmierci Grochowiaka, w '76, ustanowił „Medal imienia Stanisława Grochowiaka” za najlepszy debiut poetycki minionego roku. Wszystko to jakoś we mnie utkwiło. Od czterdziestu lat maluję Leszinowi laurkę i stawiam pomnik, bo mu się należy. Wcześniej ten człowiek w 1956 roku utworzył, jako jedną z pierwszych grup poetyckich po Czerwcu '56, toruński „Helikon” (Jurek był z Torunia), a w 1960, razem z Andrzejem Waśkiewiczem, zainicjował „Orientację Poetycką Hybrydy”. Co prawda profesor Dariusz Kulesza z IFP nie ma dobrego zdania o literackiej ważności i wartości „hybrydowców” w polskiej poezji – ale ja mam do nich stosunek osobisty: wychowałem się na ich wierszach. Uczyłem się czytać i rozumieć poezję na twórczości poetów „Hybryd”. Później dopiero przyszedł Grochowiak i Białoszewski, ale najpierw byli ludzie z „Hybryd”. Choć, tak naprawdę, to rozumienia poezji uczyłem się na Różewiczu; już nie przesadzając. Więc gdy powróciłem do Białegostoku w '77, działałem, pisałem, miałem znajomości wśród swoich rówieśników w całym kraju. Leszin integrował młodych poetów. Już po studiach, podczas asystentury, przez kilka lat byłem w redakcji „Integracji” – pisma, które Jurek wydawał. To była bardzo interesująca idea: integracja pokoleń pisarzy, miast, z których pochodzili i integracja sztuk – na ile ta ostatnia możliwa jest w piśmie. I taka także była redakcja: z całego kraju. Pod wodzą Leszina i Waśkiewicza, oczywiście. To były lata 1977–1979, jakoś tak. Bardzo ceniłem tę całą robotę Leszina – bo przecież także seria „Pokolenie...” wciąż było wydawana, każdego roku 6 tomików. Tak więc, już w Białymstoku, „zarażony” działalnością Leszina, starałem się robić to samo. Nie na skalę krajową, jak on, ale na lokalną. Zacząłem włączać się w życie literackie miasta. Namówiła mnie Mareta Wyszyńska (Koszycka)

– o której mówiłem już przy okazji nacisków partyjnych. Moje działanie w mieście zaczęło się od Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy (KKMP) i Klubu Nauczycielskiego „Bakałarz”. Wszedłem w to. A przecież wtedy byłem asystentem na uczelni i miałem na koncie kilkanaście publikacji krytycznych, czyli nie byłem z ulicy. Organizowaliśmy spotkania literackie. W lokalnym życiu literackim udzielał się też Wiesiek Kazanecki, Waldek Smaszcz, Janek Leończuk, Janek Sochoń (dziś ksiądz profesor Jan Sochoń). Ja w KKMP prowadziłem cykliczne warsztaty poetyckie. Czytaliśmy i analizowali wiersze uczestników. Spotkania odbywały się raz czy dwa razy w miesiącu. Wydawaliśmy okazjonalne broszury, biuletyny. Niestety, te działania musiały być firmowane szyldem Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej, bo niesocjalistycznego związku młodzieżowego być nie mogło. Takie czasy. Nazwiska uczestników? Proszę: Wiesław Szymański, który był jednocześnie moim studentem na polonistyce, Grzegorz Stanisławski – nieznane nazwisko poetyckie – Grzesiek pracował jako informatyk w „Uchwytach”; Irena Borowik z pedagogiki – dziś profesor na UJ. I sporo innych. Ja byłem uznawany za takiego faceta, który „się zna”, czyli trochę za redaktora, trochę za krytyka. To była działalność dodatkowa, poza pracą na uczelni.

Mówiłem Panu, że od 40 lat robię wciąż to samo! Dzisiaj też! Dlatego ten temat, moją odpowiedź na pana pytanie o pracę z młodymi poetami, zacząłem od Leszina-Koperskiego. Ta opowieść się ciągnie, kontynuuje czterdzieści lat... W 2006 wymyśliłem, że nie szkodzi, że ja już jestem starszy, ale ciągle są młodzi, którzy mają lat 16, piszą wiersze i potrzebują opinii. Wiedziałem, że w Białymstoku jest taka placówka, jak Młodzieżowy Dom Kultury, i zobaczyłem, jaką ma ona szeroką działalność, czemu służy. To znaczy temu, aby rozwijać hobby, zainteresowania, zamiłowania młodzieży. Były wtedy w MDK pracownie teatralne fotograficzne, plastyczne, rozmaite taneczne, szachowa, modelarska, informatyczna, wiele różnych muzycznych – i zapewne nie wszystkie wymieniłem. Ale nie było literackiej. Z pomysłem, żeby otworzyć taką pracownię, poszedłem do pani dyrektor Iwony Szcześniak. Zaprzyjaźniliśmy się w ciągu trzech minut. Złożyłem jej propozycję, by powołać warsztaty poetyckie dla młodzieży licealnej. Odpowiedziała, że to ciekawa myśl i że rzeczywiście takiej formy zajęć MDK nie ma w swojej działalności. Kupiła! Musiałem tylko napisać podanie i je umotywować. I dostałem pół etatu. Był to rok 2006. Od września ruszyłem.

***Rozumiem, że stale pisał Pan i publikował? Czymś musiał Pan umotywo-
wać to podanie i swoją kandydaturę, by zainicjować pracownię literacką
w Młodzieżowym Domu Kultury. Jakimś – jak myślę – dorobkiem...***

Jasne, oczywiście! Stale zajmowałem się i krytyką, i twórczością oryginalną;

pisałem i publikowałem. Ilość moich publikacji w tamtym czasie dobiegała setki. Były w tym dwie współautorskie powieści sensacyjne, komiksy, dwa „amatorskie” arkusze wierszy, teksty krytyczne w prasie literackiej i kulturalnej – dość tego było, by starczyło na motywację.

A na dziś wzbogaciłem „dorobek” o jeden profesjonalny tomik wierszy (wydany przez polonistykę w Białymstoku) i – pochwałę się: nominowany do nagrody Prezydenta Miasta imienia Wiesława Kazaneckiego za najlepszą książkę roku 2015!, o prace krytyczno-naukowe w książkach zbiorowych, ponad dziesięć zredagowanych tomików wierszy, pracę w redakcjach „Prób” i w seriach wydawniczych, i o kolejne teksty krytyczne i poetyckie publikowane w kraju i mieście. I udało mi się, w ostatnich czterech-pięciu latach, kilkakrotnie zostać laureatem ogólnopolskich konkursów poetyckich, a kilka z nich, co sobie cenię, ma swoją wagę w kraju (na przykład konkurs im. Baczyńskiego w Łodzi, Broniewskiego w Płocku, czy „Połowy Poetyckie” w Gdyni – czy też jeden z ostatnich, z maja tego roku, im. Norwida w Pruszkowie). Więc doszły też publikacje moich wierszy w antologiach pokonkursowych. Tak więc na teraz, do tej setki, należałoby dodać dobrą trzydziestkę kolejnych publikacji. Głównie – redakcyjnych i tak zwanej twórczości własnej; moich wierszy.

Wracając do młodych poetów: ówczesni 16-latkowie to teraz na polonistyce dorośli studenci?...

Ci najwcześniejsi 16-latkowie, z KKMP, z końca lat 70., dziś liczą sobie już w około sześćdziesiątki! A pierwsi moi słuchacze, licealiści z MDK – mają już teraz ponad ćwierć wieku. Natomiast moje ostatnie autorki, poetki, z wydawanej i redagowanej przeze mnie od 2015 roku serii „Podlaskie Prezentacje Poetyckie”, również zdążyły „się zestarzeć” (!): trzy z nich są już po drugim roku studiów – i to wcale nie polonistycznych: Dominika Baraniecka studiuje MISH w UAM w Poznaniu, Weronika Zimnoch jest w Akademii Muzycznej we Wrocławiu (jest skrzypaczką – ba: gra na skrzypcach barokowych!), Zuzanna Maria Danowska studiuje anglistykę w UwB. Zaś Magda Szewczuk od roku jest magistrem filologii angielskiej i, aby się nie nudzić, zaczęła studiować romanistykę... Tym niemniej, oczywiście – wśród pierwszych uczestników emdekowskich zajęć również są absolwenci białostockiej polonistyki: na przykład Sylwia Rząca, Dawid Klepadło, Agnieszka Panas; pewnie również i inni. I uprawiają zawód polonisty, a przynajmniej – jako z tego polonistycznego wykształcenia korzystają. Dawid nadal pisuje wiersze, wysyła je do mnie z prośbą o opinię; widzimy się, gdy zawita do Białegostoku – bo po licencjacie przeniósł się do Warszawy. Wiersze Sylwii widywałem tam i sam w pismach; ona również przenieśli się do stolicy.

Jak to jest z tymi młodymi poetami, adeptami pióra? Młodzież licealna, czy nieco starsza – akademicka – ciągle pisze wiersze?

Wie Pan, to trudny temat... Pewnie, że młodzi piszą! Piszą – i będą pisać, dopóki świat światem! Dorośli i zupełnie starzy też piszą. I bardzo dobrze, że tak jest. Tyle, że nie każde pisanie jest literaturą. A najczęściej każde chciałoby nią być.

Według mnie, pisanie wierszy rozumiane jest powszechnie jako czynność wstydliva, prywatna; bardziej intymna niż na przykład granie na gitarze, śpiewanie, robienie zdjęć, czy malowanie obrazów. Istnieje takie pojmowanie poezji, pisania wierszy, według którego wiersz to osobiste wyznanie, a nie utwór słowny, wysoko zorganizowany językowo. Wolałbym powiedzieć, że, niestety, powszechnie „pokutuje” takie rozumienie. Zatem istnieje pewnego rodzaju wstyd, intymność, by tego rodzaju twórczość ujawnić innym, opublikować. Nie ma wstydlivosti na przykład przed tym, żeby usiąść na trawniku i zagrać na gitarze. Jest intymność przed tym, żeby przeczytać swój wiersz, o ile miałoby to być moje osobiste wyznanie, „z duszy i serca płynące”. Tak mi się wydaje, że w tzw. „przestrzeni publicznej” – gdyby na przykład zrobić sondę uliczną i zapytać, co to jest poezja – to tak właśnie poezję się powszechnie pojmuje. Ale, na szczęście, ciągle są tacy, którzy nie myślą o swoim pisaniu wyłącznie w kategoriach pamiętnika lirycznego, „donosów na własne stany psychiczne”, ale w kategoriach bardziej artystycznych. I oni właśnie chcą doskonalić swój warsztat literacki. A ja akurat trochę na ten temat wiem. Trochę napisałem, trochę przeczytałem, pracowałem na uczelni – piszą do mnie mejle, wysyłają swoje teksty, zupełnie nieznani mi ludzie. Proszą o lekturę i opinię. Nie wiem, jak mnie znajdują; skąd o mnie wiedzą. Ale jest to powtarzalne – poza emdekiem, poza pracownią, uczelnią. Nie wiem, skąd i jak do mnie trafiają. Zawsze czytam i odpowiadam. Piszę, co myślę; bez cyzelowania: piszę o tekście; odróżniam „ad rem” od „ad personam”. Niestety – nie wszyscy umieją to odróżniać. Czasem – poznajemy się z autorem i pozostajemy w przyjaźni. A bywa też, że autor czuje się osobiście obrażony moją wypowiedzią na temat swojego tekstu. Również to rozumiem: tekst literacki (czy roszczeniawy sobie prawa do literackiego) traktowany jest przez autora jako „moje dziecko” – krytyka tekstu „obraża” autora jako człowieka – no bo jak można komuś obcemu pozwolić na stawianie zarzutów własnemu dziecku!?

Miewam więc opinię wroga autorów – bo od tekstu, który chciałby być tekstem artystycznym, literackim, wymagam by nim był; bo stosuję kryteria estetyki. Mówiłem o tym na początku naszej rozmowy. To trudny temat, szczególnie dziś, gdy rozchwiały się kryteria estetyczne – i każdy może wydać zbiór swoich „poezji”... Za własne pieniądze, bez opinii niezależnych

redaktorów. I, tak naprawdę, niewiele to kosztuje: 5 do 10 złotych za egzemplarz, w zależności od formatu, okładki, ilości stron i ilości kolorów w druku. Powiedzmy: dość zapłacić 2-3 tys. złotych za grafomański tomik w nakładzie 200-300 egzemplarzy! A cóż ta suma znaczy dla 40-50-60 latka? Każde „domowe” wydawnictwo zrobi taką książkę (a nawet drukarnia też) – po to, by zarobić; czysty biznes. A autor od razu, po publikacji tomiku, staje się „poetą”. To „uwolnienie” książek spod krytyki i redakcji jest również ubocznym produktem naszej wolności... Nie ma „sita”; wszystko wolno – skoro jest demokracja. Wszystko jest artystyczne! Nie ma kryteriów. Totalna bzdura!

A gdy idzie o młodzież – to tutaj jest zdecydowanie inaczej, lepiej. Oni, pewnie, mają takie przeświadczenie, że jeszcze się uczą – więc są bardziej podatni na doskonalenie się, na czerpanie wiedzy, na konstruktywną krytykę. I o to mi chodzi! Przed kilkoma laty zapytałem swojego przyjaciela, doktora Krzysztofa Korotkicha, który był wtedy wicedyrektorem IFP na uniwerku, co by powiedział na to, żebym te swoje emdekowskie warsztaty rozszerzył, „wyeksportował” na polonistykę. Niektóre pracownie MDK – modelarskie, fotograficzne czy szachowe – działają przy szkołach, pozostając pod egidą MDK. Krzysztof stwierdził, że jest to świetny pomysł, i moje warsztaty już dwa lata funkcjonowały na uczelni. Mam nadzieję, że ruszą i w tym roku akademickim. I co jest w tym bardzo piękne: zajęcia są otwarte w tym sensie, że nie są przeznaczone wyłącznie dla studentów polonistyki. Uczestnikami są piszący pedagogicy, kulturoznawcy, angiści, studenci filozofii. To jest: wszyscy ci studenci, którzy czegoś chcą od literatury, myślą o sobie jako twórcach. Żeby wyjaśnić: moja pracownia działa równolegle i w MDK, i na polonistyce. Na uczelnię przybywa również młodzież licealna – a do siedziby emdeku również studenci. Licealiści, przychodząc na warsztaty na uczelnię, czują się dowartościowani – i ma to również promocyjny sens dla białostockiej polonistyki, dla wydziału, nawet z punktu widzenia rekrutacji przyszłych studentów.

Jest jeszcze pismo wydawane przez polonistów. Jest pan jednym z jego redaktorów?

Tak. Pismo nazywa się „Nieregularnik Filologiczny *Próby*”. Od 2013 zostały wydane już cztery numery, co roku jeden; od „dwójki” jestem w redakcji. Redakcja jest bardzo szeroka. „Próby” zainicjował Krzysztof Korotkich, który pełnił wtedy funkcję wicedyrektora Instytutu. To bardzo mądra i pożyteczna inicjatywa. I przyszłościowa, bo w dużym stopniu skierowana na studentów – i dla studentów. Krzysztof wpadł na pomysł, by mobilizować młodych ludzi, studentów, którzy zgłaszają się do współpracy. Oni angażują

się w pracę, w idee; odbywają coś na kształt praktyki redakcyjnej i edytor-skiej; uczą się. Żeby z uczelni wynieść nie tylko wiedzę, ale i umiejętności. Przy okazji mając możliwość publikacji swoich tekstów i literackich, i fragmentów prac naukowych, krytycznych czy publicystycznych.

Mój udział nie ma nic wspólnego z etatową pracą w MDK-u – „Próby” są moją prywatną aktywnością na polonistyce białostockiej. A z Krzysztofem pracujemy razem w kilku sferach. Prócz pisma kolejnym ważnym elementem wspólnej roboty jest seria „Białostocka Kolekcja Filologiczna”. W tej chwili wyszła czwarta książka literacka – bowiem seria obejmuje też teksty naukowe, osobno numerowane. Więc faktycznie, BKF opublikował pięć książek. A zaczęło się w 2015 roku tomem dramatów profesora Włodzimierza Szturca z UJ i Akademii Teatralnej w Krakowie – który redagował Korotkich. Drugą książką, a wciąż mówię, numerując, o literaturze, a nie o naukowych publikacjach, był mój zbiór poezji – w którego redakcję zaangażowali się Krzysztof i Teresa Radziewicz. Przed rokiem wydaliśmy tomik wierszy Teresy Radziewicz, na którym pracował Krzysztof i ja. Zaś niedawno została opublikowana czwarta literacka książka BKF-u. Znów był to pomysł Krzyśka Korotkicha – rodzaj hołdu, upamiętnienia. Książka nazywa się *Śmierć*; bardzo interesująca! Otóż Lech Marek, syn zmarłej w 2008 roku Anny Markowej, odnalazł rękopis opowiadań matki pisanych tuż przed śmiercią. Teksty były w wielkim nieładzie. Trzeba było je odszyfrowywać, przepisywać, redagować – niestety, już bez konsultacji z autorką. Dziś, po wydaniu, Leszek Marek uważa, że jest to najlepsza rzecz napisana przez jego matkę. Nie będę wartościował. Ale wspomniany już dziś przeze mnie, w rozmaitych kontekstach, profesor Dariusz Kulesza również podziela tę opinię. Byłem oficjalnie konsultantem literackim książki, ostatnim „sitem” – i robiłem to z radością, ponieważ uważam, że to, co możemy dziś jeszcze zrobić dla nieżyjących pisarzy, to zachować dobrą pamięć. Ma to niepolityczalny wymiar moralny i wobec pani Anny, której już nie ma na świecie, i wobec tych, którzy zostali. Ona naprawdę zrobiła wiele dobrego i dla białostockiej literatury, i dla białostockiego dziennikarstwa.

Tak więc, by podsumować moją obecną współpracę z polonistyką, to widzę tu trzy obszary: emdekowskie warsztaty ma uczelni, mój udział w redakcji pisma „Próby” i w serii książek BKF. A mamy przecież plany na następne książki literackie: 5. tom jeszcze w tym roku kalendarzowym! A o następnych – myślimy. Bo stale dostajemy propozycje od autorów!

Ale, pozwoli Pan, koniecznie muszę powiedzieć o innej swojej działalności redakcyjnej, poza uczelnią. Skoro już mówimy o wydawaniu książek, to muszę o tym powiedzieć! Mimo że ta akurat nie ma wiele wspólnego z białostocką polonistyką. Nawiasem: jakoś tak się składa, że – gdy zaczy-

nam się zastanawiać – to widzę, że moja działalność redakcyjna w ciągu ostatnich lat się bardziej nasiliła. Mniej piszę rzeczy krytycznych, a bardziej zajmuję się właśnie redakcją książek innych autorów – i tzw. „oryginalną” twórczością. Tj. piszę i publikuję więcej własnych wierszy. Ale zostawmy moje wiersze; to „zupełnie inna historia”; to nie ten temat i nie te okoliczności. Więc, wracając do warsztatów literackich i redakcji książek: w 2015 zainicjowałem serię „Podlaskie Prezentacje Poetyckie”; już o tym mówiłem, sygnalizowałem. Wydawcą jest MDK i działające przy nim stowarzyszenie „Talent”. Szczerze powiem, że nie byłoby tych książek, gdyby nie dotacje Prezydenta Miasta. Pierwszy tomik Dominiki Baranieckiej, drugi Weroniki Zimnoch, trzeci Zuzanny Marii Danowskiej – wszystkie w 2015. I wszystkie te dziewczyny, jako licealistki, były uczestniczkami moich zajęć w MDK przez 3-4 lata; dziś skończyły już 2. rok studiów; mówiłem. Czwarty tomik został wydany w zeszłym roku. Są to wiersze Magdaleny Szewczuk. Pierwsze trzy autorki zebrały wszystkie możliwe laury w lokalnych konkursach literackich – jak konkurs UwB im. Anny Markowej (wszystkie były laureatkami pierwszych trzech edycji), konkurs Radia Białystok pamięci Wiesława Szymańskiego (dziewczyny wygrywały jedna po drugiej!), jak mój doroczny konkurs „O Srebrne Pióro MDK” – ale panie spisywały się również konkursach ogólnopolskich. Zaś najświeższa informacja jest taka, że autorka czwartego tomiku, Magda Szewczuk, dostała nagrodę specjalną w konkursie w Katowicach im. Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Jak się okazuje, nie były to tomiki złe, skoro ich autorki zaczynają się liczyć na arenie krajowej. A na bieżący rok, 2017, planuję wydanie piątej już książki PPP – tym razem autor związany jest z białostocką polonistyką: właśnie obronił licencjat. Ale o szczegółach zamilczę...

Panie Januszu, ostatnie pytanie: czego życzyć białostockiej polonistyce?

Zanim na nie odpowiem, to pozwolę sobie powiedzieć jeszcze o kilku konksjach polonistyki i Pracowni Literatury MDK. Nie wyobrażam sobie mojej pracowni bez współdziałania białostockiej polonistyki, bez jej wsparcia. Wielokrotnie z tego korzystałem. Nie zdążyłem wcześniej o tym powiedzieć, a myślę, że warto i należy. W ramach działań pracowni co roku organizuję konkurs literacki dla licealistów. Konkurs nosi nazwę „O Srebrne Pióro MDK”. Od VII edycji (2013) im. Wiesława Szymańskiego, który wielokrotnie był w nim jurorem. Moi najlepsi słuchacze, młodzi poeci, byli często zapraszani przez Wiesława do jego audycji, Poczty Literackiej Radia Białystok; Wiesiek odegrał istotną rolę w działaniach Pracowni Literatury. Ale teraz nie o nim. Do jurorowania konkursu bardzo często zapraszałem polonistów: Jolę Sztachelską, Darka Kuleszę, Kasię Sawicką-Mierzyńską;

od kilku lat zapraszam do jury Krzyśka Korotkicha. A radio, od 7. edycji, po śmierci Wieśka, reprezentuje Dorota Sokołowska. Konkurs dwukrotnie miał zasięg ogólnopolski: przy wydaniach jubileuszowych: piątym (2011) i dziesiątym (w ubiegłym roku). To jest jeden sposób współpracy i mego „korzystania” z białostockiej polonistyki.

A druga rzecz, o której w swoim czasie było bardzo głośno, to cykl wykładów „Lektury szkolne. Reinterpretacja”. Wielokrotnie mówiłem o tym na antenach radiowych – Radia Białystok i „Akadery”. Program wykładów wymyśliłem arbitralnie, bazując na informacjach uzyskanych od swoich słuchaczy w MDK-u, wywodzących się z rozmaitych liceów. Uważałem (i nadal tak myślę), że jeśli jakiś utwór znajduje się w kanonie lektur szkolnych, z jednej strony to zaszczyt dla autora i dzieła – a z drugiej strony to przekleństwo! Chcę, jako idealista, wierzyć, że to fachowcy, nikt inny, decydują o tym, co mieści się w kanonie – a nie jakieś przyczyny natury pozatekstowej, koniunkturalne, polityczne. Ale, bez względu na przejrzystość kryteriów kwalifikacji, utwór znajdujący się w lekturach szkolnych dostaje znamię czegoś niechcianego – przez uczniów właśnie. I mnie to bolało i boli. Przecież takie dzieło, jak *Pan Tadeusz*, to tekst, do którego wielokrotnie można wracać i za każdym razem czyta się je inaczej. Kiedyś, z profesorem Elżbietą Dąbrowicz, właśnie na tychże wykładach, pokazaliśmy *Pana Tadeusza* jako makabreskę, a nie jako sielankę. Słuchacze – młodzież z rozmaitych liceów z miasta – byli całkowicie zdziwieni, zszokowani – bo o to mi szło, by reinterpretować, pokazać inne, niż szkolne odczytania, by zachęcić młodzież do samodzielnej lektury utworu – zupełnie bezinteresownej, nieobwarowanej ocenami w szkole. Taką miałem ideę. I wzięłem „na warsztat” lektury „nudne” typu *Pan Tadeusz* czy trylogia Sienkiewicza, lektury „trudne” typu *Wesele* czy dramaty Witkacego i lektury, na które w szkole brakuje czasu (do nich należy poezja współczesna i współczesny dramat). Wymyśliłem taki cykl i robiłem go przez dwa lata. Te wykłady prowadzili pracownicy polonistyki: Ela Konończuk, Ela Dąbrowicz, Bożena Chodźko, Marek Kochanowski, Anka Kieżuń, Darek Kulesza, Jola Sztachelska. O ile wymieniałem wszystkich... Wykładów odbyło się kilkanaście w ciągu dwóch lat. Nie wyobrażam sobie swojej pracowni w MDK-u bez współdziałania polonistyki. Wiem, kto w czym się specjalizuje na uczelni, dlatego zapraszałem najlepszych fachowców. Bywały sytuacje, że słuchacze, uczniowie szkół średnich w Białymstoku, nie mieścili się na sali widowiskowej, siadali na parapetach i podłodze – a w sali bez trudu mieści się 160 krzeseł. Chodziło mi o łamanie stereotypów szkolnych odczytań. Odschematyzowanie interpretacji. Gdzie, dla młodzieży, obowiązujące szkolne odczytanie (skutkujące pozytywną oceną, przecież!) nierozzerwalnie łączy się z dziełem – tak

więc w efekcie licealiści przestają wiedzieć, co jest dziełem, a co, przyklejoną do niego, interpretacją. „Reinterpretacja” właśnie, inne aspekty rozumienia – dostępne dzięki analizie tekstu. Jestem pewny, że dzięki moim gościom z polonistyki, udało mi się pokazać młodzieży inne, obecne w tekście, opcje czytania!

W pewnym momencie te spotkania młodzieży z nauczycielami akademickimi okazały się zbyt uciążliwe, bo młodzieży bez opiekuna-nauczyciela nie można „puścić” ze szkoły w trakcie trwania lekcji – takie są przepisy. No i okazało się, że klasówki są ważniejsze, że by wziąć klasę na wykład do MDK-u, trzeba organizować „przestawki” w planie lekcji, zastępstwa, itd. Słuchaczy zaczęło ubywać i zrobiło mi się bardzo głupio, kiedy profesor Anna Kieźuń mówiła o Miłoszu, a na sali była dosłownie garstka osób... Przykre! „Rzeczywistość skrzeczy” – że sparafrazuję Wyspiańskiego.

Niczego bym nie zrobił w Pracowni Literatury w MDK bez białostockiej polonistyki! Trochę przesadzam: zrobiłbym, ale na pewno – zdecydowanie znacznie mniej. Uważam, że nasza polonistyczna na uniwerku kadra jest świetna!

Zaś wreszcie odpowiadając na Pana pytanie, czego życzyć: polonistycy należy życzyć studentów, którzy wiedzą, po co tam idą. To jest najważniejsze! Poza tym życzę lepszych warunków technicznych i lokalowych – bo atmosfera już jest. I lepszej polityki kulturalnej państwa, ale to już nie tylko polonistycy wypadaloby życzyć, ale całej humanistyce. Kiedyś, za „moich czasów” polonistyka białostocka nie zajmowała się lokalnymi twórcami, nie robiła spotkań, seminariów, konferencji – w ogóle twórczość regionu nie była istotna na studiach, nie była przedmiotem zainteresowań, nie była uwzględniana w programie nauczania. A dzisiaj jest nawet przedmiot na pierwszym roku, gdzie studenci mają do przeczytania x tekstów lokalnych twórców: Leończuka, Kazaneckiego, Markowej, Janowicza – młodszych również, na przykład Karpowicza. Oznacza to, że „akademy” wyszli zza biurka, zza półek z książkami: idą z duchem czasu i dbają o *genius loci*. Uwzględniają to, gdzie są i skąd pochodzą. I z tego bardzo się cieszę!

No i życzę takich absolwentów, jakich ja miałem – którzy dopiszą się do rozwoju nauki, oświaty, kultury. Literatury. To jest najważniejsze – bowiem, przywołam: „Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie”.

Dziękuję za rozmowę.

Ja również dziękuję.

Kazimierz TRZĘSICKI

KAZIMIERZ TRZĘSICKI

– prof. zw. dr hab., pracownik Uniwersytetu w Białymstoku, filozof i informatyk, profesor nauk humanistycznych. Aktywny uczestnik wydarzeń marcowych w 1968 roku. W kwietniu tegoż roku tymczasowo aresztowany z przyczyn politycznych, zwolnienie uzyskał w lipcu 1968 roku, w tym samym miesiącu został skazany na karę 3 miesięcy pozbawienia wolności z warunkowym zawieszeniem jej wykonania. Do 1968 roku był studentem matematyki Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu, w roku 1973 ukończył logikę na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Doktoryzował się w zakresie nauk humanistycznych w roku 1978 na Uniwersytecie Warszawskim, a w 1989 na tej samej uczelni uzyskał stopień doktora habilitowanego na podstawie rozprawy zatytułowanej *Logika operatorów czasów gramatycznych a problem determinizmu*. W 2010 roku otrzymał tytuł profesora nauk humanistycznych. Specjalizuje się w zagadnieniach z zakresu nauk filozoficznych i informatyki.

Pracował w Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku, następnie na Uniwersytecie w Białymstoku. Był również profesorem Wyższej Szkoły Finansów i Zarządzania w Białymstoku oraz Politechniki Białostockiej. W latach 80. XX wieku aktywny działacz „Solidarności”. W 1988 roku dołączył do Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie. Zasiadał we władzach krajowych Klubu Inteligencji Katolickiej. W 2012 odznaczony Krzyżem Wolności i Solidarności.

Przez lata współpracował z białostocką polonistyką, współuczestnicząc w edycjach kolejnych tomów, redagowanej przez prof. Elżbietę Feliksiak, „Biblioteki Pamięci i Myśli” (XXXV tomów w latach 1991–2002).



BYŁO CIĘŻKO, ALE NIE SMUTNO, BO BYLIŚMY MŁODZI

Panie Profesorze, białostocka humanistyka to nie tylko polonistyka, historia i neofilologia, ale i logika oraz filozofia. Pamiętam wykłady z prof. Witoldem Marciszewski i prof. Jerzym Kopanią. Jak Pan Profesor wspomina czasy, kiedy wszystko w Białymstoku działało się po raz pierwszy?

Prof. Kazimierz Trzęsicki:

Zacząłem pracę w 1974 roku. Były dwa budynki, w których działał uniwersytet: przy Świerkowej i przy Mickiewicza, gdzie teraz mieści się Wydział Prawa. Zatrudniono mnie na Wydziale Humanistycznym w zakładzie organizowanym przez prof. Marciszewskiego. Byłem kimś z pewną przeszłością polityczną. Dlatego już na początku pojawiły się problemy z zatrudnieniem, bo szły za mną papiery SB-eckie za '68 rok. Powiedziałem o tym prof. Marciszewskiemu. On przekazał sprawę profesorowi Andrzejowi Jezierskiemu, który jako prorektor Uniwersytetu Warszawskiego organizował filię w Białymstoku. Jezierski na to: takiego nie pamiętam. Dodajmy, że w 1968 roku prof. Jezierski jako I sekretarz uczelnianej organizacji partyjnej na UW osobiście wyrzucał z Uniwersytetu. Teraz przyjmował na Filię UW w Białymstoku. Miał taki autorytet, że zatrudniono mnie. Gdzie indziej w Polsce nie znalazłbym zatrudnienia. Najwięcej z takich, co byli wyrzuceni z Uniwersytetu Warszawskiego, było wśród historyków. Prof. Andrzej Makowiecki powtarzał, że „garbaci” znajdują zatrudnienie w Filli UW. Ja też się na tym „syberyjskim” zesłaniu znalazłem.

Pracownicy dojeżdżający z Warszawy byli różnie rozpoznawalni przez miejscowych. Ale i też „otwarcii” byli na miejscowe wpływy. Na przykład zimą profesorowe na rynku Bema zaopatrywali się oficerskie, sowieckie kożuchy. Bema to był taki – jak mówiono – ruski rynek. Czego tam nie było? Złodzieje, przemytnicy, wszystko tam można było kupić.

W ciekawej atmosferze zaczął Pan pracę...

Przyszedłem jako magister. W ciągu 3 lat zrobiłem doktorat. Władze polityczne były bardzo zainteresowane powstaniem wyższej szkoły, dlatego wystarczyło zrobić doktorat i dostawało się mieszkanie, więc i mnie to się zdarzyło: otrzymałem 48 metrów kwadratowych w wielkiej płycie o podwyższonym standardzie, czyli ściany włącznie z sufitem oblepione szaroburym papierem, a na krzywej podłodze linoleum. Ale radość z otrzymania mieszkania jest nie do powtórzenia. Mieszkania to był bardzo deficytowy towar, czekało się na nie przynajmniej 10 lat.

Pierwsze zajęcia miałem ze studentami zaocznymi. Na czas zajęć zakwaterowano mnie w Hotelu „Cristal”. Z rozrzewnieniem wspominam, kiedy zawi-

tał tam białostocki bard Janusz Laskowski. Studentami byli zwykle starsi ode mnie nauczyciele. Zajęcia odbywały się przy Świerkowej. Palenie papierosów było powszechne. Korytarz był siny, zasypany petami. Na koniec zajęć „podziękowanie”: kosz z kwiatami, Napoleonem i kawą Wiener Kaffee. Prowadziłem zajęcia z logiki. Logika dzisiaj przestaje być nauczana na szkołach wyższych, z wyjątkiem katolickich seminariów duchownych. Wycofywanie się z logiki związane jest z nowymi prądami postmodernistycznymi, a jedno z drugim się nie komponuje.

Jak się Panu uczyło logiki w tych dość nielogicznych czasach?

Za czasów stalinowskich zakazano logiki. Ale po '56 roku logika wróciła na studia i była nauczana na wszystkich kierunkach w dużym wymiarze. Nie wyobrażam sobie absolwenta uniwersytetu, szczególnie kierunków humanistycznych i społecznych, bez kursu logiki. Nie wyobrażam sobie uniwersytetu bez badań logicznych. Niestety, wraz z usuwaniem logiki z programów studiów ubywa tych, którzy mogliby jej nauczać i którzy zajmowaliby się badaniami logicznymi. Na Uniwersytecie w Białymstoku ostatni, którzy wspólnie z profesorem Marciszewski rozwijali logikę, już odchodzą. Takie są realia. Środowisko to odniosło znaczące sukcesy. Aby nie rozwijać tematu, odwołam się tylko do faktu wydawania czasopisma „Studies in Logic, Grammar and Rhetoric”, które w klasyfikacji Scimago jest drugim najlepszym czasopismem filozoficznym w Polsce, a siódmym w Europie wschodniej. Jest na ministerialnej liście C i jest to najwyższej sklasyfikowane czasopismo w regionie.

Zanim zastanowimy się nad przyszłością logiki i humanistyki, porozmawiajmy o przeszłości. Jak się Pan odnalazł w przedziwnej atmosferze budynku przy ul. Świerkowej? Wykładowcy zwracają uwagę na kapitalny klimat: nie było dużych powierzchni lokalowych, wszyscy siedzieli razem, jedli śniadania, obiady, gadali ze sobą. Życie towarzysko-naukowe kwitło...

Mieszkałem przy ulicy Świerkowej 20. Wieczorami najczęściej graliśmy w brydża: ja, Tadeusz Mroczkowski, prof. Andrzej Stelmachowski i uroczy historyk Mieczysław Wrzosek. Wrzosek pracował w Wojskowym Instytucie Historycznym, gdzie szefem był pułkownik. Zajmował się historią wojskowości. Twierdził, że w Wojskowym Instytucie Historycznym pisze się prawdziwą historię, tyle że „do szuflady”. Jego syn jest dziś profesorem prawa na KUL-u. Profesor Wrzosek był zaciętym graczem i uważał, że najlepiej mu się prowadzi wykłady, jak gra w brydża do rana.

Do brydża konieczna była kawa. Kawa wówczas była deficytowym towarem. Zarabiałem 2,5 tys. zł, a 10 deko kawy kosztowało 60 zł. W spożyw-

czym – ten sklep wciąż funkcjonuje, tyle że powiększony o ówczesny sklep ze sprzętem gospodarstwa domowego – czasami można było dostać kawę. W sklepie ekspedientka mieliła ją. Pilnowało się, żeby dokładnie obstukiwała młynek. Pobory nie wystarczały na utrzymanie, chociaż płaciłem grosze za zakwaterowanie i nie miałem specjalnych wymagań. Ale, powiedzmy, je-sionkę musiałem kupić, kosztowała 2,5 tys. złotych. Takie były ceny. Wspomnianą kawę piliśmy, ale zaparzało się ją kilka razy, później do fusów dosypywało się cukier i te fusy jadło. Było ciężko, ale nie smutno, bo byliśmy młodzi.

Jeśli chodzi o „mateľkę partię”, wszystkie stanowiska na poziomie dziekana były za jej przynajmniej przyzwoleniem (dziekanem była pani dr Halicka). Profesor Marciszewski podkreślał, że u nas jest dobre upartyjnienie, na cztery osoby w zakładzie jedna jest w partii, mamy więc 25% upartyjnienia. Tą partyjną była białostoczanka Zinaida Trybulec, żona Andrzeja Trybulca. Oni mieli stosunek do mateľki partii bardzo trzeźwy: co się da uzyskać, to trzeba. To nie byli ideologowie. Być może wówczas już takich w ogóle nie było. Najbardziej upartyjniony był Wydział Pedagogiki i Psychologii. To byli pracownicy studium nauczycielskiego, na którego bazie powstała Filia UW w Białymstoku.

Ale wróćmy do atmosfery Świerkowej. Profesor Stelmachowski grał z nami w brydża, ale tylko do północy. Później zęgnął się i szedł spać. Zwykle przychodził do nas także polonista Andrzej Goreń. Znaną postacią był profesor Andrzej Makowiecki, który opowiadał wszystkim o wszystkich dowcipy.

A czy Pan wie, że wtedy, jak ludzie widzieli kogoś inaczej wyglądającego, to tytułowali go „magister”? Portierka cały czas mówiła tak do mnie, nawet jak już miałem doktorat. Byliśmy identyfikowani jako „inni” i na dodatek z pełnym szacunkiem. To było bardzo pozytywne.

Było bezpiecznie?

Opowiem Panu taką anegdotę. Otóż w drugiej klatce hotelu uczelnianego przy Świerkowej mieszkała Zosia Dąbrowska, wuefistka. Kiedyś wieczorem weszła do klatki, w której czekał ekshibicjonista. Kiedy mężczyzna pokazał jej „klejnoty”, Dąbrowska uciekła do pierwszej klatki, zadzwoniła po milicję i w towarzystwie milicji ponownie weszła do drugiej klatki. Ekshibicjonista rzucił tylko zdawkowe „Ja ci jeszcze pokażę” i został odprowadzony przez milicjantów.

Czy Białystok sprzyjał temu, by rozwijać się naukowo, pracować ze studentami i mieć poczucie, że się jest we właściwym miejscu?

Prof. Marciszewski był człowiekiem dynamicznym, światowym, wydawał

książki w Europie, dbał o rozwój naukowy. Dzięki jego wsparciu jeździłem na konferencje i brałem delegacje do bibliotek. Dostępność książek była wtedy uciążliwa. Dziś wszystko się zmieniło. Napisałem swojego czasu tekst do książki pamiątkowej wydanej przez prof. Ławskiego na jubileusz Jana Leończuka. Pisałem w nim o problemach współczesnych bibliotek – przepięknych bibliotek, które przestają być atrakcyjne dla studentów, bo prawie wszystko jest zdigitalizowane. Ta tradycyjna biblioteka z książkami przegrywa z elektroniczną konkurencją. I chociaż w Białymstoku było wtedy ciężko z książkami, a o internecie nikt nawet nie marzył, miasto i uczelnia dawały szansę: zrobisz doktorat – dostaniesz mieszkanie. To była ważna motywacja, więc dużo się działo. Marciszewski pomagał, były jakieś pieniądze na pracę badawczą.

Czy ma Pan w pamięci imiona, nazwiska osób, które między innymi dzięki Pana pracy dydaktycznej rozwinęły się naukowo? Najlepsi studenci, którzy potem zostali na uczelni?

Mam z tym problem, bo to były zajęcia usługowe. Ale pamiętam studenta, który mi zaimponował. Wyłożyłem kiedyś trudną rzecz nie po to, żeby studenci ją opanowali, tylko żeby zaproponować ćwiczenie umysłowe. A tu przychodzi facet do tablicy i wyjaśnia wszystko lepiej niż ja. To robi wrażenie. Również na ekonomii miałem takiego studenta, który mi imponował (później był asystentem na matematyce). Nazwisk nie pamiętam, ponieważ nie prowadziłem ćwiczeń, tylko wykłady. Jak uruchomiono studia socjologiczne, miałem zajęcia na studiach zaocznych. I tam naprawdę byłem zaskoczony entuzjazmem studentów. Oczywiście bywały też zgrzyty, ale tego nigdy nie unikniemy w tego typu pracy.

Pamięta pan przekształcenie Filii w samodzielną uczelnię? Czy to była dobra decyzja? Co zmieniło się radykalnie w Pana pracy naukowo-badawczej w 1997 roku?

W tym czasie nie pracowałem na Uniwersytecie, lecz na Politechnice Białostockiej na informatyce. Ale intensywnie współpracowałem z profesorem Elżbietą Feliksiak. Profesor Feliksiak miała pomysł, by wydawać serię naukową „Biblioteka Pamięci i Myśli”, i do mnie się z tym zwróciła. Ja uczyłem wszystkich korzystania z komputera. Chciała tanio. Ja ze Staszkiem Żukowskim nauczyliśmy się TEX-a. To profesjonalny druk. Zacząłem z panią profesor składać książki w TEX-ie. Bywały napięcia, ale profesor umiała to łagodzić. Poznałem wszystkich jej współpracowników. Najwięcej mówiła o Violi Wejs-Milewskiej, a największe uznanie miała dla chłopaków. Marek Olesiewicz to było cudo, później się pojawił dr Leś. Ona książki wydawała

w drukarni Politechniki. Wszędzie była dobrze odbierana, miała wycucie, że jest w czymś kłopotliwa i umiała to rozwiązać. Współpracowałem z nią parę lat, bardzo ją szanowałem, ceniłem. Byłem na jej pogrzebie.

To teraz zapytam o przyszłość humanistyki, nie tylko białostockiej. Może najlepsze rozwiązanie dla studentów to połączenie umiejętności językowych, humanistycznych z na przykład tworzeniem aplikacji i stron internetowych. Pan sam jest humanistą, który zawodowo zajmuje się informatyką. Może więc tutaj jest szansa, by „uatrakcyjnić” humanistykę?

Dzisiaj bardzo interesuję się sztuczną inteligencją. Czytałem ostatnio dwa teksty, jeden Billa Gatesa. Gates nie skończył studiów, a na pytanie, co by dziś studiował, odpowiedział: sztuczną inteligencję! Dziś dla niego liczy się nie tylko informatyka, ale i biologia, przetwarzanie energii. A jeśli mówimy o przyszłości humanistyki, to dla mnie bardzo ważną rzeczą jest idea sieci semantycznej. Jest taki projekt NEL. Wszyscy korygują informacje w bazach danych, by sztuczna inteligencja nauczyła się języka i komunikacji. Tutaj jest wielkie zadanie dla humanistów: budowanie interfejsu językowego. Czytałem wywiad z Markiem Zuckerbergiem, twórcą Facebooka (wywiad przeprowadzono przy okazji uzyskania przez niego tytułu *doctora honoris causa* Harvardu). On, piąty najbogatszy człowiek świata, również nie skończył studiów. On stawia na przedsiębiorczość. Ale na pytanie, czy humanistyka będzie potrzebna, odpowiadam: tak!

Jeśli chcemy być ludźmi, musimy mieć humanistykę! Bo czy sztuczna inteligencja będzie w stanie napisać piękny utwór literacki? Może tak. Ale czy będzie umiała docenić jego piękno? To już nie.

Panie Profesorze, czego dziś Panu życzyć?

Piszę w tej chwili książkę z zakresu metodologii nauk społecznych. Chciałbym ją ukończyć możliwie wcześnie. Mam w planach kilka artykułów. Ostatnio napisałem tekst o negacji i nieskończoności. Tyle pomysłów na różne tematy stwarza problem: czy mi starczy życia? Na szczęście są narzędzia informatyczne, a one umożliwiają mi pracę.

Serdecznie dziękuje za rozmowę.



Plac Uniwersytecki 1,
siedziba UwB
(obecnie Plac NZS-u)

Violetta

WEJS - MILEWSKA

– dr hab., prof. Uniwersytetu w Białymstoku; kieruje Zakładem Filologicznych Badań Interdyscyplinarnych na Wydziale Filologicznym UwB; historyk i antropolog literatury, przez lata adiunkt w Zakładzie Teorii i Antropologii Literatury Uniwersytetu w Białymstoku.

Zajmuje się literaturą XX w., rozpatrywaną interdyscyplinarnie pod kątem antropologii pogranicza kultur oraz problemów psychospołecznych w sytuacji wyobcowania, ze szczególnym uwzględnieniem okresu międzywojennego oraz przypadku emigracji polityczno-kulturalnej po 1939 roku. W kręgu zainteresowań badawczych znajduje się nie tylko literatura piękna, ale i publicystyka, esej, felietonistyka uprawiana zwłaszcza w Radiu Wolna Europa, epistolografia emigracyjna. Liczne kwerendy archiwalne w ośrodkach krajowych (m.in. Archiwum RWE w Warszawie, Archiwum Jana Nowaka-Jeziorańskiego w Ossolineum, Archiwum Romana Palestra w BUW, Czesława Straszewicza w Muzeum Literatury im. A. Mickiewicza w Warszawie, Archiwum Emigracji w Toruniu) oraz w zbiorach zagranicznych (Archiwum Tymona Terleckiego w Oxfordzie, Biblioteka Polska w Rapperswilu i Londynie, Polski Instytut Naukowy w Nowym Jorku) zaowocowały powstaniem prac o problematyce polskiej emigracji politycznej po 1939 r. Badaczka twórczości Tymona Terleckiego, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Tadeusza Nowakowskiego, Witolda Gombrowicza, Andrzeja Bobkowskiego, Jerzego Stempowskiego, Józefa Wittlina, Kazimierza Wierzyńskiego, Marii Danilewicz Zielińskiej. Zwieńczeniem wieloletniej pracy archiwalnej była pierwsza monografia Czesława Straszewicza (1904–1963), jak również szkice o sytuacji pisarza w polskiej sekcji Radia Wolna Europa. Pełniła funkcję prezesa Białostockiego Oddziału Towarzystwa im. Adama Mickiewicza, członka Komisji Rewizyjnej przy Zarządzie Głównym Towarzystwa, członka Rady Bibliotecznej Biblioteki im. Jerzego Giedroycia, zastępcy dyrektora Instytutu Filologii Polskiej UwB. Była członkiem Zarządu Międzynarodowego Stowarzyszenia Białostoczan, redakcji serii „Biblioteka Pamięci i Myśli” oraz „Poetyka i Horyzonty Tradycji”. Od 2016 roku pełni funkcję dyrektora Instytutu Filologii Polskiej na Wydziale Filologicznym UwB.



PROFESOR ELŻBIETA FELIKSIAK: OSOBA WYRAZISTA

Pani Profesor, kiedy rozmawiam z wykładowcami pamiętającymi odległe czasy, oni zawsze uśmiechają się, mówiąc o prof. Elżbiecie Feliksiak. Szczególnie ciepło zapamiętał ją prof. Kazimierz Trzęsicki, który razem z prof. Feliksiak wydawał książki.

Dr hab. Violetta Wejs-Milewska, prof. UwB:

Tak, to były pionierskie czasy. Zresztą prof. Trzęsicki rozpoczął praktykowanie edytorstwa za namową Elżbiecie Feliksiak. Ona niejako zmusiła go do zajęcia się „na poważnie” bardziej wyrafinowaną formą obsługi komputera, kiedy zdecydowała, że poszczególne tomy z żółtej serii „Biblioteki Pamięci i Myśli”, będą składane przy udziale prof. Trzęsickiego i drukowane na Politechnice Białostockiej. Mieliśmy wówczas do czynienia z rewolucją w technologii edytorskiej i wszyscyśmy stawiali pierwsze kroki, prof. Trzęsicki też...

Dlaczego prof. Feliksiak jest tak ważna dla białostockiego środowiska?

Elżbieta Feliksiak najbardziej zapamiętana jest w środowisku jako organizatorka pierwszego wielkiego kongresu kresowego, który symbolicznie konweniował z wszystkimi zmianami związanymi z transformacją 1989 roku – jak wiemy, one także na szczęście dotknęły nauki. Podkreślam ten symboliczny moment, bowiem o Kresach Północno- i Południowo-Wschodnich nie można było mówić wiele lat, a tu nagle w Białymstoku wybrzmiewa głos Kresowian sprzężony z głosem badaczy wielu dyscyplin, i wszyscy mówią o istocie kresowego dziedzictwa Rzeczypospolitej, o jego kulturotwórczym i politycznym wkładzie w bogactwo tego, co dziedziczymy. Kolejne lata niosły ją właściwie na fali tego pierwszego, bardzo udanego zresztą, przedsięwzięcia. Myślę też, że właśnie te kilkanaście lat po 1990 roku było z pewnością najbardziej intensywne i zawodowo spełnione. Teoretyk literatury – jakim była, czuł potrzebę wypłynięcia na szersze wody – dziś możemy powiedzieć, że były to potrzeby natury interdyscyplinarnej. Elżbieta interesowała się antropologią, socjologią, historią regionalną i polityczną. To były jej żywioły, a w owocach w postaci kontaktów z innymi ludźmi, badaczami krajowymi z innych ośrodków czy spoza Polski, partycypowali także jej studenci, tj. ci, którzy potrafili się z nią zaprzyjaźnić. Oczywiście, była to przyjaźń czasem szorstka i trudna, przyjaźń, w której doświadczało się wielu faz: od euforii do irytacji.

Pan zapytał, dlaczego wszyscy uśmiechają się, kiedy mowa o Elżbiecie Feliksiak? Była ona osobą nietuzinkową, bardzo wyrazistą i zdarzało się, że swoją dezygnwolturą wywoływała skrajne emocje. Nie znam nikogo, dla

kogo byłaby obojętna. Wiem również, że napotykała na nieżyczliwość, a czasem i opór środowiska oraz decydentów, kiedy starała się przebić ze swoimi nietuzinkowymi pomysłami badawczymi. Może w tych gorszych momentach jej życia zawodowego nie tyle chodziło o konkretną sprawę, ile o sposób, w jaki próbowała ją rozwiązać. Często nie mogła przekonać audytorium do tego, co jej wydawało się ważne i wartościowe – na przeszkodzie stawała irytacja, brak powściągliwości, emocje; problem osobny stanowiło mało szczęśliwe praktykowanie dialogu: im bardziej Elżbiecie zależało na rozstrzygnięciach po jej myśli, tym bardziej była zdenerwowana, zniecierpliwiona; wyprzedzała myślami (i słowami) interlokutora, konfundowała go. Po tym wszystkim trudno było o dobrą pamięć...

Pani Ją znała przez wiele lat...

Tak. Jak rozpoczynałam studia, prof. Feliksiak była już doktorem i zajmowała stanowisko adiunkta na Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku, ale ona sama zaczęła całą swoją drogę zawodową w Białymstoku, będąc jeszcze magistrem filologii polskiej i germańskiej. Natomiast ja rozpoczęłam studia na przełomie roku 1979 i 1980 i studiowałam – jak teraz o tym myślę – w dobrym momencie, bo w czasach „Solidarności”, w okresie, który wytwarzał... na uczelni szczególną atmosferę, atmosferę uniwersytetu „latającego”, otwartego, trochę zwiariowanego; bardziej uczyliśmy się „od siebie”, niż nas uczono... Rozmawialiśmy o drugim obiegu literatury, o kulturze emigracyjnej, polityce, o tekstach niecenzuralnych, czuliśmy oddech swobody, zakładaliśmy NZS, byliśmy zachwyceni dyskusjami, prowadzonymi w akademiku do rana. Dziś nazwałabym je nocnymi rozmowami Polaków.

Elżbieta Feliksiak weszła do mojego życia nie od razu na pierwszym roku studiów. Spotkałam się z nią naprawdę dopiero na trzecim roku, bo wcześniej, o czym jeszcze powiem, miałyśmy kontakt dość epizodyczny. Nasz kurs uniwersytecki był wówczas 4-letni. Kiedy się z nią spotkałam, byłam już po dość gruntownym 2-letnim kursie filologicznym, po morderczym egzaminie u prof. Haliny Krukowskiej i myślałam, że wszystko co najtrudniejsze, mam za sobą. Bardzo się pomyliłam. Młodszym studentom należy nadmienić, że studiowanie w moich czasach bardzo różni się od współczesnego, i to nie tylko chodzi o nieporównywalny kontekst społeczno-polityczny, ale idzie o zwykłą „technologię” nauki. Mieliśmy tak intensywny plan zajęć, że właściwie na Wydziale byliśmy od rana do wieczora. Każde okienko wykorzystywaliśmy na pracę w bibliotece. Nie było przecież kserokopiarek, gros książek wypożyczaliśmy do domu, a ich lektura odbywała się zazwyczaj

nocą. Żeby być dobrze przygotowanym do ćwiczeń, a ja się starałam, należało być wytrwałym, do czego potrzebny był również wysiłek fizyczny. Ale my, studenci, pomagaliśmy sobie oczywiście. Dzieliłiśmy się materiałem do lektury. Jedni czytali i robili notatkę, która później była multiplikowana, słowem – kooperacja w małych, zaprzyjaźnionych zespołach kwitła.

Ale wróćmy do wspomnień o Elżbiecie. Otóż, mój kolega, Jacek Kossakowski, zachęcił mnie pewnego razu, żebym wzięła udział w pierwszym spotkaniu konwersatoryjnym, które organizowała właśnie Elżbieta, przekonywał mnie, że to bardzo ciekawa, nietuzinkowa osoba.

Okazało się, że niewiele rozumiałam z tego, co Elżbieta mówiła na zajęciach. Byłam na dwóch czy trzech jej konwersatoriach i choć próbowałam nadążyć za biegiem jej myśli, to jednak skapitulowałam, moje myśli stały nieruchomo jak... czapla na jednej nodze. Uznałam bowiem, że wymagania intelektualne, jakie wówczas stawiała, przerastają moje możliwości, zwłaszcza ta jej niekończąca się dygresyjność odbierała mi poczucie jako takiego komfortu. Kolejny raz i już na długo – spotkałam się z nią na kursowym przedmiocie z roku trzeciego, tj. na teorii literatury i na kolejnym konwersatorium. Ale wówczas zupełnie inaczej przebiegła relacja, a z czasem i współpraca. Jeszcze po drodze „zaliczyłam” kurs z literatury powszechnej i była to literatura niemiecka. Zaczęło się również w drugim semestrze proseminarium i już zostałam. Rok III i IV moich studiów to był właściwie okres pod znakiem Elżbiety Feliksiak, może raczej należy powiedzieć „pod jej ręką”. U niej pisałam pracę magisterską o „Calderona de la Barka *Życiu snem*” i już wówczas zrozumiałam, że Elżbieta daje studentowi wolną rękę, daje wiele swobody, że wyrzuca na głębinę rozmaitych sądów i interpretacji, czym zmusza do inicjacji, do przemiany. Zrozumiałam wówczas, choć oczywiście nie tak, jak to dzisiaj rozumiem, że humanistyka jest nauką o duchu, a doświadczenie jest bogactwem, które sprzężone z rozumieniem daje owoc w postaci kultury i tradycji. Dzisiaj myślę z ducha Elżbiety, tzn. klasycznie o humanistyce; nie o post-, nie o trans-, ale o humanistyce po prostu.

Pani kariera naukowa związana była z prof. Feliksiak?

Bardzo dobrze zdałam egzamin magisterski. Elżbieta zawsze przywiązywała się do swoich uczniów, myślała o każdym, choć oczywiście nie miała możliwości, by wszystkim jakoś realnie pomóc po ukończeniu przez nich studiów. Nie o każdym przecież człowieku myśli się z taką samą intensywnością. Ona myślała o zatrudnieniu mnie na uniwersytecie, choć wiadomo, że uzyskanie etatu zawsze było wielkim problemem. Elżbiecie udało się pomóc mi w zatrudnieniu w bibliotece Wydziału Pedagogiki i Psychologii.

Dzisiaj tę pracę wspominam z rozrzewnieniem, jest też źródłem dla snucia wielu opowieści, najczęściej zabawnych, a poważnie – nauczyłam się tam z grubsza rzecz biorąc „obsługi książki”. To, co bibliotekarze robią, uzyskawszy przedtem stosowne wykształcenie, ja na skróty poniekąd – praktykując ten nieznamy mi wcześniej zawód. Przepracowałam około ośmiu miesięcy i uznałam, że nie jestem w stanie wytrwać w tej roli dłużej. Uwielbiam bibliotekę i archiwa, ale od zupełnie innej strony, od strony badacza korzystającego z dokumentów i opisującego dokumenty, o ile one tego wymagają. Odpowiada mi cała detektywistyczna praca, której owocem może być dotarcie do artefaktów, interesujących zapisów itd., mniej systematyczna opieka nad kolekcjami. Ostatecznie znalazłam pracę w szkole średniej i jako nauczycielka języka polskiego przepracowałam tam kilka lat, utrzymując z Elżbietą Feliksiak stały kontakt.

Warto też dodać, że z mojego roku studiów (choć byli i starsi jej seminarzyści, na przykład Ewa Rogalewska) wyodrębnił się zespół badawczy pogranicza. Elżbieta wtedy pisała habilitację i problemy, którymi się zajmowała, konweniowały z pracą naszego Zespołu. Dyskusje w Zespole zapładniały jej twórczość, z kolei jej rozpoznania i analizy rodziły pytania, które stawiała Zespołowi, a korzyść niewątpliwie była obopólna. W tym zespole udało się zgromadzić przyjaciół z Instytutu, zwłaszcza wśród pracowników niesamodzielnych. Większość stanowili jej absolwenci, około dziesięciu osób, które posiadały stopień magistra filologii polskiej. To była rzecz pionierska – w naszym Instytucie w czasach Filii UW nie było tak oddolnie powstałego zespołu, którym na dodatek zarządza ten, kto nie ma najwyższego stopnia naukowego. Elżbieta była tylko adiunktem w stopniu doktora wówczas, a gościli u nas i pracownicy samodzielni. Można powiedzieć, że była to „grupa sytuacyjna”, powstała w sposób zupełnie naturalny, zogniskowana wokół interesującej ją problematyki. Pierwszym namacalnym owocem tych dyskusji i przemyśleń była habilitacja Elżbiety. Pisała bowiem o pograniczach Europy, o napięciach kulturowych między Wschodem i Zachodem, zajmował ją problem europejskiej tożsamości. W rozważaniach pojawił się Tomasz Mann. Ale z czasem ciągnęło ją coraz bardziej w stronę Kresów Wschodnich, Wileńszczyzny, Mińszczyzny, także Kresów Południowo-Wschodnich, czasami pojawiał się Lwów. Elżbieta uważała, że topografią kulturowego południa powinni zajmować się badacze krakowscy, wrocławscy, ci zwłaszcza, którzy lepiej odczuwają zjawisko migracji ze Wschodu przepływającej po 1945 roku przez południowe połacie Rzeczypospolitej.

Wróciłam na uczelnię – można tak powiedzieć – w 1989 roku, zostałam najpierw dzięki przychyłności prof. Karwackiej zatrudniona na pół etatu,

by w kolejnym roku otrzymać etat. Prowadziłam na początku zajęcia propedeutyczne, tzn. z nauk pomocniczych. I jak pamiętam, sama ułożyłam program, który chciałam zrealizować w ramach obowiązujących wymogów merytorycznych. Elżbieta dawała mi dużą swobodę. Byłam wówczas trzecią osobą, o której zatrudnienie szczęśliwie zabiegała: pierwszą była prof. Jolanta Sztachelska, drugą – prof. Elżbieta Konończuk, obie dzisiaj moje koleżanki „po fachu”.

Zastanawiam się też, jak to się stało, że jednak mimo kilku lat, które upłynęły od ukończenia studiów, Elżbieta o mnie pamiętała i brała pod uwagę moją osobę na stanowisko asystenta, kiedy jej pozycja po uzyskaniu habilitacji wzmocniła się w Instytucie. Może – co sądzę na podstawie prowadzonych z nią rozmów – łączyły nas wątki kresowe? Czasem opowiadałam jej o doświadczeniach wojennych wileńskiej rodziny mojego męża, przynosiłam zdjęcia z rodzinnego albumu i inne artefakty syberyjskie (później trafiły one do zbiorów IPN-u). Mam męża półkrwi Łotysza, wileńską rodzinę i rodzinę na Łotwie – stąd kresowe i zarazem syberyjsko-łagrowe historie. Te tematy ożywały w naszych rozmowach, kiedyś powiedziała mi nawet, że to dzięki syberyjskim fotografiom, które przynosiłam na nasze „pograniczno-kresowe” spotkania i wątkom, które podnosiłyśmy, obudził się w niej „duch kresowy”. Oczywiście, nie jestem na tyle naiwna i pyszna, by sądzić, że badanie Kresów jest moją zasługą. Broń Boże! Wierzę jednak w splot koincydencji, w którym i ja znalazłam się we właściwym czasie i momencie; tylko tyle i aż tyle. Ten kresowy głos przywołał ją jednak i obligeował do pracy konkretnej, w pewnym sensie do wypróbowania hermeneutyki z ducha głębokiego ludzkiego doświadczenia. Nie ceniła nowych postmodernistycznych ruchów w humanistyce, bo uważała, że to dla humanistyki śmierć. Jeśli tekst nie jest związany z osobą, a osoba nie jest związana z życiem, nie jest w nim zakorzeniona, albo tekst nie jest formą jego odbicia, nie przegląda się w owym życiu, wówczas mamy do czynienia z dość pustą i jałową zabawą. Uważała, że do miąższu życia, którego kultura jest emanacją, trzeba się dostać poprzez empatię, wzruszenie. Nie odrzucała teorii czy metodologii, lubiła je nawet, sprawdzała, czy są skuteczne, ale była przekonana, że nie należy im zbyt ufać, bo raz są takie, raz inne, w zależności od mody. Ludzkie doświadczenie i jego literackie świadectwo – to coś więcej, to kwestia losu, Opatrzności. A doświadczenie, jak wielokrotnie lubiła powtarzać, ma charakter nieortodoksyjny, dzięki czemu człowiek może, stając przed Nieznanym, zrozumieć więcej. Tak zresztą myślał filozof Hans-Georg Gadamer, którego bardzo ceniła. Jak poznajesz życie człowieka, jego doświadczenie, to wiesz, że wszystko jest możliwe i nic nie jest oczywiste...

Prof. Feliksiak interesowała nie tylko literatura i humanistka...

Paradoksalnie swoje studia rozpoczęła od nauk ścisłych, od fizyki, potem przysłała kolej na germanistykę i polonistykę. Jej ojciec był profesorem biologii, a mama kustoszem w bibliotece. Wywodziła się z inteligentkiej rodziny z tradycją szlachecką i piłsudczykowską. Elżbieta być może ze względu na rodzinną tradycję wybrała fizykę właśnie, choć – jak sama często podkreślała – ściśle myślenie wydaje się niezwykle przydatne do interpretacji poezji, do przekraczania tego, co materialne i wchodzenia na poziom metafizyczny.

Kiedy myślę o prof. Feliksiak, zawsze wracam pamięcią do konferencji o Zbigniewie Herbertcie i spotkania w Ratuszu.

Elżbieta bardzo chciała rozpocząć, po kresowej, nową dyskusję o aksjologii w sztuce i literaturze. Marzył się jej cykl na wzór KUL-owskich studiów norwidowskich, dlatego pierwsza konferencja poświęcona twórczości Zbigniewa Herberta miała ambicje kontynuacji w postaci studiów herbertiańskich. Konferencja udała nam się nie tylko dlatego, że zgromadziła wielu badaczy poety z kraju i zagranicy, ale również dlatego, że udział w niej wzięli młodzi ludzie, studenci. Adeptci aktorstwa z Teatru Lalek odgrywali spektakl o dylemacie Sokratesa, a następnie prowadzona była ożywiona dyskusja o myśli poetyckiej Herberta. Ważne było i to, że wyszliśmy wówczas z progów Uniwersytetu do innych instytucji kultury w mieście, co dzisiaj nie dziwi. Wówczas byliśmy pionierami wyprowadzania dyskusji o kulturze w przestrzeń miejskich instytucji ją popularyzujących. Pomysł cyklu białostockich konferencji i wydawnictwa na wzór studiów norwidowskich był naturalny: Norwid – to jedna z głównych postaci w polskiej literaturze i pasja Elżbiety, której była wierna długie lata.

Jej pasją była też współczesna filozofia hermeneutyczna (wspomniany Gadamer, Ricoeur), ceniła fenomenologię Romana Ingardena w kontekście literatury i sztuki nowoczesnej, z twórców europejskich: z pewnością na pierwszym miejscu był Tomasz Mann, Erica Pederetti..., fascynowała się fenomenem reformacji Marcina Lutra.... Ale, jak sądzę, to szeroko pojęte Kresy, kresowość jako zjawisko socjologiczne i polityczne, pogranicza i problematyka tożsamościowa, mocno związana węzłem pamięci jednostkowej i wspólnotowej, nadawały sens jej badawczym peregrynacjom.

Z perspektywy czasu widać coraz lepiej, jak to wszystko było spójne. Po wiem więcej – Elżbieta wyprzedzała swoimi badaniami pewne tendencje w nauce i w życiu społecznym, które pojawiły się jakiś czas później. Dzisiaj mówimy o geopoetyce, pamięci i postpamięci, badaniach kulturowych, nie wspominam już o problemie multikulturalizmu i kłopotach translatorskich,

a ona to wszystko świetnie wyczuwała i była w tym, co robiła, niezwykle wiarogodna. Widzę to dzisiaj wyraźniej, kiedy przeglądam jej ostatnią książkę, w której wybrzmiewa ryt antropologiczny. Nie można niestety tego samego powiedzieć o współczesnych badaniach, w których ważniejszy niejednokrotnie bywa styl, narracja niż samo przyjmowane bez zbędnych podejrzeń świadectwo. No cóż, może świadectwa, na których pracowała Elżbieta, były wyższej próby niż pisarstwo pokolenia debiutów po 1989 roku?

Prof. Feliksiak była pomysłodawcą serii wydawniczej związanej z Kresami...

Seria powstała naturalnie jako forma utrwalenia materiałów pokonferencyjnych: Wilno i Kresy, Wilno i świat, Wilno mickiewiczowskiej pamięci, Wilno – Wileńszczyzna... Każda konferencja dotyczyła tego samego obszaru, ale miała inną nazwę. Materiały pokonferencyjne wychodziły zazwyczaj w czterech tomach – konferencje były bardzo liczne. Trzeba też dodać, że uczestnicy konferencji byli bardzo zdyscyplinowani, jeśli chodzi o przekazywanie swoich tekstów, bo bardzo zależało im na publikacji w Białymstoku w tomie pokonferencyjnym, który z każdą serią zdobywał sobie renomę w środowisku badaczy. Dzisiaj to już nie jest takie modne, tzn. zajmowanie się dawnymi ziemiami Rzeczypospolitej. Wtedy, po 1989 roku było to coś absolutnie nowego, bo temat po pół wieku funkcjonowania cenzury prewencyjnej był pionierski. Cenzura została zniesiona właśnie na progu lat 90. i można było zacząć mówić o trudnych tematach.

Tak się stało, że w 1990 odbyła się w Białymstoku właśnie pierwsza konferencja o Kresach i zorganizowała ją polonistka Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku. W Warszawie o czymś podobnym nie myślano, wpadła na taki pomysł Elżbieta, co było logiczne i naturalne. Pracowała z nami na wschodzie Polski i być może lepiej rozumiała doświadczenie kresowe, miała tu u nas kontakt z osobami, które przeszły dramatyczną drogę łagrową. Trzeba podkreślić, że ona nie tylko zgromadziła referentów, ona zrekonstruowała środowisko kresowe po roku 1990. Zaprosiła Kresowian ze świata i z Polski, wszystkich, którzy mieli rodzinny związek z Kresami, czasem nie bezpośredni, bo były to dzieci i wnukowie przenoszący pamięć przodków w przyszłość. Ponadto – uczestnicy konferencji to referenci i słuchacze zainteresowani żywotnie stanem badań nad tą problematyką, wówczas bardzo zaniedbaną.

Pierwsza konferencja była ogromna, panele odbywały się w całym mieście. Panel główny odbywał się w salach Akademii Medycznej, przyszło wówczas na to spotkanie z mówcami ponad 500 osób. Panele w sekcjach miały miejsce w różnych miejscach – od Akademii Medycznej po Wydział Pra-

wa Filii UwB. Cała „ impreza ” trwała pięć dni. Logistyczne zorganizowanie, a potem panowanie nad konferencją było bardzo skomplikowane, bo też czasy były inne. Niektórzy przyjechali z Zachodu, z Kanady, ze Stanów Zjednoczonych, z Francji, Włoch, Izraela, trzeba się było gośćmi tymi zająć. Oni sami zobaczyli siebie po latach właśnie w Białymstoku jako Kresowianie, co bardzo skróciło dystans już na wstępie. Mówili, że ich rodzice pochodzili z Kresów i to niezależnie od tego, czy byli to Polacy z Drugiej Rzeczypospolitej, czy Żydzi, zaczęli wymieniać się opowieściami. Z czasem tych, którzy byli świadkami lub uczestnikami historii, ubywało, takie jest prawo natury, ale kolejne konferencje snuły narrację o tych, których świadectwa ostały się w społecznym, choć – podkreślmy to – bardzo wąskim obiegu.

Wydawanie materiałów pokonferencyjnych było również dużym problemem. W tym przypadku, jak i w innych, wszystko kontrolowała Elżbieta, bo na sprawy wydawnicze była bardzo wyczulona. Ona sama uczyła się od początku edytorstwa, korekty, komplementarności publikacyjnej. Poza wszystkim nie mogła tylko pokonać bariery technicznej komputera z początku lat 90. Ale prof. Trzęsicki okazał się bardzo pomocny, chociaż on też miał nie tylko z komputerem, ale i z nią samą przejścia, z kłótniami i napięciami rozmaitej proveniencji włącznie. Kiedy się oboje spierali, Elżbieta chcąc, by prace posuwały się mimo wszystko, przepraszała go później, przynosiła zazwyczaj czekoladki. W efekcie – książki wychodziły. Duże wsparcie – głównie finansowe przychodziło ze strony Oddziału Głównego Towarzystwa Literackiego im. Mickiewicza. Potem wydawaliśmy książki osobne, tj. między konferencjami; zawsze były to prace, które dotyczyły spraw kresowych i to głównie wspomnień. Przyjeżdżający do nas kresowianie mieli dzienniki, pamiętniki, korespondencje. Elżbieta przeprowadzała wywiady ze świadkami epoki bądź uczestnikami zdarzeń, publikowała książki, a samymi bohaterami również opiekowała się również. My, jako zespół też braliśmy w tym udział, choć czuliśmy się mocno zmęczeni, żeby nie powiedzieć przemęczeni skrajnie ilością tych wszystkich zajęć i zadań. Potem się pojawiały z tej serii nasze książki, bo zdobyliśmy się na odwagę, by zaprotestować, że Profesor wydaje książki autorów z całego świata, a my, gdzie jest nasze miejsce i nasze potrzeby, nasze badania i zainteresowania? I wówczas Elżbieta zaczęła wydawać prace swoich uczniów.

O tym zwrocie świadczą dziś książki np. Mariusza Lesia o *science fiction*, Ewy Nofikow, Małgorzaty Sowul. Były to prace jej uczniów, bardzo różne, ale nigdy nie wydałaby Profesor czegoś, do czego nie byłaby przekonana, czym by się w gruncie rzeczy nie interesowała. Wydawnictwo Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza było w istocie wydawnictwem autorskim, niby przy Towarzystwie Literackim, przy Uniwersytecie, ale to ona decy-

dowała, co wychodziło i w jakim kształcie. Taka spółka osobowa i paru akolitów wokół, mały zespół – to ona i my oraz dokooptowani współpracownicy. Zawsze uważała, że im mniejszy zespół, tym lepsze efekty, i chyba miała rację. Ale ten mniejszy zespół, ów rdzeń – to byliśmy my, zawsze zapracowani i zajęci jej sprawami. Opóźniało to z pewnością krystalizowanie się naszych własnych zainteresowań. Dzisiaj już Kresami się nie zajmuję, ale inni w kraju zajmują się... Mnie by bardzo cieszyło, gdyby badacze współcześni, zajmując się problematyką Kresów czy pograniczy, wracali do naszych badań i omówień, także do publikacji. Atmosfery tamtego okresu już się nie odtworzy, ona jest we mnie i we wszystkich moich współpracownikach, których skompletowała Elżbieta Feliksiakowa. Jeśli chodzi o książki: dzisiaj je można wydać lepiej, z mniejszą ilością błędów, myślę, że i edytorsko porządniej. Nam wówczas, tj. w latach 90., zależało na tym, żeby te kresowe sprawy możliwie najszybciej pojawiły się w przestrzeni agory wolnego słowa.

Chociaż prof. Feliksiak nie lubiła postmodernistycznych teorii literackich, świetnie się w nich orientowała. To była osoba z otwartym umysłem.

Elżbieta nie ceniła postmodernizmu. Nie wiem, czy jej wiedza była głęboka, jeśli chodzi o Derridę, myślę, że swoją lekturę skończyła na artykułach Derridy, puentując go tak: sam sobie przeczy i trudno go zrozumieć... Ona była bardziej z ducha klasycyzmu, o czym już była mowa. I tak miała ukształtowany umysł. Jej wypowiedzi poniekąd były „rozczochrane”, bo były to niekończące się dygresyjne, co nie zmienia faktu, że była znawcą literatury niemieckiej i francuskiej. Tę drugą po prostu lubiła za jej lekkość, epatowanie imponderabiliami. Kulturę niemiecką ceniła, ale po latach powiedziała mi w jakiejś luźnej rozmowie, że jest zmęczona jej problematyką, koturnem, rytem metafizycznym.

Kiedy była młodą adeptką polonistyki, była też krytykiem literackim, pisała małe formy krytyczne i pewnego razu napisała duże omówienie krytyczne tłumaczeń poezji Rilkego autorstwa Mieczysława Jastruna. Ze sporą dezynwolturą uznała, że translacja Jastruna jest nieudana, a nawet w paru miejscach zmieniająca sens poezji. Okazało się, że tę właśnie recenzję Jastrun przeczytał. Nietrudno zgadnąć, że był wściekły na nieznaną mu, młodą polonistkę i germanistkę zarazem, która odważyła się pisać o jego pracy tak otwarcie. W dziennikach napisał, że „jakaś tam” Feliksiak napisała, że moje tłumaczenia są do niczego...

Elżbieta była dosyć ostra w ocenach prac innych badaczy, ale w tym przypadku jej krytyka miała głębsze podstawy: sama tłumaczyła Rilkego i takie-

go nam przynosiła na zajęcia. Bez wątpliwości – miała niezwykle wycucie słów, interpretowała również bardzo odważnie, była przede wszystkim świetną pisarką. Gorzej mówiła. Jej pisanie jest klarowne. Jak dzisiaj czyta się jej eseje naukowe, to są to bardzo gęste, estetycznie podbarwione wypowiedzi. Bardzo dbała o styl, ale też trzeba podkreślić, że nigdy estetyka nie zasłaniała istoty rzeczy. Jej bardzo zależało na tym, żeby to, co pisze, było „ładne”, ale niepozbawione właściwego ciężaru gatunkowego. A to jest ogromna umiejętność, której jej zazdroszczę, i z której coraz bardziej dzisiaj zdaję sobie sprawę, mocując się z własnym pisarstwem; ona tę umiejętność szlifowała przez lata, dochodząc do niezwyklej klarowności i prostoty. I tak: pierwsze jej teksty, dotyczące hermeneutyki, były metodologiczne, a jednak... mgławicowe. Widać było główną intencję autorki, która starała się wpisać w sztukę praktykowania hermeneutyki, która chciała posługiwać językiem pojęciowym – i to bardzo hermetycznym. I jak potem z czasem zrzuciła z siebie to obciążenie metodologiczne, by wreszcie tworzyć swobodniej i tak, by chwycyło czytelnika za serce, a było przy tym gęste, mądre, wartościowe, dające do myślenia.

Ostatnia książka, do której ją bardzo namawiałam, to zbiór artykułów rozproszonych po rozmaitych czasopismach i innych pracach zbiorowych, który składała w całość przez ostatnie dwa lata życia, aktualizując niektóre treści, niekiedy korygując styl i wnioski. Jej tytuł to *Antropologia literatury – interpretacje i studia*. Bardzo ją namawiałam do ogłoszenia tej książki, mówiłam jej: Elżbieto, wydałaś tyle książek innym autorom, książek pokonferencyjnych, robiłaś tyle rzeczy dla innych osób, a ile masz własnych książek na koncie? Niewiele przecież. Myślę tu przede wszystkim o habilitacji *Budowanie w przestrzeni sporu*, potem o *Marii Malczewskiego*, o studiach nad Norwidem wydanych staraniem KUL-u w ramach serii *Studia Norwidiana*. I o ostatniej, wspomnianej przed chwilą *Antropologii literatury*.... Nie dane jej było rozwinięcie pewnych wątków, o których myślała. Ona sama dojrzywała do antropologii w sensie praktyki pisarskiej w naturalny sposób, wychodząc od teorii literackich i metodologii redukcjonistycznych, poprzez historię „dużą” i „małą”, psychosocjologię. Zawsze – jak to dzisiaj widzę – najbardziej ją interesował człowiek i to, co się wydarzyło naprawdę. Ostatnia książka została w ostatniej chwili wydana w Krakowie przez Universitas.

Gdy już prof. Feliksiak przeszła na emeryturę, utrzymywała Pani z nią kontakt? Czy Profesor przyjeżdżała wtedy do Białegostoku? Jakie miała plany?

Gdy przyjeżdżała do Białegostoku lub rozmawialiśmy telefonicznie, mówiła: „Jak dobrze, że już nie muszę myśleć o tych męczących mnie pro-

gramach studiów, o wszystkich kłopotach. Mogę już nic nie robić i nie przyjeżdżać na zajęcia”. Sama podróż koleją przez całe zawodowe życie była męcząca. Elżbieta co dwa tygodnie przyjeżdżała do Białegostoku i to przez kilkadziesiąt lat, kiedy była asystentką, adiunktem, profesorem. Przyjazdy to był ogromny wysiłek, z wiekiem coraz większy. Będąc na emeryturze, miała plany. Chciała na przykład napisać książkę o swoich związkach z Kresami. Porządkując swoje prywatne archiwum i archiwum rodziców, dotarła do różnych, bardzo ciekawych historii rodzinnych, które – jak podkreślała – można by uznać za istotę polskiego losu. Natknęła się na opowieści o dziadach piśsudczykach, o ich związkach z polską lewicą patriotyczną, PPS-em; epizody, dopełniające dramatyczne losy Polaków podczas drugiej wojny światowej i tuż po wojnie na emigracji. To – według jej zamysłu – miało być niemetodologiczne, wspomnieniowe, eseistyczne pisanie, nie *stricte* naukowe. Na marginesie – z czasem sama zauważyłam, że Profesor powoli zrzuca męczący płaszcz metodologii i teorii, rezygnuje z obowiązku dowodzenia na rzecz empatii, snucia opowieści...

Jakie jeszcze miała plany? Nie wiem tego do końca, Elżbieta nie była wyłowna. Nie przypuszczam, by przeczuwała, że to jej życie będzie takie krótkie, że Los nie pozwoli jej na dokończenie projektów, które rodziły się w jej umyśle. Żyła przecież tylko 76 lat! Do 74 roku życia była bardzo aktywna, jeszcze przyjeżdżała do Białegostoku. Kiedy zaczęła myśleć poważnie o pisaniu dla przyjemności, właściwie już musiała odejść...

Z jakimi badaczami prof. Feliksiak współpracowała?

Była samorodna, bardzo samoswoja, taka „Zosia samosia”, różne rzeczy robiła sama. Na etapie jej dojrzałego życia zawodowego pojawiły się osoby, które ją wspierały, pomagały jej, kiedy widziały efekty jej pracy. Taką osobą, która Elżbietę bardzo wspierała, była prof. Irena Sławińska. To była wielka postać polonistyki, nie tylko teatrolożka, ale też człowiek wielkiego formatu, osoba, która pomogła Elżbiecie Feliksiak dotrzeć do innych ważnych osób, spoza Polski, do emigrantów politycznych, którzy mogliby coś interesującego wnieść do polskiej kultury; coś takiego, co było poza PRL-em, poza cenzurą, co stanowiło istotę polskiego ethosu. Sławińska miała szansę wprowadzić Elżbietę do kręgu ludzi bardzo ciekawych, niesztabowych. Irena Sławińska pisała opinię ważną na etapie awansu zawodowego, kiedy Feliksiakowa starała się o awans profesorski, także profesor Stefan Sawicki i Helena Karwacka byli pomocni w jej awansie, i prof. Franciszek Ziejka, kiedy jej przewód profesorski był już otwarty. Zbigniew Sudolski, Zofia Stefanowska, ale przede wszystkim profesor Stefania Skwarczyńska, która była promotorem jej doktoratu i której Elżbieta zrewanżowała się

wydaniem *Teorii listu* Stefanii Skwarczyńskiej, byli konsekwentnie bardzo przychylni owocom jej pracy. Elżbieta tę nową edycję *Teorii listu* Stefanii Skwarczyńskiej wydała po latach i wyposażyła w bardzo porządne oprzyrządowanie edytorskie, ponadto wyczyściła ten tekst, opatrzyła go stosownymi przypisami. Jej związki ze Skwarczyńską i z Uniwersytetem Łódzkim były bardzo silne i jeszcze bardziej podkreślone wspomnianą przed chwilą publikacją.

Pamiętam, że prof. Elżbieta Feliksiak na konwersatoriach zawsze wypytywała nas o życie Białegostoku. Jakoś się nim interesowała...

Z całą pewnością tak było. To wpisywało się w krąg jej fascynacji przez Kresy i pogranicza. Pamiętam jej wyprawy do Grodna, do Wilna z zespołem ówczesnych studentów, na początku lat 80. Uczestniczyli w nich prof. Maroszek, prof. Falińska. Relacjonowała mi te wyjazdy prof. Elżbieta Konończuk. Elżbieta jeździła na badania terenowe, była „starą” harcerką, tzn. taką, która żadnych przeciwności się nie lęka... Nigdy nie było wiadomo, co Elżbieta powie albo co zobaczy i jak to skomentuje. Zawsze mówiła, że będąc jedynaczką, miała utrudniony kontakt z ludźmi i dlatego czasem zachowuje się dla siebie samej dziwnie. Rzeczywiście, była czasem nieprzewidywalna w swoich zachowaniach. Owszem, interesowała się Białymstokiem, jego historią, ludźmi, ale nie sądzę, by było to jakieś bardzo pogłębione. Białystok był raczej miejscem wypadu na Wschód. Dla niej Białystok to głównie konkretni ludzie, miała swoje prywatne kontakty, widziała w tym miejscu pewną wartość drzemiącą w ludziach, energię, szczerość, której być może nie dostrzegała już w Warszawie. Wówczas, tj. w latach 80., zwłaszcza ona nas dowartościowywała swoim przyjazdem ze stolicy. Okazało się później, że bardziej związana była z badaczami Filii UW w Białymstoku, z Uniwersytetem Warszawskim jej kontakty były raczej luźne. Ale trzeba też wiedzieć, o jakich czasach mówimy: w początkach lat 80. Filia UW w Białymstoku była zasilana kadrą naukową, która była dla UW niewygodna ze względów politycznych i ideowych; by nie wyrzucać z pracy, zsyłano ich na prowincję... do Białegostoku właśnie. Na przykład Jarosław Kaczyński też wykładał w Białymstoku na Wydziale Prawa w tym samym czasie...

Pamiętam, że w czasie strajków studenckich na Wydziale Prawa Filii UW Elżbieta była obecna, choć nie w takim wymiarze jak prof. Krukowska. Po latach tłumaczyła mi, że właśnie to dojeżdżanie pozbawiło ją naturalnego frontu słusznej walki w czasach „Solidarności”. Była jakby „nieprzynależna” do żadnego z tych zawodowych światów. Chyba nawet tego braku zdecydowania po latach żałowała. Osobiście pamiętam, że prof. Krukowska

przychodziła podczas strajku studenckiego do nas na wykłady, nie odbywały się bowiem zajęcia w naszych macierzystych jednostkach. Elżbieta też przyjeżdżała, ale udzielała się zdecydowanie słabiej – pamiętam jedynie jej wykład o człowieku wykorzenionym w *Małej Apokalipsie* Konwickiego. Słowem – miała mentalność człowieka w podróży i sporo życia spędziła w pociągu, jadąc z Warszawy do Białegostoku (trzy i pół godziny kiedyś w jedną stronę).

Być może ten tryb nomadycznego egzystowania wpływał na jej czasem niezrozumiałe dla otoczenia zachowania, czasem zbyt mocno chciała się wpisać w „tutejszość”, czasem – zbyt intensywnie waloryzowała region.

Cokolwiek by nie powiedzieć, polonistka białostocka zawdzięcza jej bardzo wiele... Tylko w Białymstoku realizowała Profesor wszystkie swoje najambitniejsze cele, my – uczniowie z Zakładu Teorii i Antropologii Literatury także byliśmy częścią tego wielkiego projektu.

Czy poznała Pani prof. Feliksiak od prywatnej strony?

Był taki okres, kiedy ona była dyrektorem Instytutu, a ja jej zastępcą. Przeżywałam katusze, bo to nie było proste zadanie zastępować Elżbietę. Problem polegał na tym, że byłam adiunktem, a ona profesorem. Adiunkt może znacznie mniej niż profesor. Nawet jeśli zrobi coś mądrzejszego niż profesor, to i tak jest gorzej, o ile koncepcja profesora jest odmienna niż biednego adiunkta. A przy Elżbiecie było to jeszcze trudniejsze, bo nigdy nie było wiadomo, co ona chce zrobić, jaki ma plan? A kiedy zaczęła realizować swoje pomysły i konsultować je z gośćmi, dochodziło do różnych – mówiąc dość parlamentarnie – przesileń. Po wielu z takich rozmów, raczej nieudanych, różni petenci, kooperanci i inni przychodzili raczej do mnie, ufając, że może ze mną sprawniej załatwią wszystkie sprawy. Próbowałam ją lojalnie o wszystkim informować na bieżąco, ale i to nie było łatwe. Dzwoniłam do Warszawy, pytałam o jej zdanie. Z czasem, bo było to dość uciążliwe, o wielu drobnych sprawach jej nie informowałam. To też nie było dobre rozwiązanie, bo kiedy przyjeżdżała do Białegostoku, żeby „zarządzać”, okazywało się, że pewne sprawy są już załatwione i zdarzało się, że nie po jej myśli. Taka powtarzająca się sytuacja była źródłem licznych napięć i konfliktów. Na przykład: kolejny rok akademicki przygotowuje się począwszy od połowy lipca do końca września i ja pracowałam zgodnie z tym od lat przyjętym rytmem. Profesor nie miała o tym pojęcia, przyjeżdżała na przykład 1 października i mówiła, że musimy przygotować rok akademicki... Zaczynała wypytywać o szczegóły, a przecież już wszystko było uzgodnione i ustalone. Wtedy właśnie obrażała się na mnie. Zarządzałyśmy – mówiąc z dużą przesadą – trzy pełne lata, ze skutkiem różnym

– co przyznaję po latach, zwłaszcza, że dla mnie to doświadczenie współpracy z Profesor i z zespołem polonistów było momentami traumatyczne. Wychodziłyśmy oczywiście razem na obiad, były wówczas plotki, były i opowieści o życiu... Cały dzień spędzony z Elżbietą na tzw. administrowaniu mężczył niemiłosiernie, ona bowiem przyjeżdżała z Warszawy i była non stop do dyspozycji tu, na miejscu, a ja miałam swoje życie w Białymstoku. Jednak zawsze starałam się być do jej dyspozycji tak długo, jak chciała, co nie znaczy, że nie byłam asertywna. Kiedy Elżbieta wyjeżdżała do Warszawy, zostawiałam z tymi wszystkimi sprawami i je lepiej lub gorzej prowadziłam.

Współpraca z Elżbietą, jak z każdą wybitną osobą, nie była łatwa, jednak wspominam ją samą z pewną czułością. Dzisiaj wiem, że to ona mnie nauczyła wszystkiego, co ma związek z pracą naukową. Na pierwszych zajęciach z nauk pomocniczych powiedziała: „Ja cię rzucam na głęboka wodę... radź sobie, tylko w sytuacjach wyjątkowych przychodź do mnie z pytaniami”. Poradziłam sobie dlatego, że miałam za sobą kilkuletnie doświadczenie nauczycielskie i wiedziałam, jak optymalnie dysponować czasem, ile minut potrzeba na poszczególne etapy zajęć. Pamiętałam, z czym przyszłam i jak powinnam zajęcia spuentować.

Nie wiem, jak byli studenci mnie „tamtą” wspominają, ale pracują w moim Instytucie już profesorowie, którzy wyszli spod mojej ręki. Elżbieta nie nauczyła mnie tego, jak być skutecznym dydaktykiem, ale pokazała, jak gościć naukę z dydaktyką, uczuliła na to, co jest ważne w naszym zawodzie.

Dziękuję za rozmowę.

Piotr WRÓBLEWSKI

– dr hab., emerytowany profesor Uniwersytetu w Białymstoku, językoznawca, obecnie – prof. Lingwistycznej Szkoły Wyższej w Warszawie; pełnił funkcje: kierownika Zakładu Współczesnego Języka Polskiego, wicedyrektora Instytutu Języka Polskiego (1999–2002), Prodziekana Wydziału Filologicznego UwB. Najważniejsze jego publikacje: *Struktura, typologia i frekwencja polskich metafor* (Białystok 1998); *Regionalizmy w języku inteligencji białostockiej* (1981); *Odmiany stylowe współczesnej polszczyzny. (Próba klasyfikacji)* (1988); *Ispolzovanie leksičeskich funkcij v prepodavanii inostrannyh jazykov* (1994); *Językowy obraz ludzkich zachowań w świetle metaforycznych użyć czasowników zwierzęcych i odzwierzęcych* (2000).

PIOTR WRÓBLEWSKI

UNIwersytet PRZED ERĄ INTERNETU

Panie Profesorze, przygodę z Białymstokiem rozpoczął Pan od pracy w Bibliotece II Studium Nauczycielskiego.

Dr hab. Piotr Wróblewski, prof. UwB:

Tak. Zanim w Białymstoku powstała Filia Uniwersytetu Warszawskiego, byłem kierownikiem Biblioteki II Studium Nauczycielskiego w Białymstoku przy ul. Świerkowej. Gdy w 1968 roku powstała Filia Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku, większość pracowników II Studium Nauczycielskiego została zatrudniona w nowo powstałej uczelni, wśród nich również i ja. Zostałem kierownikiem Biblioteki Głównej, gdyż miałem już doświadczenie bibliotekarskie. Później skończyłem podyplomowe studia bibliotekoznawcze i zdałem egzamin państwowy na bibliotekarza dyplomowanego. Pracę rozpocząłem od organizowania Biblioteki Głównej uczelni. Trzonem zbiorów biblioteki stał się początkowo księgozbiór II Studium Nauczycielskiego (ponad 40 tysięcy woluminów), później dołączono do niego księgozbiór Liceum Pedagogicznego w Białymstoku (kilkanaście tysięcy woluminów) i zbiory I Studium Nauczycielskiego (ponad 30 tysięcy



woluminów). Najbardziej aktywne lata w swoim życiu spędziłem przy organizowaniu i powiększaniu biblioteki. To trwało do końca roku 1980.

Kiedy w roku 1981 przeniósłem się na etat dydaktyczny, była już zorganizowana sieć biblioteczna uczelni, tj. Biblioteka Główna Filii UW, Biblioteka Wydziału Humanistycznego i cztery biblioteki zakładowe.

A jak „rozślawiłem” Filię UW w Białymstoku? Na aukcji w Toruniu, po ostrej licytacji z biblioteką kielecką, zakupiłem *Bibliografię* Estreichera. To była sensacja na skalę krajową, pisały o tym gazety, ponieważ wydałem na to więcej niż wtedy kosztował fiat 125p. W ten sposób rozślawiłem niechący Filię UW w Białymstoku.

Przez cały czas mojej działalności zajmowałem się również dydaktyką. Poza biblioteką pracowałem na polonistyce w Pierwszym Studium Nauczycielskim, uczyłem także języka polskiego w szkole podstawowej (w szkole ćwiczeń Licem Pedagogicznego w Białymstoku) i w Liceum Korespondencyjnym w Białymstoku. W Filii UW, oprócz pracy w bibliotece, prowadziłem także ćwiczenia z gramatyki opisowej języka polskiego na polonistyce. Wykłady z gramatyki prowadził wtedy dr Kazimierz Feleszko z Warszawy. Większość kadry dojeżdżała wówczas z Warszawy. Teraz jest inaczej, ponieważ białostoczanie dojeżdżają na zajęcia dydaktyczne do Warszawy i innych miast (ja też jeszcze pracuję i dojeżdżam do Warszawy, gdzie prowadzę wykłady na uczelni niepaństwowej).

Wspomnienia z lat 80. są trudne, akurat powstawała i wzmacniała się „Solidarność”. Potem był stan wojenny i zakłócenia w funkcjonowaniu uczelni. Stan wojenny zaskoczył mnie, pracowałem wtedy na studiach zaocznych. Była sobota. Wybierałem się właśnie na zajęcia, które odbywały się podczas zjazdów w soboty i niedziele. Zadzwoiła do mnie pani dr Irena Halicka, dziś już nieżyjąca, która była prodziekanem na polonistyce, informując o odwołaniu zajęć. To była pierwsza wiadomość dotycząca stanu wojennego.

Podczas stanu wojennego pełniłem, w zastępstwie prof. Władysława Kupiszewskiego z Uniwersytetu Warszawskiego, funkcję dyrektora Instytutu Filologii Polskiej. Zdarzały się wówczas sytuacje, że trzeba było poręczać za studentów, którzy zostali zatrzymani przy roznoszeniu ulotek lub za naruszanie różnych rygorów stanu wojennego i byli przetrzymywani w areszcie. W aresztach zrobiło się ciasno, więc w wyniku takiego poręczenia studenci byli wypuszczani na wolność, jeśli nie wysuwano przeciwko nim zarzutów cięższego kalibru.

Na polonistyce prowadziłem wykłady z gramatyki opisowej języka polskiego, wstępu do językoznawstwa, językoznawstwa ogólnego, tematyczne wykłady monograficzne związane ze stylistyką, a także ćwiczenia z kultury języka polskiego. Miałem też wykład z gramatyki opisowej języka polskiego

na pedagogice (w tym czasie uważano jeszcze, że krótkie przeszkolenie pedagogów z gramatyki języka polskiego jest potrzebne). Po roku 2000 z pedagogiką znów miałem styczność i to aż do 2016 roku. Wydział Pedagogiki, razem z założonym przez śp. prof. Andrzeja Stelmachowskiego oddziałem Wspólnoty Polskiej w Białymstoku, prowadził kształcenie studentów w Grodnie. Byli to zwłaszcza studenci, którzy wykazywali powiązania z polskością, ale byli też Rosjanie, Białorusini, Ukraińcy. Po jakimś czasie Łukaszenko zabronił wydawania nam wiz, więc studenci przyjeżdżali na zajęcia do Białegostoku. Do dzisiaj z niektórymi koresponduję. Pod moim kierunkiem spośród tych grodzieńskich studentów obroniło pracę magisterską około 30 studentów, a kilkunastu uzyskało licencjat.

Jak Pan Profesor wspomina polonistykę? Jacy to byli studenci? Jak się pracowało na przestrzeni lat?

Na przestrzeni lat, niestety, coraz gorzej. Po roku 1990 poziom z roku na rok był coraz niższy, zwłaszcza na studiach zaocznych. Na taki stan rzeczy złożyło się wiele czynników, które wymagałyby obszerniejszego omówienia. W 2008 roku odszedłem na emeryturę, ale nadal pracowałem w swoim zawodzie: w Wyższej Szkole Menadżerskiej w Białymstoku, na Wydziale Humanistycznym w Wyższej Szkole Finansów i Zarządzania w Białymstoku. Teraz też pracuję ze studentami w Warszawie, na niepaństwowej uczelni wyższej z uprawnieniami do nadawania stopnia magistra, która kształci studentów na anglistyce, germanistyce oraz rusycystyce, i wszędzie obserwowałem to samo zjawisko – obniżanie się poziomu wiedzy studentów.

Panie Profesorze, a lata osiemdziesiąte, dziewięćdziesiąte?

Miałem wtedy na polonistyce wykłady z gramatyki opisowej, ze wstępu do językoznawstwa i z językoznawstwa ogólnego. W latach 80. poziom wiedzy studentów jeszcze się utrzymywał, po roku 1990 – jak już wspominałem – stopniowo się obniżał.

Ale mimo wszystko wykładowcy stawiają poprzeczkę wysoko? Pewien kanon wiedzy musi być przekazany.

Oczywiście tak, ale wykładowca zawsze przymierza się do poziomu ogółu i siłą rzeczy, chcąc nie chcąc, jeżeli słaby jest cały rocznik, musi tę poprzeczkę obniżyć. Ale jeżeli dba o to, by zachować rangę przedmiotu, to poza pewną granicę tej poprzeczki na pewno nie obniży.

Zostając wykładowcą na polonistyce, rozwinął Pan skrzydła?

Ta praca mi odpowiadała. Z dydaktyką miałem do czynienia przez cały

czas swego zatrudnienia. Zacząłem pracę w 1957 roku i nie było roku, żebym nie zajmował się dydaktyką. Pracowałem w Szkole Podstawowej nr 2 i nr 7 w Białymstoku, w Szkole Ćwiczeń przy Liceum Pedagogicznym w Białymstoku, w Liceum Pedagogicznym w Białymstoku, w Liceum Korespondencyjnym w Białymstoku, w pierwszym i drugim Studium Nauczycielskim w Białymstoku, wreszcie w Filii UW w Białymstoku i UwB. Nawet wówczas, gdy byłem dyrektorem biblioteki uniwersyteckiej, nie zerwałem z dydaktyką. Później, kiedy byłem na etacie uniwersyteckim, dodatkowo pracowałem w innych uczelniach, w Kolegium Nauczycielskim Języka Polskiego w Suwałkach i we Wszechnicy Mazurskiej w Olecku.

Do pracy dydaktycznej na pełnym etacie w Filii UW zwerbował mnie po doktoracie prof. Andrzej Makowiecki. Na pierwszym i drugim roku prowadziłem wówczas ćwiczenia z gramatyki opisowej języka polskiego, potem stopniowo zacząłem prowadzić inne przedmioty. Pojawił się też w Białymstoku prof. Zygmunt Saloni z Warszawy, który przejął wykłady po prof. Kazimierzu Feleszce. Kiedy po roku 1990 prof. Saloni przeniósł się do Olsztyna, te wykłady przejąłem i prowadziłem je do 2008 roku, tj. przez około 17 lat.

Ciekawszych wspomnień mam więcej w związku z organizowaniem biblioteki, jeśli chodzi o dydaktykę, nie było sensacyjnych ani specjalnie ciekawych wydarzeń. Pamiętam, że budynek na Placu Uniwersyteckim wywalczyli studenci, którzy wykazali się dużą aktywnością. Byłem wtedy akurat w Moskwie, gdzie od roku 1987 do 1990 na Uniwersytecie im. Łomonosowa uczyliśmy razem z żoną studentów rosyjskich języka polskiego, a kiedy w roku 1990 wróciliśmy do kraju, polonistyka z ul. Świerkowej była już przeniesiona na Plac Uniwersytecki do budynku byłego Komitetu Wojewódzkiego PZPR.

Dlaczego studentom zależało na przeniesieniu się ze Świerkowej na Plac Uniwersytecki?

Przy Świerkowej było za ciasno. Tam pozostała pedagogika, która funkcjonuje do dzisiaj i rozbudowuje się intensywnie, natomiast rozrastający się Wydział Humanistyczny nie mógł tam się zmieścić. W tamtym czasie powstał jeszcze kierunek studiów administracyjnych (przekształcony później na Wydział Prawa), którym kierował św. pamięci prof. Andrzej Stelmachowski. Ten kierunek mieścił się w budynku obecnego I Urzędu Skarbowego. Kiedy jeszcze pracowałem w bibliotece i prowadziłem „wojnę” z ówczesnymi rektorami o pomieszczenia dla biblioteki, obiecano mi aulę przy ul. Mickiewicza (obecny Wydział Prawa) na czytelną, która dotychczas mieściła się na korytarzu. Ówczesny rektor doc. Andrzej Jezierski obiecaną aulę

przekazał prof. Andrzejowi Stelmachowskiemu na salę wykładową. Po tym fakcie spierałem się z prorektorem doktorem Piotrem Mytnikiem, sugerując, że na salę wykładową można wynająć salę poza uczelnią, a na pytanie, o jakiej sali mówię, w zaciętrzewieniu wymieniłem salę konferencyjną Komitetu Wojewódzkiego PZPR, mając na myśli salę konferencyjną Komitetu Uczelnianego, która stała zwykle pusta i wykorzystywano ją jedynie podczas zebrań partyjnych. Prorektor, nieco poirytowany, natychmiast zakończył rozmowę.

Po latach się okazało, że niechcący okazałem się „prorokiem”, ponieważ w tej właśnie sali byłego Komitetu Wojewódzkiego PZPR odbywały się wykłady pracowników Wydziału Humanistycznego i tam przez 17 lat również ja prowadziłem wykłady.

Filia była miejscem, do którego przyjeżdżali z Warszawy „niepokorni” wykładowcy. Jak Pan Profesor to wspomina? Czy czuło się atmosferę „bycia pod prąd”?

Owszem. Wśród nich był między innymi prof. Zygmunt Saloni, z którym później się zaprzyjaźniłem. W stanie wojennym przywoził „bibułę” z Warszawy. Prof. Saloni często kolportował różne wydawnictwa „nieprawomyślne”, potem wiersze Janusza Szpotańskiego. Takim kolportażem zajmowali się też inni wykładowcy, ale szczegółów nie znam, ponieważ tego się nie robiło oficjalnie i na pokaz, tylko przekazywano „bibułę” po cichu, z ręki do ręki. Do studentów to docierało. Pamiętam, że ówczesny asystent Profesora Andrzeja Stelmachowskiego (dzisiaj profesor), Stanisław Prutis, powiełał na moją prośbę na kserokopiarce w pracowni, którą dysponował, teksty Sołżenicyna, Janusza Szpotańskiego, wydawnictwa pochodzące z paryskiej „Kultury”, konspiracyjne ulotki i odezwy, które, przekazywane z rąk do rąk, trafiały do wielu pracowników i studentów.

Panie Profesorze, proszę opowiedzieć o swoich mistrzach? Czy miał Pan takich?

Miałem. To wpłynęło zresztą na fakt, że zainteresowałem się językoznawstwem. W Białymstoku w 1955 roku powstało pierwsze Studium Nauczycielskie. Mieściło się ono na rogu ul. Elektrycznej i Mickiewicza, w budynku Liceum Pedagogicznego w Białymstoku, gdzie przed wojną było seminarium nauczycielskie, a dzisiaj jest Wydział Prawa. Na drugim piętrze tego budynku cztery pokoiki należały do Studium Nauczycielskiego. W jednym była polonistyka, w drugim – Wydział Matematyczno-Fizyczny, dwa kolejne – to sekretariat i gabinet dyrektora. Później stan posiadania Studium się powiększył, a po kilku latach powstało drugie Studium Nauczycielskie,

przy ul. Świerkowej. W II Studium Nauczycielskim powstały kierunki: historia, muzyka i śpiew, rolnictwo. Polonistyka pozostała w pierwszym Studium. W I Studium pracowała św. pamięci dr Stanisława Osiecka, bardzo wyjątkowa osoba. Była samotna, ale brała z domów dziecka dzieci na wychowanie. Miała wielu takich wychowanków, doprowadzała ich do pełnoletniości i wyprawiała w świat. Pochodziła z Łomży, tam też jest pochowana. W I Studium Nauczycielskim prowadziła wykłady i ćwiczenia z gramatyki opisowej języka polskiego. Byłem Jej studentem. Kiedy zorientowała się, że nieźle sobie radzę z gramatyką, pochwaliła mnie i tym samym zachęciła do poszerzania wiedzy w tym kierunku. Była świetnym metodykiem. To ona wpłynęła na moje późniejsze zainteresowania.

Po ukończeniu I Studium Nauczycielskiego w 1957 roku studiowałem dalej zaocznie w Krakowie. Tam promotorem mojej pracy magisterskiej był prof. Tadeusz Milewski. Profesor Milewski imponował mi swoją wiedzą. Po studiach skontaktowałem się z Nim w sprawie pisania pracy doktorskiej i nawet ustaliłem jej temat. Niestety, w roku 1966 Profesor zmarł nagle, w wieku 60 lat.

Do doktoratu też miałem szczęście, ponieważ objęła mnie swoją opieką prof. Halina Kurkowska z UW. Kiedy w Białymstoku powstała Filia UW, pracowała tu między innymi doc. Danuta Buttler z UW. Zgłosiłem się do niej w sprawie swego doktoratu ze stylistyki i poprosiłem o opiekę. Powiedziała, że ona nie specjalizuje się w tej tematyce i nie może mną się zająć, ale poleciła mi swoją koleżankę, która zajmuje się stylistyką. Była to wówczas doc. Halina Kurkowska z UW. Pisałem pracę doktorską na temat stylu prozy Brunona Schulza.

Później, kiedy pisałem pracę habilitacyjną, pierwszym jej czytelnikiem był prof. Zygmunt Saloni. Moja habilitacja dotyczyła teorii metafory.

Podsumowując te wywody, mógłbym krótko powiedzieć, że do moich mentorów w pełnym tego słowa znaczeniu zaliczam: dr Stanisławę Osiecką, prof. Tadeusza Milewskiego i prof. Halinę Kurkowską. Wiele zawdzięczam także prof. Zygmuntowi Saloniemu.

Pamięta Pan ulubionych studentów, ludzi, którzy „błyszczeli” na zajęciach dydaktycznych, a później związali się z polonistyką?

Z pewnością tacy byli, ale ja wówczas miałem wykłady, a ćwiczenia z gramatyki prowadziła dr Urszula Andrejewicz (z pozostałych prowadzonych przeze mnie przedmiotów ćwiczeń nie było). Ze studentami spotykałem się zatem tylko na wykładach i na egzaminach. Ponieważ nie miałem bezpośredniego kontaktu ze studentami, to raczej oni mnie pamiętają. Na przykład prof. Jarosław Ławski powiedział mi kiedyś, że podczas egzaminu

wstępnego sam się zdziwił, że odpowiedział na moje pytania i dobrze zdał egzamin z gramatyki. Jeśli chodzi o tych znanych i wybitnych studentów, to należą do nich między innymi: prof. Bogusław Nowowiejski, prof. Dariusz Kulesza, prof. Jarosław Ławski, i kilku innych. To byli dobrzy studenci i nieprzypadkowo są dzisiaj profesorami.

Czego Panu wtedy jako wykładowcy brakowało? Dzisiaj mamy Internet, książki, nowoczesne technologie, sprzyjające studiowaniu. O czym w latach 80. i 90. marzyli wykładowcy i studenci?

Wykładowcy wciąż narzekali na brak potrzebnych lektur. Od początku wzbogacałem księgozbiór Biblioteki Filii UW, ale z narzekaniami miałem ciągle do czynienia, mimo iż sprowadzaliśmy książki z innych bibliotek, wypożyczaliśmy w ramach wypożyczalni wysyłkowej, sporządzaliśmy kserokopie i mikrofilmy. Brak odpowiednich lektur to na początku była największa bolączka. Dość licznie dojeżdżali do Białegostoku wykładowcy z Warszawy i czasami przywozili ze sobą potrzebne lektury, nie zawsze potrzebnie. Pamiętam na przykład takie zdarzenie, że prof. (wówczas jeszcze doktor) Andrzej Makowiecki też narzekał na braki i mówił, że musiał przywozić z Warszawy czasopismo „Meander”, żeby pokazać studentom, jak ono wygląda. Przywoził niepotrzebnie, ponieważ idealnie zachowany komplet, który kupiłem na aukcji, już wtedy był w naszej bibliotece. Inne trudności – to warunki lokalowe, ciasnota. Dopiero z czasem sytuacja się poprawiła.

485

Jak wyglądało „polowanie” na takie wydania? To była praca wymagająca zmysłu detektywistycznego?

Bynajmniej. Wymagało to jedynie pracowitości. Były katalogi antykwaryczne, aukcyjne z antykwariatów w całej Polsce, na bieżąco miało się do nich dostęp, więc przeglądało się, co i gdzie można kupić. Jeśli coś się trafiło, zamawiało się telefonicznie, później wysyłało pisemne zamówienie. Informacja była lepsza niż dzisiaj. Dzisiaj trudno czasem wytropić, co, gdzie kto wydał. Wtedy informacja księgarska była dobra, ukazywały się periodyczne wydawnictwa, które informowały, co i kiedy pojawi się w druku. Zamawiało się zawczasu. Jeśli zaś chodzi o nabytki antykwaryczne, to były wydawane katalogi antykwaryczne, dlatego można było wytropić to, co jest potrzebne. Nie zawsze starczało pieniędzy, ale na to nie narzekałem, ponieważ zwykle się udawało zdobyć pieniądze na zakupy.

Kiedy dziś Pan odwiedza biblioteki uniwersyteckie z Internetem, z laptopami, z tabletami, to pewnie łezka się Panu w oku kręci?

I tak, i nie. Łezka mi się w oku kręci, kiedy przechodzę koło biblioteki, w któ-

rej teraz znajduje się Książnica Podlaska. Przypominam sobie, jak biblioteka była budowana i jak uczelnia była z tego dumna... Gmach został jednak sprzedany przez byłego rektora, absolwenta prawa w Białymstoku. Jak o tym pomyślę, nachodzi mnie smutek, że 13 najlepszych lat swojego życia zmarnowałem, gromadząc zbiory biblioteczne, które dzisiaj zalegają w ciastym budynku, w którym mieścił się Zakład Matematyki UwB. W latach 70. budynek ten proponowano mi na Bibliotekę Główną, ale odrzuciłem ten pomysł, uważając, że budynek jest za mały i nie nadaje się do tego celu. Dzisiaj rola biblioteki nie jest taka jak dawniej. Mam świadomość, że taka jest kolej rzeczy. Są inne źródła dostępu do podstawowych wydawnictw, więc biblioteki tracą na wartości, jeśli chodzi o te źródła dostępu, ale zdecydowana większość materiałów bibliotecznych będzie dostępna tylko w bibliotekach. Poza tym biblioteki pełnią jeszcze inne ważne funkcje, których nie zastąpi żaden Internet. Tak było również z Biblioteką Główną UwB.

Panie Profesorze, przyznał Pan, że jest wciąż aktywnym wykładowcą. Proszę powiedzieć, jak w świecie nowoczesnych technologii wygląda nauczanie językoznawstwa?

Uczy się tak, jak się przedtem uczyło, tyle że sam proces przekazywania wiedzy można dzięki pomocom technicznym znacznie uatrakcyjnić. Zmieniły się także formy dostępu do wiedzy. Kiedyś wykaz lektur student powielał na kserokopiarce, a dziś zrobi zdjęcie telefonem i już wszystko ma. Podobnie, jeśli chodzi o dostęp do niektórych wydawnictw, nie ma nawet takiej konieczności, żeby zdobywać książkę, bo można ją skopiować i mieć w komputerze. Dawniej student potrzebował całej biblioteczki, żeby przejść kolejne lata nauki. Dzisiaj całość może zgromadzić na jednym nośniku i mieć dostęp do tekstów.

To znaczy, że jesteśmy lepszymi studentami językoznawstwa?

Nie. Nic nas nie zwalnia od myślenia i pracy nad sobą. Poza tym sprawa się zaczyna nie na poziomie studiów, ale dużo wcześniej. Na skutek różnych zmian programowych doszło do tego, że już w szkole podstawowej i średniej uczniowie przestali czytać teksty. Jakie są tego efekty, dziś dokładnie widać. Często z dorosłym studentem nie mogę porozmawiać, bo nie mogę się odwołać do określonej wiedzy; nie mogę poczynić aluzji do postaci czy lektur, ponieważ on nie wie, o czym mówię, nie jest odczytany, nie zna polskiej historii, literatury, frazeologii, dlatego trudno z nim rozmawiać. Poza tym studenci niekiedy pozornie ułatwiają sobie życie, przyswajając z dyletanckich opracowań internetowych nieścisłą, wypaczoną lub uproszczoną wiedzę.

Przed Panem dziś większe wyzwania niż w latach 80.

Nie tylko przede mną. Stan czytelnictwa jest właśnie taki, ponieważ dobry poziom szkolnictwa w Polsce obniżono, wzorując się na wzorcach zachodnich czy amerykańskich. Dawniej było lepiej pod tym względem. Przeciętny student amerykański, niemiecki, francuski czy szwedzki nie dorównywał uczniowi czy studentowi polskiemu. Fascynacja wzorcami zachodnimi sprowadziła nas na manowce. Teraz trzeba to naprawiać.

Jak to zrobić?

Opozycja dzisiaj grzmi, że dzieją się złe rzeczy, ponieważ zmienia się program. Od czasu, kiedy zacząłem pracować w 1957 roku, zmian programowych była niezliczona ilość. I jakoś sobie radziliśmy. Teraz zmiana jest naprawdę potrzebna.

Panie Profesorze, to proszę o wskazówki dla tych, którzy są odpowiedzialni za kształcenie wyższe w Polsce.

Mogę wypowiadać się jedynie na tematy związane z polonistyką. Jak już wspomniałem, problem nie pojawia się na poziomie studenckim, ale dużo wcześniej. To nie może być tak, że ucznia czy studenta zwalnia się z czytania lektur. Można eksperymentować, jeśli chodzi o kanon lektur, próbować coś zmieniać, dostosowywać, uwspółcześniać, ale ta nowoczesność nie może polegać na tym, że z listy lektur wyrzucamy Prusa, Mickiewicza, Słowackiego itp., bagatelizujemy wiedzę o historii, kulturze, tradycjach własnego kraju czy innych krajów. Jeśli zaakceptujemy taki model kształcenia, to jakich wykształcimy studentów? Wzorowanie się na zachodnich modelach kształcenia jest w wielu kwestiach nieporozumieniem. Co wie student amerykański, francuski, szwedzki o historii, literaturze, kulturze, geografii Polski, Rosji czy innych krajów europejskich? Niewiele się pomyślę, jeśli powiem, że nic nie wie. W ostatnich latach zmiany programowe w dydaktyce polskiej zmierzały do tego, by ten zachodni wzorzec kształcenia zapanował także u nas. Częściowo to się, niestety, udało. Już dziś jest źle, jeśli chodzi o znajomość tekstów literackich, znajomość podstawowej wiedzy. Proszę posłuchać, jak młodzi ludzie odpowiadają na pytania w organizowanych przez telewizję konkursach czy quizach. Katastrofa! Sprawa jest dość banalna: umiejętności – rzecz ważna, ale bez rzetelnej wiedzy nie da się ukształtować poprawnych umiejętności. Szkoła nie może rezygnować z wyposażenia uczniów i studentów w elementarną wiedzę dotyczącą naszej historii, literatury, kultury, gramatyki, kultury języka i nauk ścisłych. Forsowanie głupich ideologii, próba odcinania kolejnych pokoleń od tradycji, przeszłości, wartości religijnych, od korzeni, rozmywanie problemów

istotnych dla ciągłości narodu i państwa przez agresywne liberalne i lewackie ugrupowania źle wróży na przyszłość.

Zmienię temat. Czy odwiedza Pan dziś białostocką polonistykę?

W ostatnim czasie nie miałem okazji, nie sądzę też, że jestem tam komuś do czegoś potrzebny.

Proszę zdradzić, nad czym Pan teraz pracuje?

Od dawna planowałem, że opracuję słownik polowy. To nie jest słownik tematyczny ani słownik synonimów, chociaż ma pewne cechy styczne z tymi słownikami. Słownik polowy gromadzi słownictwo wokół określonych pól znaczeniowych, najczęściej wykorzystywanych przez ludzi dążących do rozwijania precyzji języka. Otóż w każdym języku, niezależnie od tego, jak on jest zbudowany, takie pola znaczeniowe da się wyodrębnić, na przykład słownictwo nazywające barwy, produkty spożywcze, ubiory, meble, emocje, akty woli itp. W różnych językach te pola są w różnym stopniu reprezentowane, ale w każdym występują, w niektórych są bardziej rozbudowane, w innych mniej. Wdrażanie uczniów do precyzyjnego posługiwania się językiem nie polega na tym, by skłaniać uczniów do opanowania jak największej liczby słów (często poloniści ten błąd popełniają i zalecają uczniom przyswajanie znaczeń słów, których ci nigdy w życiu nie wykorzystają), lecz na tym, by przyswoić zawartość najczęściej wykorzystywanych pól semantycznych i dostrzegać nie tylko podobieństwa, ale i najsłabiej różnice zachodzące między wyrazami należącymi do tego samego pola semantycznego. Opracowałem parę haseł takiego słownika, ale na to trzeba więcej czasu i koncentracji, żeby się tylko tym zająć. Mam też kilka innych pomysłów...

Czego Panu życzyć dziś – w 2017 roku?

Przede wszystkim zdrowia, bo w pewnym wieku jest z tym coraz więcej kłopotów. Za najgłupszą rzecz, jaką w życiu słyszałem, uważam słowa piosenki *Wesołe jest życie staruszka*. Ten, kto to napisał, nie wiedział, o czym mówi. Na przykład zauważyłem, że od czasów mojej młodości najbardziej zmieniły się siły przyciągania ziemskiego. Kiedyś, jak trzeba było przykucnąć i zawiązać but, to się przykucnęło, zawiązało i wstało, żaden problem. Dzisiaj też przykucnę i zawiążę, ale ze wstawaniem już jest problem – ziemia mocniej przyciąga...

Jak będzie zdrowie i chęć, to zrealizuję jeszcze pewne zamierzenia naukowe, co do których sądziłem, że jak pójdę na emeryturę, to będę miał czas, żeby się nimi zająć, ale gdy przeszedłem na emeryturę, to się oka-

zało, że mam mniej czasu niż dawniej i czekam, kiedy będę miał trochę „wolnego”.

Dziękuję za rozmowę.

Jadwiga ZACHARSKA

JADWIGA ZACHARSKA

– dr hab., prof. em. Uniwersytetu w Białymstoku, literaturoznawczyni, badaczka literatury polskiej przełomu XIX i XX wieku, ze szczególnym uwzględnieniem problematyki kobiecej. Autorka monografii naukowych, w tym *Lektury młodopolskie* (Warszawa 1997), *O kobiecie w literaturze przełomu XIX i XX wieku* (Białystok 2000); *Skamander* (Warszawa 1977), *Filister w prozie fabularnej Młodej Polski* (Warszawa 1996). Współredaktorka tomów studiów: *Wiek kobiet w literaturze* (z M. Kochanowskim, Białystok 2002), *Polonistyczne spotkania – Tybinga: studia o literaturze polskiej i polsko-niemieckich związkach literackich przełomu XIX i XX wieku* (z D. Knysz-Tomaszewską, Warszawa 2002), *Poetki przełomu XIX i XX wieku. Antologia* (Białystok 2000), *Literatura wobec I wojny światowej* (z M. J. Olszewską, Warszawa 2000). W latach 2003–2007 dziekan Wydziału Filologicznego UwB.

W OAZIE SPOKOJU

Pani przygoda z Białymstokiem zaczęła się od pewnego zaproszenia...

Dr hab. Jadwiga Zacharska, prof. UwB:

Tak. Profesor Barbara Falińska zadzwoniła do mnie, wiedząc o mojej świeżej habilitacji, późno jednak zrobionej, nie ukrywam. Podjęłam ten pomysł, bo uznałam, że to szansa zmiany po 30-kilku latach pracy na Uniwersytecie Warszawskim, na którym nie czułam się komfortowo, ponieważ za dużo wiedziałam i za dużo pamiętałam. To bardzo niedobra sytuacja, bo zmieniają się czasy, zmieniają się ludzie, a pamięć bardzo przeszkadza.

W którym roku przyjechała Pani do Białegostoku?

W 1998 roku. Rok wcześniej uzyskałam habilitację i po jej zatwierdzeniu uznałam, że zmienię coś w swoim życiu. Traktowałam to jako swego rodza-



ju odskocznę od warszawskich stosunków i nie ukrywam, że specjalnie nie miałam ambicji, aby tam się rozwijać. O Białymstoku już cokolwiek wiedziałam ze względu na kontakty z Ewą Paczoską, która właśnie świeżo przeniosła się z Białegostoku na UW, i z Dorotą Kielak, która tam jeździła jako adiunkt. Zresztą byłam na obronie doktoratu Doroty i jakoś te kontakty zaczęły się tworzyć wokół Białegostoku. Był jeszcze jeden czynnik. Akurat w tym momencie w Warszawie zdecydowano się na zmianę trybu studiowania i przejście na tok „3+2”. Ten projekt bardzo mi się nie podobał; byłam absolutnie pewna, że będzie się to wiązało z ogromnym spadkiem poziomu nauczania. Byłam dość rygorystyczna w egzekwowaniu swoich wymagań. Zdaję sobie sprawę, że nie było to popularne, dlatego uznałam, że być może studenci w Białymstoku, z dala od warszawskich atrakcji, będą solidniejsi.

I tutaj się nie zawiodłam, bo rzeczywiście przez pierwsze 2-3 lata miałam wrażenie, że studenci pracują wytrwalej, pilniej i są bardziej systematyczni. Mieli zdecydowanie mniejsze możliwości, bo zasób książek, zwłaszcza literatury najnowszej, w bibliotekach był bardzo skromny. Sporo rzeczy brakowało. Wszyscy woziliśmy książki z Warszawy. Miałam do czynienia z grupą zdolnych i zainteresowanych studentów, co wcale już nie było takie oczywiste. Rzecz jasna nie wszyscy należeli do tej grupy, ale bardzo duży procent studentów prezentował według mnie poziom zadowalający. I to mnie bardzo motywowało. Mam kontakty z dawnymi uczniami do dnia dzisiejszego, chociaż nie należę do osób łatwo nawiązujących kontakty.

Jakie wrażenie wywarło na Pani miasto?

W 1996 roku byłam na konferencji organizowanej w Białymstoku i właśnie wtedy miałam okazję poznać miasto. Było to poznanie oczywiście formalne, czyli wejście w środowisko, ale wydawało mi się, że jest to miejsce, w którym można pracować. W Białymstoku panuje trochę inna atmosfera i troszkę inni ludzie tu żyją. To wschód sprawia, że ludzie są serdeczni, mili i to mi się bardzo podobało. Miasto też mi się spodobało. I dotąd mi się podoba. Muszę powiedzieć, że ogólnie oceniam ten etap swojej pracy bardzo pozytywnie. To był dobry wybór. Byłam akurat wtedy tu potrzebna, bo ten uniwersytet tworzył dopiero kadre. Uznałam, że to, co mogłam zrobić, zrobiłam. W którymś momencie możliwości się wyczerpały i załamały z różnych powodów, a do tego jeszcze doszły względy całkiem praktyczne: dojazdy zaczęły mi ciążyć, zmieniały się warunki komunikacyjne.

Pani Profesor w Białymstoku nie mieszkała?

Nie. Nocowałam początkowo w hotelu asystenckim przy ul. Wiejskiej. Trzeba było tylko przejechać kilka przystanków, by znaleźć się na uczelni. Dojeżdża-

łam do Białegostoku najczęściej na dwa dni. Potem się to troszkę skomplikowało i bardziej musiałam się zaangażować, gdy – całkiem nieoczekiwanie dla mnie – zostałam wybrana dziekanem. Myślę, że stało się to, ponieważ byłam osobą nową, nietkwiącą w miejscowych układach. Dlatego mogłam być bezstronna. Zdaję sobie sprawę, że staranie, a efekt tych starań to są różne rzeczy. Moje intencje były zawsze czyste i uczciwe. Co z tego wyszło, to rzecz inna. Przy nowych obowiązkach nie mogłam jednakowo dobrze wszystkich swoich zadań realizować. Zawsze jest coś za coś. Jeżeli miałam więcej spraw formalnych do załatwienia, cierpiałam na tym nawet czasami dydaktyka. Bardzo mnie bolało, że cierpiałam na tym etapie również praca naukowa. Napisanie czegoś małego mieściło się jeszcze w moich możliwościach. Poza tym to był okres, w którym odszedł mój ojciec, potem moja teściowa, a potem moja matka, więc do spraw zawodowych dochodziły jeszcze sprawy domowe i takie poczucie, że mogłam zaniedbywać swoich najbliższych w związku z podjęciem wyzwań w Białymstoku. Nigdy nie można jednak wszystkiemu sprostać. Poza tym człowiek nie jest świadomy pewnych zagrożeń, które istnieją, bo działałby wtedy inaczej. W związku z tym trudno mi to nawet komentować. Jest jeszcze czynnik, który mocno się utrwalił i związał z moimi wspomnieniami białostockimi: to było dość dramatyczne dzielenie czasu między prywatny i służbowy, przeznaczony na pracę administracyjną, naukową zespołową i indywidualną, dydaktykę i rozwój własny. Ale ogólnie biorąc, jestem zadowolona. Spróbowałam jeszcze coś robić dla promocji środowiska, udało nam się wspólnie wydać antologię *Poetki Młodej Polski*. Pomysł sam wynikał z moich doświadczeń dydaktycznych, ponieważ na egzaminie stwierdziłam, że studenci nie znają poezji młodopolskich poetek, a prawdę mówiąc, nie mają możliwości jej poznania. Stąd pomysł i dążenie, żeby to zrobić bardzo szybko. Wymagało to mobilizacji całego Zakładu, ale udało się. Następna moja inicjatywa już się nie powiodła – chciałam wydać *Antologię satyry młodopolskiej*. Ale część zespołu nie była zainteresowana współpracą na tym etapie. Rozumiem, że jeśli ktoś ma bliski termin skończenia doktoratu czy habilitacji, to niechętnie angażuje się w wymagające wiele pracy cudze pomysły. To jednak jakoś ostudziło moje zapędy i stworzyło dystans.

Pani Profesor, proszę wrócić wspomnieniami do czasów, kiedy była Pani dziekanem. Co udało się wtedy zrobić?

Muszę powiedzieć, że nie mam czym się pochwalić. Nie wprowadzałam jakiś innowacji, bo trzeba było od początku budować strukturę nowego przecież Wydziału Filologicznego oraz dlatego, że nie miałam doświadczenia w pracy organizacyjnej i byłam jeszcze za słabo wprowadzona w sprawy Białegostoku. Jeśli chodzi o to drugie, prawdę mówiąc, nie bardzo nawet się starałam.

Czerpanie wiedzy od osób drugich i trzecich jest zawsze niebezpieczne. Może dlatego ja w to środowisko nie wrosłam, bo z założenia byłam ostrożna, stosowałam pewien dystans. Jest to jednak sprawa charakterologiczna, są ludzie, którzy szybko i łatwo nawiązują kontakty, ja do takich nie należałam i nie należę. Natomiast starałam się zachować umiar i wypełniać swoje obowiązki najlepiej, jak to było możliwe. Czy to wyszło, nie potrafię odpowiedzieć. Na pewno bardzo ważną sprawą, którą od początku po usamodzielnieniu się ten wydział traktował jako priorytetową, było stawianie na kadrę własną, miejscową. Miałam świadomość, że osoby dojeżdżające, może poza prof. Elżbietą Feliksiak, nie są w stanie w pełni zaangażować się we wszystkie sprawy Białegostoku. Ale żeby mówić o sobie – wiedziałam, że moja rola tutaj jest ograniczona, tymczasowa, że będę tak długo, jak długo okażę się być potrzebna. I nie będę przedłużać pracy w nieskończoność. W którymś momencie trzeba dać młodszym pole do działania. Postępowałam więc zgodnie z tą zasadą. Nie wniosłam do rozwoju białostockiej polonistyki czegoś wyjątkowego, szczególnie własnego, po prostu uczestniczyłam w miarę swoich możliwości w życiu uczelni i starałam się dbać o rozwój Wydziału. Potem przejęli to inni i myślę, że efekty w tej chwili widoczne są chociażby w postaci tego, że uniwersytet ma uprawnienia doktorskie, habilitacyjne, rozwija się, ma dużą kadrę. Ubolewam tylko nad tym, że od dłuższego czasu system szkolnictwa wyższego nie sprzyja małym uczelniom, a szkoda, bo marnuje się potencjał. Czy istnieje możliwość stworzenia systemu takiego, który by temu sprzyjał? Nie wiem, ale to już nie moja sprawa. Szkoda, że zmniejsza się liczba studentów, a co za tym idzie, musi się zmniejszać liczba pracowników. Systemy ocen stosowanych w nauce także nie premiąją tych ośrodków, które nie mają jeszcze własnych czasopism, różnych inicjatyw dających możliwość najwyższych punktacji. Na konferencję do Białegostoku przyjedzie jednak mniej osób niż do Warszawy czy Krakowa. Skądinąd wiem, że przynajmniej w środowisku polonistycznym bardzo ceni się konferencje organizowane w Białymstoku ze względu na ich poziom i atmosferę. Z tej wczesnej fazy pobytu wspominam na przykład kabaret, który na polonistyce działał. Pani Danilewicz, osoba niezwykle dojrzała i utalentowana, zresztą cały zespół był równie znakomity. Pamiętam, że oglądałam wszystkie programy, choć nie wszystkie przedstawienia, i wszystkimi byłam zachwycona. Byłam zachwycona aktorami do tego stopnia, że proponowałam zorganizowanie występu kabaretu w Warszawie, ale jakoś do tego nie doszło. Zespół chyba nie miał takich możliwości. Bardzo ceniłam wszystkich aktorów. Ponieważ prawie wszyscy byli na jednym roku, to zaproponowałam jako wyraz uznania dla ich pracy, w końcu także literackiej, że mają szansę na egzaminie z literatury otrzymać jedną ocenę wyżej, niż wskazywałaby na

to ich wiedza. Proszę sobie wyobrazić, że nie musiałam korzystać z tego, bo wszyscy odpowiadali na piątkę. To naprawdę było zdumiewające. Ten kabaret na pewno był czymś znaczącym i dla ich rozwoju, i dla wydziału.

Podziwiałam spotkania różnych grup na wydziale i w całej uczelni, choćby wigilijne, w których uczestniczyli prawosławni i katolicy. Byłam pod ogromnym wrażeniem występów Chóru. Naprawdę była dobra atmosfera w tym czasie. Mam nadzieję, że nadal jest. Staraliśmy się nie wprowadzać żadnych politycznych czynników, przynajmniej mnie się wydawało, że tak jest i na pewno z mojej strony nie było takich zakusów. Jeśli chodzi o studentów, pamiętam, że byli bardzo chętni do pomocy, do udziału w różnych inicjatywach. Organizowałam tam taką jedną dużą konferencję „Wiek kobiet”. W komitecie było mnóstwo wolontariuszy, dziewczyny głównie, które bardzo pomagały w organizacji konferencji. Pamiętam, że zorganizowały nawet program poetycki przy prezentacji książki *Poetki Młodej Polski*. Szczegółów już nie pamiętam, tylko atmosferę i to, że była ciekawa.

Pani Profesor, kiedy zakończyła Pani pracę w Białymstoku?

Skończyłam w roku 2006. To było chyba dwa lata po habilitacji pani profesor Sztachelskiej, kiedy już w zakładzie pojawiła się druga osoba samodzielna, która mogła zakład poprowadzić. Pamiętam, że tuż po habilitacji pani Sztachelskiej wzięłam urlop naukowy, który spowodował, że nie kandydowałam w wyborach na kierownika zakładu, myśląc już właśnie o wycofaniu się. Jeszcze przez rok wahałam się, jak to będzie wyglądało. Doszłam do wniosku, że nie będę podejmowała żadnych kroków w kierunku przedłużania swojej kariery, bo to był moment, w którym powinnam wystąpić już o profesurę, moi doktoranci uzyskali stopnie, więc była podstawa. Doszłam do wniosku, że skoro nie zamierzam pracować długo, to nie ma sensu narażanie uczelni na organizowanie kosztownej procedury. To jest oczywiście drobiazg. Odejście miało różne, w tym osobiste powody, dojazdy zaczynały mnie męczyć, akurat wtedy miałam pewne problemy ze zdrowiem, w związku z tym uznałam, że dość! W sumie jestem z tego bardzo zadowolona. Trzeba wiedzieć, kiedy odejść.

Przez 8 lat pracy miała Pani okazję, by poznać Białystok i region.

Tak. Zdecydowanie tak. Białystok był dla mnie oazą spokoju. Ja go nie zwiedzałam systematycznie, tylko po prostu chodziłam po mieście. Jak nad czymś myślę, muszę chodzić. Nawet jak coś piszę, to w trakcie chodzenia krystalizuje się pomysł. Dopiero jak mam gotową koncepcję, siadam i piszę. W Białymstoku chodziłam sporo, ale głównie po centrum, słuchałam chórów prawosławnych z Cerkwi św. Mikołaja, zwłaszcza w tym okresie, kie-

dy już hotel na Wiejskiej przestał działać i zatrzymywaliśmy się w Centrum Kultury Prawosławnej. Czasami wieczorem tam się odbywały różne śpiewy w Cerkwi Św. Mikołaja, ale i w samym Centrum, na samym dole, gdzie ćwiczył chór. To było dla mnie ogromne przeżycie. Wtedy już nic wieczorem zrobić nie byłam w stanie, bo to było takie wciągające. Atmosfera panowała znakomita. Białystok podobał mi się jako miasto, jeszcze kiedy na Lipowej kwitły prawdziwe lipy, bo teraz zabetonowano centrum. Chodziłam głównie po Śródmieściu. Przepiękny jest Kościół św. Rocha. To jest w ogóle perła absolutna, niezwykła. Tam tylko trudno było się dostać, bo był otwarty w takich godzinach, kiedy ja na ogół byłam zajęta, ale kilka razy mi się udało. Wygląd wnętrza tego kościoła był dla mnie źródłem niezwykłych przeżyć. Ogólnie Białystok mi się podoba ze względu na dużą ilość zieleni i spokój. Pamiętam, że później jeszcze przywoziłam swoje przyjaciółki do Supraśla. Jeździłam z córką, żeby jej pokazać Supraśl i Białystok, Muzeum Karnego. To było dla mnie także atrakcyjne miejsce do mówienia o innej kulturze, bo ja tam dopiero się zetknęłam z kulturą prawosławną. Było to skromne zetknięcie, ale jednak zrobiło wrażenie i w sumie zdecydowało o pozytywnym odbiorze miasta, że ono jest różne, różni się od Warszawy, jest wewnętrznie zróżnicowane. Na szczęście nie miałam żadnych przygotowań i uprzedzeń, które tam mogłyby się pojawić.

Czy z tamtego okresu pozostały Pani jakieś „mniejsze” lub „większe” przyjaźnie?

Chyba nie. Mam bardzo dobre kontakty z panem Markiem Kochanowskim, z moimi doktorantami dawnymi, z panią Anią Nosek, ale to są kontakty wyłącznie korespondencyjne. Pan Marek przyjeżdża czasami na wykłady w Muzeum Andrzeja Struga. Zawsze wtedy staram się być na wykładzie. Podziwiam zresztą jego rozwój naukowy, bo jest to człowiek nie tylko bardzo zdolny, ale pracowity i skupiony na tym, co robi. Jest niesłychanie odpowiedzialny. Sądzę, że on wielkiej, błyskotliwej kariery nie zrobi właśnie dlatego, że jest zbyt solidny. Każda jego praca jest wszechstronnie udokumentowana i ma szansę zaważyć w polonistyce, chociaż znów zdaję sobie sprawę, że ze względu na położenie uczelni i na obecną sytuację w kolportażu książek naukowych nie osiągnie aż takiego sukcesu w skali, powiedzmy, ogólnopolskiej. Dużo jest osób, które ceniłam i cenię, choć niekoniecznie muszę z nimi podtrzymywać kontakty, natomiast śledzę ich prace. Myślę, że potencjał polonistyki białostockiej jest bardzo duży. Ostatnio na konferencji spotkałam panią dr Kościewicz, osobę wielce mi sympatyczną, która znakomite rzeczy robi, opracowując i wykorzystując materiały archiwalne, co teraz jest niesłychanie rzadkie. Znacznie łatwiej jest sięgnąć po jakąś teorię,

najlepiej w języku obcym sformułowaną, nieznaną nikomu, i na jej bazie opracować efektowny tekst. Natomiast praca w archiwach jest w tej chwili prawie nieopłacalna z punktu widzenia punktacji. I dlatego mam ogromny szacunek dla ludzi, którzy przekopują się przez tony papierów po to, żeby stworzyć bazę dla innych, bo to na tym mniej więcej polega. Praca w każdej dziedzinie nauki jest zespołowa, tzn. kumulują się wyniki pracy różnych osób, ale w zakresie polonistyki to zwłaszcza archiwiści i biografowie są tymi, którzy dają podstawy, na których można potem bazować.

Skoro mówimy o historii białostockiej humanistyki, to może porozmawiamy o przyszłości. Czego Pani Profesor życzyłaby białostockiemu środowisku?

Jestem głęboko zasmucona stanem obecnym polonistyki, ale nie do końca jestem pewna, czy to przypadkiem nie działa taki mechanizm, że my zawsze porównujemy to, co jest teraz, z tym, co było kiedyś, więc muszę wziąć na to pewną poprawkę. Nie chciałabym zrzedzić. To, co mnie razi, to jest odchodzenie od badania literatury polskiej nawet wśród polonistów, i wchodzenie na obszary różnych nowych teorii, które są często słabo uzasadnione, wyrastają z innych doświadczeń historycznych albo są uniwersalne. Nasza literatura jest dostatecznie ciekawa, bogata i oryginalna, żeby w niej znajdować różne nieopracowane dotąd, a ważne i oryginalne tematy.

I życzę kolegom z Białegostoku, żeby kocentrowali się na szukaniu takich „nowych, nieodkrytych dróg”, przywracaniu polskiej literaturze dzieł i postaci niesłusznie zapomnianych, bądź celowo z niej usuwanych i skazywanych na niebyt. I żeby w tej pracy dokonywali fascynujących odkryć oraz czerpali z niej satysfakcję.

Czego życzyć Pani życzyć na następne lata życia?

Jestem w tym wieku, że już się życzy tylko zdrowia i spokoju. Próbuję od czasu do czasu coś robić, ale w bardzo skromnym zakresie, również dlatego, że specjalnej motywacji do tego nie mam. Całe życie poświęciłam na badanie literatury, bo zaraz po studiach zaczęłam pracę na Uniwersytecie Warszawskim. Literatura była dla mnie niesłychanie ważna i ona stanowiła centrum życia. W pewnym momencie okazało się, że to, co robię, jest nieważne, że to nikogo nie obchodzi, że ludzie doskonale się obywiają bez literatury, więc troszeczkę wtedy przyhamowałam. W związku z tym robię teraz głównie to, co lubię, czytam ciągle jeszcze, ale coraz mniej ze względu na oczy, bo to jest choroba zawodowa, kręgi szyjne i oczy. Aspiracji zawodowych już żadnych nie mam, chociaż mam bardzo sympatyczne kontakty z częścią środowiska z Warszawy i innych miast.

Bardzo dziękuję za rozmowę.



UNIwersytet w Białymstoku

Aneks

Władze wydziału i jednostek wydziałowych: 1968 – 2018

1. Dziekani Wydziału 1968- 2019:

Wydział Humanistyczny

1968 – 1975 – Andrzej Wyrobisz

(04 – 06.1974 – doc. dr Franciszek Januszek – prawdopodobnie zastępstwo za prof. Wyrobisza)

Od jesieni (listopad) 1975 – 09.1979 – Teresa Monasterska

10.1978 – 1981 – Ewa Wipszycka-Bravo

1981 – 1982 – Andrzej Wyrobisz (05.1982 – odwołanie prof. A. Wyrobisza

02.03.1983 – 1984 zawieszenie prof. Wyrobisza, jego powrót w 1984 roku)

1982 – 1983 – Andrzej Wyrobisz

1984 – 1985 – Andrzej Wyrobisz, który został zwolniony ze względów politycznych i przez kilka miesięcy stanowisko było nieobsadzone

Od 1.04.1986 – 30.09.1987 – Mieczysław Wrzosek – przeniesienie Wydziału Humanistycznego z ulicy Świerkowej na Plac Uniwersytecki

1.10.1987 – 31.10.1990 – Mieczysław Wrzosek

1990 – 1991 – Jerzy Kopania

1991 – 1993 – Adam Cz. Dobroński

20.05.1993 – 30.09.1996 – Mieczysław Wrzosek

1.10.1996 – 1998 – Władysław A. Serczyk

1.10.1998 – 1.10.1999 – Adam Cz. Dobroński

Wydział Filologiczny

1999 – 2002 – Jadwiga Zacharska

2002 – 2005 – Leonarda Dacewicz

2005 – 2008 – Leonarda Dacewicz

2008 – 2012 – Bogusław Nowowiejski

2012 – 2016 – Bogusław Nowowiejski

2016 – 2019 – Jarosław Ławski

2. Władze Instytutu Filologii Polskiej

Kierownictwo Zakładu Filologii Polskiej - Filia Uniwersytetu Warszawskiego

Danuta Buttler - 1969 - 1971
Roxana Sinielnikoff - 1971 - 1976
Andrzej Makowiecki - 1976 - 1977
Irena Halicka - 1977 - 1978
Marian Jurkowski - 1978 - 1980

Dyrekcja Instytutu Filologii Polskiej - od 1997 roku jako Uniwersytet w Białymstoku

Marian Jurkowski - 1980

Andrzej Makowiecki - 1980 - 1981

Helena Karwacka - 1981 - 1993
zastępca - Ryszard Chodźko 1981 - 1983
zastępca - Bogusław Nowowiejski 1985 - 1993
zastępca - Wiesław Stec 1991 - 1993

Barbara Falińska - 1993 - 1999
zastępca - Bogusław Nowowiejski 1993 - 1999
zastępca - Wiesław Stec 1993 - 1999

Halina Krukowska - 1999 - 2002
Zastępca - Piotr Wróblewski 1999 - 2002

Elżbieta Feliksiak - 2002 - 2005
zastępca - Violetta Wejs-Milewska 2002 - 2005

Jolanta Sztachelska 2005 - 2008
zastępca - Piotr Stasiewicz 2005 - 2008

Urszula Sokólska 2008 - 2012
zastępca - Mariusz M. Leś 2008 - 2012

Urszula Sokólska 2012 – 2016
zastępca – Krzysztof Korotkich 2012 – 2016

Violetta Wejs-Milewska od 2016 do 2019
zastępca – Mariusz M. Leś 2016 – 2019

3. Władze Instytutu Filologii Wschodniosłowiańskiej

Kierownictwo Zakładu Filologii Rosyjskiej – Filia Uniwersytetu Warszawskiego

Tadeusz Szyszko – 1968 – 1971
Halina Milejkowska – 1971 – 1975
Tadeusz Kołakowski – 1975 – 1979
Jurij Lukszyn – 1979 – 1985
Jan Czykwin – 1985 – 1988
Michał Łesiów – 1989 – 1990
Jan Franciszek Nosowicz – 1991 – 1994

Kierownictwo Zakładu Filologii Wschodniosłowiańskiej – Filia Uniwersytetu Warszawskiego

Jan Franciszek Nosowicz – 1994 – 1996

Dyrekcja Instytutu Filologii Wschodniosłowiańskiej – od 1997 roku jako Uniwersytet w Białymstoku

Jan Franciszek Nosowicz – 1996 – 1999
zastępca – Leonarda Dacewicz – 1996 – 1999
zastępca – Mikołaj Kruk – 1996 – 1999

Zofia Abramowicz – 1999 – 2002
zastępca – Bazyli Siegień – 1999 – 2002

Jan Czykwin – 2002 – 2005
zastępca – Halina Smorczevska – 2002 – 2005

Jan Czykwin – 2005 – 2008
zastępca – Halina Smorczevska – 2005 – 2008

Wanda Marianna Supa – 2008 – 2012
zastępca – Robert Szymula– 2008 – 2012

Wanda Marianna Supa – 2012 – 2016
zastępca – Robert Szymula– 2012 – 2016

Leonarda Dacewicz – 2016 – obecnie
zastępca – Anna Romanik – 2016 – obecnie

4. Instytut Neofilologii

Nauczycielskie Kolegium Języków Obcych – Filia Uniwersytetu Warszawskiego, od 1997 Uniwersytetu w Białymstoku

Dyrektor – Zdzisław Głębocki (1991/1992)
Dyrektor – Dorota Potocka (1992 – 1997)
Dyrektor – Lucyna Aleksandrowicz-Pędich (1998/1999)

Katedra Neofilologii – Uniwersytet w Białymstoku

Kierownik – Anna Miatluk (1999 – 2008)
Zastępca kierownika – Grzegorz Moroz (1999/2000)
Barbara Głowacka (2000 – 2008)

p.o. kierownika – Barbara Głowacka (2008 – 2011)
p.o. kierownika – Dorota Szymaniuk (2011 – 2014)
kierownik – Jerzy Kamionowski (2014 – 2015)

Instytut Neofilologii

Dyrektor – Jerzy Kamionowski (2015 – 2019)
Zastępca – Ewa Lewicka-Mroczek (2015 – 2019)

5. Katedra Kultury Białoruskiej (w strukturach Wydziału Filologicznego).

Kierownicy Katedry Kultury Białoruskiej – od 1997 roku

Elżbieta Smułkowa 1997 – 2002

Eugeniusz Mironowicz 2003 – 2007

Lilia Citko 2008 – 2011 (p.o.)

Prof. Bogusław Nowowiejski (p.o.)

Zakład Kultury Białoruskiej – od 2016

Irena Matus 2016 – obecnie

6. Zakład Hermeneutyki i Translatoryki Filozoficznej

2017 – kierownik: Joanna Usakiewicz

Katedra Bioetyki i Antropologii Filozoficznej

2005 – 2017 – kierownicy:

Jerzy Kopania (2005-2011),

Maria Nowacka (2011-2016),

Joanna Usakiewicz (p.o. kierownika, 2016-2017)

Zakład Bioetyki i Antropologii Filozoficznej

1998 – 2005 – kierownik: Jerzy Kopania

Zakład Teorii Poznania (powołany 1 czerwca 1991 roku)

1991 – 1998 – kierownik: Jerzy Kopania

7. Międzywydziałowy Instytut Kulturoznawstwa i Sztuki

Zakład Wiedzy o Kulturze

1998 – 2008 – Zakład Wiedzy o Kulturze w IFP - kierownik: Sław Krzemień-Ojak

2008 – 2010 – Anna Wieczorkiewicz

2010 – 2018 Alicja Kisielewska (od 2011 roku Zakład poza strukturą IFP;

w marcu 2017 r. zmiana nazwy Zakładu – Zakład Studiów nad Kulturą i Mediami)

Od 2011 roku do kwietnia 2017 roku – międzywydziałowe studia na kierunku kulturoznawstwo

Alicja Kisielewska – Pełnomocnik Dziekana Wydziału Filologicznego ds. kierunku kulturoznawstwo

Ewa Katarzyna Citko – Pełnomocnik Dziekana Wydziału Pedagogiki i Psychologii ds. kierunku kulturoznawstwo

Od kwietnia 2017 roku - powołanie Międzywydziałowego Instytutu Kulturoznawstwa i Sztuki

Alicja Kisielewska – Dyrektor Międzywydziałowego Instytutu Kulturoznawstwa i Sztuki

Ewa Katarzyna Citko – Wicedyrektor Międzywydziałowego Instytutu Kulturoznawstwa i Sztuki

Noty o Autorach

DOMINIK SOŁOWIEJ, dziennikarz telewizyjny, publicysta, historyk literatury, krytyk literacki. Absolwent Wydziału Filologicznego Uniwersytetu w Białymstoku. Prowadzi spotkania poświęcone kulturze i sprawom społecznym oraz szkolenia i wykłady. Promotor czytelnictwa. Jego specjalność to: marketing polityczny, public relations, marketing narracyjny, reklama i problematyka nowych mediów. Autor wielu artykułów naukowych i popularnonaukowych, w tym: *Motywy kafkowskie w Piersi Philipa Rotha* (w: *Poetyka egzystencji. Franz Kafka na progu XXI wieku*, Wydział Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego, 2004), *Grass: Europa, Niemcy, Polska* (w: *Idee Europy w kulturze XX wieku*, Uniwersytet w Białymstoku, 2005), *Idea metempsychozy w „Księdze zgodności” Adama Mickiewicza* (w: *Mickiewicz mistyczny*, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, 2005) oraz *Toward a Validation of Anthony Giddens’ Globalization* („Global Studies Journal”, Volume 2, Issue 1). Autor publikacji *Kompendium Innowacji Społecznych*, opublikowanej w 2014 roku przez Ośrodek Wsparcia Ekonomii Społecznej w Łomży, oraz współautor książki *Przewodnik po świecie mediów*. Zrealizował cykl reportaży telewizyjnych poświęconych między innymi Gruzji, podlaskiej kuchni regionalnej i historii województwa podlaskiego. Współpracownik Uniwersytetu w Białymstoku.

505

JAROSŁAW ŁAWSKI, prof. zw. dr hab., kierownik Katedry Badań Filologicznych „Wschód – Zachód”; dziekan Wydziału Filologicznego Uniwersytetu w Białymstoku. Zainteresowania badawcze: literatura XVIII – XX wieku, faustyzm i bizantyzm, polsko-wschodniosłowiańskie związki kulturowe, relacje geopolityki i kultury, Młoda Polska oraz Czesław Miłosz. Redaktor naczelny Naukowych Serii Wydawniczych „Czarny Romantyzm”, „Przełomy/Pogranicza” oraz „Colloquia Orientalia Bialostocensia”. Autor i redaktor wielu książek, w tym: *Wyobraźnia lucyferyczna. Szkice o poemacie Tadeusza Micińskiego „Niedokonany. Kuszenie Chrystusa Pana na pustyni”* (Białystok 1995), *Marie romantyków. Metafizyczne wizje kobiecości. Mickiewicz – Malczewski – Krasiński* (Białystok 2003), *Bo na tym świecie Śmierć. Studia o czarnym romantyzmie* (Gdańsk 2008), *Ironia i mistyka. Doświadczenia graniczne wyobraźni poetyckiej Juliusza Słowackiego* (Białystok 2005) oraz *Mickiewicz – Mit – Historia. Studia* (Białystok 2010). Edytor

Horsztyńskiego Słowackiego w serii Biblioteki Narodowej oraz III-tomowych *Pism rozproszonych* Zygmunta Glogera. Ostatnio wydał monografię: *Miłosz: „Kroniki” istnienia. Sylwy* (Białystok 2014). Członek Komitetu Nauk o Literaturze PAN; członek korespondent Polskiej Akademii Umiejętności. Mieszka w Ełku i Białymstoku.

THE CIRCLE OF PHILOLOGISTS IN BIAŁYSTOK 1968-2018. A HISTORY IN FORTY-FIVE INTERVIEWS. BY DOMINIK SOŁOWIEJ. EDITED AND PREFACED BY JAROSŁAW ŁAWSKI. THE FACULTY OF PHILOLOGY, THE UNIVERSITY OF BIAŁYSTOK. BIAŁYSTOK 2018.

Summary

The volume brings together forty-five interviews, conducted by Dominik Sołowiej – a journalist from Białystok and a graduate of the University of Białystok – with all those who from 1968 to 2018 have created a circle of regional philologists, or, broadly speaking, humanists. It includes conversations with professors, lecturers, and many others who have contributed to the development of Polish, Russian, Belarusian, French, and English studies, as well as translation, cultural and library studies. They all have been active within the Faculty of Philology, which has been an autonomous scholarly unit since 1999. The volume also brings the voices of historians, philosophers, Americanists, and sociologists, who, together with the philologists, had been part of the Faculty of Humanities until 1999, at the subsidiary of the University of Warsaw in Białystok, and later, from 1997, at the University of Białystok. The development of the circle is marked by the following dates:

1968 – the Teacher Training College in Białystok (a subsidiary of the University of Warsaw) is established.

1968 – the Unit of Russian Studies at the Teacher Training College is established.

1969 – the Unit of Polish Studies is established.

1973 – the Faculty of Humanities at the subsidiary of the University of Warsaw in Białystok is established.

1980 – the Senate of the University of Warsaw establishes the Institute of Polish Studies in Białystok.

1992 – the Unit of Belarusian Studies is established.

1994 – the Institute of Eastern Slavic Studies is established.

1997 – the University of Białystok becomes an independent institution.

1999 – the Faculty of Humanities is changed into two separate units: the Faculty of Philology and the Faculty of History and Sociology.

2001 – the Faculty of Philology is given the right to award doctoral degrees.

2015 – the Institute of Modern Languages is established.

2017 – in a national assessment procedure, the Faculty of Philology is granted the category “A”.

2017 – the Senate of the University of Białystok establishes the Institute of Cultural and Art Studies.

Commemorating the fiftieth anniversary of the philologist circle in Białystok, the volume was prepared by the journalist Dominik Sołowiej and Professor Jarosław Ławski, Dean of the Faculty of Philology and Head of the Chair in Philological Studies “East-West”. Transcripts of the interviews were edited by Magdalena Zabielska and Łukasz Zabielski; and Krzysztof Korotkich and Paweł Balejko took all the photographs included. The volume was officially presented to the readers on 9th of June, 2018, in the Faculty’s main lecture hall.

Przełożył Jacek Partyka

LA COMMUNAUTE PHILOLOGIQUE DE BIALYSTOK 1968-2018. L'HISTOIRE DANS 45 CONVERSATIONS, MENEES PAR DOMINIK SOLOWIEJ, IDEE, EDITION ET INTRODUCTION JAROSLAW LAWSKI, FACULTE PHILOLOGIQUE DE L'UNIVERSITE A BIALYSTOK, BIALYSTOK 2018

Résumé

Le livre est une collection de 45 interviews menées par un journaliste de Białystok - également diplômé de la langue polonaise locale - Dominik Sołowiej avec des personnes qui ont créé la communauté philologique, plus généralement: humaniste de Białystok dans les années 1968-2018. Le livre comprend des conversations avec des professeurs, des conférenciers et des gens qui créent depuis 1968 une communauté scientifique philologique: philologues polonais, russes, biélorusses, romanes et anglais, traducteurs, chercheurs culturels, experts en bibliographie, réunis depuis 1999 à la Faculté de philologie indépendante. Le volume contient également les opinions d'historiens, philosophes, américanistes et sociologues, qui jusqu'en 1999 ont formé avec des philologues la faculté conjointe des sciences humaines d'abord à la Branche de l'Université de Białystok, puis à l'Université indépendante de Białystok (à partir de 1997). Les étapes de l'histoire de la communauté sont déterminées par les dates suivantes :

1968 - Création de l'Université des enseignants de Białystok (institutionnellement associé à l'Université de Varsovie).

1968 - Création du Département de Philologie Russe à la Faculté des Lettres de l'Université des enseignants.

1969 - Création du Département de Philologie Polonaise.

1973 - Création de la Faculté des sciences humaines de la Branche de l'Université de Varsovie à Białystok.

1980 - Le Sénat de l'Université de Varsovie nomme l'Institut de philologie polonaise.

1992 - mise en service du Laboratoire d'études biélorusses

1994 - Fondation de l'Institut de philologie est-slave

1997 - Création de l'Université indépendante à Białystok.

1999 - Séparation de deux unités indépendantes de la Faculté des sciences humaines : Faculté de philologie et Faculté d'histoire et de sociologie.

2001 - Obtention du droit de donner le titre de docteur par la Faculté de Philologie.

2015 - Création de l'Institut des langues vivantes.

2017 - La faculté de philologie reçoit la catégorie A dans l'évaluation paramétrique

2017 - création de l'Institut inter-facultaire des études et des arts culturels par décision du Sénat de l'Université de Białystok.

Le livre a été préparé à l'occasion du 50ème anniversaire de la communauté de philologie de Białystok par le journaliste Dominik Sołowiej et le prof. Jarosław Ławski, doyen de la Faculté de philologie et chef de la Chaire d'études philologiques « Est-Ouest ». Les textes des conversations ont été écrits et édités linguistiquement par Magdalena et Łukasz Zabielski. Des photos ont été prises par Krzysztof Korotkich et Paweł Balejko. La promotion de la maison d'édition a eu lieu le 9 juin 2018 dans l'auditorium de la Faculté de philologie de l'Université de Białystok.

Indeks nazwisk

A

Abramowicz Zofia – 9, **(30-37)**, 100, 501,
Albowicz Danuta – 392,
Aleksandrowicz-Pędich Lucyna – 9, **(38-45)**, 138, 150, 155, 157, 502,
Aleksejeva Larissa – 127,
Aleksiejuk Jan – 382,
Aleturowicz Magdalena – 117,
Alexandrowicz Stanisław – 41, 44, 193, 280, 289,
Andrejewicz Urszula – 19, 380-381, 435, 484,
Apulejusz – 155,
Archimedes z Syrakuz – 76,
Armstrong Louis – 162,
Arystoteles – 443,
Awierczenko Arkadij – 198,
Awramiuk Elżbieta – 28

B

Bachórz Józef – 209,
Bachtin Michał Michajłowicz – 443,
Backiel Alicja – 310,
Baka Roman – 70,
Baker Josephine – 160,
Balejko Paweł – 4,
Balicki Michał – 362,
Baraniecka Dominika – 447, 451,
Baranowska Hanna – 372,
Baranowska Małgorzata – 372,
Barańczak Stanisław – 86, 444,
Bardot Brigitte – 77,
Barthelme Donald – 159,
Bartnicka Barbara – 111,

Bartnicki Andrzej – 344, 347,
Beckett Samuel – 159,
Bednarek Bożena – 435,
Benka Urszula – 445,
Berent Waław – 335,
Berlińska Anna – 301,
Białokozowicz Bazyli – 422,
Białoszewski Miron – 445,
Biegluk-Leś Weronika – 139,
Bieliński B. – 27,
Bierut Bolesław – 79,
Biesiekirski Luba – 127,
Blake William – 156,
Bobkowski Andrzej – 462,
Bobrowska Barbara – 9, **(46-55)**, 301, 311, 313, 336,
Bogacki Krzysztof – 9, **(56-61)**, 116-117,
Bogdanowicz Elżbieta – 100,
Bogdanowicz Marta – 380,
Boguski Dariusz – 439-440,
Bogusławski Andrzej – 34, 65,
Bokszczanin Maria – 291,
Bonifacy z Tarsu, św. – 76,
Borges Jorge Luis – 81, 83,
Boroda Krzysztof – 229,
Borowik Irena – 446,
Borowska Jolanta – 310-311, 313,
Borusewicz Bogdan – 270,
Bosko-Brzozowska Anna – 272,
Boy-Żeleński Tadeusz – 256,
Brach-Czajna Ewa – 51,
Brach-Czajna Jolanta – 77, 330,
Bralczyk Jerzy – 77, 208, 259, 263, 270,
Brandstaetter Roman – 232,

Brandys Kazimierz – 236, 252,
 Branicka Teresa – 259, 408,
 Branicki Jan Klemens – 53, 67,
 Brodzka Alina – 433,
 Bryll Ernest – 249,
 Brzezińska-Stec Halina – 19, 27, 392,
 Brzęczek-Izydorczyk Elżbieta – 22,
 Budrowska Kamila – 51, 144,
 Budryk Leonard – 280,
 Bugiel Ewa – 22,
 Bułhakow Michaił – 416,
 Burek Krzysztof – 252,
 Burroughs William S. – 162,
 Burzyńska Melania – 250,
 Buttlerowa Danuta – 258, 262, 269,
 288-289, 484, 500,
 Bühler Karl Ludwig – 434,
 Byron George Gordon – 161,

C

Calderón de la Barca Pedro – 466,
 Carter Angela – 150, 152,
 Chludzińska-Świątecka Jadwiga –
 408,
 Chodźko Bożena – 9, **(62-72)**, 77,
 224, 290, 362, 452,
 Chodźko Ryszard – 9, **(74-84)**, 224,
 328, 336, 500,
 Chojnacki Roman – 445,
 Chojnowski Andrzej – 270,
 Cholewa Joanna – 59-61, 116-117,
 119,
 Chomicz Anatol – 222,
 Chwiłka-Izydorczyk Wiesława – 117,
 Cicha Karolina – 145,
 Cieślíkowa Aleksandra – 102,
 Cimoszewicz Włodzimierz – 175,
 Ciruk Barbara – 435,
 Ciszewski Andrzej – 370,
 Citko Ewa Katarzyna – 77, 504,

Citko Lilia – 100, 202, 503,
 Clarke Samuel – 370,
 Coleman Ornette – 162,
 Coltraine John – 162,
 Cronenberg David – 162,
 Cudworth Ralph – 370,
 Cychun Hienadź – 179,
 Cywińska-Dziekońska Marta – 117,
 Czajkowska Agnieszka – 22,
 Czapiuk Alina – 220,
 Czapliński Przemysław – 235,
 Czarnecki Tomasz – 219,
 Czeszko Bohdan – 275,
 Czykwin Jan – 9, **(86-94)**, 203, 263,
 501-502,
 Czyżewska Maria – 392,

D

Dacewicz Leonarda – 9, 32, **(96-103)**, 391, 499, **501-502**,
 Danilewicz-Zielińska Maria – 462,
 494,
 Daniszewska Elżbieta – 250,
 Danowska Zuzanna Maria – 447,
 451,
 Davis Miles – 162,
 Dąb Zbigniew – 221,
 Dąbrowicz Elżbieta – 49, 240, 334,
 339, 358, 436, 452,
 Dąbrowska Joanna E. – 17, 23,
 Dąbrowska Zofia – 458,
 Dąbrowski A. – 27,
 Dąbrowski Tadeusz – 145,
 Demska-Trębacz Mieczysława – 142,
 Dębska Agnieszka – 16,
 Dmitruk Krzysztof – 433,
 Dmowski Roman – 282,
 Dobroński Adam Czesław – 16, 210,
 223, 229, 274, 280-281, 439, 499,
 Dobrowolski Stanisław Ryszard – 275,

Dolphy Eric – 162,
Doroszewski Witold – 107-108,
110-111, 394,
Dreścik Monika – 117,
Drewnowski Tadeusz – 236,
Drużyńska Duńska – 286, 288,
Drzeżdżon Jan – 247,
Dubas-Urwanowicz Ewa – 290,
Dubieniec Elwina M. – 122,
Duc Elwira – 23,
Dudek Waldemar – 80,
Dziekanowski Czesław – 77, 80, 330,

E

Eliot Thomas Stearns – 236,
Estreicher Karol – 480,

F

Faleński Felicjan – 46,
Falińska Barbara – 9, **(104-111)**,
136, 168-169, 194, 299-300, 382,
408-409, 490, 500,
Fauve-Chamoux Antoinete – 226,
Feleszko Kazimierz – 297, 480, 482,
Feliński Elżbieta – 27, 50, 62, 67,
77, 83, 194, 225, 251, 254, 258, 260,
280, 293, 300-301, 312, 330-332,
357, 364, 432, 437, 454, 459-460,
464-477, 494, 500,
Filinowicz Alina – 179,
Fizman Samuel – 209,
Freud Sigmund – 291,
Fulbright James William – 340,

G

Gadamer Hans-Georg – 468,
Gajda Stanisław – 131,
Gajewska Lusja – 34,
Gajewski Jan – 21,
Galloway Patrick Richard – 226,

Gałczyński Konstanty Ildefons – 256,
Garlicki Andrzej – 266,
Gates Bill – 460,
Gąsiorowski Krzysztof – 444,
Gąsowski Tadeusz – 221,
Geremek Bronisław – 289,
Geremek Hanna – 219, 289,
Gębczyński Marek – 305,
Giddens Anthony – 505,
Giedrojc Jerzy – 27, 175, 462,
Gierek Edward – 444,
Gimier Jerzy – 365,
Giovanni Nikki – 150, 158,
Glinka Stanisław – 181-182,
Gloger Zygmunt – 242, 506,
Głębocki Zdzisław – 502,
Głowacka Barbara – 9, 58, **(112-120)**, 502,
Głowiński Michał – 236, 433,
Gnatowski Michał – 27, 229, 274,
Godlewska Joanna – 4, 25,
Godlewska-Żyłkiewicz Beata – 28
Gołębiowski Marek – 116,
Gombrowicz Witold – 83, 142, 145,
210, 238, 462,
Gomułka Władysław – 16, 398, 444,
Goreń Andrzej – 77, 224, 258, 458,
Goreń Anna – 77, 224, 258, 289, 432,
Goszczyński Seweryn – 206,
Gowin Jarosław – 158,
Górnicki Łukasz – 67, 242, 286, 292,
Górski Konrad – 237,
Grabski Grzegorz – 77,
Grala Marek – 445,
Gramsci Antonio – 167,
Grass Günter – 505,
Greenaway Peter – 161,
Grinberg Daniel – 194, 225, 330-333,
Grinev-Gryniewicz Sergiusz – 10,
(122-131), 370,

Grochowiak Stanisław – 445,
 Grossek-Korycka Maria – 308,
 Grubiński Waclaw – 312,
 Gryniewicz Klemens – 124,
 Grządzielski Zbigniew – 22,
 Guzowski Piotr – 226-227, 229,

H

Hajczuk Roman – 10, **(132-140)**, 365,
 Halicka Irena – 210, 218, 259, 286,
 289-290, 296-297, 404, 406, 437-
 438, 458, 480, 500,
 Handke Ryszard – 434,
 Hassman-Poznańska Elżbieta – 380,
 Helsztyński Stanisław – 40-41,
 Hen Józef – 275,
 Hentschel Gerd – 299-300,
 Herba Zenon – 224,
 Herbert Zbigniew – 145, 232, 469,
 Herbst Stanisław – 269,
 Herling-Grudziński Gustaw – 462,
 Hernas Czesław – 244,
 Herzog Werner – 170,
 Heschel Abraham Joshua – 324,
 Hirsch Zbigniew Jerzy – 27,
 Hodun Marian – 222,
 Hołda Edward – 248,
 Hołodok Stanisław, ks. – 23,
 Homer – 155,
 Hoover Herbert Clark, prezydent
 USA – 340,
 Hryniewicka Elwira – 273,
 Huszcza Roma – 363,
 Hutnikiewicz Artur – 142, 237,
 Huxley Aldous – 156,

I

Ihnatowicz Ewa – 328,
 Ingarden Roman – 469,
 Izydorczyk Anna – 219-220,

J

Jagodziński Wiesław – 219,
 Jakimiuk-Sawczyńska Walentyna –
 202,
 Jakobson Roman – 434,
 Jakowska Krystyna – 10, 51, **(142-
 149)**,
 Jakub Wujek, SJ – 326,
 Jakubiec Marian – 32,
 Jakubowski Jan Zygmunt – 289,
 Jamróż Adam – 27, 58, 153, 175,
 305, 349,
 Jan III Sobieski, król Polski – 64,
 Janicka Anna – 4, 25, 51, 272, 318,
 332, 336-337,
 Jan Ewangelista, św. – 323,
 Janion Maria – 159, 208, 235, 354,
 356, 372-373,
 Jankowski Henryk – 221,
 Janowicz Sokrat – 92, 453,
 Jan Paweł II, papież – 320,
 Januszek Franciszek – 499,
 Jarocki Jerzy – 314,
 Jaroński Zbigniew – 10, 51, 77,
 154, 232, 234-238, 316-317,
 Jarosz Andrzej – 435,
 Jaroszek Jerzy – 301,
 Jaspers Karl – 82,
 Jastrun Mieczysław – 472,
 Jastrzębska L. – 27,
 Jaworski Kazimierz Andrzej – 420,
 422,
 Jaworski Roman – 352,
 Jełowicka Anna – 290,
 Jerofiejew Wieniedikt – 416,
 Jezierski Andrzej – 187, 227, 456, 482,
 Jezus Chrystus – 32, 46, 53-54, 76,
 136-137, 178, 184, 187, 232, 252,
 320-327, 352, 372, 402, 412, 420,
 454, 505,

Joachimiak Zbigniew – 445,
Jung Carl Gustav – 80,
Jurkowski Marian – 77, 194, 225,
290, 297, 300, 308, 310, 382, 404,
406-407, 409, 426, 500,

K

Kacprzak Alicja – 117,
Kaczmarek Leon – 380,
Kaczmarek Jacek – 282,
Kaczyńska Elżbieta – 193, 223, 225,
274, 345,
Kaczyński Jarosław – 475,
Kafka Franz – 76, 81, 83-84, 505,
Kajka Michał – 288,
Kalisz Jan – 440,
Kamecka Małgorzata – 59, 117, 228,
Kamiński Jan – 80,
Kamionowski Jerzy – 10, 41, 45,
138, **(150-162)**, 502,
Karolak Stanisław – 34,
Karpiński Franciszek – 15, 238,
Karpowicz Ignacy – 453,
Kartezjusz (właśc. Descartes René)
– 184,
Karwacka Helena – 11, 19, 49, 51,
53, 77, 194, 235, 237, 244, 261,
298-299, 308, 310-313, 330-332,
334, 357, 467, 474, 500,
Karwacki Władysław – 313,
Katajew Walentin – 412,
Kazanecki Wiesław – 78-79, 238,
240, 242, 247, 263, 428, 446-447,
453,
Kennedy John Fitzgerald, prezydent
USA – 340,
Kielak Dorota – 301, 313, 336, 492,
Kiełczewska Dominika – 145,
Kieniewicz Stefan – 269, 289,
Kietliński Marek – 439-440,

Kieżuń Anna – 51, 317-318, 344,
452-453,
Kiliński Jan – 219,
Kisielevska Alicja – 10, **(164-171)**,
503-504,
Kisielewski Andrzej – 168,
Kiślak Elżbieta – 22,
Kleiner Juliusz – 311,
Klemensiewicz Zenon – 311,
Klepadło Dawid – 447,
Knap Grażyna – 393,
Knysz-Tomaszewska Danuta – 490,
Kochanowska Urszula – 117,
Kochanowski Jan – 65, 326,
Kochanowski Marek – 272, 339,
452, 490, 496,
Kofman Jan – 194, 223, 225, 258,
263,
Kołakowski Leszek – 292,
Kołakowski Tadeusz – 32, 501,
Kołomecka Ewa – 392,
Komorowska Hanna – 45, 116, 138,
Kondratiuk Małgorzata – 35,
Kondratiuk Michał – 10, 100, 102,
(172-182), 203,
Koneczna Halina – 106,
Konończuk Elżbieta – 51, 62, 301,
436, 452, 468,
Konopka Hanna – 229,
Konopnicka Maria – 46, 50, 328, 336,
Konwicki Tadeusz – 252, 476,
Kopania Jerzy – 10, 77, 84, 136, 174,
(184-196), 210, 301, 456, 499, 503,
Kopania Teresa – 77, 224,
Kopernik Mikołaj – 142, 440,
Koperski Jerzy – 444, 446,
Kornhauser Julian – 444,
Korolko Mirosław – 68,
Korotkich Krzysztof – 4, 28, 51, 254,
322-327, 449-450, 452, 501,

- Korwin-Mikke Janusz – 161,
 Kostaszuk-Romanowska Monika – 168-169, 373,
 Kostkiewiczowa Teresa – 67,
 Koszycka Maria – 11, 49, 166, 169, 301, 314-315, 334, 344, 437-438, 445-446,
 Kościewicz Katarzyna – 51,
 Kościuszko Tadeusz – 260,
 Kowalczuk Urszula – 51, 337,
 Kowalczuk Wojciech – 219,
 Kowalczyk Jerzy – 224,
 Kowalczykowa Alina – 25,
 Kowalska Małgorzata – 117,
 Krakowiak Kazimiera – 380,
 Kramkowska-Dąbrowska Agnieszka – 145,
 Krasiński Zygmunt – 373, 505,
 Kraszewski Józef Ignacy – 293,
 Król Cezary – 270,
 Kruk Mikołaj – 10, **(198-204)**, 501,
 Krukowska Halina – 10, 25, 28, 49-51, 136, **(206-215)**, 224-225, 236, 254, 259-260, 289, 300, 312, 332, 363-364, 373, 382, 437-439, 475-476, 500,
 Kryńska Elwira J. – 27-28,
 Krysiewicz Zenon – 222,
 Krzemień-Ojak Sław – 10, 51, 164, 167-169, 300, 373, 503,
 Krzyżagórski Klemens – 261, 263,
 Krzyżanowski Julian – 291,
 Kubiak Barbara – 220,
 Kukiełko Dariusz – 4,
 Kukło Cezary – 10, 27, 137, **(216-231)**, 275,
 Kulczycka-Saloni Janina – 48, 291, 328, 357,
 Kulesza Dariusz – 10, 51, 65, 68, 142, 146-147, **(232-240)**, 313, 332, 445, 451-452, 485,
 Kupiszewski Władysław – 297-299, 406-409, 480,
 Kurkowska Halina – 484,
 Kuroń Jacek – 379,
 Kurplowski Mikołaj – 200,
 Kurzawa Eugeniusz – 445,
 Kutrzeba-Pojnarowa Anna – 108,
 Kwaśniewski Aleksander, prezydent Polski – 175, 274,
- L**
- Lalewicz Janusz – 433-434, 436,
 Lam Andrzej – 433,
 Lang Peter – 150,
 Laskowski Janusz – 457,
 Latawiec Krzysztof – 124,
 Lawrowa Aleksandra – 127,
 Lechoń Jan – 237,
 Ledziński Jachia – 15, 27,
 Lejczyk Włodzimierz – 127,
 Leończuk Jan – 10, 28, 220, 225, 238-240, **(242-255)**, 263, 280-281, 290, 391, 446, 453, 459,
 Leszczyński Stefan – 289, 408,
 Leszin Jerzy – 444-446,
 Leś Mariusz M. – 27, 139, 459, 471, 500-501,
 Lewicka-Mroczek Ewa – 502,
 Libera Antoni – 398,
 Libera Zdzisław – 64,
 Lichański Jakub – 66,
 Lider Bogusław – 222,
 Liedke Marzena – 229,
 Liniarski Władysław – 26, 40, 59,
 Lipski Jan Józef – 145,
 Lisowska Lucy – 318,
 Loach Ken – 161,
 Locke John – 370,
 Lorde Audre – 150,

Lów Ryszard – 317-318,
Lubicz-Łapiński Łukasz – 228,
Lubomirski Stanisław Herakliusz,
książę – 62,
Lukszyn Jurij – 32, 102, 175, 423,
501,
Luter Marcin – 469,

Ł

Łatyszonek Oleg – 180,
Ławski Jarosław – 3-4, 9, 13, **(15-28)**,
51, 83, 211-213, 242, 254, 293, 332,
339, 358, 459, 484-485, 499, 505-
510,
Łesiów Michał – 102, 175, 501,
Łozowski Piotr – 229,
Łukasiewicz Juliusz – 28, 223, 227,
Łukaszuk Krystyna – 250,
Łysakowski Adam – 386,

M

Maciejewska Irena – 209, 289-291,
Maciejewski Janusz – 355,
Mackiewicz Joanna – 310,
Madoń-Mitzner Katarzyna – 16,
Magnone Lena – 328,
Majewski Lech Jacek – 445,
Makowiecki Andrzej – 10, 44, 48, 64,
77, 193, 208, 213, 225, 244, 250-251,
(256-264), 266, 269, 297, 300, 308,
310, 312-313, 315, 330, 382, 400,
409, 426, 456, 458, 482, 485, 500,
Makowski Stanisław – 209,
Malczewski Antoni – 206, 211, 473,
505,
Malec Maria – 102,
Malone Sheila – 161,
Mancewicz Bogumiła – 19,
Manikowski Adam – 194, 223, 225,
258, 262-264, 362,

Mann Tomasz – 469,
Mańkowski Adam – 330, 333,
Marchlewski Julian – 28,
Marciszewski Witold – 186-190,
210, 301, 432, 436, 456-459,
Marek Leszek – 450,
Marek Wiesława – 270,
Markiewicz Czesław – 445,
Markowa Anna – 286, 450-451,
453,
Maroszek Józef – 18, 220, 223, 252,
280, 283, 286, 290, 391,
Martyniuk Marta – 145,
Masłowska Dorota – 144,
Matus Irena – 503,
Mayenowa Maria Renata – 62, 208,
356, 398, 400,
Meller Stefan – 44, 194, 223, 225,
258, 263, 280, 330, 362,
Memling Hans – 282,
Mencwel Andrzej – 164, 166-167,
169,
Miatluk Anna – 116, 122, 124, 179,
502,
Michajłowicz Lew – 179,
Michnik Adam – 379,
Miciński Tadeusz – 505,
Mickiewicz Adam – 10, 26, 46, 49-
50, 142, 172, 206, 209-213, 215,
224, 263, 280-281, 286, 299, 317,
452, 454, 462, 471, 482-483, 505,
Midro Alina T. – 380-381,
Mieszko I, książę Polski – 282,
Milczewski-Bruno Ryszard – 248,
Milejkowska Halina – 32, 34, 175,
415, 501,
Milewski Jan Jerzy – 10, 28, 136,
220, 223, **(266-277)**,
Milewski Tadeusz – 484,
Miłosz Czesław – 86, 252, 453, 505,

Mironowicz Antoni – 280,
 Mironowicz Eugeniusz – 180, 503,
 Miśkiewicz Aleksander – 10, **(278-284)**, 391,
 Młynarski Wojciech – 441,
 Mojsak Kajetan – 145,
 Monachowicz Nadzieja – 122,
 Monasterska Teresa – 343, 345,
 347, 499,
 Monkiewicz Waldemar – 23,
 Morawski Stanisław – 259, 270,
 Moroz Grzegorz – 45, 138, 152,
 157, 502,
 Morrison Toni – 160,
 Morrison Van – 160,
 Morsztyn Jan Andrzej – 65,
 Moss Bożena – 349,
 Moszyński Kazimierz – 107,
 Mroczkowski Tadeusz – 457,
 Mrongowiusz Krzysztof Celestyn –
 294,
 Mrożek Sławomir – 232,
 Mrówczyński Marek – 219,
 Mróz Lech – 66, 77, 194,
 Musil Robert – 84,
 Mussolini Benito – 159,
 Muszyńska Danuta – 363,
 Myszczyński Stefan – 208, 286, 288,
 Myśliwski Wiesław – 232,
 Mytnik Piotr – 221-223, 483,

N

Nachiło Jerzy – 333,
 Nałęcz Tomasz – 270,
 Naruk Adrianna – 117,
 Niczyporowicz Janusz – 263,
 Niemcewicz Julian Ursyn – 286,
 Niemiec Jerzy – 436,
 Nikitorowicz Jerzy – 28,
 Nitsch Kazimierz – 181,

Niziurski Edmund – 393,
 Nofikow Ewa – 471,
 Noniewicz Czesław – 44,
 Norwid Cyprian Kamil – 469,
 Nosek Anna – 392, 496,
 Nosowicz Jan Franciszek – 32, 34,
 49, 127, 137, 389, 501,
 Novodranova Walentina – 127,
 Nowacka Jadwiga – 392,
 Nowacka Maria – 503,
 Nowak-Jeziorański Jan – 462,
 Nowakowski Marek – 236,
 Nowakowski Tadeusz – 462,
 Nowicka-Jeżowa Alina – 67,
 Nowicki Ryszard – 392,
 Nowik Piotr – 239,
 Noworolska Barbara – 10, 27, 67,
 259, 269-270, **(286-293)**,
 Nowotko Marcelli – 360,
 Nowowiejski Bogusław – 11, 19, 41,
 51, 54, 77, 127, 146, 290, **(294-306)**,
 363, 485, 499-500, 503,

O

Obrębka-Jabłońska Antonina – 176,
 181,
 Ocytko Małgorzata – 27-28,
 Okalewska Elżbieta – 290,
 Olchanowski Tomasz – 77, 80,
 Olech Barbara – 11, 51, 142, 146,
(308-318),
 Olesiewicz Marek – 62,
 Olszewska Grażyna – 222,
 Olszewska Maria Jolanta – 313, 490,
 Olszewski Karol – 222,
 Opara Stefan – 139,
 Orzeszkowa Eliza – 236, 286, 289,
 293, 328, 337,
 Osiecka Agnieszka – 80,
 Osiecka Stanisława – 484,

Ostrowska Bronisława – 308, 312,
Otwinowska Barbara – 67,
Owidiusz – 155,
Ozorowski Edward, Abp – 11, **(320-327)**,

P

Paczoska Ewa – 11, 48-50, 155, 301,
311, 313, **(328-339)**, 357, 492,
Paderewski Ignacy Jan – 282,
Palester Roman – 462,
Palińska Ewa – 338,
Paliński Krzysztof – 332-333, 338,
Palmer Kirk – 162,
Panas Agnieszka – 447,
Papliński Feliks – 331,
Papuzińska Joanna – 271,
Parafianowicz Halina – 11, 44, 229,
283, **(340-351)**,
Parkinson James – 160,
Partyka Jacek – 150,
Pasko Artur – 17,
Pawlikowska-Jasnorzewska Maria
– 451,
Pawluczuk Włodzimierz – 433,
Pedretti Erica – 469,
Pelc Janusz – 67,
Pezowicz Bogusław – 248,
Pędach Marcin – 392,
Phalle Niki de Saint – 160,
Picht Herbert – 126,
Pieńkowski Kazimierz – 23, 28,
Pietruk Władysław – 15,
Pietrusiewiczowa Jadwiga – 64,
Pietrzak Włodzimierz – 242, 320,
Pilch Tadeusz – 27,
Pilcicki Hubert – 4,
Piłsudski Józef, marszałek Polski –
78, 282, 292, 438, 469,
Piotrowski Tadeusz – 394,

Piwińska Marta – 209,
Plotyn – 78,
Płachecki Marian – 11, 49, 301, 332,
334-335, **(352-358)**, 436,
Płotko Ewa – 51,
Podhorski-Okoleń Leonard – 317,
Pomianowska Wanda – 108,
Poniat Radosław – 228-229,
Poniatowicz Bożena – 4, 11, 139,
(360-368),
Pope Alexander – 156,
Popławska Rita – 346,
Popławska Zinaida – 362,
Popławski Emil – 272-273,
Potocka Dorota – 152, 157, 502,
Pound Ezra – 41, 159,
Prechitko Ewa – 408,
Prus Bolesław – 46, 328, 336,
Pruszyński Tadeusz – 434,
Prutis Stanisław – 483,
Przybyszewski Stanisław – 256,
Puławski Krzysztof – 156,
Puszkin Aleksander Siergiejewicz
– 414,
Putko Joanna – 392,
Puzynina Jadwiga – 299,

R

Radzewicz Krzysztof – 450,
Radzewicz Teresa – 450,
Radziwonowicz Beata – 35,
Rau Krzysztof – 261,
Raube Sławomir – 11, **(370-375)**,
Redliński Edward – 79,
Rej Mikołaj – 326,
Ricœur Paul – 469,
Rilke Rainer Maria – 472,
Roch, OFS, św. – 135, 226,
Rockefeller John – 340,
Rode Maksymilian, bp – 137,

- Rodowicz Maryla – 222,
 Rogala Maja – 169,
 Rogowska Marianna – 11, **(376-384)**,
 Romanik Anna – 502,
 Romaniuk Luba – 34,
 Roosevelt Eleanor Anna – 340,
 Roosevelt Franklin Delano, prezydent USA – 343,
 Rostworowski Karol Hubert – 310-311,
 Roszczyc Mirosława – 27,
 Roszczyńska Anna – 362,
 Roth Philip – 505,
 Rozenfeld Aleksander – 83,
 Rozumko Agata – 45,
 Różański Wiesław – 435,
 Różewicz Tadeusz – 86, 145, 292, 445,
 Ruciński Henryk – 223-225, 229, 436,
 Rurawski Józef – 208,
 Russell Ken – 161,
 Ruśkowski Eugeniusz – 114-115,
 Rutkowski Krzysztof – 34-35,
 Rygorowicz Anna – 34-35,
 Ryłko Zdzisław – 115,
 Rymut Kazimierz – 102,
 Rząca Sylwia – 447,
- S**
- Sacharewicz Edyta – 117,
 Sadowska Jadwiga – 11, **(386-393)**,
 Sadowska Wanda – 77, 440,
 Sadowski Lesław – 77, 440,
 Saloni Zygmunt – 11, 58, 83, 110, 289, 296-297, 300, 334, 376, 378-379, 382, **(394-403)**, 408-409, 435, 482, 484,
 Sanchez Sonia – 150, 158,
 Saniewska Daniela – 289,
 Saniewska Halina – 259,
 Sarah Robert, kardynał – 324,
 Sartre Jean-Paul – 142,
 Sawicka Barbara – 213,
 Sawicka-Mierzyńska Katarzyna – 240, 392, 451,
 Sawicki Stefan – 474,
 Sawoń Anna – 145,
 Schopenhauer Artur – 84,
 Schulz Bruno – 81, 246, 484,
 Semczuk Antoni – 415,
 Serczyk Władysław Andrzej – 137, 228-229, 274, 280-281, 499,
 Shelley Mary – 161,
 Shelley Percy Bysshe – 161,
 Sidoruk Elżbieta – 27,
 Siedlecki Michał – 28,
 Siegień Bazyli – 178-179, 501,
 Sienkiewicz Henryk – 77, 210, 237, 286, 438, 452,
 Sienkiewicz Krystyna – 74, 76-77,
 Sikorska Ewa – 290,
 Sikorska Nowak Elżbieta – 18,
 Sinielnikoff Roxana – 258, 500,
 Sioma Radosław – 142,
 Sitarska Anna – 389,
 Skłodowska-Curie Maria – 26, 85, 175, 338,
 Skopiuk Tatiana – 127,
 Skowronek Jerzy – 289,
 Skruna Wiktor – 34, 423,
 Skwarczyńska Stefania – 474-475,
 Sławińska Irena – 474,
 Sławiński Janusz – 236, 354-356, 433,
 Sławski Franciszek – 108,
 Słowacki Juliusz – 83, 206, 505-506,
 Smaszcz Waldemar – 237-240, 301, 446,

Smorczevska Halina – 501-502,
Smułkowa Elżbieta – 503,
Sobol Roman – 15,
Sochoń Jan, ks. – 248, 446,
Sokołowska Dorota – 428, 452,
Sokołowska Katarzyna – 142, 144,
Sokołska Urszula – 11, 290, 293,
297, **(404-411)**, 435, 500-501,
Sokrates – 469,
Sołowiej Dominik – **(3-497)**, 505,
507-510,
Soroka Paweł – 248,
Sowul Małgorzata – 471,
Stachura Edward – 83, 247-248, 263,
Staff Leopold – 310,
Stalin Józef – 457,
Stanisławski Grzegorz – 446,
Stasiewicz Piotr – 500,
Staszic Stanisław – 71, 433,
Stec Halina – 68,
Stec Wiesław – 68, 286, 500,
Stefanowska Zofia – 474,
Stein Edyta – 206,
Steinbeck John – 324,
Stelmachowski Andrzej – 21-22,
330, 333, 457-458, 481-483,
Stempowski Jerzy – 462,
Sterna-Wachowiak Sergiusz – 445,
Stieber Zdzisław – 107,
Stodółko Lidia – 34,
Stoker Bram – 159,
Straszewicz Czesław – 462,
Strug Andrzej – 164, 496,
Sudolski Zbigniew – 209, 258, 334,
373, 474,
Supa Wanda – 11, 202, 389-390,
(412-418), 502,
Suszczyński Zbigniew – 11, 166,
168-169, 212-213, 298, 335, 370,
372-375,

Suszyński Władysław, bp – 320,
Szaniawski Jerzy – 310-311,
Szaniawski Klemens – 261,
Szaruga Leszek – 444,
Szekspir William – 153-154, 156,
Szerszunowicz Wacław – 11, 363,
389, **(420-427)**,
Szewczuk Magdalena – 447, 451,
Szpotański Janusz – 398-399, 483,
Sztachelska Jolanta – 19, 41, 49, 51,
77, 290, 318, 332, 334, 336, 339,
357, 433, 435, 451-452, 468, 495,
500,
Sztukowska Maria 343,
Szturc Włodzimierz – 450,
Szukała Mieczysław – 425,
Szwed Ryszard – 22,
Szydłowska Natalia – 110, 168-169,
Szyłak Marzena – 144,
Szymaniuk Dorota – 179, 502,
Szymański Tadeusz – 175,
Szymański Wiesław – 191, 240, 428,
434, 446, 451-452,
Szymborska Wisława – 86,
Szymczak Mieczysław – 394,
Szymula Robert – 502,
Szyszko Tadeusz – 175, 415, 423,
501,

Ś

Śliwińska-Jaroszuk Janina – 310,
313,
Śliżewska-Hościło Kamila – 393,
Świdziński Marek – 394,
Święcki Franciszek – 250,
Święczkowska Halina – 188,

T

Taranienko Janusz – 11, 239, 301,
(428-453),

- Taraszkiewicz Danuta – 48,
 Terlecki Tymon – 462,
 Thomas Patricia – 122, 126,
 Tokarczuk Olga – 328,
 Tokarski Jan – 394,
 Tolkien John Ronald Reuel – 80-81,
 Tomczak Anna – 45, 157,
 Truchanowski Kazimierz – 74, 84,
 Truskolaski Tadeusz – 129,
 Trybulec Andrzej – 399-400, 458,
 Trybulec Zinaida – 187, 458,
 Trynkowski Jan – 16, 219,
 Tryuk Małgorzata – 117,
 Trzeszczkowska Zofia – 308,
 Trzęsicki Kazimierz – 11, 186, **(454-460)**, 464, 471,
 Turowska Teresa – 386,
 Turski Stanisław – 18,
 Tuwim Julian – 310,
 Twaranowicz Halina – 203,
 Twardowski Jan, ks. – 238,
 Tyszką Adam – 337-338,
- U**
- Ulewicz Tadeusz – 292,
 Urbanowicz Beata – 22,
 Urwanowicz Jerzy – 28, 274, 280,
 286,
 Usakiewicz Joanna – 503,
- V**
- Vincenz Andrzej – 299,
- W**
- Walczak-Sroczyńska Barbara – 175,
 Wałęsa Lech, prezydent Polski –
 454,
 Waśkiewicz Andrzej Krzysztof –
 444-445,
 Weil Simone – 206,
 Wejs-Milewska Violetta – 12, 293,
 301, 318, 459, **(462-477)**, 500-501,
 Werhun Grażyna – 68,
 Węgięko Aleksander – 18, 292, 338,
 Wharton William – 43-44,
 Wieczorek Jan Wojciech – 393,
 Wieczorkiewicz Anna – 169, 503,
 Wierzbicka Anna – 65,
 Wierzchowski Józef – 77, 110, 253,
 300, 331, 362, 364, 408, 426,
 Wierzyński Kazimierz – 237-238,
 462,
 Więcko Krystyna – 28,
 Wilkowski Jan – 262,
 Wipszycka Ewa-Bravo – 193, 225,
 258, 274, 345, 499,
 Wiśniewska Elżbieta – 144,
 Wiśniewski Jacek – 152,
 Wiśniewski Tomasz – 439-440,
 Wiśniowski Mieczysław – 155,
 Witkiewicz Stanisław Ignacy (pseud.
 Witkacy) – 244, 256, 291, 314, 452,
 Witkość Jacek – 28
 Witkowska Alina – 356,
 Wittlin Józef – 142, 462,
 Władysław Wiesław – 270, 362,
 Włoczeńska Agnieszka – 117,
 Wojtkiewicz Mariola – 77,
 Woltanowski Andrzej – 225,
 Wołek Tomasz – 270,
 Wróblewska Monika – 145,
 Wróblewska Teresa – 408,
 Wróblewski Piotr – 12, 109, 408,
 426, 442, **(478-489)**, 500,
 Wrzosek Mieczysław – 225, 280,
 344-346, 457, 499,
 Wrzosek Wojciech – 44,
 Wyczański Andrzej – 51, 193, 222-
 223, 225, 227, 258, 274-275, 280,
 330, 345,

Wydrycka Anna – 51, 336,
Wyka Kazimierz – 291, 311,
Wyrobisz Andrzej – 30, 32, 62, 64,
193-194, 225, 258, 270-271, 274,
288, 298, 330, 332, 345, 499,
Wyspiański Stanisław – 452-453,
Wyszyński Stefan, prymas Polski –
46, 53-54, 322,

Y

Yeats William Butler – 156,

Z

Zabielski Łukasz – 28, 242,
Zacharska Jadwiga – 12, **(490-497)**,
499,
Zagajewski Adam – 145,
Zajkowska Joanna – 52,
Zaniewski Andrzej – 444,
Zawadzka Anna – 68,
Zawadzka Danuta – 28, 209, 213,
240, 337, 339,
Zawieyski Jerzy – 232,
Zawistowski Bogdan – 49, 315, 334-
335, 356,
Zawistowski Władysław – 445,
Zdanowicz Anna – 51, 337-338,
Zdanowicz Katarzyna Ewa – 239,
Zegalski Jerzy – 292,
Zelwerowicz Aleksander – 184,
Zgorzelski Czesław – 208,
Zgrzywa Sławomir – 349,
Ziejka Franciszek – 474,
Zieleniewski Jerzy – 280,
Zielińska Teresa – 117,
Zieliński Ryszard – 370,
Zimnoch Katarzyna – 386, 392-393,
Zimnoch Weronika – 447, 451,
Zuckerberg Mark – 460,

Ż

Żmiejkó Donata – 27,
Żmijewska Monika – 17,
Żótkiewski Stefan – 236, 356, 433,
Żurakowski Bogusław – 247,

